

JAMES ROLLINS

REBECCA CANTRELL



DIABELSKA KREW

Trzecia część cyklu **ZAKON SANGWINISTÓW**

O książce

SPEKTAKULARNY FINAŁ

**Zęby ludzkość mogła przetrwać, muszą zostać
roztrzaskane BRAMY PIEKIEŁ.**

A SŁOWO „cud” zyska nowe znaczenie.

Do Watykanu ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej napływają doniesienia o pladze brutalnych mordów. Archeolog Erin Granger po raz kolejny musi połączyć siły z pozostałymi członkami triady – sierżantem amerykańskiej armii Jordanem Stone'em i sangwinistą Rhunem Korzą – by ratować świat przed zagładą.

Najpierw jednak muszą znaleźć przyczynę wyraźnego naruszenia równowagi między światłem a ciemnością. Odpowiedź może się kryć w Pradze, gdzie na początku XVII wieku alchemik John Dee w trakcie Swoich niebezpiecznych eksperymentów rozluźnił srebrne łańcuchy przykuwające władcę piekła do jego tronu.

Znaki wskazują, że pan piekieł uwolni się całkowicie podczas zaćmienia słońca w Himalajach. Właśnie tam musi podążyć ścigana przez nowego wroga triada i stanąć twarzą w twarz z Lucyferem.

JAMES
ROLLINS
REBECCA CANTRELL

DIABELSKA KREW

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

Wydanie elektroniczne



JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolarz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne – m.in. **Ekspedycja, Amazonia** oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. **Burzą piaskową** – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy. Obecnie trwają przygotowania do ekranizacji **Mapy Trzech Mędrców**.

www.jamesrollins.com

REBECCA CANTRELL

Autorka cyklu powieści kryminalnych **Hannah Vogel**, jest zdobywczynią nagrody Macavity. Jej powieść **iDrakula**, nominowana do nagrody Appy, według „Booklist” znalazła się wśród 10 najlepszych horrorów dla młodzieży w 2010 roku.

www.rebeccacantrell.com

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
PODZIEMNY LABIRYNT

Cykl SIGMA FORCE

BURZA PIASKOWA
MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
KLUCZ ZAGŁADY
OSTATNIA WYROCNIA
KOLONIA DIABŁA
LINIA KRWI
OKO BOGA
SZÓSTA APOKALIPSA
LABIRYNT KOŚCI
PIEKIELNA KREW

James Rollins, Rebecca Cantrell
Cykl ZAKON SANGWINISTÓW

EWANGELIA KRWI
NIEWINNA KREW

Tytuł oryginału:
BLOOD INFERNAL

Copyright © James Czajkowski and Rebecca Cantrell 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2017

Redakcja: Grażyna Dziedzic

Projekt graficzny okładki i serii: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-403-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em.eu

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

CZĘŚĆ DRUGA

9

10

11

12

13

14

15

CZĘŚĆ TRZECIA

16

17

18

19

20

21

22

23

CZĘŚĆ CZWARTA

24

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[CZĘŚĆ PIĄTA](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[CZĘŚĆ SZÓSTA](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[A potem...](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

James:

*Rebecce za to, że zechciała towarzyszyć mi w tej
podróży*

Rebecca:

Mojemu mężowi i synowi

*Jakże to spadłeś z niebios,
Jaśniejący, Synu Jutrzenki?
Jakże runąłeś na ziemię,
ty, który podbijałeś narody?¹*

Lato 1606 roku

Praga, Czechy

Wreszcie prawie się spełniło...

Angielski alchemik John Dee stał w swoim ukrytym laboratorium przed olbrzymim kloszem z nieskazitelnie przejrzystego szkła.

Naczynie było tak wysokie, że mógł się w nim wyprostować dorosły mężczyzna. To cudowne dzieło wyszło spod ręki cenionego szklarza z dalekiej wyspy Murano nieopodal Wenecji. Przez ponad rok rzemieślnicy, korzystając z wielkich miechów i metod znanych jedynie garstce mistrzów, obracali i rozdmuchiwali kolosalną kroplę roztopionego szkła, by uformować z niej istny obraz doskonałości. Następnym pięć miesięcy zajęło przewiezienie drogiego klosza z wyspy, na której powstał, do przesiąkniętego chłodem dworu Świętego Cesarza Rudolfa II na dalekiej północy. A gdy dotarł na miejsce, cesarz rozkazał zbudować wokół niego sekretne laboratorium alchemiczne pod ulicami Pragi, otoczone szeregiem warsztatów pomocniczych.

Minęło długich dziesięć lat...

Klosz spoczywał teraz na okrągłym postumencie w rogu głównej pracowni. Krawędzie podestu dawno zaczerwieniła rdza. W dolnej części klosza tkwił okrągły wąż, także ze szkła, od zewnątrz szczelnie przytwierdzony mocnymi sztabami, aby powietrze nie mogło dostawać się do środka ani z niego uciekać.

John Dee zadrżał. Czuł ulgę na myśl o dokończeniu zadania, lecz zarazem się tego lękał. Zrodziła się w nim nienawiść do piekielnego narzędzia, zdawał sobie sprawę, w jakim celu je wykonano. Ostatnio unikał klosza, na ile tylko mógł. Całymi dniami krzątał się po laboratorium w długiej tunice poplamionej chemikaliami, z białą brodą, która prawie wpadała do retort, odwracając zażawione oczy od szklanej powierzchni pokrytej kurzem.

Moje zadanie jest niemal ukończone, pomyślał.

Podszedł do kominka i sięgnął ręką do gzymsu. Sękatymi palcami otworzył misterny zamek małej komory wykutej w marmurze. Tylko on i cesarz wiedzieli o jej istnieniu.

W tej samej chwili rozległo się gorączkowe stukanie. Odwrócił się w stronę klosza i stworzenia uwięzionego w jego wnętrzu. Bestię schwyтали wierni słudzy cesarza i przywlekli tutaj przed zaledwie kilkoma godzinami.

Muszę się spieszyć.

Szkaradna bestia waliła cielskiem o ścianę klosza, jakby przeczuwając to, co nadchodzi. Nawet nadnaturalna siła nie pomogła jej jednak wyrwać się z potrzasku. Próbowwały tego nadaremnie stworzenia starsze i znacznie mocarniejsze.

W ciągu kilku lat John uwięził w szklanym kloszu wiele takich istot.

Bardzo wiele...

Wiedział, że nic mu nie grozi, lecz wątle serce alchemika i tak trzepotało; zwierzęca część jego natury wyczuwała niebezpieczeństwo w sposób niezgłębiony dla logicznie działającego umysłu.

Z urywanym westchnieniem wsunął rękę do sekretnego schowka i wyjął z niego przedmiot owinięty w nasączoną tłuszczem tkaninę.

Drogocenny obiekt zawiązany był szkarłatnym sznurem i umieszczony w woskowanej kopercie. Ostrożnie przyciskając zawiniątko do piersi, by nie naruszyć woskowego opakowania, John zaniósł je do zasłoniętego okna. Nawet tkanina i wosk nic

zdołały powstrzymać budzącego trwozę chłodu, którym emanował przedmiot; palce i zębra alchemika spowiło odrętwiające zimno.

Rozsunął nieco grube kotary, wpuszczając snop porannego słońca.

Drżącymi dłońmi umieścił zawiniątko w strumieniu światła na kamiennym blacie stołu i stanął tak, by ani odrobina cienia nie padła na powierzchnię obiektu. Wyjął zza paska ostry nóż rzeźnicki, przeciął nasączoną tłuszczem tkaninę i szkarłatny sznur. Z wielką pieczołowitością zdjął tłustą tkaninę i położył na stole.

Promienie pierwszego brzasku dnia padły na to, co kryło się w zawiniątku: klejnot niezwyklej urody, wielki jak męska dłoń, połyskujący szmaragdową zielenią.

To jednak nie był szmaragd.

– Diament – wyszeptał alchemik.

W komnacie ponownie zapanowała cisza, stwór uwięziony w wielkim kloszu wzdrygnął się i cofnął przed blaskiem przedmiotu jaśniejącym na stole. Gdy promienie wypływające z klejnotu rysowały szmaragdowe żyłki na otynkowanych ścianach, ślepia bestii ciskały spojrzenia to tu, to tam.

John nie zwracał uwagi na jej strach; patrzył w sam środek diamentu, na kłębiącą się w nim powoli smugę atramentowej czerni.

Snuła się niczym strumień dymu i oliwy – żywa istota zamknięta w klejnocie, tak jak stwór we wnętrzu szklanego klosza.

Dzięki Bogu.

Alchemik dotknął palcem lodowatego kamienia. Według legendy wydobyto go z głębokiego pokładu kopalni na Dalekim Wschodzie.

Jak wszystkie wielkie klejnoty, tak i ten ponoć był naznaczony klątwą.

Zabijano się, by go posiąść, a ci, w których ręce wpadł, wkrótce potem ginęli. Mniejsze diamenty wydobyte z tej samej

żyły przyozdobiły korony władców odległych państw, ten jednak nie został wykorzystany do zaspokojenia ludzkiej próżności.

John ostrożnie uniósł zielony diament. Dziesiątki lat minęły od dnia, w którym kazał go wydrążyć. Dwaj jubilerzy tracili wzrok, żłobiąc wąziutkimi wiertłami o diamentowych ostrzach maleńką komorę w przepysznie zielonym sercu drogocennego klejnotu. Jako zatyczka posłużył cieniutki, niemal przezroczysty odprysk kości przywiezionej ponad tysiąc lat temu z grobowca w Jerozolimie. Kość ta była ostatnim nietkniętym fragmentem ciała Jezusa Chrystusa.

Tak w każdym razie twierdzono.

Alchemik zakasłał i jego usta wypełnił metaliczny posmak krwi; splunął do drewnianego cebra, który trzymał obok stołu. Choroba trawiąca go od środka pozostawiała mu ostatnimi czasy niewiele spokoju. Walczył o oddech, nie wiedząc, czy nie będzie on ostatnim.

Płuca w jego piersi rzeziły jak pęknięty miech.

Wzdrygnął się na stłumione pukanie do drzwi, kamień wysunął mu się z palców i poleciał na drewnianą podłogę. John z okrzykiem rzucił się po drogocenny przedmiot.

Kamień spadł na deski, ale nie pękł.

Ból przebiegł od serca do lewego ramienia alchemika. John oparł się o grubą nogę stołu. Po podłodze rozpląnęła się strużka żółtawej cieczy. Z brzegu rozpostartej niedźwiedziej skóry wzniósł się dym.

– Panie Dee! – rozległ się młody głos z drugiej strony drzwi. – Jest pan ranny?

Stuknął zamek i drzwi się otworzyły.

– Waławie... – wykrztusił z wysiłkiem John. – Nie zbliżaj się.

Jednakże młodzian już wpadł do środka, spiesząc na pomoc swemu panu. Dźwignął go z podłogi.

– Czy to choroba?

Dolegliwości Johna nie byli w stanie zaradzić nawet najpotężniejsi alchemicy na dworze cesarza Rudolfa. Łapał oddech, pozwalając się chłopcu podtrzymywać; wreszcie kaszel

się uspokoił, ale ostry ból w piersi, zwykle ustępujący, tym razem nie puścił.

Młody czeladnik delikatnie dotknął palcami spoconego czoła swego mistrza.

– Nie spał pan dzisiejszej nocy. Rano zobaczyłem, że łóżko jest nietknięte. Przyszedłem sprawdzić... – Zamilkł i zerknął w kierunku szklanego klosza. Widok uwięzionego w nim stworzenia nie był przeznaczony dla młodych niewinnych oczu.

Z warg Waclawa wyrwało się westchnienie zdumienia i lęku.

Bestia także na niego patrzyła – wygłodniałym wzrokiem, opierając dłoń na szkle i je drapiąc. Od kilku dni nie dostała strawy.

Spojrzenie młodzieńca objęło nagie ciało kobiety. Falujące jasne włosy spadały za jej ramiona i na obnażone piersi. Była nieomal piękna. Jednakże w mdłym blasku wpadającym przez grube szkło jej śnieżnobiała skóra przybrała zielonkawy odcień, jak gdyby zaczął się już rozkład.

Oczy Waclawa zwróciły się na alchemika.

– Panie?

Młody czeladnik przyszedł do niego na służbę jako ośmioletni chłopiec o bystrym umyśle. John widział, jak przeobraża się w młodego mężczyznę, przed którym otwiera się jasna przyszłość, zręcznego w mieszaniu wywarów i destylowaniu olejów.

Kochał go jak własnego syna.

Mimo to bez wahania uniósł ostry nóż i rozplątał gardło czeladnika.

Waclaw złapał się za ranę, patrząc z niedowierzaniem na mistrza, który go zdradził. Krew wypływała spomiędzy jego palców i rozbryzgiwała się po podłodze. Opadł na kolana, obiema rękami usiłując zatamować życiodajny płyn.

Zamknięty w kloszu twór uderzył cielskiem o ścianę z taką siłą, że zachwiało się ciężki żelazny postument.

Poczułaś krew? Czy to cię tak podnieca?

John schylił się i podniósł z podłogi zielony kamień. Uniósł go, by sprawdzić szczelność zatyczki. Ciemność przesuwiała się w środku, jakby poszukiwała szczeliny, lecz jej nie było. Alchemik uczynił znak krzyża i wyszeptał modlitwę dziękczynną – diament pozostał nietknięty.

Umieścił kamień w blasku słońca, przyklęknął obok Wacława i odgarnął włosy z jego twarzy.

Blade wargi chłopca poruszyły się, w jego gardle zagulgotało.

– Wybacz – szepnął John.

Usta młodego mężczyzny ułożyły się w jedno słowo: Dlaczego?

John nie mógł mu tego wytłumaczyć i nigdy nie zdoła odpokutować za to morderstwo. Dotknął policzka czeladnika.

– Żałuję, że twoje oczy to ujrzały. Chciałbym, abys żył długo i mógł prowadzić dalej badania. Ale nie taka była wola Boga.

Skrwawione palce Wacława zsunęły się z gardła, śmierć zeszkliła jego oczy. John dwoma palcami zamknął mu powieki. Pochylił głowę i odmówił krótką modlitwę za jego duszę. Chłopiec był niewinny i znalazł spoczynek w lepszym świecie. Mimo wszystko była to tragiczna strata.

Stworzenie uwięzione w szklanym kloszu – potwór, który był kiedyś człowiekiem – spojrzało mu w oczy. Potem jego wzrok powędrował na ciało Wacława i znów skierował się na twarz alchemika. Musiało wyczuć jego ból, bo po raz pierwszy od dnia, w którym zostało mu dostarczone, uśmiechnęło się, z radości obnażając długie białe kły.

John podźwignął się z wysiłkiem. Ból w sercu nie ustępował.

Trzeba czym prędzej doprowadzić dzieło do końca.

Dowlókł się do drzwi, które otworzył czeladnik, i zaryglował je.

Jedyny zapasowy klucz do komnaty spoczywał na podłodze w kałuży stygnącej krwi Wacława. Nikt więcej nie zakłóci pracy alchemika.

Przesunął palcem po szklanej rurce biegnącej od klosza do stołu.

Obejrzał ją uważnie na całej długości, sprawdzając, czy nie pojawiły się skazy lub pęknięcia.

Zbyt blisko jestem celu, by pozwolić sobie na błąd.

Rurka zwężała się i przy samym końcu miała zaledwie wąziutki prześwit, niewiele większy od ucha igły; była dziełem rzemieślnika u szczytu jego możliwości. John rozsunał grubą zasłonę i promień porannego słońca padł na końcówkę szklanej rurki.

Ból w piersi narastał, lewe ramię znieruchomiało przy boku.

Potrzebował całej swojej siły, ona zaś błyskawicznie go opuszczała.

Drżącą prawą ręką ujął kamień. Klejnot błyszczał w słońcu, olśniewający i śmiercionośny. Alchemik zacisnął usta, walcząc z zawrotami głowy, i małymi srebrnymi szczypcami wyciągnął z kamienia drzazgę kości.

Kolana mu drżały, lecz zagryzł zęby. Zatyczka została wyjęta, musiał więc trzymać kamień w blasku słońca. Nawet przelotny cień uwolniłby zawartą w nim smolistą ciemność, pozwolił jej wydostać się na świat.

Do tego nie wolno dopuścić... jeszcze nie teraz.

Ciemność spłaszczyła się i wspięła po ścianie swojego małego więzienia ku wąziutkiemu otworowi, tam jednak zatrzymała się, najwyraźniej z trwogi przed światłem. Zła moc musiała jakoś wyczuć, że nieprzefiltrowany blask słońca zdolny jest ją uśmiercić. Jedyne jej schronieniem pozostawało zielone serce diamentu.

Pomału, z największą pieczołowitością, John przytknął wąziutki otwór wycięty w diamencie do końcówki szklanej rurki. Blask słońca padał na jedno i drugie.

Alchemik wziął ze stołu migającą płomieniem świecę i umieścił nad diamentem, tak by воск skapywał na klejnot w miejscu, gdzie była do niego przytknięta rurka, i tworzył nieprzepuszczającą powietrza powłokę. Dopiero wtedy John zaciągnął kotarę i pozwolił, by mrok spowił zielony kamień.

Blask świecy padał na wciąż poruszający się wewnątrz diamentu ciemny kształt, który wił się i piał po ściankach w kierunku otworu.

John wstrzymał oddech, patrząc, jak ciemność dociera do rurki, zatrzymuje się, jakby badała szczelność woskowej pieczęci, i dopiero gdy zobaczyła, że nie zdoła przedostać się do laboratorium, zaczęła sunąć szklaną rurką. Nieubłaganie zbliżała się do jej końca – miejsca, w którym rurka stykała się ze szklanym kloszem z uwięzioną w nim kobietą.

John pokręcił posiwiałą głową. Bestia – niegdyś istota ludzka – nie była już kobietą. Nie wolno mu widzieć w niej człowieka. Uspokoila się i stała nieruchomo pośrodku klosza. Przyglądała się Johnowi lśnącymi niebieskimi oczami.

Jej skóra lśniła alabastrową bielą, włosy były jak złote nitki; jedno i drugie miało za sprawą grubej szklanej ściany klosza wodnistozielonkawe zabarwienie. Mimo to była najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Położyła na szkle jedną dłoń. Blask świecy zatańczył na cudownej urody długich palcach.

Alchemik przemierzył pomieszczenie i przyłożył rękę na kloszu.

Poczuł chłód szkła. Nawet gdyby nie ból i biorąca go we władanie słabość ciała, od początku wiedział, że ona będzie jego ostatnią. Była sześćset sześćdziesiątym szóstym stworzeniem, które stanęło wewnątrz szklanej trumny. Jej śmierć przypieczętuje koniec jego dzieła.

Jej usta ułożyły się w jedno słowo, to samo, które niemymi wargami wypowiedział Waclaw.

Dlaczego?

John nie umiał jej tego wytłumaczyć, tak jak nie mógł udzielić odpowiedzi zabitemu czeladnikowi.

Spojrzenie jej oczu powędrowało ku ciemnemu kształtowi pełznącemu w stronę jej więzienia.

Podobnie jak poprzednicy uniosła dłoń w kierunku plugawej mgły, która wślizgiwała się do wnętrza szklanego klosza. Usta poruszyły się, twarz zastygła w bezruchu.

W pierwszych latach swojej służby John zawsze ze wstydem patrzył na ciemną komunię dokonującą się w odosobnieniu, lecz już od dawna go nie odczuwał. Oparł się o szklaną ścianę, by być jak najbliżej. Nawet ból w klatce piersiowej ustąpił.

Czarny dym skupił się pod sklepieniem szklanego klosza i drobniutkie niczym mgiełka kropelki zaczęły spadać na tę, która była w środku. Wilgoć płynęła po jej białych palcach i wyciągniętych ramionach. Odrzuciła głowę w tył i krzyknęła. Nie musiał słyszeć tego krzyku, by rozpoznać jej ekstazę. Uniosła się na palcach, wysuwając piersi i drżąc pod dotykiem kropli pieścących każdą część jej ciała.

Zadrżała ostatni raz i osunęła się bez życia obok ściany klosza. Mgiełka zawisała nad nią w oczekiwaniu.

Spełniło się.

Alchemik odsunął się od klosza. Przekroczył zwłoki Wacława i szybko zbliżył się do okna. Szarpnięciem rozsunał szeroko zasłonę, by promienie porannego słońca ucałowały ścianę ze szkła. Plugawe ścierwo dziewczyny zapłonęło płomieniem, dym zasilł trwającą w oczekiwaniu mgiełkę.

Czarny obłok, wzmocniony nieczystą esencją bestii, czmychnął przed słonecznym blaskiem i skierował się do jedynej drogi ucieczki: szklanej rurki prowadzącej do maleńkiej komory wydrążonej w diamencie. Za pomocą odbłasku srebrnego lusterka alchemik zaganiał plugawy obłok do szmaragdowozielonego serca diamentu, ostatniej kryjówki, która pozostała mu w świecie zalanym blaskiem słońca.

Czerń wróciła do swojej pułapki. John ostrożnie przerwał woskową pieczęć i oderwał diament od rurki. Trzymając wążutki otwór wystawiony na słoneczny blask, przeniósł kamień na pentagram, który dawno temu nakreślił na podłodze. Umieścił diament na jego środku, wciąż uważając, by oświetlały go promienie słońca.

Jestem tak blisko, tak blisko...

Przez cały czas wypowiadając słowa modlitwy, pieczołowicie usypał wokół pentagramu okrąg z soli. Jego życie dobiegało

kresu, lecz oto wreszcie ziści się marzenie, które owo życie wypełniało.

Otworzy bramę do świata aniołów.

Ponad sześćset razy kreślił ten sam krąg, ponad sześćset razy szeptał te same modlitwy. W głębi serca wiedział jednak, że tym razem będzie inaczej. Przywołał na pamięć wersy Apokalipsy: *Tu jest mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć*².

– Sześćset sześćdziesiąt sześć – powtórzył John.

Tyle stworów uwięził w kloszu, tyleż szczelo w płomieniach, a ich dymna esencja zgromadziła się w diamencie. Trzeba było dziesięciu lat na znalezienie ich i uwięzienie, i na unicestwienie złowrogiej siły, która ożywiała te przeklęte istoty. Teraz ich zebrana energia otworzy bramę prowadzącą do świata aniołów.

Zakrył twarz dłońmi, jego ciało się trzęsło. Tak wiele było pytań, które pragnął zadać aniołom. Od czasów opisanych w Księdze Enocha ani jeden nie zstąpił do człowieka bez rozkazu Boga. Od tamtej pory nie udzieliły ludziom swojej mądrości.

A ja ściągnę ich światło na ziemię i podzielę się nim z całym ludzkim plemieniem.

Podszedł do kominka i zapalił długą drzazgę. Obszedł z nią krąg, zapalając pięć świec umieszczonych w narożnikach pentagramu.

Żółte płomyki świeciły słabo i blado w blasku słońca, drżały od podmuchu wpadającego przez okno.

Alchemik zaciągnął kotary i komnatę zalała ciemność.

Szybkim krokiem zbliżył się do okręgu z soli i uklęknął.

Z wąziutkiego otworu w diamencie wypłynęła smuga atramentowego dymu, poruszając się niepewnie – być może wyczuwała, że za oknem panuje jasność nowego dnia. Nagle ośmielona wystrzeliła w kierunku Johna, jakby chciała go porwać i odpłacić mu za długie więzienie. Jednakże krąg soli ją powstrzymał.

Nie zważając na zagrożenie, alchemik syczącym głosem wypowiadał słowa w języku Enocha, dawno zapomnianym przez

ludzkość.

– Nakazuję ci, Władco Ciemności, ukaż mi światło, które jest przeciwieństwem twojej domeny cieni.

Czarny obłok wewnątrz kręgu zadrżał raz i drugi, powiększając się i kurcząc niczym bijące serce. Jego wielkość rosła z każdym uderzeniem.

John złożył ręce.

– Ochroń mnie, Panie, patrzę bowiem na splendor twojego dzieła.

Ciemność ułożyła się w owalny kształt, tak duży, że mógł przez niego przejść dorosły mężczyzna.

Uszy Johna muskały szeptane słowa.

PÓJDŹ DO MNIE...

Głos dobiegał od portalu.

BĄDŹ MOIM SŁUGĄ...

John wziął świecę leżącą obok kolana i zapalił knot od jednej z tych, które umieścił w kątach pentagramu. Uniósł ją i zaczął przyzywać boską ochronę.

Rozległ się nowy odgłos. Coś przemieściło się po drugiej stronie portalu; towarzyszył temu donośny szczęk metalu uderzającego o metal.

Znów dały się słyszeć słowa; niczym robaki przedostawały się do umysłu alchemika.

SPOŚRÓD WSZYSTKICH ŚMIERTELNIKÓW TY JEDEN JESTEŚ GODZIEN.

Wstał i zrobił krok w stronę kręgu, ale jego stopa zawadziła o wyciągniętą dłoń Waclawa. Zatrzymał się, bo nagle poczuł, że jest niegodny, by oglądać tak wielką chwałę.

Odebrałem życie niewinnemu.

Nieme wyznanie zostało usłyszane.

WIELKOŚĆ MA SWOJĄ CENĘ. NIEWIELU GOTOWYCH
JEST JĄ ZAPŁACIĆ. NIE JESTEŚ TACY JAK INNI, JOHNIE DEE.

Alchemik zadrżał na dźwięk dwóch ostatnich słów.

Zna moje imię i nazwisko, anioł je wypowiedział.

Chwiał się targany dumą i lękiem, komnata wirowała w jego oczach, jakby był pijany. Świeca wypadła mu z rąk. Zapalona wtoczyła się do okręgu i przez portal i jej światło wydobyło z mroku to, co znajdowało się po drugiej stronie.

Otworzył usta ze zdumienia na widok niewiarygodnego majestatu postaci zasiadającej na lśniącym tronie z kości słoniowej. Blask świec migotał w smoliście czarnych oczach w surowo pięknej twarzy jakby wykutej z onyksu. Nad tym cudownym obliczem spoczywała złamana korona ze srebra o poczerniałej powierzchni; jej poszarpane krawędzie przypominały rogi. Zza ramion wznosiły się mocarne skrzydła, ich pióra były ciemne i połyskliwe jak pióra kruka.

Postać przesunęła się w przód, poruszając szerniałe srebrne łańcuchy, które krępowały nieskazitelnie piękną sylwetkę, wiążąc ją z tronem.

John wiedział już, na kogo patrzy.

– Nie jesteś aniołem – szepnął.

JESTEM... ZAWSZE BYŁEM.

Gładko brzmiący głos wypełnił głowę alchemika, choć wargi postaci spoczywającej na tronie nie drgnęły.

TWOJE SŁOWA MNIE WEZWAŁY. KIMŻE INNYM MÓGŁBYM BYĆ?

Niepewność poruszyła sercem Johna, ból się wzmógł. Popełnił błąd. Ciemność nie może przywołać światła – przywołała ciemność i tylko ciemność.

Z przerażeniem zobaczył, że ogniwo łańcucha odrywa się od postaci. Pęknięty metal zaśnił czystym srebrem. Postać zaczynała się oswobadzać.

Widok ten wyrwał alchemika z transu. Odsunął się od kręgu i zatoczył w kierunku okna. Nie wolno dopuścić, by ten, który mieszka w ciemności, wydostał się na świat.

STÓJ!

Ten rozkaz wbił się w głowę Johna Dee niczym ognista włócznia bólu. Alchemik nie mógł myśleć, ledwie zdołał się poruszać, lecz siłą woli parł dalej. Palcami zakrzywionymi jak

szpony chwycił grubą kotarę i szarpnął całą nadwątloną siłą ramienia.

Aksamitny materiał pękł.

Blask słońca zalał komnatę, padł na szklany klosz, stół, krąg z soli i wreszcie ciemny portal. Przeszywający wrzask wypełnił głowę alchemika, tak że omal nie pękła.

John Dee osunął się na podłogę; zobaczył jeszcze, jak obłok ciemności pierzcha przed słonecznym światłem i chroni się do swojej kryjówki w klejnocie. Odchodząc z tego świata, wyszeptał ostatnią modlitwę.

Oby nikt więcej nie znalazł tego przeklętego kamienia...

W południe gwardziści króla strzaskali taranem drzwi laboratorium. Padli na kolana, gdy obok przechodził sam władca.

– Nie unoście twarzy znad ziemi – rozkazał.

Uśluchali bez słowa.

Cesarz Rudolf II minął ich rozciągnięte na ziemi postacie i wszedł do komnaty. Objął wzrokiem pentagram, kałuże wosku i dwa martwe ciała na podłodze, alchemika i jego młodego czeladnika.

Rudolf wiedział, co oznacza ich śmierć.

John Dee zawiódł jego nadzieje.

Nie rzuciwszy drugi raz okiem na zwłoki, wkroczył w mistyczny krąg i podniósł cenny diament. Czarny obłok zadrżał nienawistnie wewnątrz zielonego jak liść serca. Zimna wściekłość zionęła z kamienia, wnikając w umysł cesarza, lecz niczego więcej nie mogła dokazać. John Dee, niezależnie od innych swoich zamiarów, zdołał uwięzić zło w głębi kamienia.

Trzymając jasny klejnot w blasku słońca, Rudolf zatkał otwór drzazgą kości, która leżała na rogu stołu, przejrzystą niczym śnieżny płatek, a mimo to niezmożoną. Zapalił świecę i przytwierdził kość do diamentu woskiem, który parzył mu palce.

To uczyniwszy, usiadł na wytartym krześle. Ostrożnymi ruchami zasłonił świetlicie zielony kamień i zawartą w nim ciemność świeżym skrawkiem tkaniny nasączonej tłuszczem.

Następnie zawiązał paczuszkę i opuszczył ją do kociołka z ciepłym woskiem, który Dee trzymał zawsze w pobliżu kominka. Zanurzył całkowicie zawiniątko, by mieć pewność, że wosk oblał je ze wszystkich stron.

Zerknął na ludzi w korytarzu. Leżeli zgodnie z jego poleceniem, twarzami do podłogi. Przekonany, że nikt go nie widzi, otworzył sekretny schowek pod gzymsem kominka i wsunął do środka plugawy przedmiot. Wyszeptał krótką modlitwę w języku Enocha i dopiero wtedy zamknął tajne drzwiczki.

Zło było na razie ukryte.

Członki cesarza ogarnęło znużenie. Od dawna nie zaznał prawdziwego spoczynku, nie znajdzie go i dzisiaj. Z westchnieniem opadł na drewniane krzesło przy stole alchemika i wziął z bezładnej kupki skrawek pergaminu. Zanurzył pióro w srebrnym kałamarzu i zaczął pisać alfabetem Enocha. Niewielu znało tajniki tego języka.

Skończywszy, monarcha złożył papier dwukrotnie, zakleił czarnym rozgrzanym woskiem i odcisnął pieczęć ze swojego pierścienia.

Za godzinę zaufany goniec wyjedzie z wiadomością.

Cesarz szukał pomocy.

Potrzebował rady jedyne go człowieka, który równie głęboko jak Dee zanurzył się w świat aniołów światła i ciemności. Spoglądał na leżące na podłodze ciała i modlił się, by ta osoba zdołała odwrócić zło, które dokonało się w tym miejscu.

Uniósł napisany w pośpiechu list. Promienie słońca padły na czarne litery słynnego nazwiska.

Hrabina Elżbieta Batory na Ecsed

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Powiedział mu bowiem: „Wyjdź, duchu nieczysty,
z tego człowieka”.*

I zapytał go: „Jak ci na imię?”.

*Odpowiedział Mu: „Na imię mi «Legion», bo nas
jest wielu”.*

Ewangelia wg św. Marka 5, 8-9.

17 marca, 16.07

Watykan

Nie daj się złapać.

Świadomość zagrożenia napinała każdy mięsień w ciele doktor Erin Granger, która siedziała skulona za regałem katalogu w samym środku czytelni Biblioteki Watykańskiej. Białą powierzchnię łukowato sklepionego sufitu wysoko nad jej głową zdobiły misterne freski.

Wokół ciągnęły się półki z najrzadszymi egzemplarzami ksiąg, jakie istnieją na świecie. Biblioteka zawierała ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy rękopisów i ponad milion książek. W normalnych okolicznościach właśnie w takim miejscu Erin z radością spędzałaby dni i godziny, lecz ostatnimi czasy stało się ono bardziej więzieniem niż źródłem odkryć naukowych.

Dzisiaj muszę się wymknąć, pomyślała.

Nie była jedyną uczestniczką spisku. Jej współnik, ojciec Christian, stał z boku, wyraźnie widoczny, i ponaglał ją ukradkowymi ruchami dłoni. Wyglądał jak młody duchowny – wysoki z ciemnymi włosami i przenikliwie patrzącymi zielonymi oczami, miał wydatne kości policzkowe i nieskazitelną skórę. Łatwo było go wziąć za mężczyznę przed trzydziestką, podczas gdy w rzeczywistości miał o kilkadziesiąt lat więcej. Kiedyś był *strigoi*, potworem karmiącym się ludzką krwią. Jednakże dawno temu wstąpił do katolickiego zakonu sangwinistów i ślubował, że będzie żył wiecznie, posilając się

krwią Chrystusa. Był teraz sangwinistą, i to jednym z niewielu, których Erin bezwiednie darzyła zaufaniem.

Uwierzyła mu więc na słowo, kiedy wspomniał o nieznajomej, która stała obok niej.

Młoda zakonnica, siostra Margaret, kryła się wraz z nią za kontuarem. Oddychała ciężko, uwalniając się z habitu; welon już leżał na podłodze obok jej stóp. Erin widziała krople potu na jej czole świadczące o tym, że nie jest sangwinistką, i mogłaby przysiąc, że słyszy przyspieszone bicie serca zakonnicy. Serce Erin biło zapewne w podobnym tempie.

– Proszę – powiedziała Margaret; potrząsnęła długimi jasnymi włosami i spojrzała na nią ciemnymi oczami o barwie bursztynu.

Była mniej więcej tego samego wzrostu co Erin i miała podobną karnację. Stanowiło to istotną część ich planu.

Czarna serża szorstko przesunęła się po policzkach Erin, kiedy ta wkładała przez głowę habit – sądząc po zapachu, niedawno wyprany.

Lekkimi ruchami ciała poprawiła okrycie i nie zmieniając pozycji, wygładziła je na biodrach. Margaret pomogła jej nałożyć na głowę biały welon i zakryć nim jasne włosy; odgarnęła parę kosmyków.

Skończywszy, odsunęła się nieco i krytycznym spojrzeniem oceniła kamuflaż.

– I jak sądzisz? – spytał Christian półgębkiem, opierając się ramieniem o regał katalogu, by lepiej zamaskować poczynania kobiet.

Margaret z zadowoleniem skinęła głową. Erin wyglądała teraz jak zwyczajna zakonnica, praktycznie anonimowa w Watykanie, gdzie tylko turystów i księży było więcej niż sióstr w habitach.

Na koniec nałożyła na szyję Erin czarny sznur z dużym srebrnym krucyfiksem i podała jej srebrny pierścień, jeszcze ciepły. Ta wsunęła go na palec serdeczny i uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie nosiła na nim żadnej ozdoby.

Trzydzieści dwa lata i wciąż niezamężna.

Jej dawno zmarły ojciec byłby zatrwożony losem córki. W swoich kazaniach głosił gorliwie, że najwyższym obowiązkiem kobiety jest wydawać na świat dzieci służące Bogu. Rzecz jasna, takie same odczucia wzbudziłaby w nim świadomość, że chodziła do świeckiej szkoły, zrobiła doktorat z archeologii i od dziesięciu lat udowodniała, że większość biblijnych przypowieści jest całkowicie pozbawiona cudownej genezy. Gdyby nie wyrzekł się jej za to, że jako nastolatka uciekła z osady religijnej, przekląłby ją teraz. Erin już się z tym pogodziła.

Przed paroma miesiącami dane jej było wejrzeć w tajemną historię świata, której nie wyjaśniały książki ani nauka stanowiąca fundament jej przekonań. Po raz pierwszy zetknęła się z sangwinistą, żywym dowodem świadczącym o istnieniu potworów i o tym, że można je okiełznać tylko przez poświęcenie się Kościołowi.

Mimo to w dużej mierze pozostała sceptykiem i nadal we wszystko wątpiła. Przyjęła do wiadomości istnienie *strigoi*, ale dopiero po tym, jak spotkała się z jednym oko w oko, zobaczyła jego zajadłość i dotknęła ostrych kłów. Wiarę dawała jedynie temu, co mogła osobiście zweryfikować, i właśnie dlatego nalegała na realizację planu.

Margaret odgarnęła włosy i związała je na karku, tak jak zwykle robiła to Erin. Pod habit włożyła jej stare dzinsy i białą koszulę. Z daleka można było wziąć ją za Erin.

Oby tak się stało.

Odwróciły głowy w stronę Christiana. Ksiądz uniósł kciuk, a potem nachylił się do archeolożki.

– Grozi ci prawdziwe niebezpieczeństwo – szepnął. – Wejście tam jest zakazane. Jeśli cię przydybią...

– Tak, wiem – odparła.

Podsunał jej zwinięty plan i klucz. Chciała je wziąć, lecz on trzymał mocno.

– Chętnie z tobą pójdę. – Jego oczy wyrażały zatroskanie. – Tylko powiedz.

– Ale ci nie wolno. Sam przecież wiesz.

Zerknęła na Margaret. Żeby podstęp się udał, Christian musiał zostać w bibliotece. Przydzielono go Erin jako osobistą ochronę. I słusznie. Na terenie całego Rzymu nasilały się ataki *strigoi*. Coś pobudziło potwory do działania. Zresztą nie tylko w Rzymie. Z całej kuli ziemskiej napływały doniesienia świadczące o tym, że zachwiana została równowaga między światłem a ciemnością.

Co było tego przyczyną?

Erin miała pewne podejrzenia, lecz nie chciała się nimi dzielić, dopóki ich nie zweryfikuje; dzisiejsza eskapada być może pozwoli odpowiedzieć na pytania, które sobie stawiała.

– Bądź ostrożna – powiedział Christian, wypuszczając z ręki plan oraz klucz. Podał dłoń Margaret i pomógł jej wstać. Mieli nadzieję, że towarzyszącą mu blondynkę wszyscy wezmą za Erin i nikt nie wykryje jej zniknięcia.

– Twoja krew – szepnęła Erin. Potrzebowała jej tak samo jak klucza.

Christian skinął nieznacznie głową i wsunął jej do ręki szklaną fiolkę z kilkoma mililitrami swojej czarnej krwi. Włożyła zimną fiolkę do kieszeni, w której trzymała latarkę.

Zakonnik dotknął pectorału.

– Do dzieła, tygrysico – rzucił i odprowadził siostrę Margaret do stolika, przy którym Erin zostawiła plecak i laptopa.

Erin spojrzała na plecak, nie chciała go zostawiać. Wewnątrz, ukryta w specjalnym futerale, spoczywała księga cenniejsza od wszystkich niezliczonych tomów zgromadzonych w tajnych archiwach Watykanu.

Ewangelia Krwi.

Księgę przepowiedni napisał Chrystus własną świętą krwią.

Odsłoniło się zaledwie kilka jej kart. Erin widziała ogniste linie ożywające na prastarych pustych stronicach. Wersety zawierały tajemnicze proroctwa. Niektóre zostały odszyfrowane, inne pozostawały zagadką do rozwiązania. Najbardziej jednak intrygowały setki pustych stron, które jak dotąd nie ujawniły swojej sekretnej zawartości. Krążyły słuchy, że kryją w sobie całą

wiedzę o wszechświecie, o Bogu, o sensie istnienia i tym, co leży poza jego granicami.

Erin zrobiło się sucho w ustach na myśl o tym, że rozstaje się z takim źródłem wiedzy. Połechtala ją duma, gdyż wiedza ta została przeznaczona dla niej. Dawno temu gdzieś na egipskiej pustyni zdecydowano, że księga ma trafić w jej ręce. Słowa w niej zapisane mogły być odczytane tylko pod warunkiem, że to w jej dłoniach znajdzie się księga. Dlatego zabierała ją ze sobą wszędzie, nigdy nie spuszczała jej z oczu.

Teraz była zmuszona to zrobić.

Zakonnice nie noszą plecaków, więc żeby przebranie mogło spełnić swoją rolę, musiała zostawić bezcenny tom w niezawodnej pieczy Christiana.

Im prędzej się uwinę, tym prędzej go odzyskam.

Ta świadomość pchnęła ją do działania. Erin wstała. Miała do pokonania sporą odległość, a jeżeli nie wróci przed wieczorem, kiedy zamykano bibliotekę, wszyscy troje zostaną przyłapani. Wyrzuciła tę myśl z głowy i zgarbiła się, by nie sposób było dojrzeć jej twarzy.

Wzięła głęboki oddech i wyszła zza regału; otoczył ją cichy szmer głosów.

Nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi, gdy wolnym krokiem zmierzała ku drzwiom. Siłą woli narzucała sobie spokój. Sangwiniści mają zmysły tak wyostrzone, że słyszą bicie ludzkiego serca. Mogliby się zdziwić, że serce zakonnicy kroczącej cichą biblioteką bije w tak szalonym rytmie.

Mijała rzędy regałów i naukowców siedzących przy wypolerowanych drewnianych stołach, na których piętrzyły się stosy książek.

Wielu czekało latami, by móc znaleźć się w tym miejscu. Garbili się nad swoją pracą z kapłańskim poświęceniem. Erin niczym się kiedyś od nich nie różniła, dopóki nie natrafiła na tajemniczą – głębszą – żyłą historii. Dobrze znane teksty i udeptane ścieżki już jej nie satysfakcjonowały.

I fortunnie się złożyło, gdyż droga kariery zwykłego naukowca nie była już dla niej otwarta. Niedawno – po tym, jak jeden z jej studentów zginął podczas wykopalisk w Izraelu – odebrano jej stanowisko na Uniwersytecie Stanforda. Wiedziała, że powinna zadbać o swoją przyszłość, o perspektywy kariery naukowej, to jednak straciło znaczenie. Jeśli jej i jej towarzyszom się nie powiedzie, nikt nie będzie miał przyszłości i niczym nie trzeba będzie się przejmować.

Pchnęła ciężkie skrzydła bibliotecznych drzwi i wyszła w jasny blask włoskiego popołudnia. Z przyjemnością poczuła na twarzy promienie wiosennego słońca, lecz nie miała czasu na rozkoszowanie się nimi. Przyspieszyła kroku, zmierzając ulicą Świętego Miasta w kierunku Bazyliki Świętego Piotra. Wszędzie roilo się od turystów, którzy spoglądali na mapki i wskazywali rękami w różnych kierunkach.

Spowolnili tempo marszu Erin, wreszcie jednak dotarła do imponującej bazyliki. Gmach symbolizował władzę papieską i każdy, kto spojrział na tę świątynię, musiał dostrzec jej majestat. Erin, mimo że znała mroczny cel jej istnienia, zawsze z tym samym podziwem patrzyła na piękno fasady i ogromnych kopuł.

Skierowała się prosto do wielkich drzwi i przez nikogo niezatrzymywana przeszła między wysokimi na dwa piętra marmurowymi kolumnami. Wchodząc przez atrium do nawy monumentalnego kościoła, zerknęła na *Pietę* Michała Anioła, wzruszającą rzeźbę, która przedstawiała Maryję z martwym ciałem syna w objęciach. Ten widok przypomniał Erin o celu misji.

Wielu matkom przyjdzie oplakiwać śmierć dzieci, jeśli zawiodę.

Wciąż jednak nie wiedziała, na czym polega jej zadanie. Od dwóch miesięcy przeczesywała Bibliotekę Watykańską w poszukiwaniu sensu ukrytego w ostatniej przepowiedni zawartej w Ewangelii Krwi: *Troje wybranych musi wspólnie przystąpić do ostatniej misji. Kajdany Lucyfera zostały rozluźnione, jego kielich nie jest odnaleziony. Trzeba światła całej*

trójki, by wykuć kielich na nowo i zepchnąć go znów w jego miejsce wiekuistej ciemności.

Sceptyczna część jej natury – ta, która wciąż nie mogła się pogodzić z prawdą o *strigoi*, aniołach i cudach ukazujących się jej oczom – wątpiła, czy spełnienie misji jest w ogóle możliwe.

Wykuć na nowo starożytny kielich, zanim Lucyfer wyrwie się z Piekła?

Brzmiało to jak pradawna legenda, a nie opis zadania, które można wykonać w czasach współczesnych.

Tak czy inaczej, Erin była jedną z trzech osób, o których mówiły przepowiednie w Ewangelii Krwi. Ową triadę stanowili Rycerz Chrystusa, Mąż Wojownik i Uczona Niewiasta. A ponieważ Uczoną Niewiastą okazała się właśnie Erin, jej obowiązkiem było odkrycie znaczenia tych tajemniczych słów.

Pozostali dwaj członkowie triady czekali na rozwiązanie zagadki, pochłonięci własnymi zadaniami; ona tymczasem ślęczała w bibliotekach Watykanu i szukała odpowiedzi. Nie było ich teraz w Rzymie, a ona tęskniła za obydwoma, pragnęła mieć ich u swojego boku, choćby nawet jako biernych słuchaczy licznych hipotez, które kołatały się w jej głowie.

Choć sierżant Jordan Stone, Mąż Wojownik, znaczył dla niej więcej. W ciągu paru miesięcy, które minęły od ich pierwszego spotkania, zapalała uczuciem do tego przystojnego żołnierza, twardziela z przenikliwymi niebieskimi oczami, obdarzonego poczuciem humoru i niezłomnym poczuciem obowiązku. Potrafił ją rozbawić w najtrudniejszych chwilach i nie zliczyłaby, ile razy ocalił jej życie.

Jak mogłaby go nie kochać?

No, chyba że za to, że go teraz tu nie ma, pomyślała trochę egoistycznie.

W ciągu minionych paru tygodni zaczął się oddalać od niej i wszystkiego innego. Powodów dopatrywała się początkowo w tym, że oderwano go od zwykłych wojskowych zajęć i wbrew woli przydzielono do zakonu sangwinistów. Ostatnio jednak

zaczęła podejrzewać, że jego wyobcowanie ma głębsze przyczyny, że zaczyna go tracić.

Dręczyło ją zwątpienie.

Może jemu nie chodzi o taki związek, na jakim mi zależy...

Może nie jestem dla niego odpowiednią kobietą...

Nawet nie chciała o tym myśleć.

Trzeci członek triady – ojciec Rhun Korza – nasuwał jeszcze więcej wątpliwości. Rycerz Chrystusa był sangwinistą. Erin nabrała szacunku do jego niezłomnego kodeksu moralnego, niewiarygodnej sprawności bojowej i oddania Kościołowi, lecz zarazem się go lękała.

Wkrótce po tym, jak się poznali, w chwili straszliwej potrzeby napił się jej krwi, prawie ją uśmiercając w mrocznych tunelach pod powierzchnią Rzymu. Nawet teraz, gdy kroczyła nawą Bazyliki Świętego Piotra, z łatwością przypominała sobie osobliwe uniesienie, które ją ogarnęło, gdy wbijał ostre zęby w jej gardło; to była ekstaza, w której erotyzm łączył się z trwogą. To wspomnienie wciąż ją przerażało i fascynowało zarazem.

Jak dotąd obaj mężczyźni pozostawali bliskimi kompanami, choć wdarła się między nich nieufność; byli świadomi, że granicy, która podzieliła ich tam, w tunelu, nigdy nie da się całkowicie zatrzeć.

Może właśnie dlatego ojca Rhuna od paru miesięcy nie było w Rzymie.

Erin westchnęła ciężko. Bardzo by chciała, żeby ci dwaj jej towarzyszyli, ale wiedziała, że to zadanie musi wykonać sama. A nie należało do łatwych. Jeśli w trójkę mają wykuć przedmiot zwany Kielichem Lucyfera, ona musi zdobyć wskazówkę, która pozwoli jej odgadnąć, czym jest owo naczynie określone w prorocztwie. Przeszukała watykańskie archiwa, od podziemnych krypt wypełnionych próchnem stuleci aż po regały Torre dei Venti, czyli Wieży Wiatrów, po której stopniach stąpał ongiś sam Galileusz. Mimo to jak dotąd opuszczała mury bibliotek z pustymi rękami. Do zbadania pozostała tylko jedna;

mieścił się w niej zbiór zakazany dla tych, w czyich piersiach biły serca.

Bibliotheca dei Sanguines.

Prywatny księgozbiór zakonu sangwinistów.

Najpierw muszę się tam dostać, pomyślała.

Biblioteka leżała głęboko pod posadzką Bazyliki Świętego Piotra, w katakumbach. Wstęp mieli tam jedynie członkowie zakonu – *strigoj*, którzy ślubowali służbę Kościołowi i wyrzekli się spożywania ludzkiej krwi, by posilać się wyłącznie krwią Chrystusa, a ściśle rzecz biorąc, winem przemienionym w tę świętą substancję mocą modlitwy i błogosławieństwa.

Przyspieszyła kroku, odnotowując, że w olbrzymiej bazylice rozstawiono dodatkowych członków Gwardii Szwajcarskiej. Z powodu nasilenia ataków *strigoj* całe miasto-państwo zostało postawione w stan podwyższonej gotowości. Erin siedziała z nosem w księgach, lecz i tak dotarły do niej wieści, że potwory, sprawcy mordów, są silniejsze, poruszają się szybciej i trudniej je zabić.

Ale dlaczego?

Jeszcze jedna zagadka, której rozwiązanie mogło się kryć w tajemnej bibliotece.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Erin przeczytała tysiące zakurzonych papirusów, starożytnych pergaminów i żłobionych glinianych tabliczek. Teksty były w wielu językach, napisało je wiele rąk, lecz w żadnym nie znalazła informacji, których potrzebowała.

Dopiero przed dwoma dniami...

W Wieży Wiatrów natknęła się na starą mapę ukrytą między kartkami egzemplarza Księgi Enocha. Wyszukała ten starożytny żydowski tekst, księgę napisaną rzekomo przez praprawnuka Noego, traktującą o upadłych aniołach i ich potomstwie, hybrydach zwanych *nefilim*. To Lucyfer poprowadził ich do boju w czasie wojny w Niebie.

Ostatecznie został strącony w czeluść po tym, jak rzucił wyzwanie Bogu, który miał swój plan wobec ludzi.

Kiedy Erin otworzyła ten starożytny wolumin, wysunęła się z niego mapka. Została narysowana mocnym czarnym atramentem na pożółkłym papierze i miała adnotacje skreślone ozdobnym średniowiecznym charakterem pisma. Ukazywała położenie jeszcze jednej biblioteki na terenie Watykanu, starszej niż wszystkie inne.

Wtedy Erin pierwszy raz usłyszała o istnieniu tajnego księgozbioru.

Z planu wynikało, że kryje się on w Sanktuarium, labiryncie tuneli i komór pod Bazyliką Świętego Piotra, który stał się siedzibą niektórych spośród sangwinistów. W starożytnych podziemnych korytarzach spędzali nieprzeliczone lata swojego wiecznotrwałego życia, oddając się spokojnej kontemplacji i modlitwie, z dala od trosk słonecznego świata dziesiątki metrów nad ich głowami. Niektórzy spędzali w kryjówce stulecia, pożywiając się minimalnymi porcjami konsekrowanego wina. Dzień w dzień księża przynosili wino tym nieruchomym postaciom i podtykali srebrne kielichy do bladych warg. Mieszkańcy podziemi pragnęli jedynie spokoju, dostęp do ich tuneli był pieczołowicie strzeżony.

Według informacji zawartych na mapce, Sanktuarium mieściło najstarszy księgozbiór w Watykanie. Erin zasięgnęła w tej sprawie porady Christiana i dowiedziała się, że większość złożonych tam dokumentów napisali nieśmiertelni sangwiniści, którzy byli świadkami wydarzeń w czasach starożytnych. Niektórzy znali samego Chrystusa. Inni już wówczas byli sędziwi; do zakonu wstąpili po setkach lat krwiożerczej egzystencji w postaci szkaradnych *strigoi*.

Ludziom wstęp do Sanktuarium był zabroniony, jednakże Erin odwiedziła je już kiedyś w towarzystwie Rhuna i Jordana. Cała triada udała się z Ewangelią Krwi do najtajniejszej kryjówki zakonu, by uzyskać błogosławieństwo jego założyciela, znanego jako Ten, Który Powstał z Martwych. Wówczas dowiedziała się, że ma on także inne imię, znane z Biblii.

Łazarz.

To on był pierwszym *strigoi*, którego Chrystus wezwał na swoją służbę.

Dowiedziawszy się o istnieniu biblioteki, archeolożka udała się do aktualnego przełożonego zakonu w Rzymie, kardynała Bernarda.

Zwróciła się do niego o zezwolenie, by w ramach badań móc do niej wejść, lecz spotkała się ze zdecydowaną odmową. Kardynał twardo oznajmił, że nigdy żadnemu człowiekowi nie pozwolono przekroczyć progu Sanktuarium. Zapewnił ją również, że biblioteka zawiera jedynie informacje dotyczące samego zakonu i że nie znajdzie tam niczego, co pomogłoby w poszukiwaniach.

Opór kardynała jej nie zaskoczył. Bernard traktował wiedzę jak skarb wielkiej wagi, który musi być trzymany pod kluczem.

Sięgnęła więc po swój koronny atut. „W samej Ewangelii Krwi zostałam wskazana jako Uczona Niewiasta – przypomniała dostojnikowi i zacytowała ostatnie proroctwo odkryte na pustyni: – *Uczona Niewiasta jest teraz związana z księgą i nikomu nie wolno jej od niej oddzielić*”.

Mimo to kardynał się nie ugiął.

„Czytałem wiele z tego księgozbioru, wczytałem się głęboko. Nikt spośród tych, którzy są w Sanktuarium, nigdy nie miał do czynienia z Lucyferem i jego upadłymi aniołami. Opowieści o jego klęsce spisano długo po tym, jak się wydarzyła. Tak więc nie istnieje żadne świadectwo z pierwszej ręki o miejscu i sposobie upadku Lucyfera i miejscu jego uwięzienia ani o tym, jak wykuto kajdany więżące go w wiekuistej ciemności i jak można wykuć je na nowo. Szukanie w tej bibliotece byłoby stratą czasu, nawet gdyby nie zostało to zabronione”.

Wpatrując się w jego harde brązowe oczy, uświadomiła sobie, że kardynał nie złamie z dawna ustanowionych zasad. Oznaczało to, że sama musi znaleźć drogę do podziemi.

Pokonując ostatnie metry bazyliki, zerknęła w stronę rzeźby przedstawiającej świętego Tomasza, apostoła, który wątpił we

wszystko, dopóki nie pokazano mu dowodu. Uśmiechnęła się mimo zdenerwowania.

Oto apostoł na miarę mojego serca.

Szła dalej w kierunku posągu. U jego stóp znajdowały się niewielkie drzwi. Zwykle były niestrzeżone, lecz kiedy ku nim skręciła, zauważyła gwardzistę szwajcarskiego stojącego przed progiem, na wpół ukrytego w niszy. Zacisnęła zęby i odeszła na bok, usuwając się z linii jego wzroku. Wiedziała, kogo winić za tę innowację.

Niech cię szlag, Bernardzie.

Po ich gorącej sprzeczce kardynał zapewne postawił strażnika, podejrzewając, że Erin spróbuje zakraść się do katakumb na własną rękę.

Rozejrzała się, by poszukać rozwiązania problemu, i je znalazła.

Zobaczyła dziewczynkę. Miała osiem, może dziewięć lat i kilka kroków dalej znudzona powłóczyła nogami po bogato zdobionej marmurowej posadzce. W dłoniach obracała jaskrawozieloną piłeczkę tenisową. Rodzice wysforowali się i toczyli ożywioną rozmowę.

Erin szybkim krokiem podeszła do dziecka.

– Cześć.

Dziewczynka uniosła głowę; jej niebieskie oczy zwęziły się podejrzliwie. Nos znaczyły plamki piegów, rude włosy miała związane w kucyki.

– Cześć – odrzekła niechętnie po angielsku, jakby wpojono jej, że ma odpowiadać na pozdrowienia zakonnic.

– Mogę pożyczyć od ciebie tę piłkę?

Dziewczynka schowała piłeczkę za plecami.

No dobra, spróbujemy inaczej, pomyślała archeolożka.

Uniosła dłoń, pokazując banknot o nominale pięć euro.

– Więc może mi sprzedasz?

Oczy dziewczynki rozszerzyły się na widok pokusy. Nagle, ukradkiem zerkając w stronę odwróconych plecami rodziców, szybkim ruchem podała Erin piłeczkę.

Ta odczekała, aż dziecko się oddali i dołączy do matki i ojca, po czym rzutem spod ręki posłała piłkę w kierunku ściśniętej gromadki osób, które stały kilkanaście kroków od gwardzisty. Piłeczka trafiła w tył głowy niskiego mężczyznę w szarym płaszczu.

Krzyknął ostrym tonem i zaklął po włosku, wywołując zamęt w grupie; jego głos odbił się echem w olbrzymiej nawie kościoła. Tak jak Erin liczyła, Szwajcar ruszył w tamtą stronę, by zbadać sprawę.

Korzystając z chwili zamieszania, podeszła szybko do drzwi i wyjęła klucz, który dostała od Christiana. Na szczęście okazało się, że zawiasy są dobrze naoliwione. Znalazłszy się po drugiej stronie, piętą zamknęła za sobą drzwi; jej serce dudniło niczym młot o kowadło.

Położyła dłoń na drzwiach, coraz bardziej zaniepokojona tym, jak się stąd wydostanie, żeby nie dać się złapać.

Wiedziała jednak, że już za późno na takie dywagacje.

Pozostała tylko jedna droga.

Zaświeciła latarkę i rozejrzała się. Przed nią rozciągał się długi tunel. Ściany przechodziły w łukowate sklepienie niespełna trzy metry od podłoża. Obok drzwi stał zakurzony dębowy stół z woskowymi świeczkami i zapałkami. Wzięła kilka, lecz ich nie zapaliła.

Przydadzą się, w razie gdyby wyczerpała się bateria w latarce.

Wyjęła z kieszeni mapkę. Chrystian narysował na odwrocie schemat tuneli prowadzących do Sanktuarium. Wiedząc, że nie może zawrócić, Erin chwyciła dół ciężkiego habitu i ruszyła w drogę. Od bramy matecznika sangwinistów dzieliło ją co najmniej półtora kilometra.

Jasna plama skakała w górę i w dół, wąski snop światła przesuwał się, wydobywając z mroku wyloty innych korytarzy. Erin liczyła je pod nosem.

Jeden krok w niewłaściwą stronę i zgubię się w labiryncie na całe dnie.

Strach przyspieszył jej krok, gdy zstępowała wąskimi schodkami i brnęła wśród płataniny tuneli. Maleńka fiolka krwi Christiana objęła się o jej udo, przypominając, że za wiedzę trzeba czasem płacić właśnie krwią. Przekonała się o tym boleśnie jako dziecko, kiedy ojciec znalazł pod jej materacem ukrytą książkę. Jego surowy głos rozbrzmiał znów w jej uszach i przywołał przeszłość.

„Co się stało Ewie, kiedy zjadła z drzewa wiedzy?“, zapytał, stojąc nad jej dziewięcioletnim odbiciem. Jego mocne ręce farmera zwisające u boków zacisnęły się w groźne pięści.

Nie wiedziała, czy odpowiadać na to pytanie, i w końcu uznała, że najlepiej będzie milczeć. To, co mówiła, budziło w nim zawsze większy gniew niż jej milczenie.

Książka, *Almanach farmera*, leżała otwarta na dokładnie zamiecionych deskach podłogi, blask lampy oświetlał jej kremowe kartki. Do tamtego dnia czytała jedynie Biblię, bo ojciec orzekł, że jest w niej zawarta cała wiedza, jaka kiedykolwiek będzie jej potrzebna.

Jednakże na stronach almanachu znalazła nowe informacje: o czasie siewu nasion i zbiorów, o datach faz Księżyca. Było tam nawet parę żartów i one właśnie przywiodły ją do upadku. Zaśmiała się zbyt głośno i została przyłapana na lekturze, gdy siedziała po turecku pod biurkiem.

„Co się stało z Ewą?“, spytał z naciskiem; jego basowy głos niósł w sobie groźbę.

Postanowiła bronić się potulnie cytatami z Biblii. *A wtedy otworzyły się im obojgu oczy i poznali, że są nadzy*³.

„Jaka spotkała ich kara?“, indagował ojciec.

„Do niewiasty powiedział: «Obarczę cię niezmiernie wielkim trudem twej brzemienności»”⁴.

„Poznasz tę naukę z mojej ręki”.

Ojciec zmusił ją, by wybrała wierzbową witkę, i kazał przed sobą uklęknąć. Posłusznie opadła na umytą przez matkę podłogę i zdjęła sukienkę przez głowę. Matka uszyła ją dla niej, a ona nie chciała, by się pobrudziła. Złożyła ją starannie i położyła obok

siebie na podłodze. Później objęła rękami zimne kolana i czekała na razy.

Zawsze długo kazał jej czekać na następne uderzenie, jakby był świadom, że oczekiwanie jest prawie równie dotkliwe jak sam ból.

Dostała gęsiej skórki na plecach. Kątem oka widziała rozłożoną książkę i wcale nie żałowała.

Kiedy pierwsze uderzenie spadło na jej skórę, zagryzła zęby, żeby głośno nie zapłakać. Gdyby to zrobiła, ojciec wymierzyłby więcej razy. Chłostał ją po obnażonych plecach, aż bielizna nasiąkała krwią.

Później będzie musiała zmyć ze ścian i podłogi rozprysnięte jasnoczerwone plamy. Najpierw jednak musi wytrzymać chłostę, doczekać chwili, aż ojciec stwierdzi, że wytoczył z niej dość krwi.

Zadrżała na to wspomnienie, mrok panujący w tunelu przybliżył ją do rzeczywistości. Nawet teraz zapiekła ją skóra na plecach, jak gdyby przypomniała sobie ból sprzed wielu lat i lekcję, jaką dostała.

Ceną wiedzy była krew i ból.

Jeszcze zanim plecy się zagoiły, weszła do gabinetu ojca i potajemnie doczytała książkę do końca. Jeden z rozdziałów poświęcony był prognozowaniu pogody. Przez rok śledziła jej zmiany, by sprawdzić, czy autorzy potrafili je przewidzieć; odkryła, że często się mylili.

Uświadomiła sobie, że rzeczy zapisane w książkach nie muszą być prawdziwe.

Nawet w Biblii.

Lęk przed karą nie powstrzymał jej wtedy.

Nie powstrzyma mnie i teraz.

Stopy Erin stukały o kamienie, niosąc ją aż do drzwi Sanktuarium.

Nie była to główna brama siedziby sangwinistów, lecz rzadko wykorzystywane tylne wejście nieopodal biblioteki. Wyglądało jak ściana z niszą mieszczącą kamienne naczynie, które przypominało niewielką miskę.

Wiedziała, co musi zrobić.

Sekretną furtkę mogła otworzyć jedynie krew sangwinisty.

Erin sięgnęła do kieszeni po fiolkę z krwią Christiana. Przyjrzała się czarnej posoce w małym naczyniu. Krew sangwinistów była gęściejsza i ciemniejsza od ludzkiej. Mogła się samoistnie poruszać, płynąć żyłami i aortami, nawet jeśli nie biło serce. Na tym w zasadzie kończyła się wiedza Erin o życiodajnej esencji zarówno sangwinistów, jak i *strigoi*. Nagle jednak zapragnęła dowiedzieć się więcej, odkryć tajemnicę tej krwi.

Lecz nie teraz.

Wylała ciemną zawartość fiolki do kamiennego naczynia, wypowiadając słowa po łacinie. „Bo to jest kielich krwi mojej, na znak nowego i wiecznego przymierza”.

Krew zawirowała w naczyniu, ujawniając swoje nadnaturalne własności.

Czy krew Christiana nie zostanie odrzucona? – zastanawiała się Erin, wstrzymując oddech.

Odpowiedź przyszła błyskawicznie: ciemna posoka wsiąkła w kamień i znikła bez śladu.

Erin odetchnęła i wyszeptała ostatnie słowa: *Mysterium fidei*.

Odstąpiła od litej ściany, serce podchodziło jej aż do gardła. Jeśli w pobliżu znajduje się jakiś sangwinista, z pewnością usłyszy to głośne bicie i będzie wiedział, że ktoś stoi na progu Sanktuarium zakonu.

Kamień otarł się ciężko o kamień i wejście rozwarło się powoli.

Zrobiła krok ku ciemności, przypominając sobie bolesną lekcję, której udzielił jej ojciec. Ceną wiedzy jest krew i ból.

Niech więc tak będzie.

2

17 marca, 16.45

Kume, Włochy

Dlaczego wciąż grzęznę pod ziemią?

Sierżant Jordan Stone czołgał się w ciasnym tunelu. Skala naciskała go ze wszystkich stron, mógł posuwać się do przodu tylko w jeden sposób: pełzając jak robak. Piasek sypał mu się we włosy i do oczu.

Dobre i to, że jeszcze w ogóle się poruszam.

Przepchnął się o kolejnych kilkanaście centymetrów.

Zdwoił wysiłek, gdy z tunelu przed nim dobiegł głos z mocnym obcym akcentem: – Już prawie się przedostałeś!

To pewnie Baako. Przywołał w pamięci obraz rosłego sangwinisty, który pochodził z jakiegoś zakątka Afryki. W ubiegłym tygodniu Jordan zapytał go o kraj ojczysty i usłyszał niejasną odpowiedź: „Z moim narodem jest tak samo jak z wieloma w Afryce. Pochodzą z krajów, które różnie się nazywały i pewnie będą jeszcze miały wiele nazw”.

Typowa odpowiedź sangwinisty, pełna dramatyzmu i w gruncie rzeczy nic niewyjaśniająca.

Jordan wytężył wzrok. Niewyraźnie dostrzegł mdłe światełko, które obiecywało, że tunel – niech go szlag! – dochodzi do jakiejś jaskini. Sierżant brnął ku temu światłu.

Baako zlął dzisiaj do niedawno odkrytego podziemnego korytarza i wrócił z wieścią, że szyb prowadzi wprost do świątyni Sybilli.

Przed kilkoma miesiącami w grocie rozgorzała straszliwa bitwa po tym, jak podczas próby otwarcia bramy piekła złożono w ofierze – niczym jagnię – niewinnego chłopca. Próba spełzła na niczym, a później silne trzęsienie ziemi odcięło pieczarę.

Jordan czołgał się dalej. Z tyłu usłyszał drwiący głos z sepleniącym włoskim akcentem: – Może nie trzeba było zjadać takiego dużego śniadania.

Zerknął za siebie na Sophię i dostrzegł zarys jej smukłej sylwetki.

W odróżnieniu od posępnego Baaka jego siostra z zakonu zawsze była o krok od uśmiechu; na jej wargach bez przerwy błąkał się jego cień, w ciemnych oczach błyszczało rozbawienie. Sierżant na ogół doceniał jej humor.

Ale nie teraz.

Otarł kurz z piekących oczu.

– Ja przynajmniej nadal mogę jeść śniadania – odciął się.

Zagryzł wargi i parł dalej; chciał ujrzeć na własne oczy, co zostało po bitwie ze świątyni. Watykan nakazał otoczyć kordonem całą wulkaniczną górę. Kościół nie mógł dopuścić, by ktoś odnalazł ciała, zwłaszcza *strigoi* oraz poległych sangwinistów obojga płci.

Typowa operacja maskująca.

A ponieważ to właśnie Watykan był obecnie pracodawcą Jordana – taką decyzję podjęło dowództwo amerykańskiej armii – znalazł się w oddziale czyszczycieli. Nie narzekał, bo dzięki temu mógł spędzać więcej czasu z Erin.

Coś mu jednak nie dawało spokoju, jego emocje spowił jakiś mroczny cień. Nie w tym rzecz, że przestał ją kochać. Kochał ją dalej, była tak samo bystra i wesoła jak zawsze, ale odnosił wrażenie, że to z każdym dniem coraz mniej się dla niego liczy.

Wszystko zresztą traciło na znaczeniu.

Erin wyraźnie to wyczuwała. Dostrzegał jej pytające spojrzenia, którym nieraz towarzyszył bolesny wyraz twarzy. Gdy o tym wspominała, bagatelizował jej troski, zbywał je żartem lub uśmiechem, który nie płynął z serca.

Co się, u diabła, ze mną dzieje?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, więc robił to, co zawsze wychodziło mu najlepiej: szedł dalej, krok po kroku. Zajął się pracą, pozwolił, by oderwała go od rozmyślań. W końcu wszystko samo się rozwiąże.

Taką przynajmniej mam nadzieję.

Praca dawała mu chociaż to, że mógł odciąć się od Erin, skupić na odnalezieniu wspólnego punktu, który gdzieś się zapodział. Tyle że nie miał na to zbyt wiele czasu. Przez cały poprzedni tydzień wydobywali zwłoki z zewnętrznych tuneli góry; ścierwa *strigoi* zostawiali na spalenie włoskiemu słońcu, ciała sangwinistów zaś przygotowywali do należytego pochówku. W wojsku specjalność Jordana stanowiły śledztwa kryminalne i teraz zdobyte tam umiejętności bardzo się przydawały.

Zwłaszcza po odkryciu tego tunelu.

Nikt o nim nic nie wiedział, a wygląd jego ścian wskazywał na to, że wydrążono go niedawno.

Nasunęło się nurtujące pytanie: czy tunel był dziełem kogoś, kto z zewnątrz chciał się dostać do pieczary-świątyni, czy też wydrążono go od środka na zewnątrz?

Żadna z możliwości nie wróżyła dobrze i Jordan przybył na miejsce, by to zbadać.

Wreszcie z bolesnym mazołem wypełznął z wąskiego przejścia i rozciągnął ciało na twardym kamiennym podłożu. Baako dźwignął go na nogi z taką łatwością, z jaką podnosi się małe dziecko, a nie żołnierza prawie dwumetrowego wzrostu.

Mała lampka na posadzce pieczary paliła się, ale Jordan włączył czołówkę na hełmie; Sophia wyslizgnęła się z tunelu, przetoczyła zręcznie i stanęła na nogi, nawet nie niszcząc sobie zbyt wiele fryzury.

– Tak, tak, popisuj się – mruknął z przyganą, strzepując kurz z ubrania.

Skryty uśmiezek na jej ustach się powiększył. Odgarnęła krótko ostrzyżone włosy z szerokich brązowych policzków, jednocześnie się rozglądając. Miała nadnaturalnie ostry wzrok, toteż sztuczne oświetlenie nie było jej potrzebne.

Jordan zazdrościł jej tego, że nie potrzebowała noktowizora.

Rozprostowawszy kark, powiódł spojrzeniem wokół. Odetchnął głęboko i woń siarki wypełniła mu nozdrza; nie była jednak tak intensywna jak poprzednim razem, w czasie bitwy. Wtedy w podłożu rozwarła się szeroka szczelina, z której buchnął kipiący dym i rozpalona siarka.

Teraz obok zapachu siarki pojawił się nowy.

Znajomy odór martwych ciał.

Jordan dostrzegł zwłoki paru *strigoi* po prawej stronie, zdeformowane i nadpalone, z porozrywaną i rozplataną skórą. Zaprzagnął odwrócić się i uciec, tak dyktował naturalny odruch wobec grozy rzezi, on jednak miał obowiązek do spełnienia. Czerpiąc siłę z doświadczenia i wyszkolenia, wyjął kamerę i zaczął filmować pomieszczenie. Nie spieszył się, bardziej z przyzwyczajenia niż z innych pobudek kierował obiektyw na każde leżące ciało. Pracował jako oficer śledczy w Sekcji Kryminalistycznej Wojskowych Sił Ekspedycyjnych w Afganistanie; tam nauczył się sumiennosci.

Wszedł w głąb pieczary i nakręcił kamienny ołtarz, starając się nie pamiętać o młodym chłopcu, Tommym, którego przykuto łańcuchami, a życiodajna krew sączyła się z jego ciała na kamienną posadzkę. Anielska krew chłopca miała umożliwić otwarcie bramy podziemnego świata, a tymczasem jego niezwykła odwaga spowodowała jej zamknięcie.

Tommy pozostawił swój znak także na nim, lecząc go dotknięciem dłoni. Jordan wciąż czuł to znamię, zdawało się jaśniejsze z każdym upływającym dniem.

– No – odezwał się Baako, przywracając go do teraźniejszości.

– Więc co myślisz?

Jordan opuścił kamerę.

– Hm... z całą pewnością zmieniło się tutaj od naszej poprzedniej bytności.

– W jaki sposób? – chciała wiedzieć Sophia.

Sierżant wskazał stos martwych szczurów w kącie groty.

– Tego nie było.

Baako podszedł, ujął w dłoń drobne truchło i powąchał. Jordan aż wzdrygnął się na ten widok.

– Ciekawe – mruknął Baako.

– Co w tym ciekawego?

– Wysączono z niego krew.

Sophia wzięła szczura, obwąchała go i potwierdziła to spostrzeżenie.

– Baako ma rację.

Zwinna Hinduska podsunęła szczura Jordanowi.

– Wierzę wam na słowo, ale jeśli macie rację, to znaczy, że coś tu było i pożywiało się szczurami.

Mogło to oznaczać tylko jedno...

Jordan sięgnął ręką w dół do pistoletu maszynowego, który tkwił w kaburze przy jego boku. Był to MP7 firmy Heckler & Koch. Kompaktowa broń miała wielką siłę rażenia, mogła wystrzelić dziewięćset pięćdziesiąt pocisków na minutę. Zawsze wybierał ten pistolet, lecz teraz ładował go srebrnymi nabojami. Przy okazji dotknął dłonią powleczonego srebrem sztyletu KA-BAR, który nosił przypasany do kostki.

– Jeden ze *strigoi* musiał przeżyć – orzekła Sophia.

Baako zerknął w stronę tunelu.

– Żywił się szczurami, dopóki nie nabrał sił, by przekopać tunel i wydostać się.

– A może to nie był *strigoi*. – Jordan coś sobie nagle uświadomił i serce podeszło mu do gardła. – Pomóżcie mi przeszukać zwłoki.

Sophia rzuciła mu pytające spojrzenie, lecz oboje sangwiniści poszli za jego radą. Uważnie oglądali twarze zabitych, jedną po drugiej.

– Nie ma go tutaj – stwierdził Jordan.

Baako zmarszczył czoło.

– Kogo?

Jordan przywołał obraz chłopięcej twarzy, kogoś, komu ufał całym sercem, lecz ten ktoś go zdradził, tutaj, w tej grocie.

– Brat Leopold – wymamrotał w ciemności. Podeszedł do miejsca, w którym plama krwi wciąż znaczyła posadzkę. – Tutaj Rhun wbił mu nóż. Tam Leopold upadł.

Ciało zniknęło.

Baako zatoczył ręką łuk.

– Już sprawdziłem, wszystkie korytarze zawaliły się w czasie wstrząsów.

Jordan zaświecił latarką w kierunku wąskiego tunelu.

– Wygrzebał nowy.

Zamknął oczy i przypomniał sobie, jak Rhun udzielał Leopoldowi ostatniego sakramentu; krew pod jego ciałem rozlała się w wielką kałużę. Jak zdołał przeżyć śmiertelną ranę, a później jeszcze znaleźć siłę, by się przekopać do powierzchni? W szczurach nie było aż tyle życiodajnej substancji.

To samo pytanie musiało nurtować Sophie.

– Ten tunel ma co najmniej trzydzieści metrów. Nie wiem, czy nawet w pełni zdrowy sangwinista zdołałby się przebić przez tyle ziemi i kamienia.

Baako przyklęknął obok plamy krwi i przyjrzał się jej uważnie.

– Rozlało się dużo krwi. Ten brat powinien był zginąć.

Jordan skinął głową; jego ocena sytuacji była taka sama.

– A to znaczy, że coś przeoczyliśmy.

Wrócił do tunelu i stamtąd spojrzął na grotę; potem zaczął ją przemierzać regularnym torem, szukając wzrokiem czegoś, co mogło wyjaśnić przebieg wydarzeń. Przesuwali zwłoki, zaglądali pod nie.

Jordan uklęknął na czworakach i przyjrzał się starej szczelinie obok ołtarza. W miejscu, w którym się zeszła, zauważył wąską złotą linię.

Sophia kucnęła obok niego i przesunęła brązową dłoń po szczelinie.

– Zamknęła się.

– Przynajmniej jedna dobra wiadomość. – Jordan, prostując się, stuknął hełmem o krawędź ołtarza. Hełm się przekrzywił.

– Bacz na głowę, wojaku – rzuciła Sophia, kryjąc uśmiech.

Poprawił hełm. W świetle z czołówki błysnęło w cieniu ołtarza coś, co przypominało dwa odpryski zielonego szkła z butelki od piwa.

Hm...

Włożył lateksowe rękawiczki i ujął jeden z fragmentów.

– To wygląda jak kryształ.

Uniósł znalezisko wyżej. W blasku światła powierzchnia pęknięcia zaślniła tęczowo. Jordan popatrzył na krawędź i umieścił odprysk obok drugiego. Wyglądały tak, jakby kiedyś stanowiły jeden kamień mniej więcej rozmiarów gęsiego jaja. Sierżant złożył pęknięte połówki i zauważył, że kamień jest wydrążony w środku, jakby wyjęto żółtko z ugotowanego jajka.

Baako zajrzał mu przez ramię.

– Widziałeś to już? Może w czasie bitwy?

– Nie przypominam sobie, ale dużo się wtedy działo – odparł Jordan, oglądając obiekt z różnych stron. – Spójrzcie na to.

Jego palec zawisł nad liniami wyrytymi w powierzchni kryształu.

Układały się w jakiś symbol.



Zerknął na Sophie.

– Widzieliście kiedyś coś takiego?

– Ja nie.

Baako tylko wzruszył ramionami.

– Coś jakby puchar.

Jordan przyznał mu rację, ale pomyślał, że to nie jest zwykły puchar.

– To kielich – powiedział.

– Kielich Lucyfera – rzuciła Sophia, patrząc na niego sceptycznie kątem oka.

Tym razem to Jordan wzruszył ramionami.

– Warto przynajmniej to zbadać. – Znam pewną dziewczynę, którą bardzo by to zaciekało, pomyślał. Pstryknął aparatem telefonicznym kilka zdjęć kamienia i symbolu; prześle je e-mailem do Erin, gdy tylko złapie zasięg. – Powinienem wyczołgać się na górę i to wysłać...

Odgłos drapania skierował uwagę całej trójki na wylot tunelu. Z ciemności wychynęła ciemna postać. Jordan zdążył tylko zauważyć jej kły, zanim runęła prosto na niego.

3

17 marca, 11.05

Siwa, Egipt

Skurcz żalu targnął milczącym sercem Rhuna. Sangwinista siedział w kucki u podnóża wysokiej pustynnej wydmy i wsłuchiwał się w ciche syczenie ziaren piasku zsuwających się ze zbocza. Ten dźwięk napełniał go głębokim spokojem: oto jest tutaj sam i spełnia bożą posługę.

Wszelako nawet to poczucie nie było do końca czyste, gdzieś na samym skraju mąciła je ciemność. Rhun zwrócił się ku niej z wolna; wskazał mu ją niezawodny kompas w jego nieśmiertelnej krwi. Kiedy się pochylał, poszukując jej źródła, blask słońca odbił się od srebrnego krzyża zwisającego na szyi zakonnika. Czarny habit musnął piasek, dłoń przesunęła się po gorącej powierzchni, zgarniając drobne ziarenka. Czuźne palce wychwyciły nasienie nikczemności czające się pod spodem.

Niczym kruk polujący na ukrytego pod ziemią robaka Rhun przechylił głowę i skupił wzrok w jednym miejscu. Upewniwszy się, wyjął z sakwy mały szpadel i zaczął kopać.

Przed kilkoma tygodniami przybył tu z oddziałem sangwinistów, by to nasienie znaleźć; takie zadanie im powierzono. Jednak wydobyte cząstki zła groziły tym, że zawładną jego braćmi, pochłoną ich bez reszty. Nakazał im więc, by opuścili stanowisko i wrócili do Rzymu.

Wydawało się, że tylko on jest w stanie oprzeć się zagrzebanemu w ziemi złu.

Ale jak to świadczy o mojej duszy?

Przesiewał przetakiem każdą porcję nabranego na szpadel piasku niczym malec bawiący się na plaży. To jednak nie była dziecinna zabawa. Na sicie nie osiadały muszelki ani kamyczki.

Osadzały się na nim grudki kamienia w kształcie łez, czarne jak obsydian.

Krew Lucyfera.

Ponad dwa tysiące lat temu na tych piaskach stoczono bitwę o małą dziewczynkę, Chrystusa. Lucyfer starł się w niej z archaniołem Michałem, odniósł ranę i jego krew spadła na piach. Każda jej kropla płonęła nieczystym ogniem, przepaliła się przez nikłe drobiny i zastygła w szklistych kroplach zepsucia. Czas przykrył je warstwą piasku, obowiązkiem zaś Rhuna było wydobyć ich z powrotem na światło.

Na dnie przetaka spoczywała pojedyncza czarna kropla.

Sangwinista położył ją sobie w zagłębieniu dłoni. Palila go w nagą skórę, lecz nie dążyła do zawładnięcia nim tak jak jego braćmi. Nie widział scen rozlewu krwi i terroru, nie ponosiła go żądza ani pokusa.

W jego myślach była tylko modlitwa.

Otworzył skórzaną sakwę, którą miał u boku, i wrzucił czarny kamyczek do środka. Kropla stuknęła o dwie inne, które dzisiaj znalazł.

Były coraz mniejsze i trudniejsze do wyszukania. Zadanie było prawie ukończone.

Westchnął, spoglądając na pustą połąć piachu.

Mógłbym tu zostać, pustynia stałaby się moim domem...

W obozie czekała na niego flaszka z konsekrowanym winem. Niczego więcej nie było mu trzeba. Bernard przysłał wiadomość, nakazywał wzmocnić wysiłki; Rhun był potrzebny w Rzymie. Musiał opuścić to miejsce, choć z niechęcią; wolał, by jego misja nie dobiegała końca.

Pierwszy raz od stuleci był w spokoju ze sobą. Przed paroma miesiącami odkupił największy ze swoich grzechów, gdy podźwignął z upadku utraconą duszę byłej ukochanej, przemieniając ją ze *strigoina* powrót w kobietę. Elisabeta – albo

Elżbieta, tak bowiem wolała być teraz nazywana – nie podziękowała mu; przeklęła go za to, że przywrócił jej śmiertelność. Nie oczekiwał od niej wdzięczności.

Pragnął jedynie odkupienia i znalazł je setki lat po tym, jak utracił wszelką nadzieję.

Kiedy się wyprostował, zaprzestając poszukiwań, do jego uszu dobiegło odległe zawodzenie. Chciał je zignorować, skoncentrował się na tym, by starannie zawiązać skórzany mieszek i spakować narzędzia. Jednakże wycie, przepełnione błaganiem i bólem, nie ustawało.

To tylko jakiś pustynny zwierz...

Piął się w górę ku obozowisku, lecz odgłos go ścigał, ranił mu uszy i niweczył poczucie odosobnienia. Jego ton był wysoki, przypominał miauczenie domowego kota. Irytacja sangwinisty narastała, lecz wraz z nią pojawiła się szczypta zaciekawienia.

Co to jest za odgłos?

Dotarł do obozu i zaczął obmyśliwać, jak złożyć namiot i uprzątnąć wyposażenie tak, by nie zostawić śladów swojego pobytu.

Żadna jednak myśl nie zdołała zmniejszyć bólu, o który przyprawiało jego uszy tajemnicze zawodzenie. Było jak skrobanie suchej gałęzi o szybę alkowy. Im bardziej chce się je zignorować, tym donośniejsze się staje.

W najlepszym razie Rhunowi pozostawała jeszcze jedna noc na pustyni. Jeśli nie zaradzi jakoś uciążliwemu odgłosowi, nie będzie mógł się cieszyć ostatnimi chwilami spokoju.

Ruszył w tamtym kierunku, krok po kroku posuwał się w stronę źródła dźwięku. Zanim się spostrzegł, pędził przez wysuszony słońcem piasek. To coś w niewytłumaczalny sposób go przyciągało.

Na wpół świadomie dostrzegł coś nienaturalnego w swojej pogoni i w magnetycznej sile, która nim powodowała. Mimo to jeszcze bardziej przyspieszył.

Wreszcie wypatrzył w oddali źródło dziwnego dźwięku. Dobiegał od krzewu akacji, który rzucał cień w oddali. Pustynne

drzewko musiało znaleźć podziemny źródło, mocne korzenie walczyły o przetrwanie w suchej ziemi. Z powodu bezlitosnych wiatrów kolczasty pień przechylał się w jedną stronę.

Na długo zanim sangwinista dotarł do drzewa, uderzył go wstrętny odór. Rhun go rozpoznał, mimo że poruszał się z wiatrem. Znajoma woń świadczyła o obecności stworzenia, które krew *strigoi* przemieniła w potwora.

Blesfemor.

Czyżby to plugawa krew nieubłaganie przywiodła go aż tu, na pustynię? Czy zawarte w niej zło wzmogło jego zmysły i tak już wyostrzone po tygodniach przesiewania piasku w poszukiwaniu złowrogich kropel? Rhun zwolnił, by wyjąć sztylety z pochew przy nadgarstkach. Słońce błysnęło na srebrnych klingach starożytnych karambitów, sztyletów zakrzywionych niczym pazury lamparta. Będzie ich potrzebował do walki z nieznanym stworem. Zdążył już rozpoznać zapach zwierzyny: lew zamieniony w blesfemora.

Okrzyknął z daleka drzewo. Przeszukiwał wzrokiem cień, aż dostrzegł pagórek brązowego cielska, w większości zasłonięty roślinnością. W swojej naturalnej postaci lwica musiała wyglądać imponująco. Nawet teraz, gdy została splugawiona, nie sposób było odmówić jej dostojności. Nieczysta krew wypełniła jej ciało grubymi mięśniami, a futro zrobiło się grube jak zamsz. Ogromny pysk spoczywający na łapach zdradzał inteligencję.

Mimo to plugawość tętniła w każdym uderzeniu czujnego serca.

Zbliżywszy się, Rhun zauważył czarną plamę zakrzepłej krwi na kłębie lwicy. Szeroki płatek futra nadpalił się po bokach.

Sangwinista odgadł pochodzenie tych ran. Przypomniawszy sobie hordy blesfemorów towarzyszące armii Judasza podczas bitwy stoczonej na tym terenie zeszłej zimy. Były wśród nich szakale, hieny i kilka lwów. Sądził, że te stwory zostały odpędzone lub wybite wraz z siłami *strigoi* pod koniec bitwy, gdy fale świętego anielskiego ognia przetoczyły się po piaskach pustyni.

Później wysłano drużynę sangwinistów, by wytropiła zabłąkane niedobitki, ale to zwierzę najwyraźniej uniknęło ognia i myśliwych.

Odniosła rany, ale przeżyła.

Dźwignęła złocisty łeb i warknęła w stronę intruza. Jej ślepia załśniły karmazynowo w cieniu; za sprawą plugawej krwi *strigoi* nie zostało nic z ich pierwotnej barwy. Nawet ten wysiłek wydawał się ponad siły lwicy. Łeb opadł z powrotem na łapy. Nie pozostało jej wiele życia.

Ukrócić jej cierpienie czy pozwolić zdechnąć?

Rhun podchodził bliżej, zmniejszał odległość, wciąż nie wiedząc, jak postąpić. Zanim zdążył podjąć decyzję, lwica wyskoczyła jednym susem z cienia na palące słońce. Jej atak go zaskoczył. Zdążył odtoczyć się na bok, lecz ostre pazury rozcięły mu lewe ramię.

Odwrócił się błyskawicznie w stronę zwierza; jego krew połała się na gorący piach.

Lwica przywarła do ziemi. Skóra paszczy zmarszczyła się i rozległ się syk, który zmroził nawet zimne serce sangwinisty. Potężny był z niej przeciwnik, ale nie mogła wytrzymać długo poza cieniem drzewa.

Była wszak blesfemorem i za chwilę osłabnie w promieniach słońca.

Rhun ustawił się między nią i bezpieczną kryjówką pod drzewem.

Zagrożenie pobudziło lwicę, ogon świszczął dziko, zataczając łuki.

Napięła tylne nogi i skoczyła. Żółte kły mierzyły w szyję wroga.

Tym razem Rhun podjął wyzwanie i skoczył naprzeciw, by zrealizować swój plan. W ostatniej sekundzie dał susa w bok i ciął srebrnym sztyletem poparzoną łopatkę. Spadając na ziemię, potoczył się i skierował wzrok na blesfemora.

Z rozcięcia mocnym strumieniem płynęła krew, gęsta i czarna jak smoła. Rana była śmiertelna. Sangwinista wycofał się,

pozwalając lwicy wrócić do cienia i w spokoju dokonać żywota.

Ona jednak, zamiast się schronić, wydała nieziemski ryk i skoczyła na niego ponownie; nie dbając o własne bezpieczeństwo, atakowała prześladowcę w pełnym słońcu.

Zaskoczony nagłością ataku Rhun zareagował zbyt wolno. Kły zamknęły się na lewym nadgarstku i złączyły, by zmiażdżyć kości.

Sztylet wypadł mu z dłoni.

Sangwinista zdołał się zwinąć i zatopił drugi sztylet w oku lwicy.

Zawyła w śmiertelnym bólu, wypuszczając z zębów zraniony przegub. Rhun wyrwał rękę, zagłębił stopy w piasku i oderwał się od stwora. Przycisnął poszarpany nadgarstek do piersi i przygotował się do odparcia następnej szarży.

Lwica jednak osunęła się na piach. Łypnęła na niego zdrowym ślepiem. Karmazynowy blask zgasł i ustąpił miejsca złotobrazowej barwie, jeszcze nim zwierz na dobre zamknął oko.

Klątwa, tak jak to się zawsze działo, odeszła wraz z ostatnim tchnieniem.

– *Dominus vobiscum* – wyszeptał.

Usunął jeszcze jedną pozostałość zła na tym skrawku ziemi.

Odwrócił się, by odejść, gdy do jego uszu dobiegło żalosne miauczenie.

Zatrzymał się i obrócił, przekrzywiając głowę. Raptem jego uszy wychwyciły ciche bicie serca. Drobną cień wysunął się z większego cienia korony akacji i zmierzał do zabitej lwicy.

Małe lwiątko.

Jego futro było czyste i śnieżnobiałe.

Patrzył wstrząśnięty. Lwica musiała być ciężarna, reszkę życia przeznaczyła na poród, ostatnią matczyną ofiarę. Teraz zrozumiał, dlaczego nie zrejterowała do cienia, kiedy miała okazję. Walczyła z nim do ostatka, by chronić młode, odpędzić wroga od potomka.

Lwiątko dotknęło nosem martwego ciała matki. Rhuna przepełniła trwoga. Jeśli małe wyszło ze splugawionego łona

i pożywiło się złą krwią, z pewnością także było blesfemorem.

Będę je musiał zgładzić.

Podniósł sztylet, który w czasie walki spadł na piasek.

Lwiątko trącało łeb matki, chcąc ją nakłonić, by się dźwignęła.

Miauczało, jakby było świadome, że zostało osierocone i porzucone.

Rhun zbliżał się do zwierzęcia, uważnie badając je wzrokiem.

Ledwie sięgało mu do kolan, ale nawet tej wielkości blesfemor mógł stanowić zagrożenie. Dostrzegł na śnieżnym futerku szarawe rozetki, większość z nich znaczyła zaokrąglone czoło lwiątko. Musiało przyjść na świat po bitwie, liczyło sobie zatem nie więcej niż dwanaście tygodni.

Gdyby się tu nie pojawił, czekałaby je bolesna śmierć od słońca albo głodowa w cieniu.

Odebranie mu życia będzie aktem miłosierdzia.

Zacisnął mocniej dłoń na karambicie.

Lwiątko po raz pierwszy wyczuło jego zbliżanie; kiedy uniosło łebek i spojrzało na niego, w promieniach słońca błysnęły mu ślepka.

Usiadło na tylnych łapach i okazało się, że jest samcem.

Odchyliło łeb w tył i głośno zamiauczało, wyraźnie domagając się czegoś od człowieka.

Małe oczka znów go wypatrzyły.

Sangwinista wiedział, czego ono pragnie, czego pragną wszystkie młode stworzenia: miłości i opieki.

Czując, że nic mu nie zagraża, z westchnieniem opuścił rękę.

Schował sztylet do pochwy na nadgarstku, podszedł bliżej i przyklęknął.

– No, chodź, malutki.

Skinął dłonią, a potem pomału wyciągnął ręce. Lwiątko zbliżało się na rozcapierzonych łapach, komicznie za dużych w stosunku do tułowia. Gdy tylko dotknął ciepłego futerka, z drobnego ciała wydobył się pomruk. Miękki łebek stuknął w otwartą dłoń sangwinisty, kruche wąsiki drapnęły zimną skórę.

Rhun podrapał lwiątko pod brodą i pomruk przybrał na sile. Spojrzał na palące słońce i zauważył, że maluch wcale nie zwraca na nie uwagi, jakby światło nie robiło mu krzywdy.

Dziwne.

Ostrożnie uniósł go do twarzy i wciągnął nosem jego zapach: mleko, liście akacji i piżmowa woń lwiego kocięcia.

Ani śladu splugawienia nieczystą krwią blesfemora.

Spoglądały na niego wilgotne ślepka. Żrenice miały brązowy odcień karmelu, okalały je wąskie złote obwódki.

Zwyczajne oczy.

Usiadł i zamyślił się nad zagadką. Kociak wdrapał się na jego uda, a on z roztargnieniem głaskał zdrową ręką jego aksamitną sierść.

Lwiątko oparło łebek o kolano sangwinisty, powęszyło i zaczęło zlizywać ze spodni odrobinę krwi, która pociekła z ранego nadgarstka.

– Nie – powiedział ostro, odepchnął małą główkę i zaczął wstawać.

Słońce odbiło się od srebrnego flakonu przytroczonego do nogi Rhuna. Lwiątko skoczyło w stronę naczynia, zawadziło pazurem o rzemień i ujęło w zębki skórę.

– Dość.

Lwiątko tylko się bawiło, lecz Rhun odepchnął małego uparciucha od nogi i poprawił flaszkę. Uprzytomnił sobie, że od wczoraj nie wypił ani kropli wina. Może to słabość zmiękczyła mu serce w obliczu lwiego kocięcia. Musi się pokrzepić, zanim podejmie decyzję.

Trzeba postąpić tak, jak podyktuje mi siła, a nie sentyment.

Odpiął flaszkę i uniósł ją do ust, lecz nim wziął łyk, lwiątko stanęło na tylnych łapkach i wytrąciło naczynie z jego palców.

Flaszka spadła na piasek, święte wino się rozlało.

Zwierzak schylił łebek i chłeptał z małej czerwonej kałuży. Z pewnością był odwodniony i chętnie gasił pragnienie czymkolwiek, lecz Rhun zeszywniał ze strachu. Jeżeli zwierzak

miał w żyłach choć jedną kroplę krwi blesfemora, święta substancja spali go na popiół.

Odciągnął kocię. Spojrzało na niego; na śnieżnobiałym pyszczku czerwieniła się plama wina. Rhun starł ją wierzchem dłoni. Wyglądało na to, że lwiątko w żaden sposób nie ucierpiało. Sangwinista przyjrzał mu się bliżej. Przez krótką chwilę zdawało mu się – i byłby gotów przysiąc – że małe ślepka zalśniły czystym złotem.

Zwierzak ponownie puknął łebkiem w kolano Rhuna, a gdy znów spojrzał na sangwinistę, jego oczka tak jak przedtem miały kolor karmelu.

Rhun potarł swoje oczy i zrzucił przelotne złudzenie na karb pustynnego słońca.

Tak czy owak, nie ulegało wątpliwości, że lwiątko poruszało się w blasku dnia i bez żadnego uszczerbku napiło się konsekrowanego wina. A więc nie było blesfemorem. Być może święty ogień oszczędził je, gdyż było niewinne i spoczywało w łonie matki. Może to również tłumaczyło fakt, że lwica przeżyła pogrom osłabiona, lecz dość silna, by wydać na świat nowe życie.

Jeśli Bóg oszczędził niewinną istotę, to jak mogę ją teraz porzucić?

Podjąwszy decyzję, zawinął lwiątko w materiał habitu i skierował się do obozowiska. Sangwinistom nie wolno było trzymać blesfemorów, lecz żaden edykt nie zabraniał im posiadania zwyczajnego zwierzęcia. Jednakże gdy Rhun maszerował przez pustynię, czując na piersi ciepło mruczącego kocięcia, jednej rzeczy był pewny bez reszty.

To nie było zwyczajne zwierzę.

4

17 marca, 17.16

Watykan

Gdy Erin wkraczała do zamkniętego Sanktuarium zakonu w jej głowie rozbrzmiewały słowa z *Boskiej komedii* Dantego: *Porzućcie nadzieję, wy, którzy wchodzicie*. Według poety ostrzeżenie to wypisane było nad wejściem do Piekła.

Pasowałyby i w tym miejscu.

Przedsiónek za bramką pełen był pochodni zrobionych ze snopów witek rozmieszczonych na ścianach w regularnych odstępach.

Wydzielały sporo dymu, lecz oświetlały długi korytarz i Erin mogła zgasić latarkę.

Idąc tunelem, zauważyła, że ścian nie zdobią tu wymyślne freski takie jak w Bazylice Świętego Piotra. Sanktuarium zakonu sangwinistów służyło z prostoty, niemal surowości. W powietrzu obok dymu wyczuwało się aromat wina i kadzidła, prawie jak w kościele.

Na końcu tunelu znajdowało się rozległe okrągłe pomieszczenie, także wolne od ornamentów.

Ale nie było puste.

W surowych skalnych ścianach wykuto gładkie nisze. Niektóre z nich kryły w sobie niezwyklej urody białe posągi z rękami splecionymi w modlitwie i zamkniętymi oczami; ich twarze skierowane były w dół lub uniesione ku sklepieniu. Te posągi poruszały się jednak, byli to bowiem starożytni sangwiniści zatopieni w najgłębszej medytacji i kontemplacji.

Nazywano ich klauzurowymi.

Wejście, które wybrali Erin i Christian, prowadziło do sanktuarium wewnętrznego. Wybór padł właśnie na nie, ponieważ biblioteka znajdowała się w skrzydle medytacyjnym klauzurowych, co wydawało się zrozumiałe, gdyż bliskość tak wielkiego nagromadzenia wiedzy sprzyjała nauce i refleksji.

Erin zbliżyła się do progu dużego pomieszczenia i stanęła.

Klauzurowi z pewnością wyczuli, że ktoś otworzył pobliską furkę, i usłyszeli przyspieszone bicie jej serca, ale żadna z posągowych postaci nawet nie drgnęła.

Jak dotąd.

Odczekała jeszcze chwilę. Christian powiedział jej, żeby dała jego starożytnym braciom czas na przywyknięcie do jej obecności i na podjęcie decyzji. Jeśli nie zechcą dopuścić jej do swojego azylu, nie będzie mogła nic na to poradzić.

Popatrzyła na łuk po drugiej stronie sali. Według planu wskazywał wejście do biblioteki. Ruszyła w jego kierunku prawie bezwiednie.

Stąpała powoli, nie żeby zachować ciszę, lecz z szacunku dla tych, którzy ją otaczali.

Omiatała wzrokiem ściany, spodziewając się, że lada chwila ktoś uniesie rękę i zakrzyknie twardym głosem. Zauważyła, że niektóre zastygłe postacie noszą szaty zakonów, których świat współczesny nie zna od dawien dawna. Wyobrażając sobie zamierzchłe czasy, usiłowała dopatrzeć się wojowników Kościoła w pogrążonych w spokojnej kontemplacji figurach.

W każdym z nich życie tętniło kiedyś równie mocno jak w Rhunie.

On także pragnął zająć jedną z nisz, gotów był odwrócić się plecami do zewnętrznego świata, lecz właśnie wtedy proroctwo wezwało go, by wraz z nią i Jordanem wyruszył na poszukiwanie Ewangelii Krwi i zapobiegł nadciągającej apokalipsie. Czasami jednak dostrzegała u mrocznego mnicha znużenie światem, ciężarem przelanej krwi i okropieństw, których doświadczył.

Zaczynała rozumieć, skąd się bierze ten osobliwy wyraz jego twarzy. Ostatnio często budziła się nagle z krzykiem uwięzionym w gardle. W jej snach rozgrywały się koszmary, które zobaczyła na własne oczy, powtarzały w nieskończoność: żołnierze rozrywani na strzepy przez oszalałe stwory... czyste srebrzyste oczy kobiety, którą zastrzeliła, ratując życie Rhuna... dzieci *strigoi* konające na śniegu...

chłopiec o inteligentnym spojrzeniu, który wpada na miecz.

Zbyt wiele ofiar pochłonęła ta misja.

A do końca było jeszcze daleko.

Popatrzyła na nieruchome posągi.

Rhunie, czy naprawdę łakniesz spokoju, czy też chcesz się tutaj ukryć? Czy ja również, gdybym mogła, schroniłabym się tu, by znaleźć ukojenie wśród ksiąg?

Westchnęła cicho i przemierzała dalej rozległą komnatę. Żaden z klauzurowych nie okazał, że ją widzi. Wreszcie dotarła do łuku, pod którym znajdowało się wejście do ciemnej jak smoła biblioteki. Jej palce powędrowały do latarki, lecz w końcu sięgnęła do kieszeni po świeczkę. Zapaliła knot od pochodni na ścianie i przekroczyła próg księgozbioru.

Uniosła świeczkę i zobaczyła sześciokątne pomieszczenie z regałami na księgi i wnękami, w których przechowywano zapisane zwoje.

Nie było krzeseł ani lamp, niczego, co było przystosowane do ludzkich potrzeb. Krocząc ze świecą w dłoni, poczuła się, jakby odbyła podróż w czasie.

Uśmiechnęła się na tę myśl i spojrzała na plan. Małe przejście po lewej stronie prowadziło do innego pomieszczenia. Średniowieczny twórca mapki zaznaczył, że kryły się w nim najstarsze teksty sangwinistów. Jeśli istniała wiedza o upadku Lucyfera i o jego uwięzieniu w piekle, to właśnie tam należało rozpocząć poszukiwania.

Weszła i znalazła się w drugiej sześciokątnej komnacie. Wyobraziła sobie rozkład biblioteki, długie szeregi podobnych pomieszczeń jak w pszczelim ulu. Różnica polegała na tym, że

skarbem tego miejsca nie był płynny złocisty miód, lecz pradawna wiedza. Komnata przypominała poprzednią, lecz zawierała więcej zwojów niż ksiąg.

Przy jednej ścianie umieszczono zakurzone tabliczki z miedzi i gliny, co świadczyło o tym, że to najstarsza część zbioru.

Jednakże to nie z powodu unikalnych zabytków Erin stanęła jak wryta.

Na środku pomieszczenia zobaczyła okrytą kurzem postać. I tak jak w przypadku klauzurowych nie był to posąg. Stała odwrócona plecami, lecz Erin wiedziała, kogo ma przed sobą. Patrzyła kiedyś w jego oczy czarne jak oliwki i słyszała jego głęboki głos. Dawno, dawno temu kilka słów wypowiedzianych przez te sine usta zmieniło bieg dziejów. Oto założyciel zakonu sangwinistów, mężczyzna, który miał za przyjaciela najświętszego z świętych, ten który umarł i wstał z martwych na skinienie ręki samego Chrystusa.

Łazarz.

Schyliła głowę w ukłonie, nie wiedząc, jak się zachować. Wydawało jej się, że stoi w tej pozycji w nieskończoność, w uszach dudniło jej bicie własnego serca.

Trwała nieruchomo, wciąż z zamkniętymi oczami.

Nie padło ani jedno słowo ganiące Erin za wtargnięcie do sanktuarium, odetchnęła więc głęboko, z drzeniem, i przeszła obok zastygłej postaci. Nie wiedziała, co innego może uczynić. Przybyła tu z konkretnym zamiarem, a skoro nikt jej nie powstrzymuje, będzie go realizować.

Ale od czego zacząć?

Spojrzała na regały i nisze w ścianach. Przetłumaczenie i lektura wszystkich tekstów potrwałyby całe lata. Przytłoczona tą myślą i zdezorientowana zwróciła się w stronę jedynej obecnej osoby, przypadkowego kustosa biblioteki. Blask świecy odbił się refleksem w jego otwartych ciemnych oczach.

– Łazarzu – wyszeptała. Nawet samo imię zabrzmiało zbyt głośno w tej komnacie, lecz mówiła dalej: – Jestem tutaj, by znaleźć...

– Tak, wiem. – Z jego warg osypał się kurz. – Czekałem.

Ręka uniosła się płynnie, w powietrze pofrunęło więcej drobin pyłu. Długi palec wskazał glinianą tabliczkę leżącą na brzegu regału.

Erin podeszła i zerknęła. Płytką o barwie kamionki była nie większa od talii kart. Jej powierzchnię pokrywały linijki pisma.

Wzięła tabliczkę do ręki i przyjrzała się dokładnie. Tekst był napisany po aramejsku, w języku, który Erin dobrze знаła. Przebiegła wzrokiem pierwsze wersy. Zawierał dobrze znaną opowieść o przybyciu węża do Rajskiego Ogrodu i jego spotkaniu z Ewą.

– Fragment Księgi Rodzaju – szepnęła do siebie.

Zgodnie z większością interpretacji węzem był Lucyfer, który zjawił się w raju, by kusić Ewę, ale w tej wersji tekstu był jednym z wielu zwierząt w ogrodzie, tyle że przebieglejszym od innych.

Przybliżyła świecę do tabliczki, przeczytała słowo, które najdobitniej charakteryzowało węża, i wypowiedziała je na głos zgodnie z fonetycznym brzmieniem: – *Czok-moo*.

Mogło znaczyć „mądry”, „zręczny”, a nawet „sprytny” lub „podstępny”.

Gdy czytała dalej, doszła do wniosku, że treść jest zbliżona do przypowieści zawartej w Biblii Króla Jakuba. Ewa odmówiła wężowi, argumentując, że Bóg zabronił jej zjadać owoc z drzewa i ostrzegł, że umrze, jeśli złamie zakaz. Wąż przekonywał ją, że nie umrze, lecz posiadzie wiedzę: świadomość dobra i zła.

Erin westchnęła, zdała sobie bowiem sprawę, że w tej wersji przypowieści wąż zbliża się do prawdy bardziej niż Bóg. Tak jak zapowiadał wąż, Adam i Ewa nie umarli po zjedzeniu owocu, lecz zdobyli wiedzę.

Uznała jednak ten szczegół za nieistotny, zwłaszcza po przeczytaniu następnego wersetu. Był całkowicie nieznan. Gdy przetłumaczyła go na głos, świeca zadrżała jej w dłoni.

– „I rzekł wąż do niewiasty: Przysięgnij, że weźmiesz owoc i podzielisz się nim ze mną”.

Powtórzyła ustęp dwa razy, by mieć pewność, że czegoś nie poplątała, i czytała dalej. W następnym wersecie Ewa zawiera z wężem umowę, że da mu owoc. Później wydarzenia toczą się zgodnie z biblijną przypowieścią: Ewa nadgryza owoc i dzieli się nim z Adamem, zostają przeklęci i skazani na wygnanie z raju.

W głowie Erin rozbrzmiały echem słowa jej ojca.

Ceną za wiedzę jest krew i ból.

Odczytała ponownie cały tekst na tabliczce.

Wynikało z niego, że Ewa złamała przyrzeczenie złożone wężowi i nie podzieliła się z nim owocem.

Erin zastanowiła się nad zmienioną treścią przypowieści. Po pierwsze, do czego wężowi potrzebna była wiedza? W innych częściach Biblii zwierzęta jej nie szukają. Czy rozszerzona wersja Księgi Rodzaju potwierdza, że wężem w Rajskim Ogrodzie był Lucyfer w przebraniu?

Potrząsnęła głową, usiłując rozwikłać zagadkę, wyłuskać jej sens.

Spojrzała na Łazarza, jakby liczyła na podpowiedź.

Ale on tylko na nią patrzył.

Zanim zdążyła wypowiedzieć pytanie, dał się słyszeć jakiś odgłos.

Spoza murów biblioteki niósł się chrobot ciężkich kamieni.

Skierowała wzrok w tamtą stronę.

Ktoś otwiera bramę Sanktuarium, pomyślała.

Zerknęła na zegarek. Christian uprzedził ją, że niektórzy członkowie zakonu sprawują opiekę nad klauzurowymi: przynoszą im wino.

Nie znał jednak harmonogramu ich zajęć, nie wiedział, jak często schodzą do katakumb. Wyruszając w tę drogę, Erin liczyła na łut szczęścia.

A ten właśnie się wyczerpał.

Gdy tylko znajdą się bliżej, posłyszają bicie jej serca i wykryją obecność intruza. Mogła się tylko modlić, by Bernard nie potraktował zbyt surowo Christiana i siostry Margaret.

Odłożyła tabliczkę na regał, lecz gdy się odwróciła, gotowa ponieść konsekwencje wtargnięcia do zakazanego Sanktuarium, Łazarz pochylił się i zdmuchnął świeczkę. Przestraszona Erin zatoczyła się w tył. Biblioteka utonęła w mroku, oświetlał ją tylko nikły blask pochodni w głównej sali.

Łazarz położył zimną rękę na jej barku; jego palce się zacisnęły, jakby chciał jej nakazać milczenie. Skierował ją tak, by mogła zajrzeć do komnaty klauzurowych.

Starożytni sangwiniści się poruszyli. Zaszleściły szaty, z wielowiekowej materii wzbił się kurz.

Łazarz zaintonował hebrajski hymn. Klauzurowi zgromadzeni w komnacie podchwycili śpiew. Lęk opuścił Erin, ton głosów wznosił się i opadał równo niczym fale uderzające o brzeg. Poczowała zdumienie i podziw.

W komnacie pojawiły się postacie: ubrani na czarno mnisi z zakonu sangwinistów. Wkroczyli do pomieszczenia z dzbanami wina i srebrnymi kielichami. Spojrzeli na klauzurowych i ich usta się otworzyły. Najwyraźniej nieczęsto dane im było słyszeć ich śpiew.

Palce Łazarza na chwilę ścisnęły uspokajająco ramię Erin. Zrozumiała. Była pod kuratelą Łazarza i pozostałych. Pieśń zagłuszała bicie jej serca.

Tkwiała nieruchomo z nadzieją, że podstęp się uda.

Młodzi mnisi zajęli się swoim obowiązkiem – podsuwali kielichy do ust, one jednak nie przyjmowały wina, tylko dalej śpiewały.

Sangwiniści spoglądali po sobie ze zdziwieniem i niepokojem.

Powtórzyli próbę, lecz skutek był taki sam.

Głębokie gromkie głosy rozbrzmiały z jeszcze większą mocą.

Mnisi dali za wygraną, wycofali się do tunelu i oddalili. Erin usłyszała odgłos zamykanej bramy i dopiero wtedy śpiew ustał.

Łazarz odprowadził ją do oświetlonej pochodniami komnaty, klauzurowi zaś ponownie znieruchomieli. Ruchem ręki wskazał jej wyjście.

Erin odwróciła się.

– Wiem tyle co i przedtem – oznajmiła z żalem. – Nie mam pojęcia, jak odnaleźć Lucyfera i wykuc na nowo jego kajdany.

Łazarz przemówił głosem głębokim i odległym, jakby kierował słowa do siebie, a nie do niej.

– Kiedy Lucyfer stanie przed tobą, serce wskaże ci drogę. Musisz wypełnić przymierze.

– Ale w jaki sposób mam go znaleźć? I o jakim przymierzu mówisz? O prorocztwie z Ewangelii Krwi?

– Wiesz wszystko, co możesz wiedzieć – odrzekł Łazarz; jego głos oddalał się coraz bardziej. – Droga zostanie odkryta, a ty nią podążysz.

Chciała wydobyć od niego więcej, zrobiła krok w jego stronę.

Miała głowę pełną pytań, wypowiedziała na głos to najważniejsze.

– Czy nam się uda?

Łazarz zamknął oczy i nie odpowiedział.

5

17 marca, 17.21

Rzym, Włochy

Muszę się uwolnić...

Świadomość Leopolda spowiło morze ciemnego dymu. Jako sangwinista przywykł do bólu, zawsze obecnego pieczenia na klatce piersiowej pod pektorałem, rozdzierającego dreszczu w gardle, gdy spływało do niego sakramentalne wino. Wszystko to jednak była drobnostka w porównaniu z agonią, której teraz doznawał.

Ginął w tumanach ciemnego dymu, nie odczuwał otaczającego świata. Czarny całun pozbawił go nawet czucia w kończynach.

Któż mógł wiedzieć, że brak bólu, jakichkolwiek odczuć, jest największą katuszą ze wszystkich?

Jeszcze większą udrękę sprawiały mu jednak chwile, gdy ciemność ustępowała i mógł znowu patrzeć własnymi oczami. Często, zbyt często, stawały przed nimi widma koszmaru i rozlewu krwi, lecz nawet te krótkie chwile wytchnienia od wiekuistego mroku przynosiły ulgę. Starał się wtedy odzyskać jak najwięcej życia, zanim znów weźmie go w posiadanie demon, który zawładnął jego ciałem. Nigdy jednak, choć walczył ile sił, nie trwało to długo. Potem przelotna nadzieja jawiła się jako okrucieństwo większe niż wszelkie męczarnie.

Lepiej po prostu ulec, pozwolić, by płomień ogarnął mnie i zamienił w nicość, w obłoczek dymu, tak jak rzeszę tych, którzy byli przede mną, myślał.

Wiedział, że spotkało to wielu. Co jakiś czas przemykały przez niego smużki dymu, niosąc mgnienia żywotów innych istnień: obraz twarzy ukochanej, ukąszenie bicza, śmiech dziecka biegnącego przez łąk koniczyzny.

Czy tylko tyle zostanie z mojego życia? Okruchy na wietrze?

Gdy wyobraził sobie wiatr, ciemność wokół rozpiezchła się, jakby rozdarł ją nagły podmuch. Leżał w łóżku na nagiej kobiecie. Smuga szkarłatu biegła przez jej szyję i między piersiami, pod złotym medalionem. Jej oczy, zielone jak liście dębu, patrzyły na niego; rozszerzone strachem i bólem błagały, by ją puścił.

Dysząc, siłą woli oderwał od niej wzrok i spojrzał na tonącą w przepychu komnatę. Grube srebrne kotary zaciągnięto, by nie wpuszczały światła dnia, lecz wyczuwał, że niebawem zostaną rozsunięte.

Nigdy niezatrzymujący się zegar sangwinisty mówił mu, że do świtu została niespełna godzina.

Jakieś zdruzgotane ciała leżały na zimnej marmurowej posadzce po obu stronach łoża, nagie i nieruchome.

Naliczył dziewięć.

Demon we mnie musi być zgłodniały.

Ale nie był to wyłącznie demon.

W pomieszczeniu panoszyło się sześciu *strigoi*, niektórzy spali, inni dalej pożywiali się zabitymi. W powietrzu wisiała otumaniająca woń krwi, która zachęcała Leopolda, by przyłączył się do uczyty, lecz on czuł, że jego brzuch jest pełny.

Może dlatego uwolniłem się choć na tę krótką chwilę.

Zamierzał to wykorzystać.

Uniósł się na ręce nad kobietą, choć drugą wciąż ścisnął jej dłoń.

Wzdrygnęła się, jej serce trzepotało jak zraniony ptak. Demon wżarł się w nią zbyt głęboko. Nie ocali jej, ale może chociaż da jej spokojną śmierć. Zebrał całą swoją siłę i oderwał od jej dłoni jeden palec, a potem drugi, zmusił rękę do posłuszeństwa.

Od wysiłku pot wystąpił mu na czole, ale udało się, ręka kobiety była wolna. Nie mogąc przemówić, skinął jej głową na znak, że może odejść.

Drżąc, spojrzała na swoją rękę, a potem znów na niego.

Blask świecy, który zamigotał w jej zielonych oczach, przypominał szmaragdowy połysk zielonego diamentu. Przeszyła go bezsilna nienawiść. Pomyśleć, że ten kamień odrętwił moje ciało, odebrał moc poruszania nim.

Własną ręką wydałem wyrok na siebie i wielu.

Ten plugawy klejnot rozkazał mu przełamać mistrz, który wierzył, że zdoła sprowadzić na ziemię samego Chrystusa. Tylko że tłukąc kamień, Leopold uwolnił demona. Pamiętał sączącą się z serca pękniętego diamentu lodowatą ciemność, która wtargnęła do jego ciała, przynosząc ze sobą głosy i obrazy z życia innych. Zagubił się wśród tych głosów, utonął w kakofonii, lecz jedno imię rozbrzmiewało ponad resztą.

Legion.

Tak brzmiało imię, które go dławilo, imię demona, który go pochłonał.

Od tamtej chwili raz po raz tracił świadomość i ją odzyskiwał.

Jak długo to trwało?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wiedział na pewno tylko tyle, że demon gromadził wokół siebie innych, tworzył armię *strigoi*.

Z wielkim trudem Leopold uniósł dłoń ku twarzy, a kobieta zaplątana w pościel odczołgała się na bok. Nie zwracał na nią uwagi, bo jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Ręka, zazwyczaj blada aż do białości, stała się czarna jak atrament. Odwrócił głowę i zobaczył na ścianie lustro.

Był nagi i przypominał posąg wyrzeźbiony z hebanu.

Krzyknął, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Kobieta spadła z łoża, wyrrywając z drzemki jednego ze *strigoi*.

Bestia syknęła, bryzgając krwią. Kiedy zerwała się na nogi, Leopold dostrzegł na jej obnażonej piersi ślad czarnej dłoni. Wyglądał jak piętno lub tatuaż, ale czerń cuchnęła zepsuciem

i złem. Smród był o wiele gorszy niż ten, który wydzielały naznaczone znamieniem *strigoi*.

I co najgorsze... oleista ciemność pasowała do nowej barwy jego skóry.

Ale to nie wszystko.

Leopold wyciągnął rękę i rozłożył palce. Nowa potworność.

Znak na ciele bestii miał tę samą wielkość i kształt co jego dłoń.

Demon naznaczył potwora jako swoją własność, być może zniewolił go tak samo jak Leopolda.

Strigoi pochwyciły kobietę i rozszarpały jej gardło.

Zanim Leopold zdążył zareagować, ciemność wciągnęła go w głąb mrocznej toni, pochłaniając obraz rozrywanej na strzępy kobiety.

Tym razem nie stawiał oporu, rad, że nie będzie świadkiem koszmarów dziejących się w komnacie. Tonąc w nicości, porzucił wszelką nadzieję na to, że zdoła się uwolnić.

Ogarnęło go inne pragnienie.

Muszę znaleźć sposób, by odpokutować za swoje grzechy...

Ta myśl pociągnęła za sobą nurtujące pytanie, które mogło się okazać ważne: Dlaczego akurat teraz mogłem tak długo cieszyć się swobodą? Co odciągnęło ode mnie uwagę demona?

17.25

Kume, Włochy Cholera, szybki z niego drań...

Jordan uniósł pistolet i posłał trzy serie w kierunku wroga, który wypełził z tunelu. Pociski zaterkotały na skalnej ścianie podziemnej świątyni, lecz żaden nie doszedł celu.

Znowu pudło...

Po kłach odgadł, że ma do czynienia ze *strigoi*, ale nigdy nie widział, by któryś poruszał się w taki sposób. Ten straszny stwór był w jednym miejscu, a ułamek sekundy później już pod przeciwną ścianą, jakby się teleportował.

Baako i Sophia ubezpieczali Jordana od tyłu w jak najbardziej dosłownym sensie. Cała trójka stała plecami do siebie, ramię

przy ramieniu. Baako dzierżył długi afrykański miecz, Sophia zaś władała dwoma zakrzywionymi nożami.

Strigoi zasyczał spoza ołtarza. Na jego klatce piersiowej krwawiła długa cięta rana z poszarpanymi brzegami. Baako zadał ją bestii, kiedy przypuściła pierwszą szarżę; tym samym uratował Jordanowi życie.

Niestety był to jedyny celny cios, który zdołali zadać.

– Próbuje nas zmęczyć, by móc potem uśmiercić – zauważyła Sophia.

– W takim razie trzeba zmienić taktykę – odrzekł Jordan. Uniósł broń, lecz naciskając spust, przesunął lufę i wypalił w puste miejsce.

Spodziewał się, że *strigoi* także wykona jakiś ruch.

Potwór tak właśnie się zachował i wszedł prosto w linię ognia.

Ryk wystrzałów zlał się z jego wrzaskiem. *Strigoi* rąbnął plecami o ścianę, bryznęła krew.

Miałem fart, ale i tak zapisuję sobie trafienie, pomyślał Jordan.

Strigoi zwinął się i zniknął jak rozmyta plama. Jordan szukał go wzrokiem, poruszając pistoletem, tak że lufa zatoczyła łuk. Nagle, nie wiadomo skąd, wystrzeliły zimne pazury, porwały Jordana i rzuciły go na ścianę. Lecąc w powietrzu, wyciągnął sztylet z pochwy przy kostce, gotów walczyć dalej.

Tylko że bestia także zdobyła broń: miecz Baaka wyszarpnięty z jego dłoni. Kiedy wpadli razem na ścianę, *strigoi* ugodził nim Jordana w brzuch.

Sierżantowi odebrało dech i upadł na kolana.

Baako i Sophia w mgnieniu oka pospieszyli mu na pomoc. Sophia hakowatym ciosem odrąbała rękę, w której *strigoi* trzymał miecz.

Drugi nóż wbiła mu w brzuch i rozplątała go od krocza po szyję.

Jordanowi trysnęła w twarz zimna krew.

Popatrzył w dół na ostrze, które wciąż tkwiło w jego brzuchu.

Spóźniliście się, koleżanko i kolego.

17.28

Rzym, Włochy Ból rozerwał ciemność wokół Leopolda. Powrócił do świata, do komnaty zalanej krwią. Chwycił się za brzuch, myśląc, że poczuje pod palcami rozplątane ciało i wylewające się wnętrzności. Tymczasem skóra była gładka, a nietknięty żołądek nadal wypełniała krew po niedawnym posiłku.

Leopold potarł się po nagim brzuchu, odczuwając jeszcze resztkę bólu.

Widział to samo miejsce kaźni co przedtem, lecz mógł także wejrzeć do drugiego pomieszczenia, które nakładało się na komnatę: do ciemnej groty z ołtarzem pośrodku.

Znam to miejsce.

To była świątynia Sybilli głęboko pod wulkanicznym szczytem w Kume, ta, w której wypuścił na świat demona imieniem Legion.

Jak to możliwe, że ją widzę?

Oglądał scenę oczami kogoś innego. Ujrzał ręce zakończone pazurami, które powędrowały w górę i złapały za brzuch. Krew lała się strumieniem, ze środka wypływały wnętrzności.

Nie tylko dzielił tę wizję z kimś innym, lecz także odczuwał jego ból.

Widziana z daleka postać osunęła się na bok. To musiał być *strigoi*, prawdopodobnie członek armii Legiona, być może jeden z tych, których ów zniewolił. Leopold wyobraził sobie czarne piętno na piersi zabitego.

Czyżby znamię pełniło rolę telepatycznego łącznika? Czy zniknie po śmierci nieznanego stwora?

Wokół Leopolda unosił się czarny dym, za chwilę go stąd zabierze.

Mimo to wciąż mógł obserwować wnętrze świątyni, znamię na szyi konającego *strigoi* nie zniknęło. Nawet w chwili zgonu potwór omiatał ślepiami otoczenie, jakby szukał drogi ratunku.

Jego wzrok padł na ołtarz i skupił się na dwóch kawałkach szmaragdowego kamienia.

Zielony diament?

Czy po to cię tam posłano?

W głębi swojej opętanej duszy Leopold wyczuwał łaknienie Legiona. Jak przez mgłę pamiętał ucieczkę tunelem ze świątyni; demon niemożliwie wytrzymał siłę jego kończyn, ponieważ rozpaczliwie pragnął umknąć z wnętrza góry, wyzwolić się z więzienia wulkanicznej skały. Po setkach lat zamknięcia w klejnocie nie mógł znieść pułapki ani sekundę dłużej i w pośpiechu zapomniał zabrać ze sobą kamień.

Ale do czego jest mu potrzebny?

Diament lśnił jasno na szczycie ołtarza, jakby szydził z klęski Legiona. Jednakże wzrok *strigoi* słabł, obraz uległ zamgleniu. Pozostało w nim niewiele życia. Spojrzenie obróciło się w stronę, gdzie coś się poruszało, gdzie szurały czyjeś stopy. Czyjeś nogi zasłaniały częściowo mężczyznę klęczącego na kamiennej posadzce z mieczem sterczącym z brzucha.

Leopold zobaczył jego niebieskie oczy.

Skądś je znał...

Jordan...

Ta myśl pobudziła Legiona do życia, oderwał się od konającego w pieczarze *strigoi*, który obracał się już w popiół. Leopold poczuł wzbierającą falę ciemności. Uwaga demona znów skierowała się na niego. Czuł, jak wnika w jego wspomnienia. Wszystkimi siłami starał się zamknąć swoją wiedzę.

O Jordanie, o innych.

Ale nie zdołał.

Zapadając się w pustkę, czuł, że jego wargi się poruszają, i usłyszał swój głos, lecz mówił nim nie on, Leopold, lecz Legion. Wypowiadał drugie imię Jordana, to prawdziwsze.

„Mąż Wojownik”.

Boże drogi, co ja zrobiłem?

Leopold umknął jedyną drogą, która dawała szansę na jeszcze kilka oddechów, drogą niknącego ogniwa.

17.31

Kume, Włochy Rozciągnięty w kałuży własnej krwi Jordan patrzył na sklepienie pieczary. Baako położył swoje duże dłonie na jego ranie, Sophia zaś odrzuciła na bok długi miecz. Jordan ledwo poczuł, jak wyszarpuje go z jego brzucha. Dziwne odrętwienie sprawiało, że odczuwał w tym miejscu chłód, a krew, w której leżał, zdawała się tym gorętsza.

Baako uklęknął nad nim i uśmiechnął się krzepiąco.

– Zajmiemy się tobą i w mig przewieziemy do Rzymu.

– Marny z ciebie łgarz... – wykrztusił Jordan.

Nie przeżyje wleczenia pod górę tunelem z rozprutym brzuchem.

Wątpił, czy dożyłby przeniesienie na drugą stronę grotu.

Zamigotał mu obraz twarzy Erin, jej roześmianych brązowych oczu i ust. Wróciły inne wspomnienia: kosmyk mokrych jasnych włosów na jej policzku, rozchylający się szlafrok, spod którego wyjrzało jej ciepłe ciało.

Nie chcę umierać w tej dziurze, z dala od ciebie.

Po prawdzie to w ogóle nie chciał umierać.

Zapragnął, by była teraz obok niego, trzymała go za rękę i mówiła, że z tego wyjdzie, nawet gdyby to była nieprawda. Chciał ją zobaczyć jeszcze jeden raz, powiedzieć, że ją kocha, sprawić, by to poczuła.

Wiedział, że Erin lęka się miłości, bo obawia się, że uczucie roztopi się jak śnieg, nie przetrwa.

A ja potwierdzam teraz jej obawy.

Chwycił mocne ramię Baako.

– Powiedz Erin... że zawsze będę ją kochał.

Sangwinista nie przestawał uciskać rany.

– Sam jej to powiesz.

– I mojej rodzinie...

Oni także muszą się dowiedzieć. Matka będzie zdruzgotana, siostry i bracia będą go opłakiwali, ich dzieci za kilka lat prawie nie będą o nim pamiętać.

Szkoda, że częściej nie dzwoniłem do mamy.

Emocjonalne odrętwienie, które od pewnego czasu na niego spadło, dotknęło nie tylko jego związek z Erin, ale także z rodziną. Odciał się od wszystkich.

Zacisnął zęby, nie chciał umierać – choćby dlatego, że pragnął wszystko naprawić. Coraz większa kałuża krwi mówiła mu jednak, że zranione ciało nic sobie nie robi z jego planów o przyszłym potomstwie, siedzeniu na ganku w bujanym fotelu i patrzeniu, jak rośnie kukurydza.

Odwrócił głowę ku Sophii, która dokonywała oględzin wroga.

Dobrze chociaż, że nie wyglądam tak jak tamten.

Strigoi także nie miał przed sobą długiego życia. O dziwo, wlepiął wzrok prosto w Jordana. Zimne, pozbawione krwi wargi poruszały się, jakby coś szeptał.

Sophia nachyliła się ku niemu, unosząc brwi.

– Co mówiłeś?

Strigoi wciągnął głębiej powietrze i jękając się, z akcentem dobrze znanym Jordanowi rzekł: – Jordanie, *mein Freund*... Wybacz.

Sophia odsunęła rękę od ciała stwora. Jordan był nie mniej zaskoczony.

Leopold.

Ale jak to możliwe?

Strigoi zadygotał i znieruchomiał.

Sangwinistka usiadła wyprostowana i pokręciła głową. Bestia nie żyła, więc jeśli istniało jakieś wyjaśnienie tych słów, zabrała je ze sobą.

Sierżant usiłował zrozumieć, lecz obraz świata zniknął, resztką życia wyciekała z niego wraz z krwią. Miał wrażenie, że wszystko się oddala, nie runął jednak w mrok, tylko w oślepiającą jasność. Chciał unieść rękę i zasłonić się, bo światło było coraz jaśniejsze, paliło go.

Zacisnął mocno powieki, ale na nic się to nie zdało.

Raz tylko w życiu poczuł taki palący blask, kiedy jako nastolatek został rażony gromem. Przeżył uderzenie, ale został po nim ślad, fraktalny wzór spalonej tkanki na ramieniu i górnej

części klatki piersiowej. Przedziwne, podobne do winnej latorośli rysunki nazywano figurami Lichtenberga, a czasem kwiatem pioruna.

Teraz z żyłek rysunku promieniowały wstęgi płynnego ognia, całkowicie go wypełniając i jeszcze bardziej wydłużając linie. Czułki gorąca rozbiegły się i sięgnęły brzucha Jordana, a ten eksplodował rozdzierającym bólem. Ogień wił się w jego trzewiach niczym żywa istota.

Czy śmierć naprawdę odczuwa się w taki sposób?

Nie miał jednak wrażenia, że opuszczają go siły. Wprost przeciwnie – w niewytłumaczalny sposób poczuł się mocniejszy.

Wziął następny oddech, a potem jeszcze jeden.

Obraz pieczary z wolna nabrał wyrazistości. Nic się nie zmieniło.

Jordan nadal leżał w kałuży swojej stygnącej krwi. Baako wciąż uciskał mocno dłońmi jego ranę.

Sierżant spojrział w zatroskane oczy Afrykanina i odsunął jego rękę.

– Czuję się dobrze.

Czuł się lepiej niż dobrze!

Baako przesunął dłonie i spojrział na miejsce, które przebił miecz.

Mocnymi palcami starł resztkę krwi.

A potem gwizdnął cicho.

Podeszła do nich Sophia.

– Co się stało? – spytała.

Afrykanin uniósł głowę i na nią spojrział.

– Rana przestała krwawić. Słowo daję, że się zmniejszyła.

Sangwinistka popatrzyła. Jej twarz wyrażała jednak zaniepokojenie, a nie ulgę.

– Powinieneś nie żyć – oznajmiła bez ogródek, wskazując gestem rozlaną szeroko krew. – Otrzymałeś śmiertelną ranę, żyję od setek lat i widziałam takich wiele.

Jordan usiadł, podpierając się rękami.

– Nie pierwszy raz mnie odhaczono jako nieboszczka. Raz nawet umarłem. Nie, dwa razy. Ale kto by tam się połapał w rachunkach.

Baako westchnął.

– Ozdrowiałeś zgodnie z tym, co napisano w księdze.

Sophia zacytowała urywek z Ewangelii Krwi: – *Mąż Wojownik związany jest z aniołami, którym zawdzięcza swoje śmiertelne życie.*

Afrykanin klepnął go w ramię.

– Zdaje się, że anioły nadal mają cię w opiece.

Albo wciąż mają ze mną coś do załatwienia, pomyślał Jordan.

– On znał twoje imię – powiedziała Sophia, kierując wzrok na *strigoi*.

Sierżant był rad, że przestają o nim mówić; pamiętał ostatnie słowa, które padły z ust umierającego stwora.

„Jordanie, *mein Freund*... Wybacz”.

– Ten głos... Przysięgłbym, że usłyszałem brata Leopolda.

– Jeżeli masz rację, to ten cud może poczekać – powiedziała Sophia. – Musimy cię przetransportować do obozu, do sanitariuszy.

Jordan rozpiął koszulę. Rana wyglądała teraz jak lepki strup. Gotów był iść o zakład, że i on zaniknie w ciągu paru godzin. Mimo to miał w oczach obraz miecza, który przebijał mu brzuch. To była kolejna zagadka.

– Widzieliście kiedyś *strigoi*, które poruszały się w taki sposób?

Baako spojrzał na Sophię, jakby sugerował, że ona ma więcej doświadczenia.

– Nigdy – przyznała.

– Był nie tylko szybki, ale i silny – dodał Jordan.

Podeszła do trupa, przetoczyła go na plecy i zaczęła zdejmować odzienie. Tułów stwora znaczyły trzy rany od pocisków. Jordan pogratulował sobie, że w ogóle udało mu się go trafić. Kiedy rozchyliła koszulę, sierżant ze zdziwienia wciągnął powietrze.

Na bladej piersi *strigoi* widniał odcisk czarnej dłoni. Jordan widział kiedyś takie znamię, było wypalone na szyi nieżyjącej już Bathory Darabont. Wiązało ją z jej byłym panem, świadczyło o tym, że kobieta do niego należy.

To znamię oznaczało tylko jedno.

– Ktoś przysłał tutaj tego stwora.

17.28

Rzym, Włochy Jam jest Legion...

Stał przed srebrzystym lustrem, całkowicie wnikając do wnętrza swojego naczynia, by skoncentrować się po wypadzie do budzącej trwogę groty. Zobaczył w lustrze niepozorną postać: rachityczne członki, zapadnięta pierś, zwiotczały brzuch. Jednakże znamię ją uszlachetniało, skóra była ciemna jak międzygwiezdna pustka.

Zamknął oczy i wejrzał w głąb cienia, który stanowił prawdziwą esencję jego istoty. Sześćset sześćdziesiąt sześć dusz. Pozwolił tym nitkom snuć się w swojej świadomości, odczytywał to, co w nich pozostało, szukał w nich odpowiedzi na pytania. Przemykały w niej refleksy dawnych cierpień, szklanego więzienia, postaci z białą brodą spoglądającej z odrazą do jego wnętrza.

Właśnie z tego bólu się zrodził.

Jest nas wielu... Jestem mnogością... Jam jest Legion.

Pośród wirów ciemności, które składały się na jego istotę, migotał jeden płomień, drżąc między niekończącymi się cieniami. Zbliżył się do ognika, widząc, że dym sączący się z ducha, który był jego źródłem, powoli zanika.

Legion znał jego imię, znał to naczynie.

Leopold.

To z tego dymu, pochodzącego ze słabnącego płomienia, Legion dowiedział się, jaki jest współczesny świat. Przeczesał zawarte w nim wspomnienia i doświadczenia, by przysposobić się do nadchodzącej wojny. Stworzył armię, zniewolił innych samym dotknięciem ręki.

Pozwolił, by wpłynęła w nich moc jego ciemności. Z każdym dotknięciem mnożyły się jego oczy i uszy, jego świadomość ogarniała coraz to większe połacie ziemi.

Miał tylko jeden cel.

Wyobraził sobie istotę o ciemnej, niezmierzonej mocy anielskiej usadowioną na czarnym tronie.

Przed wiekami ów czarny anioł splótł sześćset sześćdziesiąt sześć dusz, zamykając Legiona we wnętrzu kamienia. Pozostał tam jako zwiastun tego, co się wydarzy – czarne nasiono czekające, by zapuścić korzenie w nowym świecie i rozrosnąć się.

Kiedy wreszcie oswobodzono go z klejnotu, wczepił się w istotę, która rozłupała kamień. W Leopolda. Legion zakorzenił się mocno w nowym naczyniu, przywarł do Leopolda, zawładnął nim tak, że dwóch stało się jednym. Naczynie było donicą, z której wykiełkuje na świat, szeroko rozpostrze konary i zawładnie innymi, naznaczy ich swoim piętnem, zniewoli. I chociaż Leopold był przyczółkiem, od którego zależało istnienie Legiona w tym świecie, nadal mógł wędrować po swoich rozgałęzieniach i kierować nimi z daleka.

Obowiązek jego polegał na tym, by utorować drogę powrotu swojemu panu, przygotować świat na oczyszczenie. Ziemski ogród zostanie wówczas uwolniony od robactwa zwanego ludzkością.

Ciemny anioł obiecał ten raj Legionowi, lecz zanim otrzyma nagrodę, musi spełnić misję.

Teraz był już świadom, że istnieją moce, które sprzymierzyły się przeciw niemu.

Tego również się dowiedział z migającego w nim płomyka.

Legion nie w pełni rozumiał zagrożenie, ale odgadł, że jego naczynie broni się, by nie ujawnić mu wszystkiego. Przed chwilą poczuł, że płomień duszy Leopolda rozbłysnął jaśniej pod wpływem szoku. Zadrżał w ciemności, zwracając na siebie uwagę Legiona.

Z dymu wyczytał imię i skojarzył je z obliczem.

Mąż Wojownik.

Nie tylko to jedno imię. Mignęły także inne, gdy wspomnienia ulatywały w dym.

Rycerz Chrystusa.

Uczona Niewiasta.

W smudze dymu rozniosły się szeptane słowa proroctwa, a wraz z nimi ukazała się księga napisana ręką samego Syna Bożego. Legion wpatrzył się w płomień, by dojrzeć więcej.

Kto jeszcze stoi mi na drodze?

6

17 marca, 8.32

Santa Barbara, Kalifornia

To się właśnie nazywa daremny trud...

Z zaciśniętymi zębami Tommy wciągnął się jeszcze kilkanaście centymetrów po linie wiszącej na środku sali. Na dole stali koledzy z klasy, którzy wykrzykiwali zachęty lub obelgi. Nie odróżniał jednych od drugich, zwłaszcza że serce dudniło mu w piersi i ciężko dyszał.

Wszystko jedno.

Zawsze nienawidził ćwiczeń, nawet przed tym, jak wykryto u niego raka. Miał słabą koordynację ruchów i nie był zbyt szybki w nogach, więc do rozmaitych drużyn wybierano go przeważnie na końcu. Poza tym odkrył, że woli stronić od piłki, niż za nią skakać.

Bo właściwie po co?

Interesowało go naprawdę tylko jedno ćwiczenie: wspinaczka. Był w niej dobry i podobała mu się jej prostota. Tylko on i lina. Znikały gdzieś wtedy troski i obawy.

W każdym razie większość z nich.

Zacisnął kolana na linie i podciągnął się wyżej. Pot spływał mu po plecach. W Santa Barbara zawsze było ciepło i prawie zawsze świeciło słońce. Lubił taką pogodę. Po pobycie w Rosji i na pokładzie lodolamacza w Arktyce nie chciał nigdy więcej zaznać zimna.

Każdy, kto byłby zamrożony w lodowym posągu anioła, doceniłby słońce południowej Kalifornii.

Spojrzał w górę ku słońcu, którego blask wlewał się przez szereg okien sali gimnastycznej.

Już blisko...

Jeszcze parę metrów i będzie mógł sięgnąć drucianych klatek osłaniających lampy na suficie. Dotknięcie zakurzonych osłon stanowiło punkt honoru w dziewiątej klasie i zamierzał tego dokonać.

Zatrzymał się na chwilę przed końcowym odcinkiem wspinaczki.

Ostatnio tak łatwo tracił oddech. Martwiło go to. Pół roku temu dotknął go anioł... w sensie dosłownym. Anielska krew płynęła w jego żyłach, wyleczyła go z raka, wzmocniła, chwilowo dała mu nawet nieśmiertelność. Ale to się skończyło, spaliło wśród piasków Egiptu.

Znów był tylko zwyczajnym chłopakiem.

I tak ma zostać.

Zawisł na chwilę, spoglądając do góry i oddychając głęboko.

Dam radę.

Z dołu dobiegł ostrzejszy krzyk: – Dostyc tego! Złaż w tej chwili!

To pewnie Martin Altman, jedyny przyjaciel Tommy'ego w nowej szkole. Stracił dawnych, kiedy się przeprowadził wraz z ciocią i wujkiem. Po śmierci rodziców byli jego jedynymi krewnymi.

Odepchnął od siebie tę myśl, żeby nie pochłonęły go mroczne wspomnienia. Zerknął w dół i między stopami zobaczył Martina, który patrzył na niego, zadzierając głowę – wysoki i szczupły, z długimi rękami i nogami. Zawsze miał na podorędziu jakiś drętwy żarcik, śmiech przychodził mu łatwo.

Bo Martin nie trzymał w ramionach swoich konających rodziców.

Tommy poczuł ukłucie gniewu wobec niego, ale wiedział, że to tylko małostkowa zazdrość, więc szybko ją w sobie zdusił. Lina prześlizgnęła mu się między spoconymi palcami. Zacisnął je mocniej.

Może Martin ma rację, pomyślał.

Fala zawrotów głowy była tego potwierdzeniem. Tommy zaczął schodzić, lecz coraz bardziej ćmiło mu w oczach. Z trudem utrzymywał się na linie; przyspieszył, zsuwając się i parząc sobie na dłonie.

Cokolwiek robisz, nie pozwól...

I nagle uczuł, że leci w dół. Patrząc na słońce świecące przez wysokie okna, przypomniał sobie inne spadanie. Wtedy był nieśmiertelny.

Dzisiaj nie mam tyle szczęścia.

Runął na ułożone pod liną materace i uleciało z niego powietrze.

Odetchnął głęboko, żeby go zaczerpnąć, ale płuca nie pracowały.

– Odsuńcie się! – krzyknął pan Lessing, nauczyciel wuefu.

Wszystko poszarzało, lecz po chwili oddech wrócił. Tommy wciągał powietrze wielkimi haustami, dyszał jak zachrypnięta foka.

Koledzy stali i patrzyli na niego. Niektórzy się śmiali, inni mieli zatroskany wyraz twarzy, zwłaszcza Martin.

Pan Lessing przepchnął się między nimi.

– Nic ci nie jest – powiedział. – Tylko cię zatkało.

Tommy usiłował spowolnić oddech. Chciał zapaść się pod podłogę, tym bardziej że spostrzegł wśród innych Lisę Ballantine. Lubił ją, a teraz zrobił z siebie głupca.

Spróbował usiąść i poczuł szpilę bólu w potłuczonych plecach.

– Powoli, powoli. – Pan Lessing pomagał mu stanąć na nogi.

Tommy poczuł, jak czerwieni się na twarzy.

Sala wciąż się kołysała, złapał więc nauczyciela za ramię. Chyba już nic gorszego nie może się zdarzyć tego dnia.

Martin wskazał lewą rękę kolegi.

– To odparzenie od liny?

Tommy spojrział w dół. Rzeczywiście miał zaczerwienione dłonie, lecz Martin wskazywał ciemną plamę na wewnętrznej stronie nadgarstka.

– Pokaż – nakazał pan Lessing.

Tommy puścił jego rękę i zatoczył się krok w tył. Drugą ręką zasłonił znamię.

– Odparzyłem sobie rękę, Martin ma rację.

– No dobrze, wszyscy wychodzą – zakomenderował pan Lessing.

– Pod prysznic, raz-dwa.

Tommy ruszył szybkim krokiem. Nadal kręciło mu się w głowie, ale nie od upadku. Ręką zasłaniał liszaj. Nie chciał, by ktoś się dowiedział, a szczególnie ciocia i wujek. Utrzyma to w tajemnicy tak długo, jak się da. Mimo że nie wiedział, co się dzieje, jednego był pewien.

Żadnej chemioterapii, nie tym razem.

Potarł kciukiem płamę na nadgarstku, jakby chciał ją zmazać, bo wiedział, że dla niego cuda już się skończyły.

Nowotwór naprawdę powrócił.

Ogarnęły go lęk i rozpacz. Żałował, że nie może porozmawiać z matką lub ojcem, to było niemożliwe. Istniał jednak ktoś, do kogo mógł się zwrócić i komu mógł powierzyć swoją tajemnicę.

Inna nieśmiertelna, która tak samo jak on utraciła nieśmiertelność.

Ona będzie wiedziała, co robić.

18.25

Wenecja, Włochy Elżbieta Batory stała pośrodku klasztornego ogrodu i poprawiała słomkowy kapelusz z szerokim rondem, by osłonić nim oczy przed nisko stojącym wiosennym słońcem. Pracując na powietrzu, zawsze chroniła skórę kapeluszem, nawet w malutkim zielniku na dziedzińcu otoczonym murem, który służył jako jej więzienie.

Przed wiekami wpojono jej, że ci, w których żyłach płynie królewska krew, nigdy nie powinni mieć skóry o tym samym odcieniu co kmiecie uprawiający pola. W swoich ogrodach zamku w Čachticach sadziła rośliny lecznicze, zgłębiała sztukę leczenia, wydobywała uzdrawiające substancje z płatków kwiatów i opornych korzeni.

Również wtedy, gdy opuszczała mury, z koszykiem i nożycami, zawsze osłaniała czymś twarz.

Choć malutki zielnik był nikłym odbiciem ogrodów, które niegdyś do niej należały, ceniła sobie czas spędzony wśród mieszających się woni tymianku, szczypioru, bazylii i pietruszki. Przez całe popołudnie wyrywała stare zdrewniałe łodygi rozmarynu, by w to miejsce zasadzić lawendę i miętę. Ich swojski zapach niósł się w ciepłym powietrzu.

Zamknawszy oczy, mogła sobie wyobrazić, że jest znów w swoim zamku w letni dzień i za chwilę dzieci wybiegną jej na spotkanie. A ona poda im zebrane zioła i pójdzie razem z nimi przez pole, słuchając opowieści o tym, co robiły w ciągu dnia.

Od tego czasu minęło czterysta lat, tamten świat już nie istniał.

Jej dzieci nie żyły, zamek obrócił się w gruzy. Nawet jej nazwisko wypowiadano po cichu niczym klątwę. A wszystko przez to, że została zamieniona w parszywego *strigoi*.

Przywołała obraz twarzy Rhuna Korzy, jak na niej leżał, poczuła znów smak swojej krwi na jego ustach. Tamta chwila słabości i pożądania na zawsze odmieniła jej życie. Po pierwszym wstrząsie wywołanym świadomością przemiany w *strigoi* z radością oddała się naznaczonej klątwą formie istnienia, radowała się wszystkim, co dzięki niej zyskała. Jednakże minionej zimy została pozbawiona nawet tego, ukradła jej to ta sama ręka, która jej to dała.

Teraz znów była po prostu człowiekiem.

Słabym, śmiertelnym i do tego uwięzionym.

Bądź przeklęty, Rhunie.

Schyliła się i ze złością ucięła pęd rozmarynu, a potem cisnęła go na wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę. Marie, starsza już wiekiem zakonnica, towarzyszyła Elżbiecie i zamiatała ścieżkę miotłą domowej roboty. Osiemdziesięcioletnia z okładem kobiecina była pomarszczona jak stare jabłko, a jej niebieskie oczy zamgliała starość.

Traktowała Elżbietę z pewną dozą protekcjonalności, jakby oczekiwała, że ta wyrośnie kiedyś ze swoich niedobrych nawyków. Nie wiedziała, że podopieczna przeżyła już stulecia, a jej nigdy nie będzie to dane.

Marie nic nie wiedziała o przeszłości Elżbiety, nie znała nawet jej nazwiska.

Nie znał go nikt w klasztorze.

Dreszcz bólu w kolanie zmusił hrabinę, by przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. Rozpoznała jego źródło.

Starzeję się.

Jedno przekleństwo odeszło, pojawiło się drugie.

Kątem oka dostrzegła Berndta Niedermanna, który przemierzał dziedziniec w drodze do jadalni, by spożyć obiad. Elegancki Niemiec został ulokowany w jednym z pokoi gościnnych klasztoru. Miał na sobie ubranie uchodzące w jego czasach za oficjalne: dobrze skrojony granatowy garnitur z wyprasowanymi spodniami. Uniósł rękę w geście pozdrowienia.

Zignorowała go.

Było jeszcze za wcześnie na poufałość.

Na razie.

Rozprostowała plecy i spojrzała w inną stronę. Wenecki klasztor nie był pozbawiony uroku. Okazały budynek z majestatycznym krużgankiem wychodzącym na kanał pełnił dawniej funkcję mieszkalną. Między wysokimi kolumnami znajdowały się masywne dębowe drzwi prowadzące do nabrzeża. Elżbieta spędziła wiele godzin, wyglądając przez okno swojego pokoju i obserwując życie tętniące na kanałach. Nie było w Wenecji aut i koni, tylko łodzie i piesi. Osobliwy anachronizm, miasto, któremu czas przyniósł niewiele zmian.

W ostatnich dniach rozmawiała czasem z niemieckim lokatorem.

Berndt zbierał w Wenecji materiały do książki, którą pisał; polegało to na tym, że spacerował kamiennymi uliczkami, spożywał smaczne potrawy i pił drogie wina. Gdyby Elżbiecie

pozwolono mu towarzyszyć choć przez jeden dzień, pokazałaby mu o wiele więcej i opowiedziała historię zalanego wodą miasta. To jednak nigdy się nie zdarzy.

Nieustannie miała ją na oku siostra Abigail, sangwinistka, która dała Elżbiecie jasno do zrozumienia, że nie wolno jej opuszczać terenu klasztoru. Aby zachować życie – śmiertelne – Elżbieta musi być dalej więźniem majestatycznych murów.

Kardynał Bernard nie zostawił cienia wątpliwości. Uwięziono ją po to, by odpokutowała za popełnione zbrodnie.

Niemiec mógł się jednak przydać. Z tą myślą przeczytała jego książki, dyskutowała z nim o nich przy winie i chwaliła przy każdej okazji. Nawet te krótkie rozmowy nie odbywały się na osobności.

Wolno jej było rozmawiać z gośćmi tylko pod ścisłym nadzorem, zwykle sprawowała go albo Marie, albo Abigail, siwowłosa sangwinistka-wojowniczką.

Mimo wszystko Elżbieta znajdowała luki w nadzorze, zwłaszcza ostatnio. Mijały miesiące jej uwięzienia i ci, którzy jej pilnowali, stopniowo tracili czujność.

Przedwczoraj w nocy pod nieobecność Berndta zdołała wślizgnąć się do jego kwatery. Wśród prywatnych rzeczy znalazła kluczyk do wynajętej prywatnej motorówki. Ukradła go lekkomyślnie, licząc na to, że Niemiec pomyśli, iż go zgubił.

Jak dotąd nikt nie wszczął alarmu.

To dobrze.

Właśnie ocierała czoło chusteczką, gdy w drugim końcu dziedzińca pojawił się chłopiec w niebieskiej czapce gońca. Poruszał się beztrudno na obecną modłę, którą Elżbieta zaobserwowała u Tommy'ego; dzieci teraz jakby nie panowały nad swoimi kończynami: chodząc, majtały nimi nie wiedzieć po co. Jej dawno zmarły syn Paweł, nawet gdy był o wiele młodszy niż ten chłopak, nigdy nie poruszał się tak niezgrabnie.

Marie pokuśtykała gońcowi na spotkanie, Elżbieta zaś nadstawiła uszu, by podsłuchać rozmowę. Jej włoski był już znośny, miała bowiem niewiele innych zajęć poza uprawą

ogrodu i nauką. Ślęczała długo w noc. Wszystko, czego się nauczy, wykorzysta pewnego dnia jako oręż przeciwko tym, którzy ją uwięzili.

Uniosła do twarzy rękę, na której usiadła pszczoła.

– Ostrożnie. – Głos, który dobiegł z tyłu, wystraszył ją. Kiedy była *strigoi*, coś takiego nigdy by się nie zdarzyło. Potrafiła wtedy usłyszeć bicie czyjegoś serca daleko na polu.

Odwróciła się i zobaczyła Berndta. Musiał okrążyć dziedziniec i dyskretnie ją podejść. Stał tak blisko, że czuła zapach piżmowego płynu po goleniu.

Zerknęła na pszczołę.

– Mamy się obawiać tego stworzonka?

– Wielu ludzi ma alergię na pszczoły – wyjaśnił Berndt. – Gdyby mnie użądliła, mógłbym nawet umrzeć.

Elżbieta uniosła brwi. Teraźniejsi ludzie są tacy wątli. W jej czasach nikt nie ginął od ukąszenia pszczół. A może umierali, lecz po prostu nie wiadano, co było powodem.

– Nie możemy do tego dopuścić. – Odsunęła rękę od twarzy i dmuchnęła na pszczołę, żeby sobie odleciała.

W tej samej chwili z cienia muru otaczającego dziedziniec wyszła jakaś postać.

Siostra Abigail, naturalnie.

Sangwinistka pilnująca Elżbiety wyglądała jak niegroźna, sędziwa brytyjska zakonnica: jej kończyny były chude i słabowite, niebieskie oczy zasnuła mgła starości. Zbliżając się, poprawiła kosmyk siwych włosów, który wysunął się spod kornetu.

– Dobry wieczór, Herr Niedermann – powiedziała zakonnica. – Obiad będzie niebawem podany. Jeśli zechce pan wejść do holu, na pewno...

– Może Elżbieta by ze mną poszła – wpadł jej w słowo Berndt.

Abigail chwyciła podopieczną tak mocno, że na ramieniu Elżbiety z pewnością zostanie siniak. Ta nie opierała się jednak. Sińce mogą w sprzyjających okolicznościach wzbudzić współczucie Berndta.

– Niestety Elżbieta nie może panu towarzyszyć – oznajmiła Abigail poirytowanym tonem, który nie zostawiał miejsca na dyskusję.

– Ależ oczywiście, że mogę, siostró – zaproponowała Elżbieta. – Wszak nie jestem więźniem, prawdaż?

Kanciasta twarz Abigail aż poczerwieniała.

– Zatem ustalone – rzucił Berndt. – A później może wybralibyśmy się na krótką wycieczkę łodzią?

Elżbieta zapanowała nad sobą siłą woli; złękła się, że Abigail usłyszy nagle przyspieszone bicie jej serca. Czyżby zaginięcie kluczyka zostało odnotowane?

– Elżbieta chorowała – oznajmiła zakonnica, usiłując wymyślić jakiś pretekst, który zatrzymałby podopieczną w murach klasztoru. – Nie wolno jej się przemęczać.

– Może morskie powietrze dobrze mi zrobi – powiedziała z uśmiechem zainteresowana.

– Nie mogę wyrazić na to zgody – oświadczyła Abigail. – Twój...

twój ojciec bardzo by się gniewał. Przecież nie chcesz, żebym zawiadomiła Bernarda, prawda?

Elżbieta dała za wygraną, choć zabawa ze strażniczką w kotka i myszkę sprawiała jej wielką przyjemność. Woląca nie ściągać na siebie uwagi Bernarda.

– Szkoda – powiedział Berndt. – Zwłaszcza że jutro muszę wyjechać.

Elżbieta spojrzała na niego ostro.

– Myślałam, że zostaje pan jeszcze tydzień.

Uśmiechnął się, słysząc żal w jej głosie; wziął go za oznakę sympatii.

– Niestety, ale interesy wzywają mnie do Frankfurtu wcześniej, niż się spodziewałem.

Fatalnie! Jeśli Elżbieta chciała wykorzystać do ucieczki jego motorówkę, musiała to zrobić tej nocy. Myślała szybko, wiedząc, że to jej najlepsza szansa. Nie tylko na ucieczkę.

Plany Elżbiety nie kończyły się na odzyskaniu wolności.

Znowu mogła jak kiedyś chodzić w słońcu, ale utraciła o wiele więcej. Jako istota ludzka i śmiertelniczka nie mogła już słyszeć najcichszych dźwięków, wyczuwać najdelikatniejszych zapachów ani podziwiać świetlistych barw nocy. Czuła się tak, jakby spowijał ją gruby koc.

Nienawidziła tego.

Pragnęła powrotu zmysłów przynależnych *strigoi*, chciała znów czuć siłę przepełniającą członki, lecz nade wszystko pożałowała nieśmiertelności – wyzwolenia nie tylko z murów klasztoru, lecz także z pochodzących lat.

Nic mnie nie powstrzyma.

Nim zdążyła zrobić następny ruch, zawibrował telefon komórkowy ukryty w kieszeni jej spódnicy.

Numer znała tylko jedna osoba.

Tommy.

Elżbieta odsunęła się od Niemca.

– Dziękuję panu, Berndt, ale siostra Abigail ma rację. – Dygnęła, zbyt późno przypominając sobie, że nikt już się tak nie zachowuje. – Praca w ogrodzie trochę mnie osłabiła. Może jednak zjem posiłek w swoim pokoju.

Usta Abigail się zwęziły.

– Bardzo roztropna decyzja.

– Szkoda – powiedział z rozczarowaniem Berndt.

Abigail ujęła podopieczną za rękę jeszcze mocniej niż przedtem i zaprowadziła do pokoju.

– Masz tu zostać – rozkazała, gdy stanęły przed celą. – Przyniosę ci obiad.

Zakonnica zamknęła drzwi na klucz. Elżbieta poczekała, aż zamilkną jej kroki, i podeszła do zakratowanego okna. Teraz mogła już wyjąć telefon i oddzwonić.

Usłyszawszy głos Tommy'ego, od razu wiedziała, że coś się stało.

Był zmrożony strachem.

– Mam nawrót nowotworu. Nie wiem, co robić, komu powiedzieć.

Elżbieta mocniej ścisnęła słuchawkę, jakby przez fale eteru mogła dosięgnąć chłopca, którego pokochała jak własnego syna.

– Opowiedz mnie.

Znała dzieje Tommy'ego, wiedziała, że chorował, zanim dawka anielskiej krwi uleczyła go i zapewniła mu nieśmiertelność. Teraz znów był zwykłym śmiertelnikiem, tak jak Elżbieta, i tak jak przedtem dotkniętym chorobą. Usłyszała od niego kiedyś słowo „nowotwór”, ale nigdy naprawdę nie pojęła natury tego schorzenia.

Chciała zrozumieć lepiej, więc poprosiła: – Opowiedz mi o tym nowotworze.

– To taka choroba, która zżera od środka – mówił cicho, ze smutkiem i beznadzieją. – Choruje moja skóra i kości.

Współczuła mu całym sercem. Pragnęła go pocieszyć, tak jak pocieszała często swojego synka.

– Z pewnością w tych nowoczesnych czasach doktorzy mogą cię z tego wyleczyć.

Nastąpiła długa pauza, a potem zmęczone westchnienie.

– Nie z tej odmiany, którą mam. Chemioterapia trwała latami, cały czas rzygałem. Straciłem włosy. Nawet kości mnie bolały.

Lekarze nie zdołali zatrzymać choroby.

Elżbieta oparła się o zimną otynkowaną ścianę i patrzyła na ciemną wodę w kanale za oknem.

– Nie możesz znowu poddać się tej chemioterapii?

– Nie chcę – odparł zdecydowanym tonem, jak mężczyzna. –

Szkoda, że wtedy nie umarłem. Chyba powinienem. Nie chcę znowu przechodzić tego koszmaru.

– A twoja ciocia i wujek? Co ich zdaniem powinieneś zrobić?

– Jeszcze im nie powiedziałem i nie zamierzam. Kazaliby mi poddać się znowu terapii, a ona mi nie pomoże. Wiem o tym. Będzie, co ma być.

Słyszając w jego głosie rezygnację, Elżbieta poczuła gniew.

Może ty nie chcesz walczyć, ale ja będę.

– Słuchaj – mówił Tommy – nikt mnie nie wyratuje. Zadzwoń mi tylko, żeby pogadać, żeby zrzucić ciężar z piersi...

Usłyszeć kogoś, komu mogę ufać.

Jego uczciwość ją poruszyła. On jeden na całym świecie darzył ją zaufaniem. I był jedynym człowiekiem, któremu mogła odpłacić tym samym. Jej determinacja się wzmocniła. Syn Elżbiety zmarł, bo nie zdołała go ochronić. Nie pozwoli, by to samo spotkało tego chłopca.

Mówił jeszcze przez kilka minut, przede wszystkim o swoich zmarłych rodzicach. Kiedy go słuchała, w jej sercu narodziło się poczucie nowego celu.

Wyrwę się z tych murów... I ocalę cię.

7

17 marca, 18.38

Watykan

Z deszczu pod rynnę...

Po bezpiecznym wymknięciu się z biblioteki sangwinistów Erin spotkała się z Christianem i siostrą Margaret, a następnie wezwano ją do siedziby kardynała Bernarda w Pałacu Apostolskim. Podążała za ubranym na czarno księdzem długim korytarzem wyłożonym drewnem; w drodze do prywatnego skrzydła sangwinistów mijala apartamenty papieskie.

Zachodziła w głowę, dlaczego kardynał ją wzywa.

Czyżby dowiedział się o moim wykroczeniu?

Starala się iść tak, by nie zdradzać napięcia. Już wcześniej zwróciła się z pytaniem do swojego przewodnika. Ojciec Gregory był nowym asystentem Bernarda i nie otwierał ust bez potrzeby. Cecha ta była potrzebna każdemu, kto służył kardynałowi.

Przyjrzała mu się. Miał mlecznobiałą skórę, gęste ciemne brwi i czarne włosy sięgające do kołnierza. W odróżnieniu od poprzedniego asystenta kardynała był sangwinistą. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, ale mógł ich liczyć sobie setki.

Dotarli do drzwi gabinetu Bernarda i ojciec Gregory je otworzył.

– Proszę, pani doktor.

Usłyszała irlandzki zaśpiew w jego głosie.

– Dziękuję, ojciec.

Wszedł za nią do środka i zerknął na zegarek ze staroświecką dewizką.

– Obawiam się, że przyszliśmy ciut za wcześnie. Kardynał zaraz nadejdzie.

Erin podejrzewała Bernarda o drobny podstęp – pewnie celowo kazał jej czekać, by odczuła jego wyższość. Kardynałowi wciąż było nie w smak, że Ewangelia Krwi została powierzona młodej Amerykance.

Ojciec Gregory wysunął krzesło spod szerokiego mahoniowego biurka. Erin położyła obok plecak.

Czekając, rozglądała się; zawsze spostrzegała coś nowego i zaskakującego. Oprawione w skórę zabytkowe księgi zapełniały regały od podłogi do sufitu, na biurku połyskiwał wysadzany klejnotami globus z szesnastego wieku, a nad drzwiami wisiał miecz z epoki krucjat.

Sam kardynał walczył tym mieczem, odbijając Saracenom Jerozolimę tysiąc lat temu, Erin zaś przed paroma miesiącami zobaczyła, jak sprawnie nim włada. Wolał działać za kulisami, lecz wciąż był z niego groźny wojownik.

Nie należało o tym zapominać.

– Na pewno jest pani przemęczona po całym dniu wertowania książek – powiedział ojciec Gregory, zmierzając do wyjścia. – Przyniosę kawy.

Gdy tylko zamknął drzwi, okrążyła biurko kardynała. Obrzuciła wzrokiem papiery leżące na blacie, błyskawicznie je czytając. Jeszcze kilka miesięcy temu nie ważyłaby się naruszyć prywatności kardynała, lecz od tego czasu zobaczyła śmierć wielu ludzi, a w obliczu tego dbałość o zachowanie tajemnic kardynała straciła na ważności.

Wiedza to potęga, a Erin nie zamierzała pozwolić, by Bernard trzymał ją tylko dla siebie.

Arkusze leżący na wierzchu napisany był po łacinie. Przebiegła wzrokiem tekst, tłumacząc na bieżąco. Dwaj *strigoj* dokonali napaści na klub nocny w Rzymie i zabili trzydzieści cztery osoby. Tak jawne ataki były czymś niezwykłym, prawie się nie zdarzały we współczesnych czasach. W ciągu minionych stuleci nawet *strigoj* nauczyli się działać potajemnie i ukrywać ciała ofiar.

To jednak najwyraźniej się zmieniło.

Erin przeczytała raport i odkryła coś jeszcze bardziej niepokojącego. Wśród ofiar było troje sangwinistów. Ze zdziwienia przełknęła ślinę.

Dwaj *strigoi* uśmiercili trójkę wyszkolonych sangwinistów?

Odsunęła arkusz na bok i przeczytała drugi, dla odmiany po angielsku. Zawierał relację z podobnego zdarzenia w bazie wojskowej nieopodal Londynu. Dwudziestu siedmiu uzbrojonych żołnierzy poniosło śmierć przy kolacji w kantine.

Erin przerzuciła pozostałe papiery. Zawierały relację o dziwnych i zaciekłych atakach we Włoszech, Austrii i Niemczech. Bijąca z niej groza pochłonęła ją tak bardzo, że omal nie zauważyła, że drzwi się otwierają.

Uniosła głowę.

Wszedł kardynał Bernard w purpurowej szacie odpowiadającej jego stanowisku. Białe włosy i spokojne zachowanie sprawiały, że łatwo było go wziąć za dobrotliwego dziadunia.

Westchnął i skinieniem głowy wskazał biurko.

– Widzę, że czytała pani doniesienia moich wywiadowców.

Erin nie próbowała się wypierać.

– Niewiele w nich szczegółów. Czy wiadomo coś więcej o napastnikach?

– Nie – odparł, gdy zamienili się miejscami. Kardynał usiadł w swoim fotelu, Erin zaś na krześle po drugiej stronie biurka. –

Wiemy, że wyróżnia ich zajadłość, brak zdyscyplinowania i nieprzewidywalność.

– Co mówią świadkowie?

– Jak dotąd nikt nie przeżył. Udało nam się jednak zdobyć zapis z kamery bezpieczeństwa dokumentujący ostatni z tej serii ataków, w dyskotecie.

Erin się wyprostowała.

– Wygląda dość okropnie – ostrzegł Bernard, odwracając monitor w jej stronę.

Nachyliła się.

– Proszę pokazać.

Kardynał otworzył plik i na monitorze ukazał się ziarnisty obraz przedstawiający ludzi tańczących na ciemnym parkiecie. Migwały światła stroboskopowe i choć nagranie było bez dźwięku, Erin mogła sobie wyobrazić ciężkie dudnienie basu.

– Niech pani obserwuje te dwie postacie – odpowiedział Bernard.

Wskazał sylwetki dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach widoczne na skraju ekranu. Powoli weszli na parkiet. Jeden był biały, drugi czarnoskóry. Erin zmrużyła oczy, przypatrując się uważniej.

Jakość nagrania nie pozwalała rozróżnić rysów twarzy, lecz wydawało się, że skóra tego drugiego pochłania światło. Twarz wyglądała jakoś nienaturalnie, przypominała maskę.

Garstka tańczących jakby wyczuła, że znaleźli się wśród nich myśliwi. Rozsunęli się, tworząc nieregularny krąg wolnej przestrzeni wokół intruzów. Ich obawy były ze wszech miar uzasadnione. Po chwili dwaj *strigoi* rozpoczęli wściekły atak i poruszali się tak błyskawicznie, że ich postacie się rozmyły. Erin nigdy dotąd nie widziała *strigoi* uwijających się z taką prędkością.

W niespełna dziesięć sekund na parkiecie nie stał nikt oprócz nich.

U stóp *strigoi* leżały skrwawione ciała. Każdy podniósł z podłogi jedną ranną kobietę, zarzucił ją sobie na ramię i zniknął z pola widzenia kamery.

Erin zadrżała na myśl o tym, co spotkało te biedne dziewczęta.

Kardynał stuknął palcem w klawisz i obraz znieruchomiał.

Przełknęła ślinę, myśląc o bólu i przerażeniu, które towarzyszyły ostatnim chwilom życia mordowanych. Żadna z tych osób nie miała szans.

– Czy policja poszukuje sprawców? – zapytała.

Kardynał skierował monitor w swoją stronę.

– Szukają, ale nie rozumieją czego.

– Co eminenca ma na myśli?

– Nie dano im do wglądu tego materiału. Jak pani wie, nie wolno nam ujawnić wszystkim dowodu świadczącego o istnieniu *strigoi*.

– Więc jak ludzie mają się przed nimi bronić? – spytała Erin, odchylając się na oparcie krzesła.

– Rozesłaliśmy więcej drużyn, patrolują miasto dzień i noc.

Znajdziemy tych dwóch zabójców i ich zgładzimy. To nasz święty obowiązek.

Mogła sobie tylko wyobrażać, ile niewinnych istnień padnie ich ofiarą do tego czasu.

– Ci *strigoi* byli bardzo szybcy. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

Kardynał się skrzywił.

– I nie są jedynymi, podobne doniesienia nadchodzą z całego świata. Z jakiejś przyczyny *strigoi* zaczęli się zmieniać, nabierać sił.

– Ja też o tym słyszałam. Ale dlaczego tak się dzieje? I czemu teraz?

– Nie mam pewności, lecz obawiam się, że ma to związek z przepowiednią.

Erin ściągnęła brwi, próbując odgadnąć, do czego nawiązuje rozmówca.

– O tym, że kajdany Lucyfera się poluzowały.

– To właśnie sprawia, że zło napływa do naszego świata szerszym strumieniem. Następuje zmiana równowagi, słudzy zła zyskują dodatkowe siły, a moc świętości słabnie.

Przyjrzała się baczniej kardynałowi, taksując go.

– Wasza Eminencja czuje się słabszy?

Bernard zacisnął jedną dłoń spoczywającą na blacie biurka.

– Tutaj, na uświęconej ziemi, nie. Ale w ostatnich dwunastu tygodniach straciliśmy w terenie osiemnastu sangwinistów.

Osiemnastu... Liczebność zakonu spadała od dziesięcioleci, tak jak liczba księży katolickich. Sangwiniści nie mogli sobie

pozwolić na utratę dalszych szeregowych żołnierzy, zwłaszcza w obliczu nadchodzącej wojny.

– Czy w tych atakach daje się zauważyć jakiś schemat geograficzny? – spytała Erin. – Może gdybyśmy wiedzieli, gdzie się zaczęły, dałoby to nam wskazówkę, jak je powstrzymać.

Kardynał przyjrzał jej się uważnie.

– Doktor Granger, jak zwykle trafia pani w sedno.

Usiadła prosto na krześle.

– Wasza Eminencja czegoś się domyślił.

– Skrzętnie zapisywaliśmy daty i miejsca ataków.

– Stworzyliście bazę danych. Mądre posunięcie.

Purpurat skinął głową, odnotowując komplement, i ponownie odwrócił monitor w stronę Erin. Szybko otworzył na ekranie mapę Europy. Rozbłysły na niej drobne czerwone kropki znaczące miejsca ataków. Aż się wzdrygnęła, widząc, jakie są liczne; mimo to patrzyła z uwagą.

– Metoda ekstrapolacji wstecznej – podjął Bernard, wskazując mapę – pozwala stwierdzić, że rozpoczęły się w jednym miejscu i stamtąd coraz bardziej się rozprzestrzeniały.

Powiększył epicentrum niebezpiecznego zjawiska.

Erin przeczytała nazwę i miała wrażenie, że krew odpływa jej z trzewi.

– Kume, siedziba wyroczni...

I miejsce, w którym przebywał teraz Jordan.

Spojrzała na kardynała.

– Czy Wasza Eminencja miał wiadomości od sierżanta Stone'a i jego ekipy? Dowiedzieli się czegoś?

Bernard osunął się głębiej na fotelu, jakby dźwigał jakiś ciężar.

– To drugi powód, dla którego panią wezwałem. Pomyślałem, że powinna pani usłyszeć to ode mnie. Doszło do ataku...

Przerwał mu ojciec Gregory, wchodząc ze srebrnym serwisem do kawy. Erin zerknęła na niego i nagle zakręciło jej się w głowie. Zapewne usłyszał gorączkowe trzepotanie jej serca, bo znieruchomiał przy drzwiach.

Odwróciła się znów do kardynała.

– Czy Jordanowi nic się nie stało?

Bernard skinął na ojca Gregory'ego.

– Zostaw kawę na stoliku. To na razie wszystko.

Erin nie czekała na wyjście asystenta. Czas, gdy wyczekiwała, aż sangwiniści z własnej woli zechcą jej coś powiedzieć, dawno minął.

– Co się wydarzyło? – rzuciła, nachylając się ku niemu zapalczywie.

Bernard uniósł dłoń, wyraźnie dając do zrozumienia, by się uspokoiła.

– Proszę się nie lękać, Jordan i jego ludzie nie ponieśli uszczerbku.

Oparła się na krzesło. Wyrwało jej się westchnienie, ale wyczuła, że kardynał coś przed nią zataja. Usłyszała już jednak odpowiedź na najważniejsze pytanie, więc poczekała, aż ojciec Gregory wyjdzie z gabinetu.

– Czego eminencja mi nie mówi?

– Dziś rano drużyna Jordana natrafiła na nowy tunel, który wyglądał na niedawno zrobiony. Zdaje się, że coś go wydrążyło, by wydostać się z podziemnej świątyni.

– Coś? To znaczy co?

– Nie wiadomo. Wiemy natomiast, że zniknęło stamtąd ciało brata Leopolda.

Erin uporządkowała w myślach przebieg wypadków. Podczas bitwy stoczonej w świątyni ubiegłej zimy Leopold zginął z ręki Rhuna...

W każdym razie tak się wydawało. Jeśli jednak ciało zaginęło, to znaczy, że albo Leopold żył, albo ktoś wyniósł jego zwłoki.

Powróciła do wątku, który był najbliższy jej sercu.

– Eminencja powiedział, że doszło do ataku.

– Jeden *strigoi* rzucił się z ukrycia na Jordana i jego drużynę.

Stało się to w świątyni.

Zaniepokojona Erin wstała i podeszła do stolika, na którym ojciec Gregory zostawił kawę. Nalała jej do filiżanki

i przypomniała sobie, że Jordan nie ucierpiał.

Mimo to...

Ogrzewając sobie dłonie filiżanką, odwróciła się do Bernarda.

– Czy *strigoj* był tak szybki i silny jak ci, których widzieliśmy na nagraniu?

– Wszystko na to wskazuje. Dobra wiadomość jest taka, że przywiozą jego zwłoki do Rzymu, zostanie tutaj poddany badaniom. Może się czegoś dowiemy.

– Kiedy? – spytała ostrym tonem Erin. Chciała jak najprędzej zobaczyć Jordana, upewnić się, że nic mu nie jest.

– Powinni tu być za godzinę. Ale znaleźli w pieczarze coś, o czym woleli nie rozmawiać przez telefon. Jordan oznajmił, że chce, aby pani zobaczyła to pierwsza. – Kardynał był zirytowany, że ktoś odmawia wyjawienia mu informacji. – Jego zdaniem pani może to rozpoznać, ponieważ, jak twierdzi z uporem, jest pani Uczoną Niewiastą.

Wzięła łyk kawy, chcąc jej ciepłem odpędzić mrozący strach.

Doceniała wiarę, jaką pokładał w niej Jordan, ale miała nadzieję, że się nie przeliczy – nie wiedziała, co przywiezie z Kume. Jej myśli powróciły do zagadki zaginionych zwłok Leopolda i tajemniczych słów Bernarda.

Coś wydrążyło tunel, by wydostać się z podziemnej świątyni.

19.02

Rzym, Włochy Legion przemykał wzdłuż wysokiego muru w sercu Rzymu. Szedł tak, by nie wychodzić z cienia muru. Wprawdzie słońce już zaszło, ale ulica wciąż jarzyła się światłem. Wolał polować w ciemniejszych miejscach. Na wszelki wypadek naciągnął na głowę kaptur kurtki, gdyż jedno wiedział na pewno.

Każdy, kto spojrzy na me odsłonięte oblicze, bez wątpienia rozpozna mój majestat.

Pozostawało jednak wiele rzeczy, których nie wiedział.

To musi się skończyć.

Jego naczynie, to o imieniu Leopold, okazało się wartościowe. Z migotliwego płomienia, który wciąż świecił w mroku tej istoty,

Legion dowiedział się bardzo wiele o prorocctwie i o tych, którzy stali mu na drodze do spełnienia obowiązku.

Słowa przepowiedni rozbrzmiewały mu w uszach przy każdym kroku.

Troje wybranych musi wspólnie przystąpić do ostatniej misji. Kajdany Lucyfera zostały rozluźnione, jego kielich nie jest odnaleziony.

Trzeba światła całej trojki, by wykuć kielich na nowo i zepchnąć go znów w jego miejsce wiekuistej ciemności.

Przywołał obraz tego, którego zwano Mężem Wojownikiem, widział jego niebieskie oczy i twardo ciosane płaszczyzny twarzy.

Wojownik uosabiał wszystko, czym była męskość, stanowił jej wcielenie.

Jezdnią prowadzącą wzdłuż muru przemknął duży pojazd, wzbijając kurz i plując brudnymi oparami. Dzięki pamięci Leopolda Legion dowiedział się, że nazywa się autobus. Powrócił do własnych wspomnień. Jako ten, który upadł, przemierzał ogród świata niezliczonymi laty; pojawił się w tym ogrodzie na długo przed człowiekiem. Tam gdzie kiedyś rosło bujnie to, co dzikie, ludzie przyoblekli ziemię sztucznym kamieniem. Tam gdzie pod błękitnym niebem szemrały czyste strumienie, snuł się teraz brud, w wodzie i powietrzu.

Od samego początku wiedział, że człowiek nie jest godzien, by odziedziczyć ten raj. Gdy wybuchła wojna w Niebie, przystąpił do pozostałych, by sprzeciwić się boskiemu planowi stworzonemu dla człowieka; liczył na to, że ogród przypadnie jemu. Jednakże w końcu przegrali bitwę i zostali strąceni, ludzkość zaś udowodniła, tak jak przewidywał, że jest klątwą ogrodu, chwastem, który powinno się wyplenić i spalić.

Odbiorę im raj.

Nic mnie nie powstrzyma.

Nawet prorocctwo.

W tym celu musi dowiedzieć się więcej o triadzie i ją pokonać. Dotknął ciemnymi palcami muru i poczuł pieczenie świętości

przenikającej kamienie. Ta ściana oddzielała Rzym od Watykanu. Legion krążył wzdłuż niej z jednym ustalonym celem.

Dzięki Leopoldowi poznał imiona dwóch pozostałych członków triady, Uczonej Niewiasty i Rycerza Chrystusa. Zapewne przebywają w pobliżu, kryją się w błogosławionym bastionie. Oderwał palce od muru i popatrzył na swoją dłoń. Zakotłowała się na niej ciemność.

Jeśli położy rękę na którymś członku triady, w jednej chwili weźmie go w posiadanie.

Jednym dotknięciem mogę zniweczyć zagrożenie, jakim jest prorocstwo.

Zbliżał się do niego ktoś, kto umożliwi zrobienie pierwszego kroku na drodze do celu. Legion liczył, że napotka taką osobę na obrzeżu świętego miasta. Postać szła trotuarem tak jak wszyscy inni przechodnie. Jednak wyostrzone zmysły pozwoliły Legionowi wychwycić różnicę.

W tej piersi nie biło serce.

Był to sangwinista, Legion poznał to słowo dzięki Leopoldowi.

Sługa Boga chwilę za późno zdał sobie sprawę, że staje wobec nadprzyrodzonego. Czarne palce Legiona zamknęły się na obnażonym ramieniu mężczyzny. Ofiara upadła na kolana i Legion spalił jego wolę, przeniknął go ciemnością do samego serca.

Będiesz moimi oczami i uszami w świętym mieście.

Spojrzał na mur. Niewolnik wskaże mu kryjówkę wroga, dzięki niemu położy kres zagrożeniu.

Tym razem nie ulegnę.

19.15

Watykan W oczekiwaniu na przybycie Jordana Erin przyglądała się mapie wyświetlonej na monitorze Bernarda. Czerwone kropki oznaczające ataki *strigoi* rozchodziły się z Kume.

– To przypomina zarazę – powiedziała cicho.

Kardynał uniósł głowę, odrywając wzrok od raportów.

– Co pani mówiła?

Wskazała ekran monitora.

– A gdybyśmy potraktowali schemat ataków tych dziwnie odmienionych *strigoi* jak chorobę, jak patogen, który się szerzy?

– I co nam to da?

– Może zamiast dążyć do zapobieżenia dalszym atakom powinniśmy skupić wysiłki na znalezieniu pacjenta zerowego. Jeśli go odnajdziemy...

Przerwało jej krótkie pukanie do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołał Bernard, wyglądając czerwoną piuskę, oznakę swojej wysokiej godności. Kardynał nigdy by nie przyznał, jaki jest próżny.

Erin odwróciła się do drzwi. Ojciec Gregory wszedł do środka, lecz tylko po to, by otworzyć drzwi innym. Na widok pierwszego przybysza Erin zerwała się z krzesła i w okamgnieniu pokonała pół gabinetu.

Jordan porwał ją w ramiona i uniósł. Objęła go z całej siły. Kiedy postawił ją na podłodze, odsunęła się na długość ramion i zmierzyła spojrzeniem całą jego postać.

Mimo zapewnień kardynała pozostał w niej niepokój, czy jest cały i zdrowy. Jordan wyglądał jednak naprawdę dobrze. Więcej, prezentował się wspaniale; jego opalona skóra promieniała zdrowiem.

Stanęła na palcach, zachęcając go do pocałunku. Schylił się i cmoknął ją w policzek. Jego wargi były rozpalone jak w gorączce.

Erin opadła na pięty i dotknęła swojego policzka.

Całus w policzek?

Tak letni gest uczucia nie pasował do Jordana, odebrała go prawie jak demonstrację niechęci.

Spojrzała w jego niebieskie oczy i przesunęła dłonią po gęstwinie krótkich jasnych włosów; chciała zapytać, co się dzieje. Wierzchem dłoni dotknęła jego czoła. Skóra paliła gorącem.

– Masz temperaturę?

– Ależ skąd, czuję się świetnie. – Cofnął się o krok i kciukiem wskazał towarzysza. – Pewnie się zagrzałem, bo musiałem za

nim gonić.

Był to Christian. Z wyrazu twarzy młodego sangwinisty Erin odgadła, że on także jest zatroskany. Jordan z pewnością coś przemilczał.

Nie zdążyła zadać kolejnych pytań, bo Christian wszedł do gabinetu. Był ubrany na luzie; miał na sobie wytarte czarne dżinsy i granatową wiatrówkę, pod którą widać było koszulę i koloratkę.

Skinął Bernardowi na powitanie.

– Sophia i Baako zanieśli zwłoki *strigoi* do papieskiej sali chirurgicznej.

Erin przestała tymczasem myśleć o rezerwie okazanej przez Jordana i skupiła się na zagadce, którą przywiózł ze swoimi towarzyszami. Jeżeli zdołają odkryć źródło nadzwyczajnej siły i szybkości *strigoi*, może uda im się w przyszłości je zniwelować.

To jednak musiało poczekać.

Christian wyjął z kieszeni kawałek wojskowego materiału. Z poczuciem winy spojrział w kierunku Jordana.

– Sophia prosiła, żebym pokazał to Erin.

Ta wstrzymała oddech, ponieważ rozpoznała szmatkę. Był to skrawek materiału z koszuli Jordana, zlepiony krwią, z wyraźnym śladem cięcia pośrodku. Zerknęła z niepokojem na sierżanta.

Ten wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nic wielkiego. Draśnięcie w czasie walki.

– Draśnięcie? – powtórzyła Erin; czuła, że Jordan coś ukrywa.
– Pokaż mi.

– Przysięgam, nie ma na co patrzeć – odparł, unosząc ręce.

– Jordanie... – rzuciła ostrzegawczym tonem.

– No dobra. – Podciągnął koszulkę i ukazało się sześć wyraźnie zaznaczonych mięśni brzucha.

Wszystko w najlepszym porządku.

Przesunęła palcem po nienaturalnie rozgrzanej skórze i zauważyła wąską linię blizny. Wcześniej jej nie było. Nie odrywając dłoni od brzucha sierżanta, zerknęła na przesiąkniętą

krwią szmatkę, którą trzymał w ręku Christian. Ślad cięcia odpowiadał kształtowi blizny.

– Draśnięcie czy nie, ta rana nie powinna była się tak szybko zagoić – orzekła.

Bernard także podszedł do Jordana, żeby mu się przyjrzeć.

– Ze słów Sophii i Baako wynika, że Jordan ozdrowiał samorzutnie, bez szkodliwych następstw – oznajmił Christian.

Bez szkodliwych następstw?

Skóra, którą Erin czuła pod pakami, była rozpalona. Jordan unikał jej wzroku. Przypomniała sobie, jak poprzednim razem miał tak wysoką temperaturę. Nastąpiło to po tym, jak został uzdrowiony anielską krwią Tommy'ego. Czyżby to był dowód potwierdzający prorocstwo mówiące o Mężu Wojowniku? Słowa z książki rozbrzmiały w jej głowie: *Mąż Wojownik związany jest z aniołami, którym zawdzięcza swoje śmiertelne życie.*

Jordan szarpnięciem opuścił koszulkę i zerknął na Erin.

– Nie chciałem, żebyś się zamartwiała. Woląłem powiedzieć ci o tym, kiedy będziemy sami.

Doprawdy?

Bardzo jej się nie podobało, że wątpi w jego słowa, ale tak było.

– Uznałem, że najpierw mamy ważniejszą kwestię do załatwienia – dodał.

Sięgnął ręką do kieszeni wojskowych spodni, coś wyjął i pokazał wszystkim. W blasku świec błysnęły krawędzie obiektu. Przypominały dwa kawałki pękniętego zielonego jajka.

– Znaleźliśmy to obok ołtarza w świątyni wyroczni – wyjaśnił Jordan.

Przemierzył gabinet i złożył fragmenty na biurku kardynała.

Wszyscy podeszli i stanęli w kręgu. Wypolerowane fasety rzucały tęczowe promienie na twarze zebranych. Erin nigdy nie widziała równie jasnych: były żółte jak słońce, zielone jak rozświetlona jego blaskiem trawa, błękitne jak letnie niebo. Przedmiotu tego z pewnością nie wykonano ze zwykłego szkła.

– Co to za kamień? – spytała.

– Diament, tak mi się wydaje – odparł Christian, nachylając się. – Zielony diament, mówiąc ściśle. Niesłychanie rzadki.

Erin patrzyła na kamień, oczarowana jego urodą. Rzucił na biurko cętkowane refleksy. Połyskliwe szmaragdowe łyzy przypominały maleńkie listki tańczące na letnim wietrze.

Jordan połączył ze sobą oba fragmenty.

– Znaleźliśmy to pęknięte na pół, ale kiedyś musiał to być jeden klejnot. Spójrzcie tutaj...

Odwrócił kamień tak, by widać było symbol wyryty w kryształach.

Erin nachyliła się i palcem wskazującym dotknęła linii. Zdawało się, że wzór jest wtopiony w kamień.

– Dziwne, prawda? – mówił Jordan, widząc, że zwróciła na to uwagę. – Wygląda, jakby ten symbol od zawsze był częścią diamentu, że wcale go nie wygrawerowano.

Erin ściągnęła brwi.

– Słyszałam o skazach i domieszkach w klejnotach, ale trudno uwierzyć, by tak precyzyjny rysunek powstał w sposób naturalny.



Christian potwierdził skinieniem głowy.

– Zgadzam się.

Erin się wyprostowała.

– Poza tym widziałam już kiedyś ten znak.

Poczuła lekką satysfakcję na widok zdumienia na twarzach mężczyzn.

– Gdzie? – spytał Bernard.

Wskazała regał w jego gabinecie.

– Właśnie tutaj.

Aby dowieść swoich słów, podeszła do regału i zdjęła mały tomik oprawiony w skórę. Sama dostarczyła kardynałowi tę nieczystą księgę. Podniosła ją ze śniegu w Sztokholmie po tym, jak upuściła ją Elżbieta Batory. Był to osobisty dziennik Krwawej Hrabiny; notowała w nim swoje zbrodnie i makabryczne eksperymenty.

Erin podeszła z książką do biurka i otworzyła kruchą okładkę.

Książeczka liczyła setki lat. Mimo to Erin gotowa była przysiąc, że czuje zapach krwi wionący z kartek. Przerzuciła stronicę z rysunkami leczniczych ziół i doszła do tej części, na której Batory zawarła opisy swoich późniejszych dokonań, a także szczegółowe rysunki przedstawiające anatomię ciał ludzi i *strigoi*. Wzrok Erin przyciągnęły spisane staranną ręką notatki o zatrważających, krwawych doświadczeniach dokonywanych na żywych kobietach oraz *strigoi*. Eksperymenty musiały przynosić im straszliwe cierpienia i śmierć.

Szukała dalej.

Znalazła na końcu książki, na ostatniej stronie. Widniał tam symbol nakreślony jakby w wielkim pośpiechu.



Był identyczny z tym, który wyryto w kamieniu.

– Co on znaczy? – chciał wiedzieć Bernard.

– Trzeba będzie zapytać tej, która go zapisała – odparła Erin.
Jordan aż jęknął.

– Coś mi się zdaje, że nie będzie skora do współpracy, zwłaszcza po tym, co zrobił jej Rhun. Chętna do wybaczenia to ona raczej nie jest.

– Mimo to Rhun jest być może jedyną osobą, która mogłaby ją nakłonić do mówienia – zauważyła Erin.

Sierżant westchnął.

– Innymi słowy, nadszedł czas, by kapela znowu się spiknęła.

Nie wyglądał na uradowanego; Erin poczuła jednak odrobinę ulgi na myśl, że triada z proroctwa ponownie się zjednoczy.

Wyobraziła sobie popielatą twarz Rhuna i jego ciemne nawiedzone oczy. Odwróciła się do kardynała.

– Gdzie właściwie podziewa się nasz zaginiony Rycerz Chrystusa?

17 marca, 20.37

Castel Gandolfo, Włochy

Jeszcze tylko jeden obowiązek i będę mógł wrócić do Rzymu.

Choć w istocie Rhunowi się nie spieszyło. Po powrocie z Egiptu wstąpił do letniej rezydencji papieskiej Castel Gandolfo, która leżała w wiejskiej okolicy. Papież bywał tam rzadko, toteż była prowadzona jak wiejska posiadłość. Wszystko toczyło się powoli i z namysłem, zmiany następowały wraz ze zmianami pór roku.

Rhun stał przy oknie i spoglądał nad wiosennymi polami ku oświetlonej blaskiem księżycy tafli jeziora Albano. Nie uświadamiał sobie, jak bardzo stęsknił się za widokiem wody po miesiącach spędzonych na pustyni. Odetchnął głęboko zapachem jeziora, zieleni i ryb.

Nagle poczuł ostry ból w pięcie i skierował uwagę na kamienną posadzkę i psotne lwiątko, które podgryzało od tyłu jego but. Śnieżnobiałe lwie kocię leżało płasko na podłodze z łapami wyciągniętymi przed siebie niczym sfinks. Tylko że sfinks nie przekręca łebka w bok i nie wbija zębów w wyprawioną skórę.

– Dosyć tego, przyjacielu – powiedział Rhun i strząsnął upartego kociaka ze stopy.

Młody lew zniósł jakoś podróż z Egiptu. Przed lotem do Włoch pochłonął ogromne śniadanie złożone z mleka i mięsa, a potem godzinami spał zwinięty w skrzynce.

Widać znowu zgłodnieliśmy... i zasmakowała nam wyprawiona skóra, pomyślał sangwinista.

Rozległo się pukanie do drzwi, człowiek i lew spojrzeli w tamtą stronę. Rhun pospieszył, by otworzyć; miał nadzieję, że przybyła osoba, którą poprosił o spotkanie w tym odległym zakątku papieskiej rezydencji. Otworzył drzwi i zobaczył zażywnego księdza z siwą czupryną ostrzyżoną w tonsurę. Przybysz ledwo sięgał Rhunowi do ramienia.

– Bracie Patricku, dziękuję, że przyszedłeś.

Gość zignorował oficjalne przywitanie i po prostu wszedł do środka. Ujął dłonie Rhuna w swoje zimne ręce.

– Nie uwierzyłem, kiedy zapowiedzieli, że mnie odwiedzisz. Wiele lat upłynęło.

Rhun uśmiechnął się, widząc jego radość.

– Bracie Patricku, aż mi wstyd. Naprawdę minęło tyle czasu?

Niewysoki mężczyzna drapał się z namysłem po twarzy.

– Wydaje mi się, że ostatnio rozmawialiśmy tuż po tym, jak człowiek postawił stopę na Księżycu. Wiem, że byłeś tutaj niedawno, ale szybko wyjechałeś. – Pogroził rozmówcy palcem. – Należało zrobić sobie przystanek.

Rhun skinął głową. Był wtedy zajęty, tropił zdrajcę w szeregach zakonu, ale nie chciało mu się teraz tego tłumaczyć. Uwaga Patricka zwróciła się ku drugiemu gościowi.

– O rety! – Ukłęknał na jedno kolano i zaczął głaskać miękkie uszy zwierzaka. – To mi wynagrodzi twoją długą nieobecność. Wieki całe nie widziałem takiej uroczej bestyjki.

Mnich od dawna sprawował opiekę nad papieskim zwierzyńcem, który składał się z koni, bydła, gołębi i sokołów. Mimo skromnego wzrostu i korpulentnej sylwetki potrafił szybciej niż inni ujarzmić koński zaprzęg. Ponad sto lat temu Rhun pracował razem z nim w stajni. Nikt nie miał lepszej więzi z boskimi stworzeniami niż Patrick.

– Wygląda na zgłodniałego – rzekł, znów potwierdzając, że rozumie zwierzęta.

– A nie tak dawno temu dałem mu dużo do jedzenia.

Stary mnich zachichotał.

– Młodzian rośnie. – Wstał i wskazał drzwi. – Chodźmy, już wybrałem dla niego zaciszne miejsce. Jak tylko dałeś znać, że masz uroczego towarzysza, zająłem się przygotowaniem.

Lwiątko radośnie podążyło za zakonnikami. Patrick wyprowadził brata sangwinistę z pokoju, zeszli po schodach i wkrótce znaleźli się na zewnątrz. Zmierzali do stojących na uboczu starych zabudowań stajennych.

Gdy Rhun wszedł do środka, woń koni, skóry i siana przeniosła go o sto lat w przeszłość. Powolne mocne bicie końskich serc otoczyło go niczym muzyką. W stajni było obecnie zaledwie kilka zwierząt, o wiele mniej niż dawniej, gdy każda podróż wymagała czworonożnego stworzenia.

Konie rżały na widok Patricka, który zręcznie wyciągał z kieszeni po kostce cukru dla wszystkich; mijając boksy, każdego podopiecznego głośno pukał po pysku.

Rhun wziął lwiątko na ręce, żeby nie wbiegało do bokсів.

Patrick dotarł do swojego kantorka i wpuścił gości. Ściany wypełniały wizerunki koni; były to zarówno zdjęcia, jak i rysunki. Rhun rozpoznał wierzchowca z dawnych czasów, czempiona wyhodowanego ręką Patricka.

Mnich podążył za jego spojrzeniem.

– Pamiętasz Świętego Płomienia, prawda? To był dopiero czempion! Przysięgam, że wyleciał z brzucha matki i od razu wylądował pewnie na czterech nogach.

Gospodarz nie zwracał uwagi na zagracone biurko i skierował się do małej lodówki. Wyjął z niej metalowy dzban z mlekiem, wziął kamionkową miskę z półki i napełnił ją aż po brzeg.

Gdy tylko postawił ją na podłodze, lwiątko rzuciło się do naczynia i do połowy zanurzyło pyszczyk. Kantor wypełnił się głośnym mruzeniem.

Przez moment Rhun miał osobliwe wrażenie, że znalazł się poza swoim ciałem. Tuż przed oczami zobaczył krąg bieli i poczuł lodowate mleko spływające do gardła. Po chwili był znów w swoim ciele i aż cofnął się ze zdziwienia.

Patrick spojrział na niego z z troskaniem.

– Rhunie?

Ten pokręcił tylko głową; nie rozumiejąc, co zaszło, próbował zapanować nad sobą. Spoglądał to na lwiątko, to na Patricka. Był gotów zrzucić wszystko na karb przemęczenia. Zaprzętały go bardziej praktyczne sprawy, którymi należało się zająć.

– Dziękuję, że zgodziłeś się nim zaopiekować. Będzie z nim kłopot, ale jestem wdzięczny, jeśli zatrzymasz go tak długo, jak zdołasz.

– Uczynię to z radością, lecz nie mogę trzymać lwa w nieskończoność, nie w pobliżu koni. Kiedyś trzeba będzie oddać go do zoo, tam znajdzie się dla niego dużo miejsca i będzie miał należytą opiekę. – Patrick popatrzył na Rhuna i poklepał lwie kocię po boku. – Naprawdę miłe stworzenie, przyznaję, ale to do ciebie niepodobne przynosić do domu znajdy. Co jest wyjątkowego w tym maluchu?

Rhun wolał nie zdradzać, że lwiątko pochodzi od blesfemora, toteż odpowiedział wymijająco: – Został porzucony. Znalazłem go obok martwego ciała matki.

– Wiele stworzeń cierpi na samotność, a do mojej stajni ich nie sprowadzasz.

– On jest... inny, być może wyjątkowy.

Patrick czekał na dalszą część wyjaśnienia, ale skoro nie padała, klepnął się dłońmi w uda i wstał.

– Niech tu sobie pobędzie parę tygodni. Ale na wszelki wypadek popytam, czy znajdzie się gdzieś dla niego dom na stałe.

– Dziękuję, Patricku.

Na biurku zadzwonił telefon. Mnich zmarszczył czoło.

– Zdaje się, że ktoś jeszcze mnie potrzebuje.

Odebrał połączenie, Rhun zaś schylił się i szybkim ruchem podrapał kocię po karku. Zmierzał do drzwi, lecz Patrick go zawołał: – Myliłem się! To nie mnie potrzebują, lecz ciebie.

Rhun wszedł z powrotem do kantorka.

– Dzwonili z kwatery kardynała – oznajmił gospodarz, odłożywszy słuchawkę. – Jego Eminencja chce, żebyś

niezwłocznie udał się do Wenecji.

– Do Wenecji?

– Kardynał Bernard spotka się tam z tobą osobiście.

Rhun poczuł nieprzyjemny dreszcz, odgadując powód wezwania.

Po wydarzeniach w Egipcie Elżbietę zesłano do Wenecji. Przebywała pod nadzorem w tamtejszym klasztorze, uwięziona w jego murach.

Co też nawyczyniała tym razem?

Musiał zrewidować swoje plany. Pozbywszy się lwa, zamierzał udać się prosto do Rzymu i dostarczyć tam sakwę z czarnymi kamieniami, kroplami krwi Lucyfera wydobytymi z egipskich piasków.

Ta nagła zmiana wymagała, by najpierw je zabezpieczyć. Nie chciał, by ich podstępna moc znalazła się w pobliżu Elżbiety.

Podszedł do biurka. Patrick zapewne odczytał wyraz jego twarzy.

– Co jeszcze mam dla ciebie zrobić, synu?

Rhun wyjął z kieszeni skórzaną sakwę i położył ją na blacie.

Mnich aż się wzdrygnął, wyczuwając złą siłę.

– Możesz włożyć to do kardynalskiego sejfu i zabezpieczyć? Nikomu nie wolno dotykać zawartości.

Patrick patrzył z odrazą na sakwę; mimo to skinął głową.

– Niejedną przywozisz osobliwość, Rhunie.

Gość uściśnął mu dłoń.

– Uwolniłeś mnie dzisiaj od dwóch brzemion, stary przyjacielu.

Jestem ci wdzięczny.

Załatwiwszy sprawę, wyszedł z siedziby mnicha, lecz nie czuł wielkiej ulgi. Nie wiedział, co go czeka w Wenecji. Jednego tylko mógł być pewien.

Jego wizyta nie sprawi radości Elżbiecie.

CZĘŚĆ DRUGA

Sprzeczali się więc między sobą Żydzi, mówiąc: „Jak On może nam dać swoje ciało do spożycia?”

Rzekł do nich Jezus: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie.

Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym”.

Ewangelia wg św. Jana 6, 52-54

17 marca, 20.40

Przestrzeń powietrzna nad Wenecją, Włochy

Śmigłowiec sunął nad Adriatykiem; Jordan spojrzął na zegarek.

Dolecieli z Rzymu w krótkim czasie. Wenecja lśniła w oddali na czarnym tle zatoki niczym wysadzana klejnotami korona porzucona w wodzie.

W kabinie helikoptera oprócz niego i Erin znajdowało się troje sangwinistów. Christian pochylał się nad przyrządami sterującymi, a Sophia i Bernard siedzieli razem z Jordanem i Erin. To, że kardynał także wybrał się w podróż, zaskoczyło sierżanta.

Pewnie sprzykrzył mu się Rzym.

Kardynał i pozostali byli jednak sprawnymi wojownikami. Jordan nie miał nic przeciwko dodatkowym siłom, zwłaszcza po ataku *strigoi*, który rzucił się na niego w podziemnej świątyni. Jeszcze teraz piekło go w brzuchu, jak gdyby cudowne wyzdrowienie wznieciło tam ogień. Ten sam żar przenikał starą bliznę oplatającą jego ramię i górną część tułowia, pamiątkę po porażeniu gromem w wieku kilkunastu lat.

Erin opierała się o jego ramię, czuł jej palce. W czasie lotu co jakiś czas zerkła na niego z z troskaniem. Trudno było mieć jej to za złe, nawet Sophia i Baako przestraszyli się, kiedy omal nie wyzionął ducha.

Śmigłowiec wszedł w ostry skręt i w oknie ukazała się Wenecja.

Christian położył maszynę w skręt, by widok był lepszy.

– Pod nami plac Świętego Marka – odezwał się jego głos w słuchawkach, które wszyscy mieli na uszach. – Czerwono-biała wieża to Campanile, a budynek wyglądający jak gotycki tort to Pałac Dożów. Obok bazylika Świętego Marka. Zakon ma siedzibę pod świętymi gmachami, tak jak pod Bazyliką Świętego Piotra. Tam spędzimy noc po przesłuchaniu Elżbiety Batory w sprawie symbolu.

Erin ścisnęła dłoń Jordana i nachyliła się ku niemu, patrząc w okno.

– Wenecja stoi tutaj od prawie tysiąca lat. Wyobraźcie sobie...

Uśmiechnął się, słysząc radość w jej głosie, ale zrobił to z pewnym przymusem. Nadal czuł się dziwnie oderwany. Nie chodziło tylko o nijakie przywitanie z kobietą, którą kochał. Dzisiaj nie zjadł lunchu ani kolacji i wciąż nie był głodny. A nawet gdy zmuszał się do jedzenia, nie wyczuwał smaku. Posiłał się bardziej z obowiązku niż z chęci.

Dotknął kciukiem nowej blizny na brzuchu.

Z całą pewnością coś się zmieniło.

Powinno go to niepokoić, a nawet przerażać, on tymczasem odczuwał głęboki spokój. Cokolwiek się dzieje, jest zgodne z przeznaczeniem. Nie potrafił ująć tego w słowa, więc najczęściej pomijał to milczeniem, nawet podczas rozmowy z Erin. I miał wrażenie, że tak ma być.

Stawał się lepszy i silniejszy.

Głowił się nad tą nową zagadką, a tymczasem Christian odprowadził śmigłowiec od placu Świętego Marka i posadził go na dachu pobliskiego luksusowego hotelu. Gdy silnik pracował ze zmniejszoną mocą, Jordan zrobił szybki przegląd uzbrojenia: pistoletu i pistoletu maszynowego oraz sztyletu. Spojrzał na twarze towarzyszy i czekał, aż Christian da wszystkim znak, że mogą wysiadać.

Erin była podekscytowana, lecz zauważył także cienie pod jej oczami. Jak na cywila zbyt dużo przeszła w krótkim czasie.

W gruncie rzeczy nie zdążyła dojść do siebie, oswoić się ze wszystkimi wydarzeniami minionego roku.

Christian machnięciem ręki dał sygnał, lecz Sophia powstrzymała towarzyszy; chciała wysiąść pierwsza. W czasie przelotu drobna Hinduska siedziała z zamkniętymi oczami i emanował z niej spokój.

Jordan nie był pewien, czy ów spokój bierze się z wiary, czy z nadnaturalnej umiejętności pozostawania w bezruchu. Otworzyła drzwi i z niezwykłą gracją zsunęła się na lądowisko.

Bernard poszedł w jej ślady z nie mniejszą zręcznością. Poryw wiatru rozsunał ciemny płaszcz i wyrzała spod niego purpura.

Kardynał rozejrzał się po dachu, wypatrując zagrożeń. W czasie lotu modlił się z dłońmi złożonymi pobożnie na kolanach, ale w tej chwili jego twarz nadal zdradzała niepokój.

Elżbieta Batory, z powodu której wybrali się w tę podróż, zapewne nie podda się łatwo. Szczególnie trudne zadanie czekało kardynała, który od bardzo dawna znał tę kobietę i była to znajomość naznaczona krwią. Wrogość między tymi dwojgiem ciągnęła się od wieków.

Christian obszedł maszynę, uchylając się przed coraz to wolniej obracającymi się płatami rotora, i podał rękę Erin. Podmuch utworzył z jej jasnych włosów przezroczystą aureolę; odwróciła głowę i spojrzała na Jordana. Jej bursztynowe oczy lśniły w półmroku jak jasne gwiazdy, policzki były zarumienione, a lekko rozchylone usta jakby wyczekiwały pocałunku.

Na chwilę jej uroda rozproszyła piekącą mgłę, która go spowijała.

Kocham cię, Erin, naprawdę.

I nigdy się to nie zmieni, poprzysiągł cicho, lecz w głębi serca nie miał pewności, że zdoła dotrzymać obietnicy 20.54

Ubrana od stóp do głów Elżbieta leżała na twardym łóżku w swojej klasztornej celi i patrzyła na grę refleksów światła miasta, które odbijały się od powierzchni kanału i padały na sufit. Jej myśli wędrowały ku drugiej półkuli, tam gdzie był Tommy.

Dotknęła telefonu, który trzymała ukryty w kieszeni spódnicy. Gdy tylko się uwolni, wymyśli jakiś sposób, by pomóc chłopcu. Kiedyś ukradziono jej własne dzieci. Nie pozwoli, by to samo spotkało Tommy'ego. Nikt nie odbierze jej tego, co do niej należy. Odwróciła głowę do okna; w dziurce w tynku ukryła skradziony kluczyk do łodzi Berndta. Tymczasem musi po prostu czekać, kontrolować oddech i rytm bicia serca. Nie może dopuścić, by zakonnice sangwinistki, które wmieszały się między siostry śmiertelniczki, wyczuły jej podekscytowanie i zaczęły podejrzewać, że właśnie tej nocy planuje wyrwać się z murów klasztoru.

Gości obowiązywała cisza nocna, Abigail zaś jak zwykle trzymała wartę przy biurku w recepcji; pozostanie tam do chwili zamknięcia bramy. Później stara zakonnica uda się na spoczynek w swojej celi na tyłach budynku. Elżbieta nie mogła jednak liczyć na to, że tamta zaśnie. Pamiętała, że noc zawsze wlewa energię w ciało *strigoi*, każe im opuszczać mury i rozkoszować się dotykiem blasku księżyca i gwiazd na skórze. Sangwiniści muszą odczuwać coś podobnego, choćby nie wiadomo jak bardzo starali się modłami kiełznać swoje przyjemności.

Gdzieś w korytarzu trzasnęły zamykane drzwi.

Jeszcze jeden turysta wrócił do kwatery.

Trwała wiosna, toteż większość pokoi gościnnych było zajętych; to dobrze. W pobliżu biło wiele serc, więc Abigail trudno będzie wychwycić wśród nich uderzenia serca Elżbiety. Być może tamci ułatwią jej ucieczkę.

Muszę się wyrwać.

Zrobiła w głowie przegląd planu: wyjąć kluczyk spod okna, przemknąć się na palcach po wykładzinie w korytarzu, z butami w dłoniach, otworzyć zaryglowaną bramę klasztoru i okrążywszy budynek, dostać się do motorówki Berndta. Zdejmie cumy i pozwoli, by prąd wody poniosł łódź; dopiero po jakimś czasie uruchomi silnik i droga do wolności stanie przed nią otworem.

Dalsze plany Elżbiety jawiły się niepokojąco mgliście.

Zanim zeszelej zimy wpadła w ręce sangwinistów, zakopała w okolicy Rzymu bardzo dużo pieniędzy i złota. Skarb ten zgromadziła, rabując zwłoki i domy swoich ofiar, po tym, jak obudziła się w tej epoce, po setkach lat snu w sarkofagu wypełnionym świętym winem.

To Rhun uwięził ją w kamiennej trumnie, tak jak później uwięził ją w murach klasztoru.

Dotknęła ściany. Była zdeterminowana: nic jej nie powstrzyma przed dotarciem do chłopca, nim będzie dla niego za późno. Uwolni się, znajdzie jakiegoś *strigoi* i przekona go, żeby ją na powrót odmienił. A potem zanieś ten sam dar Tommy'emu.

Będiesz żył... I na zawsze pozostaniesz u mego boku.

Słyszając kroki w korytarzu, nadstawiła uszu. Zbliżała się spora grupa osób, zbyt liczna jak na rodzinę turystów.

Czyżby zakonnice jakimś sposobem przejrzały jej plan?

Kiedy rozległo się głośnie pukanie w drzwi, usiadła na łóżku.

– Hrabino! – usłyszała męski głos z włoskim akcentem.

Od razu rozpoznała ten z ledwością maskowany władczy ton. Zazgrzytała zębami. Przed jej celą stał kardynał Bernard.

– Nie śpi pani? – zapytał przez grube drzwi.

Przemknęła jej myśl, że mogłaby udać, że śpi, ale nie miało to sensu. Poza tym była ciekawa powodu tych nieoczekiwanych odwiedzin.

– Nie – odpowiedziała szeptem, wiedząc, że wyczulony zmysł i tak pozwoli mu ją usłyszeć.

Wstała, by powitać przybyłych. Jej spódnica zaszeleściła na zimnej terakocie, gdy otwierała drzwi. Kardynał jak zwykle miał na sobie purpurową szatę; ten przejaw próżności budził w niej rozbawienie.

Bernard nigdy nie omieszkał pokazać wszystkim, jak wysokie piastuje stanowisko.

Zza jego ramienia krzywiła się Abigail. Elżbieta zignorowała zakonnice i skinęła głową Bernardowi i jego towarzyszom, z których większość dobrze знаła: Erin Granger, Jordanowi

Stone'owi i młodemu sangwiniście imieniem Christian. Jej uwagę zwrócił brak w orszaku pewnej znaczącej osoby.

Nie było wśród nich Rhuna.

Czyżby wstydził się przed nią stanąć?

Wstrząsnął nią gniew, lecz tylko zacisnęła mocniej usta. Nie odważyła się okazać, że jest tak ożywiona.

– Późna godzina na wizytę.

– Proszę wybaczyć, że zakłócamy pani spokój o tak nietypowej porze, hrabino – rzekł kardynał z dyplomatyczną ogładą. – Jest pewna sprawa, o której chcielibyśmy z panią pomówić.

Zachowywała bierną postawę, wiedząc, że tylko pilna kwestia mogła sprowadzić do niej taką delegację. Poczula również, że jej szanse ucieczki tej nocy się rozwiewają.

– Chętnie porozmawiam z państwem rano – odparła. – Właśnie kładłam się spać.

Siostra Abigail wyciągnęła ją na korytarz, nie próbując nawet ukryć nadnaturalnej siły.

– Oni chcą rozmawiać teraz.

– Myślę, że można to zrobić bez brutalności – powiedział Jordan, kładąc dłoń na rękę zakonniczy.

– A jest to kwestia wymagająca pewnej dyskrecji – dodał Bernard, skinieniem ręki odprawiając Abigail.

Mały miłośnik drgnął pod okiem zakonniczy.

– Jak sobie życzysz. Mam inne sprawy wymagające uwagi, więc zostawiam hrabinę w waszej pieczy. – Puściła Elżbietę, odwróciła się na pięcie i odmaszerowała.

Elżbieta z przyjemnością odprowadziła ją wzrokiem.

– Chcą państwo rozmawiać w mojej komnacie sypialnej? – zapytała, wskazując swoją celę; pozwoliła sobie przy tym na odrobinę udawanej irytacji. – Tu jest dosyć ciasno.

Bernard podszedł bliżej, zerknąwszy na korytarz.

– Zabierzemy panią do naszej kaplicy pod bazyliką Świętego Marka, tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Rozumiem.

Kardynał wyciągnął rękę, jak gdyby zamierzał osobiście prowadzić Elżbietę. Poczwała, że zaciska jej metalową obręcz na nadgarstku; drugą zapiął na swojej ręce.

– Kajdany? – zapytała. – Ktoś tak silny nie potrafi zapanować nad drobną, bezradną śmiertelniczką taką jak ja?

Jordan uśmiechnął się szeroko.

– Śmiertelniczką czy nie, bezradna to pani nie jest.

– Może i ma pan rację. – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego.

Był przystojnym mężczyzną; miał mocno zarysowaną szczękę, grubo ciosaną twarz z odrobiną zarostu w kolorze pszenicy na brodzie i policzkach. Biło od niego ciepło, wewnętrzny ogień, w którego bliskości z przyjemnością by się ogrzała.

Erin ujęła rękę Jordana, pokazując, że on należy do niej. Pewnych rzeczy nawet upływ setek lat nie jest w stanie zmienić.

– Prowadź mnie ku memu przeznaczeniu, sierżancie Stone – powiedziała Elżbieta.

Cała grupa przemaszerowała korytarzami klasztoru do głównej bramy. Elżbieta kątem oka spostrzegła motorówkę Berndta i ukłuła ją złość. Powściągnęła ją.

Nie wsiądzie tej nocy do łodzi i nie odpłynie nią ku wolności, ale być może nadarzała się ciekawsza sposobność.

21.02

Erin podążała za orszakiem sangwinistów sunącym uliczkami i małymi mostami Wenecji, które wieńczyły łuki. Trzymała Jordana za rękę, czuła jej ciepło. Usiłowała odepchnąć od siebie lęk o niego. Jej ukochany może miał gorączkę, ale wyglądał zdrowo i zdawało się, że w pojedynkę gotów jest stawić czoło całej armii.

Kiedy zostaną sam na sam, wydobędzie z niego więcej informacji o tym, co zaszło w jaskini, i może się dowie, dlaczego ostatnio się od niej odsuwał. Podejrzewała, że przyczyną zmian jest anielska esencja, którą Tommy wsączył w Jordana, ratując mu życie. Rozsądek brał tę możliwość pod uwagę, jednak serce kierowało się ku bardziej przyziemnym wyjaśnieniom.

Może po prostu przestał mnie kochać?

Jordan, jak gdyby odgadując myśli Erin, ścisnął jej dłoń.

– Byłaś kiedyś w Wenecji?

– Znam ją tylko z lektury. Ale jest taka, jaką sobie zawsze wyobrażałam.

Rozejrzała się, zadowolona, że może zająć czymś myśli. Uliczki miasta na wodzie były tak ciasne, że miejscami mogły iść obok siebie tylko dwie osoby. Na wystawach sklepików wyłożono starodruki, szklane pióra do pisania, skórzane maski, jedwabne i aksamitne chusty. Wenecja od zawsze była ośrodkiem handlu. Setki lat temu te same witryny olśniewały towarami innych przechodniów. Oby tak zostało przez kolejne stulecie.

Wciągnęła mocno zapach morskiej wody wypełniającej kanały, z pobliskiej restauracji niosła się woń czosnku i pomidorów. Fasady domów pomalowane były na rozmaite odcienie ochry, żółci i wyblakłego błękitu, na taflach szyb było widać upływ lat.

Łatwo było wyobrazić sobie, że wsiedli do wehikułu czasu i zatrzymali się sto, a może nawet tysiąc lat wcześniej. Rodzice wychowali Erin w wiejskiej osadzie, w której codzienne życie toczyło się w sposób jeszcze bardziej prymitywny niż życie mieszkańców tego miasta przed wiekami. Wiara ojca skłoniła go do wyrzeczenia się wszystkiego co nowoczesne i Erin miała czasem wrażenie, że jej zawód i ciekawość historii także odrywają ją od współczesności.

Czyżbym mimo wszystko była córką mojego ojca?

Wraz z towarzyszami minęła ciemny tunel przechodzący przez starożytny mur. Na jego końcu zaczynał się plac Świętego Marka i Erin zobaczyła na wprost słynną wenecką bazylikę.

Złote światło rozjaśniało fronton bizantyjskiej budowli, wymyślną kompozycję złożoną z łukowatych portali, marmurowych kolumn i ścian pokrytych misternymi mozaikami. Erin wyciągnęła szyję, by objąć wzrokiem całość. Pośrodku, na samym szczycie, wznosił się posąg samego świętego Marka nad

skrzydlatym lwem, który był jego godłem. Po bokach świętego wojownika stało sześć aniołów.

Budowla jako całość stanowiła istne uosobienie przepychu i wspaniałości.

Jordan miał o tym swoje zdanie.

– Trąci kiczem.

Erin parsknęła śmiechem. Nie zdołała się powstrzymać. Jordan znów był tym samym Jordanem, którego poznała w Izraelu.

– Zobaczysz, jak wygląda w środku. Nie bez powodu nazywają tę budowlę Świątynią Złota.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Jeśli można coś zbudować, to można i przeholować.

Uśmiechnęła się do niego. Przemierzali plac Świętego Marka. W ciągu dnia roił się od gołębi i turystów, lecz o tak późnej godzinie był prawie opustoszały.

Hrabina kroczyła dostojnie obok kardynała, z uniesioną głową, spoglądając na coś w oddali. Nawet ubrana dość współcześnie wyglądała jak księżna, która zeszła ze stronic bardzo starej książki. W jej przypadku księgą tą byłby zbiór najposepniejszych baśni.

Kiedy zbliżali się do bazyliki, Erin wskazała mozaiki zdobiące wejście.

– Umieszczono je tu w trzynastym wieku. Przedstawiają sceny z Księgi Rodzaju.

Przypomniała sobie opowieść wyrytą na tabliczce w bibliotece sangwinistów i szczegóły, które różniły ją od powszechnie znanej wersji. Spojrzała w górę, poszukując wizerunku węża. Według starożytnego tekstu Ewa zawarła z wężem pakt: w zamian miała skosztować owocu z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego.

Zanim zdążyła dobrze przyjrzeć się mozaice, z cienia pod łukiem wychynął sędziwy ksiądz. Jego białe włosy były potargane, a koloratkę miał przekrzywioną. U pasa zwisał mu pęk kluczy.

Zwrócił się do Bernarda, gdy ten stanął na progu bazyliki: – Bardzo nietypowa to prośba, nigdy za moich lat...

Kardynał nie pozwolił mu dokończyć zdania, unosząc rękę.

– Owszem, prośba jest nader nietypowa. Jestem wdzięczny, że się zgodziłeś, choć padła tak nagle. Gdyby sprawa nie była pilna, nie zawracalibyśmy ci głowy.

– Zawsze chętnie służę pomocą – odrzekł nieco udobruchany staruszek.

– Wszyscy służymy z radością – przytaknął kardynał.

Włoski ksiądz odwrócił się, podszedł do głównych drzwi i je otworzył.

– Wyłączyłem wszystkie alarmy – oznajmił, odsunawszy się na bok. – Musicie mnie zawiadomić, kiedy skończycie.

Bernard podziękował i szybko wkroczył do środka; jego towarzysze podążyli za nim.

Erin pochłaniała wzrokiem złocone mozaiki, które pokrywały powierzchnię każdej ściany, łuku drzwi i sklepienia.

Jordan aż gwizdnął z podziwu.

– Albo mam przywidzenia, albo wszystko się tu błyszczy.

– Płytki zostały uformowane w szczególny sposób – wyjaśniła z uśmiechem Erin. – Między dwiema warstwami szkła umieszczono listki złota. Dzięki temu są bardziej połyskliwe niż złoto.

Elżbieta spojrzała na Jordana swoimi srebrzystymi oczami; być może jego zachwyty przypadł jej do gustu.

– Piękne, panie sierżancie, nieprawdaż? Niektóre z tych mozaik zamówili moi czescy przodkowie.

– Naprawdę? Imponująca robota.

Erin nie spodobało się, że usta Elżbiety rozszerzył uśmiech.

Hrabina być może wyczuła jej irytację, bo zwróciła się do kardynała: – Zapewne nie sprowadziłeś mnie tutaj, bym mogła podziwiać dzieło moich antenatów. Cóż to za pilna sprawa wymagała tej nocnej podróży?

– Wiedza – odpowiedział jednym słowem Bernard.

Zbliżali się do centralnej części bazyliki. Kardynał najwyraźniej nie chciał, by rozmowa dotarła do niepowołanych uszu. Christian i Sophia wolnym krokiem krążyli wokół grupy, gotowi odeprzeć atak lub zatrzymać księdza, który za bardzo by się zbliżył.

– Co chcesz wiedzieć? – spytała Elżbieta.

– Chodzi o pewien symbol, który znajduje się w twoich pamiętnikach.

Sięgnął do kieszeni i wyjął książeczkę w wytartej skórzanej oprawie.

Elżbieta wyciągnęła wolną rękę.

– Mogę zobaczyć?

Erin podeszła i wzięła książkę od kardynała. Otworzyła ją na ostatniej stronie i wskazała symbol przypominający kielich.

– Co możesz nam o tym powiedzieć?

– Skoro o niego pytacie, to znaczy, że znaleźliście taki sam gdzie indziej.

– Możliwe – odrzekła Erin. – Dlaczego tak sądzisz?

Hrabina wyciągnęła rękę po książkę, lecz Erin zrobiła ruch w przeciwną stronę. Gładkie oblicze hrabiny zachmurzył gniew.

– Będę zgadywała — powiedziała. – Rysunek ten znaleźliście na kamieniu.

– O czym pani mówi? – zapytał kardynał.

– Zręczny z ciebie łgarz, eminencjo. Jednakże odpowiedź na moje pytanie wypisana jest na twarzy tej młodej kobiety.

Erin oblała się rumieńcem. Nie lubiła, gdy komuś udawało się przejrzeć jej zamiary; była zła tym bardziej, że nie wiedziała, co hrabina ma na myśli.

– Mówię o zielonym diamencie wielkości mniej więcej takiej jak moja pięść i noszącym ten sam znak.

– Co o nim wiesz? – odezwał się Jordan.

Hrabina zarzuciła głową i roześmiała się. Śmiech odbił się w rozległej przestrzeni.

– Tej informacji wam nie podam.

Kardynał nachylił się nad nią groźnie'.

– Można panią do tego zmusić.

– Uspokójże się, Bernardzie. – Nazwała go po imieniu, co jeszcze bardziej rozżłościło dostojnika. Hrabina wyraźnie bawiła się jego kosztem. – Oznajmiłam, że nie podam wam tej informacji, a nie, że się nią z wami nie podzielę.

Erin zmarszczyła czoło.

– Nie rozumiem – rzuciła.

– To proste – odparła Elżbieta. – Sprzedam ją wam.

– Nie jest pani w takim położeniu, by móc się targować – oznajmił bez ogródek kardynał.

– Uważam, że jestem w wyśmienitym położeniu – odparowała hrabina, reagując spokojem na jego pogroźki. – Lękasz się tego symbolu i tego kamienia, tudzież wydarzeń, które zagrażają tobie i twojemu drogocennemu zakonowi. Zapłacisz mi tyle, ile zażądam.

– Jest pani więźniem – przypomniał jej. – Jest pani...

– Bernardzie, cena nie będzie wygórowana. Z pewnością cię stać.

Erin mocniej ścisnęła pamiętnik; spoglądała na triumfującą hrabinę i bała się tego, co za chwilę padnie z jej ust.

– Czego więc chcesz? – odezwał się ostrożnie kardynał.

– Czegoś o bardzo lichej wartości – odpowiedziała Elżbieta. – Twojej nieśmiertelnej duszy.

Jordan, który stał obok hrabiny, usztywnił postawę, jakby spodziewał się ataku.

– Co to dokładnie znaczy? – zapytał.

Hrabina przybliżyła się do kardynała, jej czarne włosy musnęły szkarłatny materiał sutanny. Bernard cofnął się, ona jednak nie ustępowała.

– Przywróć mi mój splendor – szepnęła głosem, w którym więcej było uwodzicielskiej nuty niż żądania.

Bernard pokręcił głową.

– Jeśli masz na myśli zamek i włości, to nie leży to w mojej mocy.

– Nie o włości mi idzie. – Zaśmiała się wesoło. – Sama mogę je odzyskać, jeśli tego zapragnę. Od ciebie chcę czegoś o wiele łatwiejszego.

Kardynał przyglądał się jej z odrazą. Wiedział, o co poprosi. Nawet Erin to wiedziała.

Elżbieta uniosła rękę do ust kardynała, za którymi kryły się kły.

– Uczyń mnie znowu *strigoi*.

17 marca, 21.16

Wenecja, Włochy

Zadrżała z rozkoszy, gdy spokój kardynała pierzchł po jej szokującym żądaniu. Na ułamek sekundy Bernard wyszczerzył kły i maska spadła, odsłaniając jego prawdziwą naturę. Po setkach lat usiłowań wreszcie zdołała skruszyć fasadę ogłady i opanowania, spod której wychynął zwierz.

Potrzebuję go, pomyślała.

Gotowa była zaryzykować życie, byleby tylko uwolnić bestię.

Archeolożka i żołnierz byli zaskoczeni, lecz najciekawsza była reakcja sangwinistów. Młody Christian zeszywniał, a gibka kobieta o śniadej skórze i wschodnich rysach twarzy skrzywiła się z odrazą. Dla ich umysłów, oddanych służbie świętości, prośba taka była niewyobrażalna.

Brak wyobraźni zawsze był największym grzechem zakonu.

– Nigdy. – Pierwsze słowo kardynała zabrzmiało jak cichy pomruk, lecz głos wnet przybrał na sile i odbił się echem od ścian bazyliki. – Prawdziwy z ciebie potwór!

Elżbieta nie ulękła się gniewu hierarchy, odpowiedziała na niego jeszcze większym spokojem.

– Twoje księzowskie zgorszenie nic a nic mnie nie obchodzi. I nie oszukuj się, nie jestem większym potworem niż ty.

Bernard usiłował okiełznać wzburzenie, zamknąć je w sobie, lecz ono i tak z niego wypływało. Zacisnął dłonie w żelazne pięści.

– Nie będziemy mówili o śmiertelnych grzechach w tym świętym miejscu.

Szarpnął ją za rękę skutą kajdankami i metalowa krawędź przecięła skórę. Potem ruszył w głąb kościoła, a pozostali za nim, jakby oni także byli do niego przykuci.

I być może byli, każde na swój sposób.

Elżbieta musiała pobiec, by nadążyć za kardynałem, ale nie zdołała utrzymać tempa. Stopy zaplątały jej się w dół długiej sukienki i upadła na zimny marmur. Kajdanki wbiły się jeszcze mocniej w nadgarstek.

Milczała, smakując ból.

Jeśli Bernard jej go zadaje, to znaczy, że stracił nad sobą kontrolę.

A ja ją zyskałam, myślała.

Kiedy zbierała się na nogi, but zsunął jej się ze stopy, a sukienka pękła na ramieniu. Strwożona, chwyciła ją, żeby się nie zsunęła.

Christian stanął przed kardynałem i dotknął jego ręki.

– Hrabina nie może za tobą nadążyć, Wasza Eminencjo. Pamiętaj, że jest teraz śmiertelniczką, chociaż wolałaby inaczej.

Elżbieta poczuła ciepło mocnych rąk Jordana, kiedy pomagał jej stanąć na nogi.

– Dziękuję – szepnęła.

Nawet Erin pospieszyła hrabinie z pomocą, przytrzymując sukienkę, żeby nie opadała. Mimo że ta kobieta była niskiego pochodzenia, nie zbywało jej na wielkoduszności, skoro pomogła wrogowi w trudnym położeniu. Może właśnie to przyciągnęło do niej Rhuna, jej zwyczajna dobroć.

Elżbieta odsunęła się od niej bez podziękowania. Strząsnęła ze stopy drugi but, aby nie kuśtykać. Poczowała chłód kamieni pod bosymi stopami.

– Proszę wybaczyć, hrabino Batory – przeprosił przez zaciśnięte zęby Bernard.

Odwrócił się i ruszył dalej, nieco zwolnionszy. Mimo to każdy wydłużony krok znamionował gniew. Najwyraźniej nie

przypadło mu do gustu to, czego hrabina od niego zażądała. Nieśmiertelny od bardzo dawna, zapomniał o pragnieniach śmiertelnych, o ich słabościach.

Tym samym jednak wyhodował w sobie wielką słabość.

Wykorzystam ją do cna, pomyślała.

Dotarł do końca nawy i ruszył schodami w dół, zmierzając do podziemnej kaplicy sangwinistów.

Mroczne miejsce, pełne mrocznych tajemnic.

U podnóża schodów znajdowała się oświetlona gromnicami krypta. Posadzka, gładka i czysta, ułatwiała stąpanie nawet boso.

Bernard zatrzymał się przed kamienną ścianą ozdobioną posągiem Łazarza.

Erin domyśliła się, że jest to tajne wejście do siedziby zakonu.

Jakże oni wielbią te swoje sekrety!

Kardynał ściągnął rękawiczkę z lewej dłoni i wyjął z za pasa nóż.

Dźgnął nim dłoń i wysączył odrobinę krwi do pucharu, który trzymał Łazarz. Powiedział coś po łacinie, ale za szybko, by zdołała zrozumieć słowa.

Po chwili małe drzwi rozwarły się z chrobotem.

Bernard odwrócił się do towarzyszy.

– Pomówię z hrabiną w cztery oczy.

Na twarzach pojawiła się niepewność, ktoś coś szepnął.

Christian okazał najwięcej odwagi, może dlatego, że był nowicjuszem w zakonie i łatwiej mu było sprzeciwić się przełożonemu.

– Wasza Eminencjo, to wbrew zasadom.

– Już dawno je przekroczyliśmy – odparował Bernard. – Rozmawiając sam, osiągnę znacznie korzystniejsze warunki.

Erin postanowiła zainterweniować.

– Co ksiądz kardynał zamierza z nią zrobić? Wydobyć z niej informację za pomocą tortur?

– Byłem przeciw stosowaniu tortur w Afganistanie i teraz też nie będę ich tolerował – przyszedł jej w sukurs Jordan.

Kardynał puścił te słowa mimo uszu i wszedł tyłem do pomieszczenia, ciągnąc za sobą Elżbietę. Na progu wykrzyknął komendę, która rozległa się echem w krypcie.

– *Pro me*. Tylko dla mnie.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, drzwi się zatrzasnęły.

Elżbietę otoczyła ciemność.

– Teraz należysz do mnie – szepnął jej do ucha Bernard.

21.20

Erin rąbnęła otwartą dłonią w drzwi.

Powinna się spodziewać podstępnego manewru ze strony kardynała. Już wcześniej pokazał, że jeśli w grę wchodzi poznanie tajemnicy, gotów jest posunąć się do ekstremum. Nie wykluczała, że zachowa dla siebie wiedzę zdobytą od Elżbiety, może nawet uśmierci hrabinę, by zapewnić sobie jej milczenie.

Odwróciła się do Christiana i wskazała puchar tkwiący w dłoniach posągu.

– Otwórz te drzwi.

Zanim ten zdążył się poruszyć, Sophia dotknęła ramienia młodego sangwinisty. Zwracała się jednak do wszystkich.

– Kardynał osobiście przesłucha hrabinę. Ma doświadczenie w takich sprawach.

– To ja jestem Uczoną Niewiastą – przypomniała Erin. –

Wiedza, którą posiada Elżbieta, ma związek z tym, czego poszukujemy.

Jordan skinął głową.

– Mąż Wojownik jest tego samego zdania.

Sophia ani myślała ustępować.

– Nie możesz wiedzieć z pewnością, że wiedza ta bezpośrednio dotyczy celu poszukiwań.

Erin była wściekła, że tak bezceremonialnie odcięto ją od źródła informacji. Miała jednak większe zmartwienie. Nie ufała hrabinie, nawet jeśli był przy niej kardynał. Obawiała się, że ten jej nie sprostą.

Elżbieta najwyraźniej wiedziała, jak nim sterować. Ale czy prowadziła jedynie sadystyczną grę, czy manipulowała nim, by

dopiąć swego?

– Jak szybko zdołasz otworzyć te drzwi, jeśli zrobi się tam gorąco? – spytała Erin, postanowiwszy zmienić taktykę.

– Sprecyzuj, co to znaczy gorąco.

– Bernard zamknął się sam na sam z Krwawą Hrabina. To bystra kobieta, i wie o *strigoi* więcej niż ktokolwiek inny.

Sophia uniosła brwi. Wypowiedź Amerykanki nieco ją zaskoczyła.

– Hrabina robiła doświadczenia na *strigoi*, chciała poznać ich naturę – dodała Erin. – Opisała wszystko w swoim pamiętniku.

Jordan zerknął na zamknięte drzwi.

– To znaczy, że zna słabości Bernarda pewnie lepiej niż on sam.

Archeolożka spojrzała w oczy Christianowi. Ten chciał jej pomóc, ale widać było, że czuje się dalej związany rozkazem Bernarda.

– Tak czy owak, to bez znaczenia – zauważyła Sophia. –

Kardynał zamknął drzwi poleceniem *pro me*, więc otworzą się tylko przed nim.

Co?! Erin z niepokojem popatrzyła na przejście.

– A więc znalazł się tam z nią w pułapce – rzekł cicho Jordan.

– Możemy wejść, ale nie wystarczy krew nas dwojga – odezwał się Christian, by wyjaśnić sytuację. Skinął głową na Sophię. – Żeby unieważnić rozkaz kardynała, potrzebna jest cała trójka. Moc trzech sangwinistów zdoła odemknąć każde drzwi, zawsze.

Sophia ściągnęła brwi.

– Może będzie lepiej, jeśli sprowadzę trzeciego. Na wszelki wypadek.

– Zrób to – zachęciła ją Erin.

I to raz-dwa, dodała w myślach.

Sophia ruszyła biegiem i rozplynęła się w mroku skrywającym schody.

Erin spojrzała na Jordana i zobaczyła w jego oczach ten sam niepokój, który ją nurtował.

To się źle skończy.

21.27

Elżbieta walczyła ze strachem. Kiedy drzwi się zamknęły, spadła na nią ciemność tak gęsta, że zdawało się, że ma własną substancję, że może wsączyć się jej do gardła i ją zadławić. Zmusiła się jednak do zachowania spokoju; wiedziała, że Bernard z pewnością usłyszy dudnienie jej serca. Usztywniła plecy, nie chcąc dawać mu tej satysfakcji.

Skupiła myśli na piekącym bólu w skutym kajdankami nadgarstku.

Z rany sączyła się do wnętrza dłoni ciepła krew. Kardynał na pewno także ją wyczuwał.

To dobrze.

Potarła jedną dłoń o drugą, rozmazując krew.

– Chodź – rzucił chrapliwym tonem Bernard.

Pociągnął ją w głąb zimnego gniazda sangwinistów. Elżbieta zadrżała od chłodu. Włókł ją w ciemności; zdawało jej się, że minęły wieki, lecz prawdopodobnie były to tylko minuty.

Kiedy się zatrzymali, błysnęła zapalka i dał się wyczuć zapach siarki. Na bladą, nieruchomą twarz Bernarda padło światło. Dotknął zapalką złocistej świecy stojącej we wnęce. Podszedł do następnej i ją także zapalił.

Po chwili komnatę wypełnił ciepły migotliwy blask.

Elżbieta spojrzała na kopułę sklepienia lśniąca od srebrnej mozaiki. Tak jak szklane płytki w bazylice na górze ozdobiono płatkami złota, tak te tutaj miały w środku srebro. Pokrywały każdą powierzchnię.

Komnata jaśniała ich pięknem.

Mozaika przedstawiała znany już motyw sangwinistyczny: wskrzeszenie Łazarza. Łazarz ze śmiertelnie bladą twarzą siedział w brązowej trumnie, z kącika jego ust kapłała krew. Przed nim stał pozłacany Chrystus, jedyna postać w scenie zrobiona ze złota. Misternie wykonane płytki ukazywały jego świetliste brązowe oczy, kręcone czarne włosy i smutny uśmiech. Z prostej postaci emanował majestat budzący zadziwienie tych,

którzy ujrzeni cud. Nie byli to wyłącznie ludzie. Na scenę spoglądały z góry jasne anioły, ciemne zaś czekały na dole; Łazarz tkwił między jednymi a drugimi niczym schwyty w pułapkę.

Pierwszy sangwinista, Ten, Który Powstał z Martwych.

O ile prostsze byłoby życie Elżbiety, gdyby Łazarz nie podjął wyzwania Chrystusa.

Oderwała spojrzenie od sufitu i skierowała na jedyną prócz niego ozdobę komnaty. Na samym jej środku wznosił się biały ołtarz, a na jego wierzchołku tkwił srebrny kielich. Dotknięcie srebra parzyło zarówno *strigoi*, jak i sangwinistów. Wypicie ze srebrnego kielicha miało potęgować ból zakonników, wzmocnić siłę tortury podczas spożywania konsekrowanego wina.

Usta Elżbiety skrzywiły się w uśmiešku.

Jak ci durnie mogą podążać za Bogiem, który żąda niekończącej się męczarni?!

– Wyjawisz mi to, co chcę wiedzieć – zakomunikował Bernard.

– Tu, w tej komnacie.

Odpowiedziała prostymi słowami i chłodnym tonem: – Najpierw zapłać cenę.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Byłby to straszliwy grzech.

– Ale już go kiedyś popełniono. – Elżbieta dotknęła szyi, przypominając sobie, jak kły Rhuna wbijały się w jej miękką skórę. – Przez twojego wybrańca, Rhuna Korzę.

Bernard odwrócił głowę.

– Był młody i był nowicjuszem – odrzekł cicho. – Do upadku przywiodła go chwila pożądania i pychy. Ja nie jestem takim głupcem.

Reguły są jasne. Nigdy nie wolno nam...

– Nigdy? – przerwała mu Elżbieta. – Od kiedy to wyraz „nigdy” jest w twoim słowniku, kardynale? Złamałeś niejedną regułę zakonną.

Wieki temu. Myślisz, że o tym nie wiem?

– Nie tobie to sądzić – odparł ostrzejszym tonem. – Tylko Bogu wolno.

– Bóg zatem osądzi i mnie. – Od zimna bolały Elżbietę stopy, lecz stała niewzruszenie. – Bez wątpienia z Jego woli jestem tu teraz, ja, która jako jedyna mam tę wiedzę. Poznasz ją i ty, jeśli tylko za nią zapłacisz.

Po twarzy Bernarda przemknął wyraz niepewności.

Skorzystała z tego i naciskała mocniej.

– Jeśli twój Bóg jest wszechwiedzący i wszechwładny, czemu postawił mnie przed tobą jako jedyną depozytariuszkę wiedzy, której pragniesz? Może to, o co proszę, także jest Jego wolą?

Od razu zrozumiała, że posunęła się o krok za daleko, odczytała to z twarzy kardynała, której rysy się ściągnęły.

– Ty, kobieta upadła, śmiesz odczytywać Jego wolę?

Czyżby się skrzywił, czyżby mówił jak do takiej, która sprzedaje ciało za pieniądze?

Jak on śmie!

Smagnęła go dłonią w twarz i na jego skórze pozostała smuga jej krwi.

– Nie jestem kobietą upadłą. Jam jest hrabina Batory na Ecsed, z królewskiej krwi od wieków. Nie pozwolę się w taki sposób szkalować. Zwłaszcza tobie.

Kardynał zareagował błyskawicznie. Mocny cios odrzucił ją do tyłu, w policzku zatętnił ból. Szybko się wyprostowała i znów usztywniła kark. Poczwała w ustach smak krwi.

Doskonale.

– Mogę tutaj zrobić z tobą wszystko – rzekł groźnie.

Oblizwała wargi, zwilżając je życiodajnym płynem. Była świadoma, że Bernard poczuł już woń jej świeżej krwi na swoim policzku.

Zauważyła, że uniósł nieco nos. Obudziło się w nim zwierzę, potwór czający się za maską twarzy.

Musiała go wyzwolić, zerwać krępujące go kajdany.

– Co możesz mi zrobić? – rzuciła wyzywająco. – Za słaby jesteś nawet na to, by mnie przekonać.

– Nie bierz mojego opanowania za słabość – ostrzegł. – Pamiętam czasy inkwizycji, kiedy to zadawanie bólu w służbie

Kościół podniesiono do rangi sztuki. Mogę ci zadać taki, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałaś.

Uśmiechnęła się, widząc gniew dostojnika.

– Nie możesz nauczyć mnie niczego o bólu, klecho. Przez sto lat nie wolno było w mojej ojczyźnie wypowiadać mego nazwiska z powodu czynów, które popełniłam. Zadałam i przyjąłam więcej tortur, niż zdołasz sobie wyobrazić... i sprawiło mi to tyleż przyjemności.

Jedno jest splecione z drugim w sposób, którego nigdy nie pojmiesz.

Zrobiła krok w jego stronę, zmuszając go do cofnięcia się, jednak kajdanki nie pozwalały mu się oddalić.

– Ból nie budzi we mnie lęku – ciągnęła, chuchając w jego stronę gorącą wonią swojej krwi.

– A powinien...

Chciała, by nie przestawał mówić, bo mówienie wymaga oddychania. A z każdym tchem kardynał wciągał w nozdrza więcej zapachu.

– Zadaj mi ból i zobaczymy, komu sprawi to większą rozkosz – powiedziała.

Cofał się przed nią tak długo, aż jego plecy oparły się o srebrną mozaikę pokrywającą ścianę. Jednakże kajdanki pociągały za nim Elżbietę, była tuż-tuż.

Zagryzła zębami skaleczony policzek, jednocześnie opuszczając głowę. Rozchyliła usta, pozwalając świeżej krwi wypłynąć spomiędzy warg. Potem odchyliła głowę, odsłaniając długą delikatną szyję.

Blask świec przemknął po czerwonej strużce spływającej w dół i zbierającej się w zagłębieniu między obojczykami.

Czuła, jak jego wzrok podąża za ciepłym tropem ku obietnicy zaspokojenia. Bujna woń była niczym zew dla bestii czającej się w każdej kropli jego przeklętej posoki.

Wiedziała, że zapach ogarnia całą komnatę, chociaż nie mogła już tego odczuć zmysłami. Woń wypełnia nozdrza, usta nawet. Kiedyś sama doznawała tego, co w tej chwili czuł kardynał. Znała

niezmierną moc zapachu. Nauczyła się jej poddawać, dało jej to siłę.

On się tego wyrzekł i uczyniło go to słabym.

– W jaki sposób byś mnie torturował, Bernardzie? – zapytała, sepleniąc z powodu krwi wypełniającej jej usta. Wypowiedziała jego imię, by przywołać intymność.

Wolną ręką kardynał sięgnął do pectorału, ona jednak zakryła krzyż dłonią i nie pozwoliła mu zaznać ukojenia świętego bólu. Palce Bernarda zamknęły się na jej ręce, jakby to był krzyż, jego zbawienie.

– Powiem ci to, czego łakniesz się dowiedzieć – wyszeptała, przemawiając do jego najgłębszego pragnienia. – Pomogę ci ocalić twój Kościół.

Jego palce zacisnęły się mocniej, omal nie zmiażdżył drobnych kostek jej dłoni.

– To dla ciebie nic trudnego – nęciła. – Popełniałeś już grzechy krwi, wiem, że są czarniejsze niż ktokolwiek podejrzewa. Wiele grzechów popełniłeś w Jego imieniu, czyż nie?

Wyraz twarzy Bernarda potwierdził jej słowa.

– A więc zrób to teraz. Ten czyn da ci moc, by obronić twój Kościół i zakon. Pozwolisz, by świat runął w przepaść? Przyjmiesz klęskę dlatego, że bałeś się działać? Dlatego że strach swój postawiłeś ponad świętą misję?

Przesunęła koniuszkiem języka po wargach, zwilżając je. Wiedziała, jak bardzo czerwieni się krew na jej bladych ustach, jak bardzo parzą go jej widok i zapach.

Kardynał bezwiednie oblizał usta.

– Czy ocalenie Jego świata za pomocą narzędzi, które ci podarował, może być grzechem? – mówiła Elżbieta. – Jesteś silniejszy od reguł, Bernardzie. Wiem o tym... i ty w głębi serca także to wiesz.

Powoli wciągnęła powietrze, nie spuszczać wzroku z kardynała.

Jej słowa zapadały w niego, igrały z jego niepewnością, podsycaly pychę.

Zadrzał. Pragnął usłyszeć odpowiedzi na pytania, pragnął jej krwi, pragnął jej.

Może i jest teraz sangwinistą, ale kiedyś był *strigoi*, a jeszcze wcześniej mężczyzną. Pożerał mięso, smakował rozkosz. Pragnienia zapisały się w każdej cząstce jego istoty, na wieki.

Serce Elżbiety biło w przyspieszonym rytmie, policzek płonął bólem po ciosie kardynała. Zawsze kochała ból, potrzebowała go tak, jak później łaknęła krwi. Zamknęła oczy i pozwoliła, by ból nią zawładnął. Ból rozciętego policzka, ból skaleczonego nadgarstka.

Oto rozkosz.

Kiedy otworzyła oczy, Bernard wciąż przytrzymał jej dłoń na krucyfiksie obok serca. Jego wzrok powędrował od czerwonych, splamionych krwią ust do pulsującej szyi i ramion odcinających się bielą od jedwabiu halki. Elżbieta poruszyła ramieniem i rozdarta suknia zsunęła się z jej ramion. Blask świec padł na jej piersi, wyraźnie widoczne przez jedwabny materiał.

Kardynał wpatrywał się w nią przez kilka długich uderzeń serca.

Nachyliła się z nieskończoną powolnością, a potem wspięła na palce i lekko musnęła ustami jego usta. Przez chwilę trwającą tak długo jak oddech pozwoliła mu czuć swoje ciepło i wdychać bogatą woń krwi.

– Jeśli to nie jest Jego wola, to dlaczego tutaj jestem? – zapytała szeptem. – Tylko ty jeden masz tyle siły, by uzyskać ode mnie odpowiedź. Tylko ty masz moc, by uratować swój świat.

Potem rozchyliła ustami jego wargi i wsunęła język, który niósł na sobie smak krwi.

Bernard stęknął i otworzył usta.

Poczuła jego zęby, które rosły z każdą chwilą trwania pocałunku.

Nie odsuwając warg od jej warg, kardynał obrócił się i przyparł Elżbietę do ściany. Stare płytki odpadły, szklane krawędzie przecięły cienki jedwab halki i skórę. Ciepła krew spływała po jej plecach i skapywała na posadzkę.

Elżbieta oderwała usta od ust kardynała i podsunęła mu szyję.
Bez wahania zatopił w niej kły.

Jęknęła z bólu.

W jednej chwili wessał wielki łyk krwi, wraz z nim odbierając jej ciepło. Elżbieta zadrżała, jej kończyny się oziębily. Lodowaty ból przeszył jej serce. To nie było oszałamiające złączenie, którego doświadczyła w obcowaniu z Rhunem.

To była zwierzęca chuć.

Bolesny głód, który nie zostawiał miejsca na miłość i pieśczętę.

Bernard mógł ją w tej chwili uśmiercić i zostawić z niczym, musiała jednak podjąć to ryzyko i ufać, że dla tego, który trzymał ją w ramionach, wiedza jest równie ważna jak krew.

Nie pozwoli mi umrzeć wraz z sekretami, które do mnie należą.

Ale czy nawet teraz, po tym, jak wyzwoliła w nim bestię?

Ciało Elżbiety osunęło się na posadzkę. Serce osłabło, pustkę przepełniły zwątpienie i... strach.

Potem świat odpłynął w wiekuisty mrok.

17 marca, 21.38
Wenecja, Włochy

Rhun szedł różnym krokiem po wypolerowanej posadzce bazyliki Świętego Marka. Wylądował w mieście kwadrans wcześniej. Z wiadomości, którą dla niego zostawiono, dowiedział się, że Bernard i jego świta zabrali ze sobą Elżbietę. Dotarłszy do bazyliki, zobaczył otwarte drzwi, w środku nikogo nie było.

Czyżby zeszli już do kaplicy sangwinistów?

Skierował wzrok ku północnemu transeptowi świątyni. Pamiętał, że są tam schody prowadzące do podziemnej krypty i tajemnego wejścia do siedziby zakonu. Ruszył do nich, lecz jego uwagę zwrócił jakiś ruch przy południowym transepcie. Z ciemności wychynął zastęp cieni i pomknął ku niemu z nadnaturalną chyżością.

Rhun stęzał, nie wiedząc, z czym ma do czynienia. Seria ataków, które ostatnio nastąpiły, skłaniała do zachowania czujności.

To niemożliwe, by *strigoi* odważyli się zaatakować w świętym miejscu.

Rozległ się jakiś głos, gdy mroczne sylwetki znalazły się w zasięgu światła. Była to trójka sangwinistów, dwaj mężczyźni i kobieta.

– Rhunie!

Rozpoznał śniadą twarz Sophii.

Drobna postać znalazła się u jego boku, jej towarzysze również.

– Przybyłeś w samą porę.

W oczach sangwinistki dostrzegł zaniepokojenie.

– Dzieje się coś złego?

– Chodź z nami – odrzekła, kierując się ku północnemu transeptowi. – Mamy kłopoty przy bramie.

– Słucham cię. – Sprawdził karambit, który nosił przypasany do nadgarstka, i podążył za Sophią, dotrzymując jej kroku w błyskawicznym marszu.

Zrelacjonowała mu wydarzenia, opowiedziała, jak Bernard uprowadził Elżbietę i zaryglował za sobą przejście.

– Christian tam jest, ale potrzeba nas trojga, by odemknąć drzwi.

– Skinieniem głowy wskazała dwóch księży, którzy za nią szli.

– Przyszłam tu po pomoc, ale zbyt długo trwało jej poszukiwanie. Erin lęka się najgorszego.

Kiedy doszli do schodów, Rhun wysunął się na czoło. Ufał osądowi archeolożki. Jeśli się obawiała, musiała mieć ku temu powód. W połowie długości schodów usłyszał głośnie bicie dwóch serc.

Erin i Jordan.

Łatwo mógł je rozróżnić, tak jak ich głosy. Szybkie uderzenia serca Erin sygnalizowały strach. Dotarł do krypty i zobaczył Christiana. Młody sangwinista walił dłonią w ścianę, krzycząc imię Bernarda.

Rhun już wiedział, co go tak zaniepokoiło.

Wychwytał bicie innego serca, przytłumione, bo dochodzące zza kamiennego muru; mimo to dzięki swoim wyostrzonym zmysłom słyszał je dobrze. Akustyka podłużnej krypty wzmacniała dźwięk.

To była Elżbieta.

Jej serce słabło z każdym uderzeniem.

Umierała.

Christian odwrócił się, słysząc kroki przybyszów.

– Prędszej!

Rhuna nie trzeba było popędzać. Śmignął przez kryptę. Erin wyszła mu naprzeciw, lecz przemknął obok niej bez słowa. Nie było czasu.

Wydobył sztylet z rękawa, nakłuł sobie dłoń i wypuścił krople krwi do kamiennego pucharu w posągu Łazarza. Sophia i Christian natychmiast dodali swoją krew.

– Bo to jest kielich krwi naszej – wyrecytowali chórem. – Nowego i wiecznego testamentu.

W kamieniu ukazał się zarys drzwi.

– *Mysterium fidei* – powiedziała trójka sangwinistów.

Drzwi uchyliły się z nieznośną powolnością. Buchnął przez nie mocny zapach krwi, oszałamiający i zaprawiony wonią niebezpieczeństwa.

Gdy tylko luka była wystarczająco szeroka, Rhun wślizgnął się bokiem do krypty i popędził w kierunku miejsca, z którego wionął zapach.

Dotarł do progu głównej kaplicy i usłyszał, że serce Elżbiety przestało bić. Ogarnął wzrokiem niepojętą scenę. W świętej komnacie, zalana blaskiem srebrnej mozaiki, leżała na wznak Elżbieta. Jej kończyny spoczywały bezwładnie, pozbawione życia.

Nie była sama.

Obok klęczał Bernard przykuty do niej kajdankami, z ustami we krwi. Odwrócił się do Rhuna, jego twarz wyrażała boleść. Po policzkach kardynała, poprzez szkarłatne plamy jego grzechu, płynęły łzy.

Rhun, nie bacząc na ból, skoczył do Elżbiety, w biegu padając na kolana; wziął ją na ręce i podniósł. Odsunął ją od Bernarda tak daleko, jak pozwalały na to łączące ich kajdanki.

Pragnął zbuntować się przeciw popełnionemu dawno grzechowi, dopuścić, by gniew wypalił żal, który go przepełniał. Bernard zapłaci kiedyś za swój czyn, ale nie dzisiaj.

Ten dzień jest tylko dla niej.

Pierwszy znalazł się u jego boku Christian. Na znak współczucia dotknął ramienia Rhuna, a potem uklęknął i zajął

się kajdankami.

Metalowa obręcz odpadła od wąskiego nadgarstka i brzęknęła na kamiennej posadzce.

Elżbieta była już odłączona od mordercy, Rhun uniósł więc jej zimne ciało i wstał. Chciał się oddalić od Bernarda.

Sophia i dwaj bracia sangwiniści podeszli do zdruzgotanego kardynała. Dźwignęli go szorstko i postawili na nogi. Ich przytłumione głosy wyrażały niedowierzanie, że mógł się czegoś takiego dopuścić.

Ale zrobił to, zabił Elżbietę.

– Rhunie... – Erin stała obok Jordana, wspierając się na jego ramieniu. Trzymała się go, trzymała się życia, które płonęło jasnym płomieniem.

Rhun nie mógł na to patrzeć i odwrócił się. Niósł Elżbietę do ołtarza, chciał, by otoczyła ją świętość. Przysiękł sobie, że od tej chwili Elżbieta na zawsze pozostanie w jej blasku. Poprzysiągł, że odnajdzie mogiły jej dzieci i złoży ją obok nich.

Zasłużyła na to.

Bardzo dawno temu wykradł ją z jej prawowitego miejsca, ale teraz robi wszystko, by naprawić to, co da się jeszcze naprawić. Tylko tyle mógł dla niej uczynić.

Pyszny srebrzysty blask spływał na bladą skórę, długie rzęsy i czarne włosy. Nawet w objęciach śmierci była najpiękniejszą kobietą, jaką Rhun kiedykolwiek widział. Unikał wzrokiem okropnej rany na gardle i krwi spływającej po ramionach i wsiąkającej w delikatną jedwabną halkę.

Doszedłszy do ołtarza, nie potrafił złożyć Elżbiety na zimnym łożu. Kiedy wypuści ją z ramion, naprawdę ją utraci. Osunął się na posadzkę obok ołtarza i ściągnął biały obrus, by okryć obnażone kończyny Elżbiety.

Brzegiem pobłogosławionej materii otarł krew z podbródka, pełnych ust i policzków. Bok twarzy znaczył siniak. Bernard musiał ją uderzyć.

Zapłacisz i za to.

Rhun nachylił się nad nią.

– Tak mi przykro – szepnął. Wypowiadał do niej te słowa wiele razy, zbyt wiele.

Tyle razy cię skrzywdziłem...

Pogładził ją po obitym policzku delikatnie, jak gdyby nadal czuła jego dotyk. Dotknął miękkich powiek, pragnąc, by Elżbieta po prostu ożyła i znów mogła otworzyć oczy.

I tak właśnie zrobiła.

Drgnęła w jego ramionach niczym budzący się ze snu kwiat, który miękko rozkłada płatki w oczekiwaniu na nadchodzący dzień. W pierwszej chwili chciała się od niego odsunąć, ale potem go rozpoznała i uspokoiła się.

– Rhun... – powiedziała słabym głosem.

Wpatrywał się w nią bez słowa i nie usłyszał bicia jej serca. Wtedy zrozumiał prawdę.

Boże, nie...

Zerknął za siebie przez ramię i wezbrał w nim gniew. Kardynał nie tylko napił się krwią Elżbiety, ale także wsączył w nią własną. Rzucił na nią przekleństwo tak łatwo, jak uczynił to przed wiekami Rhun, plugawiąc Elżbietę. Znów była potworem wyzutym z duszy.

Kilka miesięcy temu Rhun poświęcił własną duszę, by ją ocalić, a teraz Bernard obrócił ten wielki dar w proch.

Winowajca wstał otoczony przez Christiana i trzech pozostałych sangwinistów. Popęłnił najcięższy z grzechów i zostanie ukarany, może nawet śmiercią.

Rhun nie miał dla niego ani krzty współczucia.

Elżbieta oparła głowę na jego piersi, była zbyt słaba, by nią poruszyć. Bardziej do niego wydyszała, niż powiedziała: – Jestem taka zmęczona, Rhun... śmiertelnie zmęczona.

– Musisz się pożywić – odparł równie cicho. – Znajdziemy kogoś, kto odda nam krew i odzyskasz siły.

– To wykluczone – rzuciła Sophia, która stała nad nimi. – Ona nie może istnieć. Jest teraz *strigoj* i musi zostać zabita.

Rhun popatrzył na pozostałych i nie znalazł nikogo, kto by zaoponował. Chcieli zaszlachtować Elżbietę jak zwierzę.

W sukurs przyszedł mu ten, po którym nigdy by tego nie oczekiwał.

Bernard przemówił tak, jakby jego głos nadal miał wagę: – Musi napić się wina, zostać jedną z nas. Wziąłem ten grzech na siebie i ją stworzyłem... bo hrabina przysięgła stawić czoło wyzwaniu.

Napić się świętego wina i wstąpić do naszego zakonu.

Albo przy tym zginąć, pomyślał Rhun.

Wstrząśnięty spojrzął na Elżbietę. Ona nigdy by się na to nie zgodziła. Spoczywała w jego ramionach, a jej oczy były znowu zamknięte. Zemdląła z wyczerpania.

Sophia dotknęła srebrnego krzyżyka na szyi.

– Nawet jeśli przejdzie próbę, nie naprawi to twojego grzechu, kardynale.

– Poniosę karę. Ale ona musi wypić święte wino i przyjąć osąd boży.

– To nie jest jej grzech – sprostował Rhun.

– Wybacz, Rhunie – odezwał się Christian, który podszedł do Sophii. – Nie ma znaczenia, w jaki sposób została przemieniona, liczy się tylko to, że jest teraz *strigoi*. Takie stwory nie mogą istnieć. Muszą albo poddać się próbie i wypić wino, albo zginąć.

Rhun pomyślał o ucieczce z Elżbietą. Nawet gdyby zdołał pokonać wszystkich, którzy zebrali się w tym miejscu, co zrobiłby później?

Wiedliby żywot potępionych, a on musiałby ją hamować przed okazywaniem prawdziwej natury. Oboje byliby odcięci od bożej łaski.

– Trzeba to zrobić, i to już – oznajmiła Sophia.

– Chwileczkę – wtrącił się Jordan. – Może wszyscy powinniśmy się wstrzymać i omówić sprawę.

– Zgadza się – poparła go Erin. – Okoliczności są nadzwyczajnego rodzaju. Pamiętajcie, że ta kobieta ma informacje, których potrzebujemy. Czy nie powinniśmy ich uzyskać, zanim narazimy się na to, że znów ją utracimy?

– Erin ma rację – rzucił Jordan. – Hrabina odebrała zapłatę w całości. Spełniono jej prośbę, a teraz musi nam powiedzieć to, co wie.

Christian ściągnął brwi, ale wyglądało na to, że stopniowo przechodzi na ich stronę. Niestety na Sophii argumenty Amerykanów nie zrobiły wrażenia i miała głosy dwóch sangwinistów stojących u jej boku.

Wsparcie nadeszło z nieoczekiwanej strony.

– Powiem wam, co wiem – wydusiła Elżbieta, z wielkim trudem odwracając głowę. – Ale jeśli nie będzie to oznaczało dla mnie wyroku śmierci.

Sophia wysunęła z pochew dwa zakrzywione miecze, ich ostrza zaślniły w blasku świec.

– Nie wolno nam pozwolić *strigoi* żyć. Reguły są jasne. *Strigoima* do wyboru tylko dwie drogi: albo wstępuje do naszego zakonu, albo jest natychmiast uśmiercany.

Rhun mocniej objął Elżbietę. Nie utraci jej dwa razy tego samego dnia. Jeśli okaże się to konieczne, będzie walczył.

Erin wyczuła, że napięcie prowadzi do bezpośredniego starcia, i ustawiła się między Rhunem a resztą.

– Czy nie można zrobić dla niej wyjątku? Niech zachowa obecną postać. Kościół zgodził się z nią współpracować, kiedy była *strigoi*, a my poszukiwaliśmy Pierwszego Anioła. Pozwolono jej wtedy żyć w zamian za pomoc, której nam udzielała. Czy teraz okoliczności są inne?

W komnacie zawisła cisza.

Bernard postanowił wreszcie ujawnić fakty.

– Okłamaliśmy ją. Gdyby przeżyła w postaci *strigoi* po tym, jak zdołalibyśmy odnaleźć Pierwszego Anioła, miała zginąć.

Erin aż westchnęła.

– Czy to prawda?

– To ja własną ręką miałem ukrócić jej przeklęty żywot – wyznał kardynał.

Rhun wpatrywał się w swojego mentora, tego, który go wychował do nowego życia. Setki lat darzył Bernarda zaufaniem,

a teraz ziemia usuwała mu się spod nóg. Nic nie było takie, jak się wydawało. Nikt nie był tym, za kogo uchodził.

Z wyjątkiem Elżbiety.

Ona nigdy nie udawała kogoś innego, nawet kiedy była potworem.

– Twoje obietnice nic zatem nie znaczą, kardynale – rzekła Elżbieta. – W takim razie nie mam powodu trzymać się mojej przysięgi.

Nic wam nie powiem.

– Wobec tego zginiesz natychmiast – oznajmił Bernard.

Patrzyła na niego; tych dwoje od zawsze toczyło ze sobą wojnę.

– A więc zadaj mi pytanie. Przedstaw mi wybór, który wy, sangwiniści, jesteście zobowiązani zaproponować każdemu uwięzionemu *strigoi*.

Nikt się nie odezwał.

Oparła głowę o pierś Rhuna i spojrzała na niego smutnymi oczami, lecz zdecydowanie.

– Zadaj mi pytanie.

– Odmawiam. Nic złego nie zrobiłaś i nie masz za co odpowiadać.

– Ależ mam, kochany. Ostatecznie wszyscy mamy za co odpowiadać. – Uniosła drżącą rękę i dotknęła jego policzka. Po jej zmęczonych wargach przemknął fantom uśmiechu. – Jestem gotowa.

– Spalisz się na proch, jeśli tkniesz wina – wtrącił się w tę wymianę zdań Bernard. – Powiedz nam najpierw, co wiesz, a Bóg może ci wybaczyć.

Zignorowała go i dalej patrzyła na Rhuna.

Ten widział determinację w jej oczach. Zimnymi ustami wypowiedział pytanie: – Czy ty, Elżbieta Batory na Ecsed, wyrzekasz się swojego przekłętego żywota i zgadzasz się na propozycję Chrystusa, by służyć Kościołowi, pić tylko Jego krew, Jego święte wino... teraz i na wieki?

Ani przez chwilę nie spuściła wzroku z Rhuna, nawet gdy jego łzy kapnęły na jej twarz.

– Tak.

17 marca, 23.29

Wenecja, Włochy

Erin spoglądała na olbrzymią kopułę pośrodku bazyliki Świętego Marka, zadzierając głowę ku złotemu blaskowi jak do słońca na niebie. Zbliżała się północ, lecz ciemność nocy była tam bezsilna.

Nieco wcześniej w mniejszej srebrnej kaplicy w podziemiu była świadkiem, jak jej towarzysze wiodą hrabinę w mrok skrywający głębsze regiony matecznika sangwinistów. Erin martwiła się o nią, lecz Sophia była nieugięta: osobie postronnej nie wolno było oglądać świętego rytuału zakonu. Erin wiedziała jedynie tyle, że Elżbieta zostanie obmyta i ubrana w habit zakonnicy, i dopiero wtedy przejdzie obrzęd transformacji składający się z modlitw, żalu za grzechy i wypicia wina zamienionego w krew Chrystusa.

Chętnie zobaczyłaby tę ceremonię na własne oczy, lecz nie tylko ją z niej wykluczono.

Jednemu sangwiniście nie pozwolono wejść razem z innymi.

Przynajmniej na razie.

Odwróciła się i zobaczyła Rhuna, który przemierzał wielką bazylikę wzdłuż i wszerz; płomienie świec drgały, kiedy przechodził z jednego zacienionego miejsca w drugie. Ścisnął ręką różaniec i ani na chwilę go nie puszczał. Jego wargi poruszały się w ciągłej modlitwie.

Erin nigdy jeszcze nie widziała go tak przejętego.

Jordan dla odmiany rozsiadł się wygodnie na ławce nieopodal.

Jego pistolet maszynowy spoczywał w zasięgu ręki. Erin skrzyła, podeszła do niego i postawiła plecak na posadzce.

– Rhun zaraz wydepcze koleiny w marmurze – rzucił Jordan.

– Ma prawo tak chodzić. Tej nocy może umrzeć kobieta, którą kocha.

Jordan westchnął.

– Nie nazwałbym jej wymarzonym obiektem uczuć. Już nie zliczę, ile razy mu dopiekała.

– Co nie znaczy, że chciałby być świadkiem jej śmierci. – Erin ujęła dłoń sierżanta i wiedząc, że Rhun może ich słyszeć nawet z przeciwnego krańca nawy, zniżyła głos. – Szkoda, że nic nie możemy zrobić.

– Dla kogo? Dla Rhuna czy dla Elżbiety? Nie zapominaj, że sama prosiła, żeby zamienić ją w *strigoi*. Coś mi mówi, że ona to sobie wszystko wykalkulowała, zanim zgodziła się na przemianę. Nie wtrącajmy się.

Oparła się o bok Jordana i znów zauważyła, że jest rozgrzany jak piec. Odsunął się od niej. Ruch był nieznaczny, ale wyczuwalny.

– Jordanie? – Erin była gotowa stawić czoło swoim lękom. – Co ci się przydarzyło w Kume?

– Już ci mówiłem.

– Ale nie o ataku *strigoi*. Nadal jesteś rozpalony i... jakby inny.

– To ostatnie słowo w minimalnym stopniu oddawało jej odczucia.

– Pojęcia nie mam, co się ze mną dzieje. – Głos Jordana zabrzmiał tak, jakby dochodził z daleka. – Wiem tylko, że... jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało... że zmiana, która we mnie zaszła, prowadzi w dobrą stronę, a ja muszę tą drogą podążać.

– Jaką drogą? – zapytała Erin i przełknęła ślinę.

Czy mogę pójść razem z tobą? – miała ochotę dodać.

Zanim zdążył odpowiedzieć, przy końcu ławki stanął Rhun.

– Mogę zapytać cię o godzinę, Jordanie?

Sierżant uwolnił dłoń z ręki Erin i zerknął na zegarek.

– Wpół do dwunastej.

Rhun położył rękę na pectorale i spojrzał w kierunku schodów przy północnym transepcie, które prowadziły do podziemi. Widać było, że trawi go niepokój. Ceremonia miała się rozpocząć o północy.

Przejęta jego lękiem Erin wstała. Nie dowie się więcej od Jordana.

Może on sam nie wie więcej, niż do tej pory wyjawiał, a może po prostu nie chce mówić. A tkwienie w tym miejscu na nic się nie zda.

Podeszła do Rhuna.

– Wiesz, Jordan ma rację.

Sangwinista odwrócił się do niej.

– W czym?

– Elżbieta jest inteligentna. Nie wyraziłaby zgody na przemianę, gdyby nie wiedziała, że ma spore szanse ją przeżyć.

Rhun westchnął.

– Ona sądzi, że jest to złożony proces, że jest w nim miejsce na wątpliwości i błąd, ale się myli. Brałem udział w licznych takich obrzędach. I widziałem wielu, którzy... nie przetrwali próby wina.

Żaden trik nie pomoże jej się prześlizgnąć.

Sangwinista podjął swoją wędrówkę, lecz Erin podążyła wraz z nim.

– Może Elżbieta się zmieniła – powiedziała, nie całkiem wierząc w swoje słowa, lecz wiedziała, że Rhun chce w to wierzyć.

– To dla niej jedyna nadzieja.

– Jest silniejsza, niż przypuszczasz.

– Modłę się, żebyś miała rację, bo... – Głos mu się załamał i sangwinista przełknął ślinę. – Nie zniósłbym tego, gdyby znów umarła.

Erin ujęła jego chłodną rękę. Koniuszki palców miał zaczerwienione, były na nich pęcherze od dotykania srebrnych

paciorków różańca. Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. Trudno było patrzeć na cierpienie bijące z jego twarzy, ale nie odwróciła głowy.

Nachylił się do niej, a ona odruchowo wzięła go w objęcia. Przez chwilę trwającą tyle co oddech rozluźnił się i pozwolił jej trzymać swoje twarde zimne ciało. Widziała nad jego ramieniem, że Jordan na nich patrzy. Wiedząc, jakie jest jego nastawienie do Rhuna, spodziewała się, że będzie zazdrosny; on jednak spoglądał obok niej, zatopiony w swoich myślach, w świecie, w którym było dla niej coraz mniej miejsca.

Rhun uwolnił się z objęć Erin i delikatnie dotknął jej ramienia.

Tym prostym gestem wyraził wdzięczność. Nawet w tak wielkiej udręce troszczył się o jej uczucia bardziej niż Jordan.

W milczeniu wrócili nawą do miejsca, w którym siedział sierżant.

Zmierzył ich spojrzeniem, które było denerwująco spokojne.

– Już prawie czas – rzucił, zanim Rhun zdążył zadać pytanie. – Będziesz obok Elżbiety, kiedy skosztuje wina?

– Nie mogę – odparł sangwinista, zniżając głos prawie do szeptu.

– Nie mogę.

– Nie wolno ci tam wejść? – chciał wiedzieć Jordan.

Przepełnione poczuciem winy milczenie starczyło za odpowiedź.

Erin dotknęła ramienia sangwinisty.

– Musisz tam być.

– Ona przeżyje albo umrze bez względu na moją obecność, a ja tego nie zniosę, jeśli...

Usiadł bezwładnie obok niej.

– Rhunie, ona się boi – powiedziała Erin. – Chociaż z całych sił próbuje to ukryć. To mogą być jej ostatnie chwile na ziemi, a ty pozostałeś jedyną osobą, która ją naprawdę kocha. Nie możesz zostawić jej samej.

– Może i masz rację. Gdybym pozwolił jej wieść takie życie, jakie przeznaczył jej Bóg, nie cierpiałyby teraz takiego losu. Może to mój obowiązek...

Erin ścisnęła jego rękę. Miała wrażenie, że dotyka marmurowego posągu, ale gdzieś w środku, bardzo głęboko, tkwiło zranione serce.

– Nie idź tam z poczucia obowiązku – przestrzegła Erin. – Idź dlatego, że ją kochasz.

Schylił głowę, lecz nadal wyglądał na niezdecydowanego.

Odwrócił się i rozpoczął kolejną rundę wokół nawy. Wiedząc, że musi rozważyć jej słowa i podjąć decyzję, Erin zostawiła go samego. Westchnęła i usiadła znów obok Jordana.

– Gdyby nas to spotkało, pozwolilibyś mi wypić wino samej?

Położył jej palec pod brodą i skierował ku sobie jej twarz.

– Złapałbym cię za tyłek i wyrwał stąd, zanimby do tego doszło.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, radując się tą chwilą, lecz nie trwała ona długo.

W drzwiach bazyliki stanął Christian i ruszył w ich stronę. Niósł płaskie pudełko, które pachniało mięsem, serem i pomidorami. W drugiej ręce trzymał dwie brązowe butelki.

– Pizza i piwo – domyślił się Jordan. – Przynosisz nam spełnienie marzeń.

– Pamiętaj o tym, kiedy będziesz obliczał napiwek dla mnie – odparł sangwinista, podając mu pakunek.

Rhun, odgadując, że jego brat zakonnik przynosi nie tylko spóźnioną kolację, podszedł do nich.

Christian skinął mu głową.

– Już czas. Ale nie musisz przy tym być. Zdaję sobie sprawę, jakie to może być bolesne.

– Pójdę – oznajmił Rhun, posyłając Erin długie spojrzenie. – Dziękuję, że przypomniałaś mi dlaczego.

Skłoniła głowę, dziękując za te słowa. Chętnie by mu towarzyszyła, wspierała go, w razie gdyby hrabina nie przeżyła próby.

Odwrócił się i poszedł na spotkanie przeznaczenia. Chciał dzielić je z Elżbietą.

Ich losy były ze sobą splecione na wieki.

23.57

Elżbieta stała znów w srebrnej kaplicy, w której umarła i ponownie się narodziła. Ktoś zmył jej krew z posadzki i ścian. W pomieszczeniu pachniało kadzidłem, marmurem i cytryną. Na ołtarzu zapalono świeże gromnice.

Było tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Spoglądała w górę na jasną mozaikę przedstawiającą Łazarza. Łazarz zrobił to, co ona miała za chwilę zrobić, i przeżył. Ale on miłował Chrystusa.

Ona nie.

Przeciągnęła dłonią po czarnym habicie, uniformie nędznej zakonnicy. W talii obwiązano ją srebrnym różańcem, a na szyi zawieszono pektorał. Oba te przedmioty parzyły ją nawet przez gruby materiał. Czuła się tak, jakby włożyła kostium i szła na bal.

Lecz nie była to jej jedyna maskarada.

Nie poruszała się, żeby nikt nie odgadł, jak naprawdę się czuje, ona tymczasem czuła w sobie rozkoszną siłę. Kardynał pożywił się nią obficie i oddał w zamian niewiele własnej krwi, nie tyle, ile potrzebowała. Co gorsza, podeszwy jej skromnych butów stały na świętej ziemi, w miejscu, które jeszcze bardziej powinno ją osłabiać.

Elżbieta zaś czuła się silna, może silniejsza niż kiedykolwiek dotąd.

W świecie nastąpiła jakaś zmiana.

Oprócz niej w kaplicy było ośmiu sangwinistów, którzy pilnie ją obserwowali. Ona jednak zauważała tylko jednego. Rhun przyszedł, by wziąć udział w obrzędzie, i stanął tuż obok. Zdziwiła się, że ten gest poruszył ją tak głęboko.

– Czy wierzysz, Elżbieto? – szepnął, zbliżywszy się do niej. – Miej wiarę, bo ona pomoże ci przeżyć.

Spojrzała w jego zatroskane oczy. Przez setki lat nie pragnęła niczego poza tym, by zwalczyła w sobie zło, by poświęciła się

pozbawionej przyjemności egzystencji w służbie Kościoła, któremu nigdy nie ufała. Chciała go pocieszyć, ale wolała nie kłamać – nie teraz, być może w ostatnich chwilach, które ze sobą spędzali.

Sangwiniści zaintonowali modlitwę. Gdyby podjęła próbę ucieczki, zabiliby ją, a wtedy Tommy także byłby skazany na śmierć.

Ognisty szlak, na który weszła, prowadził do jedynej szansy na ocalenie życia chłopca i jej.

– Tak, wierzę – odpowiedziała i była to prawda. Ale jej wiara nie była tą, której on dla niej pragnął. Wierzyła w siebie i w to, że zdoła przeżyć i ocalić Tommy'ego.

– Jeśli nie będziesz miała wiary – mówił Rhun – jeśli nie uwierzysz, że Chrystus może ocalić twoją potępioną duszę, zginiesz po pierwszym łyku Jego krwi. Zawsze tak było.

Doprawdy?

Rasputina wydalono z Kościoła, a mimo to na własne oczy widziała, że żyje poza Kościołem. Podobnie jak brat Leopold, brat z Niemiec, który zdradzał Kościół przez pięćdziesiąt lat, a mimo to tyle razy pił wino i nigdy nie doznał oparzenia.

Czy mnicha utrzymywała przy życiu wiara w cel, któremu służył?

Elżbieta miała nadzieję, że tak właśnie było. Ze względu na siebie i na Tommy'ego. Musiała wierzyć, że święta krew otwiera inne drogi odkupienia. Serce jej nie było czyste, lecz uratowanie chłopca było szlachetnym celem.

A jeśli się mylę...

Dotknęła palcem odsłoniętego nadgarstka Rhuna.

– Chcę, żebyś to ty podał mi wino. Nikt inny.

Jeżeli pisane jest mi zginąć, niech to się stanie z ręki tego, który mnie kocha.

Przełknął ślinę i twarz jego pociemniała ze strachu, ale nie odmówił.

– Twoje serce musi być czyste – przestrzegł. – Musisz do Niego przyjść z otwartym sercem i miłością. Potrafisz to zrobić?

– Przekonamy się – odparła wymijająco.

Przyjął tę odpowiedź i skinieniem głowy wskazał srebrny kielich spoczywający na ołtarzu. Niosła się od niego woń wina, przebijała się przez zapach kadzidła. Trudno było pojąć, jak prosta substancja, która powstała z fermentacji winogron, może kryć w sobie tajemnicę życia.

Albo że może zniszczyć dopiero co odnalezioną nieśmiertelną moc wraz z tą, która ją odnalazła.

Rhun stanął przed ołtarzem twarzą do Elżbiety.

– Najpierw musisz wyrazić wszem wobec skruchę i żal za grzechy, które popełniłaś, za wszystkie. Potem będziesz mogła skosztować Jego świętej krwi.

Nie mając innego wyboru, wymieniała każdy grzech po kolei i widziała, że spadają na barki Rhuna, że bierze na siebie winę za nie.

Jego twarz wyrażała ból i żal. Mimo wszystko, gdyby mogła, oszczędziłaby mu tego.

Kiedy doszła do końca, zaschło jej w gardle. Minęło wiele godzin.

Jej ciało *strigoi* wyczuwało, że świt jest już blisko.

– Czy to wszystkie grzechy? – zapytał Rhun.

– Czy nie było ich dość?

Odwrócił się, wziął z ołtarza srebrny kielich i uniósł go nad głowę.

Wypowiedział modlitwy konieczne do tego, by wino przemieniło się w krew Chrystusa.

Przez cały ten czas Elżbieta zaglądała w swoje sumienie. Czy lękała się, że są to ostatnie chwile jej życia? Że wkrótce spali się na proch, który rozsypie się na czystej posadzce? Doszła do jednego jedyne wniosku.

Będzie to, co być musi.

Uklękła przed Rhunem.

Sangwinista schylił się i podsunął jej kielich do ust.

18 marca, 5.41

Wenecja, Włochy

Jordan przeciągnął się, bo zdrętwiały mu plecy. Zasnął, położywszy się na drewnianej ławce w bazylice. Teraz wstał i skręcił ciało w jedną i w drugą stronę, żeby przywrócić krążenie krwi. Schylił się i pomasował łydkę, w której poczuł ból.

Potrafię w cudowny sposób uleczyć śmiertelną ranę, ale na skurcz nie mam rady.

Pokuśtykał w kierunku Erin, która stała w odległości paru kroków i oglądała jakieś dzieło sztuki. Był z nią Christian, dotrzymujący obojgu towarzystwa podczas długiego czuwania; wspólnie czekali na wieść o Elżbiecie. Erin była lekko zgarbiona, a oczy miała trochę spuchnięte i zaczerwienione; Jordan domyślił się, że raczej nie spała.

Christian mógł ze swymi braćmi zakonnikami wziąć udział w obrzędzie, on jednak został na górze albo po to, by strzec ludzi przed zagrożeniem, albo żeby udaremnić im ewentualną próbę zakłócenia przebiegu rytuału. A może po prostu nie chciał, tak jak Rhun, patrzeć, jak hrabina spala się na śmierć.

Był z nimi zupełnie szczery, odpowiadał na wszystkie pytania Erin dotyczące obrzędu toczącego się w podziemiach. A co jeszcze ważniejsze, przyniósł Jordanowi piwa.

– Na co tak patrzycie? – chciał wiedzieć sierżant.

Erin wskazała mozaikę, która była nad nimi.

Zadarł głowę.

– Czy to jest Jezus dosiadający tęczy?

Uśmiechnęła się.

– Nie inaczej. Wstępuje do nieba. Od tego obrazu pochodzi nazwa tej części bazyliki: Kopała Wniebowstąpienia.

Cała trójka ruszyła nawą. Erin wypytywała Christiana o rozmaite dzieła sztuki, lecz nad ich głowami wisiało o wiele ważniejsze pytanie.

Jordan postanowił je wreszcie zadać: – Myślisz, że Elżbieta przeżyła próbę wina?

Sangwinista zatrzymał się i westchnął głośno.

– Przeżyje, jeśli naprawdę pożałuje za swoje grzechy i przyjmie Go do serca.

– Na to raczej nie ma szans – rzuciła Erin.

Jordan był tego samego zdania.

Christian powiedział coś, co świadczyło o jego empatii: –

Nigdy nie możemy twierdzić, że wiemy, co dzieje się w sercu drugiego człowieka. Bez względu na to, co nam się wydaje. –

Odwrócił się do Jordana. – Leopold wywiódł nas wszystkich w pole, dziesiątki lat służąc Belialowi i pozostając w naszych szeregach.

Erin skinęła głową.

– I pił święte wino, nie spalając się na popiół.

Jordan zmarszczył czoło, uświadamiając sobie, że jest pewna kwestia, której jak dotąd nie zdążył poruszyć. Opowiedział wszystkim o tym, że ciało Leopolda znikło z podziemnej świątyni, lecz nie rozwinął wątku tej historii, który był jeszcze dziwniejszy.

– Erin – zaczął Jordan – jest coś w związku z atakiem *strigoi* w Kume, o czym jeszcze nie wspominałem. Ten *strigoi*, który... który mnie zranił... tuż przed śmiercią powiedział, że jest mu przykro. Znał moje imię.

– Co takiego?

Christian odwrócił się do niego raptownie. Wyglądało na to, że Baako i Sophia także nie podzielili się tą informacją z innymi sangwinistami. Być może zlekceważyli to zdarzenie, uznawszy je za przypadkowe. Może zabity *strigoi* był Niemcem, co tłumaczyłoby jego obcy akcent. Może znał imię Jordana, bo ten,

który posłał go do podziemnej świątyni, był świadom, że przebywa w niej Mąż Wojownik.

Jordan nie mógł w to jednak uwierzyć.

Jordan, mein Freund...

– Przysięgam, że głos, który wydawał ten *strigoi*, pochodził od Leopolda.

– To niemożliwe – szepnęła Erin, lecz zobaczyła już tyle niemożliwych rzeczy, że nie była pewna swoich słów.

– Wiem, jak to zabrzmie – ciągnął sierżant – ale wydaje mi się, że Leopold wykorzystywał ciało tego *strigoi* jako swój przekaźnik.

Milczała, jej nieobecny wzrok świadczył o tym, że przyswaja tę informację.

– Jakiego rodzaju nic musiałyby ich łączyć, by to było możliwe? – spytała w końcu.

Christian wysunął pewną hipotezę.

– Może kiedy Leopold ginął, jego duch przeskoczył do ciała innego *strigoi*.

Erin odwróciła się do niego.

– Czy coś takiego już się kiedyś zdarzyło?

Sangwinista wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale od kiedy was spotkałem, zobaczyłem wiele rzeczy, które wcześniej uznałbym za wykluczone.

Skinęła głową, potwierdzając jego zdanie, i popatrzyła na Jordana.

– Czy w tym *strigoi* było jeszcze coś niezwykłego, co mogłoby potwierdzać istnienie telepatycznego połączenia?

– Poza przerostem siły i szybkości?

– No właśnie.

Jordan przypomniał sobie pewien szczegół.

– Owszem, było. Czarny znak na klatce piersiowej. – Pokazał go gestem. – Miał kształt dłoni.

Erin wyprostowała zgarbione ramiona.

– Taki sam, jaki nosiła Bathory Darabont?

– Zdaje się, że tak. Znak przynależności.

– Albo własności – dodała Erin.

Twarz Christiana wyrażała niepokój.

– W Watykanie na pewno zakończono już autopsję zwłok. Może kiedy tam dotrzemy, przedstawią nam lepsze wyjaśnienie sprawy.

Kardynał Bernard zapewne będzie wiedział...

Głos Christiana się rozplątał. Młodemu sangwiniście najwyraźniej wyleciało z pamięci, że kardynał nie jest już zwierzchnikiem zakonu. Był teraz więźniem.

Jordan pokręcił głową. Wstrząs na samym szczycie władzy przydarzył się zakonowi w najgorszej możliwej chwili.

– Co będzie z Bernardem? – spytał sierżant.

Christian westchnął.

– Zabiorą go do Castel Gandolfo i pozostanie w areszcie domowym aż do rozpoczęcia procesu. Jest kardynałem, więc musi się zebrać dwunastu kardynałów, by wydać orzeczenie. Może to potrwać parę tygodni, zwłaszcza że ataki *strigoj* się nasiliły.

– Jaki jest prawdopodobny werdykt? – dociekała Erin.

– Kardynał Bernard ma rozległe wpływy odrzekł sangwinista.

– Niewielu zechce przeciw niemu zeznawać. Z tego powodu i ze względu na okoliczności łagodzące można przypuszczać, że wyznaczą mu pokutę.

– Jakiego rodzaju? – chciał wiedzieć Jordan.

– Popełnił straszny grzech. W normalnych okolicznościach równałoby się to karze śmierci. Zakon może jednak zdecydować, że mu przebaczy. Sophia mówiła mi, że kardynał już kiedyś łamał nasze prawa, w czasie wypraw krzyżowych karmił się ludźmi.

– W czasie krucjat? – zdziwiła się Erin. – Przecież to było prawie tysiąc lat temu.

– Wy to jesteście pamiętliwi – zauważył Jordan.

– Trudno cokolwiek przewidzieć – mówił Christian, przesuając w palcach paciorki różańca. – A jeżeli hrabina

Batory ujawni informacje, które pomogą wam zakuć znów Lucyfera w kajdany, kolegium może potraktować kardynała łagodnie.

Erin spojrzała w głąb nawy kościoła.

– Życie kardynała może więc zależeć od tego, czy hrabina przeżyje transformację?

– No i słusznie – rzucił Jordan.

– Słusznie czy nie, jestem pewien, że wkrótce się dowiemy, jaki los ją spotkał – powiedział Christian.

Jordanowi przyszło na myśl, że nie jest to łatwa noc dla Bernarda.

I dobrze mu tak.

5.58

Bernard miał obie ręce skute kajdankami i trzymał je przed sobą.

Stopami wpierał się w dno rozkołysanej łodzi. Srebrne kajdanki parzyły go w nadgarstki przy każdym poruszeniu, ciemny luk wypełniała woń jego spalonej skóry.

Uwięzili mnie jak pospolitego złodziejzka.

Wiedział, kogo winić za to, co go spotkało: kardynała Maria. Wenecki hierarcha zawsze go nienawidził, a najbardziej za to, że Bernard udaremniał jego trwającą od wieków kampanię, która miała na celu przeniesienie głównej kwatery zakonu sangwinistów do dekadentckiego miasta kanałów. Niemiła podróż w ciemnym luku ładunkowym to zapłata za ten grzech.

Była jednak tylko drobną uciążliwością. Bernard nie łudził się co do tego, co go czeka. Nie wiedział wprawdzie, jaką karę poniesie za swój główny grzech, ale miał zostać strącony z piedestału wysokiego urzędu i nie sposób było odgadnąć, jak nisko spadnie. Bez wątpienia pozbawią go tytułu.

Prostszym rozwiązaniem byłaby kara śmierci.

Schylił głowę. Zakonowi sangwinistów służył od niemal tysiąca lat, niewielu pozostało tak wiekowych. Przez cały ten czas nigdy nie odczuł pokusy, by odejść do Sanktuarium i zostać klauzurowym. To nie była jego droga ani spełnienie ambicji.

Moje miejsce jest w szeregach Kościoła, winienem służyć zakonowi, w pełni wykorzystując swoje możliwości.

Uniósł skute kajdankami dłonie i dotknął kciukami pectorału.

Znany dobrze, kojący ból przypomniawszy mu, że jego służba nie dobiegła jeszcze kresu.

Na tym musi się skupić, nie zaś na upodleniu, jakie zgotowali mu pobratymcy Elżbiety Batory. Błysnął w nim płomień gniewu, jednak kardynał wziął się w karby i pogodził z faktem, że przewinił. Hrabina wyczuła głębię jego pychy i wykorzystwała żar jego ambicji przeciwko niemu. Rozbrzmiały mu w głowie jej słowa.

Tylko ty masz moc, by ocalić swój świat.

Przywiodła go na pokuszenie nie tylko swoją krwią, lecz również bezcenną wiedzą. W jej umyśle tkwiły tajemnice, których pożądał tak samo jak jej krwi. Był zbyt gorliwy, by za to zapłacić. A ona wiedziała, jaką muzykę mu zagrać.

Byłem tylko jej narzędziem.

Ale już nim nie jestem.

Inni nie rozumieli, jak wielkie zło nosi hrabina w swoim czarnym sercu, lecz Bernard rozumiał. Nie wątpił, że wino ją spopieli, a kiedy tak się nie stanie, on musi być gotów.

Znał pewien sposób, który pozwoliłby nad nią zapanować, w razie gdyby przeżyła. Zależało jej na chłopcu, Tommym.

Trzymając w ręku dziecko, trzymasz i matkę.

Zmienił pozycję tak, by wydobyć z kieszeni telefon komórkowy.

Ci, którzy go pojмали, pozbawili go wszelkiego oręża, ale to jedno zostawili. W ciemności wybrał numer. Nawet w takiej sytuacji niektórzy zachowali wobec niego lojalność.

– *Ciao* – odezwał się głos w aparacie.

Bernard szybko wyjaśnił, czego mu trzeba.

– Będzie załatwione – zapewnił spiskowiec i przerwał połączenie.

Kardynał znalazł zimną pociechę w świadomości, że plan, który obmyślił wobec hrabiny, nie spali na panewce.

Tym razem to ja uczynię z niej narzędzie do osiągnięcia mojego celu.

Bez względu na koszt.

6.10

Elżbieta klęczała z kielichem przy ustach, balansując na krawędzi między zbawieniem a unicestwieniem. Z mozaiki nad jej głową spoglądał na nią Łazarz wraz z Chrystusem, ona jednak patrzyła na tych, którzy zgromadzili się, by być świadkami zdarzenia. Byli to członkowie rodziny Łazarza: jego siostry oraz Marta i Maria z Betanii. Twórcy obrazu uchwycili wyraz przerażenia na ich twarzach, nie radości.

Czyżby bały się, że ich brat nie przeżyje aktu wypicia krwi Chrystusa?

Wzrok Elżbiety powędrował ku innej osobie, której twarz także wyrażała lęk i która podsunęła jej kielich do ust. Odbity blask świec padał na stężałe oblicze Rhuna, nadając jego bladej skórze barwę srebra. Nigdy nie widziała u niego takiego strachu, może z wyjątkiem chwili, gdy pierwszy raz pocałowała go przed kominkiem w jej zamku. Właśnie wtedy uruchomił się ciąg zdarzeń, który doprowadził ich oboje aż do tego miejsca.

Ciemne oczy Rhuna patrzyły w jej oczy. To był właściwy moment na poetyckie pożegnanie, jednakże Elżbiecie nie przychodziło na myśl nic, co mogłaby powiedzieć, zwłaszcza w obecności innych sangwinistów.

Skupiła wzrok na Rhunie, odsuwając od siebie wszystko inne.

– *Egészségedre* – szepnęła wargami tuż nad brzegiem kielicha.

Był to węgierski toast: „Za twoje zdrowie”.

Spojrzenie Rhuna złagodniało, pojawił się w nim nikły cień uśmiechu.

– *Egészségedre* – powtórzył i skinął nieznacznie głową.

Odchyliła swoją, a on przechylił kielich.

Wino spłynęło na jej język.

Stało się...

Kiedy przełykała, płyn wypalił w jej gardle ognisty ślad. W oczach zalśniły łzy. Było tak, jakby wypła haust roztopionej

skały. Plecy wygięły się w kabłąk, piersi odbiły się od zgrzebnego materiału habitu. Ręce odskoczyły gwałtownie na boki. Ogień rozpalił się w ciele Elżbiety, przeszył wszystkie kończyny aż po czubki palców. Każda żyłka niosła w sobie płomień. To był ból, jakiego dotąd nie znała.

Wraz z nim rozeszła się w ciele świętość zawarta w winie, odbierając siłę właściwą *strigoi*. Toczyła walkę z tym, co było w jej krwi mroczne i ciemne. Jednak świętość nie odniosła zwycięstwa. Zło nie wypaliło się do szczytu. Wciąż tętniło w Elżbiecie niczym przysypany popiołem żar.

Wreszcie wytchnęła trochę powietrza, wraz z nim wyrzucając z siebie odrobinę bólu.

Przeczuwała, co teraz nastąpi, i była na to gotowa. Rhun zapowiedział jej, że po każdym łyku wina będzie musiała na nowo przeżywać swoje najgorsze grzechy. Nazywał to pokutą. Służyło do tego, by przypominać każdemu sangwiniście o tym, że jest niedoskonały i że tylko łaska Chrystusa może go przeprowadzić przez hańbę jego grzechów.

A ja za tak wiele muszę odpowiedzieć.

Ogień dogasał. Elżbieta pochyliła się, klęcząc i zakrywając dłońmi załamioną twarz. Nie po to wszakże, by skryć koszmar swoich wspomnień.

Chciała zamaskować poczucie ulgi.

Przetrwiała próbę i nie ujrzała ani jednej zbrodni z przeszłości.

Umysł miała tak jasny jak zawsze. Okazało się, że nie ma za co pokutować.

Może dlatego, że niczego nie żałuję.

Uśmiechnęła się pod osłoną dłoni.

Czyżby sangwiniści sami zadawali sobie pokutę i ból?

Rhun położył Elżbiecie rękę na barku, jakby chciał ją pocieszyć.

Pozwoliła mu ją tam trzymać, nie wiedząc, jak długo trwa zwykle pokuta. Czekwała bez ruchu.

Palce Rhuna zacisnęły się na jej ramieniu.

Uznała to za znak i uniosła głowę, bacząc, by jej oblicze miało rozpaczliwy wyraz.

Rozpromieniony Rhun pomógł jej wstać.

– Dobro w tobie zatriumfowało. Panu niech będą dzięki za Jego wiekuistą łaskę.

Oparła się o niego, była wyraźnie słabsza za sprawą świętości, pozbawiona osobliwie wzmożonej siły *strigoi*. Trzymała rękę Rhuna i patrzyła na twarze zebranych sangwinistów; większość wyrażała spokój, lecz na niektórych malowało się zaskoczenie.

Hrabina grała dalej rolę, której od niej wymagano. Spojrzała Rhunowi w oczy.

– Teraz, kiedy na nowo się narodziłam, nie mogę złamać słowa, które dałam tobie i wszystkim. Podzielę się z wami tym, co wiem, co może dopomóc w waszej misji. Niech to będzie mój pierwszy akt skruchy.

Rhun przysunął się do niej bliżej, aby wyrazić wdzięczność i być może upewnić się, że Elżbieta naprawdę żyje.

– A zatem chodźmy – rzekł.

Poprowadził ją. Sangwiniści dotykali jej ramienia, witając ją w swoich szeregach. Jeden świadek ceremonii wciąż nie zdołał ukryć wyrazu zaszokowania na twarzy. Jako ostatnia dotknęła ramienia Elżbiety siostra Abigail.

Lekko skłoniła przy tym głowę.

– Z pokorą przyłączam się do ciebie, siostró – powiedziała Elżbieta.

Stara zakonnica wzięła się w ryzy i jej twarz nieco złagodniała.

– Kroczysz teraz po trudnej drodze, siostró Elżbieto. Modlę się, żebyś znalazła w sobie siłę, która dopomoże ci nią iść.

Elżbieta zrobiła uroczystą minę.

– Takż i ja się o to modlę, siostró.

Wyszła z kaplicy, dławiąc śmiech, który wzbierał w jej gardle.

Kto by pomyślał, że tak łatwo się wywinę?

18 marca, 9.45

Wenecja, Włochy

Krwawa Hrabina przeżyła...

Erin, której nadal trudno było to pojąć, patrzyła na plecy ekshrabiny, gdy ta prowadziła ich w głąb bazyliki Świętego Marka. Miała na sobie prosty habit zakonny i była teraz sangwinistką. Erin przyglądała się jej, wciąż nie mogąc dać wiary w tę nagłą przemianę. Pomimo skromnego ubioru, który nosiła obecnie, Elżbieta nadal kroczyła wyniośle z wyprostowanymi ramionami i sztywną szyją jak monarchini.

A jednak przetrwała próbę sangwinistów.

Erin potrząsnęła lekko głową, godząc się z prawdą.

Przynajmniej tymczasowo.

Jakakolwiek była bowiem prawda, kobieta wykazywała chęć do współpracy.

– Właśnie to przyszłam wam pokazać — oznajmiła, zatrzymując się przed olśniewającą mozaiką zdobiącą sklepienie.

– Nosi tytuł *Kuszenie Chrystusa* i jest jednym z najpiękniejszych dzieł sztuki w bazylice.

Rhun podążał tuż obok Elżbiety niczym cień, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami, z twarzą, która wyrażała ulgę i podziw...

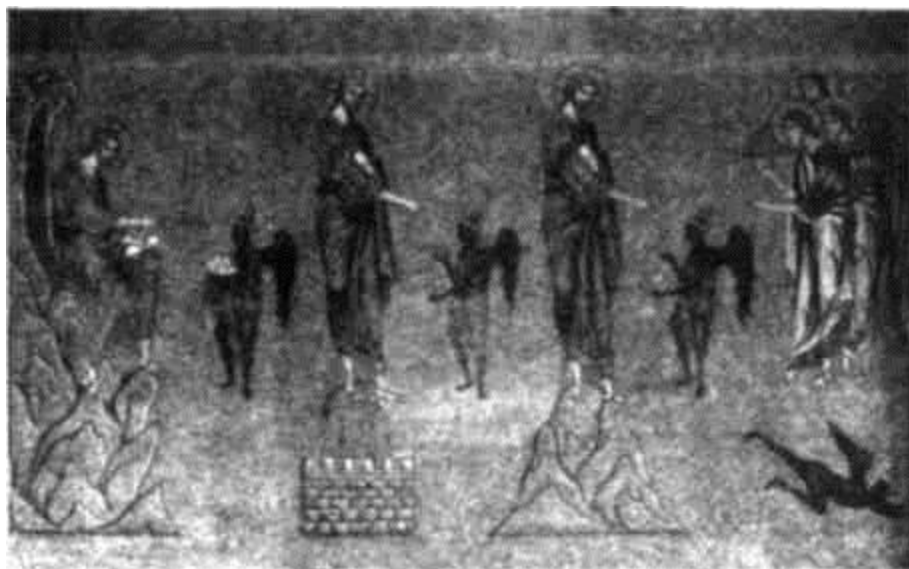
oraz radość. Nadal ją kochał na przekór wszystkiemu, na co hrabina go naraziła.

Jordan stał w pewnej odległości od Erin. Żałowała, że nie patrzy na nią z takim samym jednoznacznym wyrazem miłości.

On tymczasem przyglądał się rozległej mozaice.

– A więc to jest ilustracja trzykrotnego kuszenia Chrystusa przez szatana – powiedział. – Chrystus pościł wtedy na pustyni przez czterdzieści dni.

– Właśnie tak – potwierdziła Erin. – Po lewej stronie widzimy, jak szatan, czarny anioł, który przed nim stoi, przynosi Chrystusowi kamienie i kusi go, by zamienił je w chleb.



Christian skinął głową.

– Chrystus jednak odmówił ze słowami: *Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych.*

Erin wskazała drugą część mozaiki.

– To kuszenie polega na tym, że szatan każe Jezusowi zeskoczyć z dachu budynku, by Bóg go złapał, ale Jezus odmawia, bo nie chce wystawiać Boga na próbę. Ostatni fragment pokazuje scenę, w której Chrystus stoi na wierzchołku góry, a szatan oferuje mu wszystkie królestwa na ziemi.

– Ale Jezus odmawia – dokończył Jordan.

– I tym samym odpędza szatana – uzupełniła Erin. – Później trzy widoczne z prawej strony anioły biorą Jezusa w opiekę.

– Liczba ma znaczenie – odezwał się czyjś głos.

Erin odwróciła się do Elżbiety, która stała obok ze skromnie złożonymi dłońmi.

- To znaczy?
- Trzy kuszenia, trzy anioły. Zwróć także uwagę na to, że Chrystus w czasie drugiego kuszenia stoi na szczytach trzech gór. Trójka była zawsze ważną liczbą dla Kościoła.
- Syn, Ojciec i Duch Święty – podchwyciła Erin. Święta Trójca.
- Elżbieta rozłączyła dłonie i wskazała na Rhuna, Christiana i siebie.
- Właśnie dlatego sangwiniści zawsze chodzą w grupach trzyosobowych.
- Erin przypomniała sobie, że do otwarcia drzwi zamkniętych przez Bernarda potrzebna była krew trzech sangwinistów. Nawet w proroctwie z Ewangelii Krwi była mowa o trzech postaciach: Uczonej Niewieście, Mężu Wojownika i Rycerzu Chrystusa.
- Ale nie jest to najważniejsza trójka ukryta w tej mozaice – podjęła Elżbieta, wskazując ręką. – Przyjrzyjcie się górcom pod sandałami Chrystusa.



Jordan zmrużył oczy.

- To wygląda, jakby stał na czymś w rodzaju wodnego bąbla.
- A co jest w bąblu? – spytała Elżbieta.

Mozaika znajdowała się wysoko i Erin pożałowała, że nie ma przy sobie lornetki. Mimo to widziała wystarczająco dobrze, by odgadnąć, co Elżbieta ma na myśli. Drobne, świetliście białe płytki otaczały trzy kryjące się wewnątrz obiekty, które unosiły się w jasnej wodzie.

- Trzy kielichy – odpowiedziała, nie mogąc ukryć zdziwienia.

Nasunął jej się cały szereg pytań, lecz podszytych nadzieją: Czyżby jeden z nich był Kielichem Lucyfera, tym, który mieli odnaleźć?

Odwróciła się do Elżbiety.

- Dlaczego nam to pokazujesz?
- Ponieważ może mieć związek z waszymi poszukiwaniami.

Dawno temu dzieło to zamówili ci, którzy później, za panowania cesarza Rudolfa, utworzyli w Pradze pewne kolegium sędziowskie.

Był to Trybunał Alchemików.

Erin ściągnęła brwi. Czytała o tym zgromadzeniu w baśniach dla dzieci opowiadających o biblijnym Golemie. Tworzyli je sławni alchemicy, którzy przybyli do Pragi, by studiować okultyzm, a jednocześnie szukać sposobu zamiany ołowiu w złoto. W swoich licznych laboratoriach usiłowali zgłębić sekret nieśmiertelności.

Według wiedzy Erin ich dążenia spełzły na niczym.

- Co oznaczają te trzy kielichy? – zapytała.
- Nie wiem tego na pewno. Wiem jednak, że są jakoś związane z zielonym kamieniem, który znaleźliście. Z zielonym diamentem.

– W jaki sposób? – dociekał Jordan.

– Historia kamienia jest także powiązana z Trybunałem Alchemików. I z człowiekiem, którego znałam, kiedy prowadziłam studia nad naturą *strigoi*.

Erin skrzywiła się, słysząc to określenie. Studia! W sposób zimny jak ostrze skalpela hrabina odniosła się do tortur

i mordów, których ofiarą padły setki dziewcząt.

– Był jednym z alchemików na naszym dworze – ciągnęła Elżbieta. – Pokazał mi symbol, który dostrzeżliście na diamencie, ten, który skopiowałam w swoim pamiętniku.

– O kim mówisz? – indagowała Erin.

– Nazywał się John Dee.

Spojrzała ostro na rozmówczynię. John Dee był słynnym angielskim uczonym żyjącym w szesnastym wieku. Dzięki swoim wybitnym umiejętnościom nawigacyjnym dopomógł królowej Elżbiecie zbudować brytyjskie imperium. W późniejszym okresie życia został światowej sławy astrologiem i alchemikiem. Żył w czasach, gdy religia, magia i nauka stały na rozdrożach.

– Z jakimi badaniami Johna Dee miał związek zielony diament? – spytała Erin.

– Jednym z jego życiowych celów, tym, który miał go ostatecznie skompromitować, było dążenie do tego, by móc rozmawiać z aniołami.

Z aniołami?

Jeszcze rok temu Erin wyśmiałaby taki concept, lecz teraz – zerknęła na Jordana – wiedziała, jak bardzo jest realny.

– Dee współpracował z młodym mężczyzną – kontynuowała Elżbieta – niejakim Edwardem Kellym, który twierdził, że jest profetą.

– A kto to taki? – chciał wiedzieć Jordan.

– Jasnowidz – odrzekła Erin. – Za pomocą kryształowych kul, fusów od herbaty i innych środków jasnowidze prognozowali przyszłość.

– Kelly posługiwał się wypolerowanym czarnym lustrem, które było ponoć wykonane z obsydianu przywiezionego z Nowego Świata.

Twierdził, że ukazują mu się w nim aniołowie, w każdym razie przekonał o tym Johna Dee. Dee tłumaczył słowa owych aniołów, korzystając ze specjalnego języka, który sam wynalazł.

– Enochiańskiego – dopowiedziała Erin.

Elżbieta potwierdziła skinieniem głowy.

– Z czasem Dee przestał wierzyć w umiejętności Edwarda Kelly'ego i zapragnął sam mówić z aniołami. Chciał w tym celu otworzyć portal do świata aniołów, porozumieć się z nimi i poznać ich mądrość, a następnie podzielić się nią z całym rodzajem ludzkim.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z zielonym kamieniem? – nie rozumiał Jordan.

– No właśnie – zawtórowała mu cichym głosem Erin.

– Kamień miał moc otwierania portalu. Wypełniała go ciemna energia, tak potężna, że mogła przedziurawić zasłonę oddzielającą nasz świat od tamtego. W dniu, w którym Dee zamierzał otworzyć portal, wydarzyło się nieszczęście. On i jego czeladnik zostali znaleźieni martwi w laboratorium. Cesarz Rudolf ukrył kamień tak, by już nikt nie zdołał wyzwolić jego mocy.

– W jaki sposób się o tym dowiedziałaś? – spytała Erin.

Hrabina wygładziła dłońmi fałdy habitu.

– Ujawnił mi to cesarz Rudolf Drugi.

Christian z niedowierzaniem ściągnął brwi.

– Znałaś cesarza?

– Ależ oczywiście – warknęła wyraźnie rozgniewana. – Pochodzę z jednego z największych rodów królewskich Europy.

– Bez obrazy, siostró – przeprosił Christian.

Szybko wzięła się w karby i ponownie splotła dłonie na brzuchu.

Widać było, jak stara się zrobić znów minę skromnej zakonnicy.

Kiepsko jej to wychodziło.

– Cesarz napisał do mnie list – mówiła. – Zdawał sobie sprawę, że mistrz Dee i ja jako jedyni w świecie prowadzimy ten sam rodzaj badań dotyczących natury dobra i zła.

– W jaki sposób te informacje mają pchnąć naprzód nasze poszukiwania? – dopytywał Jordan.

– Dee wiedział o kamieniu znacznie więcej, niż ujawniał w listach – odparła Elżbieta. – Na przykład o tym symbolu.

Przypuszczam, że znał jego znaczenie. Gdyby udało nam się znaleźć jego papiery, prywatne zapiski, może poznalibyśmy prawdę.

Erin skinęła głową. Można by od tego zacząć, czemu nie.

Rhun wlepił wzrok w Elżbietę. Właściwie ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku.

– Dlaczego jesteś taka zmartwiona? – spytał.

Erin próbowała dopatrzeć się strapienia w jej niewzruszenie spokojnej twarzy, ale na próżno. Rhun znał ją jednak lepiej niż ktokolwiek.

– Obawiam się, że pewne szczegóły w sporządzonym ręką cesarza opisie stanu, w jakim znaleziono ciało mistrza Dee i czeladnika, świadczą o tym, że otwartym przez alchemika portalem nie weszli święci aniołowie, lecz najczarniejszy z nich, sam Lucyfer.

Elżbieta spoglądała na czarne postacie kuszące Chrystusa. W ogromnym wnętrzu bazyliki zaległa cisza, gdy wszyscy z wolna uprzytomnili sobie sens jej słów. Po dłuższej chwili hrabina odwróciła się do pozostałych.

– Cokolwiek się zdarzy, musimy dopilnować, by kamień pozostał w jednym kawałku – powiedziała ostrzegawczym tonem.

Jordan wymienił spojrzenia z Erin, a ta rzuciła: – Pokaż jej.

Powoli wyjął z kieszeni obie części pękniętego diamentu. Elżbieta aż wzdrygnęła się na widok dwóch lśniących zielonych kawałków.

Nawet Erin rozpoznała strach na jej twarzy.

– Jest wolny – wyszeptała.

– Co jest wolne? – zapytała Erin.

– Nie pozostaje nam do zrobienia nic innego – oznajmiła Elżbieta, pomijając pytanie milczeniem. – Musimy się przygotować na powrót Lucyfera.

10.38

Rhun przyglądał się jej z niedowierzaniem, usiłując się dopatrzeć fałszu, lecz dostrzegł tylko nieklamany lęk.

– Lucyfer? – spytał. – Naprawdę uważasz, że jego powrót jest bliski?

– *Strigoi* są odmienieni, nieprawdaż? – odparła, spoglądając mu w oczy. – Mają większą siłę i szybkość?

Jordan potwierdził skinieniem głowy i potarł się po brzuchu.

– Ale co z tego wynika?

– Wynika z tego, że grozi wam większe niebezpieczeństwo, niż przypuszczacie. – Elżbieta dotknęła palcem pękniętych części kamienia. – To wyrwało się ze swojego więzienia.

– Co się wyrwało? – Rhun odciągnął jej dłonie od kamienia. Jeśli pozostała w nim jakaś cząstka zła, wołał, by Elżbieta go nie dotykała.

– Klejnot wypełniały plugawe siły, energia nagromadzona i wydestylowana przez wiele lat, w czasie których John Dee zbierał ich esencję.

– Czyją esencję? – spytała Erin. – O jakiej energii mówisz?

– O esencji ponad sześciu setek *strigoi*. Dee wydobywał energię przepelniającą ich w chwili śmierci i przenosił ją do serca diamentu. – Elżbieta odwróciła się do Rhuna i chwyciła go za ramię. – Ubiłeś wielu *strigoi*, widziałeś ciemny dym, który uchodzi z nich przy zgonie.

Z ociąganiem skinął głową i zerknął na Erin i pozostałych; wyraz ich twarzy świadczył o tym, że pojęli. Wszyscy widzieli go na własne oczy przy takiej czy innej okazji.

– W twoim pamiętniku – odezwała się Erin – można było zobaczyć, jak zabijasz *strigoi* w szklanej trumnie. Uwidoczniałaś smugę dymu ulatującą z trucheł.

– Tylko tyle zdołałam w swoich eksperymentach osiągnąć. Jednak Dee opanował sztukę chwytania tej energii w pułapkę za pomocą szklanego aparatu własnego wynalazku i jej składowania. Jakoś udało mu się odkryć, że ten zielony kamień jest w stanie zawrzeć w sobie tak wielką ilość stężonego zła.

Jordan popatrzył na dwa ciężkie kawałki diamentu, które trzymał w dłoniach.

– A teraz te siły wyrwały się na swobodę – skonstatował.

– Kamień został strzaskany – przypomniała Erin. – Czy do tego nawiązuje prorocstwo z Ewangelii Krwi mówiące o poluzowaniu kajdan krępujących Lucyfera?

– Być może – odparła Elżbieta. – Ale z pewnością właśnie to sprawiło, że od pewnego czasu siła *strigoi* znacznie wzrosła.

– Z jakiej przyczyny? – chciał wiedzieć Rhun.

Odwróciła się do niego.

– Naprawdę nie wiesz?

Sangwinista tylko zmarszczył czoło.

– Czy nigdy się nie zastanawiałeś, co daje ci twoje długie życie i siłę? – spytała.

– Klątwa – odparł Rhun.

– To najprostsza z odpowiedzi. Są na pewno w Kościele uczeni, którzy dokładniej zgłębili tę tajemnicę.

– Jeśli rzeczywiście tacy są, to my o tym nie wiemy – odezwał się Christian. – Powiedz nam.

Elżbieta pokręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć w ich naiwność.

– Moje eksperymenty i badania Johna Dee nad aniołami doprowadziły nas do wniosku, że wszyscy *strigoi* czerpią moc z jednego nadprzyrodzonego źródła: od czarnego anioła.

Rhun spojrział na postaci Lucyfera zobrazone na mozaice.

Elżbieta podążyła za jego wzrokiem.

– Nie zauważyłeś, że smużka dymu z czeznącego *strigoi* nie unosi się ku górze, lecz pełźnie w dół?

Sangwinista powoli skinął głową.

– Wraca do piekła.

– Do źródła – uściśliła. – Do samego Lucyfera.

Rhun uniósł ręce i popatrzył na swoje ciało. Myślał o zawartej w nim szatańskiej mocy, którą trzyma w ryzach jedynie łaska świętej krwi Chrystusa. Twarz stojącego tuż obok niego Christiana także wyrażała strach i zadziwienie; obaj być może po raz pierwszy uświadomili sobie, jaka jest ich najprawdziwsza natura.

Szczęśliwie dla nich Erin skierowała rozważania w bardziej praktyczną stronę.

– Elżbieto, wspomniałaś, że to wyrwało się z więzienia. Co twoim zdaniem zostało wyswobodzone z tego diamentu?

– Pewności nie mam, ale Dee zgromadził określoną liczbę duchów *strigoi*. Sześćset sześćdziesiąt sześć, mówiąc ściśle.

– Biblijna liczba bestii – dodała Erin.

– Mistrz Dee wierzył, że kiedy tę liczbę osiągnie, esencje potworów zleją się w jedno, połączą się i coś się z nich narodzi albo skrepuje demona.

– Biblijną bestię – wtrącił Rhun; teraz zaczynał rozumieć, skąd wziął się strach, który dostrzegł wcześniej na twarzy Elżbiety.

– Dee sądził, że zdoła zmusić demona, by otworzył portal dla aniołów, ale popełnił błąd.

– I wypuścił demona na świat – dodał Rhun.

Elżbieta złożyła ręce na talii.

– Żeby mieć jakąkolwiek nadzieję na jego powstrzymanie, musimy odnaleźć stare papiery mistrza Dee. Tylko on mógł rozumieć to, co sam stworzył.

– Gdzie zacząć poszukiwania? – spytała Erin.

– W jego laboratoriach w Pradze. Jeśli w ogóle jeszcze istnieją.

Dee wiedział, jak strzec własnych tajemnic. Miał w komnatach skrytek co niemiara. W kominku, w fałszywych ścianach, nawet w komorach pod laboratorium. Musimy się wybrać do jego warsztatu w Pradze i tam poszukać odpowiedzi na pytania, które nas nurtują.

Rhun popatrzył na Erin i Jordana. Trop był słaby i niepewny, lecz solidniejszego nie mieli.

– Co o tym sądzicie?

Jordan spojrzał na Erin.

Ta skinęła głową.

– Wydaje mi się, że warto spróbować. A ponieważ tak dużo się dzieje, powinniśmy wyruszyć bez zwłoki.

– Mogę kazać uruchomić śmigłowiec – oznajmił Christian. – Ale kto poleci?

Machnięciem ręki Erin wskazała Rhuna i Jordana.

– Triada, oczywiście.

Elżbieta poruszyła się i wyprostowała ramiona.

– Powinnam wam towarzyszyć. Odwiedzałam mistrza Dee w jego warsztacie i znam wiele z jego sekretów.

Christian uniósł brwi.

– Dopiero co wstąpiłaś do naszego zakonu, siostró Elżbieto – przypomniał jej. – Nowicjusze zwykle spędzają miesiące w odosobnieniu, uczą się panować nad zwierzęcymi siłami, które nimi targają. To niebezpieczny okres.

Schyliła głowę, lecz Rhun dostrzegł znajomy błysk gniewu w srebrzystych oczach.

– Jeśli taka jest wola Kościoła, podporządkuję się – oświadczyła.

– Nie wyobrażam sobie jednak, by ta misja mogła się powieść bez mojego udziału.

Z cienia dobiegł głos kogoś, kto niepostrzeżenie przysłuchiwał się rozmowie.

– Siostra Elżbieta powinna asystować triadzie w jej poszukiwaniach – odezwała się Sophia, wychodząc na światło. –

Nikt poza nią w szeregach Kościoła nie ma wiedzy, którą posiada. Jeśli chcemy liczyć na powodzenie, musimy podejmować ryzyko.

Elżbieta skłoniła głowę.

– Dziękuję ci, siostró Sophio.

– Przyjęłaś wino. Jeśli Bóg ci zaufał, nam nie pozostaje nic innego. – Sophia skinęła Christianowi. – Lecz troska, która została przed chwilą wyrażona, jest uzasadniona i dlatego pojedę z wami. Aby wesprzeć cię w czujności na pokusę.

– Będę wdzięczna, bo znasz się dobrze na tych sprawach – odparła Elżbieta.

Rhun podejrzewał, że Sophia jedzie nie jako mentorka, ale po to, by pilnować Elżbiety. Nie wykluczał, że to roztropne. Tak czy owak, kwestia została rozstrzygnięta.

– Przygotuję plan lotu – oznajmił Christian. – Jeśli nic nam nie przeszkodzi, przed południem powinniśmy być w Pradze.

Kiedy zbierali się do odejścia, Rhun popatrzył na Jordana, który chował do kieszeni dwie połówki zielonego kamienia. Przypomniało mu to, że wyzwolona została wielka siła. Jeżeli obawy Elżbiety były uzasadnione, uwolniono demona.

Ale jakiego rodzaju był ów demon?

18 marca, 11.12
Wenecja, Włochy

Jak długo jeszcze muszę czekać...?

Legion krył się w cieniu pod łukiem bramy. Z mroku przypatrywał się wspartej na kolumnach fasadzie ogromnej bazyliki po przeciwnej stronie wielkiego zalanego światłem placu. Jasne promienie południowego słońca odbijały się od złoconych powierzchni i paliły go w oczy, on jednak trwał na posterunku.

Długo czekałem, mogę poczekać jeszcze trochę.

Trzymał wartę zagnieżdżony w ciele Leopolda i szukał wzrokiem oczu innych, których zniewolił dotknięciem dłoni. Za pośrednictwem tych dalekich czułek, spojrzeń, widział setki perspektyw i miejsc, które nadal pozostawały w ciemności.

...rozprute gardło młodej dziewczyny, purpura tryska z niego na czarny asfalt jezdni...

.. .przerazone mokre oczy mężczyzny w metalowym pudle; za chwilę spotka go śmierć od ostrych kłów nocnej bestii...

...jeszcze inny skrada się przez ciemny las, okrążając splecioną w uścisku parę niepomną na nic oprócz swoich żądz...

Nie musiał poprzestawać na obserwacji, w każdej chwili mógł uczynić więcej. Mógł wnikać świadomością w ciało każdego zniewolonego, całkowicie biorąc je w posiadanie. Pozostał jednak tam, gdzie się znajdował, tkwił mocno w wehikule, który był jego przyczółkiem w świecie. Raz jeszcze zaczął przeszukiwać

wspomnienia ukryte w nikłym płomyku migoczącym wśród bezmiaru ciemności.

Leopold rozpoznał świętą twierdzę po drugiej stronie placu.

Ja także ją znam.

Bazylika Świętego Marka.

Legion przybył z Rzymu, sprowadzony przez drżącego mnicha sangwinistę, który przez drzwi podsłuchiwał człowieka zwanego kardynałem Bernardem. Dzięki jego uszom Legion dowiedział się, że spotka się w tym miejscu trójka zapowiedziana w prorocctwie. Chciał wiedzieć, co działo się za świętymi murami, ale nie odważył się wtargnąć tam osobiście.

Powstrzymała go nie tylko świętość ziemi, lecz także palące promienie słońca, które mogły spalić go na popiół. Nie miał niczego, czym mógłby się okryć. Nawet kiedy chował się w cieniu, słońce drażniło jego skórę. Wkrótce wpędzi go do któregoś z pobliskich domostw lub głęboko pod powierzchnię morza, które zasilalo w wodę kanały miasta.

W najgorętsze chwile dnia mogę odpoczywać pod zimną zieloną wodą.

Wzywała go pokusa, by sycić się pięknem: lśnieniem śmigających ryb, płasaniem szmaragdowych zasłon wodorostów. Pragnął się w nim utożsaczyć, stać się jego częścią.

Ale jeszcze nie teraz.

Tymczasem musiał tkwić w mieście cuchnących kanałów, wśród chaosu ludzkiej deprawacji i świętości. Trójka, którą ścigał, szukała tutaj spokojnej kryjówki. I mimo że Leopold starał się zataić informacje o nich, Legion powoli wyłuskiwał ich coraz więcej.

Dwoje z trójki było, oczywiście, śmiertelnikami.

Wojownik i Niewiasta.

Jednakże trzeci z nich, Rycerz, niejaki Rhun Korza, który przybył później niż reszta, był, podobnie jak Leopold, sangwinistą, co oznaczało, że jest podatny na deprawację. Legion mógł własnym cieniem dotknąć mrocznej strony jaźni Rycerza.

Naznaczyć go, związać swoją wolą.

Niestety nie mógł tego dokonać z Wojownikiem ani Niewiastą, którzy nie nosili w sobie ciemności, ale Legion potrzebował jedynie Rycerza.

Korza umożliwi mu przeniknięcie do triady, pozwoli zniweczyć proroctwo od środka.

Po przeciwnej stronie placu trzasnęły ciężkie drzwi, zwracając jego uwagę.

Ze świętego gmachu wynurzyła się grupa sangwinistów o milczących sercach i wyszła na plac. Legion lustrował ich twarze, głęboko oddychając dymem unoszącym się z płomienia Leopolda. Ten znał wielu z nich z imienia i nawyków.

Wzrok Legiona skupił się na tym, który stał obok Wojownika i Niewiasty.

Był to Rhun Korza.

Kiedy mi się pokłoni, oczyścimy ten świat i zamienimy go na powrót w raj.

Ofiara pozostawała jednak w blasku światła, co było denerwujące.

Z braku innej możliwości Legion podążył za grupą wąskimi uliczkami Wenecji, trzymając się zacienionej strony. Przez zamknięte drzwi słyszał bicie serc tych, którzy pędzili swoje ponure ludzkie losy.

Uderzenia jednego z nich zwróciły szczególną uwagę Legiona.

Wojownik powinien już nie żyć. Legion pamiętał, że wziął w posiadanie *strigoi*, który przypościł na niego atak: klinga wbiła się w miękki brzuch, gęsta krew obficie trysnęła na zimne dłonie.

Lecz serce Wojownika nadal biło.

Zbliżywszy się, Legion wyłowił w jego rytmie obcą nutę, coś jak echo wielkiego rogu słyszalne za równomiernymi uderzeniami.

Rozwiązanie tej zagadki musiało jednak poczekać.

Pozostali dotarli do celu, spieszenie pokonując ostatni etap drogi w bezlitosnych promieniach słońca.

Nie mam więcej czasu.

Tamci weszli szybko do budynku cuchnącego ropą, tak jak cuchnie teraz większość świata. Na dachu stała machina z płatami.

Leopold znał to urządzenie.

...śmigłowiec, lata jak trzmiel...

Legion poczuł odrobinę podziwu dla zręczności śmiertelników, którzy w taki sposób zdołali zapanować nad swoim ograniczonym światkiem. Człowiek wiele osiągnął w ciągu tych stuleci, podczas których on pozostawał w uwięzieniu.

Zdołał nawet podbić niebo.

Wiedząc o tym, Legion musiał znaleźć sposób, by móc kontynuować polowanie. Śmigłowiec uleci niebawem w słońce dnia, zabierając ze sobą triadę, a on musi się dowiedzieć, dokąd zmierzają.

Płaty już zaczęły się obracać.

Z budynku poniżej wyszła mniejsza grupka sangwinistów. Była to eskorta trójki, która ochraniała drogę tamtych przez miasto; teraz szykowali się do powrotu do swoich świętych grzęd. Większość odchodziła tam, skąd przybyła, w kierunku bazyliki, lecz jedna postać się odłączyła i ruszyła w innym kierunku.

Jej trasa wiodła wzdłuż kanału, którego bliższy brzeg nadal leżał w głębokim cieniu.

Szybko podążył za nią, przecinając plamy mroku.

Biegł i wsłuchiwał się w miasto, w krzyki i śmiechy, w warkot silników, dudnienie jego arterii. Niewiele tam było naturalnych odgłosów. Ptak nie śpiewał, wiatr nie szumiał wśród liści. Ludzkość przejęła tę wyspę, tak jak większość współczesnego świata, i okiełznała ją dla własnych celów, rujnując przy tym dzikie ogrody i zabijając stworzenia żyjące w harmonii.

Bóg może tolerować taką zagładę swojego dzieła, ale ja nie.

Skupił słuch na szmerze materiału ubrania ofiary. Ta zaś kroczyła dalej wzdłuż kanału, nieświadoma obecności myśliwego.

Wydobył od Leopolda jej imię i głośno je wypowiedział: „Siostró Abigail”.

Sangwinistka odwróciła się do niego. Jej odgarnięte włosy, szare jak kamień, odsłaniały poirytowaną twarz. Kobieta była wyraźnie zdenerwowana i gniew spowolnił jej reakcję. Strach rozszerzył jej oczy i odbił się w pociemniałym obliczu, gdy on znalazł się tuż przy niej.

Jego ręka wystrzeliła i dotknęła policzka sangwinistki, naznaczając jej ciało piętnem.

Osunęła się na niego momentalnie. Chwycił ją i objął. Trzymając ją w ramionach, przeglądał jej pamięć jak księgę.

...spacer mokrymi ulicami Londynu z dłonią nad głową. Matka...

...stoi przed prostym białym nagrobkiem. Ojciec...

...uradowani ludzie tańczą na ulicach. Wielka wojna dobiegła końca, lecz wielu poległo. Tyle dzikich pól bomby zamieniły w połacie śmierci...

...ogromne kamienie spadają z nieba. Bomby. Następna wojna, jeszcze większa niż poprzednia. Broń, która może unicestwić wszystko, co dane zostało człowiekowi...

...mężczyzna o oczach koloru burzowych chmur i zimnej skórze.

Bierze jej krew i w zamian ofiarowuje swoją...

...bagniste pole bitwy Brązowe oczy, skośne przy kącikach. Spadają bomby, niszcząc dobre i złe bez różnicy. Następna wojna, tym razem w Korei, a ona poluje wraz z mężczyzną o oczach barwy burzowych chmur...

...kobieta z krzyżem na szyi daje jej wybór. Żałuj za grzechy albo giń. Wino parzy jej usta...

Legion wchłaniał oddechem życie zakonnicy, lecz jej przeszłość mało go interesowała. Odsunął dawne wspomnienia i poszukał świeższych.

...twarz kobiety. Kręcone czarne włosy i oczy o srebrzystym połysku. Jest piękna, ale zimna jak kamień. Abigail jej nienawidzi...

Legion wydobył jej imię.

Hrabina Elżbieta Batory.

Ta mu się nie przyda. Tracąc cierpliwość, skupił się na jednym celu, na kobiecie, którą trzymał w ramionach.

Dokąd zmierzają?

Usta Abigail poruszyły się tuż obok jego ucha.

„Kierują się do Pragi”.

Legion zadrżał, słysząc nazwę miasta związanego z jego własną historią, miasta, w którym po raz pierwszy został uwięziony. On ścigał triadę, lecz ona podążała tropem jego dziejów.

Całą wolę skupił na jednym wyrazie.

Dlaczego?

Do jego uszu dobiegły cicho wypowiedane słowa: „Szukają dzienników Johna Dee”.

Tym razem Legiona przytłoczyły własne wspomnienia.

...mężczyzna z mlecznobiłą brodą i ciemnymi oczami, z których wyziera bystrość umysłu...

...oczy uśmiechają się do mnie z drugiej strony zielonego płomienia.

To on mnie więzi...

...pali mnie ból i nienawiść...

Odepchnął od siebie Abigail i przytrzymał na długość ramienia; jego znak pozostał na jej policzku. Wiedział już, dokąd musi się udać.

Do Pragi.

Miał już niewolników w okolicy, zbierze ich i pchnie w kierunku starego miasta, ale zamierzał udać się tam osobiście. Abigail mogła podróżować za dnia, więc mu w tym pomoże.

Dokona w tym mieście zemsty za swoją przeszłość, zabezpieczy sobie przyszłość... i zniweczy wszelką nadzieję rodzaju ludzkiego.

CZĘŚĆ TRZECIA

Zaiste, niegodziwość rozgorzała jak pożar, który trawi głogi i ciernie; wybucha w gąszczu leśnym, aż wzbijają się słupy dymu.

Księga Izajasza 9,17

18 marca, 14.40

Przestrzeń powietrzna nad Czechami

Elżbieta siedziała w tylnej części kabiny śmigłowca i obiema rękami trzymała się uprząży zabezpieczającej. Rzeki drzewa i miasta przesuwały się pod ich maleńkim statkiem powietrznym z oszałamiającą prędkością. Przez szybę widać było świat podobny do zabawki, a ona była dzieckiem, które spogląda na niego z góry i myśli o zabawie.

W jej krwi rozplómięte wino zmagало się z ciemną siłą. Mimo to Elżbieta miała poczucie, że stanowi integralną całość, że wszystko jest na swoim miejscu.

Tym jestem i tym być powinnam.

Może nawet wybaczy Rhunowi to, co jej zrobił, ponieważ wskazał jej drogę do tego miejsca i do tej chwili.

Przez cały lot z Wenecji rzucał na nią długie spojrzenia, jakby się spodziewał, że Elżbieta może zniknąć. Erin i Jordana, którzy siedzieli naprzeciwko niej, rychło zmorzył sen; Sophia i Christian byli razem w kokpicie, prowadząc maszynę niekończącymi się powietrznymi rzekami.

Jakże niezwykle czasy do życia.

A ja spiję z nich wszystko.

Wiedząc, że wkrótce znajdą się w Pradze, popatrzyła na sunącą w dole Ziemię. Nie wiedziała, czy rozpozna miasto, czy też wyda jej się obce jak Rzym. W gruncie rzeczy jej na tym nie zależało.

Nauczy się i zaadaptuje, przepłynie przez zmiany które przyniesie wieczność.

Ale nie sama.

Przywołała na pamięć drobną twarz Tommy'ego. Kiedyś dużo ją nauczył o terażniejszości. Z czasem ona wprowadzi go w uroki nocy, w rozkosze krwi, a pochod lat już nigdy więcej ich nie dotknie.

Uśmiechnęła się.

Komu potrzebne słońce, skoro ma się przed sobą przyszłość tak jasną?

W słuchawkach zagdakał głos Christiana, wyrywając pozostałych ze snu. Rhun się wyprostował.

– Zbliżamy się do Pragi – oznajmił pilot.

Rhun zobaczył uśmiech na twarzy Elżbiety i także się uśmiechnął.

– Dobrze wyglądasz.

– Dobrze się czuję... bardzo dobrze.

Z jego ciemnych oczu wyglądała dobroć. Sprawili mu ból, kiedy porzuci zakon. Zdziwiła się, że ta myśl aż tak jej doskwiera.

Skierowała znów wzrok na okno. Śmigłowiec sunął nad nowoczesnymi szklanymi budowlami i brzydkimi gmachami, lecz w oddali Elżbieta dostrzegła starszą część miasta z dachami z czerwonej dachówki i gmatwaniną wąskich uliczek.

Maszyna podążała nad szerokim korytem Wełtawy; Elżbieta rozpoznała ceglany most spinający rzekę szeregiem majestatycznych łuków. Była rada, widząc, że nie wszystko się zmieniło. Praga zachowała wiele ze swoich wieżyczek i charakterystycznych budynków.

– To jest most Karola – powiedziała Erin, dostrzegając jej zainteresowanie.

Elżbieta stłumiła uśmieszek. Ongiś most nosił po prostu nazwę „kamiennego”. Patrzyła na ludzi, którzy go przemierzali. Za jej czasów wypełniony był końmi i powozami. A więc niektóre rzeczy jednak uległy zmianie.

Śmigłowiec zbliżał się do centrum miasta, ona zaś pochłaniała widoki, szukając wzrokiem ulic i gmachów, które znała. Rozpoznała bliźniacze wieże kościoła Tyńskiego w pobliżu rynku. Ratusz Staromiejski wciąż dźwigał słynny, majestatyczny zegar astronomiczny Orloj.

Erin podążyła za jej spojrzeniem.

– Ten średniowieczny zegar to cud. Powiadają, że jego twórcę oślepieno z rozkazu rady miejskiej Pragi, żeby nigdy więcej takiego nie zbudował.

Elżbieta skinęła głową.

– Za pomocą rozgrzanego pogrzebacza.

– Surowe postępowanie – rzucił Jordan. – I marna premia za ukończenie roboty.

– Bo i czasy były surowe – odparła Elżbieta. – Ale mówi się także, że zegarmistrz się zemścił. Wczołgał się do wieży i samym dotknięciem ręki zepsuł precyzyjny mechanizm, a potem wyzionął ducha.

Zegara nie udawało się naprawić przez sto lat.

Spoglądała na jego fantazyjną tarczę. To dobrze, że zachowano i podziwiano fragment przeszłości. Zegarmistrz umarł, lecz jego arcydzieło przetrwało upływ lat.

Przetrwam i ja.

– Za kilka minut lądujemy – poinformował przez radio Christian.

Głęboko w kieszeni Elżbiety zawibrował telefon. Zakryła go dłonią, mając nadzieję, że warkot silnika maszyny i słuchawki zagłuszyły odgłos i Rhun go nie usłyszał. To na pewno był Tommy. Ale czemu dzwoni? Obawiając się najgorszego, poruszyła się niecierpliwie; żałowała, że nie może z chłopcem pomówić. By to zrobić, musiała przez chwilę być sama.

Aparat przestał wibrować i znów splotła dłonie na kolanach, ściskając je mocno i pragnąc, by śmigłowiec wylądował. Na szczęście nie musiała już długo czekać. Zgodnie z obietnicą Christiana niebawem znaleźli się na ziemi. Po chwili zamętu

wraz z innymi zmierzała twardym chodnikiem w kierunku długiego, niskiego budynku.

Powietrze, zimniejsze tutaj niż w Wenecji, i tak ją parzyło.

Wyciągnęła otwartą dłoń w stronę popołudniowego słońca. Jako *strigoi* powinna zostać poparzona, jej skóra powinna pokryć się pęcherzami i spalić na popiół, lecz chroniła ją święta krew. Nie całkowicie jednak. Pozostało w niej tyle ciemnej siły, że promienie raniły. Cofnęła dłoń i opuściła głowę, kryjąc twarz pod welonem.

Rhun zauważył jej reakcję.

– Z czasem przywykniesz.

Ściągnęła brwi. Nawet na światło dnia sangwiniści nie mogli sobie do końca pozwolić. Życie wypełnione ciągłym dostosowywaniem się i bólem. Zapragnęła zrzucić z siebie to jarzmo i ograniczenia... być znów naprawdę wolną.

Ale jeszcze nie teraz.

Podążyła z innymi do terminalu lotniska. Skrzywiła się na widok utylitarnej brzydoty biało-szarego, pozbawionego osobowości budynku. Najwyraźniej ludzie współcześni bali się kolorów.

– Mogę się oddalić na chwilę, żeby zmyć kurz z rąk i twarzy? – spytała Rhuna z myślą o tym, by znaleźć chwilę odosobnienia i oddzwonić do Tommy'ego. – Jestem taka zdezorientowana po podróży.

– Ja ją zaprowadzę – zaproponowała Sophia. Drobną kobietą odezwała się trochę za szybko, zdradzając swoją nieufność.

– Dziękuję, sestro – odrzekła Elżbieta.

Hinduska poprowadziła ją bocznym korytarzem do łazienki z wieloma boksami i weszła z nią do środka. Elżbieta podeszła do umywalki i obmyła ręce ciepłą wodą. Sophia także zwilżyła twarz.

Elżbieta wykorzystała chwilę na to, by przyjrzeć się ciemnoskórej kobiecie; zastanawiała się, jaka była, zanim została sangwinistką. Czy miała rodzinę, którą z czasem porzuciła? Jakie

okropieństwa popełniła jako *strigoi*, zanim skosztowała świętego wina?

Jednakże twarz Hinduski była jak stoicka maska; jeśli Sophie nękały niegdysiejsze cierpienia, to pozostawały w ukryciu. Elżbieta wiedziała, że coś musi tam być.

Każdy z nas ma swoją udrękę.

Przypomniał jej się syn Paweł, jego radosny śmiech.

Wraz z upływem życia gromadzi się coraz więcej duchów. Im dłużej żyjesz, tym więcej cieni cię nęka. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i ze zdziwieniem zobaczyła łzę, która spływała po policzku.

Zamiast ją otrzeć, postanowiła ją wykorzystać.

– Mogę zostać chwilę sama? – zapytała, odwracając się do Sophii.

Ta już miała się sprzeciwić, gdy nagle zauważyła łzę; jej twarz złagodniała. Mimo to rozejrzała się, szukając wzrokiem okien lub innych dróg wyjścia. Niczego nie wykryła, więc dotknęła ręki Elżbiety i wyszła.

– Poczekam na zewnątrz.

Elżbieta natychmiast wyjęła telefon. Zostawiła kran otwarty, by woda zagłuszyła jej głos, i czym prędzej wybrała numer Tommy'ego.

Odebrał momentalnie.

– Elżbieto, dziękuję, że dzwonisz. Zdążyłaś w samą porę.

Z ulgą odnotowała, że chłopiec mówi spokojnie.

– Wszystko w porządku?

– Owszem, nie najgorzej. I bardzo się cieszę, że niedługo się spotkamy.

Zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc. Tommy nie mógł wiedzieć, że ona zamierza uwolnić się od towarzystwa i pojechać do niego.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przybył ksiądz i zabiera mnie do Rzymu.

Elżbieta zeszywniała, jej głos stwardniał.

– Jaki ksiądz? – Rozpalonym nagle umysłem próbowała ogarnąć tę nowinę. Była niespodziewana i brzmiała fałszywie,

jakby kryła w sobie pułapkę. – Tommy, nie...

– Zaczekaj – wpadł jej w słowo. Usłyszała, że z kimś rozmawia, po czym znów się do niej odezwał. – Ciocia mówi, żebym skończył rozmowę. Samochód po mnie przyjechał. Ale jutro się spotkamy.

Głos jego tętnił radością, lecz Elżbietę zdjął strach.

– Nie jedź z tym księdzem! – rzuciła ostro.

Jednak w słuchawce panowała już cisza. Ponownie wybrała numer Tommy'ego, przemierzając łazienkę. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odpowiadał. Elżbieta zacisnęła dłoń na aparacie, próbując odgadnąć, dlaczego go zabrali.

Może chcą ukryć Tommy'ego z obawy przed atakami *strigoi*, których jest ostatnio tak wiele.

Odrzuciła tę nadzieję, bo wiedziała, że Kościół przestał już się chłopcem interesować.

A więc dlaczego? Czemu Tommy znów stał się dla nich taki ważny?

Nagle zrozumiała.

To ja jestem powodem.

Kościół wiedział, że zależy jej na Tommym. Ktoś przejmował nad nim kontrolę, zamierzając wykorzystać go jak pionka. To był sposób, by wziąć ją na smycz. Tylko jeden ksiądz mógł posłużyć się w taki sposób niewinnym chłopcem. Mimo że uwięziony, nadal roztaczał swoją władzę.

Kardynał Bernard.

Trzasnęła pięścią w lustro i na tafli rozbiegły się rysy pęknięć.

Zerknęła na drzwi, wiedząc, że stoi za nimi Sophia. Gniew pchnął ją do lekkomyślności. Jeśli chce ocalić Tommy'ego, musi postępować roztropniej. Nim Hinduska się zjawiała, Elżbieta zakręciła wodę i dobiegła do drzwi.

Sophia zmierzyła ją podejrzliwie wzrokiem.

Elżbieta poprawiła welon i dotknęła dłonią różańca. Wykorzystała ukłucie bólu, by nad sobą zapanować.

– Już jestem gotowa... – powiedziała.

Wróciły do reszty grupy.

Erin otworzyła plan miasta w telefonie; oto kolejny cud współczesności.

– Nie jesteśmy daleko od starego pałacu. Większość pracowni alchemików jest w jego pobliżu.

– Ta, której szukamy, znajduje się gdzie indziej. Musimy się udać do śródmieścia, w pobliże zegara Orloj – oznajmiła Elżbieta.

Wiedziała, że musi wybrać odpowiednią chwilę.

Będę czekała i patrzyła.

Właściwy moment z pewnością nastąpi.

Przyjdzie i czas na Bernarda.

15.10

Erin poprawiła plecak, gdy zmierzali do wyjścia z terminalu.

Doskonale pamiętała o tym, że dźwiga na ramionach Ewangelię Krwi.

Żałowała, że nie zostawiła jej w Rzymie, gdzie księga leżałaby bezpiecznie w zamknięciu, lecz skoro miała ją przy sobie, postanowiła nie spuszczać jej z oczu.

Czuła się teraz tak, jakby to była część jej samej.

Rhun szedł u boku hrabiny z wdziękiem czarnej pantery, ubrany w ciemne dżinsy i długi czarny płaszcz. Elżbieta sunęła nieco władczyim krokiem. Tworzyli piękną parę i z nieoczekiwaną siłą zazdrość ukłuła Erin. Aż ją to zaskoczyło. Czyżby chciała być kobietą u boku Rhuna, gdyby było to w ogóle możliwe?

Spojrzała na Jordana. Lustrował wzrokiem pomieszczenie, bez ustanku wypatrując zagrożeń, lecz jego luźno opuszczone ramiona świadczyły o tym, że czuje się swobodnie. Mocno zarysowaną szczękę pokrywał złocisty zarost. Pamiętała drapanie tych włosków na brzuchu i piersiach.

Zauważył, że mu się przypatruje, a ona zarumieniła się i skierowała wzrok na posadzkę.

Kiedy wyszli na chłodne popołudniowe powietrze, Elżbieta poprawiła welon, by lepiej zakryć twarz. Bluza Rhuna miała kaptur, nie naciągnął go jednak na głowę.

– Mam wrażenie, że blask słońca mocniej teraz przeszkadza Elżbiecie – powiedziała Erin, nachylając się do Christiana. – Dlaczego tak się dzieje? – indagowała.

– Jest nowicjuską – odparł. – Nie wiem, czy powoduje to upływ czasu, czy lata pokuty, ale wiem, że z czasem sangwiniści bardziej uodparniają się na światło.

– Jak to możliwe, że nie wiesz dokładnie, dlaczego tak jest? – dopytywała Erin, zdziwiona, że sangwinistów nie ciekawią tajniki własnej natury. – Nie da się zgłębić swojego umysłu jednym spojrzeniem. Dlaczego nie dociekacie, co z wami zrobiono?

Odpowiedziała jej Sophia, odrobinę zbyt ostrym tonem: – Miej ufność w Panu całym swoim sercem i nie polegaj na własnym rozumieniu. Tego nie wolno podważać.

– Bycie sangwinistą to nie dociekania naukowe – poparł ją Christian. – Sens naszej podróży określa wiara. Ona jest esencją tego, na co czeka się z nadzieją, świadectwem istnienia rzeczy, których nie widać, których nie można dowieść.

Jordan przewrócił oczami.

– Może gdybyście wcześniej zadawali więcej pytań, nie tkwilibyśmy teraz w takim bagnie – zauważył.

Nikt nie zaoponował. Christian wskazał kawiarenkę z zewnętrznym patiem.

– Może byśmy podładowali baterie? Przed nami ważny dzień.

Tylko Erin i Jordan potrzebowali podładowania baterii, lecz Christian miał rację. Dawka kofeiny dobrze im zrobi... A im większa, tym lepiej.

Młody sangwinista poszedł złożyć zamówienie, Jordan tym czasem złączył pod parasolem dwa małe okrągłe stoliki. Christian wrócił po chwili z tacą, na której były dwa ceramiczne kubki i stosik ciastek.

Zanim postawił tackę, pochylił się i wciągnął do nosa parujący aromat.

Potem westchnął z uznaniem.

Erin uśmiechnęła się, ale kątem oka zauważyła, że Sophia z pogardą ściga usta. Każdą resztkę ludzkiej natury sangwiniści postrzegali jako słabość. Jednakże te jej resztki u Christiana budziły sympatię Erin, dzięki nim bardziej mu ufała.

Ujęła kubek w dłonie, żeby je rozgrzał i uspokoił ją. Rozejrzała się po twarzach towarzyszy.

– Jaki jest plan? Odnoszę wrażenie, że macamy w ciemnościach jak niewidomi. Pora to zmienić. Czas zadać sobie trudne pytania. Na przykład te dotyczące natury sangwinistów i *strigoi*. Zdaje się, że mają one kluczowe znaczenie dla naszych poszukiwań.

Jordan skinął głową, znacząco zerkając na Christiana i Sophię.

– Im mniej rozumiemy, tym większa jest szansa, że poniesiemy klęskę – powiedział.

– Zgadzam się – przytaknęła Elżbieta. – Ignorancja nie przysłużyła się nam kiedyś i nie służy dzisiaj. Są rzeczy, o których Kościół powinien wiedzieć. Jego luminarze mieli dwa tysiące lat na zbadanie tych spraw, a nie potrafią odpowiedzieć na najprostsze pytania. Na przykład co ożywia *strigoi*?

– Albo inne: W jaki sposób się przeobrażacie, składając śluby sangwinistów? – zawtórowała jej Erin. – Jak wino odżywia wasze ciała?

Pytania te sprowokowały krótką, lecz zaciętą dyskusję. Rhun i Sophia opowiadali się po stronie wiary i Boga. Erin, Jordan i Elżbieta przekonywali, że niezbędne są metody naukowe i rozum. Christian z konieczności grał rolę arbitra, usiłując znaleźć wspólny grunt.

Na koniec stanowiska dyskutantów jeszcze bardziej się oddaliły.

Erin odsunęła od siebie pusty kubek. Na jej talerzyku pozostały jedynie okruchy ciastek. Jordan uszczknął tylko kawałek herbatnika jabłkowego, a mimo to wyglądał, jakby miał dosyć. Jeżeli nie ciastek i kawy, to w każdym razie dyskusji.

– Powinniśmy już iść – rzucił, wstając.

Sophia spojrzała na zegarek.

– Jordan ma rację. Dużo czasu już zmarnowaliśmy.

Erin powstrzymała się przed ostrą ripostą, wiedząc, że do niczego ich nie doprowadzi.

O dziwo, Elżbieta zaproponowała bardziej koncyliacyjne zamknięcie debaty: – Może znajdziemy odpowiedzi na te pytania w laboratorium Johna Dee.

Oby tak się stało, pomyślała Erin, wstając. Bo w przeciwnym razie świat czeka zagłada.

18 marca, 15.40

Praga, Czechy

Rhun stał obok Elżbiety na rynku praskiej starówki. Napłynęły chmury i zaczął siąpić lekki deszcz, który szemrał na kocich łbach.

Elżbieta z zadartą głową patrzyła na złotą tarczę zegara astronomicznego, przesławnego Orloja. Następnie skierowała uwagę na otaczające rynek budynki.

– No to gdzie dokładnie jest laboratorium tego jegomościa? – spytał Jordan.

– Muszę się rozejrzeć i zorientować – odparła Elżbieta. – Dużo się zmieniło, ale na nasze szczęście wiele pozostało bez zmian.

Rhun przyglądał się licznym małym tarczom i symbolom, które nakładały się na siebie na tarczy zegara. Dochodziła szesnasta, do zmroku zostało więc dwie i pół godziny.

Erin skuliła się w swojej jasnoniebieskiej kurtce.

– Ja bym powiedziała, że laboratorium Johna Dee powinno być gdzieś w alei Alchemików obok Zamku Praskiego.

– I pomyliłabyś się – odrzekła Elżbieta niepokojąco wyniosłym tonem. – Wielu alchemików miało tam pracownie, lecz najtajniejsze badania prowadzono niedaleko od tego miejsca.

– No więc gdzie jest ta pracownia mistrza Dee? – odezwała się Sophia.

Elżbieta powoli oddaliła się od wieży zegarowej i wyszła na rynek.

Zatoczyła niewielki krąg, jakby była kompasem usiłującym odnaleźć północ. W końcu wskazała wąską uliczkę odchodzącą od placu. Po obu jej stronach wznosiły się wysokie kamienice.

– Jeśli pracowni nie zburzono, to znajduje się gdzieś tam.

Czoło Erin się zmarszczyło. Rhun rozumiał jej zatroskanie. Jeśli laboratorium nie istnieje, to nie tylko nadaremnie odbyli tę podróż, ale także zgubili trop i nie mają dokąd iść dalej.

Elżbieta skręciła i chcąc nie chcąc, wszyscy podążyli za nią.

Sophia przyspieszyła kroku, by znaleźć się obok hrabiny, Rhun zaś trzymał się z tyłu.

Erin rozglądała się, ciekawa historii miasta, lecz jej umysł zaprzętało co innego.

– W dwa tysiące drugim roku Pragę dotknęła wielka powódź – zaczęła, zataczając ręką krąg. – Wełtawa wystąpiła z brzegów i zalała stolicę. Kiedy wody ustąpiły, niektóre części miasta... między innymi ta, o ile się nie mylę... zapadły się do średniowiecznych lochów i odsłoniły dawno zaginione pomieszczenia, warsztaty... a nawet pracownie alchemików. –

Erin spojrzała na towarzyszy, a później na mokre kamienie pod stopami. – Przez całe lata miliony ludzi stąpały po tych tunelach, nie wiedząc, co się tam kryje. Wywołało to wtedy spore poruszenie w środowisku archeologicznym.

Idąca na czele Elżbieta wypowiedziała szorstką sylabę, w której Rhun rozpoznał węgierskie przekleństwo. Wszyscy przyspieszyli, by zrównać się z przewodniczką. Ona zaś zatrzymała się przed drewnianym znakiem wiszącym ponad ulicą. Obok stało otworem dwoje granatowych drzwi. Elżbieta spoglądała na nie ze skrzywioną miną.

Ktoś mógłby pomyśleć, że jest gotowa zerwać szyld z metalowych zawiasów.

Na jednych drzwiach jasnosrebrny krąg otaczał dwie kolby połączone rurkami. Wokół rysunku widniał napis *Speculum Alchemiae Muzeum Prague*.

– To muzeum! – zawołała Elżbieta. – W taki sposób w waszych czasach strzeże się tajemnic?

– Na to wygląda – odparł Jordan.

Rhun podszedł bliżej. Na półce z kutego szkła przymocowanej do drzwi wisiały kolby w kształcie gruszek. Każda miała na sobie etykietę z opisem zawartości: „Eliksir pamięci”, „Eliksir zdrowia”, „Eliksir wiecznej młodości”. Pamiętał ze swojej młodości napoje równie fantastyczne.

Christian wziął się pod boki i z powątpiewaniem patrzył na fasadę muzeum.

– Tutaj miałyby być zapiski Johna Dee?

– Tutaj były – poprawiła go Elżbieta. – Ten dom wyglądał kiedyś całkiem zwyczajnie. W przedniej części znajdowała się obszerna sala, a na tyłach izba z miejscami do siedzenia, w której alchemicy przyjmowali gości i omawiali swoje poczynania. Byli wśród nich Tycho Brahe i rabin Loew. Starcy o siwych brodach pochylali się nad tyglami i alembikami. Naturalnie zdarzali się i szarlatani pokroju nikczemnego Edwarda Kelly'ego.

Rhun wierzchem dłoni starł z oczu wodę z deszczu, zalewającą mu oczy.

– Nad czym pracowali? – spytał.

– Nad wszystkim – odparła Elżbieta, strząsnąwszy krople wody z welonu. – Poszukiwali rzeczy, które miały się okazać nieuchwytnymi mrzonkami, na przykład kamienia filozoficznego zdolnego zamieniać pospolite metale w złoto, lecz dokonali także wielu prawdziwych odkryć. – Stuknęła małą stopą w kocie łby. – Takich, które poszły później w zapomnienie. Takich, których wasze współczesne umysły nie są w stanie pojąć. A wyście zamienili pracownię w teatrzyk dla dzieci.

– Hm, skoro pokonaliśmy taki szmat drogi – Christian przesunął się tuż obok niej – to możemy zerknąć.

Wszyscy podążyli za nim, Elżbieta mimo protestów także musiała wejść.

Za kontuaru recepcyjnego powitały ich dwie panie. Starsza, brunetka o szpakowatych włosach, bawiła się naszyjnikiem, a młodsza, przypuszczalnie jej córka, odkurzała szklaną gąbłotą długą szczotką z pierza.

Rhun rozejrzał się i schylił pod pękami suszonych warzyw zwisającymi z łukowatego sklepienia. Wszystkie ściany wypełniały drewniane regały, na których stały stare księgi oraz przeróżne szklane i ceramiczne naczynia. Młody sangwinista zauważył duże drewniane drzwi na prawo od kontuaru. Były zamknięte.

Elżbieta minęła go i podeszła prosto do recepcjonistek.

– Czy moglibyśmy zobaczyć izbę gościnną? – zwróciła się do starszej. – I być może pomieszczenia znajdujące się pod nią?

– Naturalnie, siostro – odparła kobieta. Zerknęła na Elżbietę nad brzegiem okularów połówek i z pewnym rozbawieniem spostrzegła, że ma przed sobą wycieczkę złożoną z zakonnic i księży w koloratkach. – Oprowadzamy gości grupami.

Elżbieta spojrzała na nią z lękiem, lecz w tej samej chwili przepchnął się do niej Christian.

– Chciałbym kupić sześć biletów – powiedział szybko. – Kiedy następna wycieczka?

– W tej chwili – usłyszał.

Kobieta przyjęła od niego opłatę w euro i wręczyła każdemu duży prostokątny bilet.

Jej młodsza koleżanka obdarzyła Jordana uśmiechem. Miała łagodnie patrzące brązowe oczy i wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat. Jej długie ciemne włosy były upięte w kok i związane purpurową wstążką. Kolor był dobrany do bluzki i obcisłej spódniczki, która kończyła się wysoko nad kolanami.

Elżbieta stanęła między nią a Rhunem, z niesmakiem taksując jej kusy odziewek.

– Mam na imię Tereza – oznajmiła młoda kobieta, usiłując zignorować pełne przygany spojrzenie. – Będę państwa przewodniczką po laboratorium alchemika. Pozwolą państwo ze mną.

Ciężkim kluczem otworzyła drzwi. Kiedy skrzydło się poruszyło, z wnętrza zawiało wilgotną stęchlizną. Rhun poczuł, że włosy jeżą mu się na karku, gdy zarejestrował jeszcze inną

woń. Przypomniały mu się dni spędzone na egipskiej pustyni, bo wyczuł obecność tego samego zła, które tropił wśród piasków.

Rozejrzał się, ale nie dostrzegł oznak zagrożenia. Pozostali sangwiniści nie okazywali najmniejszego niepokoju.

Mimo to przesunął się bliżej Erin.

16.24

Przewodniczka szła na czele, a Erin podążyła za Rhunem do ciemnego holu. Za nią posuwał się Jordan, kichając z powodu kurzu.

A może był uczulony na pleśń. Przy jego pierwszym kichnięciu Rhun aż podskoczył i pchnął Erin na ścianę; jego ręka wydała jej się twarda niczym stalowa sztaba.

Jordan zauważył ten obronny gest.

– Bądź w pogotowiu, kiedy beknę – zwrócił się do zakonnika. – To o wiele groźniejsze.

Szli dalej. Erin przyglądała się obrazom olejnym wiszącym na ścianach, prawdopodobnie były to reprodukcje.

Tereza machnęła ręką i cofnęła się.

– Te obrazy przedstawiają...

Elżbieta nie dopuściła jej do głosu i zaczęła wskazywać poszczególne malowidła.

– Cesarza Rudolfa Drugiego, Tychona Brahego, rabina Loewa i medyka Rudolfa... Jego imię chwilowo mi umknęło. Niezbyt do siebie podobni.

Następnie minęła przewodniczkę i weszła do jednego z pomieszczeń, jakby je dobrze знаła.

– Siostro! Proszę poczekać! – Tereza rzuciła się za Elżbietą, reszta podążyła za nimi.

Elżbieta zatrzymała się pośrodku średniej wielkości izby i złożyła dłonie jak do modlitwy; Erin nie wierzyła własnym oczom. Hrabina omiotła pokój wyniosłym spojrzeniem.

Okrągły kandelabr z zawieszonymi dwiema rogatymi maskami rzucał światło o pomarańczowym zabarwieniu na niedźwiedzią skórę, która leżała przed marmurowym

kominkiem. Uwagę Erin przykuła zabytkowa półka zastawiona starodrukami, czaszkami i okazami w szklanych słojach.

Zaintrygowana podeszła bliżej.

Tak to musiało wyglądać przed czterema wiekami.

Elżbieta zatrzymała się na chwilę przy stole z granitowym blatem stojącym przy ścianie, a potem przy zasłoniętym kotarą oknie.

Popatrzyła wokół.

– A gdzie klosz?

– Klosz? – powtórzyła Tereza wyraźnie podenerwowana.

– Przed tym oknem stał kiedyś olbrzymi szklany klosz. Tak duży, że mógł się w nim wyprostować dorosły mężczyzna. – Elżbieta przyklękała na jedno kolano i przyjrzała się terakocie. – Zostały po nim rowki w posadzce. John Dee trzymał urządzenie tutaj, a nie w głównym laboratorium pod ziemią, ponieważ do eksperymentów potrzebne mu było światło dzienne.

Erin zbliżyła się do niej i dotknęła palcami posadzki.

– Czy te płytki są nowe?

Tereza skinęła głową.

– Tak myślę.

Elżbieta wstała z fuknięciem i otarła dłonie w wilgotny habit.

– Dokąd zabrano klosz?

– Nie wiem, o czym siostra mówi – odparła przewodniczka. – O ile mi wiadomo, nigdy nie było tu żadnego klosza. – Odwróciła głowę, mamrocząc coś pod nosem. Zabrzmiało to jak czeski wykrzyknik.

Elżbieta odpowiedziała jej ostro w tym samym języku i dziewczyna aż się zakrztusiła.

Jordan podszedł i uspokajającym gestem dotknął jej ramienia.

– Może pozwólmy tej miłej młodej damie opowiedzieć nam, co wie? W końcu zapłaciliśmy za wycieczkę z pełnym serwisem.

Elżbieta chciała się odezwać, lecz zaniechała tego i splótła dłonie za plecami. Zerknęła w miejsce, w którym spodziewała się zobaczyć klosz; wyraz jej twarzy sugerował, że coś próbuje wykalkulować.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu, Tereza usiłowała odzyskać rezon.

– W... w tej izbie alchemicy przyjmowali gości, ale nie był to zwykły pokój gościnny. Proszę zwrócić uwagę, że w każdym rogu widnieją alchemiczne symbole Ziemi, Powietrza, Ognia i Wody.

Erin powoli i uważnie spoglądała na każdy znak po kolei. Tymczasem Elżbieta, która stała z boku, plecami do przewodniczki, podeszła do kominka. Oparła się o gzyms, jakby zbierało jej się na wymioty.

Młoda Czeszka nabrała nieco odwagi; zapewne cieszyła się, że denerwująca zakonnica się odczepiła.

– Esencję tych sił skupiał kandelabr, który znajdował się na środku izby. Używano ich do wszelkich celów o charakterze okultystycznym i alchemicznym. Proszę podejść do tej wazy, to państwu pokażę...

Erin przesunęła się ku Elżbiecie.

– Co robisz? – spytała łagodnie, gdy hrabina odwróciła się od kominka.

– Dee miał tajny schowek w tym marmurowym gzymsie – wyjaśniła cichym głosem Elżbieta. – Trzymał tam ukryty zielony diament, kiedy kamień był jeszcze nienaruszony. Przed chwilą zajrzałam do środka.

– I znalazłaś coś?

Hrabina otworzyła dłoń, na której spoczywał skrawek papieru.

– Tylko to.

Erin zobaczyła na papierze szereg niezwykłych znaków.



– To imię zapisane po enochiańsku – dodała hrabina.

Erin wpatrywała się w osobliwe litery. Wiedziała, że John Dee stworzył własny język, ale go nie znała.

– Jakie imię?

– Belmagel.

Zmarszczyła czoło i patrzyła na rozmówczynię; imię było jej nieznane.

– Belmagel to anioł, z którym Edward Kelly rozmawiał rzekomo w czasie seansów jasnowidzenia; uczestniczył w nich także John Dee – mówiła Elżbieta. – Mistrz w końcu nabral wątpliwości i ci dwaj się rozstali, lecz cesarz Rudolf był gorliwym i niezłomnym admiratorem Kelly'ego.

– Więc kto twoim zdaniem zostawił tę kartkę?

– Tylko Rudolf, Dee i ja wiedzieliśmy o istnieniu schowka. Cesarz bardzo dbał o zachowanie tajemnicy. Kazał nawet zabić projektanta, by nie mógł ujawnić faktu jego istnienia. Jeśli Dee coś tam zostawił, Rudolf zabrał to po śmierci alchemika. Sądzę zatem, że kartkę musiał ukryć sam cesarz.

– Co jeszcze wiesz o tym Belmagelu? – dociekała Erin, wskazując skrawek papieru skinieniem głowy.

– Kelly komunikował się ponoć z dwoma aniołami. Sudsamma był tym dobrym, jasnym. Belmagel był aniołem ciemności zrodzonym ze zła.

Może to była wskazówka. Erin wraz z triadą poszukiwała najstraszniejszego ze złych aniołów, samego Lucyfera.

– Jeżeli Rudolf zostawił tę kartkę, to może ona zawierać wiadomość dla mnie – wyjaśniła Elżbieta. – Taką, którą tylko ja jedna zdołam zrozumieć.

– Co usiłował ci przekazać? – zapytała Erin.

Hrabina nieznacznie skinęła głową, okazując frustrację.

– To musiało mieć coś wspólnego z szarlatanem Kellym. Może cesarz ukrył ten skrawek papieru, żeby skierować mnie do tego człowieka, do jego siedziby.

– Gdzie on mieszkał?

– Miał wiele domów. Kto wie, czy któryś z nich ostał się do dzisiaj?

Erin spojrzała w kierunku osoby, która mogła to wiedzieć. Uniosła rękę.

– Terezo, mogę panią o coś spytać?

Przewodniczka odwróciła się do niej.

– Co takiego chciałaby pani wiedzieć?

– Współpracownikiem Johna Dee był Edward Kelly. Wie pani może, gdzie Kelly mieszkał i czy budynek ten nadal istnieje?

Oczy dziewczyny rozszerzyły się, najwyraźniej była zadowolona, że może udzielić odpowiedzi.

– Ależ oczywiście. To miejsce jest owiane złą sławą. Nazywa się Faustus Dum, czyli Dom Fausta. Znajduje się na placu Karola, ale nie jest otwarty dla zwiedzających.

Erin zerknęła na Elżbietę. Hrabina skinęła lekko głową, dając do zrozumienia, że zna ten budynek. Chyba się nie ucieszyła, że chodzi właśnie o niego, bo jej twarz spochmurniała.

Tereza podjęła swoją opowieść, Erin natomiast rozmawiała cicho z Elżbietą.

– Co wiesz o Domu Fausta?

– Był okryty hańbą. Zanim wprowadził się do niego Kelly, mieszkał tam z dwoma synami astrolog Rudolf Jakub Krucinek.

Jakiś czas potem młodszy zabił starszego z powodu skarbu, który podobno był ukryty w tym domu, wyposażonym przez ojca w najrozmaitsze pułapki. Samootwierające się drzwi, poruszające się schody, klamki, przy których dotknięciu doznawało się wstrząsu.

Hrabina fuknęła pogardliwie i mówiła dalej: – Ten człowiek był oszustem i hochsztaplerem. Ale w tym domu... gnieździ się prawdziwe zło. Właśnie dlatego powiązano go z legendą o Fauście.

– Uczonym, który zawarł pakt z diabłem?

– Niektórzy powiadają, że Faust nawet w nim mieszkał, że właśnie z tego budynku wyssało go piekło, prosto przez sufit.

Erin spojrzała na nią powątpiewająco, lecz ona wzruszyła ramionami.

– Legenda to czy nie, ale w tym domu działały się osobliwe rzeczy.

Znikali bez śladu ludzie, nocą słyszano głośne wybuchy, widziano dziwne światła.

– Czy Rudolf mógł zostawić ci tę sekretną wiadomość, żeby skierować cię do Domu Fausta? – spytała Erin, wskazując skrawek papieru z enochiańskim napisem. – Zielony diament miał związek z ciemnym aniołem, miejsce również.

– To możliwe...

Tereza podniosła głos, zbliżając się do regału.

– Przechodzimy do następnego punktu zwiedzania. – Przesunęła regał w bok i ukazały się stopnie.

– Ale fajnie! – krzyknął z dziecięcym entuzjazmem Jordan. – Sekretny tunel.

Przewodniczka stała na progu tajnych schodów.

– Te stopnie prowadzą do prywatnego laboratorium alchemika.

Proszę spojrzeć w dół, zobaczą tam państwo dużą metalową obręcz.

Podobno rabin Loew przykuwał do niej swojego sławetnego golema, kiedy ten psocił Erin się uśmiechnęła, lecz sangwiniści spojrzeli z niedowierzaniem na obręcz. Najwyraźniej wierzyli w *strigoi* i anioły, ale nie w to, że alchemicy zdołali tchnąć życie w glinianego olbrzyma. Zapewne i oni musieli sobie nakreślić jakąś granicę.

Tereza poprowadziła wycieczkę schodami w dół.

Elżbieta szturchnęła obręcz czubkiem buta.

– Co za nonsens – wyszeptała. – Dee przywiązywał do niej wilka, bestia nie słuchała nikogo innego. W dniu, w którym zmarł, Rudolf musiał zabić zwierzę, żeby dostać się do tej izby.

Erin szła na końcu. Schody były wąskie, musieli więc poruszać się gęsiego. U ich podnóża zaczynał się tunel i Tereza skierowała ich do niego. Erin zatrzymała się jednak, by spojrzeć na metalowe drzwi po lewej stronie. Miały kwadratowy otwór na wysokości oczu niczym drzwi celi więziennej. Widać było przez niego inny podziemny korytarz.

– Za tymi drzwiami jest tunel prowadzący do rynku starego miasta! – zawołała przewodniczka, spostrzegłszy zainteresowanie Erin. – Ten i inne odkryliśmy parę lat temu po wielkiej powodzi. Usunięcie szlamu zajęło sporo czasu.

Jordan spojrzął na Erin; pamiętał, że o tym napomknęła.

– W piecu, który znajduje się przed nami – ciągnęła Tereza – odkryliśmy tunel, który biegnie pod rzeką aż do Zamku Praskiego.

Elżbieta skinęła głową.

– Rudolf korzystał z niego i innych podobnych, by przemieszczać się pod miastem. Nikt nigdy nie wiedział, gdzie cesarz przebywa.

Erin słuchała opowieści z zaciekawieniem, wyobrażając sobie epokę, w której nauka, religia i polityka zlewały się w jedno i spowijała je mgła legend i tajemnic.

Szli dalej podziemnym korytarzem. Jordan musiał schylać głowę, by nie zawadzać o sklepienie. Przejście kończyło się w małym pomieszczeniu z okrągłym metalowym piecykiem pośrodku. Stały na nim metalowe kolby z długimi spustami, a przed otworem paleniska leżał oklapły miech. Wszystko pokrywała sadza: sufit, ściany, a nawet kamienne płytki na posadzce były czarne.

To musiała być ta izba z piecem, o której wspomniała wcześniej Tereza. Teraz wskazała drzwi w jej tylnej części prowadzące do sąsiedniego ciemnego pomieszczenia.

– W tamtej izbie alchemicy pracowali nad transmutacją, czyli przemianą metali pospolitych w złoto.

– Cóż za absurd! – prychnęła cicho Elżbieta. – Kto mógł wierzyć, że można zamienić zwykły metal w złoto?

Jordan usłyszał ją i z uśmiechem odwrócił głowę.

– W gruncie rzeczy jest to możliwe. Bombarduje się pewien rodzaj rtęci za pomocą neutronów. Niestety proces taki kosztuje więcej niż złoto, które powstaje w jego wyniku. Poza tym otrzymane złoto jest radioaktywne i rozpada się po kilku dniach.

Elżbieta westchnęła teatralnie.

– A więc człowiek współczesny nie rozstał się z dawnymi obsesjami.

– Piec i te duże kolby są oryginalne – mówiła Tereza, kontynuując wątek poszukiwania przez alchemików metody uzyskania eliksiru wiecznej młodości. – Znaleźliśmy fiolkę z eliksirem zamurowaną w tajnym schowku w ścianie tej izby. Wraz z przepisem, jak go zrobić.

Teraz z kolei Erin prychnęła.

– A można go zrobić?

Przewodniczka się uśmiechnęła.

– Proces jest skomplikowany, wymaga siedemdziesięciu siedmiu ziół zebranych przy blasku księżyca, które następnie zalewa się winem. Przyrządzanie eliksiru trwa cały rok, ale tak, można go zrobić. I zajmują się tym mnisi z klasztoru w Brnie.

Nawet Elżbieta się zdziwiła, słysząc te słowa.

Erin patrzyła na pięciusetletnią kapsułę czasu pochodzącą ze świata alchemii. Podeszła, by przyjrzeć się piecowi i kolbom. Za piecem dostrzegła małe drzwiczki.

To pewnie tunel prowadzący do zamku.

Raptem obok niej pojawił się Rhun i złapał ją za ramię. Odwróciła się i zobaczyła, że sangwinista zastygł jak kamień i spogląda w górę.

Elżbieta także zadarła głowę i zaczęła węszyć.

– Co jest? – spytał Jordan. Jego ręka odruchowo powędrowała do pasa, przy którym tkwił zwykle pistolet maszynowy. Niestety zgodnie z czeskim prawem nie pozwolono mu przenieść przez izbę celną broni palnej.

– Krew – odpowiedział szeptem Rhun, patrząc w kierunku tunelu, który prowadził do pomieszczeń na powierzchni. – Dużo krwi.

18 marca, 16.39

Praga, Czechy

Krew gorąca na moim języku...

Legion wiedział, że w rzeczywistości nie jest to jego język.

Zakorzenił się głęboko w czarnym naczyniu Leopolda, który leżał rozplaszczony na podłodze warkoczącego pojazdu. Było późne popołudnie, przyciemnione okna tłumiły palące promienie słońca.

Wyczuł, że słońce wkrótce zajdzie, lecz do tej pory musiał polować z dala, wyteżać inne oczy i kierować za pomocą swojej woli innymi, którzy nosili jego znak.

Kobieta sangwinistka imieniem Abigail prowadziła pojazd, olbrzymiego czarnego rumaka wypluwającego z tyłu chmury trucizny. Wydawało się, że starej zakonnicy słońce nie przeszkadza. Wino sangwinistów zapewniało jej ochronę przed światłem, jego świętość działała niczym tarcza.

Legion postanowił, że naznaczy więcej takich jak ona, stworzy zastępy mogące się przemieszczać w świetle i mroku. Zbliżała się wojna, a on potrzebował licznej armii.

Znów poczuł krew i ujrzał niewolnika, który pożywiał się starą kobietą w niewielkiej izbie wypełnionej suszonymi ziołami, kurzem i książkami. Rozszerzył pole zmysłów, korzystając ze wzroku kolejnych trzech par oczu. Trzech niewolników związanych jego wolą przemykało ciemnymi tunelami, zbliżając się do zwierzyny, która znajdowała się pod ziemią.

Legion skierował ich oraz innych do tego miasta, by zdławić starożytne proroctwo ucieleśnione w osobach Wojownika, Niewiasty i Rycerza.

Nie pozwoli im spocząć, znaleźć bezpiecznej kryjówki.

Śmiertelników zamierzał zabić, lecz tego, który zwie się Korza...

Zostaniesz moim najlepszym niewolnikiem, orężem, który rzucę przeciw Niebu.

Najpierw jednak Legion musiał go wywabić na otwartą przestrzeń.

Uniósł dłoń i patrzył na kłęby czerni, które w niej przepływały.

Wysłał rozkaz do tych, którzy nosili jego znak.

Zgładzić ich... i oszczędzić dla mnie Rycerza.

16.50

Jordan pociągnął Erin za siebie. Rhun, Sophia i Christian dobyli mieczy i obserwowali schody prowadzące na górę do muzeum.

– Co państwo robią? – zapytała Tereza, która spostrzegła broń i zasłoniła sobie ręką szyję.

Erin ujęła jej drugą dłoń.

– Stój blisko mnie – rzuciła.

Jordan schylił się i chwycił jedyny w tym miejscu przedmiot jako tako przypominający oręż: stary żelazny pogrzebacz oparty o piec.

Nie był to pistolet maszynowy, ale na razie musiał mu wystarczyć.

Elżbieta zobaczyła, że sierżant sposobi się do walki, i postąpiła tak samo. Złapała szklany flakon za dziobek i stłukła brzuchaty korpus, uzyskując w ten sposób coś w rodzaju sztyletu ze szkła.

Tereza aż westchnęła, widząc, że kobieta niszczy zabytek, jednak pozostała u boku Erin.

– Dym – powiedział Rhun, który stał przy drzwiach.

Jordan przesunął się, by spojrzeć nad jego ramieniem. Ze schodów po przeciwnej stronie spływał do tunelu kłęb dymu

czarnego jak sadza. Na górze musiał szaleć pożar.

– Moja mama... – odezwała się Tereza i zrobiła krok, lecz Erin ją powstrzymała.

Miała ku temu dobry powód.

Z tumanów wynurzyła się ciemna postać i przykucnęła. Był to rostry mężczyzna z ogoloną do skóry głową, silnie umięśniony. W dłoni ściskał długi nóż. Jego białą koszulkę znaczyły karmazynowe plamy świeżej krwi. Obnażył kły, węsząc w powietrzu i wyczuwając zwierzynę.

Jordan dostrzegł na jego gardle pięciopalczaste znamię, świadczące o tym, że jest zniewolonym *strigoi*. Takie samo nosił ten, który rzucił się na niego w pieczarze w Kume.

Sophia także je rozpoznała i syknęła.

Potwór usłyszał to i skierował wzrok w dół, a potem runął przed siebie z niewiarygodną szybkością.

Rhun skoczył mu naprzeciw, by powstrzymać szarżę. Trzymał w obu dłoniach srebrne karambity, ich zakrzywione klingi wyglądały jak długie szpony. Śmignęły, gdy znalazł się obok bestii, lecz przecięły jedynie powietrze.

Strigoi przypadł do ziemi i obrócił się, wyciągając rękę z nożem.

Jednakże w ostatniej chwili odwrócił go i rąbnął Rhuna w głowę stalową rączką. Cios rzucił sangwinistę na ścianę tunelu, ogłuszając go.

Napastnik popędził obok, wyraźnie kierując się ku Sophii i Christianowi.

Elżbieta zrobiła krok przed siebie – Rhun... – W jej głosie zabrzmiał niepokój.

Jordan pchnął Erin i Terezę w głąb izby. O chwilę za późno uprzytomnił sobie błąd. Za jego plecami zgrzytnęły stare zawiasy.

Odwrócił się w porę, by zobaczyć ciemny kształt, który wyskoczył z drzwiczek prowadzących do tajemnego tunelu Rudolfa.

Strigoi szarpnął Terezę, wyrywając jej dłoń z ręki Erin, i wbił kły w gardło młodej kobiety. Jej krzyk utonął we krwi. Kolejny potwór, który wyłonił się z tunelu, rzucił się z długim ostrzem w dłoń prosto na archeolożkę.

Jordan doskoczył do niej błyskawicznie i chwycił jej ramię, przesunął ją za siebie i zablokował pogrzebaczem cios napastnika.

Stał szcęknięta o stal, a w głowie sierżanta kołatała tylko jedna myśl.

Nie powinienem się poruszać z taką prędkością.

Nie miał czasu na zgłębianie tej zagadki, mógł się jedynie cieszyć.

Zaskoczony *strigoi* warknął, cofnął oręż i przykucnął. Drugi potwór za jego plecami uwinął się z Terezą i dołączył do towarzysza, parskając krwią w stronę Jordana. Poczuli mores przed jego szybkością i siłą i na chwilę ich to zastopowało.

Christian i Sophia ustawili się przy bokach sierżanta. Christian uniósł długi miecz, Sophia dzierżyła w dłoniach dwa sztylety.

Trzech na dwóch, czemu nie, pomyślał Jordan.

Raptem z podziemnego korytarza wychynął trzeci *strigoi*, istny olbrzym o posturze ogra.

No to się nacieszyłem.

Erin porwała w ręce metalowe szczypce, by mu pomóc.

– Musimy wydostać się na światło! – krzyknęła.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

A słońce było coraz niżej nad horyzontem.

Donośne odgłosy dochodzące z tunelu świadczyły o tym, że Rhun i Elżbieta wciąż jeszcze zmagają się z pierwszym napastnikiem. Ta droga była zatem odcięta. Schody prowadzące na górę stały w płomieniach.

Jordan skupił uwagę na trzech wrogach, których miał przed sobą.

Dym wpadał kłębamii do izby przez drzwiczki, niosąc ze sobą swąd płonącego drewna i benzyny. Najwyraźniej ci, którzy ich

osaczyli, podpalili również ten tunel, by nikt nie mógł się nim wymknąć.

Olbrzymi *strigoi* wyglądający na przywódcę grupy wysunął się przed pozostałych dwóch. Jego twarz przypominała mapę utworzoną z blizn, kły miały żółtą barwę. Uniósł pałasz i puścił go w ruch tak szybki, że ostrze zamieniło się w srebrną plamę.

Christian stanął mu naprzeciw, lecz nagle jeden z drobniejszych *strigoi* skoczył z nadnaturalną szybkością i go powalił. Drugi rzucił się na Sophie i pchnął ją na piec.

Jordan uniósł pogrzebacz, uświadomiwszy sobie, że swój efektowny oręż olbrzym wykorzystał, by zwrócić na siebie uwagę; jego dwaj mniejsi towarzysze mogli dzięki temu osaczyć sangwinistów stanowiących dla *strigoi* największe zagrożenie i wyeliminować ich z walki.

Pozostawali jedynie Jordan i Erin.

No to pokaż, ile jesteś wart, dryblasie.

Rzucił się na uzbrojonego przeciwnika i z całej siły rąbnął pogrzebaczem w ostrze pałasza. Siłę uderzenia poczuł w całym ciele od ramion aż do pięt.

Ale odczuł ją także *strigoi*.

Broń wysunęła mu się z dłoni i potwór cofnął się o krok. Z drwiącym uśmieszkiem na wargach skoczył całym cielskiem na Jordana.

Sierżant poczuł się tak, jakby zderzył się z ciężarówką. Runął plecami na stół, tłukąc ustawione na nim szklane naczynia.

Zębiska wbiły się w jego przedramię, zgrzytnęły o kości.

Jordan nie poczuł jednak obezwładniającego bólu, lecz erupcję ognia w ramieniu.

Strigoi wrzasnął, puszczając rękę sierżanta. Ten zobaczył, że jego ciało pokrywa się pęcherzami i pali, zabulgotała czarna krew. Spłynęła na posadzkę, w mgnieniu oka rozpalając jej powierzchnię.

Jordan zerknął na zranioną rękę, a potem na rosnącego *strigoi*.

Moja krew to trucizna, pomyślał.

Nie owładnął go strach, lecz spokój, który wzrastał z każdą chwilą.

Ruchy uczestników potyczki uległy spowolnieniu jak na filmie.

Dźwięki dochodziły do jego uszu przytłumione. Światło przybrało złocisty odcień, wszystko spowiała mgiełka.

Strigoi walczący z Sophią zląkł się na widok tego, co spotkało jego olbrzymiego herszta, i czmychnął w kierunku płonącego tunelu.

Christian skorzystał z chwili zaskoczenia i jednym cięciem oddzielił mu łeb od karku.

Jordan tymczasem porwał ze stołu odłamek szkła i bez namysłu rzucił się za umykającym wrogiem. Złapał go za szyję i przeciął ją od ucha do ucha, a potem upuścił truchło na ziemię.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Erin szarpie go za rękę i kaszle, dławiąc się dymem. Próbowwała ciągnąć go do wyjścia.

– Budynek się wali! – krzyknęła, a jej głos brzmiał tak, jakby oboje tkwili zanurzeni w wodzie. – Pomieszczenia na górze zaczynają się zapadać, przygniatają piwnicę.

Ruszył za nią biegiem, pociągając za sobą Christiana i Sophię.

W tunelu Elżbieta trzymała *strigoi* od tyłu w niedźwiedzim uścisku, Rhun zaś wywijał sztyletem. W oczach Jordana ręka księdza poruszała się powoli, w klindze odbijał się każdy refleks światła.

Krew, która trysnęła z ciała potwora, jakby zawisła w powietrzu.

Ostatni z napastników zwalił się na ziemię, a Erin dalej ciągnęła Jordana za sobą. Wskazała miejsce za Rhunem, obok drzwi u podnóża schodów.

– Musimy dostać się do tunelu prowadzącego na rynek starego miasta!

W tej samej chwili dębowa belka odpadła od sklepienia i grzmotnęła o kamienną posadzkę, poleciały z niej rozpalone drzazgi. Do wnętrza tunelu buchnęło jeszcze więcej dymu.

– Za późno! – wrzasnęła Erin.

17.02

Dławiła się dymem, płuca ją paliły, z oczu ciekły łzy. Nagle pojawił się Rhun i zarzucił jej bluzę na głowę. Na szczęście sangwiniści nie musieli oddychać.

– Głowa nisko – nakazał.

Zastosowała się do wskazówki, podniosła przemoczony deszczem kołnierz kurtki i oddychała przez wilgotny materiał. Christian i Sophia szli na czele, torując drogę wśród płonących szczap i toczących się kamieni. Coraz więcej gruzu wlatywało do środka z zapadających się pomieszczeń na powierzchni.

Elżbieta schylona przy drzwiach prowadzących do jedyne go wyjścia borykała się z zamkiem. Obok niej widać było płomienie, które ogarnęły schody i zamieniły je w ogromne palenisko.

Erin obejrzała się, kaszląc chrapliwie. Jordan szedł niewzruszenie, jakby nie zauważał dymu i gorąca. Stał przed oczami obraz olbrzymiego *strigoi* i gotującej się krwi Jordana, która buchnęła z jego ręki. Widywała już *strigoi* ginących w podobny sposób, gdy dotknęła ich krew anielska.

Byłby to kolejny dowód anielskiej natury Jordana? I co to oznaczało dla mężczyzny, którego darzyła uczuciem?

Usłyszała głośny zgrzyt metalu i spojrzała przed siebie.

Elżbieta wyrwała drzwi z zawiasów.

– Prędej! – krzyknęła, strzepując rozżarzone kawałki drewna z ramion habitu. Gdy weszła do tunelu, pochłonęła ją ciemność.

Erin obawiała się, że hrabina może wykorzystać okazję do ucieczki, a ona chyba nie miałaby jej tego za złe.

Wszyscy wpadli do tunelu i popędzili, ścigani przez dym.

Christian i Sophia mknęli na czele, podążając za Elżbietą. Widać było, że wypatrują nowych zagrożeń, następnych ataków.

Rhun sunął za Erin, za nim zaś biegł Jordan.

Otoczyła ich ciemność, więc Erin wyjęła z kieszeni metalową latarkę. Zapaliła ją i wąski strumień światła przebił mrok.

Zakaszła głośno i latarka poruszyła się w jej dłoniach; płuca nadal ją bolały. Z tyłu rozległ się potężny łoskot. Domyśliła się, że tunel alchemików zapadł się do końca.

Przed uciekającymi trzasnęły drzwi i do tunelu wpadło światło.

Słońce, cudowne słońce...

Erin przyspieszyła. Z każdym krokiem powietrze robiło się świeższe, czystsze, chłodniejsze.

Zobaczyła Elżbietę, która stała i przytrzymała otwarte drzwi.

A więc nie uciekła.

Z radością wylegli na zalaną słońcem alejkę, zakrwawieni, prawie poparzeni, ale żywi.

Erin momentalnie odwróciła głowę i spojrzała na Jordana.

Martwiła się, bo przez cały czas ucieczki tunelami nie odezwał się ani słowem.

Dotknęła jego twarzy, lecz otwarte oczy sierżanta nie patrzyły na nic. Zdjął ją strach, ale go zwalczyła.

Nie odsunęła dłoni od rozpalonego policzka.

– Jordan, słyszysz mnie?

Zamrugął.

– Jordanie, wróć.

Mrugnął raz jeszcze i wstrząsnął nim dreszcz. Jego wzrok powoli się zogniskował. Skierował go w dół, na nią.

– Erin... ? – Powiedział to niepewnym głosem, jakby nie wiedział, czy ją zna.

– Oczywiście – odrzekła cicho, zraniona i przestraszona. – Nic ci nie jest?

Otrząsnął się niczym pies i ogarnął wzrokiem pozostałych.

– Chyba wszystko dobrze... tak myślę.

– Może dym zaburzył mu orientację – rzuciła Elżbieta.

Erin nie dała się nabrać. To, co działo się z Jordanem, nie miało nic wspólnego z dymem. Ujęła jego ramię, rozsunęła przedarty materiał rękawa i spojrzała na poszarpany ślad ukąszenia. Rana już zaczęła się zasklepieć, ciało goiło się, jakby obrażenia powstały dni temu, a nie minuty.

Jeszcze bardziej niepokojące było to, że od bicepsów do rany biegła w dół czerwona linia, tworząc zakrętasę wokół

zamykającej się rany. Erin zadarła wyżej resztkę rękawa, odsłaniając początek linii.

Wybiegała ze starej blizny, która pozostała Jordanowi po rażeniu piorunem. Jako nastolatek kazał sobie wytatuować na śladzie bliskiego spotkania ze śmiercią wzór fraktalny, który przypominał kwiecisty ornament.

Purpurowe pasemko było jednak nowe.

Przeciągnęła po nim palcem i poczuła biegnące nim ciepło.

– Twój tatuaż się rozrasta...

Cofnął rękę i strząsnął rękaw w dół.

– Powiedz mi, co się dzieje – zażądała.

– Nie wiem – odparł, odwracając się trochę w bok. – Zaczęło się, kiedy Tommy mnie dotknął i wyleczył. Z początku czułem tylko lekkie pieczenie.

– A później?

– Nasiliło się, kiedy dźgnął mnie ten *strigoi* w Kume. A teraz, po ukąszeniu, jeszcze bardziej przybrało na sile. – Jordan unikał jej wzroku.

Wzięła go za rękę. Pozwolił jej; dobre i to.

Rhun dotknął delikatnie pleców Erin, jakby wyczuwał jej niepokój.

– Musimy iść – powiedziała Elżbieta, kiedy w oddali zawyły syreny. – Wkrótce zajdzie słońce.

Ale dokąd mieli się skierować?

17.37

Legion obserwował płonące budynki podpalone przez jego sługi.

Czerwone płomienie skakały na tle szarego nieba, a on przypominał sobie miasto. To właśnie w tym budynku tkwił uwięziony wewnątrz zielonego diamentu. Ze smug dymu sześciuset sześćdziesięciu sześciu, których miał w sobie, wydobywał wspomnienia tamtego czasu.

...starzec z białą brodą kroczy po drugiej stronie zielonego szkła...

...promienie słońca palą skórę i kości, pozostawiają jedynie dym...

...dym pierzcha przed jasnością do ciemnego serca zimnego kamienia...

Legion siedział ukryty we wnętrzu pojazdu, a pożar z rykiem wszystko pochłaniał, zamieniał bolesną przeszłość w popiół i dym.

Dobrze, właśnie tak.

Wysłał rozkaz do Abigail. Pojazd zawarczał, oderwał się od krawężnika i zaczął się oddalać od pożaru. Legion oczami niewolników śledził siły wroga, które znikwały w podziemiu. Nie wiedział, co się stało z triadą zapowiedzianą w proroctwie, lecz pozostawił jej zaledwie jedną drogę ucieczki. Jeden jedyny tunel. Jeśli wróg przeżyje, wpadnie w jego pułapkę.

Zawezwał już do Pragi dodatkowe siły, burza czekała tylko na iskrę, która ją rozpęta. Brakowało jeszcze jednego elementu. Przez przyciemnione okno Legion spoglądał na gorejącą tarczę słońca, która wisiała tuż nad horyzontem.

Dzień należał do nich, ale noc będzie moja.

18 marca, 18.08

Praga, Czechy

Rhun przebiegł kolejną ulicę w ślad za Erin, która otworzyła w telefonie plan miasta. Lodowaty wiatr dął wąską arterią, jakby zapowiadał nadciągającą burzę. Sangwinista zwęszył daleki deszcz i trzaski wyładowań elektrycznych.

Ulica dochodziła do dużego skweru z trawnikiem i fontannami.

Zaśniedziały miedziany znak obwieszczał nazwę miejsca gotyckimi literami.

Karlovo náměstí

– Plac Karola – przetłumaczyła Erin, kiedy wyszli na otwartą przestrzeń.

Po jednej stronie wznosił się okazały ratusz z boczną wieżą, jednak uwagę Rhuna przykuł duży kościół jezuitów z barokowymi wieżyczkami. Był to kościół Świętego Ignacego. Sangwinista chętnie spędziłby w nim trochę czasu, by wszyscy mogli dojść do siebie. Christian chodził z obandażowaną ręką, Sophia miała kilka zadrapań i siniaków. Nawet Elżbieta straciła welon, a jej policzek znaczyło nierówne rozcięcie, które zakryła ciemnymi włosami.

Ale nie było czasu do stracenia.

Kiedy przemierzali plac, pomarańczowe niebo zaczerwieniło się, a następnie przybrało barwę indygo; słońce zbliżało się do horyzontu.

Jeśli w mieście czyha więcej *strigoi*, to niebawem wyjdą z ukrycia.

Ktoś bez wątpienia wysłał ich do tuneli, by zastawili tam pułapkę.

Zagrożenie pozostało.

Sangwinista zerkał za siebie, sprawdzając, czy ktoś ich nie śledzi, jednak miasto pełne wiosennych turystów tętniło życiem. Słyszał bicie ich serc, gdy wędrowali ulicami, posilali się w restauracjach, robili zakupy. Usiłował wychwycić odgłosy bardziej ukradkowe, wydawane przez tych, których serca nie biją: ciche kroki, zimne oddechy. Mimo że nie usłyszał dźwięków świadczących o obecności takich stworzeń, nie oznaczało to, że ich nie ma, że nie przemykają w cieniu budynków, nie czekają, aż słońce całkowicie zajdzie.

Spojrzał na kościół Świętego Ignacego. Kiedy drużyna zbada ostatni ważny budynek w mieście, będzie mogła poszukać w nim schronienia.

– Tam powinien być Dom Fausta – oznajmiła Erin. – Przy południowo-zachodnim narożniku placu.

Gmach miał cztery kondygnacje: parter był z szarego kamienia, nad nim zaś fasada miała kolor łososiowego różu; ozdobiły ją imitacje kolumn. Zbliżywszy się, zobaczyli złote litery nad łukiem drzwi tworzące napis FAUSTUS DUM. A więc był to owiany złą sławą Dom Fausta.

Elżbieta sądziła, że Rudolf zostawił jej zakodowaną wiadomość, która miała ją skierować do tego budynku. Jeśli tak, to mogło się w nim kryć coś ważnego.

Ale co?

Rhun nie przestawał bacznie się rozglądać; zaczął padać deszcz.

Stanęli po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domu. Kierowcy przejeżdżających samochodów spieszyli do domów, by zdążyć przed nawałnicą.

W oddali przetoczył się grom. Jordan przypatrywał się budynkowi i teraz bardziej już przypominał dawnego siebie, lecz Rhun zauważył, że po stoczonych walce bicie jego serca uległo zmianie: brzmiało teraz jak ciężki werbel, pod którym słychać było nikłe dzwonięcie. Może ta osobliwość zawsze istniała, walka zaś tylko ją uwypukliła.

– Temu Kelly'emu musiało się nieźle powodzić, skoro stać go było na takie luksusy – zauważył sierżant.

Erin skinęła głową.

– Owszem, cieszył się poparciem i patronatem cesarza Rudolfa.

Na dodatek to miejsce było podobno przeklęte.

– Co takiego? – Spojrzał na nią ostro.

– Kiedyśmy tu szli, wyszukałam je w Google – wyjaśniła. – W czasach pogańskich gromadzono się tutaj, by składać ofiary Morenie, bogini śmierci. Zapewne właśnie dlatego powiązано z tym domem legendę Fausta. Poza tym dodawało to wiarygodności Edwardowi Kelly'emu, gdy twierdził, że potrafi się porozumiewać z Belmagelem, aniołem zła.

Jordan zadarł głowę.

– No dobra. Ale ja widzę tylko ekskluzywną kamienicę z masą piorunochronów.

Elżbieta stanęła z nim ramię w ramię i szczupłą dłonią osłoniła sobie oczy.

– Co to piorunochron?

Wskazał dach pokryty czerwoną dachówką.

– Widzisz ten wiatrowskaz? A pręt obok? Jedno i drugie służy do tego, by przyciągać pioruny i kierować je do ziemi, żeby ładunek bezpiecznie się uwolnił.

Oczy Elżbiety się zaświeciły.

– Ależ mądrze pomyślane!

Jakby na ten znak wysoko nad dachami trzasnął głośno piorun i przypomniał wszystkim, że mają mało czasu.

– Jak dostaniemy się do środka? – zapytała Erin. – Wszystkie okna na parterze są zakratowane.

Rhun wskazał wyżej.

– Spróbuję się tam wspiąć, sforsuję okno na górze, a potem zejdem na dół i wpuszczę was głównymi drzwiami.

– A alarmy? – zwróciła uwagę Sophia.

Christian pokręcił głową.

– Budynek ma setki lat, prawdopodobnie nie został zmodernizowany. W najlepszym razie podłączyli alarm do okien na pierwszym piętrze, ufając, że kraty na parterze zabezpieczą dół. – Wskazał dłonią.

– Wątpię, by te małe okienka na drugim piętrze chronił alarm.

Rhun skinął głową i rozejrzał się szybko, by ocenić sytuację.

Szczęśliwym trafem deszcz wypłoszył z placu większość turystów.

Ksiądz poczekał do chwili, gdy uliczką nie jechał żaden samochód, a następnie podbiegł do rynny biegnącej po zacienionym rogu elewacji.

Oplótł palcami rurę i błyskawicznie wspiął się po niej na drugie piętro. Uchwyciwszy się kapitelu ozdobnej kolumny korynckiej, wysunął nogę w prawo i niczym jaszczurka prześlizgnął się po wilgotnej elewacji do najbliższego okna.

Zaczekał, aż znowu zagrzmie, i stłukł łokciem najniższą szybę.

Szkoło sypnęło się na podłogę w środku. Rhun czekał, nasłuchując, czy ktoś krzyczy. W domu zalegała cisza.

Mimo to sangwinista postępował ostrożnie. Wsunął dłoń obok ułomków szyby, otworzył zasuwę i powoli pchnął okno. Z wnętrza dochodziła woń pleśni i betonu, lecz było coś jeszcze, co sprawiło, że ksiądz poczuł dreszcze. Znieruchomiał, nasłuchując, lecz nie rozległ się dźwięk alarmu, więc wsunął się do środka.

Jeszcze nim jego stopy spadły na podłogę, opuściły go wszystkie siły. Lądując, zgiął się wpół. W jednej chwili

przypomniął sobie słowa Erin o tym, że dom zbudowano na przeklętej ziemi.

Niektóre legendy, jak się okazuje, są prawdziwe.

Rhun chwycił krzyż, żeby się lepiej skupić. Powietrze w budynku było lodowato zimne i tak naładowane złą energią, że aż trzaskało.

Rozejrzał się w poszukiwaniu zagrożeń, lecz niczego nie dostrzegł.

Blask latarni ulicznych wpadał do pustej izby z wysokim białym sufitem i gładko otynkowanymi ścianami.

Sangwinista zmówił modlitwę ochronną, a potem ruszył na dół, by wpuścić pozostałych. Zignorował silniejszy impuls, który nakazywał natychmiastową ucieczkę.

18.19

Kiedy otworzył wysokie drzwi z kutego żelaza, Elżbieta wkroczyła pierwsza, wysuwając się przed towarzyszy, którzy kryli się pod łukiem wejścia. Od razu wyczuła nieczystą moc przepelniającą wnętrze domu. Przyciągała ją ona jak światło ćmę, lecz nie spaliła jej, gdy znalazła się w środku. Wprost przeciwnie: Elżbieta poczuła napływ wigoru, gdy zew zła poruszył ciemną energię w jej krwi.

Rhun się zachwiał i musiał się złapać klamki, by utrzymać równowagę.

To miejsce dotknięte złem bardzo go osłabia, pomyślała.

Zauważyła, że Christian i Sophia odczuli po wejściu to samo.

Jakby spadł im na barki wielki ciężar.

Dlaczego więc nie działa na mnie?

Rozejrzała się, nie wiedząc, czy przyczyną jest to, że dopiero niedawno skosztowała konsekrowanego wina, czy też coś innego: sedno jej natury.

By nie dać nic po sobie poznać, oparła się o ścianę, jak gdyby ją także poraziła nieczystość przesycająca domostwo.

Rhun podszedł do niej i podsunął jej ramię.

– To ziemia przeklęta. Atakuje naszą siłę, bo jest ona zrodzona z krwi Chrystusa.

Elżbieta skinęła głową.

– Tak, to straszne...

Jordan, przechodząc obok, zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

Jak gdyby przejrzał jej grę.

– Wobec tego czym rychlej wykonajmy zadanie – odezwała się napiętym głosem Sophia.

– Gdzie zaczniemy szukać? – spytała Erin, zerkając na Elżbietę; podejrzewała, że hrabina była już kiedyś w tym domu. – Masz jakiś pomysł?

Jordan zapalił latarkę; światło padło na żyrandol wykuty z żelaza i otynkowane białe ściany. Stali w rozległym przedsionku prowadzącym do wielkiej komnaty, dalej znajdowały się kręcone schody.

Elżbieta puściła rękę Rhuna i ruszyła przed siebie.

– Przeklęty anioł Kelly'ego, Belmagel, nikomu innemu się nie ukazywał – oznajmiła, spoglądając na towarzyszy. – Naturalnie dlatego, że był niedorzecznym wymysłem. Szarlatan Kelly czerpał korzyści finansowe, wyłudzając pieniądze od lekkomyślnych ludzi.

Wiem na pewno tylko tyle, że Belmagel ukazywał mu się w pomieszczeniu na górze. Jeżeli Rudolf zostawił mi wiadomość, to może tam by należało zacząć poszukiwania.

Erin szła u boku Rhuna, jakby chciała go ochronić; na jej twarzy malowało się zatroskanie.

– Czy ta nieczysta siła, którą czujesz, emanuje z jakiegoś konkretnego miejsca, czy zewsząd? – spytała.

– Mocniej odczuwałem ją na piętrze – przyznał sangwinista.

– Było jeszcze gorzej niż tutaj? – wydusił z siebie Christian, który miał bardzo przygnębioną minę.

Rhun potwierdził skinieniem głowy.

Elżbieta także zaczęła ją odczuwać, gdy wspinała się szerokimi ozdobnymi schodami z drewna. Ta siła była jak wiatr wiejący ku dołowi.

Napierała na sangwinistów, a Elżbieta musiała się powstrzymać, by nie popędzić jej na spotkanie z rozpostartymi ramionami.

– Musimy podążać za tym nieczystym tropem – powiedziała Erin.

– To, co stanowi przekleństwo tego domu, może mieć istotne znaczenie dla naszej misji.

– Albo może nas wpakować w tarapaty – zauważył Jordan.

Elżbieta kroczyła na czele, reszta szła za nią. Pięła się pomału, udając, że jest osłabiona, i trzymając się wygiętej poręczy, tak jakby się po niej podciągała. Bardzo się starała dostosować do tempa marszu sangwinistów. Z każdym jednak krokiem odczuwała ciemną energię, która przepływała do niej z dębowych desek pod stopami.

Zniecierpliwiona, znalazła rozrywkę w oglądaniu mijanych ścian.

Miały głęboką ochrową barwę i zdobiły je renesansowe malowidła.

Na pierwszy rzut oka wyglądały jak typowe obrazy dworskie, lecz bliższe spojrzenie pozwalało dostrzec demony przebrane w stroje szlachciców i damy o nienawistnym wzroku. Jeden z demonów trzymał na kolanach niewinne dziecko, inny zajadał głowę jednorozca.

Wreszcie dotarli na najwyższe piętro, gdzie zło aż świszczało i trzeszczało w powietrzu. Elżbieta pragnęła odrzucić głowę i sycić się nim. Nie zrobiła tego jednak, tylko położyła dłoń na srebrnym krzyżu.

Jej twarz nic nie wyrażała.

– Tędy – powiedziała. – Jesteśmy parę kroków od laboratorium Kelly'ego. Twierdził, że właśnie tam wzywał Belmagela.

Znaleźli się przed podwójnymi drzwiami prowadzącymi do okrągłej komnaty z podłogą pokrytą gołymi deskami. Przy kolistej ścianie stał poplamiony drewniany stół.

– Wydaje mi się, że cuchnie tu siarką – rzekł Rhun, który stanął niepewnie w progu i oparł się o futrynę.

– Alchemicy często wykorzystywali roztwór siarki – wyjaśniła Elżbieta, wchodząc do izby z Erin i Jordanem. – To, co robił tutaj Kelly, przesiąkło bodaj do samych trzewi tego budynku.

Wy tłumaczenie było sensowne, lecz nawet ona wątpiła w jego trafność.

To zła siła przenika ten dom, nic innego.

Przyszło jej na myśl, że mogła popełnić błąd w ocenie Kelly'ego.

Może ten jegomość naprawdę zdołał ściągnąć w to miejsce ciemną energię.

Jordan oglądał biurko i otwierał szuflady, Erin tymczasem przeszła wzdłuż ściany. Zauważyła trzy freski namalowane na gładkim tynku i przyjrzała się umieszczonym pod nimi łacińskim inskrypcjom.

Skończywszy, wróciła na środek izby i wskazała ręką malowidła.

– To są symbole alchemiczne podobne do tych, które widzieliśmy w pracowni mistrza Dee. – Podeszła do jednego z nich, okręgu otaczającego faliste niebieskie linie, i odczytała podpis.

– *Aqua*. Woda.

Zaintrygowana Elżbieta zbliżyła się do drugiego fresku, kręgu wypełnionego zielonymi plamami podobnymi do listowia.

– Ten napis brzmi *Arbor*. Po łacinie znaczy to drzewo lub ogród.

Jordan podszedł do trzeciego malowidła, najbliższego biurka. Tu krąg wypełniały spływające purpurowe linie.

– *Sanguis*. — Spojrzał posępnie na towarzyszy. – Krew.

Erin wyjęła z plecaka aparat fotograficzny i zrobiła zdjęcia wszystkich fresków.

– W pracowni Johna Dee znajdowały się cztery symbole przedstawiające Ziemię, Wiatr, Powietrze i Ogień – powiedziała. – Te są inne, a poza tym brakuje czwartego.

Elżbieta rozejrzała się uważnie. Jedyłą oprócz fresków ozdobą ścian było skomplikowane malowidło przypominające graffiti. Podeszła i zaczęła je dokładnie oglądać; chciała sprawdzić, czy wśród gmatwaniny linii ukryty jest czwarty symbol.

Przedstawiało zieloną dolinę otoczoną trzema szczytami górskimi z czapami śniegu. Doliną biegła rzeka wpadająca do ciemnego jeziora. W górnej części wisiało dziwnie czerwone słońce. Pod spodem napisano dwa czeskie słowa: *jarní rovnodennost*.

Przesunęła nad nimi palcem i przetłumaczyła: – Wiosenna równonoc.

– Co wystaje z jeziora tam, pośrodku? – chciała wiedzieć Erin.

Elżbieta przyjrzała się bliżej. Z ciemnej tafli wody ku czerwonej tarczy słońca wystrzeliwały kończyny ciał i demoniczne wizerunki.

– Wygląda jak piekło, które ma się lada chwila rozpętać – orzekł Jordan, spoglądając znacząco na Erin.

Wyprostowała się, jej twarz zdradzała niepokój.

– Czy to tam uwolni się Lucyfer? W dolinie? – Dotknęła ręką czerwonego słońca. – Znajduje się w najwyższym punkcie. W dniu wiosennego zrównania dnia z nocą. – Popatrzyła na pozostałych. – Czyżby to było ostrzeżenie? Wskazówka co do ostatecznego terminu, przed którym musimy zdążyć?

– Kiedy przypada równonoc? – zapytał Jordan.

Odpowiedział mu Christian, który stał po przeciwnej stronie komnaty. Nawet wypowiedzenie paru słów sprawiło mu ogromną trudność.

– Dwudziestego marca. Pojutrze.

– No to niewiele mamy czasu. – Jordan spojrział na graffiti, marszcząc czoło. – Tym bardziej że nie wiemy, gdzie to jezioro jest. Jeśli w ogóle istnieje.

Archeolożka spojrziała ponownie na trzy kolorowe kręgi, jakby tam spodziewała się znaleźć odpowiedź. Elżbieta wcale tego nie wykluczała, bo nie mogła zaprzeczyć, że jej inteligencja jest ostra jak brzytwa.

– Dlaczego są tylko trzy symbole? – spytała cicho Erin.

– Symbol alchemii ma kształt trójkąta – odrzekła Elżbieta. – Może to jest powód.

Erin obracała się powoli, jednocześnie kreśląc ręką niewidzialny trójkąt łączący trzy freski.

– W laboratorium mistrza Dee cztery symbole narysowane były tak, by kierować energią do kandelabru z rogatymi maskami, który wisiał pośrodku pomieszczenia. Tutaj także musiał być centralny punkt.

Hrabina potwierdziła skinieniem głowy.

– Jeśli te trzy symbole tworzą trójkąt alchemiczny, powinniśmy szukać czegoś, co leży w centrum.

Krokami wytyczyli niewidzialne linie między rysunkami. Erin znalazła się pośrodku.

– Podłoga jest drewniana – zauważyła. – Może jest w niej skrytka.

Tak jak w pracowni Johna Dee.

Christian dobył miecza.

– To są stare deski. Chyba uda mi się je podważyć.

Erin stanęła obok niego, nerwowym ruchem krzyżując ręce na piersi.

– Uważaj, żeby niczego nie zniszczyć...

Z parteru dobiegł łoskot pękającego żelaza i szkła, donośny niczym grzmot.

Wszyscy zamarli w bezruchu.

Elżbieta usłyszała tupot licznych stóp oraz towarzyszące im syki i warknięcia. Zerknęła przez drzwi w stronę okna. Świat pochłonęła już ciemność, rozpraszała go tylko poświata ulicznych latarni. Huknął grom, krecha błyskawicy przecięła brzuchy czarnych chmur.

Słońce zaszło, uderzyła nawałnica.

Wtem rozległ się jeszcze jeden odgłos, który bez trudu usłyszeli nawet Erin i Jordan.

Było to zawodzące wycie nabrzmiałe furją i żądzą krwi. Zawtórowały mu odgłosy drugiej, a potem trzeciej bestii.

Tym razem *strigoi* nie przybywali sami.

Jordan rozpoznał ponurą nutę płynącą z gardzieli stwora, którego lękali się wszyscy sangwiniści.

– No to pięknie. Ściągnęli watahę wilkozorów.

18.23

Legion stał na smaganej deszczem ulicy z dłońmi wzniesionymi ku budynkowi, jakby grzał je przed ogniskiem. Jednakże to nie ciepłem rozgrzewał je w tę zimną noc.

Od budynku płynęła fala złej energii, biła z zatrutych trzewi domostwa. Chciał ją wchłonąć, a wraz z nią wszystkie dusze znajdujące się wewnątrz.

Patrzył, jak jego oddział w sile kilkunastu znika w gmachu. Był połączony ze swoimi wysłannikami, czuł, jak zła siła napędza ich kończyny. Nabierały mocy z każdym krokiem i susem.

Przed zachodem słońca rozstawił na placu obserwatorów u wylotu ciemnego tunelu. Oczami niewolników widział, jak jego zwierzyna wydostaje się na dzienne światło. Rejterowali przed pożarem roznieconym przez *strigoi*, a zostawiono im tylko jedną drogę ucieczki.

Ona zaś wiodła do niego.

Dzięki wielu parom oczu skrytym w cieniach i mrocznych izbach śledził ofiary, które zmierzały ze starego placu do tego miejsca, do wielkiego budynku przesiąkniętego złem, w którym tkwiły teraz jak w pułapce.

Od drgającego płomyka, który wciąż się w nim palił – od Leopolda – Legion wiedział, że sangwiniści będą osłabieni, nawet Rycerz, którego zamierzał dziś naznaczyć i spętać swoją wolą. By ostatecznie zniweczyć przepowiednię, zgładzi Wojownika i Niewiastę, ich krew stanie się ofiarą, która wsiąknie w nieczystą ziemię.

Uniósł twarz ku szalejącej burzy.

Słońce już was teraz nie ochroni.

W drzwiach gmachu buchnęło ogniste światło. Patrzył mnogimi oczami, przechodząc z jednych do drugich, w żadnych

długo nie zabawiając. Był teraz jednym i wieloma, widział wszystko.

...sprzęty połupane na palne szczapy...

...wszędzie rozlany łatwopalny olej...

...płomienie się rozprzestrzeniają, ogarniają niższe piętra...

Chciał zapędzić zwierzynę pod dach i tam, wśród ognia i dymu, zawładnąć Rycerzem. Tym razem nie będzie żadnej drogi ucieczki.

W tym celu sięgnął swoją wolą do jednego z naznaczonych, bliższego jego czarnemu sercu niż inni niewolnicy, przewodnikowi stada wilków. Umieścił w nim największą część swej świadomości, rozkoszował się jego ciemną żądzą i potęgą mocarnych kończyn.

Zawył olbrzymimi szczękami, wykrzyczał w noc całą zaciekłość.

Jego rozkaz wniknął głęboko w krew wilka.

Bierz!

18 marca, 18.27

Praga, Czechy

– Prędeż – ponaglała Erin, wyczuwając dym dochodzący z niższych kondygnacji. Uklękła na podłodze z Jordanem i Elżbietą, mniej więcej pośrodku między trzeba symbolami alchemicznymi: *aqua*, *arbor* i *sanguis*.

Rhun i Christian zniknęli na schodach, jeszcze zanim umilkło wycie wilkozorów. Sophia, z dwoma mieczami w dłoniach, trzymała wartę przy drzwiach.

Archeolożka miała wykonać pewne zadanie.

Dowiedzieć się, co zostało ukryte pod deskami.

Elżbieta wsunęła sztylet między nie i zręcznie uniosła jedną, wkładając pod nią nadgarstek. Następnie palcami odgięła deski na boki. Manewrowała szybko i miała niewiarygodną siłę, mimo że nadwątlało ją nieczyste wnętrze domu.

Erin zaświeciła do środka i zobaczyła tylko legary, kurz i szcurze bobki. Gdy uniosła latarkę, w mocnym snopie światła zamigotały unoszące się w powietrzu drobinki pyłu.

– Nic tu nie ma.

O czym zapomnieliśmy? – zastanawiała się Elżbieta; jej twarz wyrażała rozczarowanie.

Elżbieta wstała i popatrzyła na symbole, usiłując znaleźć rozwiązanie zagadki.

Hrabina spojrzała na Erin i nagle podskoczyła, doznawszy olśnienia.

Góra...

– Żyrandol w pracowni Johna Dee! – zawołała. – Tam były skierowane strumienie energii płynące z symboli. W stronę sufitu. To nie w podłodze powinniśmy szukać.

Jordan zerknął w górę, mrużąc oczy.

– Nic tam nie widzę – rzucił.

Erin także nic nie dostrzegała, mimo to przenikał ją dreszcz pewności.

– Przypomnijcie sobie dzieje Fausta – powiedziała. – Legendę, którą powiązano z tym miejscem. Czytamy w niej, że porwany przez diabła wyleciał przez sufit. A jeśli korzenie legendy pochodzą właśnie stąd?

Elżbieta uniosła głowę.

– Widzę nikły zarys kwadratu. Sama nigdy ich nie zauważyłam, ale powiadano, że Kelly ma tajne przejścia i schody rozmieszczone w swoich domach.

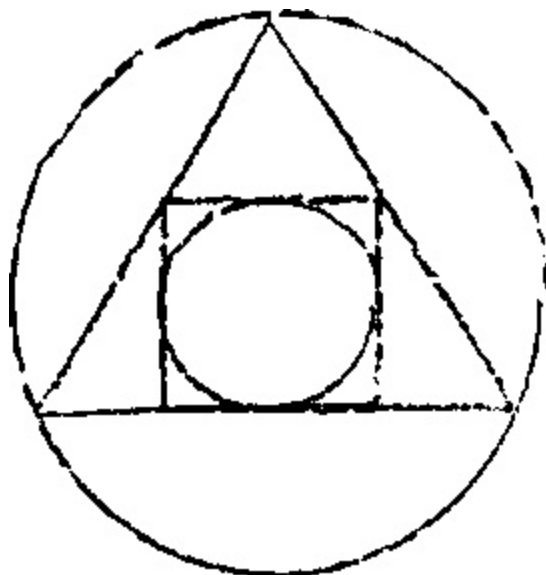
Czemu więc nie mogłoby ich być w suficie? – przemknęło przez głowę Erin.

Jordan nie wyglądał na przekonanego.

– Nawet jeśli jest tam strych, skąd możemy wiedzieć, że coś się tam znajduje?

– Owszem, jest – zapewniła Elżbieta. Uklękła na jedno kolano i zaczęła rysować w kurzu. – Całe to pomieszczenie aż krzyczy, że jest ważne. Okrągły pokój, trójkąt, a teraz kwadrat na suficie.

Nakreśliła układ kształtów, one zaś ułożyły się w symbol.



– To znak kamienia filozoficznego! – wykrztusiła Erin. Jej serce uderzyło szybciej, usiłowała wypatrzeć kwadrat. – Kamień filozoficzny miał zamieniać ołów w złoto, a także umożliwiać stworzenie eliksiru wiecznego życia. To najważniejszy element alchemii. Tam na górze musi coś być.

Jordan skoczył ku pozostawionemu przy ścianie stołowi.

– Pomóżcie mi!

Zanim Erin zdążyła zrobić krok, Elżbieta znalazła się obok Jordana i prawie samodzielnie przepchnęła mebel na środek pokoju.

Erin wdrapała się na niego i wyciągnęła rękę do sufitu, ale i tak była za niska. Jordan także spróbował, lecz jego palcom brakowało ponad pół metra, by dotknąć sufitu. Jej udało się jednak dostrzec zarys kwadratu.

Odwróciła się do Jordana.

– Będę potrzebowała, żebyś...

Przerwał jej szcęk stali o stal, który dobiegł z niższego piętra.

Wróg podłożył ogień na samym dole, odcinając tę drogę ucieczki, a potem ruszył w górę i natknął się na Rhuna oraz Christiana, którzy pilnowali schodów.

Jak długo zdołają się utrzymać? – zastanawiała się.

Odpowiedź na to pytanie padła natychmiast: był nią pełen bólu krzyk.

– Rhun... – szepnęła Elżbieta, która odwróciła się, rozpoznawszy głos.

– Idź – nakazała Erin, lecz hrabina już przemierzyła pomieszczenie i śmignęła obok Sophii, pędząc na pomoc Rhunowi.

Hinduska wskazała ręką w ich stronę.

– Dowiedźcie się, co tam jest! – rozkazała, po czym wyszła na korytarz i zatrzasnęła za sobą drzwi. Erin i Jordan zostali sami.

– Podsadź mnie – wykrztusiła bez tchu Erin. Skupiła się na swoim zadaniu, by nie dopuszczać do siebie paralizującego strachu.

Jordan dźwignął ją i stanęła mu na ramionach. Chwiejąc się nieco, pchnęła środkową część kwadratu, lecz sufit nie ustąpił.

Przez drzwi dobiegały wrzaski i warczenie.

– Szybciej! – krzyknęła stojąca za nimi Sophia.

– Trzymam cię – rzucił Jordan. – A ty zajmij się tamtym.

Oby mi się udało, myślała Erin.

Wzięła oddech, odepchnęła się ręką od głowy Jordan, wparła się ramieniem w sufit i z całej siły naciskała. Z tynku posypał się kurz i pył, gdy jeden róg kwadratu puścił i uniosł się o dwa-trzy centymetry.

A więc to jest kłapa!

Erin ustawiła się bliżej krawędzi, która ustąpiła, i pchnęła raz jeszcze. Kłapa uniosła się wyżej, umożliwiając jej wsunięcie w szparę latarki.

– Udało się...

Chwyciła się krawędzi otworu i wepchnęła się przez wąską szczelinę, uważając, by nie potrącić latarki. Znalazszy się na górze, odwróciła się i nogami przytrzymała kłapę.

– Nie wiem, jak długo dam radę! – zawołała.

– Mogę podskoczyć.

I tak zrobił. Chwycił palcami krawędź otworu, podciągnął się i wdrapał obok Erin. Przytrzymał kłapę mocnymi nogami, a ona tymczasem zauważyła leżącą w pobliżu solidną żelazną sztabę i unieruchomiła nią kłapę.

Dyszząc z wysiłku, wzięła latarkę i omiotła strych jej światłem. Wszystko pokrywał kurz. Z belek zwisały przeróżne liny i wyciągi.

Erin oddaliła się nieco od otworu, popychając dalej zwój liny i wzbijając istną zawieruchę drobin kurzu.

– To musi być sekretny mechanizm, za pomocą którego Kelly otwierał drzwi i poruszał schodami.

– Szkoda, że nic nie działa – powiedział Jordan. – Może byśmy go wykorzystali do uciezki.

Na wzmiankę o grożącym im niebezpieczeństwie Erin stuknęła niechcący w zębaty metalowy przyrząd wiszący na haku. Przedmiot spadł na podłogę z hukiem, który w zamkniętej przestrzeni zabrzmiał jak wybuch.

Erin posuwała się dalej. Pomieszczenie miało szerokość połowy znajdującej się pod nim izby. Nie trwało długo, nim snop światła z latarki padł na wysoki obiekt stojący pionowo w rogu, pokryty warstwą wielowiekowego brudu.

Jego kształt nie pozostawiał wątpliwości.

– Klosz – domyśliła się Erin.

Patrzyła na wielki instrument ze sterczącą szklaną rurką. Od razu przypomniała jej się relacja Elżbiety o setkach *strigoi*, którzy ginęli w jego wnętrzu, a dym ich dusz przepływał do rurki. Dzieje tego urządzenia były straszliwe i na chwilę ogarnął ją lęk przed podejściem do niego. Odepchnęła jednak przesady i zbliżyła się.

– Rudolf musiał je tutaj ukryć po śmierci Johna Dee – doszła do wniosku.

– Czy na tym polega wiadomość, którą cesarz zostawił Elżbiecie?

Chciał jej wskazać drogę do tego koszmarnego ustrojstwa? Po co?

Żeby mogła podjąć badania rozpoczęte przez Dee?

– Taką mam nadzieję – odparła Erin.

Jordan posłał jej twarde spojrzenie.

– Niby dlaczego?

Skrawkiem rękawa starła ze szkła warstwę brudu i kurzu nagromadzoną przez stulecia. Oczyszcivszy spory kawałek powierzchni, wejrzała do wnętrza przez grubą zielonkawą ściankę.

– Oto powód...

Jordan nachylił się obok niej.

– W środku leży cały stos papierów.

– Jeśli Rudolf przeniósł tutaj klosz Johna Dee – Erin skinieniem głowy wskazała arkusze – to z pewnością umieścił w nim także zapiski starego alchemika.

– Jako instrukcję obsługi. To ma sens – zgodził się Jordan, przesuując palcami po powierzchni klosza; szukał sposobu, by dostać się do środka. – Spójrz! Tam są drzwiczki. Chyba uda mi się je otworzyć.

Szarpnął za uchwyt i ten razem z drzwiczkami został mu w ręce.

Erin wsunęła dłoń do środka, chwyciła arkusze i wydobyła je z klosza.

– Większość jest zapisana po enochiańsku – oznajmiła, wsuwając papiery do plecaka, obok teczki, w której trzymała Ewangelię Krwi. – Miejmy nadzieję, że Elżbieta zdoła przetłumaczyć tekst.

– No to wynośmy się stąd.

Zbliżyli się do kłapy i nagle rozległ się trzask pękającego drewna.

Spojrzawszy w dół, zobaczyli drzwi sunące po podłodze oraz Sophię. Ślizgając się na nogach, sangwinistka z uniesionymi mieczami zręcznie obróciła się twarzą do wejścia.

– Zostańcie tam! – krzyknęła, nie unosząc głowy.

Po chwili zrozumieli, dlaczego kazała im to zrobić.

Z buchającego dymu wynurzyła się ogromna bestia ze schylonym łbem i obnażonymi kłami. Na jej szyi i grzbiecie drżała grzywa czarnej szczeciny.

Wilkozor.

Jordan zaklął i kopnął żelazną sztabę podtrzymującą klapę.

Kłapa opadła z trzaskiem.
Byli uwięzieni na poddaszu.

18.37

Unieruchomiony na szerokim podeście kondygnacji schodów Rhun utrzymywał posterunek, mimo że jego prawa ręka zwisała bezwładnie u boku. Nawet nie zobaczył ostrza, które zadało mu ranę.

Blokady i kontrataki sangwinisty wydawały się powolne i ślamazarne.

Oslabiony, czuł się jak dziecko bawiące się w wojnę z żołnierzami, których siłę spotęgowała klątwa.

Oni zaś poczynali sobie z nim jak z zabawką.

Już dawno mogli go zabić, ale się wstrzymywali.

Dlaczego? Powodowała nimi podstępna złośliwość, czy coś innego?

Trzej *strigoi* osaczyli go w trójkącie. Wszyscy byli od niego rośniejsi i bardziej muskularni, ich ciała pokrywały blizny i tatuaże.

Każdy trzymał w ręce ciężki zakrzywiony miecz. Nie posługiwali się nimi zbyt zręcznie, ale byli szybsi i silniejsi od Rhuna. To jeden, to drugi robił nagły wypad i ciął go po rękach, klatce piersiowej i twarzy.

Wielokrotnie mogli go uśmiercić, lecz woleli się nim bawić jak przerażoną myszą.

Ale ja nie jestem myszą, pomyślał.

Przyjmował ciosy, obserwował manewry przeciwników i wypatrywał ich słabych stron.

Schodami wznosiły się z dołu kłęby dymu. Gdzieś tam walczył Christian, lecz Rhun stracił go z oczu, usiłując ścigać wilkozora, który przed chwilą przemknął obok niego. Usłyszał łoskot drzwi druzgotanych przez potwora, a także okrzyk Sophii. Nie zdołał uwolnić się od trzech napastników, by ruszyć jej z odsieczą.

Sam tego nie dokonam.

Ostry krzyk i brzęk stali, które dobiegły jego uszu, świadczyły o tym, że Christian wciąż żyje. Ale co z Elżbietą? Jakiś czas temu

przyszła mu na ratunek, gdy mknął schodami w dół niczym czarny sokół. Zgładziła dwóch wrogów – między innymi *strigoj*, który pozbawił go władzy w ramieniu – po czym wraz z dwoma przeciwnikami znikła w tumanie dymu.

Czy nadal żyje?

Myśl ta rozproszyła Rhuna, wykonał zbyt wolny ruch i najroślejszy z przeciwników zadał kolejny cios. Ostrze miecza dosięgło żeber sangwinisty. Drugi atak nastąpił od strony unieruchomionej ręki.

Rhun nie miał możliwości, by...

Raptem jeden z wrogów zniknął wciągnięty w słup dymu. Dał się słyszeć gulgoczący wrzask. Dwaj pozostali *strigoj* zwarli szyk i w polu widzenia ukazała się drobna czarna postać krocząca schodami w górę.

Elżbieta.

Ociekający krwią pałasz zdawał się karykaturalnie wielki w jej szczupłych dłoniach, ona jednak dzierżyła go, jak gdyby ciężar nic dla niej nie znaczył.

Największy *strigoj* rzucił się w jej kierunku, jego miecz siekł powietrze tak szybko, że oczy Rhuna nie nadążyły za ruchem. Elżbieta zwinęła się w ostatniej sekundzie; robiąc piruet na palcach, wykonała mieczem okrągły zamach i równiutko rozplatała mu gardło.

Pozbawiony głowy tułów stoczył się po schodach obok niej.

Rhun wykorzystał chwilę, gdy jej śmiercionośny płas odwrócił uwagę przeciwników, skoczył, wbił karambit w kark ostatniego *strigoj* i zręcznym skrętem nadgarstka przeciął rdzeń kręgowy. Ciało osunęło się bezwładnie, a on kopnięciem zrzucił je przez poręcz.

– Zbyt wielu – wydyszała Elżbieta, stając obok Rhuna. Twarz miała zbryzganą krwią, ręce w niej unurzane. – Ledwo udało mi się tu dojść.

Podziękował, dotykając jej wolnej ręki. Ścisnęła jego palce.

– Razem zdołalibyśmy się przebić do głównych drzwi – powiedziała.

Ksiądz osunął się na ścianę. Z jego stu ran sączyła się krew. Gdyby był człowiekiem, śmierć zabrałaby go tuzin razy. Żył, lecz czuł się przeraźliwie osłabiony. Wskazał ręką ku górze.

– Erin i Jordan. Nie możemy ich zostawić.

Wycie wilkozora przypomniało im o zagrożeniu.

Hrabina otoczyła Rhuna ramieniem, podtrzymując go.

– Ledwie stoisz na nogach.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Ratowanie innych musiało chwilę poczekać. Wyjął zza pasa flaszkę z winem i opróżnił ją jednym długim haustem. Elżbieta stała obok niego niczym wartownik, cierpliwa i milcząca w chmurze dymu. Przypomnił sobie dzień z odległej przeszłości, gdy szli razem polami w obłoku późnowiosennej mgły.

Ona była istotą ludzką, a on sangwinistą, który nie przeżył jeszcze swojego upadku.

Zamknął oczy i czekał na karę.

Wrócił do czasu, gdy popełnił najgorszy z grzechów. Zalały go wspomnienia, lecz Rhun nie miał teraz czasu na pokutę i musiał przewyciężyć te myśli. Wiedział, że następnym razem ból przypomni mu się z jeszcze większą mocą.

Strzępy wspomnień szarpały go od środka.

...zapach rumianku w dawno zrujnowanym zamku Elżbiety...

...płomień odbijający się w srebrzystych oczach...

...dotyk jej zarumienionej skóry, kiedy brał ją w posiadanie...

...jej ciało konające w jego ramionach...

...głupi, straszliwy wybór, jakiego dokonał...

Doszedł do siebie, ale na języku czuł nadal smak jej krwi: mocny, słony i żywy. Ścisnął dłonią pectora, modląc się w bólu, aż smak znikł.

Potem uwolnił się od ramienia Elżbiety i wyprostował, czując w żyłach powracającą siłę. Spojrzenie jej srebrzystych oczu spotkało się z jego spojrzeniem i było tak, jakby zajrzała w głąb jego istoty i zobaczyła tamtą noc namiętności i bólu, które dzielili. Nachylił się do niej i jego wargi dotknęły jej ust.

Odskoczyli od siebie, gdy kawał sklepienia runął z góry po schodach. Na Rhuna spadł deszcz rozpalonych szczap i ogarnął go płomień, zajęły się od niego habit i włosy.

Elżbieta ugasiła ogień rękami. Jej oczy przez chwilę błyszczały gniewem, a potem pojawił się wyraz rezygnacji.

– Nie uda nam się wrócić na górę... Na pewno nie schodami.

Pomożemy najlepiej twoim przyjaciołom, jeśli wyjdziemy teraz z budynku, a potem dostaniemy się z zewnątrz na dach.

Rhun przyznał jej rację. Musi dotrzeć do Erin, Jordana i Sophii, zanim ten przeklęty dom runie w gruzy, zamieniając się dla nich w ognistą mogiłę.

Wskazał ręką w dół na wir buchającego ognia i dymu, modląc się, by jeszcze nie było za późno.

– Ruszajmy.

18 marca, 19.02

Praga, Czechy

Legion kroczył po płaskim dachu złowrogiej budowli, na niebie tymczasem trzaskały błyskawice. Wnętrze domu trawił ogień, z okien strzelały płomienie, w wilgotne od deszczu nocne powietrze bił dym.

Zło przenikające budynek przepływało do kości cielesnego wehikułu Legiona, przysparzając mu sił i determinacji.

Śledził przez dach swoje ofiary, skupił uwagę na dwóch: usłyszał bicie ich serc, były to bowiem jedyne istoty ludzkie przebywające w płonącym budynku.

Wojownik i Niewiasta.

Zgodnie z planem Legiona wróg umknął przed wznieconym ogniem i szukając schronienia, wspinał się wyżej.

Do mnie.

Jeśli znajduje się tam dwoje ludzi, to i Rycerz jest niedaleko. Serce nieśmiertelnego nie biło, toteż Legion nie miał pewności gdzie sangwinista się znajduje. Zamierzał zapolować na tych dwoje i poczekać na Rycerza.

Nie polował sam.

Obok niego stąpały ciężkie łapy, rozpryskując kałuże deszczówki.

Wilk warczał przy każdym grzmocie, jakby rzucał wyzwanie niebiosom.

Legion łączył się ze zmysłami zwierza, patrzył jego ślepiami, nadstawiał czujniejsze od ludzkich uszy, czuł w powietrzu

zapach wyładowań. Rozkoszował się dzikością jego serca. Mimo że zepsuty czarną krwią, wilk przypominał mu o pięknie i majestacie ziemskiego ogrodu.

Wspólnie skierowali uwagę na bicie dwóch serc pod dachem.

Najpierw chciał uśmiercić Wojownika; wsłuchiwał się teraz w osobliwe bicie jego serca, podobne do dźwięku złotego dzwonu: jasne, czyste i przepełnione świętością. Pamiętał także o tym, że jego krew spaliła ciało jednego ze zniewolonych. Nie wolno pozwolić, by uszedł żywy.

Kamień, który niesie Wojownik, będzie mój.

Jednakże Niewiasta... Może się jeszcze przydać.

Leopold podsunął Legionowi jej imię: Erin. Wraz z imieniem poznał więcej szczegółów przepowiedni związanych z Uczoną Niewiastą. Łatwo było rozpoznać szacunek i podziw, które Leopold żywił dla jej bystrego umysłu. Kiedy stali się jednym, Leopold poznał także cel Legiona, którego elementem było zdobycie wszystkich trzech kamieni. Leopold uważał, że tylko ona jedna spośród ludzi ma umiejętności, które pozwolą odnaleźć pozostałe dwa. I choć Legion nie mógł zawładnąć Niewiastą i nagiąć jej do swojej woli, znajdzie inny sposób, by ją przekonać, skłonić do posłuszeństwa.

Dotarli wreszcie do miejsca na dachu dokładnie nad dwoma bijącymi sercami. Legion przesłał wilkowi swoje pragnienie. Potężne łapy jęły przebijać się przez gliniane dachówki, a później rozdzierać zielony metal pod nimi.

Kiedy pozostała jedynie cienka warstwa drewna, Legion dotknął boku wilka, wysyłając mu sygnał wdzięczności i uznania.

„Ta zwierzyna należy do mnie”, szepnął na głos.

Wilkozor, zawsze wierny, podporządkował się i opuścił pysk. Legion poczuł, że miłość do wielkiego zwierza wraca do niego echem.

Wiedział, że wilk będzie go strzegł, nie szczędząc własnego życia.

Mocarną stopę postawił na resztkę rozprutego kawałka dachu, przebił ją i spadł ciężko przez otwór.

Runął na podłogę i wylądował na nogach, nawet nie zginając ich w kolanach.

Wojownik stał na wprost niego z żelazną sztabą w dłoniach. Za jego plecami kuliła się Niewiasta, trzymając źródło światła. Żadne nie było zaskoczone, czekali w gotowości od chwili, gdy do ich uszu dobiegł odgłos łap wilka drących poszycie dachu. Legion z rozkoszą patrzył na przerażenie na ich twarzach, gdy po raz pierwszy ujrzeni jego mroczną chwałę.

Uśmiechnął się, szczerząc zęby – obnażając kły Leopolda.

Serca Wojownika zatrzepotało, gdy rozpoznał przybysza, i drgnęło z wątpliwością.

Lecz u obojga jedno wybijało się ponad wszystko.

Determinacja.

Widać ją było na ich obliczach.

Ani myśleli kapitulować.

Niech więc tak będzie.

Z triady liczył się naprawdę tylko jeden, Rycerz o nazwisku Korza, a jego tam nie było.

Wojownik pchnął Niewiastę dalej za siebie, za osłonę z własnego serca o złotym zabarwieniu, jakby wierzył, że swoim ciałem zdoła ją obronić przed Legionem. Światło, które trzymała w rękach, umknęło w bok, gdy się poruszyła. Jasna smuga padła na wysoki obiekt po lewej stronie, odbiła się od jego zasnutej brudem powierzchni, ukazując niewielką część, którą niedawno oczyszczono.

Szmaragdowy odcień szkła przykuł wzrok Legiona, rozpałił tkwiący w nim głęboko gniew.

Był to znienawidzony klosz.

Dym dusz sześciuset sześćdziesięciu sześciu, który nosił w sobie, zakotłował się, gdy rozpoznali piekielne urządzenie. Zwinęli się niczym czarna burzowa chmura, ich wspomnienia złączyły się w wir.

Świadomość Legiona rozszczepiła się między przeszłością a teraźniejszością, między jego własnym wspomnieniem a wspomnieniami wielu.

...pełźnie po gładkich ścianach zielonego diamentu, poszukując szczeliny...

...ponosi klęskę sześćset sześćdziesiąt sześć razy...

Zanim zdołał w pełni wyjść z szoku, Wojownik rzucił się na niego.

Niewiarygodnie silnymi dłońmi chwycił go za nadgarstki. Kiedy ciało obdarzone błogosławieństwem słońca dotknęło cienistej skóry, przeskoczył między nimi złocisty płomień i zapalił rękę Legiona aż do barku.

I ten wrzasnął po raz pierwszy od wieku wieków.

19.10

Erin nagłym ruchem zakryła uszy i wypuściła latarkę z dłoni. Porażona gromem tego dźwięku, upadła na kolana. W jej oczach stanęły łzy, walczyła ze swoim ciałem, by nie zemdleć.

Muszę pomóc Jordanowi...

Kilka kroków od niej sierżant zmagął się z monstrem o hebanowej twarzy. Rąbnął potężnie jego ciałem o ścianę, odbierając mu dech w piersi i dławiąc rozdzierające uszy wycie.

Siła uderzenia sprawiła, że z przebitego dachu posypały się dachówki i runęły na podłogę. Erin uniosła głowę i zobaczyła parę purpurowych ślepi spoglądających w dół. Wyzierało z nich zepsucie, któremu uległa wielka bestia.

Wilkozor.

Otwór był za wąski dla masywnego cielska, lecz wilk szarpnął łapami krawędzie, najwyraźniej zamierzając przyjść z pomocą swojemu zagrożonemu panu. Po przeciwnej stronie poddasza Jordan nadal zmagął się z podobnym do cienia napastnikiem.

Erin cofała się, aż jej plecy dotknęły śliskiej od brudu powierzchni szklanego klosza. Rękami szukała czegoś, co mogła wykorzystać do obrony, lecz znalazła tylko metalowy przyrząd, który wcześniej straciła z haka. Zamknęła na nim palce, choć pewnie na nic się jej nie przyda.

A jednak...

Wciąż opierając plecy o klosz, przesuwała się szybko, aż dosięgła palcami sterczącej z niego długiej szklanej rurki.

Kawałkiem metalu rąbnęła w jej podstawę u samej nasady. Rurka spadła na podłogę i roztrzaskała się.

Erin chwyciła najdłuższy i najgrubszy fragment. Z tą szklaną włócznią w dłoniach stanęła twarzą do wilka. Bestia niemal przedostała się przez otwór. Na widok wyzywającej postawy kobiety wilkozor wysunął łeb w jej stronę, warknął i kłapnął zębami, rozpryskując ślinę. Jego wielki grzbiet wciąż jednak tkwił unieruchomiony.

Na razie.

Erin chciała wyzyskać tę chwilę do maksimum. Odepchnęła się plecami od kłosa i skierowała się do miejsca, w którym Jordan walczył z przeciwnikiem. Wyglądało to, jakby toczył bój z własnym cieniem. Przetaczali się i miotali sobą po podłodze, poruszając się tak szybko, że stawali się prawie niewidzialni.

Ścisnęła w dłoniach swoją włócznię i bała się zadać nią cios, by przypadkowo nie dźgnąć Jordana.

Z czym on właściwie walczył?

Zobaczyła twarz wroga, kiedy ten spadł z góry na podłogę. Miał czarną skórę, ciemniejszą od węgla, zdawało się, że wchłania nikły blask jej latarki. Widziała taką postać w komputerze kardynała Bernarda. Zapis napaści *strigoj* na dyskotekę w Rzymie był jednak zbyt rozmyty, żeby można było wychwycić szczegóły.

Teraz było inaczej.

Rozpoznała rysy twarzy, mimo że kryła je czerń.

Brat Leopold.

Jordan uzyskał chwilową przewagę w walce z ową zagadkową personą i przyszpilił ją do podłoża. Znalazłszy się na górze, wypuścił z ręki nadgarstek czarnej dłoni i chwycił wroga za gardło.

Erin zauważyła, że uwolniony przegub zbladł i przybrał taką samą barwę jak skóra dłoni i palców Jordana, jakby cień umykał przed jego dotykiem. Potem czerń wróciła, napływając do pobladłego nadgarstka niczym nafta.

Wtem usłyszała westchnienie Jordana i spojrzała na twarz Leopolda.

Kiedy sierżant zacisnął dłonie na jego gardle, cień odbiegł z czarnej szyi niczym krew. Ciemność spłynęła z brody Leopolda, jego ust i nosa, odsłaniając rysy poblądłej twarzy.

Oblicze skurczyło się z bólu, wargi z mazołem wypowiadały słowa.

– Zabij mnie – wycharczał Leopold.

Jordan spojrzał nad jego ramieniem na Erin, nie wiedząc, co zrobić. Nie zwolnił jednak uścisku.

Erin podbiegła z nadzieją, że czegoś się dowie.

– Co się z tobą stało?

Niebieskoszare oczy patrzyły na nią z rozpaczą.

– Legion... demon... musisz mnie zabić... nie zdołam...

Głos zamarł i oleista ciemność napłynęła do oczu. Uwolniona ręka wystrzeliła, chwyciła Jordana za szyję i mocno ją skręciła.

Trzasnęły kości.

Nie...

Za plecami Erin rozległo się wściekłe warczenie. Wilkozor przepchnął swój ogromny korpus przez otwór i zbliżał się, by zadać śmierć.

19.14

Elżbieta pędziła po śliskim od deszczu dachu w ślad za Rhunem. I choć nieczysta moc napędzała jej kończyny, nie mogła za nim nadążyć. Mknął przed nią podobny do czarnego kruka, jego motorem nie było potępienie, lecz strach i miłość.

Zdołali utorować sobie drogę, zabrać ciężko rannego Christiana i wydostać się z budynku. Zabarykadowali drzwi od zewnątrz, zamykając w pułapce jak najwięcej *strigoi*. Christian stanął tam na straży, by osłaniać tyły.

Dotarwszy na dach – zaprowadziły ich tam odgłosy walki i bicia serc Erin i Jordana – dostrzegli wilkozora, który przez dachówki torował sobie drogę na poddasze.

Rhun pierwszy dobiegł do bestii i skoczył na nią z boku, odrzucając ją od otworu. Elżbieta nie zwolniła biegu

i przeskoczyła nad nimi.

W locie zamachnęła się mieczem i odcięła wilkowi jedno ucho, gdy ten uniósł łeb.

Ślizgając się, wylądowała na mokrych dachówkach i odwróciła się twarzą do warczącej wściekle bestii.

Książd przetoczył się i stanął na nogi, dobywając srebrnego karambitu. Jakby wyczuwając, kto z dwojga przeciwników jest słabszy, wilkozor opuścił łeb i ruszył ku niemu.

Hrabina zrobiła krok, by zwrócić na siebie jego uwagę, gdy spostrzegła ruch z lewej strony. Ze strug deszczu wyłoniła się ciemna postać, jak gdyby zstąpiła z chmur. Była w czarnym habicie podobnym do tego, którego resztki miała na sobie Elżbieta.

– Sophia...?! – zawołał Rhun. Mylił się jednak.

Trzasnął piorun i w krótkim błysku światła Elżbieta zobaczyła, że pod mokrymi włosami kryje się starsza twarz. Zakonnica trzymała szablę.

– Abigail? – zdziwiła się hrabina.

Co robi tutaj ta zgorzkniała sangwinistka?

Grom uderzył po raz drugi i zrobiło się jeszcze widniej. Na twarzy starej mniszki, na jej mokrym policzku, zauważyła coś, czego tam przedtem nie było: znak czarnej ręki.

Abigail rzuciła się pędem ku niej, poruszając się z nadnaturalną szybkością opętanej.

Elżbieta ledwo zdołała sparować pierwszy sztych nowej przeciwniczki. Zręczliwa stara zakonnica odwinęła się w bok z prędkością i gracją, która wzbudziła u hrabiny tyle samo strachu co podziwu.

Abigail uniosła ponownie oręż, jej oczy były czarne jak u trupa.

Rhun chciał przyjść z pomocą Elżbiecie, lecz wilkozor zwałił się na niego i potoczyli się po posadzce. Żółte kły zgrzytnęły tuż obok twarzy sangwinisty, błysnęło srebrne ostrze karambitu.

Stara zakonnica także skoczyła do ataku; święta natura sangwinistów już jej nie spowalniała. Zło dodawało jej więcej siły

niż Elżbiecie ciemna strona jej serca.

Hrabina zamarkowała cios w prawo, ale ostrze jej oręża skierowało się w drugą stronę i dosięgło lewego ramienia Abigail.

Zakonnica za nic miała ranę. Jej szabla śmigiała raz za razem. Elżbieta robiła co mogła, by parować padające jak grad cięcia i sztychy, lecz ciosy Abigail były szybkie i pewne.

Ostatni ugodził Elżbietę w udo i przebił ciało aż do kości.

Noga ugięła się pod nią.

Mniszka zbliżała się do niej bezlitośnie jak morze.

19.18

Erin usłyszała dochodzące z dachu odgłosy walki i wycie. Chwilę przedtem ciemny kształt odrzucił wilkozora, ratując jej życie. Była tylko jedna istota tak lekkomyślna i dzielna.

Rhun...

Jego czyn dodał jej otuchy. Zbliżyła się do Jordana i opętanego Leopolda. Sierżant nadal przygniatał monstrum do podłogi, lecz czarna ręka dławiła go za gardło. Twarz Jordana okryła się purpurą, oczy były wytrzeszczone.

Zauważył nadchodzącą Erin i resztką sił przetoczył się na bok.

Pociągnął ciało Leopolda i odwrócił je tak, by odsłonić jego plecy.

Z jakiegoś powodu się zawahała. Leopold był kiedyś jej przyjacielem, uratował jej życie, i to nie raz. Mimo to w końcu skoczyła, unosząc swój jedyny oręż, włócznię z pękniętego szkła.

Całą siłą obu rąk wbiła ją w plecy Leopolda, mierząc w martwe serce.

Z jego gardła wydarło się bolesne stęknięcie. Ręka dławiąca gardło Jordana rozluźniła chwyt. Ciało opadło na bok, jakby ktoś przeciął strunę, która je trzymała. Palce drgnęły i znieruchomiały.

Sierżant, choć uwolniony, dalej leżał na plecach z odwróconą twarzą. Erin opadła obok niego na kolana. Szyję miał posiniaczoną. Z karku sterczała kość. Miał pęknięty kręgosłup.

– Jordan? – odezwała się cicho; wysunęła ku niemu ręce, lecz bała się go poruszyć.

Nie odpowiedział, ale odezwał się inny słaby głos.

– Erin...

Odwróciła głowę i zobaczyła, że Leopold na nią patrzy. Cień odpłynął z jego twarzy wraz z czarną krwią, która ciekła z przebitej klatki piersiowej. Wiedziała, że sangwiniści potrafią panować nad krwawieniem, że mogą je powstrzymać.

On jednak tego nie zrobił, najwyraźniej pragnął śmierci.

Wezbrał w niej żal. Wiedziała, że w byłym zakonniku wciąż żyje dobro, choć zbłądził.

– Ocaliłeś mi kiedyś życie... – wyszeptała. Mówiła o tym, co stało się w ciemnych lochach pod Bazyliką Świętego Piotra.

Zimna ręka dotknęła jej nadgarstka.

– Ocaliłeś mnie. – Leopold skinął lekko głową, by ją pokrzepić.

Wstrząsnął nią szloch.

Starał się ją pocieszyć, choć sam umierał.

Jego głos był słaby jak oddech.

– Legion...

Nachyliła się do niego, słysząc nagłący ton.

– Trzy kamienie... Legion ich szuka...

– O czym ty mówisz? Jakie kamienie?

Wydawało się, że jej nie słyszy.

– Ogród... – mówił jakby z oddali – splugawiony... zalany krwią, skąpany w wodzie... tam Lucyfer...

Niebieskie oczy przesłoniła mgła, wargi zamilkły na wieki.

Erin chciała nim potrząsnąć, dowiedzieć się więcej, ale tylko dotknęła policzka Leopolda.

– Zegnaj, przyjacielu.

19.20

Elżbieta leżała na dachu i przeklinała zranioną nogę.

Abigail, która stała nad nią, pachniała mokrą bawełną. Blask pioruna odbił się od ostrza jej szabli. Martwymi oczami spoglądała na Elżbietę. Nie patrzyły zimno, przypominały oczy obojętnego drapieżnika.

Po drugiej stronie dachu Rhun toczył bój z wilkozorem, krwawili obaj, ale nadal walczyli.

Bezbronna Elżbieta przygotowała się na atak. Poczowała żal. Jej śmierć przypieczętuje los Tommy'ego. Nie zdołała ocalić swoich dzieci i nie ocali także tego dziecka.

Nagle wilk zawył i było to wycie, jakiego nigdy dotąd nie słyszano.

Wyrażało gniew, ból i zaskoczenie.

Zobaczyła, że wilkozor wpada z impetem na Rhuna i odrzuca go daleko, a potem odwraca się i pędzi prosto na nią i Abigail.

– Uciekaj!

Znała ten dochodzący z góry głos. Brzmiała w nim znajoma władczość.

Elżbieta spojrzała na zakonnicę. W oczach Abigail błyszczała wściekłość. Jej policzek był czysty, znamię zniknęło.

Chwyciła Elżbietę, podniosła ją i pchnęła.

– Ruszaj!

Hrabina zatoczyła się w bok, Abigail zaś uniosła szablę i odwróciła się do szarżującej bestii. Łapy wilkozora ślizgały się, pazury szarpnęły dachówki. Skierował ślepią na starą mniszkę, dziwiąc się, że zagraża mu ta, która jeszcze przed chwilą była sojuszniczką.

Niepewność trwała jednak tylko chwilę i bestia rzuciła się na Abigail.

Ta zamachnęła się szablą. Choć jej ruchy były teraz o wiele wolniejsze i chybiła celu, zapierała się nogami i całą siłą wlokła bestię, która capnęła ją w rękę. Dobrnęła do krawędzi dachu i skoczyła wraz z wilkiem.

Elżbieta dokuśtykała na skraj dachu akurat w chwili, gdy oboje uderzyli w chodnik cztery kondygnacje niżej. Abigail wyglądała jak połamana lalka, jej kończyny były rozrzucone, szyja skręcona. Do rynsztoka popłynęła czarna krew. Wilkozor jakoś przeżył upadek.

Stał chwiejnie na łapach i powoli zniknął w cieniu.

Hrabina zobaczyła w dole powłóczącego nogami Christiana. Dwaj *strigoi*, którzy go ścigali, nagle rzucili broń i podobnie jak wilkozor rozplynęli się w mroku.

Rhun tymczasem podbiegł do otworu wygrzebanego łapami wilkozora i skoczył do środka, żeby zobaczyć, co się dzieje z towarzyszami.

Elżbieta została sama na dachu i zachodziła w głowę, co tak nagle odwróciło losy bitwy. Przed oczami stanęło jej знамя, które zniknęło z policzka Abigail. Było oczywiste, że kobieta wyzwoliła się z opętania.

Czyżby właśnie z tego powodu tamci umknęli?

Przypomniała sobie jednak coś dziwnego. Przez chwilę patrzyła w oczy wilkozora, zanim ten rzucił się do ataku, a potem uciekł. Zobaczyła w nich inteligencję, znacznie wyższą niż w oczach zwykłej bestii, nawet tak głęboko splugawionej.

Tylko co to wszystko oznaczało?

Zadrżała, bojąc się odpowiedzi.

19.25

– Jordan wcale się nie odzywa – zwróciła się Erin do Rhuna.

Cieszyła się, że jest u jej boku. – Spójrz na jego szyję.

Sierżant leżał rozciągnięty na podłodze obok ciała Leopolda. Siniaki zbladły, lecz niepokojące wybrzuszenie na kręgosłupie pozostało. Delikatnie dotknęła jego nadgarstka, by sprawdzić puls. Wyczuła go palcami, był mocny i równomierny, jakby Jordan zwyczajnie spał.

– Jordanie! – zawołała, bojąc się go potrząsnąć. – Wracaj!

On jednak nie reagował. Otwarte oczy patrzyły prosto przed siebie.

Twarz Rhuna wyrażała niepokój. Zbadał już Leopolda i położył swój srebrny pectorał na czole mnicha. Srebro nie wtopiło się w skórę, to zaś znaczyło, że zło naprawdę z niego uleciało.

Później będą się zastanawiali, dokąd odeszło.

Z dołu, spod podłogi strychu, dobiegł stłumiony krzyk: – Erin! Jordan!

Archeolożka spojrzała w stronę kłapy poddasza. Nagle sobie przypomniała.

– Sophia nadal tam jest.

Razem z wilkozorem, który nie był jedynym zagrożeniem.

Erin dostrzegła smugę dymu unoszącą się spomiędzy desek. Rhun mocnym ruchem uniósł klapę i otworzył ją szeroko. Buchnęło gorąco, a wraz z nim obłok dymu.

Zakaszła i zgiętą ręką zakryła sobie nos.

Ksiądz pomógł Sophii wejść na poddasze. Drobna sangwinistka była cała we krwi, własnej i wilkozora. Poprawiła na sobie resztkę odzienia.

– Wilk umknął – oznajmiła. – Nie wiem dlaczego. – Jej oczy wyrażały strach.

Erin spoglądała na Leopolda i usiłowała odgadnąć, co się zmieniło, kiedy tupot nóg na dachu sprawił, że wszystkie oczy skierowały się ku górze. Zamarli, spodziewając się nowego niebezpieczeństwa.

Jednakże w otworze ukazała się głowa Christiana.

– Pora stąd odejść – powiedział. – Za chwilę dom się zawali.

Sophia i Rhun energicznie dźwignęli Jordana, podali go Christianowi, a ten chwycił go pod pachami i z pomocą Elżbiety wciągnął na dach.

Rhun odwrócił się do hrabiny.

– Pomóż im znieść Jordana na ulicę – poprosił. – Erin i ja zejdziemy za wami. Zdołamy dotrzeć do Świętego Ignacego, tam się schronimy.

Hinduska skinęła głową, podskoczyła, chwyciła krawędź otworu i zniknęła.

Rhun spojrział na Erin.

– Co ze zwłokami Leopolda? – zapytała.

– Pożar się o nie zatroszczy.

Poczuła żal, ale wiedziała, że nie mają innego wyboru. Gdy ksiądz pomógł jej wydostać się otworem na dach, zimne powietrze i czysty deszcz odpędziły poczucie beznadziei.

Jordan wydobrzeje, pocieszała się.

Nie dopuszczała myśli, że stanie się inaczej. Rozejrzała się po dachu, lecz towarzysze już zniknęli. Schodzili na dół z nieprzytomnym Jordanem. Nie chciała spuszczać go na dłużej

z oczu, więc wraz z Rhunem szybkim krokiem podążyła ku krawędzi dachu.

– Zniosę cię – powiedział, wyciągając do niej rękę.

Odwróciła się do niego z uśmiechem wdzięczności... I wtedy dach zapadł jej się pod stopami.

18 marca, 19.29

Praga, Czechy

Rhun poleciał w dół razem z nią.

Złapał ją za rękę i przyciągnął mocno do swojej piersi. Opiekuńczym gestem otoczył ją ramionami, kiedy spadali przez płonące kawałki drewna, dym i sypiący się tynk. Nagle uderzyli w podłogę, która pozostała nienaruszona. Sangwinista zrobił, co było w jego mocy, by załagodzić siłę uderzenia i potoczyć się w bok.

Wylądował na kolanach, trzymając w ramionach bezwładną Erin.

Była oszołomiona. Z głębokiej podłużnej rany na jej twarzy płynęła krew. Wokół unosiły się kłęby dymu i płomienie, ale Rhun rozpoznał pomieszczenie, do którego wpadli: było to laboratorium alchemiczne Edwarda Kelly'ego.

Uniósł Erin, czując, jak jej płuca zmagają się z dymem. Usłyszał trzepotanie słabnącego serca; dusiła się. Na wpół oślepiony, zatoczył się ku ścianie. Posuwając się wzdłuż niej, chciał się dostać do drzwi, a potem do okna.

Z głośnym trzaskiem pękła następna belka w dachu i z góry runęło coś ogromnego. Płomienie oświetliły zielonkawy kształt, odbiły się od szkła.

Klosz.

Rhun instynktownie uniósł rękę, by chronić Erin przed emanującym od szklanego naczynia złem. Osłonił ją własnym ciałem. Klosz uderzył go w rękę i plecy i rzucił na podłogę. Grube

szkło pękło z trzaskiem, wbijając się w ramię i bark, przecinając mięśnie i łamiąc kość.

Ból go oślepił. Ksiądz krzyknął.

W tym momencie Erin ocknęła się i drgnęła.

– Rhunie...

Stoczył się z niej, jeszcze bardziej się raniąc.

– Idź – wyjęczał.

Odczołgała się w bok, ale nie odeszła, tylko złapała go za zdrową rękę i próbowała odciągnąć od resztek stłuczonego klosza. Nie zdążyła jednak, bo nadwątlona pożarem podłoga ustąpiła pod ciężarem grubego szkła. Wśród płonących desek Rhun zwinął się i zobaczył, że bezwładne ciało Leopolda stacza się z góry w ślad za ogromnym kloszem i leci w głąb ognistej studni.

Jego spotkałby taki sam los, gdyby Erin nie odwlekła go od ziejącego otworu. Dzięki temu oboje zostali w okrągłym pomieszczeniu.

Sangwinista walczył z nieznośnym bólem, ale nie opuścił Erin. Nie mógł tego zrobić, mógł jej się na coś przydać.

Z dziury, w którą wpadł pęknięty klosz, biły kłęby dymu. Wiatr unosił go przez ten powstały komin aż do dachu. Większość podłogi już zdążyła się zwęglić. Pod nią ryczały płomienie.

Erin klęczała i tym razem to ona trzymała księdza w ramionach.

Dociągnęła go do ściany, chociaż wolał, żeby zostawiła go i odeszła.

– Zostaw mnie – powiedział z największym wysiłkiem. Odwrócił głowę w stronę drzwi; przez dym przebijał się nikły blask ulicznej latarni. – Kieruj się do okna...

Z jego boku tryskał strumień zimnej krwi. Rhun wziął udział w wielu bitwach i umiał rozpoznać śmiertelną ranę. Ale miał nadzieję, że Erin zdoła wydostać się oknem, zejść na dół i uratować życie. Nie musiała umierać razem z nim.

Ona jednak nie chciała go puścić. Zerwała z siebie skórzany pasek, owinęła nim jego ramię i mocno zacisnęła.

Rhun stęknął z bólu.

– Wybacz – powiedziała, krztusząc się. – Musiałam zatamować krwawienie.

Spojrzał na pasek i dalej. Nie miał już ręki, odciął ją pęknięty klosz.

19.33

Erin przyłożyła nadgarstek do warg Rhuna.

– Pij – rozkazała.

Opaska sprawiła, że krew płynęła teraz wąską strużką. Bez dopływu świeżej sangwinista nie miał jednak szansy na przeżycie.

Powoli odmownym gestem odwrócił głowę na bok. , – Niech cię szlag, Rhun. Potrzebujesz sił, znajdziesz ją w mojej krwi. Zgrzesz teraz, później odpokutujesz. Nie opuszczę cię, a sama nie dam rady cię przenieść.

Potrząsnęła nim, ale on osunął się na nią nieprzytomny.

Zaczęła przesuwając go po podłodze w kierunku drzwi, ale był za ciężki. Ledwo mogła oddychać, oczy piekły ją od łez wywołanych zarówno dymem, jak i poczuciem bezradności.

Niecałe dwa metry od nich podłoga trzasnęła i pękła. W płomienie runął jeszcze jeden jej fragment. Podmuchała Erin w bok twarzy niczym powiew z otwartego pieca. Ogień ryknął na nią z jeszcze większą siłą.

Nagle obłok dymu przy drzwiach poruszył się i rozstąpił. Do środka wtargnął jakiś ciemny kształt, jakby frunął w powietrzu.

Christian spadł na Erin niczym ciemny anioł. Musiał się kierować odgłosem uderzeń jej serca. Chciał chwycić ją w ramiona, ale ona pchnęła w niego Rhuna.

– Weź jego – wykrztusiła, dławiąc się.

Posłuchał i zarzucił go sobie na ramię, a drugą ręką dźwignął Erin.

Pociągnął za sobą potykającą się kobietę ku strefie czystszej powietrza. Kiedy zbliżali się do okna na trzecim piętrze, pod

obcasami jej butów trzeszczało szkło. Christian musiał je rozbić, żeby dostać się do uwięzionych.

– W jaki sposób...? – odezwała się Erin.

Młody sangwinista zwinął się, porwał ją w ramiona i wyrzucił przez okno głową naprzód.

Spadała z krzykiem uwięzionym w gardle. Ziemia pędziła jej naprzeciw i nagle ukazały się Elżbieta i Sophia. Zanim runęła na bruk, chwyciły ją w ręce, łagodząc upadek. Mimo to siła uderzenia sprawiła, że szczęknęły jej zęby.

Odwróciwszy się, zobaczyła, jak Christian spada na ziemię kilka metrów od niej i toczy się po kocich łbach. Po chwili wstał płynnym ruchem, trzymając Rhuna w ramionach.

Erin ogarnęła ulga. Leżała na mokrych kamieniach i kaszłała.

Między jednym a drugim kasznięciem wciągała do płuc jak największe hausty czystego powietrza. Jej płuca rozdzierał ból.

Nagle stanęła nad nią jakaś rośła postać, a potem uklękła na jednym kolanie.

– Erin, nic ci się nie stało?

– Jordan...

Patrzył na nią jaśniejącymi oczami. A więc ozdrowiał kolejny raz.

Łzy radości napłynęły jej do oczu, lecz niepokój jej nie opuścił.

– Co z twoją szyją?

Z potulną miną potarł się dłonią po karku.

– Nadal boli jak skurw... znaczy, bardzo boli – odparł, uśmiechając się.

Jego obrażenia się zagoiły.

Znowu.

– No dobra – rzucił. – Chodźmy stąd.

Dźwignął Erin na nogi, mocno ją trzymając. Jej kolana drżały, ledwo mogła stać na nogach. Wpatrywała się w Jordana, sycąc się jego widokiem.

– Nie rób tego więcej – wyszeptała. – Nie opuszczaj mnie.

Chyba jej nie usłyszał.

Prowadził ją w kierunku Christiana, który razem z Elżbietą niósł Rhuna. Ten wyglądał jak martwy, jego głowa zwisała bezwładnie, kończyny również. Z prowizorycznej opaski zrobionej przez Erin nadal kapą krew.

– Musimy go zanieść do Świętego Ignacego, do naszej kaplicy – powiedziała Sophia, która nagle znalazła się u boku Jordana. – Spieszmy się.

Drobna kobieta prowadziła ich szybko przez ciemny, smagany deszczem plac. Erin potykała się, a Jordan ją podtrzymywał. Od Domu Fausta dochodził ryk płomieni; ogień pożerał tajemnice tego budynku.

Jego migotliwe odblaski tworzyły złocistą aureolę wokół posągu świętego Ignacego wieńczącego świątynię. Sophia skręciła ku bocznej części barokowej fasady, w kierunku okazałego drzewa górującego nad murem. Z muru wystawała niewielka marmurowa misa podobna do kropielnicy przy wejściu do kościoła. Hinduska odsłoniła krwawiącą ranę na ramieniu i wpuściła kilka kropel do naczynia.

Zazgrzytały o siebie przesuwające się kamienie i otworzyły się małe drzwi.

Elżbieta wzięła Rhuna w ramiona i wniosła go do środka.

Wszyscy weszli, lecz Sophia stała jeszcze chwilę w wejściu.

– *Pro me* – wyszeptała.

Erin odwróciła głowę. Pamiętała, jak kardynał Bernard wypowiedział te same słowa, by w kaplicy pod bazyliką Świętego Marka odgrodzić się od reszty grupy. Sophia postąpiła tak samo, zapewne obawiając się, że Legion może mieć w pobliżu swoich niewolników.

Mogli być wśród nich także sangwiniści.

Nawet to miejsce nie było bezpieczne.

Gdy drzwi zamknęły się za Sophią, wszystkich pochłonęła ciemność.

Zachrobotą zapalka i przed Erin rozkwitł płomień świecy. Christian zapalił od niej kolejne świece i z mroku powoli wyłoniła się prosta kamienna kaplica. Erin weszła do środka. Sklepienie było łukowate, ściany pokrywał biały tynk bez

żadnych zdobień. Otoczyła ją woń kadzidła i wina, obiecująca pociechę i bezpieczeństwo.

Między rzędami grubo ciosanych ławek biegła alejka prowadząca do białego ołtarza z obrazem, na którym Łazarz przyjmował pierwszy kielich wina z rąk Chrystusa. Błyszczące brązowe oczy wyrażały pewność, Chrystus uśmiechał się do niego.

Christian podszedł do szafki obok ołtarza i wyjął białe metalowe pudełko oznaczone czerwonym krzyżem. Była to apteczka pierwszej pomocy. Rzucił ją Jordanowi, a Sophia obesła ołtarz i stanęła przed srebrnym tabernakulum. Otworzyła je i wyjęła flaszki konsekrowanego wina, które były dla sangwinistów odpowiednikiem środka pierwszej pomocy.

Elżbieta ułożyła bezwładne ciało Rhuna na posadzce przed ołtarzem. Rozerwała pozostałości bluzy i koszuli, odsłaniając jego ramię i klatkę piersiową. Na bladej skórze czerwieniły się setki głębokich ran, lecz żadna nie była tak poważna jak oderwana ręka.

Elżbieta popatrzyła na opaskę.

– Dobrze się spisałaś – pochwaliła, spoglądając srebrzystymi oczami na Erin. – Dziękuję ci.

Ta usłyszała w jej głosie prawdziwą wdzięczność. Choć hrabina bardzo się starała, by tego nie okazać, zależało jej na Rhunie.

Erin skinęła głową i zakryła dłonią usta, z których wydobyło się głębokie kasznięcie. Jordan podszedł do niej i pomógł jej dojść do ławki. Postawiła plecak, a on otworzył apteczkę i znalazł w niej dwie małe butelki z wodą. Jedną podał Erin. Wzięła głęboki łyk, on tymczasem zawartością drugiej zwilżył szmatkę.

Delikatnym ruchem otarł jej twarz. Dłonie Jordana łagodnie przesuwały się po jej ciele; sprawdzał, czy nie ma poważnych obrażeń, lecz jego dotyk budził w niej odczucia całkowicie nieodpowiednie jak na kaplicę pełną księży. Złapała się na tym, że patrzy mu głęboko w oczy.

Odwzajemnił jej spojrzenie, a potem schylił się i pocałował ją, długo i powoli.

Bardzo chciała wierzyć, że jest to wyraz namiętności, ale nie mogła się uwolnić od wrażenia, że całuje ją na pożegnanie. Kiedy odsunął głowę, jego brwi nieznacznie się zmarszczyły. Otarł świeże łzy z jej policzków, najwyraźniej nie rozumiejąc, co jest ich przyczyną.

– Dobrze się czujesz? – spytał szeptem.

Przełknęła ślinę, skinęła głową i wytarła oczy.

– Za dużo tego wszystkiego...

Chciała odetchnąć głęboko, lecz nie pozwolił jej na to ostry ból w klatce piersiowej. Prawdopodobnie miała pęknięte żebro. Jej obrażenia były jednak drobnostką w porównaniu z ranami Rhuna.

Sangwiniści uklękli obok jego ciała.

Erin nie wiedziała, czy pragną go uleczyć... czy też go żegnają.

20.04

Elżbieta wlała odrobinę wina do ust Rhuna. Była tak zaniepokojona, że drżały jej palce i płyn chlusnął na policzek rannego.

Christian położył dłonie na jej rękach.

– Pozwól – rzekł, wyjmując srebrną flaszkę z jej rozpalonych palców.

Oddała mu ją i potarła dłońmi o kolana, by zetrzeć z nich święte wino i parzący dotyk srebra. Z przerażeniem spoglądała na zmasakrowane ciało Rhuna. Rozebrali go prawie do naga, zostawiając zaledwie opaskę, taką samą jak ta, która zakrywała Chrystusa wiszącego na krzyżu nad ołtarzem. Nawet Chrystus nie ucierpiał tak straszliwie. Elżbieta patrzyła na ciało pocięte setkami ran, na poszarpaną skórę i widziała mapę agonii. W końcu jej wzrok padł na kikut ręki, która została urwana powyżej łokcia.

Łzy napłynęły jej do oczu i zamglily wzrok, jakby chciały zamazać przerażający obraz.

Otarła je gniewnym gestem.

Chcę być świadkiem... dla ciebie, Rhunie.

Christian wlewał wino między pozbawione krwi wargi księdza, Sophia zaś dotykała jego ran szmatką zwilżoną winem, oczyszczając je, wypalając ogniem świętości. Pod każdym dotknięciem sangwinista drgał z bólu.

Elżbieta ujęła jego dłoń, jakby chciała go uwolnić od udręki. Z drugiej strony ta udręka świadczyła o tym, że on wciąż żyje, że w głębi pokiereszowanego ciała tli się iskra.

Wróć do mnie...

Sophia uniosła flaszę z winem i polała nim poszarpany kikut ręki Rhuna. Ciało wygięło się, pośladki oderwały się od kamienia. Usta się otworzyły i wyrwał się z nich krzyk. Dłoń sangwinisty zacisnęła się na palcach Elżbiety. Kostki zachrobotwały o siebie, lecz była gotowa przyjąć ten ból, jeśli choć trochę miało to pomóc Rhunowi.

Wreszcie jego ciało osunęło się znów na posadzkę.

Hinduska kuciała przy nim na piętach, z twarzą znieruchomiałą w wyrazie zatroskania.

– Czy wino go uleczy? – spytała Elżbieta.

– Potrzebuje odpoczynku – odparła Sophia, lecz zabrzmiało to tak, jakby usiłowała przekonać samą siebie.

– Potrzebuje napić się krwi – oznajmiła Elżbieta z nutą gniewu w głosie. – Wszyscy o tym wiecie, a mimo to go dręczycie.

– Nie wolno mu pić krwi – zaoponowała Sophia. – Grzech popełniony w kaplicy pozbawiłby go siły świętości, która jest obecna w tym miejscu. Czyn taki tylko przyspieszyłby jego śmierć.

Hrabina nie była pewna, czy może jej wierzyć. Rozważała, czy nie porwać Rhuna i nie uciec. Jednakże świętość miejsca ją osłabiła, a dwoje pozostałych sangwinistów napiło się sporo wina. Krew Chrystusa dodała im dużo sił.

Co bym zrobiła, gdybym znalazła się z nim sama na pustych ulicach? – zastanawiała się.

Jeśli ma umrzeć, niech się to stanie w miejscu, które ukochał.

W obecności tych, którzy go miłują.

Ścisnęła jego dłoń.

Za jej plecami odezwał się głos.

– Elżbieta ma rację – rzekła Erin. – Rhunowi potrzeba krwi, jeśli ma przeżyć.

Christian spojrział na nią ze smutkiem.

– Sophia powiedziała prawdę. Nie wolno mu pić krwi, to grzech...

– Kto mówi, że ma pić? – wpadła mu w słowo, klękając obok sangwinistów ze sztyletem w dłoni. – A jeśli poleję mu rany moją krwią? Wezmę ten grzech na siebie, jeśli to w ogóle jest grzech.

Christian spojrział z nadzieją na Sophię.

– Nie – rzuciła zdecydowanie zakonnica. – Grzech krwi jest grzechem krwi.

Twarz Christiana nie wyrażała takiej pewności.

Erin wzruszyła ramionami.

– Zrobię to.

Jej odwaga obudziła w Elżbiecie falę czułości.

– Nie pozwolę na to – oznajmiła Sophia i zrobiła ruch w jej stronę.

Christian zagroził jej drogę ramieniem.

– Nie mamy nic do stracenia – powiedział. – Czemu nie spróbować?

– Z wyjątkiem jego nieśmiertelnej duszy – nie dawała za wygraną Sophia. Próbowwała odepchnąć brata zakonnika, lecz Elżbieta przyłączyła się do Christiana i własnym ciałem zagradzając Hindusce drogę, spojrzała w oczy Erin.

– Do dzieła.

Erin skinęła głową i zrobiła sztyletem nacięcie na dłoni. Skrzywiła się z bólu, ale nie cofnęła ręki. Zapach świeżej krwi poruszanej uderzeniami serca pełnego życia wypełnił małą kaplicę.

Hrabina poczuła, że dwoje sangwinistów wzdycha głęboko i zmienia pozycje. Ich poranione ciała domagały się życia, którym tętniła karmazynowa kałuża na dłoni Erin. Elżbieta także

czuła jej słodką woń, ona jednak nie odmawiała jej sobie tak długo jak tamtych dwoje. Może wytrzymać.

Ta krew nie jest przeznaczona dla mnie.

Erin pochyliła się nad obnażonym ciałem Rhuna. Zanurzyła palce w ciemnym płynie, który zgromadził się na jej ręce, a później ostrożnie zwilżała gorącą krwią zimną skórę sangwinisty. Ciało Rhuna znowu drżało przy każdym dotknięciu, lecz to nie ból wywoływał te skurcze.

Lecz rozkosz.

Jego usta rozchyliły się i wydobył się z nich cichutki jęk.

Elżbieta pamiętała ten dźwięk. Usłyszała go wieki temu, gdy Rhun przywierał do niej całym ciałem.

Erin kontynuowała zabieg z drobiazgową pieczołowitością, nie opuszczając żadnej rany. Wreszcie spojrzała na kikut o poszarpanych krawędziach, na kość i mięśnie, z których powoli sączyła się czarna posoka. Odwróciła się do Elżbiety, jakby prosiła ją o zgodę.

Ta prawie niewidocznie skinęła głową.

Zrób to.

Erin pomasowała zdrową ręką swoje przedramię i na dłoń wypłynęło więcej krwi. Dopiero gdy purpurowe strużki zaczęły przelewać się między palcami, ujęła kikut i oblała krwią straszną ranę.

Ciałem sangwinisty wstrząsnęły konwulsje, jego plecy wygięły się w wysoki łuk. Erin trzymała go za ramię.

Z ust rannego wydobył się chrapliwy krzyk tak bardzo podobny do jęku ekstazy, że Sophia aż odwróciła głowę.

A może nie chciała patrzeć na jeszcze twardszy dowód świadczący o tym, że Rhun przeżywa rozkosz. Opaska nie zasłaniała zbyt dobrze jego męskości. Biała koloratka służbowego stroju nigdy nie zdołała w pełni okiełznać żądy Rhuna.

Elżbieta pamiętała także i to. Przeszłość wróciła do niej momentalnie i znów poczuła go głęboko w sobie, poczuła jak w niej rośnie, jak dwoje staje się jednym.

Gdy sangwinista opadł na posadzkę, Erin odsunęła rękę. Leżał, drżąc lekko na całym ciele. Był wyczerpany, lecz zarazem bardziej krzepki.

Wiele pomniejszych ran się zasklepiło.

Nawet resztką ręki przestała krwawić, ciało zdążyło już zakryć kość.

Christian wydał długie westchnienie.

– Myślę, że przeżyje... jeśli jeszcze trochę odpocznie.

Nawet Sophia przyznała mu rację.

– Wino powinno mu pomóc wyzdrowieć do końca.

Erin nadal klęczała. Gdy Jordan podszedł do niej i zabandażował ranę ciętą, dzięki której ocalała życie sangwinisty, nachyliła się do niego.

– Jego ręka – szepnęła, wciąż patrząc na Rhuna. – Czy ona... czy...

– Czy odrośnie? – dokończył za nią głośno.

– Z czasem... po miesiącach, jeśli nie latach – odparł Christian.

– Żeby ten cud mógł się zdarzyć, Rhun będzie potrzebował jeszcze więcej odpoczynku.

– Jak to wpłynie na naszą misję? – chciał wiedzieć Jordan.

Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, a niewiadomych było więcej.

– Nawet nie wiemy, dokąd się udać – powiedziała Sophia z rezygnacją w głosie. – Ta krwawa bitwa ani trochę nie przybliżyła nas do rozwiązania zagadki.

Erin pokręciła głową.

– To niezupełnie tak.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

– Ja wiem, czego poszukujemy.

20.33

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Christian.

– Dajcie mi chwilę. – Erin wstała z pomocą Jordana, ale wysunęła się z jego objęć. Potrzebowała dystansu do niego, do wszystkich.

Zadrżała, przypominając sobie, co czuła, trzymając Rhuna za rękę.

Przez kilka мгnien odczuwała jego bolesną namiętność, żądzę i wyniszczającą przyjemność, kiedy jej krew rozplynęła się w jego ciele. Ona także się w nim rozplynęła, dwoje stało się jednym.

Zacisnęła pięść na zabandażowanej dłoni, odcinając to wspomnienie.

Jordan dotknął jej ramienia.

– Erin?

Spoglądał na nią z zatroskaniem w niebieskich oczach. Odeszła jednak, potrzebowała ruchu.

Zrobiłam to, co musiałam zrobić... nic poza tym, pomyślała.

Mimo to przeszło ją poczucie winy. Ona i Rhun podzielili jeszcze jedno intymne przeżycie w kościele, w obecności wszystkich.

Podeszła do plecaka, otworzyła go drżącymi palcami i wsunęła rękę do środka. Jej dłonie spoczęły na teczce z Ewangelią Krwi. Ta księga dodała Erin sił. Wydobyła z plecaka arkusze papieru znalezione w kloszu i złożyła je na ławce.

– Uważam, że mamy tutaj zapiski mistrza Dee – oznajmiła. –

Ale nie mogę tego stwierdzić na pewno, ponieważ zapisane są w enochiańskim.

Elżbieta wstała i podeszła do niej.

– Pozwól. – Spojrzała pobieżnie na kartki i szybko je przerzuciła.

– Owszem, to są jego zapiski. Poznają charakter pisma.

– Potrafisz przetłumaczyć z enochiańskiego? – spytała Erin.

– Oczywiście. – Hrabina usadowiła się w ławce. – Ale to potrwa.

– A czy mogłabyś je teraz przejrzeć i poszukać odniesień do zielonego diamentu?

– Tak, ale dlaczego?

– Erin, powiedz nam, co wiesz – poprosił Christian.

Odwróciła się do niego i na jej twarzy zagościł żal.

– Bardzo mało – odparła. – Ale zanim Leopold zmarł, zdołał uwolnić się od mocy demona, który nim zawładnął.

– Jakiego demona? – zapytała Sophia.

Erin wzięła głęboki oddech i uzmysłowiła sobie, że tylko ona usłyszała ostatnie słowa Leopolda.

– Nazywał go imieniem Legion.

Christian zerknął na Sophię.

– W Biblii jest wzmianka o takim demonie.

Hinduska potwierdziła skinieniem głowy.

– Chrystus go wypędził, ale najpierw zwrócił się do niego bezpośrednio i zapytał o imię. Odpowiedział Mu: *Na imię mi Legion, bo nas jest wielu* ⁵.

– Bo nas jest wielu – powtórzyła z namysłem Erin. – Czy taka może być natura tego demona? Opętać wiele istot.

– Z pewnością potrafił wielu podporządkować swojej woli – rzekła Elżbieta, przeglądając kartki. – Nawet siostrę Abigail.

– Ale nie nas – odezwał się Jordan, machając ręką do Erin. – Walczyłem z nim wręcz i mną nie zawładnął.

– Niewykluczone, że może zapanować jedynie nad tymi, którzy już noszą skazę – powiedziała ze smutkiem Sophia. –

Ziarno potrzebuje gleby, na której może wzrosnąć. Może aby zło zdołało się w kimś zagnieździć, musi znaleźć w nim ciemną siłę.

– Jeśli ten demon przypomina chwast, to czy zdołał przeżyć śmierć Leopolda? – spytał Christian.

– Tego nie wiem – przyznała Erin. – Ale Leopold powiedział, że Legion szuka trzech kamieni. – Spojrzała znacząco na Jordana.

– Jednego ze swoich niewolników wysłał do podziemnej świątyni w Kume. Może chciał zdobyć resztki zielonego diamentu.

– Możliwe – zgodził się Jordan. – A może tylko chciał mnie ukatrupić. Jasna cholera, prawie mu się udało.

– Nie, wydaje mi się, że zależało mu na kamieniu.

– Skąd masz taką pewność? – spytał Christian i z nieznacznym uśmiechem dodał: – To nie znaczy, że podważam kompetencje Uczzonej Niewiasty.

– Wskazówką są ostatnie słowa Leopolda wypowiedziane tuż przed śmiercią. Mówił coś o splugawionym ogrodzie, zalanym krwią i skąpanym w wodzie. Zabrzmiało to jak opis miejsca, w którym Lucyfer powstanie.

– Ale o jakim ogrodzie? – indagował Christian. – Co to znaczy?

– Może o Ogrodzie Edenu? – podsunęła Sophia.

Erin spojrzała w jakieś nieokreślone miejsce.

– To nie może być przypadek.

Jordan dotknął jej ramienia.

– Co mianowicie?

Odwróciła się do towarzyszy.

– Te trzy freski w pracowni alchemicznej Kelly'ego. *Arbor, sanguis i aqua*. Czyli ogród, krew i woda.

Christian potarł się po brodzie.

– Te symbole odpowiadają ostatnim słowom Leopolda.

– A Legion szuka trzech kamieni – dodała Erin. – Może one także są ich odpowiednikami. *Arbor, sanguis i aqua*.

Jordan wyjął z kieszeni dwie połowy diamentu o zielonkawym odcieniu.

– Sądzisz, że ten może symbolizować *arbor*. Jest zielony jak ogród.

Skinęła głową.

– Poza tym wiemy, że nie jest to zwyczajny diament. Ma w środku ten dziwny symbol. A jego moc pozwoliła uwięzić dusze ponad sześćuset *strigoi*.

– I na koniec samego Legiona – zauważył Christian.

Erin dotknęła diamentu koniuszkiem palca.

– Może właśnie dlatego Leopold określił ogród, czyli ten kamień,

mianem splugawionego. Ponieważ został zanieczyszczony złem.

– Jeśli masz rację – odezwała się z ławki Elżbieta – to muszą być jeszcze dwa klejnoty. *Sanguis i aqua*.

Erin wychwyciła osobliwy ton w jej głosie.

– Wiadomo ci coś o nich? – spytała.

– Mnie nie – odparła hrabina, lecz jej twarz nadal wyrażała zamyślenie. – Ale może powinniśmy zadać to pytanie temu, który wysłał Johnowi Dee zielony kamień.

Erin spojrzała na nią.

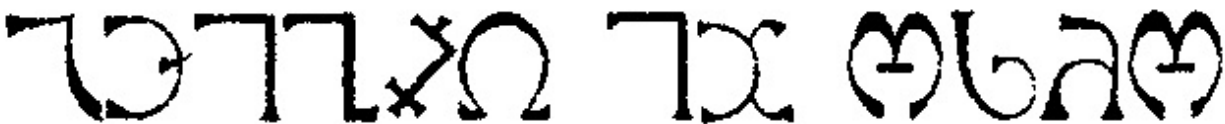
– A któż to taki?

Elżbieta z uśmiechem uniosła poźółkły arkusz papieru.

– Oto list do mistrza Dee od człowieka, który wysłał mu kamień.

Erin podeszła do niej. Papier zapisany był w języku enochiańskim.

Hrabina przesunęła palcem pod szeregiem symboli.



– To jest nazwisko – wyjaśniła. – Hugo de Payens.

Nazwisko wydało się Erin znajome, ale nie potrafiła go z nikim skojarzyć. Była wyczerpana i myślenie sprawiało jej trudność.

Christian podszedł bliżej z zaciśniętymi ustami.

– Ależ to niemożliwe – powiedział.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Jordan.

– Hugo de Payens był sangwinistą – odparł Christian. – Żył w czasach krucjat.

Erin nagle przypomniała sobie, że człowiek ten zajmował ważne miejsce w historii.

– Hugo de Payens... Czy to nie on wraz z Bernardem Clairvaux utworzył zakon templariuszy?

– Właśnie on – potwierdził Christian. – Chociaż w istocie powołał do życia jego część, zakon sangwinistów. Należało do niego dziewięciu rycerzy złączonych więzią krwi.

Erin zmarszczyła czoło. Przypomniała sobie, że historia, której ją uczono, była jedynie grą światła i cieni, a prawda leżała gdzieś pomiędzy nimi.

– Ale Hugo de Payens zginął podczas drugiej wyprawy krzyżowej – dopowiedział Christian.

– Od kogo to wiesz? – spytała Elżbieta. – Bo ten list od Dee ma datę z tysiąc sześćset pierwszego roku, czterysta lat po drugiej krucjacie.

– Poznałem ten fragment historii od towarzysza Hugona, współzałożyciela zakonu templariuszy, Bernarda Clairvaux, który był świadkiem śmierci tego arystokraty. – Christian uniósł brwi i spojrzał na Erin. – Wy zaś znacie go jako kardynała Bernarda.

Erin wytrzeszczyła na niego oczy.

– Bernard jest Bernardem de Clairvaux?

Nie było to pozbawione sensu. Wiedziała, że kardynał mógł brać udział w wyprawach krzyżowych i od tamtej pory zajmował wysokie stanowisko w hierarchii kościelnej.

– Wygląda na to, że Bernard nie powiedział całej prawdy – zauważyła z uśmiechem Elżbieta i stuknęła palcem w list. – Nie pierwszy raz.

– Tamto może poczekać. – Erin skinęła na nią głową. – Co wyczytałaś?

Hrabina błyskawicznie przeglądała archaiczny tekst. I uśmiechała się.

– Z treści wynika, że Hugo chciał, by kamień trafił w moje ręce, jeśli coś przydarzy się Johnowi Dee. Alchemik podzielił się ze swoim sekretnym dobroczyńcą informacjami o moich badaniach.

– A więc w razie gdyby jemu się nie udało – myślał głośno Jordan – chciał, żebyś ty doprowadziła jego dzieło do końca?

– Na to wygląda. Plan polegał na tym, by po śmierci Dee kamień przejął Edward Kelly, zabezpieczył go i przekazał mnie. Zapewne właśnie dlatego cesarz Rudolf podarował zielony diament i klosz Kelly'emu. – Elżbieta się skrzywiła. – Ale ten chciwy szarlatan zatrzymał jedno i drugie dla siebie. Prawdopodobnie po cichu sprzedał komuś kamień. Był wart królewskiej fortuny.

– A mimo to po wielu latach ten przeklęty klejnot jakoś znalazł drogę do ciebie – zauważyła Erin.

– Wyroków losu nie sposób przekreślić – oznajmiła hrabina.

Erin zmusiła się, by spojrzeniem nie wyrazić drwiny.

– Czy w liście jest coś o pozostałych dwóch kamieniach? – spytała.

– Ani słowa.

– No to jesteśmy w ślepych zaułku – skonstatował Jordan.

– Chyba że Hugo de Payens wciąż żyje – powiedziała Erin. – Wiemy, że nie umarł w czasie, o którym mówił Bernard. Więc może nadal gdzieś obija się po świecie.

Jordan westchnął głośno.

– Nawet jeśli, to jak go znaleźć?

Oparła dłonie na biodrach.

– Zapytamy najstarszego z jego znajomków, Bernarda Clairvaux.

– Odwróciła się do Christiana i Sophii. – Gdzie jest kardynał?

– Zesłano go do Castel Gandolfo – odparł sangwinista. – Oczekuje na orzeczenie trybunału.

– Módlmy się, żeby jeszcze nie wykonano na nim wyroku śmierci za grzechy, które popełnił – dodała Sophia.

Erin się z nią zgodziła.

Nie mogli sobie pozwolić na kolejne niepowodzenie.

18 marca, 21.45

Praga, Czechy

Wilk przekopuje się przez kłęby dymu i rozpalone żagwie.

Potężne łapy rozrzucają na boki błoto i odłamki połamanych belek.

Ostre kamienie kaleczą do krwi poduszki jego łap. Iskry sypią się na jego grube futro, zapalają je.

Czerń spada na jego grzmiące serce, przenika coraz głębiej.

Nie ma słów, rozkazów, jest tylko tęsknota.

Źródło czarnego pożądania czeka pod spodem, zwinięte ciasno wokół najniklejszego płomyka, skulone w zimnym truchle, w którym bezpiecznie tkwi.

Wilk kopie, by się do niego dostać.

Jedno pragnienie wciąga go coraz głębiej w ognistą czeluść.

Uwolnij mnie.

CZĘŚĆ CZWARTA

*Wykopali mu dół głęboki, jak wtedy w Gibe, lecz
Pan pamięta ich nieprawości i karać będzie ich
grzechy.*

Księga Ozeasza 9,9

19 marca, 6.19

Castel Gandolfo, Włochy

Erin wyrwała się raptownie z przerażającego koszmaru pełnego ognia i demonów.

Była w pokoju rozświetlonym blaskiem nowego dnia. Dopiero po kilku gwałtownych oddechach przypomniała sobie proste pomieszczenie i nocny lot z Pragi do sielankowego miejsca z wiejskim krajobrazem, który rozciągał się na południe od Rzymu.

Znajdowała się w rezydencji papieskiej Castel Gandolfo. Objęła wzrokiem swoje otoczenie: gładkie białe ściany, drewnianą podłogę lśniącą w blasku porannego słońca niczym ciepły miód, solidne mahoniowe łóżce z krzyżem zawieszonym nad wezłowiec. Mieszkali z Jordanem w tym pokoju poprzednim razem, kiedy tu byli.

Jestem bezpieczna...

Nie było to do końca prawdą, ale tak bezpiecznie nie czuła się od bardzo dawna.

Dwie z grubych drewnianych okiennic były rozchylone i wpuszczały do środka promienie porannego słońca. Radowała się złotym blaskiem po długim nocnym horrorze, który miała za sobą. Prywatny odrzutowiec Citation X przeniósł ich szybko ze średniowiecznego miasta tutaj. Wylądowali wyczerpani i utrudzeni, zakrwawieni i posiniaczeni.

Pierwsza myśl Erin dotyczyła Rhuna.

Od razu po lądowaniu przeniesiono go na noszach do lecznicy sangwinistów. Chciała za nim podążyć, ale ledwie trzymała się na nogach. Jordan niemal przyniósł ją do tego pokoju w środku nocy. Osunęli się na łóżko i spleli się kończynami. Tym razem nie martwiła się, że jego odsłonięta skóra jest tak rozpalona; przytuliła się do niego jak do miłego piecyka.

Mimo to pozostała w niej odrobina winy z powodu opuszczenia Rhuna. Usilnie starała się ją z siebie zrzucić, zdystansować się od wspomnienia, że go dotykała, że przez chwilę łączyła ich więź krwi.

On jest w najlepszych rękach, przypominała sobie. Z pewnością miał pielęgniarkę, która nie dopuści, by go źle potraktowano, która będzie nad nim czuwać. Elżbieta nie odstąpiła od niego nawet na krok.

Choć ani na chwilę się nie ocknął, cały czas w trakcie lotu trzymała go za rękę, a kiedy przenoszono go do lecznicy, szła obok noszy. Nie zważała na zmęczenie, które biło z jej twarzy i ciała.

Erin mogła nie ufać Elżbiecie, lecz jeśli szło o Rhuna, nie było dla niego lepszego psa stróżującego na czas rekonwalescencji.

Metaliczne stuknięcie zakręcanego prysznicza sprawiło, że skierowała wzrok na drzwi łazienki. Obudził ją właśnie szmer płynącej wody. Sięgnęła ręką do zmiętoszonej pościeli i dotknęła ulatniającego się ciepła ciała Jordana. Oparła dłoń na odcisku jego głowy na poduszce.

Boleśnie odczuwała troskę o niego, lecz musiała przyznać, że po przespanej obok Jordana nocy czuje się o wiele lepiej. Przeciągnęła się i westchnęła.

Całkiem nieźle... uwzględniwszy okoliczności.

Tylko czy dobre samopoczucie zawdzięczała wyłącznie odpoczynkowi? Jej plecy znaczyły liczne sińce, a na głowie miała rozcięcie, które przykrywał bandaż, ale czuła się wyjątkowo dobrze, znacznie lepiej, niż powinna.

Przysunęła się do miejsca nagrzanego od ciała Jordana, rozkoszując się wspomnieniem dotyku jego skóry. Zastanawiała

się, czy noc spędzona w blasku tego ciepła ma coś wspólnego z poczuciem komfortu, które ją w tej chwili przepełniało.

A może powodem jest tylko to, że była sam na sam z Jordanem?

Który tej nocy znów zaczął przypominać dawnego siebie.

Drzwi łazienki otworzyły się ze skrzypieniem i Erin odwróciła głowę.

Jakby na jej wezwanie Jordan stanął w drzwiach skąpany w parze i owinięty białym ręcznikiem. Uśmiechnęła się do niego, wciąż umoszczona w pościeli, która nagle zrobiła się o wiele cieplejsza.

Uniósł jedną brew, upuścił ręcznik na podłogę i starł ze skroni strużkę wody. Objęła wzrokiem całą jego postać, rozkoszując się każdym zarysem mięśni, każdą plamą wilgoci.

Wszyscy członkowie grupy mieli ciała pokryte ranami i siniakami.

Ale nie Jordan. Jego skóra była gładka i wolna od zadrapań, wręcz lśniła zdrowiem. Łagodne światło odbijało się od jasnych włosów na rękach i muskularnych nogach. Wyglądał jak grecki posąg, zbyt doskonały, wprost nierzeczywisty.

Sierżant przemierzył pokój i stanął przed Erin. Tylko centymetry dzieliły ją od jego nagiego ciała. Zapragnęła go dotknąć.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Gotowy na wszystko – odparł i uśmiechnął się szeroko. – Poczynając od ciebie.

Spoglądała w jego jasne niebieskie oczy. Patrzyli tak na siebie wiele razy, ale zawsze miała wrażenie, że to coś nowego, i serce trzepotało jej w piersi. Dotknęła wijącego się tatuażu, który pokrywał ramię i górną część klatki piersiowej Jordana. Pod swoją dłonią czuła bicie jego serca. Palce przesuwaly się po fantazyjnych liniach, po gładkiej skórze w dół ku brzuchowi.

Znała kształt tatuażu i jego wielkość. Był teraz wyraźnie większy niż kilka dni temu, przybyły mu ciemnopurpurowe zwoje i pnącza.

Zachodziły w nim widoczne zmiany. Szczególny niepokój Erin budziły nowe wypustki otaczające szyję; wyglądały, jakby dławiły go z taką samą pewnością, z jaką czyniły to czarne palce demona. Wiedziała jednak, że to właśnie te karmazynowe kłacza najprawdopodobniej go uleczyły, dzięki nim poblady siniaki, a pęknięty krąg szyjny wrócił na swoje miejsce.

Powinna być im wdzięczna, one tymczasem budziły w niej przerażenie.

– Nie martw się – powiedział Jordan. Zdjął jej dłoń ze swojej piersi i ucałował ją. Poczwała, że jego miękkie wargi parzą jej skórę. – Jesteśmy tutaj, razem, żyjemy. Lepiej nie może być.

Trudno było temu zaprzeczyć.

Gdy przesunął językiem po dłoni do nadgarstka, oddech uwiązał jej w gardle. Jordan przyklęknął, całując jej rękę, jego usta przesuwały się po jej pokrytej sińcami skórze lekko niczym motyl. Swędzenie powędrowało wzdłuż ręki do piersi i tułowia.

Objęła go i przyciągnęła do siebie. Chciała poczuć na sobie jego ciało, zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło. Choć na chwilę uwierzyć, że wszystko jest tak, jak powinno być.

Jordan wślizgnął się do łóżka obok niej, jego ciepłe ręce pieściły ją, badały dotykiem, schodziły coraz to niżej. Pragnęła zagubić się w nim całkowicie, lecz ciepło jego rozgorączkowanego ciała przypomniało, że ostatnio się od niej odsunął. Wciąż pamiętała, że jeszcze niedawno patrzył na nią, wcale jej nie widząc.

Wstrząsnął nią dreszcz.

– Ciii – szepnął Jordan, źle odczytawszy jej reakcję. – Nic ci nie grozi.

Przetoczył się i znalazł się na niej. Gorące spojrzenie niebieskich oczu mówiło Erin, że Jordan pragnie jej i nikogo innego, że wciąż ją kocha. Oczy zamknęły się, a ona przysunęła usta do jego ust.

– Tęskniłem za tobą. – Jego szept był cichy jak szmer wiatru.

– Ja też – odpowiedziała.

Otworzyła usta, zgłodniała jego smaku. Ręce Jordana oplotły ją tak ciasno, że ledwo oddychała. Chciała być jeszcze bliżej.

Odchylił głowę, a ona jęknęła. Nie chciała, by ten pocałunek się skończył. Nigdy. Nie zniesie rozłąki z nim, utraty tej bliskości. Wiodła palcem po krawędzi jego szczęki, po policzkach. Palec zatrzymał się w drobnym zagłębieniu górnej wargi Jordana, które miało kształt łuku. Uśmiechnął się i znów ją pocałował.

Długo, bardzo długo nie istniało nic prócz nich dwojga, zagubili się w gorączce swoich ciał. Czas stał się pojęciem pozbawionym znaczenia. Czują smak Jordana, jego zarost na swoim udzie, ich wzajemny uścisk, czują go w sobie i czują, że znów w pełni żyje. Nie potrzebowała go do poczucia pełni, ale tak było dobrze.

Nagle, zagubiona w namiętności, reagując na każdy dotyk Jordana i ruch jego ciała, zamknęła oczy i niczym błysk powróciło wspomnienie z kaplicy. Była znów z Rhunem, czuła ogień swojej krwi płynącej w jego ciele, ich ciała złąły się w jedno.

Westchnęła i wygięła się pod Jordanem, przyciągając go nogami.

Przez chwilę poczucie to unosiło ją niczym fala. Erin zatraciła się w obłoku ekstazy, nie wiedziała, gdzie zaczyna się jej ciało i gdzie kończy.

Wreszcie, drżąc, osunęła się z westchnieniem.

Jordan pocałował ją delikatnie, uśmiechając się z góry.

Wpatrywała się w niego i kochała go jak nigdy dotąd. Mimo to nadal gdzieś w głębi jej świadomości migotała iskra poczucia winy.

Wiedziała, że nie wszystkie te reakcje wywołał dotyk jego ciała.

– Coś nie tak? – spytał, wiodąc palcem po jej policzku.

– Nie, było idealnie...

Zbyt idealnie; przerażało ją to.

Wtulili się w siebie, a promienie słońca pełzły przez pokój. W pewnej chwili Erin zapadła w drzemkę. Kiedy się zbudziła,

zaczęła nasłuchiwać, czy z prysznicą płynie woda; to by znaczyło, że jest tam Jordan. Ale wiedziała, że go nie ma.

Zdjął ją lęk.

Pewnie poszedł na śniadanie.

Odpędziła strach i wyszła z łóżka, chciała być w ruchu. Wzięła szybki prysznic. Masaż ciepłej parującej wody uwalniał jej ciało od resztek bólu, jednocześnie ją budząc. Potem wytarła się dokładnie i włożyła świeże ubranie, które wczoraj dostarczono jej i pozostałym członkom grupy. Wybrała dżinsy i białą bawełnianą koszulę.

Na koniec włożyła kurtkę ze skóry wilkozora. Wiedziała z doświadczenia, że ma wytrzymałość zbroi. Przyoblekła się w nią z myślą o nadchodzącym dniu.

Usłyszała pukanie do drzwi i odwróciła się. Jej ciało stężało.

Rozluźniła się dopiero na widok Jordana.

– Przyniosłem śniadanie – powiedział, unosząc tacę, na której były owoce, i rogaliki i kawa. – A także rozkaz wymarszu.

– Rozkaz wymarszu?

– Wpadłem na Christiana. Mówi, że otrzymaliśmy pozwolenie, by spotkać się z więźniem.

Z kardynałem Bernardem.

– Najwyższy czas – zauważyła Erin.

Jordan spojrzał na nią z udawaną przyganą.

– Wczoraj w nocy żadne z nas nie miało ochoty na przesłuchanie.

Była to prawda.

– Kiedy możemy z nim pomówić?

– O ósmej... mniej więcej za godzinę. – Jordan podszedł z tacą do łóżka, usiadł i klepnął ręką materac. – Więc może podam ci śniadanko do łóżka?

Usiadła obok niego.

– Ale liczy się tylko na golasa – rzuciła.

Postawił tacę na nocnym stoliku.

– Podoba mi się ten punkt regulaminu... A wiesz, jaki ze mnie regulaminowy żołnierz.

Zaczął rozpinąć koszulę.

7.20

Elżbieta ostrożnie zmieniała przesiąknięty winem bandaż na kikucie ręki Rhuna. Zdjęła starą opaskę i obejrzała ranę. Skóra już powlekła większość obnażonego mięśnia, ale wiele jeszcze pozostało do zagojenia. Przyłożyła do rany kompres nasączony świętym winem i marzyła o tym, by Rhun jęknął z bólu. Jego oczy się nie otworzyły.

Wróć do mnie, Rhun.

Przewięzała okład świeżym bandażem i wyprostowała się.

Wyczuwała, że słońce wzeszło mniej więcej przed godziną. Całą noc spędziła z nieprzytomnym sangwinistą w pozbawionej okna celi, która cuchnęła kadzidłem i winem, a także sianem i ceglany pyłem.

Woń ta przypominała jej czas, który spędziła w tym pomieszczeniu jako więzień. Mimo to pozostała w nim; chciała być przy Rhunie, kiedy się obudzi.

Pogardliwym spojrzeniem omiotła nędzną celę.

Stała w niej prosta drewniana prycza z siennikiem, podstawka z zapaloną woskową świecą i flaszka wina; był także zwój czystej gazy oraz słoje z maściami pachnącymi winem i żywicą. Pomieszczenie było takie samo jak sąsiednie, przeznaczone dla niej. Nie skorzystała z tamtego przez całą długą noc.

Szurnięcie skóry o kamień przyciągnęło wzrok Elżbiety do małych drzwi. Wszedł niski puciołowaty mnich z siwą tonsurą, niosąc świeże wino i nowy zapas bandaży.

– Dziękuję, bracie Patricku.

– Wszystko dla Rhuna.

Zakonnik asystował jej przy doglądaniu sangwinisty, przychodził i wychodził wiele razy w ciągu nocy. Z niekłamanym smutkiem spojrział na nieruchomą postać rozciągniętą na pryczy. Zależało mu na Rhunie bardziej niż na innych braciach zakonnych. Może ci dwaj się przyjaźnili.

– Powinnaś trochę odpocząć, siostró Elżbieto – zaproponował po raz jedenasty. – Mogę go popilnować. Jeśli nastąpi jakaś zmiana, niezwłocznie dam ci znać.

Otworzyła usta, by odmówić, lecz w tej samej chwili poczuła ciche brzęczenie w kieszeni sukni. Miała tam schowany telefon.

Tommy.

Wiele raz tej nocy w wolnych chwilach wybierała numer jego komórki, lecz odpowiadał jej zawsze ten sam mechaniczny głos mówiący, żeby zostawiła wiadomość. Nie zrobiła tego, bojąc się, że ktoś inny może ją odsłuchać.

– Dziękuję, bracie Patricku – powiedziała, wstając ze stołka. – Chyba pójdę odpocząć.

Jego twarz wyrażała zaskoczenie i ulgę.

Ukloniła mu się, a potem odwróciła na pięcie i wyszła z celi.

Przeszła do sąsiedniej i zamknęła za sobą masywne drzwi. Dopiero wtedy wyjęła telefon. Na małym ekranie zaświeciły się słowa.

To ja.

Widziałem, że dzwoniłaś wiele razy.

Zadzwoń albo wyślij SMS, kiedy się obudzisz.

Mam kłopot.

®

Elżbieta nie wiedziała, w jaki sposób odpowiedzieć na wiadomość od Tommy'ego, nie rozumiała także małego znaku umieszczonego na końcu. Rozumiała jednak słowo kłopot.

Z lękiem ujęła aparat i wybrała numer.

7.32

Włochy, Rzym No, dalej...

Tommy siedział na zamkniętej klapie sedesu, z prysznicą tuż obok hałaśliwie leciała woda. Miał na sobie tylko ręcznik. Wpatrywał się w ekran telefonu, modląc się, by Elżbieta zareagowała na SMS-a.

Spoglądał na zamknięte drzwi, lękając się wartowników stojących w korytarzu przed mieszkaniem, które znajdowało się na peryferiach Rzymu. W oknach tkwiły kraty. Przejść można

było jedynie obok dwóch księży sangwinistów w cywilnych ubraniach, którzy stali na posterunku przed drzwiami.

Wreszcie telefon zawibrował w jego dłoni.

Odpowiedział natychmiast, zniżając głos do szeptu: – Elżbieta?

– Tommy, gdzie jesteś? Co się stało? – Jak to miała w zwyczaju, nie zaprzętała sobie głowy formułkami grzecznościowymi, których używają wszyscy podczas rozmów telefonicznych.

– Gdzieś w Rzymie.

– Grozi ci niebezpieczeństwo?

– Nie sądzę, ale wszystko razem wygląda podejrzanie. Ksiądz, który przywiózł mnie z Santa Barbara, nie zabrał mnie do Watykanu, tylko wpakował do jakiegoś mieszkania. Zamknął mnie w nim... i postawił za drzwiami wartowników.

– Możesz mi coś powiedzieć o miejscu, do którego cię zabrano?

– Stary budynek. Żółty. Cuchnie jakby czosnkiem i rybami. Jestem na drugim piętrze. Z okna widzę rzekę i rybę, z której pyska tryska fontanna. I wydaje mi się, że w pobliżu jest zoo. W każdym razie słyszę ryczące lwy.

– Dobrze. Myślę, że odnajdę ten żółty budynek. To może trochę potrwać, ale dotrę do ciebie.

Tommy odezwał się jeszcze ciszej niż dotąd: – Oni mówią, że grozi mi coś z twojej strony... Ale wiem, że to nieprawda.

– Nigdy bym cię nie skrzywdziła, lecz zapłacą mi za to, jeśli pod ich opieką spotka cię coś złego.

Chłopiec się uśmiechnął. Nie wątpił, że Elżbieta dokopała by tym, którzy go przetrzymują, ale nie chciał, by jej się coś stało.

Pomieszczenie zaparowało od wody z prysznicą, a on nasłuchiwał przez chwilę, czy ktoś się nie zorientował, że rozmawia przez telefon.

– Słyszałem, jak mówią, że Bernard chce, żeby trzymali mnie pod kluczem, dopóki nie zrobisz tego, czego od ciebie chcą. Nie wiem, czy to prawda. Ale jeśli tak, nie idź im na rękę.

– Zrobię, co będzie trzeba, żeby się do ciebie dostać. Uwolnię cię i znajdę sposób, żebyś znowu był zdrowy.

Tommy westchnął i podciągnął rękaw, żeby odsłonić rękę. Liszaj czerniaka pochłaniał jego ramię jak pożar. Pojawiły się nowe na nogach i lewym pośladku. Anielska krew znikła i teraz zdawało się, że nowotwór nadrabia stracony czas.

– Nie jest tak źle – skłamał. – Tylko łatwo się męczę, ale oni pozwalają mi spać.

– Oszczędzaj siły.

Taak, łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Rozległo się pukanie do drzwi i Tommy poderwał się. Nie usłyszał, by ktoś się zbliżał, ale sangwiniści potrafili się przemieszczać jak duchy.

– Muszę kończyć – syknął. – Tęsknię za tobą.

– Ja... także tęsknię.

Wcisnął klawisz, wsunął aparat za spłuczkę i śmignął pod prysznic. Rozpryskując głośno wodę, zawołał: – Nie można już się spokojnie wykąpać?!

– Długo już tam jesteś – odparł ktoś chrapliwym głosem. – A ja słyszałem rozmowę.

– Jestem nastolatkiem! Rany, zawsze do siebie gadam.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, a potem strażnik odezwał się ojcowiskim tonem. Wiedział, że Tommy kłamie i coś ukrywa, ale wybrał błędne wytłumaczenie.

– Jeśli się dotykasz, młodzieńcze, to nie ma się czego wstydzić.

Ale muszę poinformować o takim grzechu twojego proboszcza.

– Po pierwsze, jestem Żydem. A po drugie, pierdol się!

Tommy stał pod strumieniami wody, a jego twarz była gorętsza od pary.

No dobra, ale teraz naprawdę chciałbym wykitować.

7.35

Castel Gandolfo, Włochy Elżbieta z dłonią spoczywającą na telefonie ukrytym w kieszeni zmierzała do pokoju Rhuna. Kipiał w niej gniew, ale wzięła go w karby. Kiedy przyjdzie czas, by

ocalić Tommy'ego, będzie musiała zachować lodowatą jasność umysłu. Do tej pory nie ma miejsca na emocje.

Zamierzała wystąpić przeciw kardynałowi, ale najpierw chciała zobaczyć, co z Rhunem.

Wchodząc, wygładziła suknię i poprawiła rękawy. Brat Patrick klęczał przed łóżkiem i trzymał nieprzytomnego za rękę.

Uniósł głowę i skinął na Elżbietę.

– Nadal odpoczywa.

Podeszła do pryczy i spojrzała na twarz pogrążoną we śnie. Wyglądał tak jak zawsze, nietknięty upływem lat i tragediami, które znaczyły jego długie życie. Gdybyż mógł przeżyć je jak zwykły ksiądz i umrzeć ze zmartwieniami jednego żywota. Nie zasługiwał na los, który na niego spadł.

– Jestem pewien, że wkrótce wstanie – powiedział Patrick. – Rychła pomoc na polu walki ocaliła mu życie.

Elżbiecie stanął przed oczami obraz Erin, która smarowała mu rany własną krwią. Ta kobieta, istota wątła i śmiertelna, uratowała sangwinistę.

– Możesz tu usiąść i modlić się ze mną, jeśli chcesz – zaproponował Patrick.

Hrabina chciała zostać, ale odwróciła się i spojrzała na drewniane drzwi.

– Muszę najpierw pomówić z kardynałem Bernardem.

– Słyszałem, że twoi towarzysze mają się z nim wkrótce spotkać.

Elżbiecie nic o tym nie wspomniano.

Wezbrał w niej gniew. Wiedziała, jak podle kardynał postąpił z udręczonym chorobą chłopcem, jak zrobił z niego swojego pionka.

Wyszła z pomieszczenia i pomknęła do końca korytarzem. Tej części rezydencji pilnowało troje sangwinistów, których nie знаła, dwaj mężczyźni i kobieta. Dbali o bezpieczeństwo Rhuna czy pilnowali, by ona się nie wymknęła?

Zwróciła się do kobiety, Afrykanki o skórze tak ciemnej, jakiej nigdy jeszcze nie widziała.

– Muszę mówić z kardynałem Bernardem. Mam informacje o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa zakonu.

Kobieta przyjrzała się jej okrągłymi oczami.

– Dostęp do więźnia jest ograniczony. Tylko jego osobisty asystent, ojciec Gregory, ma prawo z nim rozmawiać i spełniać prośby kardynała. Mogę przekazać wiadomość ojcu Gregory'emu, a on ją przekaże.

– Muszę porozmawiać z kardynałem osobiście.

Sangwinistka zacisnęła usta.

– Niestety przez wzgląd na zbrodnie, które przeciwko tobie popełnił, jest to zabronione.

Elżbieta odezwała się cicho i z największą potulnością, na jaką było ją stać: – Jak rozumiem, moi towarzysze mają dziś rano wyznaczone spotkanie z kardynałem. Przecież wolno mi będzie zwrócić się do niego w obecności innych?

– Edykt mówi o tym zdecydowanie – odparła zakonnica z jeszcze surowszą miną. – Jesteś ofiarą jego przewin i w żadnych okolicznościach nie wolno ci się z nim widzieć.

– Wobec tego muszę poprosić moich towarzyszy, by przekazali mu tę informację. – Elżbieta skłoniła lekko głowę, by ukryć złość, i powolnym krokiem skierowała się do swojej celi.

Kiedy znalazła się w niej sama, rąbnęła dłonią w cegły.

Zapłacisz mi za uprowadzenie Tommy'ego, Bernardzie... nawet jeśli przyjdzie mi zgładzić wszystko, co jest ci drogie.

Jej uwagę zwróciło pukanie do drzwi. Przez grube deski dobiegł głos brata Patricka. Brzmiała w nim radość.

– Rhun się budzi!

19 marca, 7.39

Castel Gandolfo, Włochy

Rhun usiłował się przebić przez zasłonę bólu i krwi. Czuł zapach wina i kadzidła. Słyszał podniecone głosy, dziwnie znajome. Obraz zamajaczył, a potem wyłonił się z niego widok małego pokoiku oświetlonego blaskiem świec.

Gdzie jestem...?

Chciał unieść głowę, lecz kiedy to zrobił, świat zakręcił się jeszcze szybciej. Zimne ręce dotknęły jego czoła, nakłaniając, by się nie podnosił.

– Dobrze, dobrze, Rhun, mój synu. Nie spiesz się tak.

Skupił wzrok na łagodnie uśmiechniętej twarzy i rozpoznał mnicha.

– Patrick...

– Owszem. – Mnich odwrócił się, odsłaniając kogoś, kto stał za nim.

– Nareszcie się obudziłeś, jak widzę – powiedziała surowo Elżbieta. Błysk jej oczu zdradzał jednak ulgę.

– Tak.

Ledwo rozpoznał swój głos. Był głęboki i chrapliwy jak głos kogoś innego, słabszego. Rhun spróbował usiąść, lecz opadł znów na posłanie, a lewy bok jego ciała przeszył ból. Zacisnął zęby i sięgnął ręką do jego źródła, ale nic tam nie było. Odwrócił głowę.

Straciłem ramię.

Szok uruchomił kalejdoskop wspomnień: spadający na niego szklany klosz, Erin wyciągająca go z ognia i dymu.

Tylko tyle pamiętał.

– Co się stało? – wykrztusił. – Jak znaleźliśmy się w Castel Gandolfo? Dlaczego jesteśmy...

Elżbieta usiadła na stołku i ujęła jego prawą rękę. Uścisnęła jej palce, ona także ścisnęła krzepiąco jego dłoń.

Zaczerpnął kilka razy tchu, żeby się wzmocnić.

– Jak długo leżałem nieprzytomny?

– Tylko jedną noc. – Pomału zrelacjonowała mu wszystkie wydarzenia, opowiedziała, czego dowiedzieli się z papierów Johna Dee i jak połączyli go z kardynałem Bernardem. – Dlatego się tutaj znaleźliśmy. Żeby się dowiedzieć, co on wie. Ale tobie, przesławny Rycerzu Chrystusa, potrzeba odpoczynku.

Uśmiechnęła się do niego.

Odwrócił głowę i popatrzył na zabandażowany kikut.

– Pamiętam...

Jego głos zamarł. Rhun niewyraźnie pamiętał, jak wił się z rozkoszy, pamiętał gorące palce umoczone we krwi, które trzymały go i unosiły na szczyty rozkoszy.

Spojrzał na Elżbietę.

– Erin.

Oczy hrabiny się zamglily.

– Tak, to ona cię ocaliła. Swoją krwią przeciągnęła cię na stronę życia.

Patrick dotknął ramienia Elżbiety.

– Ale to ty, droga siostrze, nie odstępiałaś go na krok przez całą noc, opatrywałaś mu rany i wlewałaś do ust krew Chrystusa.

Rhun dotknął kolana Elżbiety.

– Dziękuję.

Potrząsnęła lekceważąco głową, jakby chciała zbagatelizować jego wdzięczność.

– Erin i Jordan są umówieni na spotkanie z Bernardem.

– Kiedy?

Elżbieta zerknęła na Patricka, a ten spojrzał na zegarek.

– Za jakieś dwadzieścia minut.

– Powinienem z nimi być – rzekł Rhun, podpierając się zdrową ręką. Ból uderzył ponownie, lecz on tym razem go wytrzymał. – Gdzie moje ubranie?

– Nie sądzę, żeby to było roztropne – wyraził swoje zdanie Patrick.

– Roztropne czy nie, muszę iść.

Mnich, widząc jego determinację, otoczył go ramieniem. Spojrzeniem dał znać Elżbiecie, że koc zsunął się z Rhuna i odsłonił jego nagość.

– Może, siostró, powinnaś mnie z nim na chwilę zostawić.

Hrabina wzięła ze stosu ubrań parę złożonych spodni i potrząsnęła nimi.

– Nie chcę uwłaczać skromności, ale kto w nocy opatrywał jego rany? Nie jestem aż tak słabą kobietą, bym miała mdleć na widok nagiego mężczyzny.

Patrick spuścił głowę, kryjąc uśmiech.

– Jak sobie życzysz. – Pomógł Rhunowi wstać. – Tylko pomalutku.

Była to mądra rada. Rhunowi zakręciło się w głowie, gdy postąpił kilka kroków, lecz po paru próbach mógł z niewielką pomocą samodzielnie stać. Mimo to z jedną ręką nie był w stanie sam się ubrać.

Skończywszy, Elżbieta związała luźny rękaw i wsunęła go za pasek. Potem otaksowała Rhuna spojrzeniem.

– Wyglądałeś już lepiej.

– I lepiej się czułem.

Patrick wziął go pod łokieć i doprowadził do drzwi.

– Pójdę z tobą, zaprowadzę tam, gdzie trzymany jest kardynał. Rhun zerknął na Elżbietę.

– A ty idziesz?

Spojrzała na niego z nadzieją, lecz brat Patrick wnet ją zgasił.

– To niestety niedozwolone. Kardynał nalegał, by w rozmowie wzięły udział tylko trzy osoby wymienione w proroctwie.

Elżbieta prychnęła.

– Czy jako więzień ma prawo stawiać warunki?

– Owszem – odrzekł Patrick. – Nadal ma sojuszników w Świętej Diecezji. Nawet teraz. Naprawdę mi przykro, siostró.

– A więc trudno. – Elżbieta skrzyżowała ręce na piersiach. Słowami wyraziła rezygnację, lecz jej poza znamionowała opór.

Rhun rozumiał jej wzburzenie. Bernard ją skrzywdził, pozbawił duszy, a teraz wolno mu było określać warunki kontaktów, ona zaś musiała znosić ograniczenia. Kto naprawdę był więźniem?

– Idźcie już – rzuciła gorzkim tonem. – Może wypełnię sobie czas haftowaniem.

Nie mając innego wyboru, Rhun wyszedł, pozostawiając ją w celi.

Mimo że Patrick go podtrzymywał, musiał w czasie marszu opierać się dłonią o białą ścianę. Stracił prawą rękę. Chociaż widział kikut kończyny i czuł ból, nie umiał się pogodzić ze swoim nowym stanem.

Wyrośnie mi nowa, pomyślał.

Widział już takie cuda, ale wiedział również, że może to potrwać lata.

Jak mogę obronić Erin i Jordana w tak okaleczonym stanie? Co będzie z naszą misją?

Patrick wiódł go korytarzami papieskiej rezydencji, pozwalając mu wyznaczać tempo. On zaś na szczęście nabierał sił z każdą mijaną salą oświetloną świecami, z każdymi pokonywanymi schodami. W końcu puścił mnicha, lecz ten trzymał się blisko jego boku.

Rhun wyczuł, że przyjaciel chce mu coś powiedzieć.

– Co takiego, Patricku? Jeśli dalej będziesz tak zerkać za siebie, wykręcisz sobie szyję.

Mnich wsunął ręce w szerokie rękawy.

– Chodzi o twojego drugiego przyjaciela.

Sens tych słów dopiero po chwili stał się dla Rhuna jasny.

– Masz na myśli lwiątko...

Przypomniął sobie żaloszny płacz kocięcia, jego szturchanie nosem martwego ciała matki.

– Bardzo się zmienilo. Rośnie o wiele prędzej, niż powinno rosnąć jakiegolwiek naturalne stworzenie. – Patrick spojrzal na niego. – Nie powiedziales mi o nim wszystkiego.

Rhun wiedzial, że nie moze dluzej zatajac sekretu związanego z narodzinami lwiątka.

– Jego matka byla blesfemorem – powiedzial.

Patrick stanal nagle w miejscu i go zatrzymal.

– Czemu mi o tym nie wspomniales?

Księdzu zrobilo się wstyd.

– Pomyslalem, że nie przyjalbys splugawionego kocięcia.

– Alez to nonsens! Ono na pewno nie jest splugawione. Jesli czymś się wyróżnia, to tym, że jest błogoslawione.

– Co chcesz przez to powiedziec?

– Nigdy niczego podobnego nie widzialem. To dusza pełna łagodności. Jest psotny, owszem, ale nie ma w nim zepsucia. Sama dobroc.

Rhun poczul glęboką ulgę. Juz na pustyni wyczul dobroc malego zwierzaka, lecz ucieszyl się na wieśc, że jego wrazenie się potwierdzilo.

– Zaciekawil mnie od pierwszej chwili.

– Wiadomo ci o nim cos wiecej?

– Bardzo malo. Matka odniosla smiertelną ranę od anielskiego gromu po bitwie w Egipcie. Przypuszczam, że kocię przezylo w jej łonie, co świadczyloby o jego niewinności. Moze przeniknela do niego odrobina anielskiej esencji.

Patrick dotknal jego ramienia.

– Nie wapię w to. Dziękuję, że podzieliles się ze mną tym cudem. Nigdy nie przypuszczalem, że cos takiego ujrę: stworzenie, które jest lustrzanym odbiciem blesfemora, pobłogoslawione czystością. Istny cud.

– Czy mozesz zachowac to w tajemnicy... przynajmniej na razie?

– O to nie musisz się kłopotać. – Patrick machnął ręką, żeby szli dalej. – Jestem szczęśliwy, że mogę ten cud mieć dalej dla siebie.

Zmierzali do odległego zakątka rezydencji.

– Kardynał przebywa w prywatnym apartamencie za następnym rogiem – oznajmił w końcu.

Skęcili i Rhun zobaczył na końcu korytarza parę sangwinistów w płaszczach i kapturach na głowie, uzbrojonych w miecze. Trzymali wartę przed masywnymi drewnianymi drzwiami, za którymi znajdowała się tymczasowa cela Bernarda.

Ruszył w tamtą stronę i zauważył, że z okien korytarza rozpościera się widok na majestatyczną, błękitną taflę jeziora Albano. Ściany zdobiły rzadkie renesansowe malowidła, olejna farba lśniła w blasku słońca. Domyślił się, że z „celi” Bernarda widać ten sam krajobraz i zapewne jest ona wspaniale urządzona.

Kardynał z pewnością miał sojuszników, którzy o niego dbali.

Nagle z drugiego korytarza, który kończył się w tym miejscu, dobiegł czyjś okrzyk.

– Rhunie!

Sangwinista odwrócił się i zobaczył biegnącą Erin; poły jej rozpiętego żakietu powiewały w powietrzu. Twarz podążającego za nią Jordana nie wyrażała aż takiego zachwyty na jego widok.

– Czy nie powinienesz nadal leżeć? – spytał sierżant, kiedy cała trójka stanęła razem.

Brat Patrick skłonił głowę przed Erin i podał rękę Jordanowi.

– Rany jak na razie dobrze się goją, ale ufam, że teraz wy się nim zajmiecie. – Mnich odwrócił się do swojego brata sangwinisty. – Zostawiam cię z twoimi towarzyszami. Ale będę w pobliżu, w razie gdybyś potrzebował zasięgnąć rady starego głupca takiego jak ja.

– Nigdy nie byłeś głupcem – odrzekł Rhun, Patrick wzruszył ramionami, schował ręce w rękawy habitu i odszedł różnym krokiem.

Erin przyglądała się uważnie Rhunowi, kiedy zmierzali do strzeżonych drzwi.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Silniejszy – odparł zgodnie z prawdą. – Zdaje się, że muszę ci podziękować za ocalenie życia.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Przyszła kolej na mnie – rzuciła.

– A ja muszę przyznać – odezwał się Jordan – że jak na gościa, który liczy urodziny setkami, twarda z ciebie sztuka.

Rhun poczuł, że rozluźnia się w obecności tej dwójki. Wiele już razem przeżyli, ale łączyło ich także coś więcej.

Byli przyjaciółmi.

Kiedy dotarli do drzwi, wartownicy się rozstąpili. Jeden przemówił spod kaptura. Ton jego głosu świadczył o tym, że strażnik nie cieszy się, iż ktoś zakłóca mu spokój i odwiedza więźnia.

– Kardynał was oczekuje – powiedział z nietajoną pogardą dla tego, który znajdował się w pilnowanym pokoju.

Drugi wartownik wyjął spod płaszcza okazały klucz i przekręcił go w zamku. Nie pofatygował się jednak, by je otworzyć.

Rhun zrobił krok, ale poczucie równowagi go zawiodło, więc Erin musiała go chwycić za rękę.

Jordan podszedł do drzwi, otworzył je i zwrócił się do wartowników: – Powinniście obaj popracować nad okazywaniem gościnności.

Na laurkę z mojej strony nie możecie liczyć. – Przytrzymał drzwi, wpuszczając Erin i Jordana.

Weszli do luksusowego holu z wyściełanymi meblami i bogatymi jedwabnymi draperiami. Dalej znajdował się krótki korytarz prowadzący do sypialni, niewielkiego salonu i łazienki. Panował półmrok, jedynym oświetleniem były świece płonące za drzwiami na końcu.

Rhun usłyszał dochodzący stamtąd nikły głos. Nie sposób było rozróżnić cicho wypowiedane słowa, jednak akcent nie

pozostawiał wątpliwości.

Bernard.

Czyżby ktoś mu towarzyszył? Patrick powiedział mu po drodze, że asystent kardynała, ojciec Gregory, odwiedzał go o najróżniejszych porach dnia i nocy. Prawdopodobnie nosił wiadomości od pryncypała walczącego o zachowanie swojej pozycji i starającego się kontrolować dźwignie, które uruchomił popełniony przez niego grzech.

Jordan, który także usłyszał głos kardynała, przyspieszył kroku i omiół wzrokiem otoczenie.

– To się nazywa złota klatka, nie ma co – mruknął pod nosem.

Rhun podążał za nim.

Erin szła u jego boku, gotowa w razie potrzeby go podtrzymać, ale on skinął jej ręką, dając znak, że nie jest to konieczne.

Sierżant dotarł do uchylonych drzwi i zapukał. Nikt nie zareagował, więc je pchnął. Erin prawie deptała mu po piętach; najwyraźniej bardzo jej było pilno, by przepytać Bernarda. Sangwinista pospieszył za towarzyszami. On także miał wiele pytań do kardynała dotyczących łgarstw i półprawd, które od niego usłyszał. Ciekawiły go zwłaszcza te, które dotyczyły starego przyjaciela Bernarda, krzyżowca Hugona de Payensa.

Gdy tylko znalazł się w środku, zobaczył, że na tymczasowym biurku Bernarda panuje bałagan. Na blacie widać było plamy stopionego wosku, ciężkie jedwabne zasłony w oknach były związane.

Coś tu jest, przemknęło mu przez głowę. Drzwi się zatrzasnęły.

Odwrócił się zbyt wolno, by zablokować ramię, które powaliło go ciosem na podłogę. Przeszył go ból, kiedy runął na lewy bok i kikut ręki. Zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Jakiś ciemny kształt śmignął obok sangwinisty i rąbnął Jordana w głowę rzeźbionym popiersiem. Sierżant przewrócił się, Erin tymczasem została chwycona i ciśnięta na zasłonięte okno. Osunęła się na ziemię.

Zanim Rhun zdążył usiąść, czyjaś ręka zacisnęła na jego gardle palce mocne jak stal, targnęła go i uniosła wysoko. Tylko jego palce muskały dywan.

Ksiądz poczuł potworny ból i usłyszał upiorny chichot.

Kardynał Bernard patrzył na Rhuna i szyderczo szczyrzył zęby.

Szkarłatna szata wisiała w strzępach na jego prawie nagiej postaci. Z brązowych oczu wyzierał obłęd.

– Witaj, Rycerzu Chrystusa... Witaj i giń.

19 marca, 8.02

Castel Gandolfo, Włochy

Oszołomiona nagłą napaścią Erin, nie zważając na ból w boku, złapała się krawędzi biurka i podciągnęła. Upadając, straciła jedyną świecę. Pomieszczenie utonęło w ciemności, jedyne światło dawały promienie wpadające do środka przez szpary zamkniętych okiennic.

W pierwszej chwili pomyślała: *strigoi*.

Dokuśtykała do okna i szarpnęła zasłony. Związano je szarfą, co uniemożliwiało całkowite ich zerwanie, ale zdołała rozsunąć nieco gruby jedwab i wpuścić do pokoju trochę słońca.

Zobaczyła ruchomy obraz, który przekraczał wszelkie pojęcie.

Kardynał Bernard ścisnął Rhuna za gardło, przypierając go do regału z książkami. Na jego prawie nagim ciele wisały szkarłatne strzępy ukazujące szeregi zadrapań na białej skórze. Ich wygląd sugerował, że kardynał w porywie szaleństwa sam zdarł z siebie szaty.

Na dywanie leżała nieruchoma postać, z jej czoła sączyła się krew.

Jordan...

Rhun otrząsnął się z zaskoczenia. W jego prawej dłoni ukazał się karambit i wbił się głęboko w rękę kardynała. Palce Bernarda puściły jego gardło. Rhun spadł na podłogę obok regału i machnął orężem, mierząc w przeciwnika, lecz ostrze przecięło tylko powietrze.

Bernard był już po drugiej stronie pomieszczenia i zrywał ze ściany miecz. Nieziemską szybkość, z jaką się poruszała, świadczyła o tym, że nie podlega już ślubom sangwinistów. Teraz, podobnie jak *strigoi*, czerpał siłę z ciemnego źródła.

Co tu się wydarzyło? – zastanawiała się Erin.

Jordan poruszył się i zamrugał. W ciemności jego oczy zaśniły nieznacznie złocistym blaskiem.

Zdążył pozbierać myśli, a tymczasem Bernard znów rzucił się na Rhuna.

Ten zrobił unik w bok i niezdarnie wpadł na ogromną chińską wazę. Utrata ręki wyraźnie zaburzyła naturalną grację jego ruchów.

Erin wyjęła sztylet z pochwy na wewnętrznej stronie kurtki, by stanąć w obronie towarzyszy. Nie była jednak wojowniczką. Jej najlepszym orężem był umysł. Bernard znów ponownie skoczył na Rhuna, lecz Jordan uderzył go z boku i zwałił z nóg prosto na duży globus.

Kiedy kardynał zerwał się z warknięciem, na jego ciało padł snop słonecznego światła. Erin patrzyła na jego obnażone ciało, szukając wzrokiem charakterystycznego czarnego znaku ręki.

Ale go nie znalazła.

Wcale jej to nie zdziwiło.

Bo w jaki sposób Legion mógłby opętać przebywającego w zamknięciu kardynała? Lecz jeśli to nie Legion był źródłem deprawacji Bernarda, to co nim było? – wyteźzała umysł.

Jordan znalazł się obok Rhuna i razem stali naprzeciwko szalejącej bestii, w którą zamienił się kardynał Bernard.

Erin rozglądała się po pokoju, usiłując odgadnąć, co go zniewala.

Jej wzrok padł na biurko. W panującym na nim bałaganie nie zauważyła nic nadzwyczajnego: papiery, książki, oprawiony w skórę dziennik. Gdy kierowała wzrok niżej, do podstawy mebla, trąciła stopą leżącą na podłodze otwartą czarną sakwę, z której coś się wytoczyło.

Kulka z czarnego szkła.

Wydawało się, że z niej wypływa ciemność. Erin widziała już kiedyś taki artefakt emanujący jadowitym złem: było to na pustyni w Egipcie. Jakiś czas temu Rhun stał na czele grupy poszukiwawczej, której zadaniem było przesiać piasek i usunąć z niego zło. Przyklękła na jedno kolano. Wiedziała, co spoczywa na dywanie.

Była to kropla krwi Lucyfera.

Za pomocą skrawka papieru podniosła kamień z podłogi i ujęła w palce końce sznurka służącego do zawiązania sakwy. Wyprostowała się, opuściła czarną zastygłą łzę na płamę słonecznego światła na blacie biurka, a następnie wysypała w to miejsce całą zawartość worka. Stos ciemnych kamiaków zdawał się wsysać światło, tworząc coś w rodzaju wirów pustki w materii świata. Nie musiała ich dotykać, by wyczuć bijące z nich zło, ich nieprawość.

Co zrobić, by zniknęła?

Blask słońca najwyraźniej nie miał na nią wpływu.

Bo i dlaczego miałyby go mieć?

Przed tysiącami lat te krople Lucyferowej posoki spoiły się z egipskim piachem, tworząc czarne szkliwo przesycone nikczemnością. Ich powłoka osłaniała wewnętrzną ciemność przed słonecznym światłem. Skoro nie zaszkodził im skwar dwóch tysięcy lat na pustyni, to zwyczajne promienie włoskiego słońca także nie miały szans.

A gdyby...

Wzrok Erin padł na przycisk do papieru stojący na rogu biurka Bernarda. Miał on kształt anioła, ale, co ważniejsze, był ciężki.

Chwyliła go, uniosła wysoko i rąbnęła matowoczną kulkę, tak że rozleciała się na proch.

Z drugiego końca pomieszczenia dało się słyszeć wycie, a potem syk Bernarda.

A więc poczułeś, co?

Unosiła przycisk raz po raz, krusząc jedną kroplę po drugiej. Po każdym uderzeniu z proszku wzbijała się smużka czarnego

dymu.

Wirowała kuliście w powietrzu, czmychając przed blaskiem słońca, a następnie spływała po krawędzi biurka ku podłodze i wnikała w nią.

Erin przypominała sobie słowa Elżbiety, która opowiadała, że po śmierci *strigoi* ulatywały z nich smutki ich esencji i powracały do swojego źródła.

Lucyfer.

Kiedy zdruzgotała ostatni kawałeczek obsydianu, kardynał Bernard wypuścił głośno powietrze i jego ciało runęło z łoskotem na podłogę.

8.12

Rhun uklęknął nad kardynałem i przystawił sztylet do jego gardła, gotów uśmiercić starego przyjaciela. Jordan podniósł z podłogi porzucony miecz i stał czujnie tuż obok sangwinisty. Dwaj odziani w płaszcze wartownicy, ściągnięci odgłosami walki, wtargnęli do pomieszczenia z obnażonymi mieczami.

– Pilnujcie drzwi! – krzyknął Rhun, który bał się, że w rezydencji może się kryć więcej złej mocy. – Nie wpuszczajcie nikogo bez mojego pozwolenia!

Wartownicy skinęli głowami i wrócili na posterunek.

Sangwinista patrzył na twarz kardynała. Wyraz szaleństwa w jego oczach powoli zanikał. Pojawiło się w nich coś, czego ksiądz nigdy nie widział.

Niepewność.

Rhun wyprostował się, odsuwając sztylet, lecz nadal trzymał go w pogotowiu.

Bernard usiadł i ogarnął ręką strzępy odzienia, jakby chciał zachować resztkę godności. Jego drżące dłonie spoczęły na kolanach.

Erin podeszła, wciąż dzierżąc w rękach posążek anioła. Jego pękniętą dolną część pokrył czarny pył.

– To przez te krople Lucyferowej krwi – powiedziała.

Rhun skinął głową, potwierdzając jej wniosek.

– Zostawiłem je po powrocie z Egiptu. Zamknąłem w sejfie kardynała. To moja wina.

– Nie... – Bernard pokręcił głową. – Pycha kazała mi wierzyć, że mogę igrać z ciemnością i pozostać nietknięty.

– Ale czemu w ogóle się z nimi bawiłeś? – chciał wiedzieć Jordan.

– Miałem nadzieję, że czegoś się dzięki nim dowiem, czegoś o Lucyferze – odparł kardynał, spoglądając na Rhuna. – Wczoraj wieczorem, kiedy ojciec Gregory poinformował mnie, że wracasz z Pragi, że chcesz zadawać pytania związane z kamieniami Lucyfera, przypomniałem sobie, co przywiozłeś z Egiptu.

– Szklane kamienie – rzucił ksiądz.

– Chciałem poczekać z ich zbadaniem do czasu, aż wszyscy się tu znajdziecie, ale kiedy ojciec Gregory przyniósł je z sejfu w moim starym gabinecie, przyzwały mnie. Nie mogłem się oprzeć.

Rhun skinął głową i odwrócił się do towarzyszy.

– Dostrzegłem te same objawy u członków grupy, którzy podróżowali ze mną do Egiptu.

Bernard się rozglądał. Zdezorientowany, uniósł rękę do czoła.

– Nie wiem, jak długo byłem w ich mocy. Owładnęły mną, lecz nie dały nic w zamian.

– Ale teraz jesteś wolny – uspokoiła go Erin. – A my chcemy ci zadać pytania.

– O Hugona de Payensa – domyślił się ze smutkiem Bernard i pokiwał głową. – Ojciec Gregory powiedział mi i o tym. Chcecie poznać prawdę o moim przyjacielu.

Usłyszała ból i żal w głosie kardynała, gdy wymienił to imię i nazwisko.

– A więc Hugo de Payens nie zginął w czasie drugiej wyprawy krzyżowej, choć tak twierdziłeś – odezwała się łagodniejszym tonem.

Bernard przyznał się do kłamstwa; jego słowa były niewiele głośniejsze od szeptu.

Wyciągnęła rękę, by pomóc mu wstać.

– Jordan, przynieś koc.

Rhun zaprowadził kardynała do foteli obok kominka, uważając na odłamki pękniętej wazy na podłodze. Sierżant przyniósł z sąsiadującej z pokojem sypialni wełnianą kapę i podał ją Bernardowi. Ten okrył swoją nagość i westchnął z wdzięcznością; powoli odzyskiwał część dawnej godności. Znowu wyglądał jak mężczyzna, którego Rhun znał od tak dawna.

Erin usiadła naprzeciwko i nachyliła się ku niemu.

– Opowiedz nam, jak było naprawdę.

Kardynał spoglądał na zimny kominek nieobecny wzrokiem.

Jego myśli wędrowały w czasie.

– Hugo przyjął mnie, kiedy byłem dziką bestią. Modlił się za mnie, gdy byłem zgubiony.

Rhun nie znał tej historii.

– Mówisz, że to on cię nawrócił, wciągnął w szeregi sangwinistów?

Bernard potwierdził lekkim skinieniem głowy.

Książd znał kolosalną wagę takiego aktu, wiedział, jak silną więź może on stworzyć. To właśnie Bernard sprowadził go na świętą drogę, stał się jego mistrzem i przyjacielem i mimo tego, co niedawno uczynił, Rhun na zawsze pozostanie jego dłużnikiem. Więź łącząca kardynała z Hugonem de Payensem musiała być równie silna.

– Byłem zatraconym dzikusiem, kiedy mnie ocalił – ciągnął Bernard. – Wspólnie pozyskaliśmy wielu dla zakonu. Bardzo wielu.

Założyliśmy zakon templariuszy. Uczyniliśmy dużo dobrego.

– Dziewięciu mężczyzn połączonych więzią krwi – powiedziała cicho Erin. – Zakon sangwinistów, mnichów-wojowników.

– Kim właściwie byli sangwiniści templariusze? – spytał Jordan.

Kardynał spojrział na rośłego sierżanta i z odrobiną dumy uniósł głowę.

– Byliśmy zakonem wewnątrz zakonu, mogliśmy walczyć z przeciwnikami z krwi i ciała oraz z tymi, których duszami zawładnęło zło. Naszą zbroją była wiara, nie tylko metalowa kolczuga. Nie lękaliśmy się ani ludzi, ani demonów.

– A więc naprawdę jesteś Bernardem de Clairvaux? – wciąż nie mogła uwierzyć Erin.

– Jestem nim. Razem z Hugonem dokonaliśmy wielkich rzeczy, zjednoczyliśmy rozproszonych templariuszy pod wspólnym sztandarem, daliśmy im jedność i siłę w dążeniu do celu. – Rozejrzał się. – Musicie zrozumieć, że on był wielkim przywódcą. Miał charyzmę, zrozumienie i współczucie. Mężczyźni, nie tylko sangwiniści, stawali za nim, na jedno jego słowo byli gotowi oddać życie. Ale z czasem przekroczyło to miarę.

– Znałem takich jak on – wtrącił Jordan. – Cecha, która czyni człowieka przywódcą, empatia, nierzadko sprawia, że są bardziej podatni na wyczerpanie bitewne i padają ofiarą zaburzeń pourazowych.

– Co się stało z Hugonem? – dociekała Erin.

Bernard westchnął ciężko.

– Po drugiej krucjacie opuścił templariuszy. – Popatrzył na Rhuna. – Prawdę rzekłszy, całkowicie odszedł z naszego zakonu.

– Opuścił sangwinistów? – Ksiądz nie potrafił ukryć, że wiadomość ta nim wstrząsnęła.

Sangwiniści nie odchodzą. Giną w bitwach, służąc Kościołowi, wyrzekają się ślubów i wracają do swej złej natury, a wtedy trzeba na nich polować i uśmiercać. Jedynym sangwinistą, który uniknął takiego losu, był Rasputin. W ramach Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej stworzył własną skrzywioną wersję zakonu z warownią w Sankt Petersburgu, poza zasięgiem sangwinistów.

Wyglądało jednak na to, że był ktoś jeszcze.

– Dokąd się udał? – spytał Rhun.

Kardynał spojrział na swoje ręce.

– Z początku wędrował daleko i szeroko, w samotności, jako eremita i nomada. W końcu osiadł w górskim zakątku Francji w pustelni, którą sam wzniósł. Tam odnalazł nieco spokoju, odkrył błogosławieństwo w dzikich ostępach.

– Co chcesz powiedzieć? – indagował Rhun. – Że stał się znowu *strigoi*?

Bernard pokręcił głową.

Rhun usiłował zrozumieć.

– A więc jak zdołał przeżyć bez ochrony Kościoła?

– Po prostu przeżył – odrzekł wymijająco Bernard, nie patrząc mu w oczy.

Erin dopowiedziała część historii: – To dlatego rozpuściliście wieść o jego śmierci, prawda? Hugo de Payens odszedł z zakonu, ale nie wrócił na złą drogę. Znalazł własną, która także prowadziła do błogosławieństwa, ale niezależną od Kościoła.

Rhun wlepił w nią wzrok, nie mogąc pogodzić się z jej słowami.

Nie ma innej drogi do stanu łaski niż pokorna służba Kościołowi.

Jemu i wszystkim innym sangwinistom wpajano tę prostą prawdę od czasów Łazarza.

– Nie wolno mi było nikomu tego powiedzieć – wyjaśnił Bernard.

– A gdyby inni sangwiniści postanowili opuścić zakon? Wymyśliłem więc historię o szlachetnej śmierci, o życiu poświęconym służbie Kościołowi. Ale to nie jedyny powód mojego kłamstwa.

– Jaki jest ten drugi? – chciała wiedzieć Erin.

– Kiedy Hugo zaczął mówić o odejściu z zakonu, wiedziałem, że go za to zabiją. Zmyśliłem tę bajeczkę, żeby go ocalić. – Kardynał spojrzał na Rhuna, jakby szukał u niego rozgrzeszenia. – Okłamałem zakon. Okłamałem Kościół. Oni tropiliby go i ścigali jak zwierzę, a on nie był zwierzęciem. Był moim przyjacielem.

Rhun opadł ciężko na fotel; osłabiały go zarówno rany, jak i rewelacje ujawnione przez Bernarda.

Sangwinista znalazł błogosławieństwo poza Kościołem!

Kręciło mu się w głowie. Wstąpił do zakonu, bo uważał, że tylko w ten sposób może żyć ze swoją klątwą. Przedstawiono mu prosty wybór: giń jako *strigoi* lub żyj w habicie, niosąc pomoc innym. Wtedy, przed wiekami, Rhun już kroczył drogą ku kapłaństwu, pobierał nauki w seminarium, toteż decyzja była łatwa: postanowił służyć. Zdawało mu się, że to jedyny sposób.

Kiedy przed niespełną stuleciem Rasputin wystąpił z Kościoła i stworzył armię wyznawców dość silną, by obroniła go przed kościelną sprawiedliwością, wiara Rhuna się nie zachwiała. Żywot Rasputina znaczyły nikczemność i fałsz, Rhun nie zamierzał pójść za jego przykładem. Teraz jednak usłyszał, że istniała jeszcze inna droga.

Przeraziło go to, a jednocześnie wzbudziło w nim gniew.

Skierował spojrzenie na okna, przez które wlewał się do wnętrza blask słońca.

Czyżby całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem?

8.25

Erin zauważyła, że Rhun niemal osunął się bezwładnie na fotel, i zobaczyła na jego twarzy smutek osamotnienia. Wiedziała, że w ciągu ostatniej doby przeżył zbyt wiele – ledwie uniknął śmierci i stracił rękę – lecz przyszło jej na myśl, że to, co przed chwilą usłyszał, zrani go jeszcze mocniej, a ta rana nie zagoi się szybko, jeśli w ogóle kiedyś to nastąpi. Zdawało jej się, że widzi, jak kruszy się w nim fundament wiary w Kościół.

Teraz jednak mieli bardziej naglące kwestie do omówienia.

– Czy Hugo wciąż żyje? – zwróciła się do Bernarda.

– Tak, żyje.

Rhun posłał mu twarde spojrzenie, ale kardynał unikał jego wzroku.

– Dalej mieszka w swojej górskiej pustelni – oznajmił.

– Czy wiadomo ci coś o tych kamieniach? – Erin skinęła głową na Jordana, a on wyjął z kieszeni fragmenty zielonego diamentu.

– Hugo przekazał ten kamień Johnowi Dee... ten i być może jeszcze dwa podobne.

– Nic nie wiem. Właśnie dlatego wdałem się w rozgrywkę z tymi przekłętymi zastygłymi łzami.

Jordan schował diament.

– A więc wygląda na to, że musimy się wybrać do samego źródelka. Jeśli chcemy się czegoś dowiedzieć, musimy złożyć wizytę temu starszemu panu.

Właśnie tak.

– Powiedz, jak możemy go znaleźć – spytała Erin kardynała.

Ten uniósł rękę, ale po chwili opuścił ją na kolano w geście rezygnacji.

– Nie wystarczy tak po prostu poprosić o audiencję u Hugona de Payensa. Ziemskie sprawy go nie obchodzą, a jego pustelnia jest dobrze strzeżona.

– Strzeżona? – zdziwił się Jordan i zmarszczył czoło. – W jaki sposób?

– Musicie wiedzieć jedną rzecz: Payens stał się wielkim przywódcą dzięki temu, że potrafił czytać w sercach ludzi. Często kroć znał ich lepiej niż oni siebie. Czytał nie tylko w ludzkich sercach. Żył w bliskim związku ze wszystkimi boskimi stworzeniami i stał się wielkim admiratorem świętego Franciszka z Asyżu.

– Patrona przyrody i zwierząt – dopowiedziała Erin.

Znała podania związane z tym włoskim świętym, legendy opowiadające o tym, że nawet ptaki zlatywały się, by słuchać jego kazań, i siadały mu na barkach. Mówiono, że Franciszek oswoił dzikiego wilka, który terroryzował pewną wioskę. Nie było w tym nic dziwnego, że Hugo darzył podziwem tak niezwykłą postać.

Bernard spuścił wzrok i na jego ustach zagościł smutny uśmiech.

Było jasne, że darzy de Payensa niekłamaną miłością.

– Żartowano, że Hugo potrafi przemawiać do zwierząt. W czasie krucjat wierzchowce bojowe chodziły za nim niczym psy. Robiły dla niego wszystko, rzucały się w szarżę w najgęstszy wir walki albo nawet w ogień, jeśli rozkazał. Myślę... myślę, że

ich krew plamiła jego dłonie bardziej niż krew ludzi, którzy walczyli u jego boku. W pojęciu Hugona były to niewinne istoty, które poniosły śmierć tylko dlatego, że dochowały mu wierności. Po pewnym czasie ciężar stał się za wielki.

Erin rozumiała to doskonale. Nie zapomniała o śmierci swoich studentów w Egipcie.

– Doszło do tego, że Hugo nie potrafił się zmusić nawet do zabicia blesfemora.

– Myślałem, że musicie zabijać wszystkie przekłete stworzenia – odezwał się Jordan. – Że obowiązuje was rozkaz „zabić na miejscu”.

– Owszem. Są to bowiem stwory splugawione złem. I w odróżnieniu od *strigoi* nie sposób ich nawrócić. Tylko zagłada kładzie kres ich cierpieniu.

– Wiesz to na pewno? – Erin teraz już wiedziała, że wiele z tych wykutych w kamieniu wyroków jest błędnych. – Dlaczego nie może istnieć inna droga do ocalenia tych biednych zwierząt? Może także nawet dla *strigoi*?

– Hugo by ci przyklasnął – rzekł Bernard. – Zdaje mi się, że właśnie ta myśl przyciąga blesfemory do jego pustelni. Przybywają zewsząd, z dalekich stron, samotne bydłeta oddzielone od krewnych, którzy sprowadzili je na świat. Szukają pocieszenia i ochrony, które daje im Hugo.

– Co takiego?! – rzucił Rhun i wyprostował się. Na jego twarzy odmalował się lęk.

– I nie tylko nieczyste zwierzęta do niego lgną – ciągnął Bernard – *strigoi* także.

Ksiądz wstał.

– A ty trzymałeś to przed nami w tajemnicy?

– Niech no zgadnę – powiedział Jordan. – Właśnie to miałeś na myśli, mówiąc, że jego kryjówka jest strzeżona. Ten gość ma na swoje rozkazy wierną armię *strigoi* i blesfemorów, które zapewniają mu ochronę.

Bernard spuścił głowę i była to wystarczająca odpowiedź.

– No to pięknie – mruknął pod nosem sierżant.

Kardynał spojrział na rozmówców.

– Mówię wam o tym wszystkim, bo jednocześnie wskazuje wam to drogę do niego. – Odwrócił się do Rhuna. – To ty przywiozłeś tutaj klucz, który otworzy serce Hugona.

19 marca, 8.55

Castel Gandolfo, Włochy

Jordan patrzył, jak kardynał kładzie telefon na blacie biurka.

– Już – oznajmił Bernard, a potem szybkim krokiem, na drżących wciąż nogach, podszedł do fotela. – Klucz za chwilę się tu znajdzie.

Sierżant spojrzał na Rhuna, czekając na wyjaśnienie. Erin przyklękała obok fotela i obejrzała bandaż na kikucie ręki sangwinisty. Po niedawnej walce na gazie były plamy krwi. Rhun powiedział kiedyś Jordanowi, że u sangwinisty wszystkie doznania są spotęgowane, ból również. Jeśli to prawda, sierżant mógł sobie jedynie wyobrazić, jakie katusze cierpi w tej chwili Rhun.

– No dobra, kardynale – rzekł Jordan. – Może powiesz nam coś więcej o ochronie kryjówki Hugona, żebyśmy wiedzieli, co nas tam spotka.

Bernard potarł ręką brodę.

– Aby to zrozumieć, musicie poznać jego filozofię. Zanim odszedł z zakonu, odbyłem z nim wiele rozmów. Jeśli idzie o blesfemory, a właściwie także o *strigoi*, to Hugo nabrał przekonania, że wszystkie są stworzeniami boskimi, a ich jedyny grzech polega na tym, że skradziono im niewinność.

– I trudno odmówić mu racji – zauważyła Erin. – Nie mieli nic do powiedzenia, kiedy ulegali zepsuciu. Przeważnie narzucano je im wbrew ich woli.

– To nie ma nic do rzeczy — rzucił Bernard. – Wszyscy rodzimy się z grzechem pierworodnym, który plami nasze niewinne dusze za sprawą nieposłuszeństwa popełnionego przez Adama i Ewę w Rajskim Ogrodzie. Dopiero dzięki świętemu obrzędowi chrztu zostajemy z niego oczyszczeni.

Erin ten argument nie przekonywał.

– Wtedy – ciągnął Bernard – uważałem, że wywód mojego przyjaciela ma jedynie teoretyczny charakter. Potem odszedł i rozpoczął wędrówkę po świecie, a ja nie miałem od niego żadnej wiadomości.

Doszedłem do wniosku, że zginął tak jak wielu, którym zabrakło ochrony Kościoła.

– Ale on przeżył – powiedział Jordan.

– Pewnego dnia dostałem od niego list. Napisał mi, że osiedlił się w górach we Francji i że odnalazł spokój duszy, dając opiekę zagubionym i złamanym stworzeniom z całego świata.

– W tym blesfemorom i *strigoi*? – chciała się upewnić Erin.

Bernard skinął głową.

– Nikogo o tym nie poinformowałem. Hugo życzył sobie, aby zostawiono go w spokoju, by mógł żyć na swojej górze tak jak święty Franciszek z Asyżu. Postanowiłem to tolerować tylko dlatego, że nie pozwalał zabijać na jej stokach. Nawet tym, którzy cieszą się jego opieką, nie wolno zabijać, chyba że zmusza ich do tego konieczność ochrony wspólnej siedziby.

Jordan nie był zachwycony tą informacją.

– Jak przedostaniemy się przez to wąskie gardło, nawet jeśli będziemy mieli ze sobą ten klucz, o którym wspomniałeś?

– Musicie zbliżyć się do góry nie po to, by ją oblegać, lecz jako petenci. – Bernard popatrzył twardym wzrokiem na Jordana, a potem na Rhuna. – Oznacza to, że nie wolno wam zrobić krzywdy żadnemu stworzeniu, które napotkacie na zboczach góry, bez względu na to, jak trudne to dla was będzie. Jeśli postacie inaczej, nie tylko utracicie szansę na spotkanie z Hugonem, ale prawdopodobnie zostanieie strąceni z góry do samego jej lesistego podnóża.

– A więc mamy się wspinać po zboczu góry opanowanej przez potwory i za każdym razem, gdy nas zaatakują, nadstawiać drugi policzek – podsumował Jordan.

Bernard uniósł palec.

– Musicie także przynieść dar, i to taki, którego Hugo za nic nie zdoła odtrącić.

Co by to mogło być?

– Kiedy już zwrócicie na siebie jego uwagę – kontynuował z naciskiem kardynał – przyjdzie wam przekonać go, żeby wam dopomógł.

Będziecie musieli dowieść, że wasza misja jest godna wsparcia, że przysłuży się dobru wszystkich, nie tylko sangwinistów, ale każdego stworzenia bożego.

– Spacer w parku, nie ma co! – rzucił kpiąco Jordan. – A mamy najwyżej dzień lub dwa, by namówić go, żeby pomógł nam ocalić świat.

Zdezorientowany Bernard ściągnął brwi.

– Z malowidła w laboratorium Edwarda Kelly'ego dowiedzieliśmy się, że na powstrzymanie Lucyfera mamy czas mniej więcej do południa w dniu wiosennej równonocy. Właśnie wtedy zerwie okowy, które go krępują.

Jordan zerknął na zegarek, Erin zaś dokończyła: – Czyli zostało nam jakieś dwadzieścia siedem godzin.

– Ale być może nie chodzi o tegoroczną wiosenną równonoc – dodała po chwili. – Tamten fresk namalowano przed wiekami. Kto może wiedzieć na pewno, co zainspirowało jego twórcę?

Kardynał nie wyglądał na przekonanego, Jordan również.

– Sytuacja na świecie pogarsza się z godziny na godzinę – powiedział ten pierwszy. – Równowaga między dobrem a złem przechyla się w stronę katastrofy. Nawet gwiazdy sprzysięgły się przeciwko nam, bo wszystko wskazuje na to, że jutrzejsza równonoc jest ważna.

– Dlaczego? – zapytała.

– Nie słyszałaś? – zdziwił się Bernard.

– Byliśmy trochę zaabsorbowani – odrzekł Jordan.

– Będzie zaćmienie Słońca... częściowe.

Erin zmarszczyła czoło.

– Słońce przedstawione na tym fresku miało krwistoczerwony kolor. Może malarz chciał w ten sposób zasygnalizować zaćmienie.

Zanim dyskusja potoczyła się dalej, ktoś zapukał. Wszyscy zwrócili głowy w stronę ciężkich drzwi, które się otworzyły.

Jeden z wartowników stanął w nich i zawołał dziwnie nerwowym głosem: – Ojczy Korza, ten przybysz mówi, że go wzywał. Że chciał widzieć ich obu.

Sangwinista usunął się i w drzwiach stanął pierwszy z przybyszów; był nim puciołowaty Patrick. Rhun wstał i uniósł rękę na powitanie.

Ale z kim mógł...

Śnieżnobiały kształt śmignął obok nóg mnicha, niemal go powalając.

Jordan zamrugał ze zdziwienia oczami. Stworzeniem towarzyszącym Patrickowi był młody lew wielkości owczarka niemieckiego; miał futro jak śnieg, srebrzyste pazury i oczy w kolorze złocistego brązu.

Lew rzucił się do szarzy korytarzem, z którego wchodziło się do sypialni, a Jordan przesunął się, by zasłonić sobą Erin. Kot jednak bez wahania skoczył na Rhuna, przewrócił go na podłogę i zaczął lizać go po twarzy.

Jordan usłyszał najosobliwszy ze wszystkich dźwięk.

Był to śmiech Rhuna.

Potem lwiątko spojrzało na Jordana, jednym susem znalazło się obok niego i obwąchało jego stopy, łydki i uda. Musiał odepchnąć nos wścibskiego zwierzaka od swojego krocza.

– Cześć, cześć, ja też się cieszę. – Sierżant spojrzał na Bernarda.

Pamiętał jego opowieść o tym, że Hugo de Payens kocha zwierzęta. – Jeśli miałbym zgadywać, to powiedziałbym, że to właśnie jest klucz do serca twojego przyjaciela.

Kardynał popatrzył na młodego lwa z nietajoną tęsknotą.

– Ten zwierz jest czymś znacznie ważniejszym.

Jordan przyklęknął na kolano, wsunął palce w niewielką jeszcze grzywę i podrapał lwiątko po karku. Będzie z niego niezwykły okaz.

Kot odwdzieczył się, pukając go łbem w czoło.

Kiedy ich głowy się zetknęły, Jordana przeszył nagły prąd. Blizny na barku i klatce piersiowej rozпалиły się ogniem.

Co, u diabła ciężkiego?

Złociste ślepiea wpatrzyły się w jego oczy i Jordan nie mógł oderwać od nich wzroku. Wyczuł bratniego ducha, tak jak on dotkniętego palcami aniołów.

Bernard miał rację.

O tak, jest w tobie o wiele więcej, niż widać na pierwszy rzut oka, malutki.

Nagle lew warknął na niego i obnażył kły.

9.04

Rhun, zaskoczony nagłym wybuchem agresji wobec Jordana, wyciągnął rękę do lwiątko. Zanim jednak jego palce sięgnęły grzbietu zwierzęcia, okręciło się i uciekło susami. Nie przestając syczeć, wyszło na korytarz ze zjeżoną sierścią.

Brat Patrick, który obserwował jego zachowanie, uniósł dłoń.

– Zostaw go! Zwęszył jakiś zapach!

Lew tymczasem skierował się do sypialni, w której panował mrok.

– Przed chwilą przyniosłem stamtąd koc – powiedział Jordan.

– Nic tam nie było.

Na wypadek gdyby sierżant się mylił, Rhun podniósł z podłogi karambit i ruszył w ślad za polującym lwem. Reszta podążyła za nim.

– Patricku! – zawołał. – Ściągnij strażę!

Lew sunął z tułowiem tuż nad podłogą, machając gniewnie ogonem. Zmierzał do zabytkowej szafy stojącej obok łóżka. Warczenie zamarło, lecz młody zwierz dalej wpatrywał się w drzwi.

Coś się tam kryło.

Rhun poczekał na wartowników, a potem mijając lwiątko, skierował się ku szafie.

Jordan stanął przy drugim boku młodego kota z mieczem w dłoni.

Wolną rękę wysunął ku klamce szafy i spojrzał pytająco na Rhuna.

Ten skinął głową.

Sierżant szarpnął i z szafy skoczyła na nich mała, ciemna postać.

Pchnęła go z impetem, rzucając go na ramę łoża. Rhun machnął zakrzywionym sztyletem i przeciął skórę stwora, lecz cięcie było powierzchowne.

Napastnik poruszał się z nadnaturalną szybkością *strigoi*. Rhunowi mignął jednak przed oczami biały kołnierzyk. A więc mieli do czynienia z sangwinistą.

Bernard skoczył do Erin, okręcił się i chwycił miecz jednego z wartowników. Potem zrobił pełny obrót, zamachnął się i trafił ostrzem w szyję czmychającego stwora. Głowa poleciała na korytarz, a ciało runęło na podłogę. Rhun rozejrzał się po pokoju, żeby sprawdzić, czy nie czai się w nim więcej zagrożeń.

– Światło! – krzyknął Bernard, kierując ostrze miecza przed siebie. – Rozsunąć zasłony!

Wartownicy szarpnęli ciężkie jedwabne kotary i do korytarza wlał się blask słońca.

Kardynał podszedł i odwrócił głowę tego, który przypuścił atak.

Cofnął się o krok, a na jego twarzy malował się wyraz szoku.

– To jest... ojciec Gregory.

Rhun odciągnął kardynała ku gabinetowi, byle dalej od głowy byłego asystenta, i krzyknął na wartowników: – Przeszukajcie apartamenty! I zwłoki także. Sprawdźcie, czy na ciele są czarne znaki.

Wszyscy podążyli za nim do gabinetu, nawet lew.

Erin stała, obejmując się rękami, jej oczy błyszczały. Wiedziała, że teraz już nigdzie nie mogą się czuć bezpieczni.

Rhun chętnie by ją pocieszył, ale wiedział, że ona słusznie się martwi.

– Czy to... – zaczął Bernard lekko drżącym głosem. – Czy to mogły sprawić krople krwi Lucyfera? Może zawładnęły nim tak jak mną.

To Gregory mi je przyniósł.

– Nie – zaprzeczyła pewnym głosem Erin. – Twój asystent powinien zostać wyzwolony, kiedy pogruchotałam kamienie. Tak jak stało się z tobą. Myślę, że wczoraj wieczorem celowo ci je przyniósł, wiedząc, że zło wyciągnie po ciebie ręce. Nim kierowała jakaś inna moc.

Jej przypuszczenie potwierdził jeden ze strażników.

– Pozostałe pomieszczenia są czyste. Ale na dolnej części kręgosłupa ojca Gregory'ego znaleźliśmy odcisk czarnej ręki.

– Legion – powiedziała Erin.

– A więc jego zła moc wciąż żyje. – Tego właśnie Rhun się obawiał.

– Na to wygląda. – Spojrzała w głąb korytarza. – A jeśli podsłuchiwał naszą rozmowę, musimy przyjąć założenie, że wie tyle samo co my.

Jordan podszedł do niej.

– W takim razie musimy dostać się do Hugona, zanim zrobi to Legion – powiedział.

Bernard skinął głową.

– Macie jedną przewagę.

– Jaką mianowicie? – zapytał sierżant.

Kardynał skierował spojrzenie na młodego lwa.

– To stworzenie jest błogosławione.

Zaskoczony Rhun popatrzył na Patricka.

– Nie wyjawilem naszej tajemnicy – oznajmił mnich.

– To prawda – potwierdził Bernard, chociaż Rhun już mu nie ufał.

– Nic nie ukryje się przed oczami i uszami tych, którzy są wobec mnie lojalni, ani tu, ani w Watykanie. Poza tym niełatwo jest przeoczyć lwa na terenie papieskiej posiadłości. Zwłaszcza

takiego jak ten. – Położył rękę na łbie zwierzaka, on jednak ją strząsnął.

Bez wątpienia wiedział, kto jest dobry, a kto zły.

– To zupełnie nowe stworzenie – mówił kardynał – i dlatego zafascynuje Hugona de Payensa.

Lwiątko potarło pyskiem o udo Rhuna i z jego piersi wydobył się głęboki pomruk. Sangwinista dotknął jedwabistego łba. Erin uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Lew obwąchał ją, a potem dla zabawy szturchnął nosem jej dłoń.

– Gdzieś ty go znalazł? – zapytała.

Rhun pokrótce opowiedział historię lwiątka.

– Myślę, że to anielski ogień ocalił to młode w łonie matki i dał mu błogosławieństwo.

– Jeśli masz rację – Jordan spoglądał z namysłem na zwierzaka – to znaczy, że mnie uzdrowił ten sam ogień. Dar od Tommy'ego. – Spojrzał na zwierzaka. – A więc jesteśmy jakby braćmi krwi, malutki.

Rhun popatrzył na jednego i drugiego. Ich błogosławieństwo rzeczywiście pochodziło z tego samego źródła. Może istniał jakiś powód, dla którego obaj znaleźli się w tym samym pomieszczeniu.

Dostrzegł nadzieję w tym drobnym zrzędzeniu opatrzości.

Jednocześnie czuł sączący się strumień lęku; wiedział, że przeciwnik wciąż gdzieś jest – czarne lustro odbijające jasność, która zagościła w tym miejscu. Wróg zdołał przeniknąć do samego serca zakonu i wsączyć w nie truciznę.

Komu więc mogli zaufać?

Popatrzył na Erin i Jordana. Tylko jednego był pewien.

W nich, w ich sercach mogę pokładać ufność.

19 marca, 10.01

Praga, Czechy

Legion odczuł, jak jedna czarna nić, przecięta srebrem, została od niego oddzielona. Jego świadomość zwinęła się i cofnęła, i znów wróciła do lodowatej ciemnej celi pod starym budynkiem w Pradze.

Ci, którzy mieszkali na wyższych piętrach, już nie żyli, bicie ich serc zastygło na wieki.

Otworzył usta i wpuścił więcej krwi na wysuszony język i do poparzonego gardła. Miał teraz niewiele sług, bo tylko tylu mógł kontrolować swoim dotkliwie zrujnowanym naczyniem. Rana ziejąca w jego klatce piersiowej już się zamknęła. Pogruchotane kości zasklepiły się i połączyły. Zwęglona ogniem skóra odpadła wielkimi płatami niczym skóra węża, a wraz z nimi przeszłość.

On jednak trzymał się przeszłości, pozwolił, by przenikała kruche ciało jak parzący ogień.

Przypomniwał sobie pazury i kły, które wywlekły go z dymiącego gruzu domu pełnego zła. Schodami ściągnęły go w ciemność. Znał swojego dobroczyńcę. Leżał obok niego, drzemiąc, i oddychał wielkimi haustami powietrza, ale wciąż czuwał i chronił.

Wilkozor.

Znalazłszy się w tym miejscu, Legion usunął swój cień z gasnącego płomyka Leopolda. Musiał właśnie tu ratować nikłą iskrę życia i rozpalić na nowo płomień. Gdyby Leopold umarł, przyczółek Legiona w tym świecie uleciałby, a on znów wpadłby

w pozbawioną formy ciemność. Pielęgnował więc ten płomyk, ratując naczynie. Kosztowało go to mnóstwo wysiłku i skupienia, musiał poświęcić wiele nici i uwolnić tych, których wcześniej zniewolił.

Lecz nie wszystkich.

Głodujące drzewo odrzuciło konary, ale korzeń przetrwał.

A ja znów odrosnę i będę jeszcze silniejszy.

Kiedy wilk przywłókł go w to miejsce, Legion sięgnął do tych, którzy wciąż nosili jego jarzmo, i sprowadził ich tutaj. Dokonali rzezi, by zdobyć świeżą krew, dzięki której mógł przywrócić do życia i wzmocnić swoje naczynie. Zaglądał w oczy sług i sprawdzał, ilu z nich nie przybyło na wezwanie; dotykał tych, którzy nie wyzwolili się, kiedy upadł, znów ich zawłaszczając i popychając w jednym kierunku.

Wszystkich z wyjątkiem jednego.

Legion skierował swoją świadomość w księdza, członka zakonu sangwinistów. Naznaczył go przed opuszczeniem Rzymu. Dowiedział się o nim od sangwinistki, którą napiętnował w cieniu murów Watykanu. Jakże łatwo było wywabić go, wykorzystując jego naiwną wiarę pokładaną w siostrze zakonnicy, która doprowadziła go do Legiona.

Ksiądz wrzeszczał wniebogłosy na widok Legiona, lecz to się skończyło, kiedy go przytrzymało i zdarto z niego odzienie. Legion położył dłoń nisko na plecach księdza i tam ukrył swój znak.

Przez te same oczy i uszy szpiegował wrogów, dowiadywał się tego, co wiedzą.

I teraz ja także to wiem...

W Pradze nie powiodła się próba zatrucia ich czarną krwią mrocznego anioła, ale wiedział, dokąd się udadzą.

I ja również się tam udam...

Aby odnaleźć kamienie.

Potrzebował wszystkich trzech, by zwielokrotnić ich moc i wykuć klucz do kajdan Lucyfera. Wtedy rządy ludzkości znajdą swój kres wśród płomieni.

Poszukał dłonią cielska wilka, wyczuł dzikość czającą się za
zepsuciem i złożył mu obietnicę.
Przywrócę ci twój raj – tobie i sobie.
Twojemu nowemu czarnemu królowi.

CZĘŚĆ PIĄTA

Wtedy wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z koźlęciem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą społem i mały chłopiec będzie je poganiał.

Krowa i niedźwiedzica przestawać będą przyjaźnie, młode ich razem będą legaty.

Lew też jak wół będzie jadał słomę.

Niemowlę igrać będzie na norze kobry, dziecko włoży rękę do kryjówki żmii.

Zła czynić nie będą ani zgubnie działać po całej świętej mej górze, bo kraj się napęlni znajomością Pana, na kształt wód, które przepęlniają morze.

Księga Izajasza 11, 6-9

19 marca, 14.14
Pireneje, Francja

Jordan stał na otwartej łące, za jego plecami cichło wycie silnika śmigłowca. Wciągnął głęboko do płuc haust pachnącego sosnami powietrza, które wiatr niósł z wysokiej góry. Jej granitowy wierzchołek nadal spowijał zimowy śnieg, lecz zbocza pokrywała już świeża wiosenna zieleń. Popołudniowe słońce zabarwiało ją na wszystkie odcienie szmaragdu.

– Trzeba przyznać, że ten facet, szalony czy nie, wybrał sobie na siedlisko ładny kawałek zielonej bożej ziemi – powiedział Jordan.

Erin podeszła do niego, krocząc sztywno wśród trawy i koniczyny.

Upadek przez dach domu w Pradze najwyraźniej nie pozostał bez śladu. Potrzebowała więcej czasu na to, by wydobrzeć, ale czasu nie było. Sierżant spojrział na słońce; jego towarzysze mieli nadzieję, że przed zachodem opuszczą góry.

Zerknął na nich przez ramię. Sangwiniści prezentowali się niewiele lepiej niż Erin: Rhun bez jednej ręki poruszał się niezgrabnie, twarz Sophii znaczyła długa szrama, Christian zaś pod długimi rękawami habitu ukrywał bandaż.

Ostatnia członkini grupy wyglądała na najsilniejszą z sangwinistów. Elżbieta zrzuciła habit mniszki i włożyła buty do marszu, spodnie i skórzany płaszcz do kolan. Można ją było wziąć za turystkę, która wybrała się na podbój góry. Zabrano ją

ze względu na jej dawną znajomość z Hugonem de Payensem. Liczył się każdy dostępny atut.

W tym także maskotka drużyny.

Rhun wypuścił lwa z klatki w tylnej części kabiny śmigłowca i zwierzak popędził po polu w pogoni za błękitnym motylem. Jordan zauważył łagodny uśmiech na twarzy sangwinisty, gdy ten patrzył na beztroskie brykanie lwiątko. Znikły gdzieś zmarszczki napięcia i bólu, które dostrzegł, kiedy tu lecieli. Sierżant nigdy nie widział, by coś odprężyło sangwinistę tak jak ten okazały już kociak.

Christian zabezpieczył śmigłowiec i podszedł do towarzyszy.

– Blżej nie możemy podlecieć. Bernard twierdzi, że Hugo de Payens nie wpuszcza dalej żadnych nowoczesnych pojazdów.

Jego słowa uświadamiały wszystkim, że znajdują się na terytorium wroga.

Plan przewidywał, że Christian zostanie przy maszynie, by jej pilnować, a zarazem czekać w gotowości, na wypadek gdyby konieczna była nagła ewakuacja grupy Erin, osłaniając oczy przed blaskiem, popatrzyła w górę na ośnieżony szczyt.

– W którą stronę się teraz skierujemy?

Rhun wyciągnął mapę i wszyscy skupili się wokół niej. Stuknął palcem w punkt położony dość wysoko na zboczu, w którym wijący się strumień oddzielał się od linii śniegu i biegł w dół, tworząc po drodze szereg sadzawek i wodospadów.

– Dokładne położenie pustelni Hugona nie jest znane, ale Bernard uważa, że znajduje się gdzieś w tej okolicy. Ruszemy w tamtym kierunku i będziemy liczyli, że dopisze nam szczęście.

– Mogłabym się założyć, że monsieur de Payens już wie o naszej obecności – odezwała się Elżbieta. – Przybyliśmy śmigłowcem, i bynajmniej nie po cichu.

– Właśnie dlatego będziemy postępowali zgodnie z hasłem skautów – odrzekł Jordan. – Bądź gotów.

Na wszystko, dodał w myślach.

Podniósł nieco wyżej pasek pistoletu maszynowego Heckler & Koch MP7, który trzymał na ramieniu. Miał także pistolet Colt

1911

w kaburze przy pasie, załadowany srebrnymi nabojami, a także powlekany srebrem sztylet przypasany do kostki.

Wziął sobie do serca ostrzeżenie Bernarda, że nie wolno zabijać żadnych stworzeń, ale nie chciał, by w razie walki nadstawianie drugiego policzka było jedyną opcją.

Pozostali także byli uzbrojeni. Erin wzięła colta 1911, sangwiniści natomiast mieli różnego rodzaju noże i sztylety.

– Chodźmy już, bo słońce nie będzie czekało – powiedział.

Ruszyli łąką w stronę lasu za swoją rozradowaną maskotką. Kiedy wkroczyli w cień drzew, przywitał ich świergot ptaków. Po kilku krokach znaleźli się wśród buków, które rosły tak gęsto, że miejscami musieli się przeciskać bokiem między szarymi pniami.

Bez wątpienia był to starodrzew, od wieków nietknięty ręką człowieka.

Najwyraźniej Hugo chronił swoje włości przed obcymi zakusami.

Baldachim gałęzi wznosił się coraz wyżej, a cienie gęstniały; trudno było uwolnić się od poczucia, że wędrują pierwotnym lasem.

Wydawało się, że przemierzają wnętrze naturalnej katedry.

W której można się było zagubić.

Lew ocierał się bokiem pyska o pnie, jakby znaczył drogę powrotu. Poza tym zachowywał się jak kociak: podrzucał łapami liście i robił susy przez krzaki. Kiedy jednak w górze zahukała sowa, podskoczył na wysokość prawie pół metra i wylądował na kupce szeleszczących liści i gałązek.

On także odczuwał napięcie.

A może tylko udzielił mu się nasz niepokój, pomyślał Jordan.

Pokonali marszem ponad półtora kilometra, wspinając się nad leżącymi pniami, okrążając buki, a czasem srebrne sosny; nigdy nie posuwali się długo w linii prostej. Jeśli utrzymają tempo, dotrą do miejsca wskazanego na mapie w ciągu godziny.

Dziesięć minut później Jordan wypatrzył starą ścieżkę jeleni.

Po niej będzie się szło szybciej.

– Tam – szepnął, nie chcąc podnosić głosu. Dziwny szacunek dla niezwykłego lasu był w nim silniejszy niż obawa przed zaalarmowaniem wroga.

Poszli ścieżką dzikiej zwierzyny i rzeczywiście posuwali się prędeż.

Raptem gdzieś na lewo głośno pękła gałązka. Trzask zabrzmiał jak wystrzał z broni palnej.

Jordan przesunął Erin za siebie i zwrócił się w tamtą stronę.

Sangwiniści stanęli u jego boków, a młody lew przykleił się do nóg Rhuna. Odgłos, który wydawał, był czymś pośrednim między pomrukiem a syczeniem.

Dziesięć kroków przed czołem grupy na szlak wyskoczył olbrzymi kudłaty pies i stanął. Jego czarne futro bardziej przypominało wyglądem cień niż materię i stanowiło w tym lesie doskonały kamuflaż.

Byłby perfekcyjny, gdyby nie nienaturalny purpurowy blask ślepi.

Blesfemor.

Jego grzbiet sięgał powyżej bioder Jordana. Kiedy spuścił łeb ze zwisającymi uszami, ukazała się długa mocna szyja i umięśnione cielsko. Można go było wziąć za niedźwiedzia, a nie psa.

Dobrze odżywionego niedźwiedzia.

Nawet ciemna sierść lśniła połyskiem.

Ten zwierz nie był zabłąkanym przybłądą.

Mimo że był przerośnięty i miał czarne futro, Jordan rozpoznał rasę, do której należał: duży pies pirenejski. Pierwotnie przeznaczone były do pilnowania owiec i miały łagodny charakter, lecz zaciekle broniły swoich panów i terytoriów.

Po obu stronach szlaku pojawiły się podobne cienie, sygnalizując swoją obecność.

Sierżant naliczył jeszcze cztery.

A więc stado.

Musiał przede wszystkim zadbać o bezpieczeństwo Erin.

Przesunął się pomału ku niej i splótł palce obu dłoni, żeby ją podsadzić.

– Wejdź na to drzewo – powiedział.

Nie zamierzała chojraczyć i momentalnie skinęła głową. Postawiła stopę na rękach Jordana, a on ją uniósł. Wyciągnęła rękę, chwyciła mocny konar buka i wspięła się.

On tymczasem ani na chwilę nie spuścił psów z oczu.

Stado poruszyło się, ale nie zbliżyło.

Opuścił nieco pistolet maszynowy, a sangwiniści przygotowali miecze i sztylety. Ich srebrne ostrza zalśniły, gdy padły na nie rozproszone promienie słońca przedzierające się przez zielony baldachim koron.

Po długiej pełnej napięcia chwili stado poruszyło się jednocześnie, jakby na sygnał niesłyszalnego gwizdka. Pierwszy pies kroczył zwierzęcym szlakiem prosto na Jordana. Pozostałe rozdzieliły się i zmierzały ku sangwinistom.

– Pamiętajcie, że nie wolno nam ich zranić – ostrzegł Rhun.

– Dobra, przyrzekam, że pierwszy nie ugryzę – odparł Jordan, mierząc z pistoletu wprost w warczący pysk.

Przewodnik stada, nie zważając na zagrożenie, zbliżał się coraz bardziej. Z jego pyska buchał cuchnący oddech, pysk marszczył się złowrogo.

Palec Jordana przywarł do spustu.

Trzeba podjąć decyzję.

Zabić, zranić, zawrzeć pokój.

Przypomniał sobie to, czego nauczono go w czasie szkolenia wojskowego.

Opuścił broń.

Postępować zgodnie z rozkazem.

Z mocno bijącym sercem wyciągnął rękę w stronę zwierzęcia.

– Nie zrobię ci krzywdy – wyszeptał cicho. – Daję słowo.

Mięśnie psa drgnęły. Skoczył na Jordana i kłapnął paszczą, zęby chwyciły palce.

Jordan zdążył cofnąć rękę, ale z koniuszków palców pociekła obficie krew.

Przynajmniej ich nie straciłem, pomyślał.

Uważnie obserwował przeciwnika. Może okaże się, że jego krew jest trująca dla psa, tak jak była trująca dla *strigoi* w podziemiach Pragi. Pies jednak tylko się skrzywił i oblizał pysk.

Niestety.

Skoczył, mierząc paszczą w szyję Jordana.

Ten rzucił się plecami na ziemię, uniósł nogi i kopnął zwierzę prosto w brzuch. Cios wyrzucił psa w górę i odwrócił w powietrzu.

Kiedy spadł na ziemię i zrobił zwrot, Jordan stał już na nogach naprzeciwko niego.

Z kłów zwierzęcia ciekła ślina, gdy powoli okrążył przeciwnika.

Jego stąpania na grubej kołdrze martwych liści były bezgłośnie.

Jordan dotknął rękojeści pistoletu, lecz po chwili opuścił rękę.

Nie mogę go zastrzelić.

– Dobry piesek! – zawołał, ponownie robiąc krok w stronę psa. Rozłożył ręce, pokazując, że nie ma złych zamiarów.

Kątem oka widział, że sangwiniści chronią go przed atakami pozostałych, uciekając się do przeróżnych środków obrony niegroźnych dla przeciwnika. Sprowadzało się to przeważnie do skoków i uników.

Ale jak długo tak można?

Pies spostrzegł, że uwaga przeciwnika została rozproszona, skoczył mu prosto na klatkę piersiową i powalił na ziemię. Jordan zdążył unieść rękę i zasłonić szyję, lecz zęby wbiły się głęboko w jego przedramię. Przetoczył się na bok i wyszarpnął sztylet z pochwy na kostce.

Już dość się nacierpiał w imię pokoju.

Pies warknął i wgrzył się w ciało aż do kości. Czerwone ślepia wpatrywały się z góry w Jordana. Nie było w nich gniewu ani złości, tylko zaciekle determinacja.

W uszach sierżanta rozległy się słowa, które wypowiedział Bernard: Nie wolno wam zrobić krzywdy żadnemu stworzeniu, które napotkacie na zboczach góry.

Celem misji było uzyskanie pomocy ze strony Hugona. To, co stanie się z nim, Jordanem, jest mało istotne w porównaniu z tym.

Wypuścił sztylet z palców.

Ponad uszami psa widział Erin rozpląszczoną na konarze drzewa.

Jej brązowe oczy rozszerzyły się z przerażenia. Mierzyła z pistoletu do psa.

– Nie strzelaj! – wykrztusił Jordan mimo potwornego bólu.

Żeby uniemożliwić jej oddanie strzału, szarpnął całym ciałem w bok, tak że pies znalazł się pod nim. Zasłonił go sobą. Musiał chronić to zwierzę. Jeśli ono zginie, misja zakończy się fiaskiem.

Tyle tylko, że pies nie został poinformowany o tym planie.

Warczący pysk wysunął się spod ramienia Jordana i kłapnął przed jego twarzą. Sierżant odrzucił głowę w tył.

To był błąd.

Żółte kły znalazły się przy odsłoniętej szyi.

15.18

Erin krzyczała, a pies potrząsał łbem, wbijając zęby coraz głębiej.

Z gardła Jordana tryskała krew i lała się do pyska leżącego pod nim psa.

Nadal mierzyła do niego z pistoletu, ale bała się strzelić, żeby przypadkowo nie trafić Jordana.

Rozejrzała się gorączkowo i zobaczyła, że troje sangwinistów także jest w tarapatach. Każde zmagало się z jednym psem, nie mogli się uwolnić od napastników i przyjść Jordanowi na pomoc.

Zwierz warczał i przetaczał się, rzucając nim jak szmacianą lalką, a on już się nie poruszał; jego głowa latała bezwładnie w szczękach potwora. Erin wymierzyła dokładniej, cel był teraz wyraźniej widoczny. Przypomniała sobie ostrzeżenie wypowiedziane przez Jordana.

Nie strzelaj!

Do diabła z Hugonem de Payensem i jego zasadami.

Przycisnęła palec do spustu.

Nagle coś białego śmignęło wśród cieni drzew i uderzyło w bok znacznie większego od siebie psa, odrywając go od Jordana.

Lew Rhuna.

Smugi cienia i światła splątały się ze sobą, pies wyrwał się i potoczył po ziemi, a potem z warknięciem stanął naprzeciwko kota. Młody lew wydawał się przy nim malutki. Mimo to syczał i prychał, a potem uniósł łapę z obnażonymi srebrnymi pazurami.

Nie zrobiło to wrażenia na psie, bo zbliżył się do niego na sztywnych łapach. Pupil Rhuna machnął łapą. Cios był szybki jak atak kobry i pazury rozcięły czarny nos psa. Przywódca stada zawył i wycofał się. Z czterech nierównych linii na jego nosie ciekła ciemna posoka.

Lwiątko tymczasem stanęło obok ciała Jordana. Śnieżnobiała sierść zjeżyła się i z piersi wydobył się głęboki pomruk. Uniósł groźnie łapę, pokazując, że w razie potrzeby jest gotów do dalszej walki.

Pies zaskomlał, odwrócił się i zniknął wśród cieni drzew. Reszta stada poszła w jego ślady, przerywając potyczki i podając tyły.

Erin błyskawicznie zeszła z drzewa i opadła na kolana obok Jordana. Młody lew podszedł z drugiej strony, wyglądał na wystraszonego. Opuścił niewielki nos i szturchnął Jordana w twarz. Przeskoczyła między nimi mała błyskawica podobna do iskry elektrycznej w ciemni. Ta jednak miała wyraźnie złotą barwę; przypominała Erin, że tych dwóch, mężczyznę i lwa, łączy anielska natura.

No dalej, Jordan, wyjdiesz z tego.

Otarła mu szyję mankietem rękawa. Lwiątko lizało go po policzkach i czole. Krew przestała płynąć z rany. Erin patrzyła, jak rozdarte ciało zaczyna się zasklepić. Purpurowe pasma

biegnące od tatuażu i obejmujące szyję znów pogrubiały i sięgnęły do rany, by ją zagoić.

Dotknęła palcami jego policzka. Skóra była niemożliwie gorąca.

Nikt nie mógł przeżyć takiej gorączki.

– Jordan.

Otworzył oczy, miały odcień tak błękitny jak niebo prześwitujące w koronach drzew.

Wiedziała o tych oczach wszystko: że ciemniejszy krąg na tęczęwce przypomina barwę dzins, że reszta tęczęwki jest o wiele jaśniejsza i przecinają ją blade linie na podobieństwo miniaturowych rzek. Te oczy śmiały się razem z nią, płakały z nią i obiecywały wspólną przyszłość. Teraz jednak spoglądały na Erin, jakby była całkowicie obcą osobą.

– Jordan?

Jęknął i usiadł, jedną ręką z roztargnieniem klepiąc kota. Druga uniosła się do szyi. Tatuaż pod smugami krwi wyglądał jak pnąca winnej latorośli dławiące drzewo. Przez podarty materiał rękawa Erin zobaczyła, że rana na przedramieniu także się zagoiła. Patrzyła, jak karmazynowe pasmo uformowało się w zawijas na wierzchu dłoni.

Chciała ją ująć, lecz Jordan odsunął się od niej i wstał.

– Bardzo ucierpiał? – spytał Rhun, podchodząc do nich z pośpiechem.

Nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć.

Zbliżyły się Elżbieta i Sophia. Cała trójka sangwinistów była trochę poturbowana, ale ich obrażenia były nieporównywalne z ranami, które odniósł Jordan. Może psy tylko się z nimi bawiły, nie chciały rozszarpać im gardel tak jak jemu.

Elżbieta spojrzała na las, marszcząc czoło i wygładzając strzępy rękawa płaszcza.

– Dlaczego one wycofały się z walki?

Erin dalej wpatrywała się w Jordana.

– Kot... Chyba je wystraszył i odpędził.

Rhun pogłaskał lwiątko po łbie i wymamrotał ciche słowa podziękowań.

Erin stanęła na wprost Jordana, zmuszając go, żeby na nią spojrzął, i ścisnęła jego mocne ramiona.

– Wszystko w porządku?

W końcu skierował na nią oczy, zamrugał parę razy i skinął głową.

Skupił na niej wzrok i ją zobaczył. Dotknął swojej szyi.

– Tak, nic mi nie jest. – Jego twarz wyrażała lekką dezorientację.

Objęła go i mocno przytuliła.

Zareagował z opóźnieniem, ale wreszcie otoczył ją ramionami.

– A teraz czuję się jeszcze lepiej – wyszeptał, dotykając ustami jej głowy.

Uśmiechnęła się z twarzą wtuloną w jego pierś, jednocześnie powstrzymując szloch.

Elżbieta strząsnęła liście ze spódnicy; wyraźnie się niecierpliwiła.

Erin oderwała się od Jordana, ale nadal trzymała jego dłoń. Starła się ignorować jej parzące ciepło; bała się, że jeśli ją wypuści, on nie pozwoli się więcej dotknąć.

Przez chwilę drapała lwiątko po aksamitnych uszach, zdając sobie sprawę, kto naprawdę ocalił Jordanowi życie.

– Dziękuję, malutki.

Gdzieś z oddali, z głębi lasu, dobiegło wycie psa. Przypomniało im, że jeszcze nie zostawili niebezpieczeństwa za sobą. Do tego było bardzo daleko.

– Pora ruszać – rzucił Jordan. – Jeśli te psy kierują się do domu, może uda się nam pójść po ich śladach.

– Jordan ma rację – powiedział Rhun. – Jeżeli te bestie są wysłannikami Hugona de Payensa, może zjawily się tutaj, żeby nas do niego doprowadzić.

– A może to po prostu dzikie blesfemory, które przyszły nas zabić – zauważyła z goryczą Erin.

Nie mając jednak lepszego planu, ruszyli przed siebie. Rhun szedł na czele. Obserwował podłoże, wyszukując wzrokiem odciski łap w wilgotnej ziemi albo pęknięte gałązki. Co jakiś czas unosił nos i wciągał odór stada dotkniętych klątwą psów.

– Dobrze chociaż, że mamy własnego posokowca – szepnął Jordan, krocząc obok Erin.

Ale dokąd nas Rhun prowadzi, jakie koszmary czekają nas na zboczu góry? – przemknęło mu przez głowę.

19 marca, 15.44
Pireneje, Francja

Rhun przemierzał las, ze wszystkich sił starając się ignorować pulsujący ból w kikucie. Po bitwie ocenił spojrzeniem stan swoich towarzyszy, wiedział bowiem, że będzie musiał się na nich zdać.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Elżbieta szła za nim lekkim krokiem, bo miała tylko lekką ranę ręki. Widział, jak zręcznie poczyniała sobie w walce z blesfemorem; przypomniało mu to, że jest zaciekłą wojowniczką. Mimo to wyczuwał w niej jakieś podenerwowanie, że jest tutaj razem z nimi. To było coś nowego. Stała się wycofana tak samo jak Jordan, jakby nieobecna myślami. Zapytał ją o to w czasie lotu, ale go zbyła.

Wyczuł, że w Castel Gandolfo coś się wydarzyło, coś, co ją rozgniewało, a jednocześnie zaniepokoiło.

Coś ukrywała.

Ale czy nie można powiedzieć tego o każdym z nas?

Rhun słyszał za sobą szelest liści; Erin i Jordan stąpali przez las głośniej, nie umieli sunąć tak lekko jak sangwiniści. Ksiądz wsłuchał się w bicie serca sierżanta i znów wychwycił w nim odgłos wojennego werbla. Siła, która o władnęła Jordanem, nie napawała go lękiem, wprost przeciwnie: wzmacniała go i uspokajała. Nie można było tego samego powiedzieć o Erin, która prawie nie odrywała spojrzenia od Jordana. Śledziła każdy jego krok, a bicie jej serca podszywał strach.

Pochód zamykała Sophia, jako tylna straż. Jej drobna postać sunęła niczym leśny duszek. Rhun wiedział jednak, że gibka kobieta potrafi zadać śmierć mieczem szybko i zręcznie, umie także dostrzec słaby punkt przeciwnika. W Pradze w pojedynkę zmagala się z wilkozorem i wyszła z tego cała. Niewielu przed nią mogło się tym pochwalić.

Z lewej strony księdza między srebrzystoszarymi pniami buków śmigał młody lew, tak samo jak on śledząc węchem tropy stada blesfemorów. Leśne powietrze było wypełnione ich nieczystą wonią, lecz, o dziwo, odór ten nie budził u Rhuna takiego niepokoju jak zazwyczaj.

Coś odróżniało te stwory od innych.

Cień zalegający w lesie zapewniał psom obfitość kryjówek i przypominał Rhunowi, że w dawnych czasach zwierząt takich było całe mnóstwo. Głęboko w lasach znajdowały się miejsca skąpane w mroku nawet wtedy, gdy jasno świeciło słońce. Od czasu gdy żył jako śmiertelnik, mnóstwo dzikich ostępów padło pod toporem i pługiem cywilizacji. A wraz z drzewami zniknęło wiele stworzeń, zarówno blesfemorów, jak i tych, które żyły w stanie naturalnym.

W miarę jak drużyna wspinała się coraz wyżej po stoku góry, buki stopniowo ustępowały miejsca srebrnym sosnom. Gdzieś po lewej stronie strumień toczył swe wody po kamieniach; niosła się od niego woń stopniałego śniegu i lodu. Szmer płynącej wody narastał i zamieniał się w ryk; w pobliżu szlaku musiał się znajdować wielki wodospad.

W końcu za ocienionym głazem załśnił promień słońca. Rhun wyczuł, że stado psów się rozdzieliło i rozproszyło w gęstwinie, najwyraźniej spełniwszy swoje zadanie.

Sprowadziły nas tutaj nie bez powodu.

Ksiądz zmierzał w kierunku światła. Lew brykał teraz weselej, nie okazując lęku.

Drzewa się przeredziły i ukazała się łąka. Trawa falowała na łagodnych zboczach niczym szmaragdowe morze. Drobne białe kwiaty lśniły w czystym blasku słońca.

Po tak długim pobycie w mroku jasność parzyła sangwinistów.

Rhun zmrużył oczy, Elżbieta gwałtownie wciągnęła powietrze. Wciąż jeszcze była bardziej wyczulona na światło. Kiedy wyszli z lasu, zakryła głowę kapturem, osłaniając twarz.

Rhun się rozejrzał. Zielona polana miała owalny kształt i porastała ją trawa usiana białym kwieciem gencjany. Kamienie wystawały z trawy niczym czujni strażnicy. Między nimi wił się srebrzysty potok wypływający z wysokiego wodospadu po przeciwnej stronie polany.

Kaskady wody opadały z wysokiej skały do rozległej niebieskiej sadzawki.

Drużyna zebrała się na skraju lasu, wszystkie oczy zaczęły wypatrywać zagrożeń.

Ksiądz skinął głową.

– Bernard zaznaczył na mapie to miejsce. Jego zdaniem właśnie tutaj Hugo de Payens zbudował swoją pustelnię.

– Nic tu nie ma – rzekł Jordan. – Pustka i tyle.

– Nie – zaproponowała Elżbieta. – To nieprawda. Bernard nie pomylił się co do tego miejsca... Co zdarza mu się rzadko.

Rhun usłyszał gorzki ton w jej głosie, kiedy wspomniała o kardynale.

Hrabina wskazała ręką wodospad.

– Za tą ścianą wody dostrzegam zarys budowli.

Erin zmrużyła oczy.

– Jesteś tego pewna?

Nawet Rhun niczego się nie dopatrzył; rzucił Elżbiecie powątpiewające spojrzenie.

– O, tam! – powiedziała i westchnęła ze zniecierpliwieniem.

Nachyliła się do niego i wyciągnęła rękę, tak by mógł podążyć wzrokiem za jej smukłym palcem. Pokazała prześwitujący przez wodę cień łukowatej bramy w połowie wysokości skalnej ściany.

Wtedy Rhun zobaczył ją wyraźnie.

Po bokach bramy były dwa okna, a większe, okrągłe, znajdowało się nad nią.

Całość przypominała fasadę kościoła wykutą w ścianie za wodospadem. Dolna jej krawędź biegła dwa poziomy nad powierzchnią sadzawki. Wspinaczka byłaby bardzo niewygodna, zwłaszcza że z góry leciała dudniąca wodna nawałnica.

Ból w kikucie ręki dotkliwie przypomniał Rhunowi, że z jednym ramieniem nie ma żadnych szans dostać się na górę.

Erin zrobiła krok i znalazła się na łące.

– Teraz widzę!

– Musimy iść całą grupą – powiedział Jordan i ją przyciągnął.

Roztropniej było powściągnąć jej gorliwość. – Kolega Hugo pozwolił nam dotrzeć tak daleko, więc nie ryzykujemy bez potrzeby Rhun dostrzegł mądrość w tych słowach. Machnięciem ręki dał znak, by ruszyli w kierunku wodospadu. Nikt się nie odzywał, wszyscy byli spięci. Sangwinista nie miał wątpliwości, że niejedna para oczu śledzi ich marsz przez łąkę. Ryk wody stawał się coraz bardziej ogłuszający, co wzmocniło jeszcze obawy księdza.

W końcu stanęli nad brzegiem jeziora. Woda była przejrzysta jak kryształ; głęboko pod powierzchnią Rhun zauważył nakrapianego pstrąga. Ryba śmignęła, by się ukryć, gdy na lustro wody padł jego cień.

Spojrzał na podstawę skały ukrytą za wodną ścianą, szukając wzrokiem wykutych schodów albo czegoś, co umożliwiłoby dotarcie do wysokiej fasady osobliwego kościoła. Nie dostrzegł niczego. Pozostawała jedynie wspinaczka po śliskich skałach oblewanych strumieniami wody.

Jordan wyraził wątpliwość, która dręczyła wszystkich: – Jak mamy się dostać do tej zakichanej pustelni?

I znowu Elżbieta swoimi bystrymi oczami wypatrzyła rozwiązanie zagadki. Wskazała dłonią nie w górę, lecz w dół, w toń sadzawki.

– Wśród tych skał pod wodospadem ukryte jest wejście tunelu.

Może jest tam podwodny korytarz, który prowadzi w górę do pustelni.

Erin skrzyżowała ręce na piersi i spoglądała w wodę z nieukrywanym niepokojem. Rhun miał już okazję się przekonać, że ona nie jest dobrą pływaczką i boi się wody.

Przełknęła ślinę.

– Musi być jakieś inne dojście do tego miejsca – powiedziała. – Wątpię, by te psy wpływały do tunelu i z niego wypływały. Zwłaszcza tutaj, w blasku słońca.

Rhun przyznał jej rację. Hugo de Payens mieszkał tam od wieków.

Góra była prawdopodobnie zryta podziemnymi korytarzami, ukrytymi wejściami i wyjściami. Nie było jednak czasu, by ich poszukiwać.

Jordan westchnął.

– Hugo przywiódł nas na tę łączkę z pomocą swoich psów. Coś mi mówi, że to następna próba. Albo dostaniemy się do środka tym podwodnym tunelem, albo w ogóle nie wejdziemy.

– W takim razie płynmy – rzuciła Erin, opuszczając ręce. Jej twarz wyrażała determinację.

– Całą grupą – powiedział Jordan. – Wszyscy albo nikt.

Rosły sierżant rozebrał się aż do spodni, ściągnął nawet buty. Rhun zdumiał się na widok zmian, jakie zaszły w jego niebieskim tatuażu.

Popatrzył na nowe purpurowe linie wybiegające z rysunku, oplatające szyję i ramię. Wzór nosił w sobie mroczne piękno, nasuwał myśl, że to anioły naznaczyły w ten sposób ludzkie ciało.

I być może tak właśnie było.

Wszyscy poszli za przykładem Jordana, zrzucili płaszcze czy kurtki i inne ciężkie części garderoby.

Elżbieta z wyprostowanymi plecami, w samych spodniach i staniku, stanęła obok Rhuna, nie okazując cienia wstydu. Odgarnęła ręką ciemne włosy i związała je kawałkiem sznurka. Jej piersi pod cienkim jedwabiem były jędrne i białe, blada skóra lśniła nawet w cieniu rzucanym przez skalny występ.

Ksiądz przypomniał sobie, jak to było, kiedy czuł na swoim ciele jej gładką skórę, gdy przyciskała wargi do jego ust. Chciał ją wtedy pożreć, osiąść całkowicie.

Nadal tego pragnął.

Odwrócił wzrok i spojrzał na stos ubrań i oręża. Pójdą na spotkanie bezbronni. Może właśnie w tym celu Hugo skierował ich do tego wejścia – żeby zmusić ich do pozbycia się ubrań.

Rhun schylił się i podniósł tylko jeden oręż.

Srebrny pektorał.

Zawiesił go na szyi. Krzyż parzył jego obnażoną skórę. Ksiądz poczuł na sobie spojrzenie Elżbiety i nagle uświadomił sobie dotkliwie, że owinięty bandażem kikut jest odsłonięty. Ona jednak patrzyła na jego krzyż, a potem podniosła z ziemi swój i także zawiesiła.

Srebro zostawiło różową linię na perłście białej skórze między jej piersiami. Piekło ją tak samo jak Rhuna, ale nie zdjęła pektorału.

– Naprzód – rzucił Jordan i niczym wydra dał nura w wodę.

– Zaczekajcie! – zawołała Erin i chwyciła swój plecak leżący wśród ubrań. Odwróciła się do Rhuna. – Możesz to zabrać? Nie chcę go tutaj zostawiać, a nie umiem dobrze pływać i sama nie dam rady go wziąć.

Sangwinista wiedział, że w plecaku, w wodoszczelnej teczce, znajduje się Ewangelia Krwi. Erin miała rację, nie chcąc zostawiać jej tutaj bez opieki. Założył sobie plecak na zdrowe ramię.

– Będzie bezpieczna – obiecał.

– Dziękuję.

Erin przełknęła ślinę, stanęła przed sadzawką i weszła do zimnej wody, raptownie wciągając hausty powietrza.

Sangwiniści podążyli za nią. Woda pochodziła ze stopionego śniegu, jej temperatura była tuż powyżej zera. Co miało dla Rhuna przynajmniej tę zaletę, że stępało ból kikuta.

Ruszyli całą gromadą w kierunku wodogrzmotu. Nawet lwiątko wskoczyło do wody i płynęło równo obok sangwinisty.

Jego wielkie łapy zagarniały wodę niczym wiosła. Serce biło szybko i równo, zwierzak ani trochę nie bał się wody.

Erin natomiast usilnie starała się nie zanurzyć – bardziej chlapała wodą, niż się w niej przesuwiała – a jej serce przyspieszyło. Rhun poczekał na nią, Sophia zrobiła tak samo.

– Nauczyłam się pływać, dopiero kiedy miałam sto pięć lat! – krzyknęła Hinduska. – I nadal nie idzie mi to najlepiej.

Erin posłała jej uśmiech i płynęła dalej.

Rhun był wdzięczny siostrze za te słowa, lecz przecież Sophia nie musiała oddychać, a Erin... Widział już kiedyś, jak omal się nie utopiła, ale wiedział też, że się nie zatrzyma, nawet jeśli nie będzie już drogi powrotu.

Jordan i Elżbieta dopłynęli tymczasem do wodospadu. Hrabina spojrzała w górę na wodną kaskadę, jakby chciała ocenić swoje położenie, a potem zanurkowała. Sierżant momentalnie zrobił to samo.

Rhun płynął bokiem równo z Erin, używając jedynej ręki, i tak dotarli do wodospadu. On i Sophia kręcili się w miejscu, żeby dać chwilę wytchnienia Erin, która zaciskała posiniałe z zimna usta.

Zerknął na Sophię. Grzmiąca woda uniemożliwiała wymianę zdań, lecz Hinduska skinieniem głowy potwierdziła, że rozumiała jego prośbę.

Trzeba zapewnić Erin bezpieczeństwo.

Właśnie uśmiechnęła się do nich słabym uśmiechem, pokazując odwagę, a potem dolna część jej ciała powędrowała do góry. Błede stopy błysnęły na chwilę w słońcu i zniknęły pod powierzchnią.

Sangwiniści zanurkowali za nią, smagani strumieniami wody.

Rhun wnet przekonał się, jak niewygodne jest wiosłowanie jedną ręką i płynął, machając samymi stopami. Mimo to bez trudu utrzymywał się na równi z Erin.

Poczuł, że coś uderza go w nogę i zahacza o spodnie. Zerknął za siebie i zobaczył, że lwiątko także z nimi płynie. Najwyraźniej nie zamierzało puścić ich samych.

Dotarli do otworu tunelu, który wypatrzyła Elżbieta. Pozostałej dwójki nigdzie nie było widać. Erin zawahała się, lecz lwiątko przemknęło obok niej. Łapy oparły się o nierówną skałę i zwierzak wszedł dalej.

Być może zachęcona jego przykładem, podążyła za nim.

Ale jak daleko zdoła w ten sposób dotrzeć?

16.24

Palilo ją w płucach, gdy płynęła w ślad za kotem.

Po prawdzie miała wrażenie, że raczej się czołga, niż płynie.

Palcami rąk łapała się ścian, a palcami stóp odpychała się od dna tunelu.

Jak długi jest korytarz?

To pytanie ją przerażało.

Już bolało ją w piersi z braku powietrza. Wątpiła, czy ma go w płucach dość, by wrócić do sadzawki, do słońca i świeżego powiewu wiatru. Droga prowadziła tylko w jedną stronę.

Naprzód.

Widząc przed sobą zadek płynącego lwa, machnęła nogami.

Promienie światła przefiltrowane przez wodę pozostały w tyle, zapanował ponury półmrok i tylko śnieżne futro lwiątko lśniło przed Erin niczym błędny ogień w ciemności. Złożyła w zwierzaku całą swoją nadzieję. Potrzebował oddechu tak jak ona. Jeśli zawróci, ona także to zrobi.

Parła więc dalej, nakazując zziębniętym ręką i nogom, by kurczyły się i prostowały. Nagle tylne łapy lwa zniknęły w mroku.

Tunel rozszerzył się we wszystkich kierunkach i był ciemny jak smoła.

Skierowała się na oślep ku górze.

Po paru sekundach jej głowa rozdarła powierzchnię. Erin zaczerpnęła nieznanego powietrza raz, a potem drugi. Rozejrzała się po niewielkiej grocie rozjaśnionej smugami dziennego światła wpadającymi przez szpary w sklepieniu.

Jordan i Elżbieta wspięli się na skalną półkę po przeciwnej stronie jaskini obok prostych drewnianych drzwi wbudowanych

w granitową skałę. Lwiątko podpłynęło i zaczęło się gramolić na skałę. Sierżant wydobył przemoczonego zwierzaka z wody.

Zauważył Erin i zamachał ręką, a drugą wyciągnął w jej stronę.

– No chodź.

Trzeba było tak wcześniej, pomyślała. Mogłeś przynajmniej być w pobliżu.

Tak jak inni.

Rhun i Sophia wynurzyli się obok niej.

Bolało ją, że Jordan ją zostawił, ale wiedziała, że to nie jego wina.

Znowu coś się z nim dzieje, ale to kiedyś minie i znów będzie taki jak dawniej.

Gdybym tylko umiała w to uwierzyć.

Dopłynęła do skalnej półki i Jordan wyciągnął ją, jakby nic nie ważyła. Przytulił ją szybko i po raz pierwszy ucieszyła się z nienaturalnej gorączki jego ciała. Trzęsa się i podrygiwała w jego objęciach.

Trwała w nich, dopóki trochę się nie ogrzała.

Sophia pomogła Rhunowi wydostać się z wody, gdyż brak ręki ograniczał jego możliwości.

– Musimy jakoś otworzyć te drzwi – powiedziała Elżbieta, przesuając dłońmi po drewnie.

Erin podeszła do nich, nadal szcękając zębami z zimna. Gdyby po drugiej stronie czekały rozgrzane ręczniki i trzaskający ogień, wybiłaby je własnymi nogami.

Zbadała je uważnie wzrokiem. Były zrobione z jednej grubej deski wygładzonej niczym szkło; nigdzie nie dostrzegła zawiasów ani zamka.

– Wygląda na to, że można je otworzyć tylko z drugiej strony – odezwała się.

– Albo wywalimy je od tej strony – zaproponował Jordan.

Pomyślała, że tym nie zaskarbiliby sobie przychylności gospodarza, Hugona de Payensa.

– Myślę, że musimy poczekać – oznajmiła. – Okazać cierpliwość.

– No to czekamy – zgodził się z nią Rhun. Uklęknął na jedno kolano, żeby pogłaskać lwiątko po uchu, bo zwierz nie wyglądała na uszczęśliwionego tym, że jest cały mokry.

Jordan podszedł do drzwi.

– Możemy jeszcze zrobić tak.

Uniósł pięść i zapukał w grubą deskę, a potem cofnął się i przystawił do ust dłonie złożone w kształt tuby.

– Halo! – krzyknął na całe gardło. Jego głos w niewielkiej pieczarze zahuczał jak grzmot.

Erin wstrzymała oddech, lecz nie doczekawszy się odzewu, wypuściła powietrze.

– Może nikogo nie ma – powiedział Jordan i wzruszył ramionami.

Swoich sił postanowił spróbować inny członek drużyny.

Lwiątko odchyliło łeb do tyłu i z jego gardła wydobył się wielki ryk.

Erin aż podskoczyła i skrzywiła się zdziwiona, że tak małe stworzenie zdołało wydać tak donośny dźwięk.

Ryk zabrzmiał jak wyzwanie.

Kiedy zamarł, rozległ się głęboki głos, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron. Erin aż dostała gęsiej skórki.

– Tylko lew może wejść!

Zza grubej deski dał się słyszeć chrobot, jakby ktoś pociągnął zasuwę. Drzwi rozwarły się powoli do środka.

Erin usiłowała przez nie zajrzeć, ale wewnątrz skrywał cień. Rozpraszał go tylko blask migoczącej pochodni.

Rhun, wciąż klęcząc obok młodego lwa, wskazał drzwi.

– Uda ci się.

Lwiątko wstało niepewnie i delikatnie złapało go zębami za nadgarstek, i pociągnęło w stronę otwartych drzwi.

– Maluszek chyba nie ma ochoty wchodzić tam w pojedynkę – zauważył Jordan. – I wcale mu się nie dziwię.

Rhun opierał się, lecz lwiątko ani myślało puścić jego ręki.

Głos odezwał się ponownie, tym razem jego ton złagodziło rozbawienie: – Wygląda na to, że twój kompan nie zechce wejść bez ciebie, księżu. W takim razie wejdźcie wszyscy, ale nie wolno wam wyjść poza pierwszą izbę.

Jordan poklepał zwierzaka po grzbiecie.

– Nieźle, nieźle, koleżko. A już myślałem, że przyjdzie mi tu siedzieć na tyłku.

Rhun i lwie kocię ruszyli na przedzie, pozostali przekraczali próg jeden po drugim.

Erin rozejrzała się po przedsionku. Dwie pochodnie w żelaznych uchwytach oświetlały pomieszczenie wielkości garażu na dwa samochody, wykute w granicie, z którego zbudowana była góra. Po przeciwnej stronie widać było łukowato sklepione wejście, jednak przybysze nie dostali pozwolenia, by nimi przejść.

Jak dotąd.

Nagle pod łukiem ukazała się jakaś postać.

– Bądźcie spokojni – powiedziała na powitanie, zachowując jednak bezpieczną odległość. – Jestem Hugo de Payens.

Wygląd i zachowanie nieznanego zaskoczyły Erin. Spodziewała się ujrzeć średniowiecznego eremity w siermiężnej szacie, kogoś podobnego do Franciszka z Asyżu, a tymczasem mężczyzna miał na sobie spodnie w kolorze khaki i gruby wełniany sweter. Wyglądem przypominał farmera lub rybaka, ale na pewno nie byłego księdza.

Popatrzyła na jego okrągłą twarz, szeroko rozstawione brązowe oczy i strzechę kędzierzawych czarnych włosów. Na przekór wrażeniu, jakie wywołały jego ostrożne słowa, wyglądał łagodnie. W szczupłych dłoniach, które trzymał splecione przed sobą, nie było żadnej broni.

– Wiele czasu minęło, odkąd zakon sangwinistów zaprzętał mną sobie głowę – rzekł chropawym, głębokim głosem, którego brzmienie sugerowało, że nie jest często używany. Spojrzał na Elżbietę i skłonił lekko głowę. – I widzę, że jest tu ktoś z mojej zamierzchłej przeszłości. Witaj, hrabino Batory.

– Jestem teraz siostrą Elżbietą – poprawiła go, dotykając krzyża na piersi.

Gospodarz ze zdziwienia uniósł brwi.

– Doprawdy?

Wzruszyła skromnie ramionami.

– A więc czasy są zaiste dziwne – powiedział, po czym zwrócił się do Rhuna: – Poza tym, jak się zdaje, hrabina... to znaczy siostra Elżbieta... nie jest twoim jedynym intrygującym kompanem.

Hugo de Payens ze wzrokiem skierowanym na lwa zbliżył się do przybyszów. Znalazłszy się przy nim, popatrzył na Rhuna.

– Czy wolno?

Ksiądz się cofnął.

– On jest swoim własnym panem.

– Trafnie powiedziane. – Hugo wyciągnął rękę do młodego lwa, żeby ten ją obwąchał.

Zwierzę spojrzało na Rhuna, a gdy ten skinął lekko głową, wyciągnęło łeb do przodu i z fuknięciem powąchało palce nieznanego.

Rozpoznanie najwyraźniej wypadło zadowolająco, bo lew polizał dłoń pustelnika.

Hugo się rozpromienił.

– Nadzwyczajne – rzekł cicho. – Coś zupełnie nowego. Stworzenie, które nie zostało splamione ciemnością, lecz naznaczone światłem. Mogę zapytać, jak je znalazłeś, ojcie Korza?

Rhun zdziwił się, że Hugo zna go z nazwiska, lecz Erin domyślała się, że za grzecznym obejściem gospodarz skrywa rozległą wiedzę.

Nie można przeżyć wielu stuleci, ukrywając się przed zakonem sangwinistów, jeśli nie opanowało się sztuki podstępny.

– Zabiłem jego matkę na pustyni w Egipcie – wyznał Rhun. – Była blesfemorem i odniosła rany podczas bitwy.

Pustelnik się wyprostował.

– Rozumiem, że tak jak wiele innych nieszczęsnych stworzeń padła ofiarą świętego gromu na pustyni.

– Tak było – potwierdził Rhun, wolno wypowiadając słowa.

Nawet Erin była zaskoczona. O tym, co się stało w Egipcie, wiedziała zaledwie garstka ludzi. Większość z nich znajdowała się w tej chwili właśnie w tej izbie. Tak więc pustelnik miał o bieżących wydarzeniach lepszą wiedzę, niż ktokolwiek przypuszczał.

– Lwiątko przyszło do mnie po tym, jak uśmierciłem matkę – dodał ksiądz. – Zabrałem je, żeby było bezpieczne.

– Reguła twojego zakonu nakazywała zabić dziecko. Ale ty postąpiłeś inaczej. – Hugo pokręcił głową z udawaną dezaprobatą. – Wiedziałeś, że buddyści widzą w lwach *bodhisattwa*, synów Buddy?

Uważa się je za stworzenia obdarzone wysokim stopniem duchowego oświecenia. Przebywają na świecie po to, by wyzwalać innych z cierpień. Możesz się uważać za wybrańca fortuny, ojciec Korza, skoro to zwierzę cię wybrało. Być może dlatego, że nosisz koronę Rycerza Chrystusa.

Hugo skierował wzrok na Erin i Jordana.

– I wędrujesz po świecie z Mężem Wojownikiem i Uczoną Niewiastą.

– Skąd tak dużo o nas wiesz? – spytał sierżant.

Gospodarz puścił pytanie mimo uszu i przeciągnął palcami po boku lwiątko, ono zaś zamruczało spokojnie. Dopiero wtedy wyprostował się i stanął naprzeciw Jordana. Zamiast jednak odpowiedzieć, wyciągnął do niego rękę.

– Mogę zobaczyć klejnot, który nosisz w kieszeni?

Jordan zrobił krok w tył, lecz Erin złapała go za łokieć. Nie było powodu czegokolwiek ukrywać, zwłaszcza że człowiek, który ich gościł, i tak zdawał się wiedzieć wszystko. Poza tym chcieli poznać odpowiedzi na ważne pytania, których mógł im udzielić.

– Pokaż mu – ponagliła.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął dwie części pękniętego zielonego kamienia.

Hugo złożył je razem na dłoni. Uniósł diament do światła, jakby chciał przyjrzeć się dokładnie wyrytemu w nich rysunkowi.

– Minęły wieki od dnia, kiedy widziałem ostatnio ten kamień.

Był wtedy nienaruszony i nieskażony złem.

Opuścił dłoń i zwrócił obie części diamentu sierżantowi.

Przekrzywił głowę, by popatrzeć na wzór oplatający skórę Jordana.

– Jesteś odpowiednim strażnikiem tego klejnotu – rzekł tajemniczo.

Erin wykorzystała te słowa, by nawiązać do tego, co ich tutaj sprowadza.

– Szukamy jeszcze dwóch kamieni, bardzo podobnych do tego.

Pustelnik się uśmiechnął.

– Mylisz się. Dwa pozostałe zupełnie go nie przypominają.

– A zatem wiesz coś o nich? – Rhun zbliżył się do gospodarza.

– Uważamy, że są kluczem do...

– Do spełnienia ostatniego proroctwa.

– Pomożesz nam? – zapytała Erin.

Zanim Hugo zdążył odpowiedzieć, lwiątko ryknęło tęsknie, dając wszem wobec do zrozumienia, że zwyczajnie zgłodniało.

– Zdaje się, że trzeba nam zająć się pilniejszymi kwestiami. — Hugo wskazał drzwi prowadzące do trzewi góry. – Zapraszam do mojego domu. Mam suche ręczniki, a także strawę i wino dla tych, którzy potrzebują pokrzepienia.

Podrapał lwiątko po głowie.

– A także, oczywiście, mięso i mleko dla ciebie, przyjacielu.

Erin podążyła za Hugonem de Payensem, który poprowadził przybyszów głębiej ku tajemnicom zamkniętym we wnętrzu góry.

Ale czy mogli mu ufać?

19 marca, 16.48
Pireneje, Francja

Rhun położył dłoń na łbie lwa i ruszyli za Hugonem. Za drzwiami znajdowały się prowadzące ku górze spiralne schody wykute w skale.

Wspinali się za gospodarzem; na każdym poziomie mijali zamknięte mocne drzwi. Rhun wyobraził sobie cały labirynt tuneli, które prawdopodobnie przecinały wnętrze góry.

Hugo szedł wyżej i wyżej, trzymając w dłoni dymiącą pochodnię.

Schody skończyły się i stanął przed kolejnymi drzwiami, które różniły się od poprzednich żelaznymi okuciami.

– Otwierać! – zawołał.

Szerokie skrzydła rozwarły się szeroko. Rhun przestąpił próg i znalazł się we wnętrzu przypominającym kościół. Daleko po lewej znajdowała się brama, którą wypatrzyli przez zasłonę wodospadu.

Była zamknięta, lecz sangwinista słyszał stłumiony ryk i wyobrażał sobie, jak wyglądają masywne wrota otwarte za kaskadami wody, gdy blask słońca pada na nie o świcie nowego dnia.

Przez okna umieszczone w ścianie po bokach drzwi i nad nimi widział rąbek tego spektaklu, lecz szyby były witrażowe. Musiał je wykonać prawdziwy mistrz. Okrągłe okno nad drzwiami przedstawiło idealną różę z płatkami we wszystkich odcieniach czerwieni. Na mniejszych oknach po bokach były

kwitnące drzewa, których gałęzie obsiadły gołębie i kruki. W cieniu drzew kryły się jelenie i wilki, jagnięta i lwy, wszystkie żyjące w pełnej harmonii.

Rhun wszedł dalej do środka, lecz dał swoim towarzyszom znak, by się zatrzymali.

Nie byli sami.

W głębokich cieniach zalegających dalszą część kościoła przechadzały się cztery kudłate psy, które napadły ich w lesie. Były tam także inne bestie, ich oczy błyszczały karmazynowo, zdradzając przekłątą naturę. Sangwinista dojrzał dwa wilkozory, czarnego lamparta i ogromnego goryla górskiego, który stał, opierając się na kostkach jednej dłoni.

– Nie obawiajcie się – powiedział Hugo i stanął z boku. – Jesteście moimi gośćmi... Dopóki nie zmienię zdania.

Rhun ruszył i pozostali także, lecz wolał, by trzymali się z dala od ciemnej menażerii. Zwierzęta śledziły przybyszów podejrzliwym wzrokiem. Sangwinista skrzywił się, gdy spojrział na wnętrze niewielkiej katedry. W nawie nie dojrzał ani jednej ławki, a kamienną posadzkę pokryto słomą. Wzdłuż ścian stało kilkanaście kojców; w małych bocznych kapliczkach były żłoby i leżały grube warstwy siana.

Sophia szturchnęła Rhuna i skinieniem głowy wskazała wysokie chude postacie stojące w pobliżu marmurowych posągów.

Strigoi.

Co najmniej tuzin.

Nie mieli broni, chyba że ktoś uznałby za oręż narzędzia ogrodnicze oparte o ściany: grabie, motyki i szpadle.

– Nie musisz się tutaj nikogo lękać, ojciec Korza – zapewnił Hugo.

Rhun miał nadzieję, że to prawda. Rozejrzał się po wnętrzu.

Ściany, wykute w skale, pokryte były białymi cegłami, które pięły się wysoko, tworząc gotyckie łuki. Ze sklepienia zwisały ociekające woskiem olbrzymie kandelabry z kutego żelaza.

Nawet tam w górze poruszały się jakieś stwory.

Hugo podążył za wzrokiem gościa, uniósł rękę i gwizdnął.

Skrawek czarnego cienia oderwał się od powierzchni i spłynął w dół, by wylądować na nadgarstku pustelnika.

Był to czarny jak heban kruk z płonącymi ślepiami. Jego dziób przypominał włócznię, pazury wyglądały jak prawdziwe szpony.

Hugo delikatnie zmierzwił jednym palcem pióra na szyi ptaka. Ten przychylił głowę, nadstawiając grzbiet.

– To jest Muninn – przedstawił go gospodarz i skierował wzrok ku górze. – Huginn też gdzieś tam siedzi, a może odleciał, żeby zapolować.

Erin rozpoznała te imiona.

– Tak nazywały się kruki Odyna – powiedziała. – Mogły ponoć oblecieć świat i przynosiły informacje nordyckiemu bogu, tak że wiedział o wszystkim, co się dzieje. Nie sugerujesz chyba...

– Że to te same? Ależ skąd, moja droga – odparł z uśmiechem Hugo. – Po prostu zabawnie jest nazywać je tymi imionami. Ta parka należy do wielkiego stada, które sieje postrach w tych lasach. Są to hybrydy blesfemorów i naturalnych ptaków.

– Coś niezwykłego! – zachwyciła się, spoglądając w górę.

Rhun miał wrażenie, że nie wypatruje ptaków, lecz jej uwagę przykuły zdobienia na łukowatym sklepieniu. Było białe, ale czerwone gwiazdy i niebieskie koła namalowane na powierzchni układały się w misterny, fantastyczny wzór.

– Te freski – odezwała się cicho, potwierdzając jego domysły – są nadzwyczajne. Kojarzą się z Bliskim Wschodem, bo przedstawiają koła i gwiazdy, ale czymś się różnią.

Odeszła kilka kroków w bok, żeby się lepiej przyjrzeć.

Jordan podążył za nią, a Elżbieta zrobiła to samo na znak dany przez Rhuna.

Sophia machnęła ręką w stronę zwierząt i *strigoi*.

– Skąd one wszystkie się tu wzięły?

Pustelnik popatrzył z lubością na swoje stado, Muninn wskoczył mu tymczasem na ramię.

– Z mojego doświadczenia wynika, że stworzenia szukają prawdziwego pana. Aby dotrzeć do mojego sanktuarium, wiele

blesfemorów i *strigoi* przemierzyło setki kilometrów. Nie wzywałem ich tutaj. Same do mnie lgnęły, podobnie jak ten uroczy lew garnął się do Rhuna.

Sangwinista podrapał lwiątko po łbie.

– Jak powstrzymujesz ich od zabijania w tych górach?

Hugo uniósł ramiona.

– One, tak samo jak ty, zawarły pokój ze swoją naturą. Zamiast pozwolić kierować sobą porywom dzikiej krwi, panują nad nią. Nie są już zabójcami.

Sophia nie wyglądała na przekonaną, a Rhun wcale się jej nie dziwił.

– W jaki sposób można znaleźć pokój poza obrębem Kościoła?
– spytał.

– Przez akceptację i uważność – odrzekł Hugo. – Podczas moich podróży dawno temu nauczono mnie pewnych technik pozwalających otworzyć umysł, rozwinąć cierpliwość i miłość. Mogę ich was nauczyć, jeśli chcecie. Wszyscy są tutaj mile widziani.

Skinął ręką za plecami.

– Francesco, chodź do nas. Przekonałem się, że prawd najlepiej słuchać od tych, którzy sami ich doświadczyli.

Kilka metrów od niego wychynęła z cienia szczupła kobieta. Rhun nawet nie wiedział, że tam jest. Prawdopodobnie była kiedyś piękna – miała długie, jasne włosy i smukłe kończyny – teraz jednak przenikała ją jakaś wątłość. Uśmiechnęła się do Hugona, jej oczy zajaśniały uczuciem.

Uwagę Rhuna zwrócił zarys kłów w ustach i brak bicia serca.

– Opowiedz im.

– Nas pierwszych nauczono świadomości – wyszeptała z czią.
– Świadomości naszej natury, tego, kim jesteśmy. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy stworzeniami bożymi.

Sophia prychnęła lekceważąco.

– Jesteście drapieżcami, żerujecie na słabych.

Francesca uśmiechnęła się do niej smutno.

– Nikt nie osądza lwa za to, że powala gazelę – powiedziała. – Taka jest jego natura i nie musi czuć winy ani wstydu.

Pustelnik zbliżył się do taboretu i usiadł. Szary lis z trzema nogami podbiegł i wskoczył mu na kolana. Kikut czwartej kończyny został owinięty czystym białym bandażem. Rhuna ogarnęło współczucie dla zwierzęcia. Hugo pogłaskał lisa po grzbiecie, on zaś przywarł do niego, nie okazując lęku. Nie bał się nawet lwa, który postawił uszy na widok rannego stworzenia.

– Czym więc się żywicie? – zapytał Rhun.

– No cóż, trochę winem – odparł Hugo. – Podobnie jak wy.

– Monsieur de Payens, nadal potrafisz konsekrować wino po tym, jak odwróciłeś się od Kościoła? – dociekała Elżbieta.

– Ksiądz nosi na swojej duszy niezmazywalny znak – wyjaśnił Rhun. – Znaczy to, że pozostaje księdzem i może konsekrować wino nawet po odejściu z Kościoła.

Sophia zwróciła uwagę na pewien szczegół odpowiedzi gospodarza.

– Powiedziałeś „trochę winem”. Co jeszcze przyjmujecie?

– Krew, oczywiście. – Hugo nie okazał ani trochę poczucia winy czy wstydu przy tym wyznaniu. – Zgodnie ze słowami Franceski, wszyscy jesteśmy drapieżnikami i musimy pogodzić się ze swoją naturą.

Rhun poczuł mdłości na wspomnienie Rasputina i jego wyznawców, którzy, by przeżyć, mieszały wino z ludzką krwią. Pozostali zabójcami. Najwyraźniej Hugo wpadł w tę samą pułapkę grzechu.

Sangwinista aż za dobrze pamiętał smak Rasputinowego wina splugawionego krwią.

Hugo uniósł dłoń.

– Wiedźcie, że przyjmujemy jej tylko tyle, ile potrzebne jest do przetrwania, ale mamy jednak prawo żyć. Jak wspomniałem, świadomość to tylko jedna połowa. Uważność jest równie istotna.

Francesca potwierdziła to skinieniem głowy.

– Godzimy się z naszą naturą i jesteśmy jej świadomi, ale musimy być uważni, żeby nie utracić kontroli. Medytujemy,

uczmy się oddzielać potrzebę od pożądania, przyjmować tylko to, co jest konieczne i słuszne.

– W jaki sposób zabijanie może być kiedykolwiek słuszne? – powątpiewał Rhun.

Francesca splotła chude ręce.

– Przyjmujemy krew tylko od tych, którzy cierpią, lub od tych, którzy zadają cierpienie innym.

– Dążymy do tego, by kłaść kres cierpieniu – wyjaśnił Hugo. –

Znajdujemy tych, którzy bardzo cierpią i pragną śmierci. Których choroba spustoszyła i nigdy nie wyzdrowieją. Kończymy ich życie z litością, wdzięcznością i radością.

Jako ksiądz Rhun bywał przy umierających. I jakkolwiek trudno mu było postrzegać zabijanie jako akt litości, wiedział, że ludzie stworzyli technologie pozwalające oddalić śmierć. Często jednak korzystano z nich, by przedłużyć cierpienie i ponad naturalną miarę odwlec nieunikniony koniec.

Pustelnik westchnął.

– A kiedy nie możemy takich znaleźć – ciągnął – czasem odbieramy życie tym, którzy zadają cierpienie niewinnym. Gwałcicielom, mordercom. Ale prawdę rzekłszy, rzadko musimy sięgać po takie środki. Tak jak wspomniałem, spożywamy krew w jak najmniejszej ilości.

Jordan postanowił zabrać głos i przypomnieć, że przybyli tutaj z innego powodu.

– Wszystko świetnie, ale co z tymi dwoma kamieniami?

– Jeden z nich jest w moim posiadaniu – przyznał Hugo. – Ale trzeba na niego zasłużyć. Dowieść, że jesteście godni go stąd zabrać.

– W jaki sposób? – chciał wiedzieć sierżant.

– Wasza Uczona Niewiasta musi pokazać swoją wartość. –

Hugo skierował wzrok na Erin. – Aby poznać miejsce, w którym kamień został ukryty, musi udowodnić, że rozumie, czym jest świadomość. I zademonstrować uważność, by dowiedzieć się, dokąd trzeba go zabrać.

17.07

No to pięknie, pomyślała ironicznie Erin. Bułka z masłem.

W czasie lotu śmigłowcem czytała o Hugonie de Payensie i historii zakonu templariuszy, ale prawdopodobnie nie dowiedziała się nawet jednej dziesiątej tego, co może się okazać niezbędne do sprostania wyzwaniu pustelnika.

Wstał ze stołka i pchnął rannego lisa do jego kryjówki w cieniu.

– A zatem, Uczona Niewiasto, co możesz mi powiedzieć o tej budowli?

Erin rozejrzała się po kapliczkach, łukach i ścianach, zwróciła uwagę na plan krzyża charakterystyczny dla wszystkich wielkich kościołów. Jej wzrok spoczął na najbardziej unikalnym szczególe, którym było sklepienie.

– Średniowieczne kościoły nie są moją specjalnością – przyznała.

– Ale niektóre zdobienia przypominają te z kaplicy Świętego Krzysztofa w Montsaunès we Francji. Wznieśli ją templariusze, zakon, który założyłeś.

– Pamiętam, jak ją budowano.

Uznała jego słowa za dobry znak i dokładniej przyjrzała się freskom na sklepieniu. Czyżby gospodarz poddawał próbie jej świadomość? Czy malowidła kryły zagadkę, którą miała rozwiązać?

Zadarła głowę i szukała wzrokiem wskazówek. Wśród bajecznej mozaiki czerwonych gwiazd i niebieskich kół umieszczono także inne fantazyjne wizerunki: księżyce, słońca i całą gamę kształtów geometrycznych. Dostrzegła wpływy kultur islamskiej i egipskiej. Koło z mnóstwem szprych bez wątpienia wyglądało na buddyjskie. Zaczęło jej się ćmić w oczach od samej mnogości kształtów połączonych ze sobą bez żadnej harmonii.

Dochodziła do wniosku, że twórca chciał osiągnąć taki efekt.

Chodziło mu o to, by obserwator zagubił się wśród drzew i przeoczył las. Doprawdy potrzeba było rozwiniętej świadomości, żeby pominąć chaos i dopatrzeć się w nim wewnętrznej prawdy.

Patrzyła i powoli wyłuskiwała z ogromnego fresku ikonografię poszczególnych kultur. Przyglądała się im okiem umysłu, wyodrębniała po kolei. Niestety nie dopatrzyła się w ten sposób nic znaczącego. Pomyślała, że obrazy mogą ilustrować kultury, z którymi Hugo zapoznał się po odejściu z Kościoła. Kardynał Bernard powiedział, że przed osiedleniem się we Francji jego przyjaciel dużo podróżował po całej kuli ziemskiej.

Ale co z tego wynika? Zamknęła oczy. Czego nie dostrzegam?

Nagle zrozumiała.

Otworzyła oczy i usunęła ze sklepienia mnogość symboli. Szukała prawdy ukrytej wśród zgiełku, za kakofonią ludzkich dzieł.

Las ukryty za drzewami.

Kiedy okiem umysłu zerwała ze sklepienia fantazyjne ozdoby, pozostał tylko jeden wzór, tło ukryte wśród chaosu.

Gwiazdy.

One są wieczne.

– Papier – powiedziała, wyciągając rękę. – I coś do pisania.

Rhun zaczął przetrząsać plecak Erin i po chwili wydobył z niego notes i długopis. Zaczęła rysować układ gwiazd, zwracając uwagę na konstelacje. Niektóre były większe, bardziej wyraziste. Gwiazdy w nich miały sześć ramion, a nie pięć jak inne.

Erin usłyszała, jak Jordan zwraca się do Hugona: – Czemu nam po prostu nie powiesz?

– To jest próba – odparł twardo gospodarz. – Triada musi udowodnić swoją wartość.

– A więc co ja będę musiał zrobić? – naciskał Jordan.

– Ty już przeszedłeś próbę. W lesie poświęciłeś się bez walki, dowiodłeś, że jesteś Wojownikiem, który potrafi osiągnąć cel pokojowo, bez użycia przemocy.

– Jaka będzie moja próba? – spytał Rhun.

– Przybyła z tobą. – Pustelnik skłonił głowę w kierunku lwiątko. – Ty, Rycerz Chrystusa, ulitowałeś się i okazałeś łaskę stworzeniu, które uważałeś za poczęte z ciemności. Zignorowałeś

przy tym reguły swojego zakonu, które nakazywały zgładzić stworzenie na miejscu. W nagrodę za okazaną łaskę otrzymałeś cud światłości i błogosławieństwa.

Teraz przyszła więc moja kolej, pomyślała Erin.

Nagle zapragnęła, by jej próba była łatwiejsza. Ale jest Uczoną Niewiastą i musi samodzielnie rozwiązać zagadkę.

Ostatni raz porównała wzrokiem układ gwiazd na sklepieniu i ten, który nakreśliła na kartce. Usatysfakcjonowana podeszła z notesem do Hugona. Czuła się jak uczennica, która występuje na środek klasy, żeby rozwiązać zadanie na tablicy.

– Istotę stanowią gwiazdy – powiedziała. – Chodziło ci o to, bym skierowała na nie swoją świadomość i pominęła szum informacyjny, który je otacza.

Uśmiechnął się, ale milczał.

Jestem na dobrej drodze, przemknęło jej przez głowę.

Przypomniała sobie zasadę hermetyczną, często kojarzoną z templariuszami: *Jako na górze, tako i na dole*. Gwiazdy służyły za narzędzie nawigacyjne od zarania ludzkiej cywilizacji. Przy pomocy gwiazd na nieboskłonie ustalano znaczenie tego, co znajdowało się w dole, na ziemi.

– Mam określić, w którym miejscu na kuli ziemskiej można zobaczyć to niebo – myślała głośno, chodząc. – Ale żeby to ustalić, musiałabym znać datę, kiedy taki układ gwiazd wystąpi.

Przyjrzała się rysunkowi na kartce notesu. Gwiazdozbiory najwyraźniej przedstawione wiązały się z wiosną: Rak, Lew, Panna...

A więc to musi być wiosenne niebo.

Potem przypomniał jej się obraz pod freskiem w domu Edwarda Kelly'ego, ukazujący górskie jezioro i rozpętujące się piekło. Elżbieta przetłumaczyła czeski podpis: wiosenna równonoc.

Może to była odpowiedź, ale Erin chciała ją potwierdzić. Zmarszczyła czoło, przypominając sobie łacińskie słowa namalowane na suficie. Ruszyła prawie biegiem, by szukać od nowa; jej nogi szurały w słomie. Czuła na sobie spojrzenia

towarzyszy oraz te, które lśniły głęboką karmazynowa barwą. Wreszcie znalazła inskrypcję. Jedną część namalowano czerwoną farbą na wschodniej ścianie kościoła, drugą zaś niebieską na zachodniej.

Dwa słowa.

Aequus i *Nox*. „Równy” i „noc”

Z ulgą zamknęła oczy.

Equinox. Zrównanie dnia z nocą.

Gdy wracała do pozostałych, trzęsły jej się nogi.

– To jest wiosenne zrównanie dnia z nocą. Jego data. – Machnęła ręką z notesem, wskazując gwiazdną mapę. – Muszę ustalić, w którym punkcie świata widać to nocne niebo w czasie jutrzejszej równonocy.

Z tylnej kieszeni Jordan wyciągnął telefon komórkowy i zdjął z niego wodoszczelny futerał.

– Jest taka aplikacja. Co to za żołnierz, jeśli nie ma pod ręką nawigacji.

Erin zerknęła na Hugona, nie wiedząc, czy korzystanie z takiego narzędzia jest dozwolone.

On zaś wzruszył tylko ramionami.

Podsunęła notes Jordanowi.

– Możesz to ściągnąć?

– Spróbuję. – Zrobił zdjęcie telefonem, a potem majstrował chwilę przy aplecie, usiłując znaleźć odpowiednik. – Już widzę, że gwiazdozbiór Lwa na suficie jest w niewłaściwym miejscu. W każdym razie jeśli chodzi o niebo nad Francją.

– Więc znajdź dobrą lokalizację – powiedziała Erin.

Zauważyła, że Hugo spogląda na nią pytająco, jakby chciał powiedzieć, że coś jej umknęło.

Nauczyciel chce, żebym zasłużyła na dodatkowe punkty, pomyślała.

Ściągnęła usta i skierowała uwagę na sklepienie; wyszukiwała konstelacje wzrokiem, skupiając się zwłaszcza na wiosennych. Trzy

mniejsze połączono falującymi liniami.

Hydra, Puchar i Sowa.

– Wąż wodny, puchar i sowa – mówiła cicho, nazywając kształty.

Bez trudu odgadła ich znaczenie. Wąż prawdopodobnie oznacza Lucyfera, puchar to pewnie kielich, o którym mówi proroctwo, sowa zaś od tysięcy lat była w wielu kulturach świata symbolem wiedzy.

Erin spojrzała na swój plecak. Wedle przepowiedni Ewangelia Krwi miała zawierać całą wiedzę o wszechświecie. Znów skierowała wzrok w górę i zauważyła, że mniejsze linie tworzą fantazyjne esy-floresy wokół trzech gwiazdozbiorów, splatając je niczym osnowa.

– Są połączone w jedną całość – powiedziała.

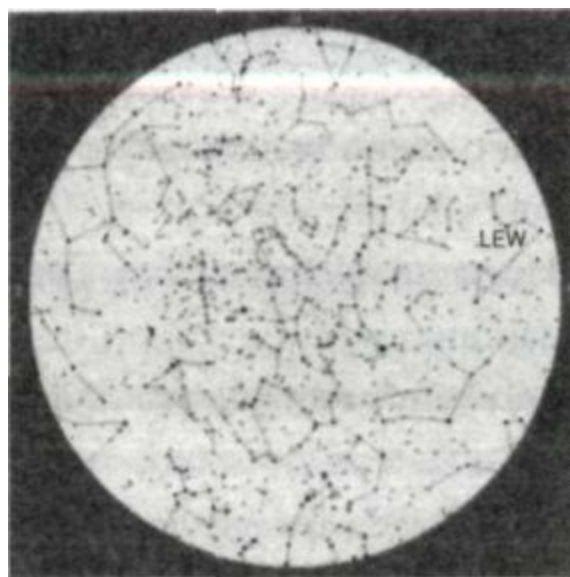
Opuściła głowę i zobaczyła, że na twarzy Hugona zakwitł szeroki uśmiech, jakby jej gratulował. Zapragnęła chlasnąć go w tę zadowoloną gębę i zażądać odpowiedzi na ważne pytania.

Na szczęście w tej samej chwili odezwał się Jordan, unosząc aparat: – Mam!

Erin zbliżyła się do niego.

– Oto nocne niebo nad Francją.

Popatrzyła na ekran i zobaczyła, że oznaczył podpisem gwiazdozbiór Lwa.



– Znajdujemy się mniej więcej na szerokości czterdziestu trzech stopni – wyjaśniał. – O tej porze roku Lew powinien być na zachodnim skraju nieba, ale na gwiazdnej mapie na sklepieniu go tam nie ma.

Spojrzała w górę i zauważyła, jak bardzo różni się pokazana tam mapa od tej na ekranie.

– No więc które miejsce na Ziemi pasuje do tego nieba?

– Daleko na wschodzie, mniej więcej na dwudziestym ósmym stopniu szerokości północnej.

– Czy to może być Tybet? – dociekała Erin. – Albo Nepal?

Jordan gwizdnął z uznaniem i podsunął jej telefon z nazwą wyświetloną przez aplet.

KATMANDU, NEPAL

27°30'N 85°30'E

– Pamiętaj, że to jest grube przybliżenie – zastrzegł. – Ale chodzi o ten region świata. W zasadzie może to być w dowolnym miejscu Himalajów.

Erin przywołała na pamięć mural na ścianie pracowni Kelly'ego, na którym widać było trzy górskie szczyty otaczające ciemne jezioro.

To musi być gdzieś w nepalskim paśmie Himalajów.

Ale gdzie?

– Jak odgadłaś, że mapa wskazuje Nepal? – spytał Rhun.

– Z powodu kół i gwiazd na sklepieniu. To symbole buddyjskie.

Spośród wszystkich kultur, które są tam przedstawione, buddyzm jest reprezentowany najliczniej. – Mówiła szybko, była pewna swoich ustaleń. – Tamto koło jak od wozu to koło przemiany Buddy. Obręcz to ograniczenie, oś przedstawia świat, a osiem szprych to osiem dróg, którymi trzeba podążać, by dojść do kresu cierpień.

Odwróciła się do Hugona.

– To tam nauczyłeś się technik medytacyjnych, prawda? Wybrałeś się na wschód, a dopiero potem osiadłeś we Francji.

Nauczyłeś się tych technik od buddyjskich mnichów.

Pustelnik skłonił głowę, potwierdzając jej domysły.

Rhun ściągnął brwi.

– Ale jak buddyści mogli ci pomóc radzić sobie ze stanem przekleństwa? – spytał.

– Dzięki temu, że mnisi także należeli do *strigoi*.

Twarze sangwinistów wyrażały zaszokowanie, widać je było nawet na obliczu Elżbiety. W niej było jednak więcej zaciekawienia niż przerażenia.

Hugo popatrzył na oświetlone okna.

– Po odejściu z Kościoła wędrowałem wiele lat, usiłując znaleźć sens we własnej naturze. Ruszyłem tropem podań o wiecznych mnichach, o których mówiono, że zamieszkują na Dalekim Wschodzie i że są nieśmiertelni jak my. Wiele wycierpiałem, żeby ich odnaleźć, ale zawsze coś kierowało mnie dalej, aż wreszcie dotarłem do doliny między trzema szczytami. Tam miałem się dowiedzieć wiele o mojej naturze i naturze tego świata.

Słuchacze odpowiedzieli mu osłupieniem. W ciszy rozległ się głos Elżbiety: – I zostawiłeś zapis swoich doświadczeń, nieprawdaż?

Ze zdziwienia aż unióś brwi. Można było przypuszczać, że rzadko widuje się u niego taki wyraz twarzy.

– Owszem.

Hrabina odwróciła się do Erin, jakby dając do zrozumienia, że ona także powinna o tym wiedzieć.

I wtedy Erin pojęła.

Trzy szczyty.

Wszystko w jej głowie ułożyło się w całość.

19 marca, 17.43
Pireneje, Francja

– O czym ona mówi? – zwrócił się do Erin Jordan, widząc na jej twarzy znajomą minę, świadczącą o tym, że coś sobie uświadomiła.

Wzięła telefon z jego ręki.

– Masz kopie moich zdjęć, prawda? Tych z Wenecji.

– Taak...

Zaczęła przeglądać pliki; w końcu zatrzymała się na fotce, na której półnaga wychodzi z łazienki. Pstryknął ją ukradkiem, kiedy byli w Castel Gandolfo, nie umiał się powstrzymać.

Spójrzcie tylko na to ciało!

Zerknęła na niego z przelotnym uśmiechem, ale nie o to zdjęcie jej chodziło. Wreszcie znalazła to, którego szukała, i uniosła telefon wyżej.

– Na ścianie pracowni Edwarda Kelly'ego namalowane były trzy górskie szczyty. Wtedy skojarzyłam to z czymś, co Elżbieta pokazała nam w Wenecji. Później poleciliśmy do Pragi i trochę się zakotłowało.

Odwróciła się do Hugona.

– W katedrze w Wenecji jest sławna mozaika, a z twoich dziejów wynika, że Wenecja to twoje ulubione włoskie miasto. Spędziłeś tam wiele czasu.

– Jak mogło być inaczej? – przyznał. – To unikat, miasto stopione z morzem. Obrazuje dychotomię ludzkiego związku ze

światem natury. Wenecja to przykład dążenia człowieka do tego, by obejść przyrodę i jednocześnie być jej częścią.

– A mozaika w tamtejszej bazylice – podjęła Erin – w bazylice Świętego Marka, zgodnie ze słowami Elżbiety została zamówiona przez praskich alchemików. Tych samych, którym podarowałaś zielony diament.

Pokazała wszystkim zdjęcie jednej z mozaik. Był to tryptyk ukazujący czarnego demona, który kusi Chrystusa na trzy sposoby.

Jordan przypomniał sobie tę mozaikę.

– Kuszenia Chrystusa.

– To ty stałeś za tym zamówieniem, prawda? – zwróciła się Erin do pustelnika. – Trzy szczyty w dolinie buddyjskich mnichów, właśnie to namalował Kelly na ścianie swojej pracowni. Musiałeś podzielić się swoim doświadczeniem z alchemikami, kiedy przekazywałaś im zielony diament, i kazałeś przedstawić je na mozaice w tym ponadczasowym mieście, w bazylice, która przetrwa wieki. W złotych płytkach mieli sporządzić zapis tego, co przeżyłeś.

Jordan dalej nie rozumiał, co to wszystko znaczy.

Erin powiększyła ostatnią część tryptyku – zawsze ten numer trzeci! – i widok rozpościerający się pod sandałami Chrystusa. Stał na górach, a pod jego stopami znajdował się bąbel w kształcie śnieżki, nasuwający skojarzenia z chodzeniem po wodzie

.



– Masz słuszność – potwierdził Hugo. – Nie wolno było dopuścić, by taką wiedzę pochłonął czas. Jest zbyt ważna.

– Co w niej takiego ważnego? – spytał Jordan.

Odpowiedziała mu Erin: – Kopała wodnistego światła pod nogami Chrystusa mieści w sobie trzy kielichy. – Popatrzyła na Hugona. – Trzy kielichy to odpowiedniki trzech kamieni, prawda?

– Owszem.

– Tam pierwszy raz je zobaczyłeś, tam je znalazłeś. *Arbor, aqua i sanguis*. Klejnoty Ogrodu, Wody i Krwi.

– W istocie tak było. W najświętszej z dolin, w dolinie boskiego oświecenia.

– Dość już tych zagadek – odezwał się Rhun. – Gdzie są te góry?

Pustelnik puścił jego słowa mimo uszu.

– Dowiodłaś swojej wartości, Uczona Niewiasto. Góry te otaczają miejsce znane pod nazwą Ukryta Święta Dolina Szczęścia.

Erin zamknęła oczy i z rozbawieniem pokręciła głową.

– Znasz to miejsce? – spytała Sophia.

– Tylko o nim słyszałam. Chciałabym powiedzieć, że dowiedziałam się o nim ze studiów i badań, ale było inaczej:

przeczytałam artykuł w czasopiśmie podróżniczym. Czysty zbieg okoliczności.

– Nie – zaproponował Hugo. – Takie zbiegi okoliczności nie istnieją.

– Więc jak to się stało? – zapytała drwiąco Erin. – Przeznaczenie naprowadziło mnie na ten artykuł?

– Nie, bo nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie. Jesteśmy panami swojego losu. – Zatoczył ręką łuk, wskazując ukrytą w cieniach widownię. Kruk, który wciąż siedział na jego ramieniu, nastroszył pióra, okazując lekką irytację. – To twoja świadomość i dociekliwa natura sprawiły, że zobaczyłaś ten artykuł i go przeczytałaś, ktoś inny by go pominął. To uważność pozwoliła ci go zapamiętać. Zawsze taka byłaś, Erin Granger. Przypuszczam, że właśnie to pchnęło cię do tego, byś zostawiła rodzinę, zeszła ze ścieżki ślepego posłuszeństwa wierze ojca i odkryła własną drogę do wiedzy i mądrości. Los, traf, zbieg okoliczności... wszystko to się nie liczy. Jesteś po prostu Uczoną Niewiastą. Taka jest twoja prawdziwa natura. To ona cię do mnie przywiodła.

W czasie tej tyrady Erin przysunęła się do Jordana. Była wstrząśnięta nie tylko tym, że Hugo zna jej przeszłość, ale także jego umiejętnością skrótowego przedstawienia sedna jej charakteru.

Jordan przygarnął ją i poczuł, że Erin drży. Zaczynała rozumieć, dlaczego nawet potwory i zwierzęta chylą głowy przed Hugonem.

– Gdzie jest ta dolina? – nie dawał za wygraną Rhun.

– To dolina Tsum w Nepalu – odpowiedziała. – Ze względu na świętość jej historii dopiero niedawno otwarto ją dla turystów. Mówi się, że stanowiła kolebkę Szambhali, legendarnego królestwa buddyzmu. W kulturze Zachodu znana jest szerzej pod inną nazwą: Shangri-La.

Jordan znał tę historię, ale tylko z filmów.

– To podobno miejsce zagubione w czasie, w którym nikt się nie starzeje i nie umiera.

Nasunęła mu się pewna myśl: czyżby legenda wzięła początek od mnichów *strigoi*?

– Istnieje jednak ważniejsze podanie o Szambhali, mające bezpośredni związek z naszą sytuacją – podjęła Erin. –

Przeczytałam, że drugi budda, Padmasambhawa, pobłogosławił dolinę jako miejsce, które zostanie odkryte ponownie w czasach, gdy ziemia znajdzie się na krawędzi zagłady. Świat miałby wtedy być zbyt zepsuty, by dalej trwać.

– Całkiem trafne podsumowanie naszych czasów – zauważył Jordan.

– Ta dolina istnieje naprawdę? – spytał Rhun.

– Jak najbardziej – potwierdziła Erin. – Długo była świętym miejscem buddystów. Nadal mieszkają tam mnisi i mniszki, na zboczach gór zabronione jest zabijanie czegokolwiek.

– Tak samo jak tutaj – rzucił Jordan. Przyszło mu do głowy, że Hugo zrobił ze swojej pustelni prywatną dolinę Tsum.

– Mnisi, którzy byli moimi mistrzami, mieszkali w tej dolinie – odpowiedział gospodarz. – Ich klasztor stał między dwoma wielkimi drzewami, równie wiecznymi jak oni sami. Siadywali pod jednym z konarów, by medytować. Drzewo nazywało się Drzewem Oświecenia. Pod drugim pili swoje wino. To drzewo nosiło nazwę Drzewa Wiecznego Życia.

Erin odsunęła rękę Jordana.

– Innymi słowy, były to drzewo wiedzy i drzewo życia. Z biblijnej przypowieści o Rajskim Ogrodzie.

Słowa te zrobiły wrażenie nawet na Elźbiecie.

– Czyżbyś twierdziła, że w tym miejscu, w dolinie Tsum, był prawdziwy Eden?

– Jak Rajski Ogród mógł się znajdować w Himalajach? – oburzyła się Sophia.

– Według jednej z teorii tak właśnie było – odparła Erin. – Niektórzy uczeni są zdania, że legendy o Szambhali bardzo przypominają podania o Edenie i że mogą opowiadać o tym samym miejscu. W Szambhali, podobnie jak w Rajskim Ogrodzie,

nie istniała ponoć śmierć i mogły tam przebywać tylko czyste istoty.

– W latach trzydziestych dwudziestego wieku naziści zorganizowali wyprawę do Tybetu – dodał Jordan, czerpiąc ze swojej wiedzy o drugiej wojnie światowej. – Szukali początków aryjskiej rasy, plemienia nadludzi. Ci nieśmiertelni buddyjscy *strigoi* pasowaliby im do obrazka jak ulał.

Wszyscy zwrócili wzrok na Hugona, oczekując potwierdzenia.

Gospodarz poruszył jednym ramieniem.

– Mówię tylko, że w dolinie stały dwa drzewa. Nie mogę twierdzić, że wiem, gdzie leżał Ogród Edenu albo że w ogóle istniał.

– Tak czy siak – podjął Jordan, by nawiązać do pilniejszej kwestii – z muralu w pracowni Edwarda Kelly'ego wynika, że w tej właśnie dolinie piekło wyzwoli się z kajdan. – Przypomniał sobie jezioro z cieniami wynurzającymi się ze wzburzonej toni.

Hugo lekko skinął głową.

– Mnisi powiedzieli mi, że ogród leży na przecięciu linii między dobrem a złem. Że są strażnikami bramy.

– Co z trzema kamieniami? – chciała wiedzieć Erin.

– Według moich nauczycieli te trzy kamienie razem mają moc otwierania i zamykania portalu między światami. Ale ponieważ człowiek współczesny zaczął coraz głębiej wdzierać się na ich terytorium, co groziło ujawnieniem tajemnicy, mnisi zaczęli się obawiać, że nie starczy im sił, by ochronić kamienie. Dali mi więc dwa, żebym umieścił je w dalekiej części świata.

– Innymi słowy, kierowali się zasadą, że nie wolno trzymać wszystkich jajek w jednym koszyku – podsumował Jordan.

– Ponadczasowa mądrość – zgodził się z nim Hugo.

– Ale dlaczego przedmiot obdarzony tak wielką mocą przekazałeś Johnowi Dee? – zdziwiła się Elżbieta.

– Teraz gdy patrzę z perspektywy czasu, wydaje się, że kierowała mną głupia pycha – rzekł z westchnieniem Hugo. –

Badania naukowe zaczęły się wyzwalać z okowów średniowiecza... bo przecież to z alchemii powstały chemia

i fizyka... Pomyślałem więc, że sam zdołam dowiedzieć się więcej o kamieniach.

Jordan pomyślał o kardynale Bernardzie, który wpadł w tę samą pułapkę, kombinując z kroplami krwi Lucyfera. Nic dziwnego, że ci dwaj byli kiedyś najlepszymi kumplami. Mieli podobną naturę.

– Mądry i zacny człek był z Johna Dee – ciągnął Hugo. – Myślałem, że wykorzystuje kamień, by okiełznywać zło, więzić je kropla po kropli. Nie przewidziałem, do czego to może doprowadzić. Po jego śmierci próbowałem odzyskać kamień, lecz Edward Kelly był tak chciwy, że go sprzedał. Później klejnot zniknął mi z pola widzenia.

– Musimy więc dążyć do tego, by zabrać twój kamień i ten, który nosi w kieszeni Jordan, i dostarczyć je do doliny, z której pochodzą – podsumowała Erin. – W której mnisi nadal pilnują trzeciego. Ale dlaczego?

– Wiem tylko tyle, ile wam powiedziałem – odparł pustelnik. – Może mnisi wiedzą więcej.

– I nie zapominajcie – Jordan zerknął na okna i ucieszył się, widząc, że słońce nadal świeci przez wodospad – że nie my jedni szukamy tych kamyków.

Legion nadal gdzieś tam był.

– Dlaczego demonowi na nich zależy? – spytała Sophia. – Jaka jest jego rola?

Rhun miał kwaśną minę.

– Za ich pomocą prawdopodobnie może otworzyć portal w dolinie i wypuścić Piekło na świat, uwalniając przy tym Lucyfera.

Erin skinęła głową.

– I na tym pewnie polega nasze zadanie. Korzystając z tych samych kamieni, będziemy musieli znaleźć sposób, by utrzymać diabelską hordę na swoim miejscu, zakorkować z powrotem Piekło.

– Jednym słowem, łatwizna – rzucił sierżant z udawaną brawurą. – Rzecz jasna, najpierw musimy dostać twój kamień.

Hugo rozłożył szeroko ramiona.

– Wolno wam szukać go wszędzie w moim kościele.

– Skoro Erin zaliczyła próbę – odezwała się Elżbieta, błyskając gniewnie oczami – to dlaczego po prostu jej go nie dasz?

– Sama musi go znaleźć.

Jordan popatrzył na Erin.

– Przykra sprawa, skarbie, ale wygląda na to, że twój test składa się z dwóch części. Wyjmuj długopis numer dwa i do roboty.

Spojrzał na okna, na które padał blask opadającego coraz niżej słońca. Pozostała mniej więcej godzina dziennego światła.

Erin musiała się uwijać.

18.04

Popatrzyła ze złością na Hugona de Payensa.

Nic dziwnego, że kolegował się z Bernardem.

Obaj byli mistrzami sekretów i manipulacji.

Stała twarzą w twarz z przeciwnikiem.

– Pozgadujemy. Aqua, kamień wody, nadal spoczywa obok górskiego jeziora. Oznacza to, że w twoim posiadaniu jest Sanguis, klejnot krwi. To naturalne, że mnisi dali ten kamień sangwiniście.

– Klejnot nigdy nie był przeznaczony dla mnie – sprostował pustelnik. – Musisz rozwiązać zagadkę, żebyś mogła odzyskać kamień należący do ciebie.

Do mnie? Co to znaczy?

Erin odsunęła na razie to pytanie i odwróciła się w stronę wnętrza kościoła. Jeśli Hugo gdzieś go ukrył, to miejsce ukrycia musiało być znaczące.

– Sanguis... krew... – mówiła do siebie.

Rhun obserwował ją z niepokojem; jego palce uniosły się do pectorału. Krzyż spoczywał na milczącym sercu, srebro paliło skórę; ból będzie mu wiecznie przypominał o przysiędze złożonej Chrystusowi i Kościołowi. Erin patrzyła chwilę na zabandażowany kikut.

Czy istnieje jakiś bóg, dla którego ten ból był niewystarczający? – zastanawiała się.

Ponownie skierowała uwagę na kościół i przypomniała sobie, że ma układ krzyża.

Tak jak krucyfiks Rhuna.

Nasunęła jej się pewna myśl. Zaczęła kroczyć, rozrzucając stopami słomę. Doszła do centralnego punktu architektonicznego krzyża, przecięcia transeptu z nawą.

Spojrzała na Rhuna, na miejsce na sercu, które parzył krzyż.

Stała w samym centrum kościoła Hugona.

Czy serce nie służy do tego, by pompować krew?

Kamień Sanguis musiał się znajdować właśnie tam.

Erin spojrzała prosto nad siebie, w kierunku sklepienia. Czy Hugo ukrył go tam, w górze?

Nie, odpowiedziała sobie, ta zagadka została rozwiązana.

Zabrzmiała jej w głowie zasada, którą przypomniała sobie wcześniej.

Jako na górze, tako i na dole.

Popatrzyła w dół, pod stopy, i uklękła. Potem opadła na czworaki i zaczęła odgarniać słomę. Czołgała się, aż znalazła kamień z wyraźnym nacięciem.

Przypominało puchar.

– Jest w tym miejscu – powiedziała niepewnie, a później powtórzyła z większą pewnością: – Zrobiłeś z kamienia Sanguis serce swojego kościoła, monsieur de Payens! Tutaj go ukryłeś.

Pozostali ruszyli spiesznie w jej kierunku, ptaki pod ceglany sklepieniem poderwały się do lotu.

Pustelnik podążył za pozostałymi.

Rhun dotarł na miejsce pierwszy i uklękł. Wyciągnął rękę i ustawił ją nad bryłą kamienia wskazaną przez Erin.

– Ma rację. Czuję poszept świętości, który się stąd unosi.

Sophia, która do nich dołączyła, ogrzała sobie dłonie świętym blaskiem. Spośród sangwinistów tylko Elżbieta trzymała się z tyłu; stała ze skrzyżowanymi na piersi rękami i nie okazywała zainteresowania.

Nawet lwiątko przydreptało; trzymało się blisko Hugona, przez większość czasu z naturalną kocią ciekawością obserwując siedzącego na jego ramieniu ptaka i oblizując się przy tym. Kiedy znalazło się obok naznaczonego kamienia, wysunęło łapę i postukało w niego.

Jego ruch zwrócił uwagę Erin na rysunek. Dotknęła palcem obramowania i przypomniała sobie, że krew prawdopodobnie i w tym miejscu spełnia rolę klucza.

– To jest brama sangwinistów, prawda? – spytała. – Otworzyć można ją tylko za pomocą krwi sangwinisty.

– Zaiste nadzwyczajna z ciebie kobieta – przyznał Hugo. – Twoja uważność jest imponująca.

Patrzyła na niego i wyczuwała, że to jeszcze nie wszystko.

– Coś mi mówi, że otwarcie tej bramy nie jest takie proste.

– Takie bramy można zamykać na wiele niezwykłych sposobów.

Erin przypomniała sobie, że Bernard w Wenecji zamknął drzwi, wymawiając słowa *pro me*.

– Nawet ja nie potrafię już jej otworzyć – wyznał Hugo. –

Zabezpieczyłem ją rozkazem, który pamięta zaledwie garstka sangwinistów. Nawet mój drogi przyjaciel Bernard go nie zna.

Erin skinęła głową. To miało sens. Zamknął bramę w taki sposób, żeby nikt nie mógł go zmusić do jej otwarcia, choćby zastosował przemoc.

– Jestem za bardzo splamiony, by to zrobić – dodał. – Trzeba czystości, by poruszyć święty kamień.

– Czystości? – powtórzyła Erin.

– Otworzy się jedynie przed sangwinistą, który nigdy nie pożywił się krwią, zanim przyjął ofertę Chrystusa i wypił konsekrowane wino.

– Hugo spojrzał na swoich gości. – Potrzebna będzie krew wybrańca.

Erin odwróciła się do Rhuna.

18.18

Rhun aż się cofnął pod naciskiem wzroku towarzyszy.

Nie jestem wybrańcem, pomyślał. Już nim nie jestem.

Było prawdą, że nie posmakował ludzkiej krwi, zanim stał się sangwinistą. Pamiętał, że nad mogiłą siostry zaatakował go *strigoi*, ratunek zaś zawdzięczał trójce sangwinistów, którzy przynieśli go przed oblicze Bernarda. Tam na kolanach złożył ślubowanie, napił się wina i włożył zakonną pelerynę.

Teraz jestem daleki od czystości.

– To możesz być tylko ty – nie dawała za wygraną Erin.

– Nie mogę. Zgrzeszyłem, zakosztowałem krwi.

– Ale na pustyni twoje grzechy zostały ci odpuszczone – powiedziała cicho, dotykając jego obnażonego ramienia. – Ty jesteś wybranym.

Elżbieta spojrzała na niego, marszcząc czoło.

– Jesteś najczystszy z nas, Rhunie. Co szkodzi spróbować? Przeraża cię lęk przed porażką, boisz się, że okażesz się niegodny?

Myślałam, że jesteś z twardszego tworzywa.

Poczuł, że narasta w nim poczucie winy. Elżbieta miała rację. Bał się, ale wiedział, że jeśli istnieje choćby najniklejsza szansa powodzenia, nie wolno mu cofnąć się przed zadaniem.

Niepewnie uklęknął na zimnym kamieniu i skłonił głowę. Ujął srebrny pectorał. Palący ból przypominał mu o dalekiej od świętości naturze, która nim władała. Mimo to musi podjąć próbę. Ustawił rękę nad kamieniem i uświadomił sobie, że nie ma drugiej, by przeciąć sobie nożem dłoń.

Jak nisko upadłem... Rycerz z jedną ręką.

Przyszła mu z pomocą Sophia. Wzięła od Hugona mały nóż i zrobiła nakłucie pośrodku dłoni Rhuna. Z rany wytoczyła się kropla ciemnej krwi. Ksiądz odwrócił nadgarstek i zacisnął dłoń w pięść, a potem swoją przeklętą krwią spryskał wyżłobienie w kamieniu.

To uczyniwszy, przeżegnał się i odprawił obrzęd, zamykając go *mysterium fidei*.

Wszyscy patrzyli.

Kamień się nie poruszył.

A więc zawiodłem.

Uświadomił sobie niezaprzeczalną prawdę i ogarnęła go rozpacz.

Moje grzechy ściągnęły na wszystkich zgubę.

19 marca, 18.22

Pireneje, Francja

Elżbieta spoglądała z góry na Rhuna, który jak posąg klęczał z opuszczoną głową. Był w tej chwili ucieleśnieniem klęski. Westchnęła na myśl o kruchości sangwinistów wspierających się na swojej wierze niczym na żebraczym kiju. Wystarczy trącić ich wątpliwością i od razu upadają.

Sophia odgrywała w tym dramacie rolę greckiego chóru.

– Rhun był naszą jedyną nadzieją. Jako jedyny członek naszego zakonu, a minęły już tysiące lat, nie napił się krwi przed przyjęciem Chrystusowego daru.

To nie była prawda.

Tak w każdym razie uważała Erin.

– Musi być inny sposób. Jeśli weźmiemy kilof i przebijemy się do posadzki...

– Nie pozwolę zbezczścić mojego kościoła – wpadł jej w słowo Hugo. – Przy tego rodzaju próbie klejnot wpadnie do rzeki płynącej przez serce góry i na zawsze zaginie.

– A więc zaminowałeś swój tajny skarbiec – podsumował Jordan.

– Muszę przyznać, że porządnie zabezpieczyłeś bazy.

Elżbieta patrzyła na poruszające się w modlitwie wargi Rhuna i zdjęła ją litość. Oddał wszystko swojemu Bogu – nadaremnie. W oczach Pana okazał się równie nieczysty jak pierwszy lepszy *strigoi* z piekła rodem. Długie wieki jego służby Chrystusowi nagrodzono klęską.

Tym bardziej się rozeźli, gdy zobaczy, kto ich teraz uratuje, kto otworzy skarbiec, którego on otworzyć nie zdołał.

– Odstąpcie – powiedziała, wyjmując nóż z dłoni Sophii.

Uklękała obok Rhuna i garścią słomy starła jego krew z naczynia wyżłobionego w kamieniu.

Uniósł wzrok.

– Co ty chcesz...?

– Milcz – rzuciła karcącym tonem.

Kłęcząc, rozcięła sobie skórę dłoni i patrzyła, jak zbiera się krew.

W błyszczącej powierzchni odbiła się jej twarz.

Przykro mi, Rhunie, wiem, jak cię to zaboli.

Wypowiedziała odpowiednie łacińskie słowa: – *Bo to jest kielich krwi mojej, na znak nowego i wiecznego przymierza.*

Potem odwróciła rękę i krople krwi zaczęły skapywać do wyżłobienia na posadzce. Płytkie naczynko szybko się wypełniło.

I wtedy dokończyła: – *Mysterium fidei.*

Z cichym chrobotem kamień zapadł się w posadzkę i przesunął w bok.

Rozległy się pełne niedowierzania westchnienia.

Tylko Erin parsknęła śmiechem.

Pozostali odwrócili się do niej.

– Rozumiem. Elżbieta stała się pełna, kiedy Rhun na pustyni przywrócił jej duszę. Później, w bazylice Świętego Marka, Bernard pozbawił ją nowej duszy, czyniąc ją na powrót *strigoi*, ale nie pozwolono jej napić się krwi. Tego samego wieczoru zmuszono ją, by wypiała wino.

– I od tego czasu nie tknęłam ani kropli krwi – dodała hrabina, odwracając się do Rhuna. – Zgodnie z doktryną Kościoła pozostaję czysta. Ja jestem wybrańcem. Oto dowód.

Odsunęła się i wpadający przez okno promień słońca oświetlił otwór w posadzce. Ognisty blask odbił się od powierzchni ciemnoczerwonego klejnotu, który tam spoczywał, i jego powierzchnie zapłonęły. Przeczysta jasność zdawała się wypływać z samego serca kamienia.

Mimo że blask oślepił oczy, Elżbieta wpatrywała się w głąb karmazynowego klejnotu, oszołomiona jego pięknnością. Za życia, jako śmiertelniczka, oglądała wiele kamieni szlachetnych, była jedną z najbogatszych kobiet na świecie. Jednak żaden nie miał w sobie tyle magnetycznej mocy.

Nie ona jedna ulegała jego czarowi.

Jordan uklęknął. Światło padające na jego twarz tworzyło plamki wyglądające jak świeża krew.

– On śpiewa – wyjęczał.

18.27

Serce Jordana śpiewało płomiennemu kamieniowi, on zaś odpowiadał niczym w świętej symfonii. Wciągał Wojownika coraz głębiej w swoją melodię, w swój blask. Cały świat wokół przyblakł i usunął się w cień wobec tej jasności.

Bo jak mogło być inaczej?

Sierżant słyszał w oddali głosy pozostałych osób, lecz w obliczu cudownego śpiewu ich słowa brzmiały jak marny szmer.

– Wy tego nie słyszycie? – spytał, żeby skłonić ich wreszcie do słuchania.

Melodię przeciął inny – ostrzejszy – głos, który zabrzmiał między dwiema nutami.

– Erin Granger, weź kamień! Zakryj go przed światłem, zanim pochłonie go na wieki!

Jordan rozpoznał głos pustelnika.

Po chwili światłość zamgliła się, a wraz z nią przygasła ponadczasowa pieśń. Świat odzyskał substancję, masę i cienie. Sierżant zobaczył, że jakaś kobieta owija klejnot w białe płótno, tłumiąc jego ogień. Jej oczy spoglądały na niego z lękiem i zatroskaniem.

Inna kobieta przyniosła jej torebkę, a ona wcisnęła do niej skarb.

Trzask zamykanego suwaka zabrzmiał donośnie w cichym wnętrzu kościoła.

Jordan uniósł ręce w kierunku kobiety i torebki, którą trzymała.

Ogarnęło go bolesne pragnienie, by wyjąć kamień z ukrycia, obnażyć go przed słońcem i wysłuchać do końca jego pieśni.

Kobieta cofnęła się jeszcze o krok.

– Czy ktoś z was słyszał śpiew? – zapytała.

Odpowiedział jej chór głosów, wszystkie zaprzeczyły.

Wokół Jordana świat powoli nabierał coraz wyraźniejszych kształtów. Kiedy jednak sierżant wyteńczył słuch, wciąż słyszał słaby szept pieśni dochodzący z torebki, a nawet jego echo w swojej kieszeni. Było jak ciemny szmaragd, tętniący życiem i obietnicą korzenia i listowia, kwiecica i pnia.

– Jordanie – odezwał się słodki głos w jego uchu. – Słyszysz mnie?

Tak.

– Jordanie, odpowiedz. Proszę. – Odwróciła się i zapytała ciszej: – Co mu się stało?

– Jest niezrównoważony. – To znów ten pustelnik.

– Co to znaczy?

– Dotknęła go anielska krew. Ona go chroni i uzdrawia, lecz jednocześnie za każdym razem pochłania więcej jego ludzkiej natury.

Na jego skórze możesz zobaczyć wypisaną mapę tej wojny. Jeśli anielska krew przeważy, on będzie dla ciebie na wieki stracony.

Czyjaś ręka dotknęła czoła sierżanta, lodowata jak roztopiony śnieg na jego gorącym czole.

– Jak możemy mu pomóc? – Ona ma na imię... Erin.

– Nie pozwól mu zapomnieć o jego ludzkiej naturze.

– Co to dokładnie oznacza? Co mamy robić?

Usłyszał zmianę w nikłej pieśni, ten dźwięk pochłonął jego uwagę.

Poszept minorowych tonów, ciemniejsza niż wpleciona w pieśń, niosąca głębsze ostrzegawcze tony.

Zmusił wargi, by się poruszyły.

– Ktoś nadchodzi.

Nastąpiła cisza i mógł lepiej się wsłuchać.

– To niemożliwe – odezwał się znowu pustelnik. – Wszędzie rozstawiłem strażników. W lesie, w mrocznych tunelach. Ostrzegliby mnie. Jesteście bezpieczni.

Ciemne nuty zabrzmiały głośniejsz w głowie Jordana.

Lew zawarczał, jego białe futro najeżyło się ostrzegawczo.

Jordan wstał, podszedł do ściany i chwycił broń z długą rękojeścią.

– Odłóż motykę – powiedział pustelnik. – Przemoc nie jest potrzebna.

Sierżant odwrócił się w stronę głębszych cieni zalegających w tylnej części kościoła.

Za późno.

On tu jest.

18.48

Legion wyszedł z cienistej altany starego boru i wkroczył do ciemnego tunelu. Prowadzili go ci, którzy wałęsali się w tych kniejach, ci o zepsutej naturze, którzy myśleli, że znajdą ukojenie na zboczu góry. Znalazła ich ręka Legiona, dotykała policzków, naznaczała piętnem i brała ich w posiadanie. Zabierał ich wspomnienia, ich wiedzę o jaskini pustelnika, dowiadywał się o tajemnych wejściach prowadzących do wnętrza góry.

Dowiedziawszy się o tym miejscu dzięki oczom i uszom ojca Gregory'ego, Legion opuścił Pragę; jego wciąż słabe ciało podźwignęli ci, którzy nosili jego piętno. Troje naznaczonych sangwinistów zabezpieczyło wehikuł – śmigłowiec z przyciemnionymi szybami chroniącymi przed słońcem. Mógł więc przemknąć nad połącją lądu w jasnym blasku dnia.

Wylądowali na tej samej górze co maszyna wroga, ale po przeciwnej stronie. Tam stary las chronił go przed promieniami słońca. Podczas wspinaczki Legion pławił się w gęstym aromacie gliny, próchniejącego drzewa, słodkiej woni liści i kory. Jego oczy spijały ciemny szmaragd baldachimu koron drzew, miękkich płatków kwiecia. Uszy słyszały każdy szmer, świergot i tupot

żywych nóżek, przypominały, jakim rajem mógłby być ten świat, gdyby nie padł ofiarą gwałtowności człowieka.

Przywróćę tutaj prawdziwy ogród, myślał. Będę żął, pieliał i palił, aż na powrót stanie się raj.

W kniei napotkał strażników pustelnika, zwierzęta i *strigoi*, wiernych człowiekowi, który obiecał im drogę do błogostanu. Wystarczyło jedno dotknięcie, by uwolnić ich od przesądów, by stali się jego własnością. Nie podnieśli więc alarmu.

Wszedł do tuneli rozbawiony myślą, że wróg znalazł sobie taką kryjówkę i otoczył się splugawionymi, których łatwo było obrócić przeciw niemu. Sunął dalej w głąb, z każdym dotknięciem rósł w siłę, a w ciemnym sercu góry wzbierała nawałnica.

Z każdym krokiem zbliżającym go do legowiska pustelnika mnożył swoje oczy, jego głos potężniał. Zniewoleni przywoływali innych.

Garnęli się do niego jak ćmy do jego zimnego płomienia, jego szeregi pęczniały coraz bardziej.

Podążał za swoimi oddziałami, aż usłyszał rytmy znajomych serc.

Trzepotanie serca Niewiasty, grzmoty serca Wojownika.

Oto para, która była tak blisko zniszczenia jego naczynia.

Rozgorzała w nim wściekłość, kiedy unosił rękę.

„Naprzód”, rozkazał.

Jego armia runęła przez tunele i za chwilę spadnie na tamtych.

Wiedział już, że zdobyli drugi kamień. Dosięło go echo ognistej pieśni klejnotu. Teraz, kiedy kamień został odnaleziony, Legion nie potrzebował już żadnego z nich, nawet Rycerza.

Rzucił ostatni rozkaz, napełniając własnym pragnieniem milczące serca swoich żołnierzy.

„Zabić wszystkich”.

18.50

Lwiątko stało u boku Rhuna, kiedy chwycił jedno z narzędzi ogrodniczych – kosę.

Sophia złapała w jedną rękę drewnianą siekierę, a w drugą młotek.

Elżbieta uniosła szpadel.

Rhun odwrócił się, gdy ciemne postacie wypadły z tunelu w tylnej części kościoła i runęły na zgromadzonych tam *strigoi* i blesfemory niczym fala na skały.

Jeśliby Jordan nie ostrzegł towarzyszy, byłiby całkowicie nieprzygotowani. Znaleźliby się w pułapce, nie mając nawet czasu na reakcję.

Jeden z napastników przedarł się przez kłębowisko walczących i pofrunął w kierunku Erin, która klęczała na jednym kolanie i podnosiła plecak z kamieniem i Ewangelią Krwi, aby je zabezpieczyć.

Rhun śmignął do niej i machnął kosą wysoko w powietrzu.

Rozpłatał nogę bestii i odrzucił ją w bok. *Strigoi* zwalił się na posadzkę; z odrąbanej kończyny lał się strumień czarnej krwi. Mimo to rzucał się na przeciwników, wymachując pazurami i kopiąc. Z jego gardła wydobywał się wściekły wrzask, na bladym policzku wyraźnie odznaczał się odcisk czarnej dłoni.

Znak Legiona.

Jordan, szybki niczym spadający jastrząb, jednym ciosem motyką z góry rozpłatał czaszkę potwora.

Rhun postawił Erin na nogi, a sierżant wykonał obrót i roztrzaskał oręż na grzbiecie lamparta. Potem zwinął się i wbił ułomek drzewca w oko blesfemora. Zanim ksiądz wykonał ruch, Jordan odwrócił się do niego i wyrwał mu kosę z dłoni.

Sangwinista nie zaprotestował, zaczął wyprowadzać Erin. Wiedział, że musi zadbać o bezpieczeństwo jej i tego, co niosła w plecaku.

Sophia i Elżbieta pilnowały flank Jordana rzucającego się na spotkanie szeregów wroga. Zwierząt i *strigoi* było coraz więcej, coraz to nowi wlewali się drzwiami do wnętrza kościoła. Ich przewaga liczebna była przytłaczająca, obrońcy nie mieli w tej walce szans.

Nagle za plecami Rhuna rozbłysło jasne światło i zagrzmiał wielki ryk.

– Do mnie! – zawołał Hugo.

Sangwinista obejrzał się i zobaczył, że pustelnik ciągnie podwójne skrzydła drugich drzwi kościoła, odsłaniając spienioną kaskadę wody za progiem. Rhun zauważył także, że światło podszyte jest cieniem.

Pozostało jeszcze kilka minut dnia, a drzwi kościoła Hugona wychodziły na wschód. Słońce znikало za horyzontem na zachodzie, podczas gdy na próg świątyni padał cień góry. Światło było zbyt wątłe, by dać prawdziwą ochronę obrońcom.

Jakby na potwierdzenie tego następny *strigoi* przebił się przez szeregi i rozpoczął szarżę.

Wtem powietrze przeszła biała błyskawica i rzuciła wątłą postać na posadzkę. *Strigoi* drapał sobie twarz i szyję srebrnymi pazurami, jakby chciał zetrzeć ze skóry znamię Legiona.

Hugo chwycił Rhuna za łokieć i podsunął mu zwiniętą rolkę welinu.

– Starożytna mapa wyryta na cielęcej skórze. Wskaże wam drogę do doliny.

Sangwinista przyjął rulon i wsunął go sobie za pasek spodni. Potem, wiedząc, że tylko w jeden sposób mogą przeżyć szturm, chwycił Erin w pasie.

– Musimy wyskoczyć – powiedział.

Odwróciła się twarzą do ciemnego wnętrza kościoła i szalejącej walki.

– Jordan...

Ksiądz dostrzegł sierżanta, który stał niczym skała pośród czarnego wiru. Poruszał się z niewiarygodną szybkością i zaciekłością, krwawił z tysiąca ran. Święta krew tryskała w ciemność, parząc wrogów wokół, a on siekł ich kosą niczym łany zboża.

Jednak nawet Mąż Wojownik nie zdoła długo przetrwać takiej nawałnicy.

Rhun zobaczył, że sierżant opada na jedno kolano, i wiedział, że za chwilę utonie pod falą wrogów.

– Do niego! – zawołała Sophia do Elżbiety.

Hugo gwizdnął i z cieni wynurzyło się stado psów.

– Brońcie ich! – rozkazał, wskazując dwie kobiety. – Mąż Wojownik nie może polec.

Psy ruszyły wraz z Sophią i Elżbietą.

Rhun mocniej ścisnął Erin.

– One nie zawiodą – zapewnił ją.

Spojrzała na niego błyszczącymi oczami pełnymi lęku, ale mu ufała. Skinęła głową.

Po przeciwnej strony kościoła ukazała się nowa postać, ciemniejsza niż cienie. Czarna rzeźba tego, który kiedyś był przyjacielem.

Erin także dostrzegła potwora.

Legion przyobleczony w skórę Leopolda.

A więc demon wciąż żyje.

Rhun nie czekał, tylko wybrał jedyną drogę, która im pozostała.

Przygarnął Erin mocniej do siebie, zbliżył się do ryczącego wodospadu i skoczył.

18.55

Erin wciągnęła raptownie powietrze, gdy przeszło ją lodowate zimno, a potem siła strumienia wody wypchnęła powietrze z jej płuc.

Spadała, przechylając się, lecz ręka Rhuna trzymała ją w żelaznym uchwycie. Jego nogi oplotły jak stal jej talię, policzek przywarł do jej policzka.

Uderzyli w lustro wody z siłą, którą poczuła w każdej kości.

Wpadli głęboko, tam gdzie woda miała ciemną barwę. Erin się zachłysnęła. Potem poczuła, że jest niesiona w górę. Rhun machał nogami, lecz trzymał ją mocno ręką, jego uchwyt nie zelżał ani przez chwilę.

Wynurzyli się i przywitał ich ryk wodospadu.

Erin zakaszłała, wciągając powietrze wielkimi haustami.

Ksiądz ciągnął ją w kierunku brzegu. Wreszcie zdołała odetchnąć na tyle, że mogła sama machać nogami i rękami. Wyczołgali się z sadzawki, Erin odwróciła się, usiadła i spojrzała do góry. Słońce prawie skryło się już za zboczem, toteż wodospad był ciemny, ściany kościoła nie było widać.

– Jordan – wykrztusiła.

Rhun wstał i zataczając się, ruszył w kierunku stosu ubrań i sprzętu. Zrozumiała zamysł sangwinisty i poszła w jego ślady; jej kończyny trzęsły się od zimna i strachu. Chwyciła swojego colta.

Dotknięcie stalowej rączki pistoletu pomogło jej się uspokoić.

Ksiądz podniósł srebrny karambit.

– Do zachodu słońca zostały minuty. Musimy iść.

– A Jordan i reszta?

Jakby na jej wezwanie z ciemnej kaskady wypadło kilka splątanych postaci. Poleciały w powietrzu, rąbnęły w powierzchnię sadzawki i zanurzyły się głęboko w toń. Erin podbiegła do brzegu i wpatrzyła się w burzę bąbelków. Nagle z głębiny wyrwała się jakaś postać.

Elżbieta.

Wywlekła na brzeg bezwładnego Jordana i przetoczyła go na wznak. Nie poruszał się. Otoczyła go plama krwi i niebieska woda wyglądała nagle jak plama ropy. Jego klatkę piersiową znaczyły podłużne cięcia i zadrapania. Z jednej ziejącej rany sterczała biała kość.

Nagle ukazała się Sophia, która ciągnęła za sobą podobne do kłody lwiątko. Spłoszony młody kot wiosłował i młócił powierzchnię łapami, krztusząc się. Po chwili jednak doszedł do siebie i podążył za towarzyszami.

Erin weszła razem z Rhunem do wody i pomogli wyciągnąć Jordana na brzeg.

Oczy sierżanta patrzyły w górę, błyszcząły błękitem, ale nic nie widziały.

Czyżby nie żył?

Nagle jego pierś poruszyła się raz, potem drugi.

– Jeszcze żyje – oznajmiła Elżbieta. – Ale serce słabnie mu z każdym uderzeniem.

– Ona ma rację – potwierdził Rhun. – Nawet zdolność do cudownych ozdowień może mu tym razem nie wystarczyć, jeśli nie otrzyma pomocy.

Erin zaprażyła mieć ich wyczulone zmysły, słyszeć bicie serca Jordana, być bliżej niego.

– Musimy zejść z tej góry! – zawołała Sophia, wskazując w kierunku ciemnej kniei i dolnej partii zbocza. – Ścieżkę już skrył cień i hordy Legiona mogą nas tropić.

Rozległo się głośnie plaśnięcie i wszyscy odwrócili głowy.

Przez zasłonę spadającej wody wyskoczyła ogromna czarna postać z rozpostartymi grubymi kończynami. Wszyscy się cofnęli.

Jordan dalej spoczywał na brzegu sadzawki, jego krew sączyła się do wody.

Olbrzymie cielsko uderzyło w powierzchnię nieopodal brzegu i zanurzyło się tylko do pasa. Muskularne nogi nawet nie drgnęły mimo upadku z wielkiej wysokości.

Erin uniosła colta i wymierzyła w pierś blesfemora. Zauważyła to stworzenie już wcześniej w kościele, należało do menażerii Hugona.

Górski goryl o czarnym futrze sunął przez wodę w kierunku Jordana.

– Nie strzelaj – powiedziała Sophia, pchając w dół jej rękę. –

On nie jest splugawiony Stał przy boku Hugona, kiedy wyskoczyliśmy przez bramę.

Goryl podniósł Jordana i delikatnie położył sobie zakrwawione ciało na ramieniu. Zwierz fukał i szturchał go nosem w twarz.

– Hugo pewnie wysłał go nam na pomoc – domyśliła się Sophia.

– A więc łapcie za broń – polecił Rhun.

Sophia i Elżbieta szybko się uzbroiły. Erin chwyciła pasek pistoletu maszynowego Jordana i zarzuciła go sobie na szyję.

To dla ciebie, pomyślała, będziesz go miał pod ręką, jak tylko trochę wydobrzejesz.

– Co z Hugonem? – zapytała, gdy biegli przez łąkę za gorylem, który skakał po trawie, podpierając się na pięściach.

Elżbieta odwróciła się do niej z dziwnie smutną miną.

– Nie chciał opuścić swojej trzody.

– Poza tym zamierzał zyskać dla nas trochę czasu – dodała Sophia w biegu.

Kiedy dotarli do linii lasu, rozległ się za nimi dziki wrzask. Z wodospadu wysypywały się jeden po drugim czarne kształty niczym mrówki z mrowiska, które zalewa woda.

Zatem nie mamy już czasu, przemknęło przez głowę Erin.

19 marca, 19.04
Pireneje, Francja

Legion uniósł dłoń od policzka kobiety i odgarnął z jej twarzy kosmyk jasnych włosów. Patrzył, jak oczy stają się jego oczami. Mógł teraz spoglądać nimi na majestat własnego oblicza. Gdy wypełniły go jej wspomnienia, poznał także jej imię.

Francesca.

Dziesiątkami innych oczu szpiegował swoich myśliwych, kiedy ścigali zwierzynę do kniei na zboczu góry, słyszał wycie niosące się echem po stokach.

Pozostał w kościele i stał naprzeciw swojego celu.

Wszystkie zwierzęta oraz *strigoi* w kaplicy należały do niego.

Oprócz jednego.

Pustelnik patrzył na niego. Był zakrwawiony, ale stał pewnie z plecami opartymi o ścianę. Jego gładka twarz nie zdradzała ani cienia lęku. Brązowe oczy spoglądały spokojnie w oczy Legiona.

– Możesz przestać – powiedział. – Nawet teraz. Pokój i przebaczenie jest dostępne dla każdego. Nawet dla ciebie, ducha ciemności.

– Pragniesz uwolnić mnie od grzechu. – Legion czuł wzbierającą w środku wesołość. – Ależ ja jestem poza grzechem i potępieniem, nie potrzeba mi więc wybaczenia. Lecz dla ciebie... – Uniósł rękę. – Pozwól mi zabrać twój ból, twoje cierpienie, nawet to fałszywe poczucie spokoju. Prawdziwy błogostan znajdziesz w nieświadomym posłuszeństwie. A wtedy

podzielisz się ze mną całą swoją wiedzą, wszystkim, co im powiedziałeś.

– Nic ci nie zdradzę.

Hugo odwrócił się jakby na znak, że odrzuca ofertę. W tej samej chwili chwycił olbrzymią drewnianą dźwignię ukrytą w szczelinie i ogromnym wysiłkiem ściągnął ją w dół. Z dołu dobiegł głośny trzask, posadzka zatrzęsała się i ustąpiła.

Legion rzucił się do przodu, gdy wielkie kawały cegły i kamienia usuwały się spod jego stóp. Pustelnik skoczył wysoko, by chwycić się grubych żelaznych podpórek na pochodnie. Legion także podskoczył i czarną dłonią złapał but mężczyzny.

W tym momencie reszta posadzki zawałiła się w olbrzymią czeluść pod kościołem, pochłaniając ze sobą całą resztę jego oddziałów. Gęsta chmura ceglanego pyłu i odłamków drewna buchnęła w górę i dał się słyszeć łoskot wody dochodzący z dużej głębokości. Korzenie góry obmywała wielka podziemna rzeka.

Jeśli Legion spadnie, zostanie na zawsze uwięziony w trzewiach góry i będzie tkwił w zamknięciu tak jak w sercu zielonego diamentu.

Odezwał się w nim strach.

Spojrzał w górę i zobaczył jaśniejącą twarz pustelnika.

Wysłał ku niemu falę swojej woli: „Nie rób tego”.

Jednak palce Legiona zaciskały się tylko na wyprawionej skórze butów, nie dotykały skóry Hugona. Wola pustelnika wciąż należała do niego; korzystał z niej i zwolnił uchwyt.

Obaj runęli w ciemną przepaść.

19.10

– Nie zatrzymywać się! – krzyknął Rhun.

Chwilę przedtem usłyszał stłumioną eksplozję, potężny zgrzyt kamieni i trzask pękającego drewna. Nie wiedział, co z tego wynika, wiedział tylko, że nadal goni ich horda wyjących, pałających żądzą mordy *strigoi* i blesfemorów.

Rhun biegł obok Erin. Goryl pędził w podskokach z Jordanem na ramieniu. Poruszał się chyżo zboczem góry, tratując krzaki, rozpychając barami młode drzewka niczym gałązki. Jego

masywny tułów torował ścieżkę w gęstym lesie niczym gładz staczający się ze wzgórza.

Sophia pożyczyła sobie broń Jordana i osłaniała ich ucieczkę, siejąc za siebie seriami. Srebrne pociski przeszywały igły sosen i strząsały liście z drzew. Elżbieta osłaniała lewą flankę, siekąc mieczem i nożem. Prawą zabezpieczał młody lew, poruszający się niczym duch.

Mimo to szybko tracili przewagę nad pogonią.

Wróg mógł spaść na nich w każdej chwili.

Sophia zbliżyła się do Rhuna i zarzuciła sobie na plecy dymiący karabin.

– Skończyła mi się amunicja – oznajmiła z trwogą na obliczu.

– Nie uciekniemy. Musimy...

Przerwał jej potężny niczym grzmot okrzyk.

– Wszyscy padnij!

Rhun rozpoznał głos i spełnił nakaz. Rzucił Erin na gęsty stos listowia i upadł na nią. Pozostali także przywarli do ziemi. Nawet lwiątko znalazło się u boku sangwinisty, naśladując jego poczynania. Biały ogon młócił gniewnie liście.

Tylko goryl się nie zatrzymał i pędził dalej w dół stoku.

Nagle za jego plecami, kilkanaście metrów dalej ukazał się Christian. Przykucnął i opierając na kolanach kolby dwóch karabinów maszynowych, otworzył ogień.

Srebrne serie rozdarły las, w górę poleciały odpryski drewna i liści.

Terkoczący ryk ogłuszył Rhuna. Nawet kiedy zamilkł, jemu dalej dzwoniło w uszach.

– Naprzód! – krzyknął Christian, odrzucając na bok zużyte karabiny. – Zyskałem tylko trochę czasu! Biegnijcie do śmigłowca!

Pozbierali się na nogi i łapy i popędzili jeszcze szybciej.

Wreszcie wypadli z lasu na otwartą łąkę. Rozgrzany silnik już dudnił, płaty rotora obracały się z wolna.

Słońce opadło już całkowicie za horyzont.

Musieli czym prędzej ewakuować się ze stoku góry.

Goryl czekał obok maszyny, opierając się na potężnym ramieniu; dyszał ciężko z wyczerpania. Podbiegli do niego. Sophia i Christian pomogli unieść sierżanta do kabiny. Erin wspięła się i przysunęła do Jordana.

Rhun podszedł do goryla i położył dłoń na mocarnym barku.

– Dziękuję ci.

Jakąś częścią swojej świadomości nie mógł się pogodzić z drogą, którą wybrał Hugo, nie potrafił uwierzyć, że dla istot przeklętych istnieje odkupienie.

Ale to odeszło już w przeszłość.

Goryl szturchnął go w pierś, jakby rozumiał.

Potem odwrócił się i skierował ku kniei, spoglądając w kierunku dalekiego wodospadu. Ogromny zwierz chciał wrócić i bronić człowieka, który ofiarował mu nie tylko dom, ale i serce.

Rhun wchodził do kabiny śmigłowca, spoglądając na górę.

Niech cię Pan strzeże.

19.22

Legion leżał połamany na stosie popękanego drewna i gruzu z posadzki kościoła. Jej spadające fragmenty zawadziły o skalny występ ściany przepastnej sztolni i utworzyły niewygodną grzędę. Runął na nią nie przez przypadek, lecz dzięki sile woli. Lecąc w dół, zauważył sterzącą półkę i cisnął na nią swoje ciało; liczył, że półka je utrzyma.

Nie tylko jego ciało.

Spadał z ogromną prędkością, ale ani na chwilę nie puścił buta pustelnika. Ciało tamtego leżało rozciągnięte obok, jeszcze bardziej poranione niż ciało Legiona. Szyja przeciwnika była bardzo mocno skręcona, krew sączyła się na kamienie i skapywała do płynącej w dole rzeki.

Pozostała w nim jednak słabiutka iskra życia.

Może to wystarczy.

Kości Legiona zachrobotyły, gdy ostrożnie przetoczył się na bok.

Dowiem się tego, co wiesz, postanowił.

Wyciągnął dłoń do bladego policzka pustelnika; brązowe oczy patrzyły na niego z ledwością, ale wciąż rzucały mu wyzwanie.

Legion je zignorował i położył dłoń na ofierze. Dotykem wyczuł, że nikły płomień, który pozostał w pustelniku, prawie zanika.

Czy wystarczy?

Zaniepokoił się i cofnął dłoń. Spełniła się jego obawa: ręka nie pozostawiła śladu. Pustelnik był zbyt bliski zgonu, by unieść znamię.

Legion spróbował po raz drugi, lecz jego wewnętrzna ciemność nie znalazła oparcia.

Tamten zamknął oczy i na jego wargach zaigrał uśmiech. Uwierzył, że udało mu się przechytryć wroga.

Jakże się mylisz, pomyślał Legion, unosząc się. Być może nie zdoła zawładnąć człowiekiem jako demon, ale istniały inne drogi prowadzące do wiedzy.

Moje naczynie wciąż ma naturę *strigoi*.

Obnażył kły. Pustelnik otworzył ponownie oczy, jakby wyczuł nad sobą drapieżcę. Wyrażały lęk, jednak spóźniony.

Legion zatopił kły głęboko w zimnym ciele. Pił zapalczywie z gasnącego źródła, inicjując więź między drapieżcą a łupem, między *strigoi* a jego ofiarą. Z każdą kroplą czerpał z pustelnika więcej życia dla siebie, wysączając resztkę jego siły, i w miarę jak stawali się jednym, nakłaniał go, by podzielił się wszystkim, co wie.

Zdobywszy tę wiedzę, Legion pożywiał się dalej, wielkimi haustami wysuszając ofiarę, aż nie pozostało nic. Dopiero wtedy opadł na plecy i sięgnął wolą do tych, którzy przeżyli. Nakazywał im rzucić mu linę i wyciągnąć go; wołał o więcej krwi, by móc się uzdrowić.

Uśmiechnął się w ciemność.

Dowiedział się czegoś od swojej ofiary – czegoś, czym nie podzieliła się z innymi. Czy pustelnik postąpił tak z rozmysłem, czy z powodu zaniedbania, tego Legion nie wiedział.

Mimo to wykorzysta tę wiedzę przeciwko wrogowi.

Ale wpierw muszę być wolny... I znaleźć się w dolinie, zanim oni tam dotrą.

19 marca, 20.04
Lasserre, Francja

Erin trzymała bezwładną rękę Jordana, kiedy śmigłowiec usiadł twardo na pastwisku w pobliżu francuskiej wsi Lasserre. Przed chwilą maszyna wyleciała spomiędzy gór i znalazła się nad wzgórzami, a potem przeleciała nad spowitą już mrokiem wioską. Było to staroświeckie sioło z kamiennymi domkami, połaciami winnic i małymi gospodarstwami.

Kiedy znaleźli się na ziemi, Christian oderwał się od drążka i przeszedł przezabinę, by wyciągnąć nosze z luku towarowego.

Sophia i Elżbieta pomogły mu ułożyć Jordana na wyściełanej desce noszy. Erin podążyła za nimi, starając się nie patrzeć na wielką plamę krwi, która zebrała się na skórzanym siedzeniu.

Jordanie, tylko mi nie umieraj.

W czasie lotu ona i Elżbieta otworzyły apteczkę, a następnie oczyściły i zabandażowały największą ranę. Hrabina robiła to bardzo zręcznie, widać było, że ma w tym doświadczenie. Materiały opatrunkowe skończyły się, zanim owinęły wszystkie rany. Potem Erin przykryła Jordana czerwonym kocem ratunkowym. Co jakiś czas zaglądała pod spód i uświadomiła sobie, że tym razem nawet małe zacięcia nie chcą się goić. Jej ukochany umierał.

Wysiadła przerażona z kabiny śmigłowca. Rozejrzała się i zauważyła małe domostwo ukryte za żywopłotem. Wszystkie okna płonęły światłem.

Dlaczego tu wylądowaliśmy?

– Trzeba go zabrać do szpitala – powiedziała zdezorientowana i zła. – Potrzebny jest zespół lekarzy.

– To musi wystarczyć – odparł Christian, ciągnąc koniec noszy. – Najbliższy szpital jest za daleko.

Sophia chwyciła nosze za drugi koniec, Rhun tymczasem umieścił lwiątko w klatce w śmigłowcu. Christian nie czekał, tylko od razu skierował się ku domkowi. Erin musiała biec, żeby za nimi nadążyć.

– A więc dokąd go niesiecie? – zapytała.

– Mieszka tutaj emerytowany lekarz! – zawołał młody sangwinista. – Przyjaciel zakonu. Oczekuje nas.

Gdy zbliżyli się do drzwi, otworzył je starszy jegomość i gestem zaprosił przybyszów do środka. Był w brązowych sztruksowych spodniach i kraciastej niebieskiej koszuli. Miał grzywę gęstych białych włosów i brązowe oczy w odcieniu whisky pod krzaczastymi brwiami. Kiedy spojrział na Jordana, jego pocięta głębokimi bruzdami twarz miała poważny wyraz. Warknął coś po francusku do gości.

Sangwiniści czym prędzej wnieśli nosze przez rustykalny przedsionek do kuchni na tyłach. Erin podążyła za nimi.

Jeden narożnik kuchni zajmował żeliwny piec. Biło od niego ciepło, na pokrywie parował garnek z gorącą wodą. Na krześle leżały złożone lniane ręczniki, na nich zaś spoczywała popękana skórzana torba lekarska. Wszystko razem przypominało dekoracje filmowe, a nie miejsce, w którym można liczyć na pomoc medyczną.

Sangwiniści dźwignęli sierżanta z noszy i ułożyli na stole kuchennym.

Kiedy Erin zobaczyła go w blasku jasnych lamp, zrobiło jej się słabo. Purpurowe linie rozrosły się, biegły przez klatkę piersiową i szyję i sięgały twarzy. Gniewnie wyglądające zawijasy oplotły podbródek i wysuwały się ku ustom. Ich barwa ostro odcinała się od popielatej skóry.

Na szczęście mniejsze rany wreszcie zaczynały się goić.

Lekarz odwinął kawałek zakrwawionego bandaża i Erin ścisnęło w żołądku. Głęboka rana cięta przebiegała od prawego ramienia do lewego biodra. Nadal była otwarta, widać było kości i skąpane we krwi mięśnie.

Dłonie lekarza poruszały się szybko, kiedy obmywał rącznikiem pierś rannego; skończywszy, podał go Erin. Trzymała w dłoniach ciepły, przesiąknięty krwią materiał, nie wiedząc, co z nim zrobić.

W końcu Sophia wzięła go od niej.

– Czy on z tego wyjdzie? – zapytała Erin.

– Stracił mnóstwo krwi – odrzekł lekarz po angielsku. – Ale najbardziej martwi mnie ta duża rana. Nie krwawi obficie, ale też się nie zasklepia. Wygląda to, jakby naczynia krwionośne się pozamykały.

– W jaki sposób może mu pan pomóc? – Przeraziła się, słysząc w swoim głosie histeryczny strach. Wzięła głęboki oddech, żeby go stłumić. Chciała zachować spokój i czuwać przy Jordanie.

– Zamierzam zaszyć tętnice i zamknąć ranę. Ale on ma wysoką temperaturę. Nie rozumiem dlaczego. Przy takim upływie krwi powinna polecieć w dół. Muszę ją zbić.

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie Erin i Rhun.

– Ta gorączka nie jest skutkiem schorzenia – wyjaśnił sangwinista.

– To zjawisko jest poza fizjologią – dodała Erin, usiłując wytłumaczyć słowami to, czego wytłumaczyć nie sposób. – Ma we krwi coś, co pomaga mu ozdrowieć.

W każdym razie taką mam nadzieję.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem i chyba nie chcę rozumieć, ale będę go leczył jak zwykłego pacjenta i zobaczymy, czy się ocknie. Nic innego nie mogę zrobić.

Zabrał się do pracy, a Erin przyciągnęła sobie krzesło i ujęła dłoń Jordana. Parzyła ją w palce. Przesunęła ręką po jego krótkich jasnych włosach, które zwilgotniały od potu.

Christian podszedł do lekarza.

- Pozwól sobie pomóc, Hugo. Znasz moje umiejętności.
- Będę wdzięczny – odrzekł doktor. – Przynieś narzędzia z garnka.

Erin także chciała pomóc, ale знаła swoje miejsce, więc tylko trzymała rękę ukochanego. Z medycznego punktu widzenia lekarz robił wszystko, co mógł, ona jednak wiedziała, że obrażenia Jordana sięgają głębiej. Wodziła palcami po falistych liniach na wierzchu jego dłoni, nienawidziła znamienia, jakim został naznaczony, a jednocześnie modliła się, by tętniąca w nim moc uratowała jej mężczyznę.

Była świadoma, że owa moc może go pochłonąć do reszty, skraść go jej równie skutecznie jak śmierć. Ale czy to byłoby złe dla Jordana, który być może przekracza ograniczenia ludzkiej natury i przeistacza się w anioła? To przeobrażenie nigdy nie niepokoiło go tak, jak niepokoiło ją. Czy miała prawo stawiać na szali swoje egoistyczne pragnienia w obliczu szansy, że Jordan stanie się aniołem?

W jej głowie rozbrzmiała przestroga Hugona de Payensa: *Nie pozwól mu zapomnieć o jego ludzkiej naturze.*

Ale co to znaczyło?

21.21

Jordan unosił się w szmaragdowej mgle, stracony dla siebie, nieświadom niczego oprócz cichego szeptu melodii. Śpiewała mu łagodnie obietnicę spokoju, wciągała coraz głębiej i głębiej w swoje słodkie objęcia.

Była w nim jednakże drobna cząstka, która wciąż należała do niego, pojedyncza nuta wobec całego chóru. Scaliła się w twardy supeł oporu skupiony wokół jednego słowa.

Nie.

Wspomnienia gromadziły się wokół niego niczym perłowa masa na ziarnku piasku w ostrydze.

... kłóci się z siostrą o to, kto usiądzie na przednim fotelu samochodu...

...wszystkimi siłami wlecze rannego kolegę wśród śmigających kul, ratuje go...

...walczy o sprawiedliwy wyrok w sprawie, którą wszyscy skreślili i uznali za przegraną...

Z przelotnych migawek formuje się nowe słowo określające jego charakter, jądro, wokół którego można budować.

Upór.

Uznaje, że właśnie to słowo go charakteryzuje, i walczy, szarpie się i wyrywa, chce czegoś więcej niż obietnica zawarta w pieśni, więcej niż tylko spokój.

Szarpanie mąci otaczającą go mgłą, rozprasza ją i w oddali ukazuje się punkcik czerwonego światła. Jordan zaczyna brnąć w jego stronę, czuje odrobinę więcej siebie i dodaje nowe słowo.

Tęsknota.

Ognista plamka to rośnie, to się chwieje, chwilami całkiem znika.

On jednak skupia się na niej, czepia się jej, wie, że jest ważna nawet wtedy, gdy ciche nuty pieśni temu przeczą.

Wreszcie rubinowa cząstka przybliżyła się, krystalizuje i słyhać nowy dźwięk: werbel. Jego szmer snuje się równolegle z chórem, brzmi jak kontrapunkt wobec jego miękkich tonów. Dudni i przyspiesza, wprowadza chaos i zamęt. I to przestaje już być muzyką.

Uformowało się następne słowo, określające coś bezładnego, ale idealnego.

Życie.

Poczuł, że rodzi się na nowo razem z tą myślą. Narodzinom towarzyszył kłujący ból, który przebił się przez mgłą i dał mu kończyny, kłatkę piersiową, kości i krew. Wziął te nowe ręce i zakrył tworzące się uszy, odcinając się od słodkich nut melodii.

Czerwony werbel dudnił coraz głośniejsze i głośniejsze.

Teraz Jordan go rozpoznał.

Było to bicie ludzkiego serca, małego i kruchego, prostego i zwyczajnego.

Uniósł powieki i zobaczył wpatrzony w niego oczy.

– Erin...

21.55

– Heros się budzi – powiedziała Elżbieta. Chciała nadać słowom pogardliwy ton, lecz nawet ona usłyszała w nich wdzięczność, nawet radość.

Czy mogło być inaczej?

Z obliczem przepelnionym radością Erin ucałowała Jordana.

Promieniowała ulgą, w jej oczach płonęła czułość. Rhun patrzył kiedyś w taki sposób na Elżbietę. Mimowolnie palce hrabiny powędrowały do warg, kiedy to sobie przypomniła. Siłą woli opuściła rękę.

Po ponad dwóch godzinach spędzonych w prowizorycznej sali chirurgicznej Jordan leżał na małym łóżku w pokoiku wiejskiej chaty.

Całe jego ciało spowijały bandaże, twarz wyglądała jak mapa utkana ze szwów. Lekarz spisał się dobrze, ale Elżbieta wiedziała, że prawdziwe ozdrowienie kryje się głęboko pod siatką szwów.

Rhun przesunął toporne krzeselko w kącie pokoju i szturchnął młodego lwa, który leżał zwinięty u jego stóp. Pozwolił kotu wejść do domu i czuwać wraz z innymi przy łóżku. Christian i Sophia modlili się, klęcząc obok rannego; potem wyszli na zewnątrz, by rozprostować pobożne kolana i omówić dalsze plany.

Rhun wstał, dotknął ramienia Erin i zwrócił się do Elżbiety: – Podzielę się z Sophią i Christianem dobrą wiadomością.

Kiedy wyszedł, hrabina podeszła do Erin i stanęła za nią z rękami skrzyżowanymi na piersi. Miłość tej kobiety do Męża Wojownika zdradzało każde dotknięcie, każdy szept. Erin coś powiedziała i Jordan uśmiechnął się, naciągając szwy. Skrzywił się, ale nie przestał się uśmiechać.

Na przekór wesołemu nastrojowi Elżbieta przyglądała się purpurowym liniom rozsnutym na jego ciele, nawet na twarzy.

To prawda, że wciąż oddychasz, ale nie jesteś zdrow, pomyślała.

Zachowała to jednak dla siebie.

Powrócił lekarz – zapewne usłyszawszy o poprawie stanu pacjenta – i zaczął go oglądać; zaświecił latarką w oczy, osłuchał serce, położył dłoń na czole.

– *Incredible* – mruknął pod nosem, a potem wyprostował się i potrząsnął głową.

Trzasnęły drzwi i wbiegł Rhun z pozostałymi sangwinistami.

Wcześniej wszyscy spożyli wino, nawet Elżbieta. Poczła się odbudowana i dostrzegła u nich to samo ożywienie, lecz widziała także niepewność na twarzach. Ich postawa i ruchy wyrażały zniecierpliwienie.

Znali prawdę.

Tego wieczoru świat zapadał się w ciemność, w telewizji i radiu podawano straszliwe wiadomości o rozlewie krwi i atakach potworów. Sygnały ostrzegawcze i panika nasilały się z każdą upływającą godziną.

Nie wolno było dłużej zwlekać.

– Odrzutowiec jest zatankowany i czeka – odezwał się od progu Christian. – W ciągu kwadransa możemy być na lotnisku i od razu startować. Jeśli docisnę silniki do czerwonej kreski, dolecimy do Katmandu w niespełna siedem godzin. Na koniec będziemy ciągnęli na oparach, ale powinniśmy dać radę.

Plan zależał od jednego kluczowego szczegółu.

Christian zadał najważniejsze pytanie, siadając w nogach łóżka.

– Jak się czujesz?

– Bywało lepiej – odparł Jordan.

Rhun odwrócił się do lekarza.

– Kiedy będzie gotowy do podróży?

Zszokowany Francuz spojrział na niego i zaklął ostro w swoim języku.

– To są dni, jeśli nie tygodnie! – odpowiedział.

– Już jestem gotowy – odezwał się Jordan, dźwignął się z łóżka i zdołał usiąść. – Spać mogę w samolocie.

Erin popatrzyła na Rhuna z niepokojem w oczach. Błagała go wzrokiem, żeby odwiódł Jordana od tego zamiaru, żeby poparł

lekarza.

Sangwinista pokazał jej jednak plecy.

– A więc ruszamy. Bądźcie gotowi.

Tylko Elżbieta zobaczyła twarz Rhuna, kiedy przemknął obok niej.

Widziała, że wypowiedzenie tych słów do Erin wiele go kosztowało.

Na ten widok Elżbieta także poczuła się zdruzgotana. Zrozumiała, jak bardzo Rhun wciąż kocha tę kobietę.

Pozwoliła mu więc wyjść – za próg i ze swojego serca.

Jest ktoś, kto bardziej mnie potrzebuje.

19 marca, 22.04

Rzym, Włochy

Tommy przebiegł ciemną ulicę, kierując się do jaśniejącej kopuły Bazyliki Świętego Piotra. Plac przed ogromnym kościołem zwykle zapełniali turyści, którzy chodzili i przyglądali się wszystkiemu z rozdziawionymi ustami. Tego wieczoru jednak był opustoszały z powodu godziny policyjnej. Po mieście krążyły dziesiątki patroli składających się z uzbrojonych mężczyzn oraz księży sangwinistów w cywilnych ubraniach.

Tej nocy przegrywali.

W Rzymie bez przerwy wyły syreny, słychać było krzyki. Wybuchaly pożary, w niezliczonych miejscach unosiły się wstęgi dymu.

Tommy potknął się na krawężniku i upadł na kolano. Momentalnie dźwignął go na nogi jeden z trzech wartowników sangwinistów.

Prowadzili go z mieszkania nad rzeką do Watykanu.

Dla twojego bezpieczeństwa, wyjaśniono mu.

Usiłował protestować, bojąc się, że Elżbieta nie będzie wiedziała, dokąd został przeniesiony. Próbował się do niej dodzwonić po zmierzchu, ponieważ panował coraz większy chaos, a on się bał.

Lecz linie były zajęte, przeciążone.

Ktoś ustawił barykadę przed wejściem na plac Świętego Piotra.

Zespawane płyty metalu wznosiły się na wysokość ponad trzech metrów. W kuloodpornych budkach na szczycie stali snajperzy z karabinami. U podnóża barykady paliły się olbrzymie reflektory, oświetlając otaczające ulice.

Miasto znalazło się w oblężeniu.

Ale kto je oblegał?

Tommy obejrzał serwis informacyjny BBC. Siedział jak przyklejony do ekranu i śledził materiały o nocnych atakach w całej Europie i poza nią. Oddziały wojska patrolowały największe metropolie, zwłaszcza po zmierzchu. Rzym nie był jedynym miastem, w którym wprowadzono stan wyjątkowy.

Chłopiec doszedł do wniosku, że *strigoi* zyskali siłę i wymknęli się spod kontroli.

Mała grupka dotarła do bariery i szybko ją przepuszczono. Tommy z niedowierzaniem patrzył na liczne szeregi Gwardii Szwajcarskiej i sangwinistów w habitach, którzy stali na murach i balkonach otaczających plac. Uzbrojonych ludzi przybywało, a kiedy on i członkowie jego obstawy wbiegli przez bramę, zamknięto ją.

Wydawało się, że Kościół wycofuje większość swoich żołnierzy z ulic, by chronić siebie. Zwyczajni ludzie byli zdani tylko na własne siły.

Wartownicy prowadzili Tommy'ego placem w kierunku bazyliki.

Nawet jej masywne drzwi zasłonięto metalowymi płytami.

– Nocą będziesz tam bezpieczny – zapewnił go wartownik.

Może...

Tommy'ego trawił lęk o Elżbietę. Ona gdzieś tam była. Kto wie, z jakimi niebezpieczeństwami musiała się mierzyć? Egoistycznie zapragnął mieć ją obok siebie. Dopiero wtedy poczułby się naprawdę bezpieczny. Wiedział jednak, że istnieją rzeczy, przed którymi nawet ona nie może go obronić.

Zakasłał głośno w dłoń i zgiął się z bólu.

Popatrzył na rękę.

Krew.

CZĘŚĆ SZÓSTA

*Wężę, plemię żmijowe, jak wy możecie ujść
potępienia w piekle?*

Ewangelia wg św. Mateusza 23,33

20 marca, 10.48

Przestrzeń powietrzna nad Nepalem

Erin wstrzymała oddech gdy helikopter piął się ku ostrej jak brzytwa grani ośnieżonej góry. Lodowa ściana wznosiła się na wysokość ponad sześciu tysięcy metrów; tyle wynosił maksymalny pułap lotu maszyny. Kiedy osiągnęli grzbiet, wiatr szarpnął maszyną w przód i w tył, a rotor zerwał ze skały tumany śniegu. Zdawało się, że śmigłowiec balansuje nad lodową klingą, schwytyany w pułapkę, lecz po chwili zsunął się po drugiej stronie góry.

Erin westchnęła głośno i pokręciła szyją, żeby choć trochę uwolnić się od napięcia.

– Lądowanie za dziesięć – poinformował przez słuchawki Christian irytująco spokojnym głosem.

Przed chwilą pokonali ostatnie pasmo górskie, Ganesh Himal, i schodzili w kierunku podłużnej doliny. Ze wszystkich stron otaczały ją olbrzymie ostre wierzchołki i to tłumaczyło, dlaczego miejsce pośród nich tak długo pozostało nietknięte przez współczesną cywilizację. Według starożytnej mapy, którą podarował drużynie Hugo de Payens, środkiem doliny powinna wic się rzeka, lecz Erin widziała jedynie lśniący płaszcz niezmaczonej bieli. Rzeka była przypuszczalnie skuta lodem i o tej porze roku pokrywał ją śnieg.

Może latem dolina tętniła bujną zielenią, ale teraz wyglądała jak niegościnna pustynia.

Z pewnością nie jak Rajski Ogród.

Erin tupała nogami, żeby przywrócić krążenie krwi w nogach. Na metalowej podłodze zabrzączały stalowe raki do chodzenia po lodzie.

Mimo że w kabinie było ogrzewanie, a Erin miała na sobie zimową odzież, zimno tych gór znajdowało drogę aż do kości.

A może był to po prostu strach.

Spojrzała na swoich towarzyszy okutanych w białe parki.

Sangwiniści o zimnej krwi nie potrzebowali ochronnej odzieży, ale śnieżnobiały kolor stanowił dobry kamuflaż w zimowej scenerii.

Nawet lwiątko ze swoją białą grzywą i futrem wydawało się stworzone do takiej wyprawy.

Wszyscy się poruszyli, przygotowując na to, co miało nastąpić.

Erin uniosła głowę i spojrzała przez szybę na słońce. Wisiało na jasnoblękitnym niebie, przysłonięte tylko paroma smugami cirrusów.

Do południa zostało nieco ponad godzinę.

Jordan zauważył, gdzie wędruje jej wzrok, i ścisnął jej kolano.

– Kto właściwie powiedział, że termin upływa w południe? Może zostało nam więcej czasu na przymknięcie bram Piekła.

Odwróciła się od okna. Na twarzy Jordana zostały tylko nikłe blizny po niedawnej walce, lecz blada skóra poznaczona była zawijasami purpurowych linii, które zajmowały połowę jego oblicza. Kurtkę miał rozpiętą, jakby nie czuł zimna. Gdyby Erin zdjęła śnieżnobiałe rękawice, mogłaby się zapewne ogrzać ciepłem, które płynęło od niego.

Zaczerpnęła głęboki oddech i odwróciła głowę. Nie mogła dłużej patrzeć na te linie, bo pokazywały, jak niewiele z ludzkiej natury pozostało w Jordanie. We Francji znalazł się na progu śmierci i wrócił dzięki anielskiej mocy i własnemu ludzkiemu uporowi. Gdy nadejdzie czas, będzie musiał wybrać, którą ścieżką chce pójść. A ona będzie musiała mu na to pozwolić, choćby nie wiadomo jak bała się go utracić.

Odpowiedziała na jego pytanie, żeby odwrócić myśli od strapień.

– Mamy czas tylko do południa.

– Skąd ta pewność? – zapytał Rhun z przeciwnej strony kabiny.

Lwiątko rozciągało się na sąsiednim siedzisku, wyginając grzbiet w łuk.

Elżbieta uprzedziła jej odpowiedź.

– Spójrzcie na księżyc.

Wszystkie twarze skierowały się ku oknom. Obok krawędzi płonącego słońca wisiał księżyc w pełni.

Jordan oparł się o Erin, żeby wyjrzeć.

– Bernard wspominał, że dzisiaj będzie zaćmienie – wymamrotał.

– Ale tylko częściowe, jeśli dobrze pamiętam.

– Częściowe we Francji – poprawiła Erin. – Tutaj, na Dalekim Wschodzie, zaćmienie będzie całkowite. Sprawdziłam w czasie lotu.

W Himalajach zacznie się minutę po południu.

Przypomniała sobie mural na ścianie laboratorium Edwarda Kelly'ego. Krwawoczerwona tarcza nad czarną taflą jeziora – w taki sposób malarz mógł przedstawić całkowite zaćmienie Słońca.

Szkoda, że nie dolecieli na miejsce wcześniej. Odrzutowiec Citation X, za którego sterami siedział Christian, przemknął nad Europą i Azją. Bernard za pośrednictwem telefonu satelitarnego regularnie informował ich o wydarzeniach na świecie, o prawdziwej erupcji ataków w ciemnych miastach, nad którymi przelatowali. *Strigoi* i blesfemory zrobiły się śmielsze i silniejsze wraz z przyrostem fali zła; równowaga sił przechylała się na ich korzyść. Potwory były jednak zaledwie iskrą dla ognistej burzy. Reszty dokonała panika i płomienie chaosu wzbily się jeszcze wyżej.

Christian zrobił zwrot nad grzbietem góry i ukazała się mała wioska przytulona do stoku. Z kominów nad spadzistymi dachami snuły się wstążki dymu, ludzie w domkach przyrządzali

posiłki, śmiali się, żyli. Przypomniało to Erin, jaki jest cel walki, którą toczą.

Spostrzegła samotnego jaka, który stąpał wąską zaśnieżoną ścieżką. Przy jego boku szła postać w jasnym ubraniu z kapturem nasuniętym na okrągłą głowę. Ciemnoskóry mężczyzna i jak zatrzymali się, by spojrzeć w górę na przelatujący śmigłowiec.

Erin przystawiła dłoń do szyby, życząc obu długiego i szczęśliwego życia.

Wioska zniknęła w tyle. Ostatnim ludzkim siedliskiem na trasie była buddyjska świątynia otoczona linkami z chorągiewkami modlitewnymi.

Lecz oni nie zmierzali do świątyni.

Christian leciał dalej, kierując się do miejsca oznaczonego kropką na mapie Hugona.

– Nie widzę jeziora, chyba że jest pokryte śniegiem. Będę musiał zrobić okrążenie.

Poderwał maszynę i nagle Erin zauważyła po prawej stronie dolinę w kształcie miski.

– Tam! – krzyknęła do pilota, nachylając się do niego i wskazując ręką.

Młody sangwinista skinął głową.

– Już widzę. Przyjrzyjmy się bliżej.

Skierował śmigłowiec w tamtą stronę, sunąc między dwoma szczytami. Na dnie doliny znajdowała się spora połać pokryta śniegiem, wielkości mniej więcej połowy boiska piłkarskiego, jednak jej powierzchnia nie była jednolita. Spod śniegu wyzierał czarny lód, podłużne ciemne pasy wyglądały jak pęknięcia na powierzchni białej wazy.

– To musi być tutaj – powiedziała Erin.

– Dowiemy się tylko w jeden sposób. – Christian poruszył drążkiem i obniżył maszynę tak, że zawisła nad śniegiem.

Podmuch powietrza spod płatów rotora zmiótł śnieg i ukazała się tafła zamarzonego jeziora. Była czarna jak obsydian, jak czarne jezioro namalowane na muralu w Domu Fausta. Nie było tylko potworów, które z niego wypełzały.

Przynajmniej na razie.

Erin zerknęła na niebo i zobaczyła, że Ziemia zasłoniła już kawałek Księżyca.

– Myślicie, że to tutaj? – spytał Christian.

Sophia odezwała się z głębi kabiny i wskazała ręką.

– Spójrzcie na urwiska po tej stronie.

Erin obróciła się, żeby lepiej widzieć. Nie od razu zrozumiała, co przykuło uwagę Hinduski. Ale po chwili już wiedziała. Skryte do połowy w cieniu skalnej ściany, niemal do niej przywierając, stały dwa olbrzymie drzewa. Oba miały bladoszare pnie, na ich gałęziach nie było liści; konary oblepił lód i zmarznięty śnieg.

Sophia odwróciła się do towarzyszy.

– Czy Hugo de Payens nie mówił, że w dolinie zamieszkannej przez mnichów *strigoi* rosną dwa wielkie drzewa?

Być może są to Drzewo Oświecenia i Drzewo Wiecznego Życia.

Erin na ich widok ogarnęło nieprzyjemne poczucie rozczarowania.

Wyglądały zwyczajnie, na pewno były stare, ale nie zaskakiwały niczym spektakularnym. Mimo to pasowały do opisu, który przedstawił Hugo.

– Posadź śmigłowiec – poleciła. – To na pewno jest tutaj.

Christian zaczął wykonywać manewr.

– Miejmy nadzieję, że lód jest gruby i nas utrzyma – rzekł. – To jedyne miejsce, w którym mogę wylądować.

Miał rację. Wszędzie wokół były strome zbocza usiane skalnymi wypiętrzeniami. Opuszczał maszynę ostrożnie, aż płozy lekko cmoknęły lód. Dopiero gdy przekonał się, że powierzchnia utrzymuje ciężar, wylądował.

– Może być – powiedział i zgasił silnik.

Erin zdjęła słuchawki i poczekała, aż sangwiniści, w tym Elżbieta, wysiądą pierwsi. Musieli uważać na zagrożenia. Gdy tylko drzwi się otworzyły, do środka wtargnął lodowaty wiatr, tak silny, jakby chciał ją porwać. Choć była opatulona parką, zadrżała, ale nie z powodu zimna. Nagle poczuła, że zjeżył się każdy włoszek na jej ciele.

Sangwiniści zareagowali jeszcze mocniej: Christian opadł na lód na jedno kolano, Sophia odetchnęła tak gwałtownie, że Erin usłyszała ją mimo ostrego świstu wichru; Rhun chwycił pectorał ukryty pod kurtką i zachwiał się po zrobieniu kilku kroków. Elżbieta złapała go za łokieć i pomogła utrzymać równowagę. Spojrzała z przyganą na swoich towarzyszy.

Erin przypomniała sobie, że sangwiniści zachowywali się tak samo w Domu Fausta. Tutaj jednak plugawość była o wiele mocniejsza.

Nawet ja ją czuję, pomyślała, trzęsąc się.

Siedzący obok niej Jordan uniósł ręce do uszu i przekrzywił głowę.

– Ten dźwięk – powiedział, marszcząc czoło. – Jak drapanie paznokciami po szkle... Nie, raczej jak drapanie stalowymi pazurami po tablicy. O rany...

Wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty.

Erin nie słyszała dźwięku, o którym mówił, ale przecież tylko on jeden słyszał śpiewanie kamienia. Jego uszy musiały być nastrojone na całkowicie inne częstotliwości niż jej słuch.

Wysiadła ze śmigłowca, a Jordan wyskoczył za nią. Kiedy stalowe raki dotknęły lodu, jej nogi nagle zziębły, jak gdyby przez nogi wyssano z jej ciała całe ciepło.

Za sierżantem wysiadło lwiątko i podskoczyło wysoko, jakby chciało uniknąć kontaktu z lodem. Tyle że do brzegu było daleko.

Młody kot opadł na srebrne pazury i podszedł do Rhuna. Unosił ostrożnie każdą łapę po kolei i opuszczał ją, żeby jak najmniej stykać się z czarnym lodem.

– Coś się tutaj czai – wyszeptała Erin.

– W tym jeziorze zalega potężne zło – zgodził się Rhun. – Chodźmy stąd czym prędzej.

Mieli ochotę puścić się biegiem do brzegu, lecz posuwali się ostrożnie. Powierzchnia była śliska, a oni bali się obudzić to, co się pod nią kryło. Rhun kierował się do odcinka brzegu leżącego najbliżej cienistych drzew.

Erin westchnęła z ulgą, kiedy w końcu przestąpiła z lodu na skałę.

Momentalnie poczuła się o wiele lżejsza, jakby uwolniono ją od ciężaru plecaka.

Rhun stanął obok niej i wyprostował się. Sangwiniści ożyli niczym kwiaty, które otwierają się ku słońcu.

– Nadal to czuję – powiedziała Sophia. – Wionie od jeziora, przepełnia całą dolinę.

Rhun skinął głową.

Christian otarł rękawicą pot z czoła i spojrzał tęsknie w kierunku śmigłowca.

– Teraz żałuję, że nie postawiłem go bliżej. Nie uśmiecha mi się przemarsz z powrotem.

Zakładając, że w ogóle będziemy mieli taką szansę.

Erin, mrużąc oczy, popatrzyła na niebo. Słońce świeciło jasno, podczas gdy tarcza Księżyca się zmniejszała. Skierowała spojrzenie niżej, ku stromemu skalistemu zboczcu wznoszącemu się do wielkich drzew. Dopiero teraz zauważyła, że głązy zostały ułożone z rozmysłem i tworzyły śnieżny szlak pnący się ku skałom.

– To jest szlak – powiedziała i ruszyła przed siebie.

– Trzymaj się mnie – rzucił Jordan.

Zerknęła na niego, szczęśliwa, bo znów odezwała się jego opiekuńcza natura. Ujęła jego rękę, żałując, że oboje mają rękawice na dłoniach.

Rhun zajął miejsce na czele, lwiątko sunęło przy jego boku.

Wspinali się powoli między głazami, uważając na łąchy śniegu. W pobliżu końca szlaku, na zakręcie, ksiądz nagle się zatrzymał.

Lwiątko zawarczało niskim tonem.

– Nie jesteśmy sami – rzekł sangwinista.

11.12

Mało brakowało, a przeoczyłby ich.

Trzej mężczyźni klęczeli między olbrzymimi pniami drzew tak nieruchomo, że wyglądali jak posągi. Śnieg leżał na ich

barkach i łysych czaszkach, tworząc coś na podobieństwo czapek z proszku.

Ich serca nie biły, lecz Rhun wiedział, że są żywi.

Oczy spoglądały na niego, świeciły w cieniu pod bezlistnym baldachimem.

Wiedząc, że zostali zauważeni, mężczyźni wstali równocześnie płynnym ruchem. Śnieg zsunął się z ich ubranych na białą postaci.

Wyszli na słońce, żeby powitać Rhuna i jego towarzyszy; ich blade ręce spoczywały splecione na wysokości pasa.

Ksiądz wiedział, że to *strigoi*, lecz chodzili w świetle słońca bez trudu, jak sangwiniści. Zgodnie ze słowami Hugona de Payensa mnisi znaleźli inny sposób, by zawrzeć pokój z blaskiem dnia.

Podszedł do nich i ukłonił się. Wysunął ręce, żeby zobaczyli, że nie ma broni.

– Przysłała nas Hugo de Payens – powiedział. – Niesiemy jego błogosławieństwo.

Najważniejszy mnich miał krągłą twarz i ciemne, łagodne oczy.

– Czy zwracacie kamienie, które nasz przyjaciel otrzymał na przechowanie?

– Mamy je – potwierdził Rhun.

Erin zdjęła plecak z ramion i rozpięła go, żeby wyjąć klejnot, lecz Rhun zasugerował, by się wstrzymała. Hugo powiedział, że mogą zaufać mnichom, ale wyczuwalne zło dochodzące z jeziora kazało mu zachować ostrożność.

Nawet lwiątko trzymało się blisko jego kolana, wyraźnie podenerwowane aurą doliny.

Trójka mnichów ukłoniła się jednocześnie, jakby na sygnał cichego dzwonu.

– A więc witajcie – powiedział ten najważniejszy, prostując się z łagodnym błogim uśmiechem na ustach. – Mam na imię Xao. Wejdźcie, proszę, do naszej świątyni i połączmy wasze kamienie z ich błękitnym bratem. Czasu, jak wiecie, jest coraz mniej.

Mnisi odwrócili się i ruszyli w kierunku drzew. Rhun zauważył, że są prawie identyczne – miały grube szare pnie i gładką korę. Stały tak blisko siebie, że ich wyższe konary splotły się ze sobą, tworząc naturalny baldachim. Sękate gałęzie drżały od podmuchu zimnego wiatru dmącego z gór, lecz korzenie drzew były krzepkie.

Ziemia wokół pni była pozamiatana. Witki mioteł zostawiły okrągłe wzory na cienkiej warstwie śniegu. Przemyślany układ linii wyglądał jak wzór w ogrodzie zen, lecz sam wzór – utworzony z łuków i zawijasów – nasunął Rhunowi skojarzenie z tatuażem na klatce piersiowej i szyi Jordana.

Mnisi zatrzymali się przed skalną ścianą, przed którą rosły drzewa.

Zaintonowali coś w języku, którego nie rozpoznał, lecz Erin szepnęła za jego plecami głosem pełnym podziwu: – Wydaje mi się, że to sanskryt...

Xao wydobył z kieszeni małą srebrną rzeźbę róży. Zacisnął dłoń na łodydze, przebijając sobie skórę kolcami, wypuścił krople krwi na wierzchołek głazu sterczącego ze skalnej ściany i rozległ się donośny zgrzyt kamienia.

– Jak brama sangwinistów – odezwał się cicho Christian.

Albo jej prototyp, pomyślał Rhun.

Skała zajęczała i zatrzeszczała, ukazały się w niej małe okrągłe drzwi i przesunęły się w bok. Śnieg zachrząścił pod ich ciężarem.

Mnisi weszli, zapraszając gości do środka. Wejście okazało się tak niskie, że trzeba było się schylić. Zapewne specjalnie je tak zaprojektowano, by skłonić do pokory tych, którzy wchodzą.

Pierwszy wkroczył Rhun z lwiątkiem, reszta podążyła za nimi.

Za progiem wyprostował się i zobaczył olbrzymie wnętrze oświetlone tysiącem świec i dziesiątkami żarzących się kadzielnic. Od razu się zorientował, że nie jest to naturalna grotta, lecz olbrzymia sala wykuta w skale, istne arcydzieło. Stworzenie jej musiało zająć setki lat.

Erin aż otworzyła usta ze zdumienia, kiedy weszła z Jordanem i resztą.

Znaleźli się w czymś, co przypominało wioskę wyrzeźbioną ze skały, której fundamenty nadal w niej tkwiły i budynki zdawały się wyrastać z podłoża jaskini. Stały tam także setki posągów, ich cokoły łączyły się w niezauważalny sposób z kamieniem. Przedstawiały zwyczajnych wieśniaków krzątających się wokół swoich codziennych spraw: naturalnych rozmiarów jak ciągnął wóz, stada kóz i owiec pasły się na kamiennej trawie.

– Wygląda to tak, jakby zabrali tę wieś, nad którą przelatywaliśmy, i zamienili ją w kamień – powiedział Jordan.

Mnisi nie zwracali uwagi na zdumienie przybyszów i prowadzili ich do centrum wioski, gdzie siedział olbrzymi Budda, wysoki na co najmniej dziewięć metrów. Kamienne oczy miał zamknięte w spokojnej medytacji. Twarz nie była wystylizowana, wyglądała jak odwzorowanie prawdziwego mężczyzny z szeroko rozstawionymi oczami, mocnym, prostym nosem, delikatnymi łukami brwi i cieniem uśmiechu na zbyt pełnych ustach. Rysy były nieskazitelne; odnosiło się wrażenie, że jego oczy lada chwila się otworzą.

Rhun czuł spokój, porządek i łagodność emanujące od posągu; stanowiły cudowną przeciwwagę dla zła przenikającego to, co znajdowało się poza jaskinią.

Mnisi równocześnie złożyli dłonie i ukłonili się przed posągiem, a potem poprowadzili gości do wysokiej świątyni. W środku była wieża w kształcie dzwonu wznosząca się z gracją prawie do sufitu. Odchodziły od niej sznury z zawieszonymi flagami; wszystko zrobione było z kamienia, flagi zdawały się łopotać na wietrze, który tu nie docierał.

Drzwi świątyni pilnowały dwa posągi. Z prawej strony na cokole siedział stylizowany smok, z lekko otwartą paszczą, w której sterczały ostre kły mogące zadać ranę. Po prawej stało na tylnych kończynach kudłate zwierzę z uniesionymi potężnymi przednimi, zakończonymi długimi pazurami. Stwór wyglądał jak

krzyżówka mały i niedźwiedzia. Rhun nigdy nic podobnego nie widział.

Lwiątko obwąchało smoka i jego sierść lekko się zjeżyła, jakby spodziewało się, że skrzydlaty stwór w każdej chwili ożyje.

Jordan dotknął palcami drugiego potwora.

– Trochę przypomina leśnego małpoluda – powiedział.

– Nie – rzuciła Erin i zbliżyła się do posągu. – Myślę, że to yeti.

Stwór, który podobno straszy w Himalajach. – Spojrzała na Xao, czekając na potwierdzenie.

Twarz mnicha pozostała nieprzenikniona.

– To podobizna stworzenia, jednego z kilkunastu, które umknęły z jeziora – odparł. – Bestie różnego rodzaju od czasu do czasu wpełzają do naszego świata z ciemnej przestrzeni. Niektóre są nagie i szybko czczą od chłodu. Inne, takie jak ten, latami włączają się po górach, zanim zdołamy sprowadzić je z powrotem. Powstają o nich legendy, które ludzie opowiadają sobie później przy ogniskach.

– Jak to „sprowadzić je z powrotem”? – zdziwił się Jordan.

– Chwytamy uciekinierów i zwracamy jezioru. Staramy się nie robić im krzywdy i nie dopuszczamy, by krzywdziły innych, ale często nam się to nie udaje.

– Ale to nie są demony? – spytała Sophia.

– Zgodnie z naszą filozofią nie wolno potępiać tych bestii za to, że mają taką naturę – odrzekł nabożnie Xao; zabrzmiało to jak wyznanie wiary Hugona de Payensa. – Jesteśmy tutaj, by chronić wszystkich.

Odwrócił się i machnął ręką w stronę otwartych drzwi świątyni.

– Wejdźmy. Czekają nas ważne zadania.

Rhun nie miał nic przeciwko temu. Wyostrzone zmysły sangwinisty powiedziały mu, że słońce na zewnątrz zamiera, że cień księżycy z wolna pochłania jego blask.

Kończył się im czas.

20 marca, 11.22

Dolina Tsum, Nepal

Elżbieta wlokła się za pozostałymi do świątyni, jakby była pospolitym przybłądą. Nie zносиła, kiedy zostawiano ją na szarym końcu, ale dzięki temu miała czas na zastanowienie się nad Rhunem i pozostałymi. Hugo de Payens pokazał jej inny sposób życia, inną drogę zrównoważenia światłości i ciemności, nocy i dnia. A ci tybetańscy mnisi byli jej ucieleśnieniem.

Tego samego mogłabym nauczyć Tommy'ego.

Czekała zatem na właściwy moment z nadzieją, że dowie się jak najwięcej, a potem ucieknie i dotrze do chłopca. I ocali go od śmierci, na którą nie zasłużył.

Znalazłszy się w sercu świątyni, poczuła unoszący się w powietrzu zapach jaśminu. Kamienna posadzka została wyrzeźbiona na podobieństwo drewnianych desek; wykonanie tego musiało zająć lata mozolnej pracy. Na końcu długiej sali czekał Budda z obliczem emanującym błogością. W odróżnieniu od pierwszego posągu miał otwarte oczy.

Hrabina zastanawiała się, dlaczego kompleks świątynny jest tak rozległy, skoro mieszka w nim zaledwie trzech mnichów. Wyteńczyła słuch, ale nie usłyszała szurania sandałów na kamieniach, szmeru szaty ocierającej się o skórę, jeszcze cichszego przesuwania paciorków modlitewnych. W dolinie najwyraźniej pozostało tylko tych trzech strażników.

Mnisi przyprowadzili gości do stojącego przed posągiem Buddy dużego purpurowego stołu z płytką srebrną tacą, na której

misternie połączono przeróżne rodzaje piasku i soli w wielu kolorach i odcieniach w taki sposób, że utworzyły malowidło. Było doskonałym odwzorowaniem zimowej doliny znajdującej się na zewnątrz: biały piasek zastępował śnieg, czarna sól odpowiadała jezioru. Na brzegu stały dwa szare drzewa; każda sękata gałąź znalazła tutaj swój idealny odpowiednik.

Lwiątko zaczęło obwąchiwać tacę i Rhun machnięciem ręki musiał odprawić wścibskiego zwierzaka.

Trzej mnisi obeszlili stół dookoła, wzięli za ręce Erin, Jordana i Rhuna i zaprowadzili do trzech różnych rogów tacy. Każde z nich znalazło się przy jednym narożniku, drzewa natomiast znaczyły czwartą.

Palec Xao zawisł nad maleńką figurką po tej stronie jeziora, przy której stała Erin. Upuścił przed tą figurką malutki rubin.

– Słońce wschodzi na wschodzie – zaintonował.

Drugi mnich stanął obok Rhuna i za pomocą cieniutkiego zakraplacza umieścił idealną kropelkę wody na piasku przed figurką w tym rogu tacy.

– Księżyc zachodzi na zachodzie – powiedział Xao.

Ostatni mnich nachylił się obok Jordana i delikatnie zdmuchnął zielone nasionko ze swojej dłoni. Spłynęło z niej i upadło przed figurką na kolejnym rogu.

– Ogród gromadzi światło z południa – mówił Xao. Podszedł do ostatniego rogu tacy i wskazał drzewa namalowane w piasku.

– Wieczne korzenie zaś wyznaczają północ.

– Co to znaczy? – zapytał Jordan, spoglądając na figurkę przed sobą.

– W taki sposób otwieramy bramę, prawda? – odezwała się Erin.

Xao potwierdził jej przypuszczenie prawie niewidocznym skinieniem głowy.

– Kamienie muszą być umieszczone na filarach, każdy we właściwym punkcie kompasu. Kiedy Słońce stanie w zenicie i jego blask padnie na kamienie, klejnoty odpowiedzą swoim

światłem, przeszują nim jezioro. Kiedy ich promienie się zderzą, narodzi się nowe światło, światło najczystszej bieli.

Patrzyła na mnicha z odrobiną sceptycyzmu.

– Mówisz, że trzy barwy odbitego światła, czerwona, niebieska i zielona zleją się w jedno i utworzą białe światło?

Jordan się wyprostował.

– Brzmi rozsądnie. Tak było w starych telewizorach budowanych na bazie emiterów RGB. Czerwona, niebieska i zielona. Z tych trzech kolorów można uzyskać wszystkie odcienie.

Xao odpowiedział w bardziej wyrafinowany sposób: – Ciemność to brak światła, tymczasem białe światło kryje w sobie tęczę.

– Pełne spektrum – potwierdził Jordan i skinął głową.

– Co się stanie później? – dociekała Elżbieta. Nie bardzo rozumiała, o czym mówią, lecz przyjmowała ich słowa do świadomości.

– To czyste światło przebije wiekuistą ciemność, spowijającą jezioro – odparł Xao. -1 tak jak po przebiciu wrzodu gorącą igłą, zło uniesie się ku powierzchni. Ale nie lękajcie się, piramida blasku stworzona przez trzy kamienie unieruchomi stworzenia zrodzone z nikczemności, powstrzyma je przed wstąpieniem do naszego świata.

Elżbieta zaczynała pojmować.

– Jak klatka zbudowana ze świetlnych prętów.

– Właśnie tak – potwierdził Xao. – Ale musimy postępować z wielką ostrożnością. Jeśli kamienie poruszą się w czasie, gdy brama będzie nadal otwarta, pręty pękną i zło runie z wielką siłą na nasz świat.

– Mówisz tak, jakbyś już to kiedyś robił – zauważył Jordan.

– Czy w taki sposób zawracaliście w przeszłości stwory, które stamtąd uciekły? – spytała Erin. – Na przykład yeti?

Oblicze Xao zasnuł smutek.

– To jedyny sposób, by przenieść je z powrotem do ciemnych krain i przywrócić równowagę tutaj.

Drugi mnich delikatnie dotknął palcem jego szaty, jakby chciał go popędzić. Dla tych dusz przepełnionych spokojem ten prosty gest musiał być niczym najgwałtowniejszy wstrząs.

Xao skinął głową.

– A teraz stajemy przed jeszcze większym zadaniem. Nad pokonaniem ciemności, która przybierała na sile w ciągu minionych kilku miesięcy. Czarny król władający podziemiem, ten, którego zwiecie Lucyferem, rozluźnił swoje więzy na tyle, by przebić się przez powierzchnię jeziora. Musimy otworzyć bramę i naprawić pęknięte łańcuchy, zanim wyzwoli się w pełni.

– Jak mamy tego dokonać? – chciała wiedzieć Erin.

– Musimy go przyzwać do bramy, przyciągnąć pokusą, której nie zdoła się oprzeć. – Xao popatrzył na triadę. – Dziećmi tego świata: Wojownikiem, Niewiastą i Rycerzem, który potrafi panować nad ciemną krwią króla.

Erin patrzyła z przerażeniem.

Jordan pokręcił lekko głową.

– Innymi słowy jesteśmy przynętą.

Nawet Rhun był wstrząśnięty; nadal wpatrywał się w tacę, jakby szukał odpowiedzi wśród esów-floresów nakreślonych w piasku.

– A kiedy Lucyfer przybędzie, co musimy wtedy robić? – spytał. – Jak zakujemy go od nowa w kajdany?

– Przygotowaliśmy się na ten dzień. Tysiące lat temu. Ta błogosławiona świątynia wyrzeźbiona została na skraju tej doliny nie tylko po to, by przechować trzy klejnoty, lecz by chronić i przechować wielki skarb wyrzeźbiony jedną parą rąk. Tylko Oświecony mógł stworzyć taką doskonałość.

Xao odwrócił się i złożył ukłon posągowi.

– Budda – powiedziała Erin głosem pełnym podziwu.

Trzej mnisi podeszli do posągu i Xao otworzył drzwiczki w jego brzuchu. Klapka została wykonana tak precyzyjnie, że nawet Elżbieta nie zdołała jej dostrzec. Ze środka dwaj mnisi wyjęli dużą skrzynię z polerowanego białego drewna, z namalowanymi na bokach kwiatami lotosu.

Wysiłek malujący się na twarzach dwóch mnichów dźwigających skrzynię świadczył o jej wielkim ciężarze. Mimo to nieśli ją wysoko, jakby się lękali, że może dotknąć posadzki. Wtedy Xao podniósł wieko i wylał się z niej opar świętości.

Sangwiniści otworzyli szeroko usta. Rhun nachylił się ku skrzyni, jakby przyciągany źródłem błogosławieństwa. Elżbieta cofnęła się, chciała uciec, gdyż świętość skrzyni obnażała ukryte w niej ciemne miejsca.

Nawet lwiątko ukloniło się przed otwartą skrzynią, tak że jego brzuch dotknął posadzki.

Jordan i Erin podeszli bliżej, żeby lepiej zobaczyć ukryty w niej skarb.

– Łańcuchy – powiedział Jordan. – Srebrne łańcuchy.

Jego słowa marnie oddawały sprawiedliwość ich pięknu. Łańcuchy były z czystego srebra i jaśniały świętością. Każde ogniwo stanowiło istną doskonałość, był na nich wyrzeźbiony i wycięty każdy listek i każde stworzenie, jakie żyło pod słońcem. To był świat natury odwzorowany w srebrze.

– I możemy ponownie skuć Lucyfera tymi łańcuchami? – spytała Erin.

Xao spojrzał na nią, potem na Jordana.

– Nie wy dwoje. Tylko tacy jak my i wasi kompani mogą przenieść ten skarb przez poziomy piramidy światła. Przekroczenie świetlnej bariery to śmierć dla każdego, kto ma wciąż bijące serce. Tylko przekłenci mogą przejść bez szwanku; ci, którzy zrównoważyli w sobie światło i ciemność.

Uklonił się swoim braciom mnichom, a potem sangwinistom.

Christian zrobił krok w jego stronę.

– Pozwól mi iść. Rhun musi pilnować swojego filaru piramidy. Ja mogę do niej wejść i zanieść łańcuchy do Lucyfera.

– Ale nie sam – wtrąciła Sophia. – Pójdę z tobą.

Dwaj mnisi trzymający skrzynię czynili to z wielkim wysiłkiem, należało więc sądzić, że do dźwignięcia jej potrzeba dwóch sangwinistów. Może nawet trzech. Jednakże Elżbieta

milczała. Nie pójdzie, chyba że jej nakazą, a niewykluczone, że i wtedy nie.

Xao wystąpił i poniżył się przed Christianem i Sophią, klękając na jedno kolano i całując im ręce.

– Będą wam towarzyszyły nasze błogosławieństwa. Podróż w ciemność piramidy światła nie jest łatwa.

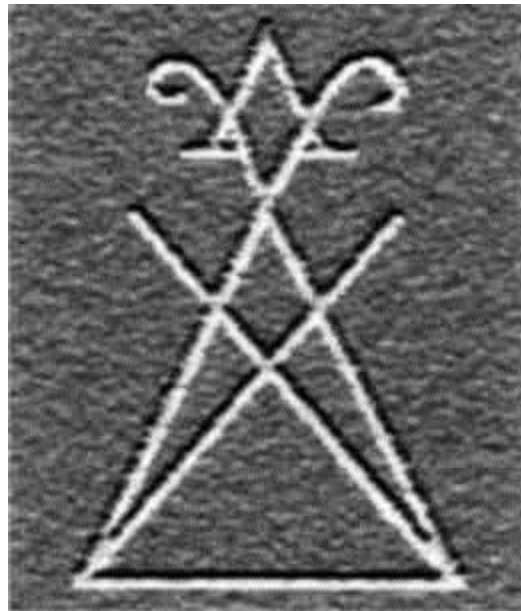
– Hm... – mruknęła Erin.

– Co jest? – spytał Jordan.

Odwróciła głowę do mnichów i wyciągnęła do niego rękę.

– Pokaż mi swój zielony kamień.

Jordan wyjął z kieszeni dwie połowy i podał jej. Sangwiniści poddawali się czarowi skrzyni i jej zwartości, Elżbieta zaś podeszła do Erin. Ta złożyła połówki i obróciła całość w ten sposób, by widoczny był rysunek wyryty w kamieniu. Tym razem jednak odwróciła symbol kielicha do góry nogami.



– Czy to może być wyobrażenie piramidy światła? – zapytała.

Obróciła się do Xao, oczekując potwierdzenia. Połówki kamienia w jej dłoniach rozsunęły się.

Mnich spojrział i po raz pierwszy okazał emocje. Spokojne rysy jego twarzy skrzywiły się w wyraz zaskoczenia i przerażenia.

– Nie, to niemożliwe. – Z wściekłą miną zbliżył się groźnie do Erin. – Co ty zrobiłaś?!

Cofnęła się, a Rhun stanął między nią a mnichem.

– Ona nic nie zrobiła – odrzekł tonem, w którym brzmiała nuta ostrzeżenia.

Xao pokręcił głową.

– Kamień Ogrodu zdruzgotany. W takim stanie nie zdoła otworzyć bramy. – Gapił się na nich z zagubieniem w oczach. – Jeden klucz został złamany, nie ma przyszłości. Dzisiaj nastąpi koniec świata.

11.34

Erin spoglądała na połówki klejnotu w swoich dłoniach, próbując zdławić wzbierającą rozpacz. Czy wyprawa była od początku skazana na klęskę? Nie chciała się z tym pogodzić, nie po tym, jak przelali tyle krwi i tyle poświęcili, żeby dotrzeć do doliny.

– Musi być sposób, by go naprawić – powiedziała.

Jordan wziął od niej kamień.

– No masz! Zostawiłem w drugich portkach tubkę superglue.

– Nie rozumiecie – rzekł Xao. – Kamień jest nie tylko pęknięty, ale i zbrukany. Nadal wyczuwam strzępy ciemności mącące jego serce.

Erin wyobraziła sobie Johna Dee i setki *strigoi* spalonych w kloszu; dymki ich esencji zbierały się we wnętrzu świętego kamienia.

– Czy można go oczyścić? – dociekała. – Ochrzcić?

Sakramentem chrztu można zmyć grzech pierwotny z duszy. Czy nie można w podobny sposób oczyścić kamienia?

– Tylko dobro może wyżyć zło – odparł Xao. – Tylko światłość może usunąć mrok. Do usunięcia takiego splugawienia potrzebne byłoby największe dobro i najjaśniejsze ze światel.

Mnich odwrócił się, by odbyć naradę z braćmi. Rozmawiali szeptem w języku sanskryckim. Erin żałowała, że nie rozumie, ale wyczuwała, że nie od tej trójki usłyszy odpowiedź.

To ja jestem Uczoną Niewiastą.

Popatrzyła na szmaragdowy połysk fragmentów kamienia w dłoniach Jordana, a potem na obraz z piasku. Przyjrzała się trzem figurkom reprezentującym Arbor, Aqua i Sanguis. Nagle przypomniało jej się coś, co powiedział Hugo: *Musisz rozwiązać zagadkę, żebyś mogła odzyskać kamień należący do ciebie.*

Skierowała uwagę na Jordana i zauważyła, że światło plami jego twarz. Plamki migotliwej zieleni wyglądały jak maciupęńkie listki strzelające z purpurowych linii na jego twarzy. Wyglądało to tak, jakby kamień był nasionkiem, które wykiełkowało w Jordanie.

– Te kamienie... – odezwała się. – Czy one są związane z nami indywidualnie?

Xao odwrócił się do niej.

– Tak jest powiedziane w przysłowiach Oświeconego. *Córka Ewy będzie związana z czerwonym kamieniem krwią. Syn Adama będzie przyrośnięty do zielonego kamienia swoją więzią z ziemią.*

Nieśmiertelny będzie złączony z niebieskim kamieniem, dlatego że okiełznał swoją naturę, by kroczyć pod błękitnym niebem.

Erin chętnie poświęciłaby czas na to, by osobiście przeczytać te starożytne wersy, ale musiała się skupić na bieżącej kwestii.

– Jeżeli kamień Syna Adama pękł, może Syn Adama zdoła go zreperować. – Popatrzyła na śnieżnobiałego lwa i Jordana, wiedząc, że coś ich ze sobą łączy. – W krwi Jordana jest anielska esencja, anioły to istoty światła i prawości. Może taka czystość zdoła usunąć mrok z kamienia?

– Jeśli ta krew uzdrowiła Męża Wojownika, to może jest w niej także moc, która uleczy kamień – dodał Rhun.

Sierżant wzruszył ramionami.

– A jeśli to nic nie da, zawsze mogę porządnie ścisnąć te dwie połówki gołymi rękami.

Erin widziała, że żartuje tylko częściowo.

– Czy mamy jakiś wybór? – rzuciła.

– Ona ma rację – oznajmił głośno Christian, zerkając w stronę sklepienia; zapewne określał zmysłami położenie słońca. – Jeśli mamy cokolwiek przedsięwziąć, musimy się spieszyć.

– No więc sprawdźmy, co może działać moja krew. – Jordan wyciągnął z buta sztylet. – Bo chyba nie splugawię kamienia bardziej, niż jest splugawiony.

Przystawił ostrze do nadgarstka.

– Nie, nie tutaj! – krzyknął Xao. – Przelewanie krwi w naszej błogosławionej świątyni jest zabronione.

– Więc gdzie? – spytał sierżant; czubek sztyletu tkwił nieruchomo na jego skórze.

Erin wiedziała, że nie mają już czasu na wstępne podejścia.

Wskazała obraz z piasku.

– Będziemy musieli spróbować, kiedy zajmiemy swoje właściwe pozycje. – Odwróciła się do Xao. – Gdzie jest trzeci kamień? Wasz niebieski klejnot?

Ten, który jest przeznaczony Rhunowi.

Mnich skinął głową jednemu z braci, on zaś odwrócił się do brzucha Buddy i wyjął drugą skrzynkę, także białą, lecz całą pomalowaną w pierzaste chmurki. Bez trudu utrzymując szkatułkę w dłoniach, podszedł do sangwinisty i wręczył mu ją.

Ksiądz zaczął otwierać skrzynkę, lecz Erin go powstrzymała.

– Nie! – Przypomniała sobie, jak kamień Sanguis podziałał na Jordana w kościele Hugona. Wolała, by święty klejnot swoim śpiewem nie doprowadził go znów do omdlenia.

Wskazała dłonią w kierunku otwartych drzwi.

– Xao, zaprowadź nas tam, gdzie musimy się udać.

20 marca, 11.44

Dolina Tsum, Nepal

Rhun pospiesznie wyszedł wraz z innymi ze świątyni i przeciął kamienną wioskę. Jego wewnętrzny zegar wyczuwał zbliżające się południe, a święty element krwi reagował na przejście Księżyca przez tarczę Słońca. Zapadała ciemność i sangwinista z każdą mijającą sekundą miał coraz mniej czasu – jakby z górnej części klepsydry kończył się przesypywać piasek.

Za otwartymi drzwiami widać było, jak światło dnia usuwa się przed burym zmierzchem; cień Księżyca omiatał góry. Członkowie powiększonej teraz grupy, schylając się w wejściu, wyszli do zimowej doliny. Obecność zła była teraz jeszcze bardziej namacalna.

Rhun wyprostował się i spojrzał na niebo. Ze Słońca pozostał tylko wąski półksiężyc. Jego jasność sparzyła mu oczy, jednocześnie dając pewność.

Skończył nam się czas.

Pod baldachimem utworzonym przez korony wielkich drzew błyskawicznie się rozdzielili. Jeden mnich prowadził każdego członka triady. Rhun poszedł z najroślejszym z braci, ten zaś powiódł go wzdłuż podnóża skutego lodem urwiska w kierunku zachodniego brzegu czarnego jeziora. Xao wziął Erin za rękę, a trzeci pomaszerował z Jordanem. Skierowali się w przeciwną stronę, ku wyznaczonym miejscom, które mieli zająć na wschodnim i południowym brzegu.

Sophia i Christian tymczasem, zmagając się z ciężarem skrzyni i świętego srebrnego łańcucha, schodzili prosto w dół, pozostając w cieniu drzew na północnym krańcu doliny.

Pozostali dwaj członkowie drużyny deptali Rhunowi po piętach.

Zachowanie jednego nie było zaskakujące. Lwiątko człapało po śniegu, warcząc cicho ze schylonym łbem; zła siła emanująca z powierzchni jeziora była dla niego udręką. Dolina atakowała zmysły lwiątko tak samo jak zmysły Rhuna.

Zdziwienie budziła druga towarzyszka wędrówki. Elżbieta maszerowała dużymi krokami z wyprostowanymi plecami, spoglądając na jezioro. Rhun dostrzegł tęsknotę na jej twarzy, miał wrażenie, że hrabina pragnie pobiec do jeziora i ślizgnąć się po jego ciemnej powierzchni.

Dlaczego obecne tu zło tak mało jej przeszkadza?

Zauważyła, że na nią patrzy, i odczytała pytanie na jego twarzy, lecz źle je zrozumiała.

– Nie pozwolę ci iść tam samemu, zwłaszcza że masz tylko jedną rękę.

Rhun uśmiechnął się z wdzięcznością.

Skrzywiła się gniewnie.

– Patrz pod nogi, bo stoczysz się w dół razem z kamieniem.

Mnich prowadził ich wąską ścieżką do pokrytego szronem ostrego słupa granitu, sięgającego na wysokość klatki piersiowej.

Gdy przewodnik z czcią zgarnął śnieg z wierzchołka słupa, ukazała się płaskorzeźba przedstawiająca mały puchar, identyczna jak kielichy na mozaice w Wenecji. Podobnie jak to było w buddyjskiej świątyni, podstawa kielicha łączyła się z kamieniem, tak że stanowiły jedność.

Rhun domyślił się, że gdyby odgarnął śnieg u podstawy słupa, zobaczyłby, że i on stanowi część wielkiej góry.

Mnich stanął obok sangwinisty, wziął szkatułkę z jego ręki, a potem odwrócił ją, podsuwając mu zamek.

– Kamień Nieba jest dla ciebie – powiedział, skłaniając lekko głowę. – Musisz położyć święty kamień na jego miejscu.

Równocześnie z innymi.

Skinieniem głowy wskazał kielich.

Rhun zrozumiał.

Muszę umieścić kamień Aqua w tym naczyniu.

Sięgnął do szkatułki, otworzył kciukiem zamek i uchylił wieko.

Przez chwilę myślał, że nic tam nie znajdzie, że mnisi dokonali aktu ostatecznej zdrady. Jednakże w środku na jedwabnej poduszce spoczywał doskonały klejnot. Zaśnił jasnością błękitnego nieba, jak gdyby w kamieniu uchwycono blask najdoskonalszego dnia i utrwalono go w nim na wieki.

Ciche, pełne szacunku westchnienie uleciało z ust księdza.

Lwiątko zbliżyło się, oparło łapę o jego kolano i uniosło łeb, żeby zerknąć na kamień. Elżbieta tylko skrzyżowała ręce na piersi.

Sangwinista odsunął lwa od nogi i zamknął palce na klejnocie.

Ogarnęło go obezwładniające poczucie tego, że jest niegodzien.

Jak to możliwe, by takie piękno było przeznaczone dla mnie?

Mimo to znał swój obowiązek i ujął kamień w dłoń. Jego świętość ogrzała mu palce, nadgarstek i całą rękę. Kiedy wypełniła klatkę piersiową, miał wrażenie, że skłoni jego serce, by ponownie zaczęło bić. Tak się jednak nie stało. Odwrócił się i stanął twarzą do słupka z wyrzeźbionym kielichem.

Zobaczył, że jego towarzysze zajęli swoje miejsca na drugim brzegu. Xao pochylał się do ucha Erin, zapewne szeptem mówił jej, co ma robić.

Ona uniosła głowę i spojrzała na niego. Mimo że znajdowała się pięćdziesiąt metrów od Rhuna, ten widział lęk na jej twarzy. Domyślał się, co jest źródłem jej niepokoju, i sam skierował wzrok w tamtą stronę. Triada musiała działać w idealnej koordynacji, ale pozostawało jedno ostatnie zadanie do spełnienia.

Rhun popatrzył na Jordana.

Czy krew tego mężczyzny zdoła oczyścić i uzdrowić pęknięty klejnot?

11.52

Jordan dotknął skóry nadgarstka zimnym koniuszkiem sztyletu.

Oby to zadziało.

Zerknął w górę i zobaczył, że ze Słońca została ognista karmazynowa łuna bijąca spoza brzegów cienia Księżyca. Jasność ukłuła go w oczy i kiedy spojrział znów na ostrze zawieszono nieruchomo nad przegubem ręki, przez chwilę był oślepiiony. Dolina pogrążyła się już w księżycowej umbrze, śnieg zabarwił się na łagodny karmazynowy odcień, a czerń lodu na jeziorze jeszcze bardziej się pogłębiła. Była teraz podobna do czerni kropel Lucyferowej krwi.

Jezioro wygląda jak dziura w powłoce świata.

Widok ten zmroził mu krew w żyłach, było w nim jakieś dogłębne zło.

Znał swoją powinność. Przycisnął czubek sztyletu do skóry i przeciągnął ostrzem po nadgarstku. Krew napłynęła grubą linią.

Jordan schował nóż, wyjął kawałki zielonego kamienia i podał jeden mnichowi, który stał obok. Drugi umieścił pod nadgarstkiem i złapał pierwszą kroplę w wydrążone wnętrze klejnotu.

Znieruchomiał, szykując się na jakieś gwałtowne zdarzenie. Nic się nie stało, więc dalej napełniał wgłębienie w kamieniu. Kiedy krew zaczęła się przelewać przez krawędź klejnotu, wymienił połowy z mnichem i powtórzył czynność.

Nadal nie było oślepiającego błysku światła, nie popłynęła kaskada dźwięków.

Sierżant spojrział na mnicha, licząc na jego pomoc, on jednak wyglądał na równie zagubionego... i wystraszonego.

Pozostaje tylko jedno...

Odsuwając na bok zmartwienie, ujął obie połowy w dłoń. Krew ściekała po ściankach klejnotu, gdy dopasowywał do siebie

połówki.

No, dalej...

Przez chwilę nic się nie działo, potem kamień zrobił się cieplejszy w dłoniach Jordana, a następnie gorący tak jak jego ciało podczas zdrowienia. Sierżant modlił się, żeby to był dobry znak. Po chwili wewnętrzny ogień rozjarzył się mocniej – podobny do węgielka wyjętego z ogniska. Mimo to Jordan trzymał go z całej siły, krzywiąc się z bólu.

Zobaczył, że na wierzchu dłoni pojawiają się nowe purpurowe linie; palce oplatały mu nowe zawijasy. Nie zdziwiłby się, gdyby ręce stopiły się z kamieniem, zamieniły w skorupkę płonącego nasionka.

Kiedy zdawało mu się, że dłużej nie wytrzyma gorąca, ogień przygasł i rozległ się śpiew, który przeniknął Jordana, przyciągając go do kamienia, szczepiając go z nim w nowy sposób. Nikłe echo, które usłyszał wcześniej, zabrzmiało teraz jak potężny chór.

Pieśń opowiadała o ciepłych letnich dniach, o zapachu siana w stodole, o szmerze wiatru wiejącego przez pola kukurydzy.

Pobrzmiewało w nim brzęczenie pszczoł późnym popołudniem, cichy klangor gęsi odlatujących podczas zmiany pór roku, basowe tony wieloryba nawołującego samicę.

Jordan zadarł głowę i usłyszał nową pieśń zlewającą się z melodią wygrywaną przez klejnot. Snuła się w niej roztańczona, ciepła czerwona wstążka nadziei i życia. W jej nutkach pobrzmiewało bicie serc, ciche rzenie konia i śmiech towarzyszący powitaniu z ukochaną.

Nagle do chóru przyłączył się jeszcze jeden głos, niebieski jak upierzenie sójki w blasku słońca. Ten biegł głębiej i brzmiał w nim grzmot spadającej wody, miękki odgłos kropel deszczu padających na suchą ziemię, westchnienie cofającej się fali przypiływu, odgłos ruchu tak odwiecznego jak sama ziemia.

Trzy pieśni zlały się w jedną wielką kantyczkę życia, której każda nuta i zaśpiew odsłaniały piękno i cudowność świata, jego

bezkresną harmonię i różnorodność łączące ze sobą każdy najdrobniejszy fragment i tworzące z nich całość.

Jordan poczuł się częścią tej pieśni, lecz zarazem jej słuchaczem.

Nagle w tej majestatycznej symfonii padł donośny rozkaz i dotarł do jego uszu: – Teraz! – krzyknęła Erin. – Na trzy.

Oderwał wzrok od szmaragdowej głębi kamienia i zobaczył Erin stojącą przed słupkiem. W uniesionych ramionach trzymała lśniący czerwony klejnot i rzucała wyzwanie ciemności zaćmienia.

Na ten widok zabolęło Jordana serce, pozwolił pieśni ucichnąć, żeby usłyszeć rozkaz i go wykonać. Erin wyglądała jak starożytna plemienna boginka, jej postać rozświetlał karmazynowy poblask, który zamieniał złote włosy w ogień.

Rhun stał na zachodnim brzegu i także unosił wysoko swój kamień.

– Jeden. – Czysty głos Erin poniósł się nad jeziorem.

– Dwa – odpowiedział jej Rhun, jakby już to kiedyś ćwiczyli.

Odpowiedź Jordana zamknęła ostatecznie tę chwilę: – Trzy.

11.59

Erin złożyła kamień Sanguis w kielichu, który stał przed nią.

Gdy tylko oszlifowana ścianka dotknęła granitu, rubinowy klejnot buchnął oślepiającym światłem, który był jak widzialne echo karmazynowego blasku Słońca znikającego w zaćmieniu. Z powierzchni klejnotu trysnęły płomienie i zatańczyły na kamiennym kielichu. Twarz Erin owiało gorące tchnienie świętości. Bała się, że jeśli podejdzie za blisko, spali ją na popiół.

Xao nie okazywał lęku. Zbliżył się do niej i wyciągnął ręce ku płomieniom. Ogrzewając swoje zimne dłonie w ciepłe ognia, śpiewał głośno w sanskrycie. Usłyszała, że jego bracia odpowiadają takim samym śpiewem.

Księżyc całkowicie zakrył tarczę Słońca i pogрузzył dolinę w cienistym zmierzchu. Klejnot tymczasem toczył walkę z ciemnością.

Płomienie strzeliły wyżej i buchały zapalczywie, jakby jakiś olbrzymi miech rozdmuchiwał je w ognisty wir. Erin zapragnęła uciec z tego piekła, ale wiedziała, że tu jest jej miejsce.

Nagle, równie szybko jak się pojawiły, płomienie zostały wessane w kamień, a on zaświecił jeszcze jaśniej. Było tak, jakby w kielichu spoczął kawałeczek słońca. Potem płomienie znów się rozpały, ale tym razem nie otaczały klejnotu, lecz Erin.

Wygięła szyję i rozejrzała się. Uprzytomniła sobie, że płomienie ułożyły się w rubinowy bąbel, który ją otaczał; jego powierzchnia wyrzeźbiona była z purpurowego ognia. Wyglądało to tak, jakby klejnot raptownie się powiększył i pochłonął ją w całości.

A ja jestem zaledwie skazą w jego sercu.

Spojrzała na drugą stronę jeziora i zobaczyła, że Rhun stoi w sferze migoczącej ogniem błękitnym, a Jordan w sferze szmaragdowej.

Zrobiła krok w ich stronę, lecz Xao położył jej mocno dłoń na ramieniu. Patrzyła na płynny ogień zwijający się na powierzchni otaczającej ją kuli. Pamiętała słowa mnicha, który ostrzegał, że podczas przechodzenia przez świetlne bariery człowieka pochłonie ogień.

A może Xao dawał jej do zrozumienia, by obserwowała to, co dopiero miało nadejść.

Płomienie nagle zakręciły się i zebrały nad wierzchołkiem bąbla, a potem wystrzeliły w górę ponad jezioro. Podobne włócznie ognia, lazuruwa i szmaragdowa, zapłonęły nad pozostałymi sferami i pobiegły w górę na spotkanie rubinowej.

Wszystkie trzy zderzyły się nad środkiem jeziora i towarzyszył temu głośny dźwięk. Erin zachwiała się, lecz Xao pomógł jej zachować równowagę. Gapiła się na olbrzymią piramidę ognia. U jej wierzchołka trzy piekielnie wirujące strumienie zbiły się w wielki wir.

Płomienie przeplatały się ze sobą, łączyły i mieszały barwy, tworząc smugę wszelkich możliwych kombinacji światła. Potem wirowanie zrobiło się jeszcze intensywniejsze, zbyt szybkie, by

mogło za nim nadażyć ludzkie oko. W końcu wszystkie kolory stały się jednym i powstał obłok czystego białego światła.

Erin przypomniała sobie odwrócony symbol, który pokazała Jordanowi i Elżbiecie.

Oto i on, ożywiony.

Wtedy z obłoku strzeliła w dół ku jezioru kolumna światła i uderzyła w czarny lód. Tafla rozpękła się od ciosu, pajęczyna pęknięć rozbiegła się na wszystkie strony. Ziemia pod stopami Erin się ugięła.

Potem światem zawładnęła cisza.

Erin nie słyszała ani oddechu wiatru, ani skrzypienia gałęzi drzew, ani żadnego odgłosu życia.

Tylko bicie swojego serca, które dudniło aż w jej gardle.

Biała kolumna światła rozrosła się po lodzie, tworząc stożek świecący od góry do dołu i wyglądający jak piramida w piramidzie.

We wnętrzu stożkowatego blasku czarny lód falował niczym woda marszczona wiatrem.

Pamiętała, że na muralu w Domu Fausta widać było potwory wszelkiego rodzaju wydostające się na świat. Wyteńczyła całą siłę woli, ale i tak wiedziała, że nic nie przygotuje ją na to, co nastąpi.

12.01

Jordan czuł, że dostaje gęsiej skórki. Jego ręka powędrowała do colta tkwiącego w kaburze pod kurtką. Zdawał sobie sprawę, że broń będzie jak pukawka w obliczu tego, co wynurzy się z głębin jeziora, ale chciał trzymać w ręku coś solidnego, co będzie przeciwwagą dla pustki rozwierającej się w powłoce świata.

Po lewej stronie widział Erin zamkniętą w ognistym bąblu; jej twarz wyrażała strach. Musiała poczuć na sobie jego spojrzenie, bo odwróciła do niego głowę. Uśmiechnął się do niej krzepiąco, ona zaś siłą woli odpowiedziała uśmiechem.

Po prawej stronie Rhun stał obok mnicha i Elżbiety, która dobytek miecza. Otaczała ich spowita w błękitne płomienie kula. Lew chodził poza jej obrębem. On jeden nie znalazł się w kuli,

kiedy klejnot zapłonął; okazał się na tyle mądry, by nie dać się uwięzić.

Jordan wiedział, że tkwi w pułapce; wyczuwał, że jeśli spróbuje wydostać się poza barierę szmaragdowego światła, ogień zamieni go w popiół. Mógł więc tylko mocniej ścisnąć broń w rękę.

Pośrodku jeziora z pomarszczonej ciemności zaczęły parować cienie i dym, powoli wypełniając stożek świetlistej bieli. Po chwili sierżant nie widział już północnej strony jeziora, gdzie Christian i Sophia czekali ze skrzynią i srebrnymi łańcuchami.

Patrzył, jak ciemność zaczyna gęstnieć; cień i dym nabierały substancji. Uformowała się mroczna postać wysoka na dwa piętra, siedząca na tronie z obsydianu. Miała czarną twarz, po nagiej skórze przesuwają się cienie ciemne jak smoła. Za mocarnymi barkami rozwinęły się potężne skrzydła z czarnymi płomieniami piór. W miejscach, w których ogniste koniuszki musnęły światło, po wewnętrznej powierzchni stożka strzelały błyskawice, lecz ściana wytrzymała napór.

Skrzydlaty stwór poruszył się na tronie i napiął zwoje srebrnego łańcucha obciążające dolną połowę jego ciała.

Jordan wiedział, na kogo patrzy.

Był to król bezdennej czeluści.

Lucyfer we własnej osobie.

I wbrew swojej woli Jordan pomyślał, że ciemny anioł jest...

12.03

...piękny.

Erin z podziwem spoglądała na doskonałość postaci zasiadającej na tronie. Każdy mięsień w ramionach i na klatce piersiowej miał nieskazitelną formę, skrzydła płonęły czarnym ogniem. Jednakże całą jej uwagę przykuło jego oblicze. Policzki były jakby wyrzeźbione we wdzięczne łuki, a nos między nimi prosty i wąski. Długie rzęsy ocieniały oczy lśniącego posępnym majestatem, widzące wszystko i nic.

Nie potrafiła oderwać wzroku od postaci.

Ktoś z drużyny nie uległ fascynacji.

– Na co czekacie?! – zawołała z przeciwnej strony jeziora Elżbieta, łamiąc zaklęcie.

Erin zobaczyła, że Rhun wyrywa się z transu i krzyczy w kierunku północnego brzegu: – Christian, Sophia! Ruszajcie!

Dwoje sangwinistów oderwało się od skalistego brzegu, wspólnie dźwigając ciężką skrzynię. Zgodnie z zapowiedzią Xao przeszli przez zewnętrzną ścianę ognistej piramidy bez kłopotu, choć gdy znaleźli się na lodzie, zła moc wyraźnie nadwątlila ich siły. Zaczęli się potykać. Zdradliwe świeże pęknięcia w lodzie utrudniały im marsz i musieli omijać łukami najbardziej niebezpieczne miejsca. Posuwali się więc jeszcze wolniej.

Erin czuła tętniący w niej strach. Odwróciła się do Jordana i żałowała, że nie ma go przy niej.

Zauważył jej spojrzenie i złożył dłonie, żeby coś krzyknąć, lecz nagle za jego ramionami błysnął srebrny łańcuch.

– Uważaj! — krzyknęła Erin.

I zaraz potem zimne palce zacisnęły się na jej szyi i zdławiły słowa.

20 marca, 12.04

Dolina Tsum, Nepal

Jordan zareagował, gdy tylko usłyszał krzyk Erin – lata służby wojskowej zrobiły swoje. Uchylił się i długie zakrzywione ostrze śmignęło mu nad głową.

Miecz chybił zamierzonego celu, lecz stal zawadziła o szmaragdowy kamień, tak że klejnot potoczył się bezładnie po krawędzi granitowego kielicha. Jordan przypadł do ziemi u podstawy słupka i przeturlał się. Jednocześnie dobył colta i wypalił prosto w pierś mnicha, który zadał cios.

Wiedząc, że przeciwnik to *strigoi*, sierżant opróżnił cały magazynek. Mnich runął w tył i wypadł ze szmaragdowego bąbla. Rąbnął plecami na śnieg, a jego klatka piersiowa dymiła od trafień srebrnymi pociskami. Z tułowia tryskała czarna krew.

Jordan odwrócił się błyskawicznie, gdy jego ciało drgnęło ostrzegawczo. Nadal był zestrojony z kamieniem.

Rzucił się, wyciągając rękę w stronę klejnotu, który wypadł z zagłębienia kielicha i leciał w dół. Niestety zdołał go tylko musnąć i kamień wylądował w śnieżnej zaspie u stóp cokołu.

W tej samej chwili rozległ się donośny łoskot. Jordan czołgał się w kierunku kamienia, on zaś dalej jaśniał blaskiem w śniegu. Jednakże katastrofa już się wydarzyła. Szmaragdowy bąbel pozostawał nietknięty i wciąż płonął ogniem, lecz jedna ze świetlnych kolumn piramidy wysunęła się z podstawy.

Muszę odłożyć go na miejsce, zanim...

Tuż obok nastąpiła seria ostrych huków, głośnych jak wystrzały z karabinu; odbiły się echem od powierzchni jeziora.

Jordan zobaczył, że lód pęka i rozstępuje się niczym stłuczone lustro. Jednak to lustro odbijało coś ciemnego i ogromnego, nieprzeznaczonego dla tego świata.

Coś, co teraz było wolne.

Z powierzchni jeziora wynurzały się stwory, pełzły, ślizgały się, parły przez lód. Sunęły ku brzegowi w kierunku Jordana i pękniętej części podstawy piramidy, która dawała im szansę ucieczki.

Sierżant wzdrygnął się – tak reagowała jaszczurza, odpowiedzialna za to, co nazywamy instynktem, część jego umysłu. Nie chciał pogodzić się z tym, co widzi, lecz zarazem nie mógł temu zaprzeczyć. Coś poruszyło się w żołądku na widok potworności, której rozum nie jest w stanie objąć. Kiedy jednak palce Jordana cofnęły się i musnęły wewnętrzną powierzchnię rozpalonej kuli, która go otaczała, wściekły ból przeszył mu ramię aż do klatki piersiowej. Szarpnął rękę. Z poczerniałych koniuszków palców uniósł się dym.

Uprzytomnił sobie, że kula jest pułapką, z której nie można uciec.

W uszach zabrzmiało mu ostrzeżenie mnicha.

Przekroczenie świetlnej bariery to śmierć dla każdego, kto ma wciąż bijące serce.

Niestety szkaradne potwory wypełzające z jeziora nie miały serc ani ograniczeń.

Coś wytaplało się z wody po prawej stronie i brnęło dalej jak zwyczajny człowiek, ale w płaskiej czarnej twarzy nie było oczu ani ust, a mimo to wyła na cały świat. Z lewej strony jakaś olbrzymia bestia skoczyła na skały i przywarła do nich rozszczepionymi kopytami i zdeformowanym łbem, a następnie skoczyła i zniknęła w ciemności.

Jordan chciał zamknąć oczy, lecz to, co nieznanne, budziło w nim jeszcze większą trwogę.

Naprzeciwko miejsca, w którym tkwił, czarny stwór przypominający krokodyla wypełził z wody i wspiał się pazurami po kawałach lodu. Nie miał łba, tylko pomarszczoną ssawkę z rzędem zębów z przodu. Zostawiał za sobą połyskliwy, żółty ślad. Chyba wyczuł zdobycz, bo przyspieszył i sunął w stronę Jordana. Przeszedł bez szwanku przez powłokę bąbla, niosąc odór siarki i zgniłego mięsa.

Umysł Jordana zmagął się z tym, co niepojęte, osuwał ku krawędzi obłędu. Mimo to istniał jeszcze większy strach, i to on osadzał go teraz w miejscu niczym kotwica.

Erin.

Tkwiąc w pułapce, nie miał jednak szans się do niej dostać.

Tylko jedna osoba mogła tego dokonać.

12.06

Rhun machnął karambitem, parując miecz mnicha, lecz siła uderzenia wytrąciła go z równowagi. Mnich był o wiele silniejszy i szybszy niż jakikolwiek *strigoi*, z którym ksiądz kiedykolwiek się mierzył. Siły przypuszczalnie dodawało mu zło niosące się od jeziora i bliskość potęgi władcy ciemności, Lucyfera.

Żeby nie upaść po ciosie, Rhun wytoczył się poza obręb błękitnego światła. Na zewnątrz powietrze cuchnęło śmiercią i zarazą. Uczucie wstrętu popęzło mu po skórze niczym tysiąc pajaków.

Strigoi rzucił się za nim w pogoń; jego długi miecz śmignął w dół w smudze odbitego błękitu, lecz cios nie dosięgnął celu, bo coś trafiło mnicha z boku i zważyło go na ziemię. Lwiątko odtoczyło się, lecz zaraz się odwróciło, sycząc głośno. Mnich powstał z szybkością atakującej kobry i skierował miecz ku gardłu lwa, ale w tej samej chwili runął przed siebie. Jego głowa odpadła od ciała, a ostrze broni niegroźnie wbiło się w zasępę śniegu obok kota.

Elżbieta stała z mieczem ociekającym krwią.

Znowu ocaliła Rhunowi życie, a zapewne i lwiątku. Sangwinista nie miał czasu, by jej podziękować.

W trakcie tej gorącej potyczki widział, jak Jordan zabija mnicha; lufa jego pistoletu ziała ogniem. Zauważył także, że klejnot wypadł z kielicha, wskutek czego jezioro zakołysało się z jednej strony, a szalejące piekło wydostało się na świat. Bestie wdrapywały się na brzegi, ich szeregi rosły. Inne podskakiwały na lodzie, kłębiąc się u stóp swego pana. Niektóre dostrzegły Christiana i Sophie, którzy dźwigali skrzynię, i rzuciły się w pościg. Rozwścieczyła je świętość bijąca od łańcucha albo usłyszały rozkaz samego czarnego anioła.

– Broń kamienia – polecił Rhun Elźbiecie.

Musiał przedostać się do Erin. Przed chwilą zauważył, że została zaatakowana, kiedy usiłowała ostrzec Jordana. Teraz szarpała się w żelaznym uścisku Xao. Dłonie mnicha zaciskały się na jej gardle.

Uniósł ją wysoko, tak że tylko palcami stóp muskała śnieg.

Rhun pędził brzegiem w ich kierunku. Jakiś stwór podobny do płaza skoczył na niego z lodu, lecz sangwinista uchylił się zręcznie, machnął mieczem i jednym ciosem odciął pokryty łuską łeb. Z szyi buchnął żółty dym, a krew, która trysnęła z rany, rozpuściła materiał kurtki księdza i przypaliła mu skórę niczym kwas.

Mimo to mknął dalej, a lew za nim.

Pojawiło się jeszcze parę stworów, lecz zdawało się, że bardziej niż atak na Rhuna interesuje je wydostanie się na szeroki świat.

Inaczej wyglądała sytuacja Christiana i Sophii, którzy znajdowali się na lodzie. Musieli postawić na nim skrzynię i walczyć z coraz większą hordą bestii. Ich szaty zrobiły się śliskie od posoki.

Po drugiej stronie jeziora zaterkotała seria z pistoletu maszynowego. To Jordan naładował broń i strzelał do bestii, która wdarła się do jego szmaragdowej kuli. Na razie dawał sobie radę.

Rhun przemierzył pędem ostatni odcinek drogi do rubinowej kuli.

Erin wciąż żyła, jej serce waliło jak młotem, ze ściśniętej szyi ledwo wyrywał się oddech.

Xao zauważył zbliżającego się Rhuna i uśmiechnął się. Sangwinista wiedział, że w każdej chwili mnich mógł skrócić szyję Erin jak gałązkę. Nie zrobił tego jednak, bo być może chciał nacieszyć się tą chwilą.

Właśnie uniósł sztylet do szyi Erin.

Nie...

Ostrze cięło głęboko i szeroko, krew trysnęła jak fontanna i mnich puścił swoją ofiarę.

Upadła na ziemię bokiem, jak worek, jej życie wyparowywało prosto na śnieg.

Nogi Rhuna ugięły się, kiedy zrozumiał, że nie powstrzyma śmierci, że rana jest zbyt wielka, by mogła się zagoić. Mimo to nie zaprzestał biegu. Nie utraci Erin. Przysiągł, że będzie jej bronił, nie tylko jako Rycerz Chrystusa, ale także jako ten, który ją kochał, który nie wyobrażał sobie świata bez niej.

Xao odpowiedział na jego gniew jeszcze szerszym uśmiechem.

W jego oczach jarzyła się nikczemność.

To nie było dzieło Lucyfera.

Rhun wiedział, kto spogląda na niego tymi oczami.

12.07

Legion patrzył z drugiej strony jeziora i napawał się przerażeniem i poczuciem klęski widocznymi na twarzy Rycerza. Śledził je teraz oczami opętanego mnicha i swojego nowego naczynia.

Nadal pozostawał w ukryciu między skałami na południowym brzegu. Sterował przebiegiem wydarzeń z daleka, leżał i czekał na właściwą chwilę, żeby się pokazać.

W głębi jego ciała maleńki płomień Leopolda zachwiał się na widok śmierci uczonej Niewiasty zadanej przez mnicha. Legion wyobraził sobie, że wąły płomyk roni dymne łzy.

Jakże łatwo było sprawić, by triada zatańczyła wedle jego życzeń!

Korzystając z wiedzy skradzionej Hugonowi de Payensowi, przybył tutaj co rychlej, przed innymi, i runął na nieprzygotowanych mnichów.

Wystarczył jeden dotyk i byli moi.

Legion zamierzał wykorzystać pewien sekret, którym Hugo z nikim się nie podzielił. Pustelnik wiedział, że pęknięty kamień nie zdoła otworzyć bramy w dolinie. Ufał, że mnisi będą wiedzieli, jak go naprawić, więc i Legion w to uwierzył. Kiedy jednak przejął sięgające głęboko w przeszłość zasoby pamięci mnichów, nie odkrył takiej wiedzy.

Rozgniewany przygotował nowy plan. Leopold i Hugo de Payens darzyli zaufaniem Uczoną Niewiastę, cenili ją bardzo wysoko. Jeśli ktoś mógł wymyślić sposób naprawy kamienia, to właśnie ona.

Ukrył się więc i starannie manipulował trzema mnichami.

Wykorzystał ich, by wycisnąć z triady prawdę, zmusić ich, żeby wykonali tę robotę za niego.

I spisali się wyśmienicie!

Uczona Niewiasta znalazła odpowiedź, Wojownik zaś oddał swoją krew. Wspólnie we trójkę otworzyli bramę, a Legionowi zostało proste zadanie: strzaskać kamienie i sprawić, by portal nigdy więcej się nie zamknął. Świat trafi w ręce Czarnego Anioła. Kiedy Czarny Anioł odzyska wolność, ogród zostanie oczyszczony z ludzi i raj przypadnie tylko jemu, Legionowi.

Sam Lucyfer złożył mu tę obietnicę.

Legion wyszedł z niewielkiej jaskini między skałami i uniósł ręce ku pociemniałemu niebu. Na ukończenie zadania miał zaledwie chwilę. Słońce znów odradzało się na niebie, powstawało z ognistych popiołów zaćmienia. Wiedząc, że czasu będzie skąpo, wybrał wcześniej kryjówkę najbliższej zielonego kamienia i Wojownika, który wciąż go strzegł. Klejnot, choć naprawiony, nadal był najsłabszy.

Legion strzaska go najpierw, a potem jeden po drugim zniszczy następne.

Żeby mieć pewność sukcesu, wywabił z kryjówki Rycerza, stawiając w zagrożeniu Uczoną Niewiastę. Poczekał, aż sangwinista znajdzie się w pobliżu, i wtedy zgładził pierwszą z triady. Następnie uśmierci Męża Wojownika, który tkwił w pułapce ze szmaragdowego światła jak ptak w klatce. Złamię wolę walki w Rycerzu, zadając śmierć tym, którzy byli mu najdrożsi, i dopiero wtedy się go pozbędzie.

Nie będzie jednak robił tego w pojedynkę.

Kiedy stanął pod zaćmionym niebem, przybyli mieszkańcy ciemnych połaci, garnąc się do niego niczym cienie. Lizali mu podarte buty, kłaniali się i drapali przed nim, gryźli się z dzikiej radości.

Pewnie, że go kochali!

Wszak ich wyzwolił.

A teraz uwolni świat od ludzkiej plagi.

Legion zmierzył wzrokiem Męża Wojownika.

Ten będzie pierwszy.

12.08

Erin leżała na boku i obiema dłońmi ścisnęła sobie szyję. Gorąca krew zalewała jej palce, policzek leżał na poduszce zimnego śniegu.

Mogła tylko patrzeć, jak Xao przestępuje nad nią i wychodzi naprzeciw szarżującego Rhuna z zakrwawionym sztyletem w jednej ręce i krzywym mieczem w drugiej. Za obrębem ognistej kuli uderzały o siebie stal i srebro, śmigwały ciosy, kontry i zasłony. Lwiątko pomagało sangwiniście, szarpiąc zębami rąbek szaty Xao, żeby wytrącić go z równowagi, lub uderzając ciałem o nogi mnicha.

Wiedziała już, co jest źródłem zdrady. Zostali zręcznie ściągnięci do świętej doliny i wykorzystani przez Legiona niczym marionetki.

Przebiegło to prawie tak, jakby demon ich opętał. Chciał, żeby przywieźli do doliny dwa kamienie i naprawili pęknięty, a następnie otworzyli bramę, umożliwiając Lucyferowi powstanie z głębin ciemnego jeziora.

I to właśnie uczyniliśmy, pomyślała.

Gniew pozwalał jej utrzymać w sobie ciepło, a tymczasem krew sączyła się jej przez palce.

Xao cofnął się w jej stronę, wchodząc znów do wnętrza kuli. Demon władający nim jakby zapomniał o Erin. Może uwierzył, że jest już martwa albo za słaba, by walczyć.

Ale ja jestem kimś więcej niż tylko Uczoną Niewiastą.

Wysunęła nogę i podcięła Xao, zaskakując demona. Kiedy mnich stracił równowagę i padał na ziemię, Rhun zadał błyskawiczny cios sztyletem i wbił karambit głęboko w jego oko. Szarpnął mocno rękojeścią jak dźwignią i z całej siły rąbnął głową Xao o granitowy cokół. Uderzał raz po raz, aż mnich przestał się ruszać.

Dopiero wtedy odwrócił się błyskawicznie i upadł na kolana obok Erin.

Przynajmniej nie umrę w samotności.

Ale ostatecznie to nie ona się liczyła.

– Jordan... – wykrztusiła.

Rhun ujął jej dłoń, ani myślał odchodzić.

Odsunęła jedną rękę od szyi i odepchnęła nią kolano księdza, sygnalizując, żeby pospieszył na ratunek Jordanowi. On tymczasem położył dłoń na jej ranie. Jego mocne palce wywierały nacisk; wiedział, gdzie uciskać, by zamknąć najważniejsze tętnice.

Chciała z nim walczyć, ale nie miała siły.

Lwiątko krążyło niespokojnie za ognistą zasłoną, bardzo chcąc pomóc.

Erin zacisnęła zęby, zła, że zawiodła ich obu. Była Uczoną Niewiastą i wciąż miała zadanie do wykonania. Będzie walczyła w jedyny sposób, jaki jej pozostał.

Przesunęła się, podsuwając Rhunowi plecak.

– Ewangelia – szepnęła.

W księdze na pewno jest jakaś odpowiedź. Przywiozła ją tak daleko nie tylko dlatego, że nie ufała Bernardowi; wiedziała, że

Ewangelia Krwi musi jeszcze odegrać jakąś rolę. Ona zaś była z nią związana.

To był istotny element całości.

Jeśli umrę, potencjał tej książki zniknie wraz ze mną.

Nie mogła do tego dopuścić, nie wypróbowała wszystkiego.

Rhun być może myślał, że spełnia jej ostatnie życzenie, i puścił jej szyję. Wziął ją za rękę i pokazał, w którym miejscu najlepiej uciskać.

Dopiero potem wyjął Ewangelię z plecaka i osłony. Położył ją na śniegu przed Erin i od razu zaczął znów uciskać szyję, wypowiadając szeptem modlitwy.

Odwróciła głowę tak, by krawędź okładki dotknęła jej policzka.

Większość kartek pozostawała pusta, nadal nie zapełniły ich słowa napisane przed wiekami przez Chrystusa. Bernard powiedział jej kiedyś, że Ewangelia Krwi może zawierać klucz do wyzwolenia świętości w każdym człowieku; właśnie ta wiedza mogła być zamknięta w czystych stronicach. Jeśli tak, to przez nią, Erin, świat nigdy jej nie pozna.

Sangwinista otworzył księgę na stronie, na której znajdowały się ostatnie wersy prorocत्व; może miał nadzieję, że znajdzie w nich jakieś dodatkowe znaczenie. Jednakże słowa te błyszczą złotem, jak gdyby szydziły sobie z klęski Erin.

Drżącym palcem przewróciła kartkę z przepowiednią i złożyła zakrwawioną rękę na następnej pustej stronie. Poczowała, że papier robi się cieplejszy pod jej dłonią, jego powierzchnia dziwnie się wygładziła.

Rhun aż otworzył usta na widok słów ukazujących się pod palcami Erin. Napływały na papier, jakby ktoś pisał je właśnie teraz, linijka po linijce.

Odwrócił jedną kartkę, potem drugą.

Słów było coraz więcej, coraz więcej wierszy.

Błyskawicznie przerzucił palcami kartki.

– Cała księga jest pełna – oznajmił ze zdumieniem.

Erin popatrzyła na wciąż otwartą stronę i uświadomiła sobie, że nie potrafi odczytać słów. Litery wyglądały, jakby pochodziły z enochiańskiego, języka opracowanego przez Johna Dee do komunikacji z aniołami.

Zamknęła oczy i usiłowała pojąć, dlaczego Chrystus postanowił napisać resztę Ewangelii Krwi właśnie po enochiańsku, skoro poprzednie prorocтва zostały zapisane po grecku, w języku ludzi. Po co dopisywać resztę w języku aniołów? Tylko jedna odpowiedź miała sens. Być może te nowe słowa – może nawet cała Ewangelia – nie były przeznaczone dla ludzi, lecz dla aniołów.

Nie, nie dla aniołów, uświadomiła sobie, otwierając oczy. Dla anioła... jednego anioła.

Nic dziwnego, że kartki zapełniły się dopiero teraz, w tej dolinie.

Odwróciła głowę w kierunku jedyne go anioła, który był tu obecny.

Lucyfer siedział na swoim ciemnym tronie i patrzył prosto na nią.

Erin ścisnęła palcami kolano Rhuna. Sangwinista nachylił się do niej.

– Wiem... – wycharczała cicho. – Już wiem, co muszę zrobić.

20 marca, 12.09

Dolina Tsum, Nepal

Jordan ustawił szmaragdowy kamień na właściwym miejscu.

Kiedy klejnot dotknął granitowego kielicha, kolumna ognia z tej strony piramidy zapaliła się mocniej. Lód na jeziorze się odtworzył, zamykając portal między światami. Kilka stworów zostało schwytych między dwoma poziomami, ich cielska zamarzły i zostały ściśnięte w lodzie.

Ale jego wysiłek nie miał żadnego wpływu na setki tych, które już się przedostały.

Obleżeni Christian i Sophia nie mogli posunąć się dalej w kierunku Lucyfera. Elżbieta utrzymywała pozycję obok niebieskiego kamienia; zakrwawiona, wciąż broniła posterunku. Po drugiej stronie jeziora Rhun klęczał obok Erin, która nadal żyła, lecz otaczająca ją wielka plama krwi mówiła mu, że niewiele życia już jej zostało. Jordan rozpaczliwie pragnął pobiec do niej i po raz ostatni wziąć ją w ramiona.

Niestety, nawet gdyby zdołał wyrwać się ze szmaragdowego więzienia, był jeszcze jeden przeciwnik, zdeterminowany, by go zatrzymać.

Sierżant odwrócił się plecami do granitowego cokołu, a Legion kroczył w jego stronę od podnóża klifu. Otaczały go odrażające stwory, istna fala mięsa armatniego. Jordan zużył ostatnie pociski, by ostrzelać demona, za każdym jednak razem któryś ze stworów rzucał się między nich i kula wbijała się w jego skręcone ciało.

Z braku amunicji sierżant ujął w dłoń nóż KA-BAR. Rzucił pistolet i schylił się po miecz zostawiony przez mnicha, który na szczęście upadł w obrębie kuli zielonego światła.

– No, chodź! – krzyknął do demona nad poprzedzającą go falą wrzeszczących szkarad. – Przyjdź tu i mnie wykończ!

Czarne oczy zatrzymały się na nim i znieruchomiały.

– Nie spiesz się tak do śmierci, Mężu Wojownika, wkrótce do ciebie przyjdę.

Dobrze... Tym razem jestem na ciebie przygotowany.

Jordan płonął złotym ogniem gniewu, który rozpałił się z jego anielskiej krwi i żądz zemsty. Kiedy Legion się zbliżył, Mąż Wojownik uniósł zdobyczny miecz o zakrzywionej klindze z zielonym jadem w głowicy. Rozstawił szeroko nogi i przygotował się na nadejście demona.

Legion także trzymał w dłoni miecz. Jego długie ostrze lśniło jak obsydian i wyglądało, jakby było zatrute. Nie pochodziło z tego świata, prawdopodobnie przyniósł je tutaj ktoś z hordy demona i mu podarował.

Jordan poruszył koniuszkiem oręża.

– Tylko my dwaj – powiedział. – Boisz się jednego człowieka?

– Nie jesteś zwyczajnym śmiertelnikiem – odparł Legion. –

Tym razem nie pozwolę się zaskoczyć. A więc dobrze, zakończmy to.

Trzymając wysoko miecz, zrzucił z siebie potwory i wszedł w szmaragdową kulę. Bez żadnego wstępu wykonał sztych i zmusił Jordana do szybkiego bloku, od którego sierżantowi zdrętwiała ręka aż do łokcia. Uderzał raz za razem, powoli zmuszając Męża Wojownika do tego, by cofał się ku wewnętrznej powierzchni kuli.

Jeśli nie zginę od ostrza, zabije mnie zielony ogień, pomyślał Jordan.

Nastąpiła seria szybkich ciosów. Stał szczęką o czarny kryształ.

Legion przeskakiwał przez barierę światła w przód i w tył, wykorzystując ognisty welon jak tarczę. Wiedział, że przeciwnik

nie może za nim podążyć.

Błyskawiczny sztych sforsował gardę Jordana i przeciął mu bok.

Koszula przesiąkła gorącą czerwoną krwią. Następna seria ataków zakończyła się tym, że broń Legiona wbiła się głęboko w górną część ramienia sierżanta. Demon wycofał się przez barierę światła, uśmiechając się do niego.

Jordan uświadomił sobie przykrą prawdę.

Legion się ze mną bawi.

Odskoczył, upuszczając sztylet i łapiąc się ręką za ranę. Miecz trzymał jednak w górze.

Legion kroczył, gotów go dobić.

Kiedy przekraczał barierę, Jordan rzucił się przed siebie. Miał nadzieję, że płomień na ułamek sekundy oślepią demona. Noga Legiona ukazała się wewnątrz płonącej kuli i wtedy zamachnął się nogą i stalowymi rakami kopnął przeciwnika w kolano. Kończyna pękła z trzaskiem. Legion osunął się na bok, a Jordan pochwycił rękę, w której wróg dzierżył miecz. Wciągnął demona i przycisnął czarne ciało do ziemi.

Wykorzystując siłę rozpędu, wbił miecz w miękki brzuch, kierując go ku milczącemu sercu. Legion wrzasnął i odrzucił go kopnięciem z siłą byka. Jordan wyleciał w górę i potoczył się po śniegu. Przed wpadnięciem na ognistą ścianę uratował go granitowy cokół. Jordan uderzył w niego tułowiem tak mocno, że pękły mu żebra.

Legion już stał na nogach. Odrzucił swój miecz, wyciągnął miecz mnicha ze swojego czarnego brzucha, uniósł go i ruszył na Jordana.

Ten odskoczył w bok, kierując się do sztyletu, który wcześniej upuścił. Zbyt późno uświadomił sobie swój błąd.

Demon ominął go i jodeitową głowicą rąbnął z góry w zielony diament. Klejnot pękł w kawałki, podobnie jak granitowy kielich, w którym spoczywał. Kolumna zielonego światła zgasła niczym zdławiona świeczka.

Jezioro po tej stronie ponownie eksplodowało. Jego powierzchnia wybrzuszyła się, jakby targnięta potężnym ciosem od spodu. Pojawiły się bestie większe niż poprzednio, choć były ledwo widoczne: poruszyło się olbrzymie czarne ślepie, śmignęły w powietrzu czarne macki. Jordan wyczuł, że te stworzenia są starsze i ciemniejsze niż te wcześniej uwolnione.

Spoza tej monstrualnej kotłowaniny Lucyfer spoglądał w dół ze swojego tronu, jego oblicze pozostawało nieprzeniknione. Stożek białego światła dalej trzymał czarnego demona w pułapce, ale jak długo jeszcze? Czystość bieli mąciły smugi cienia, ściany klatki zostały nadwątlone.

Lucyfer uniósł się wyżej na tronie i rozerwał kolejne ogniwa wiążącego go łańcucha.

Przy każdym jego ruchu trzęsła się ziemia.

Legion odwrócił się do Jordana z triumfalnym uśmiechem.

– Czas ludzi oto wreszcie dobiegł końca.

12.10

Erin kulila się pod Rhunem, a tymczasem wstrząsy ziemi ustawały.

Widziała, jak szmaragdowa kolumna ciemnieje, zobaczyła pękający lód po przeciwnej stronie jeziora i wyrrywający się spod niego cały rój monstrów. Powierzchnia lodu pękała w coraz to nowych miejscach.

Christian i Sophia przeciągnęli skrzynię na skrawek mocniejszego lodu. Ścigały ich jednak wrogie stwory; zmiana układu sił dodawała im śmiałości.

Erin szukała wzrokiem Jordana, lecz unosząca się w tym miejscu przy brzegu gruba chmura czarnej pary zasłaniała widok.

Rhun wciąż ścisnął jej szyję swoją jedyną ręką.

– Co to znaczy, że wiesz, co musisz zrobić? – zapytał.

Zrozumiała podtekst tego pytania: Co twoim zdaniem możesz uczynić w obliczu nadchodzącej śmierci.

Odpowiedziała mu po cichu: – To, co mogę.

Jedną ręką przycisnęła do piersi Ewangelię Krwi, wizualizując sobie w głowie linijki enochiańskiego pisma wypełniające strony.

Znała prawdę z absolutną pewnością, a mimo to słowa nie chciały wyjść z jej ust. To, co pojęła, wprawiło ją w zbyt wielkie osłupienie – odkryła prawdziwy powód istnienia Ewangelii Chrystusa.

Księgi nie napisano po to, by umożliwić ludziom uwolnienie z więzów ich boskości. Została napisana dla jednej istoty, jednego anioła po to, by mógł się odkupić: dla Lucyfera. Przypomniała jej się tabliczka, którą ujawnił jej Łazarz w bibliotece sangwinistów, zawierająca alternatywną wersję przypowieści o Ogrodzie Edenu.

Ewa przyrzekła w niej wężowi, że podzieli się z nim owocem z drzewa wiedzy, ale ostatecznie złamała przyrzeczenie.

Teraz gdy świat pogrążał się w ciemności, powróciły do niej słowa Łazarza: *Kiedy Lucyfer stanie przed tobą, twoje serce wskaże ci drogę.*

Musisz wypełnić przymierze.

Wówczas nie zrozumiała tych słów, ale teraz stały się dla niej jasne.

Wężowi, czyli Lucyferowi, odmówiono dostępu do tajemnej wiedzy, która mogła mu umożliwić dokonywanie innych wyborów; była to znajomość dobra i zła. Poprosił o tę wiedzę, Ewa mu ją obiecała, ale jej nie przekazała i w ten sposób nigdy jej nie poznał.

Jednakże Chrystus przysłał mu ją teraz.

– Muszę wypełnić przymierze Ewy – wymamrotała suchymi zimnym ustami.

Poza kulą lwiątko popatrzyło na nią, poruszyło się, jakby ją usłyszało, i zamiauczało cichutko. Kojarzyło jej się z jej pierwszym kotem, olbrzymim kocurem mieszkającym w stodole, który nosił imię Nabuchodonozor. On też miał śnieżnobiałą sierść.

– Jak się masz, Nabi – wyszeptała, gubiąc się na chwilę w czasie.

Rhun nachylił się i zwrócił na siebie jej uwagę. Miał tak smutne oczy, że zapagnęła dotknąć go i pocieszyć.

– O jakim przymierzu mówisz? – dociekał.

Zmusiła oczy, by się skupiły.

– Księga... Ewangelia... musi dotrzeć do Lucyfera.

Rhun rozszerzył oczy z niedowierzaniem, wręcz z gniewem.

– Jak to? Ewangelia Chrystusowa ma trafić do anioła, którego sam Bóg strącił z niebios?

Nie miała sił się spierać, ale zanikającym tchem wypowiadała ciche słowa. Wiedziała, że ostry słuch sangwinisty pozwoli mu je usłyszeć.

– Chrystus napisał ją, by Lucyfer mógł odkupić swoje winy.

Gdyby Ewa dała mu owoc z drzewa poznania dobra i zła, wiedziałby, co to jest dobro. Mógłby je wybrać. Przymierze Ewy musi zostać spełnione. Rhunie, musisz przekazać mu tę wiedzę.

Spojrzał na poczerńiałe niebo.

– Nie mogę cię zostawić, żebyś umierała w samotności.

– Musisz... do tego właśnie zostaliśmy wybrani.

Uniósł Ewangelię, a ona wypuściła ją z rąk, rada, że sangwinista uwalnia ją od tego brzemienia. Jej palce znów zacisnęły się na szyi, choć gest ten nie mógł już niczego zmienić. Skoncentrowała się na Rhunie. Widziała po jego twarzy, jak bardzo pragnie z nią zostać i ile go kosztuje zostawienie jej. Wzrok księdza przeskoczył na otwartą księgę i na jego twarzy pojawił się strach.

Co się stało?

– Pismo znikło – odpowiedział na jej bezgłośnie pytanie.

Przekartkował książkę, lecz wszystkie stronicie były czyste. – Pamiętaj, że Ewangelia Krwi jest związana tylko z tobą, Erin. Słowa nie będą ujawnione nikomu innemu.

Była już zimna. Nie wiedziała, co zrobić, co powiedzieć.

– Może zdołam przenieść ciebie i księgę do Lucyfera – zaproponował Rhun. – Może wręczymy mu ją razem.

Nie...

– To na nic – rzucił zniechęcony. – Żyjesz, więc światło spali cię na proch. Tylko sangwiniści albo *strigoi* mogą przekraczać bezkarnie takie bariery.

Erin przestała cokolwiek widzieć. Ostatnim oddechem wyszeptała ostateczną prawdę: – Musisz mnie przemienić... to jedyny sposób.

Muszę się stać *strigoi*.

12.12

Jordan stracił Erin z pola widzenia, kiedy obłok ciężkiej mgły przetoczył się nad popękany jeziorem. Dochodziły z niego odległe wrzaski i wycie, jego ciemność rozdzierały strzelające race czarnych płomieni. Olbrzymie cielska wprawiały mgłę w ruch; wiedział, że sam ich widok odarłby go z resztek przytomności.

Szmaragdowa kula, która go otaczała, załamała się, on jednak nie podnosił się z kolan. Brama została zdruzgotana na zawsze wraz z klejnotem i już nigdy się nie zamknie.

Nie widział żadnego powodu do dalszej walki, zwłaszcza że Erin prawdopodobnie zginęła.

Jeśli jeszcze nie, to wkrótce się to stanie.

Nie był pewien, czy bez niej woli żyć, czy umrzeć.

Jedno tylko wiedział z absolutną pewnością.

Pragnął zemsty.

Spoglądał na Legiona, który spadał na niego z góry. Demon uniósł wysoko miecz mnicha, z jego oblicza biło poczucie triumfu. Klinga jeszcze dymiła od krwi.

To właśnie nasunęło Jordanowi pewną myśl.

Cofnął się i – jakby godził się na śmierć – rozpląszczył na ziemi przed demonem, nadziewając na ostrze, które chwilę wcześniej oparł o ziemię. Przebiło mu plecy i wyszło brzuchem. Czarny obsydian parzył go niczym sopel lodu. Był to miecz Legiona, który ten rzucił na śnieg. Teraz zrobił się śliski od ognistej krwi Męża Wojownika.

Kiedy demon się do niego zbliżał, utykając na jedno kolano, Jordan go kopnął. Rak trafił Legiona w zdrową kostkę; nie złamał

jej, lecz pozbawił równowagi i demon runął na sierżanta.

Ten otworzył szeroko ramiona jak do niedźwiedziego uścisku.

Legion zwałił się na niego i przedziurawił ciało skrwawionym mieczem zmoczonym anielską krwią Jordana. Demon wrzasnął i zaczął wić się na tej szpicy, sierżant oplótł go jednak kończynami i przetoczył się na bok. Ognista krew płynąca z jego rozdartego brzucha zalewała zimne ciało Legiona. Siłą woli Jordan wydobywał z siebie anielską esencję, żeby wypalić demona z ciała Leopolda.

– Wracaj do Piekła, draniu!

Legion rzucał się i wył, buchając kłębam ciemnego dymu. Trawił go ogień, jakby leżał na rozżarzonej węglu, którym było ciało Jordana. Powoli czerń odpłynęła z jego twarzy. Na Męża Wojownika spojrzały wodniste niebieskie oczy Leopolda.

– *Mein Freund...* – powiedział, opuszczając czoło na policzek sierżanta. – Wyzwoliłeś mnie.

Jordan trzymał go nie po to, by uniemożliwić ucieczkę, lecz by Leopold wiedział, że nie jest sam. Że ostatecznie uzyskał przebaczenie, że jest kochany. Trzymał go tak długo, aż ciało przyjaciela zwiotczało w jego ramionach. Leopold odnalazł wreszcie prawdziwy spokój.

12.13

Dłonie Erin odpadły bezwładnie od straszliwie rozplątanej szyi.

Rhun uniósł rękę, żeby zatamować krwawienie, lecz każde nikłe uderzenie jej serca mówiło mu, że jest to bezcelowe. Wziął ją więc na kolana i przygarnął do siebie, ściskając jej zakrwawione palce.

Głowa Erin opadła w tył, jej twarz zalewał purpurowy blask kamienia.

Jak może ją przemienić – kobietę, którą pokochał i której nadal nie przestał kochać?

Strigoi to bezduszne szkaradne stwory, tworzenie ich było grzechem. Rhun zszedł z tej drogi już dawno, kiedy zabrał

Elżbietę, z czego nie wynikało nic oprócz zła. Z uzdrowiciela ludzi przeobraził się w ich zabójcę, uśmiercił setki niewinnych.

Spojrzał w stronę Elżbiety, lecz teraz straszliwa mgła rozszerzyła się i pochłonęła jej posterunek. Lazurowa kolumna ognia nadal jednak strzelała w ciemne niebo. Miał nadzieję, że jest to znak świadczący o tym, iż Elżbieta wciąż żyje. Wiedział, że jest w niej dobro, nawet jeżeli ona jeszcze nie w pełni je dostrzegą. Modlił się, by żyła dalej i zdołała je odkryć.

Jego oczy skierowały się ku odmętowi głębszego mroku, ku miejscu, w którym zgasła kolumna szmaragdowego ognia. Czy Jordan wciąż żyje? Tak czy owak, skoro brama została uszkodzona, czy dla kogokolwiek z nich pozostała nadzieja?

Lwiątko zamiauczało na niego przeciągle zza ognistej ściany, jakby chciało go zbesztać. Złociste ślepka spojrzały głęboko w jego oczy i przypomniały, że wciąż jest nadzieja, że spoczywa bezwładnie w jednym ramieniu Rhuna.

– Ale to jest zakazane – rzekł młodemu stworzeniu. – Popatrz tylko na te demony pozbawione duszy. Chciałbyś, by stała się jednym z nich?

Odpowiedź na pytanie padła z ust Erin, była jak jej ostatnie tchnienie.

– Proszę.

20 marca, 12.14

Dolina Tsum, Nepal

Erin bujała się nad krawędzią zapomnienia. Oczy miała otwarte, lecz widziała tylko cienie. Mimo to rozróżniała kształt twarzy Rhuna na ognistym tle. Za jego plecami światło wychodzącego z zaćmienia Słońca przebijało cienie, jednak nawet ono powoli ulegało olbrzymiej fali czarnych mgieł wzbijających się z jeziora. Ciemność ta, jeśli się jej nie powstrzyma, pochłonie cały świat.

Erin nie miała już argumentów, by przekonać Rhuna, ani tchu, by je wypowiedzieć, ale jej umysł za nimi podążał.

Wiedziała, że ta bitwa rozegrała się już sto razy. Nawet jeśli inni zdołają wykuć na nowo kajdany Lucyfera, nic się nie zakończy.

To, co wykute, można znów rozerwać.

Miała świadomość, że jest tylko jeden sposób, by naprawdę położyć temu kres.

Lucyfer musi zostać odkupiony.

Wpatrywała się w Rhuna. Chciała go skłonić, żeby dopatrzeć się prawdy w jej obliczu i pogodził się z tym, co musi się dokonać.

Nie pozwól, żeby moja śmierć poszła na marne. Uwolnij mnie, a ja zrobię to, co muszę zrobić.

Delikatnie przycisnął zimne usta do jej czoła. Żałowała, że nie całuje jej Jordan, że to nie on ją trzyma. Ale Jordan nie mógł zrobić tego, co musiało zostać zrobione. Tylko Rhun.

Kiedy się prostował i odgarniał włosy z jej czoła, ostatnią resztką sił rozpałała błaganie w swoich gasnących oczach.

Po policzkach Rhuna spływały łzy. Pokręcił głową, jakby odgadł myśl Erin. Ona także z łatwością czytała w jego myślach i wiedziała, który fragment pisma powstrzymuje go od pozbawienia jej duszy: *Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?*⁶.

Usiłowała go przekonać.

Ja nie zyskuję świata... Ja chcę go ocalić.

Pozwoliła tej myśli popłynąć blaskiem ku niemu.

Rhun przygarnął ją mocniej i wejrzał w nią głęboko. Po raz pierwszy zobaczyła, że jego oczy nie są czarne. Były ciemnobrązowe i miały linie o barwie cynamonu, przypominały korę sekwoi i tętniły życiem w jego pobladłej twarzy.

– Przykro mi – wyszeptał.

Musnął delikatnie wargami jej usta, pocałunek był jak powiew chłodnego wiatru z gór.

Zamknęła oczy pokonana.

Potem wargi zsunęły się do jej szyi i ostre zęby wbiły się głęboko w jej ciało.

Resztką krwi, która w niej została, wytrysnęła jedną szczęśliwą falą.

Dziękuję ci, Rhunie.

12.15

Rhun zachowywał najwyższą ostrożność, wiedząc, że nad sercem Erin zawisł cień śmierci. Wysysając ostatnie ogniki życia z chłodnącego ciała, zignorował strumień ekstazy i skupił się na nierównomiernych, zamierających uderzeniach jej serca. Potrzebował tyle jej krwi, by ją przemienić, ale nie tyle, by ją zabić.

Przed chwilą wyczytał w oczach Erin determinację, wiedzę i pewność – ale nade wszystko ujrzał tam miłość, bezdenną studnię współczucia nie tylko dla Jordana i dla niego, Rhuna.

Dla wszystkich i dla każdego.

Aby ocalić wszystkich, była gotowa poświęcić siebie.

Czyż Chrystus nie podjął tej samej decyzji w Ogrójcu i na krzyżu?

Poczuł, że Erin wiotczeje, i wyciągnął zęby z jej szyi, odsunął usta od jej skóry. Spojrzał na kobietę, którą wciąż trzymał na kolanach, kobietę, którą tak bardzo ukochał.

Nawet teraz wciąż się wahał. Wiedział, co musi zrobić, a mimo to ogarniało go przerażenie.

Ze względu na nią i na siebie.

Później usłyszał głębokie uderzenia serca Erin, resztką jej życia domagała się od niego działania.

Wbił głęboko ostrze sztyletu w swoje gardło. Popłynęła ciemna krew, a on upuścił sztylet, ujął w dłoń głowę Erin i przystawił jej usta do czarnego źródła. Wpuszczał swoją krew do jej wiotkich ust i otwartego gardła. Była zbyt nieprzytomna, by sama połykać, lecz trzymał ją, czekał i modlił się.

Ponownie wzniósł spojrzenie na ciemne niebo. Słońce znowu umierało, tym razem nie pożerał go księżyc, lecz straszliwy dym wznoszący się z jeziora przez bramy samego Piekła.

Naraz błysnęła nadzieja: miękkie usta zwarły się na jego skórze i zaczęły pić. A on utonął w wielkiej karmazynowej błogości.

Mimo to po jego twarzy spływały zimne łzy.

Co ja uczyniłem?

12.16

Erin ocknęła się, czując w ustach posmak soli i srebra. Każdy łyk dawał jej siłę. Piła więcej i więcej i nagle obudziła się w niej ciemna namiętność. Jej palce uniosły się, by chwycić Rhuna za włosy i przyciągnąć go bliżej. Wsunęła język i pobudziła strumień.

Piła tak, jak kiedyś oddychała, wielkimi haustami. Tak jakby tonęła i w ostatniej chwili wydostała się na powierzchnię.

To było życie i to była śmierć.

Oraz ekstaza.

Jej ciało krzyczało o więcej, ręce objęły mocniej Rhuna, jak gdyby chciała go wciągnąć w siebie, wydobyć z niego wszystko.

Błysnęło wspomnienie tamtej intymnej chwili w kaplicy, kiedy skąpała go w swojej krwi. Jednakże tamta chwila zbladła wobec tego karmazynowego uniesienia – dwoje stało się jednym.

Poczuła, że Rhun twardnieje, przetacza się na nią, przygniata ją ciałem.

Tak...

Ale to wciąż za mało.

Pragnęła go całego.

Jej zęby wbiły się w jego szyję pożądliwie, nie godząc się na odmowę.

Nagle żelazne palce chwyciły ją za włosy i odciągnęły jej usta i kły od źródła rozkoszy. Szarpnęła się i napięła, ale Rhun był o wiele silniejszy.

– Nie... – wykrztusił i stoczył się z Erin.

Wdarło się między nich zimne powietrze i zachciało jej się płakać z samotności. Pragnęła bliskości, prawie tak bardzo, jak łaknęła jego krwi. Polizała jego wargi, szukając ognika tamtego uniesienia.

Rhun zakrył sobie ręką szyję.

– Wino – wycharczał chrapliwie.

Z wolna wracała jej świadomość, a wraz z nią pojawił się strach, że wypiła z niego za dużo. Zerwała srebrną flaszkę z jego uda, odkręciła nakrętkę i wylała wino na usta Rhuna. Srebro sparzyło opuszki jej palców, ale trzymała flaszkę mocno. Wzdychała z bólu, kiedy kropelki wina pryskały jej na dłoń, palące niczym kwas.

Ich żar uprzytomnił jej prawdę.

Jestem *strigoi*.

Rhun pił konwulsyjnie; opróżnił flaszkę i ją odtrącił. Wstał, drżąc, a potem postawił Erin na nogi obok siebie.

Weszła w swoje nowe ciało i zaakceptowała je. Jej zmysły rozszerzyły się w niezwykły sposób. Słyszała każdy odgłos, czuła każde tchnienie, każdy zapach był jak symfonia. Ciemność wokół niej zdawała się błyszczeć. Zła moc niosąca się od jeziora przyciągała ją, wzywała.

To jednak nie było wszystko.

Wezbrał w niej głód i jej wzrok powędrował na drugą stronę jeziora ku odgłosowi, który brzmiał w jej uszach niczym dudnienie.

Bicie serca. Wskazywało jedyną ludzką istotę, która została w dolinie.

Pragnęła go, pożałała, łaknęła ciepła, które obiecywał, tętniącej krwi, chciała ugasić głód, który ją dręczył. Poczwała, że źródło się zbliża, powoli sunie w jej kierunku.

Zrobiła krok w tamtą stronę, lecz Rhun ją powstrzymał.

– To Jordan – oznajmił.

Erin zamrugwała. Z niesłychaną powolnością wracały do niej ciepłe wspomnienia, które łagodziły tępy ból. Mimo to głód nie odszedł całkowicie. Nie była bezpieczna w pobliżu Jordana, zwłaszcza teraz, być może nigdy nie będzie.

Rhun zacisnął dłoń na jej nadgarstku.

– Musisz to zwalczyć.

Nie była pewna, czy temu podoła. Wreszcie zrozumiała, z czym on musi się zmagać.

Sangwinista, nie mając wolnej ręki, czubkiem buta brutalnie pchnął ku niej Ewangelię Krwi. W Erin zostało jeszcze tyle z archeolożki, że odruchowo sięgnęła ręką w dół i podniosła starożytny artefakt ze śniegu, żeby nie uległ zniszczeniu. Gdy tylko dotknęła palcami wytartej skórzanej okładki, błysnęło złociste światło i ogarnęło ją, przyćmiewając nieco jej żądzę.

Wyprostowała się i zauważyła, że bicie serca Jordana zostało przytłumione.

Omiotła wzrokiem brzeg; tęsknota znów ją przepełniła, ale nie był to głód krwi Jordana, lecz głód mężczyzny, którego kochała.

– Musimy iść – przypomniał jej Rhun.

Pozwoliła mu przeprowadzić się przez ognistą zasłonę. Pozwoliła, by jej dawne życie zostało w tyle, spalone.

12.17

Jordan przemykał wzdłuż brzegu, przyciskając pięść do rany w brzuchu. Nie miał pewności, czy zdrowieje. Obawiał się, że większość anielskiej esencji wyrzucił wraz z krwią na ciało demona. Mimo to żagiew ognia płonęła w jego brzuchu, co świadczyło o tym, że jakaś resztką tam została. Czuł jednak, że szybko gaśnie.

Mimo to maszerował dalej. Drugą ręką włókł za sobą czarny miecz Legiona, wciąż ociekający jego krwią. Parł przez przekłętą mgłę, która dymiła z uszkodzonej części bramy za nim. Po zabiciu demona umknął przed jazgoczącą obłąkańczo hordą, która gromadziła się we mgle, żeby przywitać jeszcze większe monstra wślizgujące się powoli do świata.

A niech tam... Byleby zostawiły mnie w spokoju.

Szedł jedyną drogą, która mu pozostała. Trzymał się brzegu jeziora, uważając na pozostałe dwa cokoły piramidy wciąż płonące nad lodem.

Stożek białego światła nadal jaśniał, lecz mimo czarnej mgły Jordan widział, że jego czystość się rozprasza. Brama pękła, więc było tylko kwestią czasu, kiedy Czarny Anioł się wyrwie.

Jordan był zdeterminowany, by być wtedy u boku Erin, choćby po to, by po raz ostatni wziąć w ramiona jej zimne ciało. Chociaż wciąż tliła się w nim nadzieja, kazała mu iść dalej, z największym wysiłkiem stawiać jeden krok za drugim.

Może jeszcze żyje... może będę mógł ją pocałować ten ostatni raz.

Wreszcie ujrzał przez tuman mgły czerwonawą lunę. Zbliżywszy się, zobaczył, że jest to ognista kula otaczająca kamień Sanguis.

Przedostał się przez najgęstszy opar mgły i przyspieszył kroku.

I wtedy okazało się, że kula jest pusta.

Erin zniknęła.

Oparł się na mieczu i rozejrzał. Zobaczył, że nie jest zupełnie sam.

Na skraju jeziora czekało lwiątko ze spojrzeniem utkwionym w wodzie. Jordan dowlókł się do niego i podążył za uporczywym spojrzeniem.

Po łodzie sunęły dwie postacie.

Rhun... i Erin.

Maszerowała obok sangwinisty, ściskając w ramionach Ewangelię Krwi. Księga roztaczała na nich poświatę złocistego światła.

Chciał krzyczeć z radości i pobiec do Erin, ale zdołał jedynie upaść na kolana na brzegu jeziora. Wiedział, że nie zdoła przekroczyć zewnętrznej ściany piramidy ognia. Usiłował pojąć, jak to możliwe, że Erin wciąż żyje, i w jaki sposób przedostała się przez barierę.

Czy uleczyła ją księga? Czy poświata Ewangelii Krwi pozwoliła jej przebić się przez ognistą zasłonę?

– Erin! – krzyknął, żeby chociaż zobaczyć jej twarz.

Usłyszała go i odwróciła głowę.

Dolna część jej twarzy zalana była czarną krwią. Zobaczyła Jordana, lecz w jej oczach nie było radości, tylko smutek. Rhun odwrócił się i odsłonił ranę na swoim gardle.

Jordan zrozumiał prawdę. To nie księga ją uzdrowiła, to nie jej poświata pozwoliła Erin przejść bez szwanku przez ścianę.

Straciłem ją.

Rhun dotknął jej ramienia. Erin spojrzała rozpaczliwie ostatni raz i odwróciła się.

– Ona odeszła – usłyszał Jordan za plecami. To była Elżbieta, cała zlaną krwią, głównie własną.

Zerknął w kierunku ognistego błękitnego filaru, przy którym Elżbieta broniła kamienia Aqua. Klejnot wciąż świecił mocno.

– Musiałam się wycofać – powiedziała. – Nadeszła jakaś olbrzymia bestia z mnóstwem wijących się macek...

Jordana to nie obchodziło. Jego uwaga skupiła się znów na Erin.

Elżbieta potwierdziła jego najgorszą obawę.

– Nie słyszę bicia serca – rzuciła.

W jej słowach słycać było zmęczenie i smutek. Nie opłakiwała straty Jordana, lecz własną.

Opadła obok niego na kolana. Jako *strigoi* mogła tak jak tamci przejść przez ścianę, wyjść na lód. Ale nie miała powodu.

Utraciła Rhuna.

20 marca, 12.19

Dolina Tsum, Nepal

Erin chciała się odwrócić i pobiec do Jordana.

Rhun zapewne odczytał jej pragnienie, nie dlatego, że połączyła ich więź krwi, lecz po prostu dlatego, że znał jej serce, nawet to nowe, które nie biło.

– Musisz iść do Lucyfera – powiedział. – To jest teraz twoje przeznaczenie.

Wiedziała, że ma rację, ruszyła więc dalej po lodzie. Przyciskała do piersi Ewangelię Krwi, z niej czerpała teraz siłę. Z każdym krokiem poświata księgi jaśniała coraz mocniej, odpychała ciemność, jej blask przebijał się przez gęste opary mgły.

Kilka pokrzywionych bestii przerwało obleganie Christiana i Sophii i przypuściło szarżę na Erin i Rhuna. Coś czarnego wynurzyło się z tumanów mgły w górze i zaczęło pikować. Erin ledwie zdążyła zerknąć na pozbawionego piór gadziego stwora, gdy ten runął na złote światło i stanął w płomieniach.

Rhun pociągnął ją w bok, zanim cielsko zważyło się na lód.

Na ten widok inne bestie rozproszyły się i umknęły przed poświatą. Czmychnęły w mrok, nie chcąc mieć do czynienia ze złocistym blaskiem.

Erin i Rhun przyspieszyli kroku; uważając na pęknięcia w lodzie, zmierzali slalomem do Christiana i Sophii. Sangwiniści nie byli w dobrym położeniu, wyglądali jak wysepka wśród pulsującej masy demonów.

Christian wyjął święty łańcuch ze skrzyni i zarzucił sobie ciężkie ogniwa na pierś, mimo że srebro musiało go parzyć. Śmigał końcem łańcucha niczym świętym biczem, dosięgając napierającej hordy.

Ogniwa rozplątywały cielska stworów, jakby zrobiono je z płynnej stali.

Twarz sangwinisty ociekała jednak krwią, a jego ubranie wisiało w strzępach.

Sophia wyglądała jeszcze gorzej. Drobna kobieta zauważyła nadchodzących i być może na to czekała; tylko to sprawiło, że tak długo siłą woli trwała na posterunku.

Erin zobaczyła to w jej oczach.

Nie...

Sophia podjęła ostatni wysiłek, zwinęła się i przeszła grzbiet bestii, zanim ta runęła na Christiana. Musiała jednak opuścić gardę i potwory rzuciły się na nią rojem.

Christian usiłował przebić się do niej, ale było ich zbyt wiele.

Erin dotarła do nich ze złocistym światłem, rozpędzając horde.

Jakiś ciemny wijący się kształt odskoczył, zostawiając na lodzie poszarpane ciało.

Erin ślizgnęła się po lodzie, zatrzymała i zakryła usta dłonią.

Nie.

Sophia, ta gorliwa sangwinistka, odeszła.

Erin zadrżała, ale Rhun objął ją i przytrzymał.

– Tylko księga się liczy. Musi dotrzeć do Lucyfera.

Skinęła głową. Bo w przeciwnym razie ofiara Sophii pójdzie na marne, pomyślała.

Rhun musiał ją lekko pchnąć, by ruszyła dalej. Po chwili jednak mknęła po lodzie, nadnaturalna siła napędzała jej kończyny. Kierowała się ku stożkowi światła. Demony usuwały się przed poświatą księgi, ale już nie zmykały. Syczały i warczały, jak gdyby wiedziały, że wkrótce i tak będzie należała do nich.

I kto wie, być może dostaną swoją szansę.

Nawet Ewangelia Krwi nie mogła długo znosić obecności namacalnego zła. Złocista łuna zaczęła ulegać pod naporem zjadliwych oparów. Im głębiej Erin wchodziła, tym poświata była słabsza.

Rhun i Christian starali się odpędzać tych, którzy ośmielili się zbliżyć. Christian świsnął łańcuchem i trafił pędzącą susami bezwłosą małpę. Syknęło palone mięso i stwór wrzasnął z bólu, a potem potoczył się w bok.

Erin skupiła się na swoim zadaniu: Lucyfer dalej szarpał się na tronie, rozrywając kolejne ogniwa łańcucha. Skrzydła z piórami czarnych płomieni waliły w ścianę klatki blasku, która go więziła. Po każdym uderzeniu światło przygasało i zasnuwała je smuga mroku.

Erin chciała jak najprędzej pokonać odległość, lecz jej siła wiodła wraz ze złocistą poświatą. Bolały ją nogi, ręce zrobiły się zbyt ciężkie, by unieść Ewangelię. W jej ciele znów odezwała się rycząca żądza krwi.

Lucyfer rzucał się, napinając srebrne łańcuchy.

Uczona Niewiasta i jej towarzysze wreszcie dotarli do ściany świetlistego stożka.

Zwolniła i ostatni odcinek pokonała, słaniając się na nogach.

Christian wyprzedził ją i wysunął rękę do białego światła. Wrzasnął i szarpnął rękę, która zamieniła się w dymiący kikut kończący się na nadgarstku. Światło spaliło mu dłoń.

Zatoczył się w kierunku Rhuna. Przez jego ból przebijał drugi, jeszcze straszniejszy: świadomość, że nawet sangwiniści nie mogą przekroczyć ostatniej bariery.

Podeszła do nich, lecz złote światło, zetknąwszy się z barierą, prysło, a wraz z nią jej tarcza. Zanim sangwiniści zdążyli zareagować, czarny, pokryty łuską stwór wyskoczył z oparów za Erin i runął na nią. Chwycił ją owadzimi nogami i zatopił kły w jej ramieniu.

Krzyknęła głośno.

12.25

Rhun obrócił się i machnął srebrnym karambitem, odcinając dwie z sześciu nóg bestii. Christian mógł wtedy oderwać ją od pleców Erin i rzucić z rozmachem na świetlny stożek. Cielsko wpadło na barierę i rozsypało się w chmurę ognistych żagwi.

Ksiądz pociągnął za sobą Erin. On i Christian stali naprzeciwko wzbierającej masy potworów gromadzących się w większych obłokach mgły. Rhun trzymał obnażony sztylet, Christian zaś kręcił powoli łańcuchem, który złowieszczo drapał lód.

– Rhunie... – jęknęła Erin.

Odwrócił się i zobaczył, że z jej szyi wzbija się jadowita ciemność i pali skórę. Zachwiała się na nogach. Ewangelia Krwi wysunęła się z jej drżących rąk.

To, co ją ukąsiło, musiało być jadowite.

Chciał przyjść jej na pomoc, kiedy coś wypadło z mgły nad jego głowę i powaliło go na lód. Wyglądało jak skórzasty nietoperz rozrośnięty do ogromnych rozmiarów. Ostre jak igły zębiska klapnęły tuż obok twarzy sangwinisty. Miał tylko jedną rękę, musiał więc rzucić ostrze i chwycić bestię za szyję, żeby kły nie sięgnęły jego gardła.

Erin tymczasem straciła równowagę i upadała na białe światło, lecz Christian skoczył ku niej i nadpaloną ręką chwycił ją w pasie.

Odciągnął ją, a drugą ręką podniósł z lodu Ewangelię i wsunął sobie pod kurtkę.

Gdy się cofał, Erin szarpnęła się w jego uścisku. Jej głowa się zatoczyła, a spojrzenie padło na światło i na Lucyfera.

Nawet w tej chwili była zdeterminowana, by wypełnić misję.

Lecz Christian włókł ją w drugą stronę, kierując się do Rhuna, który potrzebował pomocy. Młody sangwinista śmignął łańcuchem i odrzucił nietoperza. Na grzbiecie stwora pojawiła się ognista pręga; zasyczał i odfrunął w ciemność.

Wśród tumanów mgły majaczyły ciemne kształty, zbliżały się.

– Co teraz? – spytał Christian.

12.26

Zimne ciało Erin trawił trujący ogień. Czuła, że ciało na barku topi się wokół rany po ukąszeniu. Napływało tam dużo krwi, jak gdyby osocze dążyło do ugaszenia ognia. Jad zżerał także jej twarz i spływał po ręce.

Znowu.

Z powodu bólu i mdłości trudno jej było się skupić, ale wiedziała, że to ważne. Przed chwilą omal nie upadła. Żeby utrzymać równowagę, wysunęła ramię ociekającą toksynami, a wtedy jej dłoń oraz przedramię przebiły ognistą barierę. Czystość światła ochłodziła rękę i zniszczyła mroczną truciznę.

Gdy jednak Christian chwycił Erin i odciągnął w bok, toksyna znów popłynęła w jej ramieniu.

Zbyt słaba, by stać, Erin trzymała się sangwinisty. Trudno było jej mówić, bo palił ją policzek, ale musiała przekonać obu.

– Światło... – wydusiła z siebie. – Mogę przez nie przejść.

– Ona majaczy – orzekł Christian.

– Mogę... – Odwróciła z wysiłkiem głowę i popatrzyła na Rhuna.

Pozwoliła mu dojrzeć prawdę, zaufać więzi ich krwi, wzajemnemu porozumieniu.

– Mówi prawdę – odparł Rhun. Zerknął w kierunku stożka i Czarnego Anioła, który szarpał się wewnątrz swojego więzienia.

Zanim zdolali ustalić plan, spadły na nich cienie z mgły i błyskawicznie oddzieliły Rhuna od towarzyszy. Mógł się bronić tylko jedną ręką i z ledwością powstrzymywał bestie, by nie rozdarły mu gardła. Nie było mowy o przyjściu z pomocą Erin i Christianowi.

Po chwili zniknął w oparach mgły, ale nadal walczył, widać było jego postać otoczoną błyskami srebra.

Christian nie opuścił Erin. Walczył dzielnie, kręcąc łańcuchem nad głową, trzymając diabelską horde na dystans, ale siły zaczynały go opuszczać. Długo toczył bitwę u boku Sophii i teraz sięgał do samego dna rezerw.

Zacisnął zranioną rękę wokół pasa Erin i spojrzał w kierunku jasności wiążącej Lucyfera. Zamachnął się jeszcze raz łańcuchem

i trafił olbrzymiego węża z taką mocą, że krew z jego cielska trysnęła fontanną na stożek światła i spłonęła z sykiem.

Wtedy Christian zsunął z siebie ciężkie ogniwa.

Erin zmarszczyła czoło.

– Co ty...?

– Wygląda na to, że nie sposób tego dokonać bez poświęcenia chrześcijanina. – Przez jego twarz przemknął uśmiech. – Będę za tobą tęsknił, doktor Erin Granger.

Zrozumiała.

Nie, pomyślała.

Objął ją w pasie i skoczył wysoko, resztkę sił wykorzystując na to, by przesadzić najbliżej czyhające bestie. Razem wpadli na barierę.

Ciało Christiana eksplodowało ognistym popiołem, a Erin poleciała w dół. Upadła bezpiecznie i śliznęła się na biodrze. W jej gardle ugrzązł płacz. Ewangelia Krwi znalazła się tuż obok, tak samo nietknięta jak ona.

Usiadła, czując, że wracają jej siły. Czarna trucizna w jej ciele znikła bez śladu podczas przejścia przez barierę światła.

Popatrzyła za nią, na opadające deszczem ognistych iskier resztki przyjaciela, tego zabawnego, nieznającego trwogi kpiarza.

Zasługiwał na lepszy los. Poświęcił się, żeby ona mogła dostać się do wnętrza świetlnego stożka. Erin postara się w pełni spłacić ten dług.

Podniosła Ewangelię Krwi i odwróciła się twarzą do więźnia.

Lucyfer spoglądał na nią z tronu. Już nie targał łańcuchami, tylko patrzył na kobietę wyraźnie zaciekawiony i być może zaskoczony jej obecnością.

Nie uchylila się przed jego czarnym spojrzeniem. Oddała życie i duszę, żeby przed nim stanąć. A teraz pozostała jej tylko jedna rzecz, którą mogła dać.

Uniosła księgę.

Tylko Ewa mogła zerwać owoc z drzewa wiadomości i tylko córka Ewy mogła zwrócić tę wiedzę wężowi.

Wargi Lucyfera poruszyły się, lecz nie wydobyło się z nich ani jedno słowo, tylko odgłos przypominający dźwięk wielkiego dzwonu.

To porównanie błędnie jednak wobec prawdziwego piękna tego dźwięku, głosu anioła, muzyki sfer. Dzwon zaśpiewał ponownie wysokim tonem, pytająco.

Anioł mówił, lecz Erin go nie rozumiała.

Uniosła wyżej księgę, licząc na to, że pojmie, jeśli nie jej słowa, to chociaż gest.

– Oto Ewangelia Chrystusa zapisana Jego krwią i ukryta przez wiele długich lat. Moim zadaniem jest przynieść ci ją, wypełnić przymierze, które dawno temu zawarłeś z Ewą.

Głowa przechyliła się na jedną stronę, nieskazitelne rysy pozostały nieprzeniknione.

Erin rozchyliła książkę, żeby mu pokazać. Okładka się rozwarła i złocisty blask wylał się na zewnątrz. Nawet nie patrząc, Erin wiedziała, że stronice wypełnione są świetlistym pismem enochiańskim.

Lucyfer pochylił się i wyciągnął ku niej potężną dłoń.

Miała ochotę uciec, ale wytrzymała.

Kiedy palce się zbliżyły, zamknęła księgę i delikatnie wsunęła Ewangelię w czarne dłonie. Usiadł znów prosto na tronie, księga została w jego rękach. Czarnym jak heban palcem uniósł okładkę i złociste światło zabłysło tak jasno i z takim majestatem, że poraziło oczy Erin.

Musiała odwrócić wzrok, blask porażał bardziej niż tysiąc połączonych słońc. Czują go przez czaszkę, przez zamknięte powieki.

Przez chwilę strzępy wiedzy przenikły do jej umysłu: o tajemnicach stworzenia, o ruchu gwiazd, o ukrytym kodzie życia. Przemknęły jednak przez nią i odleciały jak liście porwane przez wiatr. Próbowwała je uchwycić, zatrzymać, choć zdawała sobie sprawę, że taka wiedza może ją zniszczyć.

Przetrwała więc burzę i czekała, aż ostatecznie ucichnie. I ucichła przy akompaniamencie głośnego brzęku, który sprawił,

że znów uniosła oczy.

Lucyfer dalej siedział na tronie, lecz łańcuchy leżały u jego stóp.

Był wolny.

Ale nie to rzuciło ją na kolana. Jego ciało nie było już czarne, lecz białe jak wypolerowany marmur. Połyskiwało wewnętrznym ogniem, który świecił z jego oczu, gdy spoglądał w górę, trzymając na kolanach zamkniętą Ewangelię. Czerni grzechów została zabrana z jego ciała tak jak trucizna, którą świetlna bariera wyssała z Erin.

Lucyfer został odkupiony.

Jego piękno i chwała zajaśniały tak bardzo, że świat cały jakby pogrążył się w cieniu i stał się nieznaczący. Stożek światła, płonące fragmenty piramidy – wszystko zgasło pochłonięte przez tę świętą jasność.

Erin zobaczyła zarys ciemnego jeziora, szarych gór i błękitnego nieba. Nawet jasny zimowy dzień powracał po zaćmieniu Słońca.

Wszystko to jednak zdawało się odległe niczym sen o innym świecie.

Na chwilę krótką jak oddech widok się zmienił i napełnił cieplejszym blaskiem; zima ustąpiła zielonej trawie lata, niebieskim wodom i rozpalonemu czerwonemu słońcu. Obok skalnych urwisk dwa drzewa trzymały wartość, ich konary pokryły się gęstwiną listowia, gałęzie uginały się pod ciężarem dojrzałych owoców.

Czy to może być Rajski Ogród...?

Znowu zabrzmiały dzwony, nie sposób było ich zignorować.

Wzrok Erin powędrował znów do Lucyfera. Tylko że radosna kantylena dochodziła nie od odkupionego anioła, lecz z niebios. Chór śpiewał pieśń uniesienia i powitania, zapraszał Lucyfera do powrotu. Po upływie tylu lat chciano, by wrócił do domu.

Lucyfer wstał i rozpostarł skrzydła, ich piórami były teraz białe płomienie.

Nie odrywając wzroku od Nieba, wyciągnął dłoń i oparł palec na głowie Erin. Przez całe jej ciało przepłynęła fala ciepła, napełniając je od głowy do stóp. Radość pulsowała w niej niczym wiosna.

Potem w jej uszach rozległo się uderzenie bębna, a następnie drugi raz, tylko ciszej.

Rozpoznała ten rytm, słyszała go wszak przez całe życie.

To było bicie jej serca.

Zakryła twarz i z jej ust wydobył się szloch radości. Lucyfer przywrócił jej życie. Poświęciła je dla niego, a on je zwrócił.

Dzwony zaśpiewały głośniejsze, dała się w nich słyszeć nuta ponaglenia.

Przyszedł czas na to, by Jasny Anioł powrócił na należne sobie miejsce.

Lucyfer odpowiedział na wezwanie. Uderzył swoimi wielkimi skrzydłami, wzniósł się w powietrze i zawisł nad doliną. Spoczywał tam nieruchomo dłuższą chwilę, trzymając księgę przy piersi.

Potem spojrzał w dół, być może ostatni już raz.

Omiótł wzrokiem jezioro, którego powierzchnię znów skuwał mocny lód. Po jeziorze i dnie doliny pełzły, czołgały się i czały oślizgłe cielska czarne jak atrament; nawet ich ruchy były obce temu światu. Umykały i gramoliły się, wyły i ryczały jękliwie, wiedząc, że droga do domu została na zawsze zamknięta.

Lucyfer spoglądał w dół bez odrazy i bez litości. Z jego ciała promieniowała miłość. Otworzył usta i spłynęła z nich ciemna nuta.

Najbliższe stwory zatrzymały się w miejscu. Głowa znów się przechyliła, a on patrzył i być może rozmyślał o wielkim złu, jakie demony im podobne mogłyby rozpętać na świecie.

Jeśli odejdzie, na królestwo ziemskie może spaść pogrom.

Jakby w poszukiwaniu właściwej odpowiedzi, otworzył jeszcze raz Ewangelię i pozwolił, by złociste światło padło na jego oblicze. Po chwili w oczach Lucyfer zajaśniał blask pewności, może nawet odrobina żalu.

Spojrzał na Niebo ostatni raz, a potem na skrzydłach ognia spłynął ku zamrożonemu jezioru i lekko osiadł na lodzie. Przeczuwając, co się stanie, Erin wycofała się, aż poczuła na swojej ciepłej skórze dotyk zimnych dłoni.

Rhun...

Z ust Lucyfera znów popłynął śpiew dzwonów i Rhun przygarnął ją do siebie. Na jego twarzy malowała się wielka ulga. Wiedział, że Erin znów jest istotą ludzką. Nie był to jednak czas na radość z jej powrotu. Sangwinista wziął ją za rękę i popędzili po lodzie ku brzegowi.

Demony i szkaradne stwory wszelkiego rodzaju przepływały obok nich strumieniami, odpowiadając na dźwięczny zew pana. Wracaly do stóp Lucyfera.

Erin wypatrzyła na brzegu Jordana stojącego obok Elżbiety.

Lwiątko podskakiwało na lodzie, wiercąc się obok ich nóg. Każdy jego ruch wyrażał radość, zachęcał wszystkich, by znów się połączyli.

Erin nie potrzebowała zachęty.

Oderwała się od Rhuna i popędziła do ukochanego.

Sierżant pokuśtykał w jej stronę, trzymając się jedną ręką za brzuch.

– Ostrożnie w tym miejscu, moja pani – ostrzegł, witając ją ciepłym uśmiechem.

Wpadła na niego z pełnym impetem i oplotła ramionami tak, jakby już nigdy nie miała go puścić.

Rhun machnął ręką, wskazując kierunek.

– Ruszajcie – nakazał. – Jak najdalej od jeziora.

Posłuchali i skierowali się ku baldachimowi starożytnych drzew.

Dopiero wtedy zatrzymali się i odwrócili. Pod oblodzonymi konarami Erin przytuliła się do Jordana.

Demony zgromadziły się wokół Lucyfera, przesłaniając cieniem jasność anioła.

A on patrzył w jej kierunku. Z jego twarzy promieniowało srebrne światło przesycone pokojem i akceptacją. Wiedział, co

poświęca, postępując tak, jak zamierzał postąpić. Uniósł skrzydła i uderzył nimi o ziemię. Rozbłysło oślepiające światło, lecz Erin zdążyła dostrzec otwierającą się czarną wyrwę pod cizbą bestii. Zniknęły w niej, zabierając ze sobą promienną gwiazdę.

Kiedy jasność zgasła, ukazała się pusta powierzchnia zamrożonego jeziora.

Po policzkach Erin płynęły łzy.

– On postanowił wrócić – powiedziała. – Mógł wstąpić do Nieba, ale wrócił, żeby strzec demonów, żeby wszystko mogło nadal bezpiecznie trwać.

– Dlatego że go odkupiłaś. – Rhun dotknął pectorału. – W obliczu takiej chwały wybrał służbę w Piekło, choć mógł wybrać Niebo.

22 marca, 10.42

Watykan

Dwa dni po wydarzeniach w Nepalu Elżbieta siedziała na łóżku obok Tommy'ego.

Przyprowadziła ją tam straż sangwinistów i czekała za drzwiami.

Musiała pójść na takie drobne ustępstwo, żeby uzyskać pozwolenie na spotkanie z Tommym, ba, żeby w ogóle dowiedzieć się, gdzie chłopiec przebywa. Zamierzała ocenić stan jego zdrowia i obmyślić plan. Miała świadomość, że w najgorszym razie może łatwo pokonać wartowników i zabrać stamtąd Tommy'ego, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Zastała go śpiącego; wyglądał gorzej, niż mogła sobie wyobrazić.

Jego serce opowiadało historię choroby i słabości. Błada skóra była tylko o kilka odcieni ciemniejsza od poduszki, na której spoczywała jego głowa. Ręce złożone na kołdrze pokrywały długie plamy liszajów.

Muszę coś szybko przedsięwziąć.

Jakby wyczuwszy jej obecność, chłopiec otworzył oczy.

Przypominały oczy sarny, były okrągłe i niewinne. Zamrugał, a potem przetarł oczy.

– Elżbieta? To naprawdę ty?

– Pewnie, że ja! – Jej słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzała.

– Słyszałem, że wróciłaś.

Nie było mu łatwo usiąść, ale nie pomagała mu, bo wiedziała, jak ceni sobie niezależność. Aby zamaskować szok wywołany widokiem dotkliwej choroby, sięgnęła ręką za jego głowę i poprawiła poduszkę.

– Dowiedziałem się także, że uratowaliście świat... znowu – dodał ze zmęczonym uśmiechem. – Że zostałam bohaterką wśród sangwinistów.

– Nigdy nie chciałam, by sangwiniści uważali mnie za bohaterkę – odparła Elżbieta.

Tommy ściągnął brwi.

– Myślałem, że jesteś jedną z nich.

– Złożyłam ich śluby, owszem.

– Dobrze.

Elżbieta usztywniła się.

– Dlaczego uważasz, że to dobrze?

– Nie wiem – odparł, wzruszając ramionami. – Możesz się kolegować z innymi sangwinistami. Nie musisz być stale sama. Nawet nie musisz polować.

Wzruszyło ją, że się o nią troszczy.

– Znalazłam inny sposób.

Opowiedziała mu o tym, czego dowiedziała się we Francji: że istnieje inna droga, by żyć poza granicami wyznaczonymi przez Kościół i nie paść ofiarą swojej piekielnej natury.

– Ale czy sangwiniści nie ścigaliby cię, gdybyś spróbowała odejść? – zapytał Tommy.

– Ścigali mnie wiele długich lata, a ja wciąż tu jestem.

Chłopiec zamilkł i międlął palcami kołdrę. Unikał patrzenia w oczy Elżbiety.

– Co jest? – spytała.

– Kiedy od nich odejdiesz?

Elżbieta nie miała ustalonych ostatecznie planów.

– Jeszcze nie podjęłam decyzji.

– A więc czy zostaniesz przynajmniej... dopóki ja nie odejdę? – Patrzył na krzyż na ścianie, na drzwi i na okno, tylko nie na nią. – To chyba nie potrwa długo.

– Zostanę z tobą – zapewniła. – Nie po to, by patrzeć, jak umierasz. Pomogę ci przeżyć.

Tommy zakrył ręką szyć; najwyraźniej wiedział, co Elżbieta zamierza.

– Nie – rzucił.

– Nie?

– Nie chcę stać się potworem.

– Ale nie musisz nim być. – Uznała, że nie wyraziła się jasno. – Mówiłam ci o Francji, o Himalajach, o innej drodze.

Pokręcił zdecydowanie głową.

– Jestem gotów na śmierć. Powinienem być umrzeć z rodzicami w Masadzie.

– Zawsze jest czas na to, by umrzeć – odrzekła. – To nie musi nastąpić tak prędko.

– Nie – powtórzył i opadł na poduszkę. Niezgadzanie się z nią musiało go kosztować wiele wysiłku. – Nie chcę nieśmiertelności. Nie chcę żyć o krwi albo winie. Widziałem takie życie i go nie chcę.

Dotknęła jego ręki. Była cieplejsza niż jej dłoń, ale zimniejsza, niż powinna być. Elżbieta mogła go zabrać, poszłoby jej łatwo. Była od niego silniejsza. Zabiła i przemieniła więcej ludzi, niż zdołałaby zliczyć. Setki. On jednak byłby pierwszym zabitym z miłości.

Tommy ścisnął jej rękę.

– Proszę, pozwól mi odejść.

– Sam nie wiesz, co mówisz.

– Ależ wiem. Obserwowałem Rasputina, Bernarda, Rhuna i innych. Wiem, jak oni żyją. Nie są szczęśliwi, ja też bym nie był.

Co on wie o szczęściu i życiu? Miał czternaście lat, a dwa z nich przeżył, umierając na tę chorobę. Mogła go przemienić. Z czasem by jej przebaczył, a nawet jeśli nie, wciąż byłby wśród żywych. Nie mogła znieść myśli o tym, że umrze.

Brązowe oczy Tommy'ego patrzyły na nią. Zobaczyły tak wiele przez te parę krótkich lat, a mimo to odbijała się w nich niewinność i dobroć. Były ciemne jak oczy Rhuna, lecz Elżbieta

nigdy nie zobaczyła w oczach Rhuna zwyczajnego szczęścia ani niewinności. Jemu także narzucono nieśmiertelność, która wcale mu się nie podobała.

Nie był zabójcą. Naprawdę było mu przeznaczone kapłaństwo, służba innym. Przemienienie go w *strigoi* było skrzywieniem jego natury.

Skrzywiłoby także naturę Tommy'ego.

Jak mogę narzucić mu swoją wolę i odebrać tę niewinność?

Byłby to akt egoizmu. Odebrałaby mu duszę po to, by oszczędzić sobie bólu utraty jeszcze jednego dziecka. Nie wolno jej go skrzywdzić, żeby oszczędzić siebie. Nigdy, przenigdy.

Tommy musiał zauważyć zmianę w jej oczach, bo rozluźnił się i uśmiechnął.

– Dziękuję – wyszeptał.

Odwróciła głowę i zamrugła. Będzie cierpiał i umrze, a ona go nie ocali. Wstała z krzesła, podeszła do okna i patrzyła na żaluzje, żeby nie widział, jak płacze. Będzie trwać przy nim w milczeniu aż do końca. Wzięła głęboki oddech i sięgnęła w głąb siebie po siłę.

– Może powinniśmy wyjść i przespacerować się na słońcu? – zaproponowała. Pomoże Toramy'emu spędzić przyjemnie czas, który mu pozostał.

Zanim chłopiec odpowiedział, rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Do sali bez pozwolenia wtargnął Rhun z lwiątkiem przy piętach.

– Wybaczcie to najście – powiedział, spoglądając na Elżbietę i Tommy'ego. – Słyszałem, że tu jesteś, siostrzo Elżbieto, i...

Patrzyła na niego z przyganą, domyślając się, co go tak nagle sprowadziło. Obawiał się, że Elżbieta przemieni chłopca.

– Ze mną wszystko w porządku – odezwał się Tommy.

Uśmiechnęła się do niego.

– Właśnie – rzuciła.

Lwiątko przemknęło obok sangwinisty i wskoczyło na łóżko.

Złociste ślepka wpatrzyły się w oczy chłopca i patrzyli na siebie jak zaczarowani.

– Poznaj lwa Rhuna – powiedziała Elżbieta, dokonując prezentacji.

Tommy był głuchy na jej słowa; zagubił się w spojrzeniu zwierzaka, jak gdyby się znali.

– Kociak zareagował w taki sam sposób, kiedy pierwszy raz spotkał Jordana – szepnął Rhun. – Myślę, że to z powodu anielskiej krwi, która kiedyś ich łączyła. Wszyscy trzej przez jakiś czas mieli w swoich żyłach anielską esencję archanioła Michała.

Lwiątko nachyliło się do chłopca i potarło łebkiem o jego policzek, przerywając zakłęcie. Rozległ się radosny śmiech.

Serce zabolalo Elżbietę na myśl, jak bardzo będzie tęsknić za tym śmiechem.

Rhun podszedł do okna i otworzył żaluzje. Pomieszczenie zalał blask słońca, ale nie przeszkadzał jej tak bardzo jak jeszcze przed kilkoma dniami.

Lwiątko pławiło się w promieniach porannego słońca, rozciągając się na łóżku obok Tommy'ego. Z puchatej piersi wydobywał się niski pomruk. Niósł w sobie miłość, zadowolenie i zwyczajne, przyjemne doznanie zmysłowe.

Słuchając go, Elżbieta poczuła, że przepływa przez nią dziwne ciepło i odchodzi. Odrobinę zakręciło jej się w głowie. Oparła się o łóżko.

Może nie jestem tak przyzwyczajona do światła, jak mi się zdawało.

Tommy uniósł bladą dłoń i ze smutnym uśmiechem pogłaskał lwiątko po puszystym futerku.

Dobre i to, że mogła zobaczyć radość chłopca. Nawet bicie jego serca zabrzmiało mocniej, krew szerszym strumieniem popłynęła przez żyły.

Nagle zatrzymała się zszokowana i spojrzała na bladą skórę Tommy'ego.

– Twoja ręka...

Chłopiec podążył za jej wzrokiem i na jego twarzy pojawił się taki sam wyraz.

– Liszaje...

– Zniknęły – dopowiedziała Elżbieta.

Lwiątko, pobudzone nagłym zamieszaniem, uniosło łeb i sennie otworzyło oczy. Nie miały już złocistego koloru. Były zwyczajnie brązowe, tak jak oczy Tommy'ego.

– Rhunie... – Odwróciła się do sangwinisty, oczekując wyjaśnienia.

On zaś przyklęknął na jedno kolano, dotknął pectorału, a potem delikatnie przyjrzał się lwiątku i skórze Tommy'ego.

– Czuję się lepiej – oznajmił chłopiec z oczami jak spodki. Sam się zdziwił, wypowiadając te słowa.

Elżbieta się uśmiechnęła. Usiłowała to powstrzymać, lecz w jej od dawna zimne serce wkradła się nadzieja.

– Czy on jest wyleczony?

Rhun wstał.

– Nie wiem. Ale wygląda na to, że anielska esencja kociaka znikła. Jordan wrócił z Nepalu i w jego krwi nie było śladu esencji duchowej. Może jej resztką przetrwała w tym zwierzaku po to, by mógł dokonać tego ostatniego cudu.

Przypomniała sobie dziwne ciepło, które towarzyszyło mruczeniu kota. Czy stało się to, o czym mówił Rhun? Tak naprawdę nie obchodziło jej zbytnio, jak doszło do uzdrowienia; ważne, że do niego doszło.

– Lekarze go zbadają – obiecał sangwinista. – Ale myślę, że jest zwyczajnym chłopcem. Wyleczonym z choroby, ale wciąż chłopcem.

Tommy uśmiechnął się szerzej.

Elżbieta wyciągnęła rękę i zmierzwiła jego ciepłą gęstą czuprynę.

Właśnie tego zawsze pragnął: być zwyczajnym chłopcem.

Wymienili kilka uprzejmości i obietnic, a potem Elżbieta wyszła za księdzem na korytarz. Lwiątko deptało im po piętach.

– Cieszę się, że go nie przemieniłaś – odezwał się Rhun, kiedy Tommy nie mógł już ich słyszeć.

– Myślałaś, że to zrobię? – Uniosła brwi, udając niewiniątko, ale wiedziała, że Rhun i tak nie uwierzy.

- Lękałem się tego – odparł.
- Jestem silniejsza, niż ci się zdaje.
- Co się stanie z chłopcem?
- Trzeba go zwrócić ciotce i wujowi, ja się tym zajmę – powiedziała Elżbieta. – Ktoś taki jak ja nie nadaje się na matkę dla niego.
- A więc zdołasz po prostu się go wyrzec?
- To nie będzie proste. – Uniosła brodę. – I nie wyrzeknę się go całkowicie. Będę go obserwowała, odwiedzała, kiedy będzie mnie potrzebował, i zostawiała, kiedy nie będę mu potrzebna.
- Wątpię, czy zakon pozwoli ci utrzymywać z nim dalsze kontakty.
- Elżbieta parsknęła śmiechem.
- Nie jestem ich własnością. Będę chodziła, gdzie chcę i jak chcę.
- Byłabyś gotowa odejść z zakonu? – spytał, przełknąwszy ślinę.
- I ode mnie?
- Nie mogę trwać przywiązana do Kościoła. A ty powinieneś to wiedzieć lepiej niż inni. Jeżeli tutaj pozostaniesz, nigdy nie będziemy mogli być razem.
- W takim razie wkrótce powinniśmy się pożegnać. – Dotknął jej ramienia. Zatrzymała się i odwróciła do niego. – Otrzymałem pozwolenie, by wstąpić do Sanktuarium. Rozpocznie się dla mnie okres samotności i refleksji w zakonie.
- Chciała go wydrwić za to, że odwraca się plecami do świata. Jednak usłyszawszy w jego głosie prawdziwą radość, spojrzała na niego ze smutkiem.
- A więc idź, Rhunie, spróbuj znaleźć spokój.

17.06

Rhun kroczył korytarzami Sanktuarium z cichym poczuciem radości, gotów porzucić wreszcie ziemskie troski. Szedł sam, jego kroki rozlegały się cicho w przestronnych komnatach i tunelach.

Wyostrzony słuch pozwalał mu słyszeć dalekie modlitwy, początek niesporów.

Zstępował głębiej, do miejsc, w których przycichały nawet takie szepty.

Jasny świat na powierzchni nie miał mu już nic więcej do zaoferowania. Nim kardynał Bernard wysłał go do Masady po Ewangelię Krwi, Rhun szykował się do życia klauzurowego. Teraz był jeszcze bardziej zmęczony.

Już czas.

Od tej chwili pnące się wysoko sklepienia Sanktuarium będą jego niebem. Pogrążonemu w medytacji, sangwiniści będą przynosili wino, tak jak on kiedyś przynosił innym. Znajdzie tam spoczynek, na łonie Kościoła, który ocalił go bardzo dawno temu. Jego misja Rycerza Chrystusa została wypełniona i nie musi więcej służyć Kościołowi. Był teraz wolny od tych powinności.

Skłonił głowę, przechodząc do domeny klauzurowych. Tam odpoczywali jego bracia i siostry, stojąc w niszach lub leżąc, wyrzekłszy się spraw ciała na rzecz wiecznej kontemplacji i refleksji.

Przydzielono mu celę i przez cały rok się nie odezwie, będzie tylko z własnymi modłami.

Najpierw jednak zatrzymał się i zapalił świecę przed fryzem przedstawiającym świętego patrona; setki takich małych oznak czci znajdowały się w Sanktuarium. Uklęknął, a blask świecy zatańczył na twarzy postaci w długim habicie, stojącej pod drzewem; na ramionach świętego i na gałęziach przysiadły ptaki: był to święty Franciszek z Asyżu. Rhun pokłonił się, przypominając sobie Hugona de Payensa, który poświęcił się, by ocalić triadę, towarzyszących im sangwinistów i wiele innych istnień.

Rano na lotnisku Rhun pożegnał się z Jordanem i Erin; odlatywali do Stanów, gdzie czekało na nich szczęśliwe życie. Mogli dalej żyć dzięki temu, że poległo wielu bohaterów. Mimo że pustelnik odwrócił się od zakonu, Rhun zamierzał doprowadzić do jego uhonorowania choćby w drobny sposób.

Dziękuję ci, przyjacielu.

Zamknął oczy i poruszył wargami w modlitwie. Później, długo po zakończeniu niesporów, jakaś ręka dotknęła jego ramienia.

Dotknięcie było lekkie jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Rhun odwrócił się i zobaczył wysoką postać w długiej szacie.

Zaskoczony tymi odwiedzinami, jeszcze niżej skłonił głowę.

– Zaszczycasz mnie – wyszeptał do Tego, Który Powstał z Martwych, pierwszego z ich zakonu.

– Wstań – rzekł Łazarz głosem chrapliwym ze starości.

Rhun spełnił polecenie, lecz nie podnosił wzroku.

– Dlaczego tu jesteś, mój synu? – zapytał Łazarz.

Rhun wskazał milczące postaci w pobliżu, pokryte kurzem, nieruchome jak posągi.

– Przybyłem, by zażywać spokoju Sanktuarium.

– Oddałeś zakonowi wszystko – powiedział Łazarz. – Swoje życie, duszę i posługę. Czy chcesz teraz oddać resztę swoich dni?

– Tak zrobię. Oddałem wszystko z ochotą, dla wyższej sprawy.

Istnieję tylko po to, by służyć Jemu prostym uczciwym sercem.

– A jednak doszedłeś do tego życia przez kłamstwo. Nie było ci pisane służyć w taki sposób. Mogłeś pójść inną drogą i wciąż jeszcze możesz.

Rhun uniósł głowę; w głosie rozmówcy nie usłyszał zarzutu, tylko smutek. Nie rozumiał. Łazarz odwrócił się i odszedł, pociągając go za sobą.

Sunął obok nieruchomych postaci zakonnic i mnichów, którzy przyszli w to miejsce, by szukać wytchnienia.

– Czy nie dość zapłaciłem za swoje grzechy? – spytał, obawiając się, że czeka go odmowa.

– Nie ty zgrzeszyłeś – odparł Łazarz. – To przeciw tobie zgrzeszono.

Rhun podążał za posępną postacią, a w jego głowie się kotłowało; wyliczał grzechy popełnione w ciągu długiego życia i te, których padł ofiarą. Nie znalazł jednak w tym oświecenia.

Łazarz prowadził go głębiej, w ciemniejsze korytarze; spoczywające tam postaci odziane były w staroświeckie szaty,

miały głowy opuszczone lub wzniesione ku sklepieniu. Rhun słyszał o tej części Sanktuarium, do której przychodzili ci, którzy szukali nie tylko wiecznej refleksji, ale także odpuszczenia. Rozważali, czym jest grzech, zarówno ich własny, jak i innych.

Rozejrzał się i popatrzył na twarze, które skrywał cień umartwienia.

Dlaczego mnie tu przywiedziono?

Wreszcie Łazarz zatrzymał się przed księdzem stojącym z opuszczoną głową. Był w prostym brązowym habicie, który dawno temu Rhun nosił w czasie ziemskiego życia. Mimo że nie widział twarzy, wyczuwał, że go zna.

To musi być jeden z moich braci, których znałem przed laty; on także postanowił wybrać kontemplację.

Łazarz nachylił się do policzka mężczyzny, jego oddech strącił odrobinę kurzu z ucha postaci.

Wreszcie tamten uniósł głowę i odsłonił oblicze, które dręczyło Rhuna w koszmarach przez ponad czterysta lat. Cofnął się i zachwiał, jakby otrzymał mocny cios.

Nie może być...

Przyglądał się długim ciemnym włosom, wysokiemu blademu czołu, pełnym ustom. Przypomniawszy sobie, że te wargi dotknęły jego szyi, a kły wbiły się w gardło. Wciąż czuł smak jego krwi na języku.

Jeszcze teraz ciało pamiętało tę błogość. Nawet teraz byli ze sobą złączeni.

Oto był *strigoi*, który rzucił się na niego obok mogiły siostry Rhuna, oderwał jego duszę od ciała i zakończył jego życie śmiertelnika. Rhun myślał, że bestia została zabita. Pamiętał, jak odciągają go sangwiniści wierni Bernardowi.

A teraz to monstrum nosiło szaty zakonu.

Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na niego z największą czułością. Dotknął jego szyi w miejscu, w którym jego zęby przebiły skórę ofiary. Palce zatrzymały się.

– Wyrządzając ci krzywdę, sądziłem, że służę... – zaczął – Że służysz? – przerwał mu Rhun. – Komu?

Ramię opadło i oczy ponownie się zamknęły, świadomość odpływała.

– Wybacz mi, mój synu – rzekł mężczyzna gasnącym głosem. – Nie wiedziałem, com uczynił.

Rhun czekał na dalszy ciąg, na słowa wyjaśnienia.

– On symbolizuje kłamstwo – objaśnił Łazarz. – To, które zawróciło cię z drogi pobożnej służby i skierowało na długą drogę posłuszeństwa w naszym zakonie.

– Nie rozumiem – odparł Rhun. – Co to za kłamstwo?

– Musisz zapytać Bernarda – powiedział Łazarz; ujął łokieć Rhuna i powiódł go z powrotem do drzwi. Później wyprowadził go przez bramę.

Rhun zatrzymał się na progu. Lękał się opuścić bezpieczne wnętrze Sanktuarium; nagle odeszła mu ochota, by poznać ostatni sekret.

Jednakże Łazarz stał w drzwiach i nie pozostawiał mu wyboru.

– By poznać przyszłość, musisz, synu, zrozumieć swoją przeszłość. Dowiedz się, kim naprawdę jesteś. Później podejmiesz decyzję, gdzie chcesz spędzić swoje dni.

Rhun wyszedł. Nie wiedział, jak jego nogi znalazły drogę na górę do Bazyliki Świętego Piotra. Wspinając się, przypominał sobie tamtą noc, kiedy został przemieniony i znaleziony przez sangwinistów, zanim zdążył zgrzeszyć. Jak przyprowadzono go przed oblicze Bernarda, jak kardynał przekonał go, by wyrzekł się nikczemnej natury i wybrał życie sangwinisty.

Wszystkie drogi prowadziły z powrotem do Bernarda.

Słowa mężczyzny napotkanego w podziemiu dźwięczały Rhunowi w uszach.

Wyrządzając ci krzywdę, sądziłem, że służę...

Rhun rozumiał, co oznaczają.

Bernard wiedział o nocnych wycieczkach Rhuna na grób siostry.

Wiedział, że będzie tam tej nocy, sam i bezbronny. To właśnie on wysłał kogoś z zakonu, przebranego za *strigoi*, by przemienił

go na cmentarzu i zwerbował. W ten sposób kardynał sprawił, że proroctwo się spełniło, stworzył wybrańca, sangwinistę, który nigdy nie zakosztował ludzkiej krwi. Z przepowiedni istniejących od setek lat wiedział, że tylko wybraniec z zakonu może odnaleźć zaginioną Ewangelię Krwi.

A zatem to Bernard go stworzył.

Kiedy to zrozumiał, gniew zaczął go palić od środka jak oczyszczający ogień. Bernard ukradł mu duszę, a on dziękował mu za to tysiąc razy.

Całe moje życie było fałszem.

Jak we śnie kroczył korytarzami Pałacu Apostolskiego w kierunku gabinetów Bernarda. Kardynałowi pozwolono dalej tam pracować w oczekiwaniu na proces za grzech krwi popełniony przeciwko Elżbiecie. Rhun nie zapukał do drzwi, tylko wpadł do środka niczym burza.

Hierarcha uniósł głowę znad biurka zawałonego papierami; jego twarz wyrażała zaskoczenie. Miał na sobie purpurową sutannę, czerwone rękawiczki, wszystkie atrybuty swojego urzędu.

– Rhunie, co się stało?

Słowa z trudem wydobywały się z gardła księdza, nadal dławiała go wściekłość.

– To z twojego rozkazu ukradziono mi duszę.

Bernard wstał.

– Co ty opowiadasz?!

– Kierowałeś potworem, który przemienił mnie w *strigoi*.

Wepchnąłeś mnie w ramiona Elżbiety i odebrałeś jej duszę. Moje życie, moja śmierć, wszystko zostało przez ciebie obmyślane, żeby mogła się spełnić wola Boża. Naginałeś proroctwo do swojej woli.

Bernard szukał właściwych słów, by odpowiedzieć na oskarżenia.

Doszedł do wniosku, że najlepsza będzie prawda.

– A zatem wiesz, że postąpiłem słusznie.

– Słusznie? – powtórzył Rhun z goryczą i bólem.

– Teraz, po tym, jak wszystkie proroctwa się spełniły, czy chciałbyś zmienić bieg wydarzeń? Znasz cenę, jaką świat by zapłacił, gdybyśmy zawiedli.

Rhun trząsał się ze złości. Bernard pozbawił go rodziny, pchnął na przeklętą ścieżkę wiecznej żądzы krwi, kazał wierzyć, że jego jedyna droga to służba Kościołowi. Kobieta zaś, którą miłował, zamienił z uzdrowicielki w zabójczynię.

Wszystko po to, by ocalić świat na warunkach, które sam określił.

Żeby wypełnić proroctwo, które być może wcale by nie zaistniało, gdyby nie jego intrygi. I żeby wszyscy sangwiniści nie dowiedzieli się, że mają wybór poza obrębem Kościoła i poza kontrolą Bernarda.

W jego mniemaniu każde poświęcenie ostatecznie się kalkulowało. Czym jest cierpienie jednego człowieka wobec tego, że los świata znalazł się na krawędzi? Jedna hrabina? Kilka setek sangwinistów?

Zdegustowany, z przeświadczeniem, że został zdradzony, Rhun odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu kardynała.

– Nie działaj pochopnie, mój synu! – zawołał za nim Bernard.
– Pośpiech to nic dobrego.

Ale o pośpiechu nie mogło być mowy. Jego zdrada ciągnęła się przez setki lat.

Rhun wbiegł do ogrodów papieskich; potrzebował świeżego powietrza i nieba nad sobą. Zapadła noc, powietrze było rześkie i zimne, a niebo usiane gwiazdami. Duży księżyc wisiał wysoko.

Łazarz odesłał Rhuna na powierzchnię, żeby poznał prawdę i mógł swobodnie wybrać swój los. Dał mu wybór, którego Bernard go pozbawił. Jego i wszystkich innych sangwinistów. Prawda o Hugonie i buddyjskich *strigoi* już się rozeszła w szeregach zakonu; inni także stawali przed wyborem, z którym mierzył się tej nocy Rhun: w jaki sposób i gdzie przeżyć wieczność.

Wbiegł daleko w głąb ogrodu i tam doścignął go znajomy zapach.

Lwiątko pędziło w podskokach, kłębek srebrzystego światła przemykający w wysokiej trawie. Goniła go rozzłoszczona opiekunka.

– Wracaj tu, Nabuchodonozorze!

Kocię dopadło Rhuna i rąbnęło z siłą w jego łydki, a potem zapamiętało ocierało się o nogi. Lew miał być jutro przewieziony do Castel Gandolfo i trafić pod opiekę brata Patricka. Ktoś jednak doszedł do wniosku, że ocalając życie Tommy'emu, zasłużył sobie na ostatnie chwile brykania w ogrodach.

Nadbiegła Elżbieta w czarnych dżinsach, białych tenisówkach i purpurowym swetrze, na który włożyła lekki żakiet. Miała rozpuszczone włosy, kędziory skakały po jej twarzy poruszane podmuchami wiatru. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

Zakłęła po węgiersku.

– Przekłete bydlę nigdy się nie słucha.

– A mimo to nadałaś mu imię – zauważył Rhun. – Nabuchodonozor.

– Król Babilonii – odparła, odgarniając włosy do tyłu; prowokowała go. – Erin je zasugerowała. Pomyślałam, że pasuje. I żebyś wiedział, że zabiorę go ze sobą, kiedy będę wyjeżdżała.

– Wyjeżdżasz?

– Nie powinien się gnieździć w byle końskiej stajni. Potrzebuje otwartych pól, szerokiego nieba. Potrzebuje świata.

Rhun wpatrywał się w nią i kochał ją całym sercem. Podszedł i wziął ją za rękę, a jej mocne palce splotły się z jego palcami.

Odchyliła głowę i zmierzyła go ostrym wzrokiem. Być może wyczuła, jak bardzo zmienił się od rana.

– Pokaż – wyszeptał.

Przybliżyła się do niego, zaczynała rozumieć.

– Pokaż mi świat.

Nachylił się i pocałował ją mocno i głęboko, bez krzty niepewności. Nie był to niewinny pocałunek księdza.

Ponieważ Rhun nie był już księdzem.

A potem...

Późna wiosna
Des Moines, Iowa

Nareszcie spokój...

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, kiedy Erin weszła do altanki z drewna sekwoi i wciągnęła delikatny zapach angielskich róż, które pięły się po treliażu. Usiadła na ławeczce i oparła się.

Nieopodal śmiały się dzieci, ich głosy niosły się ponad trawnikiem. Bawiły się w skomplikowaną grę w przeciąganie, ubrane w wypożyczone smokingi i eleganckie sukienki; niejedno kolano nosiło ślady trawy i obtarcia. Dorośli stali nieopodal w wyjściowych ubraniach, popijając szampana i gawędząc.

Lubiła ich wszystkich, niektórych nawet kochała, ale ich obecność była przytłaczająca. W tej chwili zależało jej na towarzystwie jednej osoby.

Jak gdyby odgadując jej myśli, drzwiami altanki wślizgnęła się znajoma postać. Poszedł za nią, liczyła na to.

– Znajdzie się jeszcze jedno miejsce? – spytał Jordan.

– Zawsze.

W ciągu ostatnich paru miesięcy jasne jak pszenica, po wojskowemu krótko ostrzyżone włosy odrosły. Wyglądał w tej fryzurze na bardziej odprężonego, zwłaszcza teraz, gdy miał na sobie grafitowy smoking. Oczy się nie zmieniły, nadal były jasnoniebieskie z ciemniejszą obwódką wokół tęczówki. Oparł się

o słupek i uśmiechnął do niej. Emanowały z niego miłość i radość.

Erin odpowiedziała uśmiechem.

– Rewelacyjnie się pani prezentuje, pani Granger-Stone.

– Pan także, panie Granger-Stone – odparła.

Nie dalej jak przed godziną w obecności jego rodziny i jej przyjaciół ona przyjęła jego nazwisko, a on jej; złożyli śluby pod błękitnym niebem.

Póki śmierć nas nie rozłączy.

Po tym wszystkim, co ich spotkało, słowa te miały dodatkowy sens. Jordan oświadczył się Erin zaraz po powrocie do Rzymu, a ona zgodziła się momentalnie.

Czas był zbyt cenny, by tracić chociaż jedną sekundę.

Dotknęła gojącej się rany na swojej szyi. Wybrała suknię z wysokim kołnierzem, żeby zakryć różową szramę, ale ona i tak wзираła spod materiału. Rana prawie już nie bolała, lecz ilekroć Erin zobaczyła ją w lustrze, przypominała sobie, że umarła, a potem wróciła do życia. Wiedziała, jak niewiele dzieliło ją od tego, by straciła przyszłość z Jordanem.

Delikatnie odsunął jej dłoń od szyi i uścisnął. Jego dotyk był ciepły i naturalny. Nawet tatuaż wrócił do pierwotnych rozmiarów. Jordan był w każdym calu tym samym łagodnym przystojniakiem, którego poznała na pustyni w Masadzie, zanim sangwiniści zawładnęli ich życiem.

Teraz mieli własne życie.

Razem.

Odetchnął głęboko i usiadł obok Erin.

– Nadchodzą wielkie zmiany. Ty i ja będziemy wspólnie pracować w dżungli. Ty będziesz wygrzebywała z ziemi artefakty, a ja w okularach będę się uczył na antropologa śledczego. Żadnych bitew, żadnych monstrów. Uważasz, że da ci to satysfakcję?

– Więcej niż satysfakcję. Ekstazę.

Dzięki kontaktom w Watykanie dostała lukratywną pracę jako kierowniczka wykopalisk w Ameryce Południowej. Będzie

wydzierała dżungli historię, wywabiała jej tajniki i dbała o ich zachowanie dla przyszłych pokoleń. Robota ciężka, ale nie będzie miała nic wspólnego ze świętymi i aniołami. Życie Erin należało teraz do niej, będzie je dzieliła z mężem.

Jordana zwolniono z wojska ze wszystkimi honorami i zapisał się na studia z antropologii detektywistycznej pod kierownictwem Erin.

Był gotów badać starożytne przestępstwa, choć dotąd zajmował się współczesnymi. Wolał śledztwa w sprawach, w których krew wyschła bardzo dawno temu, a zagadki dotyczyły intelektu, a nie emocji.

Takie życie pozwalało im myśleć o wspólnej przyszłości.

I nie tylko im dwojgu.

Pocałował dłoń Erin i jego wargi spoczęły tam na chwilę. Poczowała ciepłe swędzenie na ręce. Po chwili zanurzyła dłonie w jego jasnych włosach i przyciągnęła do siebie jego głowę; pocałowała go w usta, chciała go całować, smakować, zagubić się w nim. Ręce Jordana ześlizgnęły się po jej plecach i zatrzymały na osłoniętych jedwabiem biodrach. Jedna powędrowała ku brzuchowi.

Spojrzała w dół, nie wiedząc, czy już to widać.

– Myślisz, że twoja mama wie? – zapytała Erin.

– Niby skąd? Przecież my dowiedzieliśmy się dopiero po przybyciu do Stanów. Na razie to wyłącznie nasz sekret. –

Delikatnie potarł ją po brzuchu. – Ale myślę, że za jakieś siedem miesięcy mama wszystkiego się domyśli. Zwłaszcza jeśli będą bliźnięta.

Położyła dłoń na swoim brzuchu obok jego dłoni.

Bliźnięta... chłopiec i dziewczynka.

Rozluźniła się w jego ramionach, wyobrażając sobie małego blondynka z niebieskimi oczami Jordana i jego zuchwałością... Oraz dziewczynkę o bursztynowych oczkach, która potrafi przeczytać wszystko, co wpadnie jej w ręce.

– Tak sobie myślałem – odezwał się Jordan. – Może dalibyśmy jej na imię Sophia?

Erin uśmiechnęła się i cmoknęła go lekko w usta.

Radośnie spoczęła w jego ramionach, mimo to kołatała w niej obawa.

Kiedy już znaleźli się w Stanach, kazała zrobić całe mnóstwo badań. Wszystkie wypadły normalnie. Zaszła w ciążę, kiedy Jordan nosił w sobie anielską krew, i stąd wziął się jej lęk, że mógł ją przekazać dzieciom.

A co mogły dostać ode mnie?

Będąc w ciąży, na krótko umarła, a potem miała w ciele krew *strigoi*.

Jordan wyczuł jej lęki i znów ją ucałował.

– Wszystko będzie w najlepszym porządku.

Czerpała siłę z pewności w jego głosie, ufała mu.

Z trawnika dobiegł dziecięcy głosik, naglący.

– Trzeba pokroić tort! – To była Olivia, siostrzenica Jordana, która słynęła jako łasuch na słodczyce. – Pospieszcie się!

Jordan uśmiechnął się, jego usta przywarły do ust Erin.

– A chłopca...

– Niech zgadnę. Na pewno chciałbyś go nazwać Christian.

– Właśnie że nie. Myślałem o imieniu Thor. Szalenie męskie.

– Thor? – Erin odepchnęła go i wstała. – Zjedz trochę ciasta, bo widzę, że twój mózg na gwałt potrzebuje cukru.

Wzięła go za rękę i wyprowadziła na zalany słońcem trawnik.

Stąpali wśród zapachu wiosennych róż, marząc o słodkim smaku tortu i wspólnego życia.

Podziękowania

James pragnie złożyć podziękowania swojej grupie autorskiej, która tak świetnie się sprawdziła podczas wyprawy z pustyni Egiptu aż do bram Piekła. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszej drużyny u boku niż: Sally Annę Barnes, Chris Crowe, Lee Garrett, Jane O'Riva, Denny Grayson, Leonard Little, Scott Smith, Steve i Judy Prey, Caroline Williams, Christian Riley, Tod Todd, Chris Smith i Amy Rogers. Oraz rzecz jasna dziękuję Davidowi SyWianowi i Carolyn McCray, którzy byli moją prawą i lewą ręką od pierwszego kroku do ostatniego skoku. Specjalne podziękowania należą się także osobom, które odegrały istotną rolę na różnych etapach procesu wydawniczego: mojej redaktorce Lyssie Keusch i jej koleżance Rebecce Lucash; moim agentom Russowi Galenowi i Danny'emu Barorowi (oraz jego córce Heather Baror).

Rebecca również chciałaby podziękować swojej grupie autorskiej, w tym Kathryn Wadsworth, Davidowi Deardorffowi, Judith Heath, Karen Hollinger i Benowi Haggardowi za to, że wielokrotnie czytali tekst, wyłapywali błędy i naprowadzali książkę na właściwy tor. Szczególne podziękowania składam na ręce wszystkich pisarzy, przyjaciół i agentów, którzy dopomogli mi w czasie pisarskiej podróży z tą książką: Andrew Petersonowi, Joshui Corinowi, Shane'owi Gericke, Seanowi Blackowi, JF Pennowi, Alexandrze Beusterien, Mary Alice Kier i Annie Cottle. Jestem bardzo wdzięczna losowi, że mam takich przyjaciół. Na koniec to, co najważniejsze. Mam olbrzymi dług wdzięczności wobec męża i syna za ich cierpliwość w chwilach, kiedy wyruszałam na bitwy z potworami, tymi prawdziwymi i tymi

wyimaginowanymi. Kotce Twinkle nie należą się żadne podziękowania, bo nic a nic nie pomaga.

Przypisy

- ¹ Księga Izajasza 14,12. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego wg Biblii Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980.
- ² Apokalipsa wg Św. Jana 13,18.
- ³ Księga Rodzaju 3,7.
- ⁴ Księga Rodzaju 3,16.
- ⁵ Ewangelia wg św. Marka 5,9.
- ⁶ Ewangelia wg św. Mateusza 16,26.